



TIM WEAVER

TO, CO ZOSTAJE

ODESZLI, ALE NIE ZOSTALI ZAPOMNIANI

ALBATROS

CI, KTÓRZY ZOSTAJĄ

Znajduje ich zawsze. Żywych albo umarłych. David Raker poszukuje ludzi, którzy zapadli się pod ziemię. Kiedy policja jest bezradna, on zawsze w końcu dociera do prawdy, chroniąc w ten sposób bliskich zaginionych osób przed obłądem.

TEN, KTÓRY NIE ODPUSĆCI

Nie jest jednak w stanie ochronić przed obsesją człowieka, z którym łączy go trudna przyjaźń. Wyrzucony z policji Colm Healy nawet po latach nie może się pogodzić z nierozwiązaną sprawą zabójstwa kobiety i jej córeczek. Prowadzi śledztwo na własną rękę i zwraca się do Rakera o pomoc.

TE, KTÓRE NICZEMU NIE ZAWINIŁY

Miały tylko po osiem lat. Raker wie, że zasługują na odpowiedź. Nie wie jednak, że ich morderca wciąż czuwa i – gotowy na wszystko – obserwuje z mroku każdy jego ruch.

TIM WEAVER

TO, CO ZOSTAJE

Z angielskiego przełożył
Lech Z. Żołędziowski

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

TIM WEAVER

Brytyjski pisarz, z zawodu dziennikarz. Jako wolny strzelec współpracował z wieloma gazetami i czasopismami, m.in. z „The Guardian” i „Sports Illustrated”; pisał o filmach, telewizji, sporcie i grach komputerowych. Jest autorem serii thrillerów o prywatnym detektywie Davidzie Rakerze, zajmującym się poszukiwaniem osób zaginionych.

Dotychczas ukazało się dziewięć powieści Weavera – w tym **Ścigając umarłych, Zanurzyć się w mrok, Bez ostrzeżenia i Zniknęli na zawsze** – oraz zbiór opowiadań.

Tim Weaver uwielbia powieści Lee Childa i Michaela Connelly’ego.

timweaverbooks.com

Tego autora

ZANURZYĆ SIĘ W MROK
BEZ OSTRZEŻENIA
ZNIKNĘLI NA ZAWSZE
BARDZO ZŁE MIEJSCE
TO, CO ZOSTAJE

Tytuł oryginału:
WHAT REMAINS

Copyright © Tim Weaver 2015
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Lech Z. Żołędziowski 2019

Redakcja: Anna Jaroszek

Zdjęcie na okładce: © John Harrison/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Przygotowanie okładki do druku: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

ISBN 978-83-8125-625-4

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

www.wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros

Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Dla Mamy i Taty

Od autora

W mojej drugiej powieści, *Zanurzyć się w mrok*, w krótkiej rozmowie Davida Raker'a z Colmem Healym jest mowa o zakończonym niepowodzeniem śledztwie, które stanowi centralną intrygę *Tego, co zostaje*. W chwili pisania tamtego fragmentu nie przyszło mi nawet do głowy, że kilka linijek dialogu stanie się zaczynem nowej powieści. Wynika to zapewne z mojej skłonności do zdawania się na żywioł: w miarę rozwoju akcji *Zanurzyć się w mrok*, a także w kolejnych trzech powieściach rola Healy'ego staje się coraz ważniejsza w sposób, jakiego nigdy bym nie przewidział, cała zaś sprawa i niepowodzenie w jej rozwiązaniu wpływają na niego w stopniu zaskakującym nawet dla mnie.

Dlatego moi czytelnicy o sokolim wzroku mogą wypatrzeć kilka drobnych rozbieżności między relacją Healy'ego w *Zanurzyć się w mrok* a wersją przedstawioną w *Tym, co zostaje*. Z kilku powodów uznałem za konieczne wprowadzenie niewielkich zmian, ale najważniejsze było to, że bez nich ucierpiałyby akcja pełnowymiarowej powieści. Mimo to w takim stopniu, w jakim było to możliwe, starałem się zachować wszystkie szczegóły śledztwa, o których Healy (oraz w mniejszym stopniu Raker) wspomina w poprzednich książkach.

Wprowadziłem też kilka drobnych zmian w procedurze działania Policji Metropolitalnej. Zrobiłem to wyłącznie dla dobra akcji tej powieści i jak zawsze mam nadzieję, że na tyle dyskretnie, by nikogo nie urazić.

16 lipca 2010

BRUTALNE MORDERSTWO

Ośmioletnie bliźniaczki i ich dwudziestodziewięcioletnia matka padły ofiarą zbrodni, którą policja określa jako „wyjątkowo odrażającą i brutalną”. Ciała Gail Clark i jej córek, Abigail i April, znaleziono w mieszkaniu po tym, jak jedna z sąsiadek zawiadomiła policję, że od ponad czterech dni nie widziała ani nie słyszała żadnej z nich.

Od wczoraj policja szuka świadków zamieszkałych w Searle House lub w okolicy tego dwudziestopiętrowego bloku w New Cross, w południowym Londynie, gdzie ofiary mieszkały na siedemnastym piętrze. Prowadzący śledztwo detektyw inspektor Colm Healy zapowiedział wczoraj, że dziś odbędzie się konferencja prasowa, podczas której policja ujawni dalsze szczegóły. Jednocześnie zwrócił się z apelem do mieszkańców Searle House i sąsiednich bloków. „Sądzymy, że Gail Clark i jej dwie córeczki zamordowano w minioną niedzielę lub poniedziałek, czyli 11 lub 12 lipca. Mamy do czynienia z wyjątkowo brutalnym zabójstwem, jednym z najgorszych, z jakimi zetknąłem się podczas mojej dwudziestodwuletniej służby w policji. Zwracam się do każdego, kto mógł zauważyć coś podejrzanego, by natychmiast podzielił się tym z nami”.

Detektyw inspektor Healy powiedział także: „Mamy szereg tropów i pragnę zapewnić wszystkich, a szczególnie miejscową społeczność, że sprawca tej zbrodni będzie ścigany z całą surowością prawa”.

CZEŚĆ PIERWSZA
14 stycznia 2014

1

Spotkałem się z Healym w motelu w Kew.

Przysadzisty, stalowoszary budynek w estetyce kontenera stał kawałek na północ od autostrady, świecąc w oczy dwoma długimi rzędami identycznych okien. Parking był w połowie zapełniony, chodniki i drogi dojazdowe pokryte warstwą brudnego, na wpół roztopionego śniegu, a z dziurawej rynny nad głównym wejściem ciekł strumień lodowato zimnej wody.

Motelowy bar był chyba najsympatyczniejszym fragmentem całości i nie tylko dlatego, że dzięki wypitemu alkoholowi można było sobie wyobrazić, że jest się gdzie indziej. Sprawiał wrażenie niedawno odnowionego i choć z okna widać było tylko parking i połyskującą w oddali Tamizę, wewnątrz urządzono nowocześnie i ze smakiem – zaokrąglony kontuar otaczały ciągnące się półkolem boksy z miękkimi kanapami.

Ruszyłem w stronę jednego z nich, po drodze zdjąłem płaszcz i zamówiłem czarną kawę. Usiadłem, rozłożyłem na stoliku plik przyniesionych wydruków i zacząłem je przeglądać. Wszystkie zawierały oferty pracy. Ułożyłem je chronologicznie w dwóch rzędach po pięć, od najstarszych do najnowszych.

Po kilku minutach skrzypnęły drzwi wejściowe i do skromnie oświetlonego wnętrza wszedł Healy. Dojrzał mnie, kiwnął głową i podszedł do baru. Był ubrany w spłowiałe płócienne spodnie i czerwony T-shirt z jakimś napisem na piersiach, włosy miał przylizane, a twarz zarumienioną, jakby dopiero co wziął gorący prysznic. Zamówił przy barze dietetyczną colę, po czym odwrócił się i podszedł do mojego boksu. Spojrzał na rozłożone wydruki i bez słowa usiadł naprzeciwko mnie.

– Dobry wieczór – powiedziałem. – Dobrze się czujesz?

– Chyba tak.

– A co jest nie tak?

Popatrzył na mnie.

– Nic. Wszystko dobrze.

Oczywiście wiedziałem, co jest nie tak. Obaj to wiedzieliśmy.

Sześć dni wcześniej, ósmego stycznia, widzieliśmy się w kafejce w Hammersmith po tym, jak zadzwonił i zaproponował spotkanie. Zobaczyłem go wtedy po raz pierwszy od czternastu miesięcy. W ciągu tych sześciu dni dużo się wydarzyło. Nie tylko opłaciłem mu dziesięciodniowy pobyt w motelu, ale nabiłem też jego kartę Oyster¹ i wręczyłem dość gotówki na benzynę, by mógł krążyć między biurami pośrednictwa pracy, a do paru osobiście go zawiozłem. Wstąpiłem też z nim do kilku sklepów, by kupić mu coś do jedzenia. Widać było, jak bardzo go to krępuje – mnie zresztą na swój sposób też – ale Healy znalazł się sytuacji, w której nie miał większego wyboru.

Przestał istnieć dla swojej rodziny, jego policyjna kariera należała do przeszłości, oszczędności prawie całe się rozeszły i mieszkał w przytułku dla bezdomnych, gdzie żalosne resztki pieniędzy wystarczały mu na opłacenie materaca, poduszki i pryczy. Nikt – ani jego była żona, ani synowie, ani dawni koledzy z Policji Metropolitalnej – nie wiedział, jak nisko się stoczył, bo był zbyt dumny i zbyt dobity, by do nich zadzwonić. Ale ze mną było trochę inaczej. Właściwie nie byliśmy przyjaciółmi, ani teraz, ani wcześniej – pewnie dlatego zdobył się na ten telefon – coś nas jednak łączyło. Wiedział, że go rozumiem. I co ważniejsze, wiedział, że nie będę go osądzał. Obaj straciliśmy ukochane osoby i walczyliśmy z podobnymi demonami, polowaliśmy w takich samym ciemnościach na podobnych ludzi i mieliśmy taki sam problem ze zrozumieniem ich postępowania. Nigdy nie wierzyłem w fatum czy przeznaczenie – właściwie nadal w nie nie wierzę – lecz wieloletnia znajomość z Healym spowodowała, że zacząłem inaczej patrzeć na te sprawy. Nasze drogi wielokrotnie się rozchodziły, ale jakimś dziwnym zrzędzeniem losu zawsze w końcu spotykaliśmy się w tym samym punkcie.

– Czego dotyczą? – spytał, przenosząc wzrok na rozłożone wydruki.

– Zlecen na ochronę sklepową.

Kiwnął głową i przesunął kilka kartek bliżej siebie.

Na szyi miał krwawą wysypkę po goleniu, na podbródku widać było kropelki niezaschniętej krwi. Skaleczenia, które jeszcze się nie zasklepiły. Skaleczeń było znacznie więcej, ale wielu z nich nie było widać. Miał prawie czterdzieści dziewięć lat, wyglądał jednak o wiele starszej. Miał też niemałą nadwagę i był w złej kondycji fizycznej – twarz napuchnięta, a siateczka zmarszczek wokół oczu tak gęsta, że trudno się było zorientować, gdzie się kończy jedna kreska i zaczyna następna. Na czoło opadły mu kosmyki rudych włosów, skrapiając kartki kropelkami wody. Teraz dało się już odczytać napis na jego T-shircie. CHŁOPCY W TRASIE – DUBLIN 07.

– Jakiś pamiętny wyjazd? – spytałem.

Podniósł na mnie wzrok.

– Co?

Wskazałem głową napis na jego piersi.

Spojrzał na litery, spękane i zatarte od wielokrotnego prania.

– No – mruknął jakby w zadumie. – Byłem czyimś drużbą. Zabrałem całą bandę na parę dni do ojczyzny. – Twarz rozjaśnił mu uśmiech, który zaraz zniknął. – To były inne czasy.

Popatrzył z powrotem na wydruki. Najwyraźniej nie zamierzał zatapiać się we wspomnieniach z miasta, w którym urodził się i dorastał.

– A jak ci poszła dzisiejsza rozmowa w sprawie pracy?

– Kto ich tam wie. – Wzruszył ramionami.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że pojechałem aż do Rotherhithe, usiadłem i odpowiedziałem na wszystkie ich pytania, a oni tylko mi się przyglądali i na koniec powiedzieli, że dadzą znać.

– Powiedzieli kiedy?

– Za parę dni.

Barman przyniósł dietetyczną colę i postawił szklanekę przed Healym, który w milczeniu się w nią wpatrzył. Nie musiał nic mówić, by było wiadomo, co myśli. „Nie tego chciałbym się napić”.

Gdy zaoferowałem mu swoją pomoc, postawiłem jednocześnie kilka warunków. Jednym z nich było znalezienie jakiegokolwiek pracy, choćby dorywczej, by mógł jak najszybciej stanąć finansowo na nogi; inny dotyczył

picia. W trakcie tamtego spotkania w kafejce nie czułem od niego alkoholu, ale wiedziałem, że miewał ciągi, podczas których całymi tygodniami nie rozstawał się z butelką. Zresztą widać to było po jego twarzy. Skórę miał obwisłą i pooraną, oczy podkrążone i zaczerwienione. Alkohol zmienia rysy i wyraz twarzy.

– A co z tą drugą sprawą? – zapytał.

– Jaką drugą sprawą?

– Z tymi bliźniaczkami.

Spojrzałem w okno. Dalekie światelka na rzece z trudem przebijały się przez mżawkę ze śniegiem. Z bliźniaczkami i ich matką, od których wszystko się zaczęło. Przyspieszyły upadek Healy’ego. W lipcu 2010 roku to on wszedł do ich mieszkania w południowym Londynie i znalazł całą trójkę. Wszedł tam jako jeden z najlepszych śledczych stołecznej policji, a teraz, trzy i pół roku później, był bezdomnym alkoholikiem, oplakującym rozpad swojego małżeństwa i rodziny oraz koniec kariery zawodowej. Nie zadzwonił do mnie te sześć dni temu, żeby spytać, co u mnie słyhać. I nawet nie dlatego, że był bez grosza, bez pracy, bez domu i na dnie upodlenia. Zadzwonił, bym mu pomógł znaleźć tego, kto zamordował tę trzyosobową rodzinę. Nieuchwytnego zabójcę, od którego wszystko się zaczęło.

Poza tą sprawą nic więcej się dla niego nie liczyło.

Myśląc o jego pościgu za sprawcą, odtworzyłem w pamięci słowa, jakie wypowiedział wtedy w kafejce w Hammersmith: *Nie mogłem znaleźć ich mordercy, nie mogłem nigdzie natrafić choćby na ślad tego drania. I od tego czasu wszystko w moim życiu zaczęło się walić.* Powiedział to urywanym głosem, w jego oczach zaszklily się łzy. *A teraz spójrz na mnie. Mieszkam w przytułku dla bezdomnych. Jestem żaloszny.*

– Raker, co z tymi bliźniaczkami?

Poprawiłem się na siedzeniu i wróciłem myślami do terażniejszości. Healy przesunął szklanke z colą, pochylił się nad stolikiem i złożył razem dłonie.

– Mój człowiek w Metropolitalnej ma mi przysłać kopie akt – powiedziałem. – Powinienem je jutro dostać. Ale przedtem muszę zakończyć bieżącą sprawę.

Zajmuję się zawodowo szukaniem zaginionych i moją bieżącą sprawą była szesnastolatka z Greenwich, która uciekła z domu. Odnalazłem ją i zwróciłem rodzicom, ale zostało jeszcze parę spraw do wykończenia: powiadomienie Policji Metropolitalnej, że została znaleziona, oraz spotkanie z rodziną i odpowiedzenie na ich pytania. Nie mówiąc o spisaniu końcowego protokołu i zainkasowaniu honorarium. Czasami dopuszczam do tego, by początek nowej sprawy nakładał się na koniec poprzedniej, nigdy jednak nie prowadzę dwóch spraw równolegle, bo uważam, że każda zasługuje na taką samą uwagę i zaangażowanie z mojej strony. Zawsze czuję więź z zaginionymi. Emocjonalne powinowactwo, którego chyba nie umiałbym ubrać w słowa. I dlatego zaginiona nastolatka była dla mnie dokładnie tak samo ważna jak Healy. Nie wspominając o praktycznym aspekcie sprawy: jej rodzina mi płaciła.

Inaczej niż w przypadku Healy'ego – wszystko, co dla niego zrobiłem i być może jeszcze kiedyś zrobię, nie tylko nie wiązało się z żadną rekompensatą finansową, ale także nie łączyło się ani z zapewnieniami o wdzięczności, ani nawet ze zwykłym podziękowaniem. Pogodziłem się jednak z tym już dawno, zaakceptowałem go takiego, jaki jest, i uznałem siły, które nim kierują, ponieważ wiele jego cech odnajdywałem też w sobie. Byliśmy sobie przypisani. Kiedyś uratowałem mu życie, kiedyś on uratował życie mnie.

Tak to się między nami plotło.

– I chcesz siedzieć w tych papierach tak długo, aż uznasz, że jesteś gotów? – burknął.

– Jak mogę siedzieć w czymś, czego jeszcze nie mam?

Twarz wykrzywił mu grymas złości.

– Healy, powiedziałem ci dokładnie, jak sprawy stoją, już tydzień temu.

Nie zareagował i tylko jego palce zaczęły wystukiwać rytm na szklance.

– Dobrze – odezwał się po dłuższej chwili. – To przekaż mi te akta, jak tylko je dostaniesz. Zacznę sam.

– Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

– Niepotrzebna mi niańka, Raker.

– Nigdy nie twierdziłem inaczej.

– Tej sprawy nikt nie zna lepiej ode mnie.

- Wiem.
 - Ja w tym siedziałem. To była moja sprawa.
 - Właśnie dlatego przyda się świeże spojrzenie.
- Nic więcej już nie dodał i zapadła cisza.

Zacząłem ponownie przeglądać wydruki, kombinując, jak najsprytniej wzbudzić w nim zainteresowanie tymi ofertami, jednak gdy znów na niego spojrzałem, jego wzrok nie spoczywał ani na mnie, ani na wydrukach. Patrzył w okno, przyglądając się samochodowi wyjeżdżającemu z parkingu. Jego spojrzenie stało się nieobecne, jakby zapomniał o mojej obecności.

A potem usłyszałem jego cichy, monotony głos, jak gdyby mówił do siebie.

– Ukląknę między ich łózkami w ich cholernym pokoju i z ich martwą mamą w sypialni obok. Pamiętam, że ekipa wyszła i zostawiła mnie na chwilę samego z dziewczynkami, takimi odartymi z resztki niewinności, i wtedy... ja wtedy...

Przestał mówić, a ja nie mogłem oderwać od niego wzroku, zaskoczony tą nieoczekiwaną otwartością. Było to zachowanie tak dla niego nietypowe, że w pierwszej chwili pomyślałem, że może coś mu jest. Słyszając, jak niedokończone zdanie zamiera mu na ustach, pochyliłem się, by go lepiej rozumieć, on jednak jakby coś w sobie przełączył. Otrząsnął się z odrętwienia, jego nastrój uległ gwałtownej zmianie. Odwrócił wzrok od okna, spojrzał na mnie i zaraz potem na rozłożone wydruki z ofertami pracy. Wyglądał na zawstydzonego chwilowym opuszczeniem gardy.

– Dobrze się czujesz?

Nie odpowiedział, wpatrywał się uparcie w stolik.

– Posłuchaj – rzuciłem głosem pozbawionym emocji. – Obiecałem, że ci pomogę, i chcę to zrobić. Ale muszę najpierw sam się temu przyjrzeć. Chcę do tego podejść ze świeżą głową. Nie próbuję nic kombinować za twoimi plecami, Healy. Nie dopatruj się złych intencji.

Prychnął, ale nic nie powiedział.

– Healy? O co chodzi?

– A jak myślisz, o co może chodzić? – burknął, biorąc do ręki jeden z wydruków. – O to całe gówno. O te bezwartościowe szpargały. Liczy się tylko to, kto zamordował te dziewczynki.

– Musisz znaleźć sobie jakąś pracę.

Machnął lekceważąco ręką.

– Nienawidzę tego. Wypełniania formularzy, udawania, że jestem kimś, kim nie jestem, lizania zadków ludziom, których nie cenię i których nigdy nie polubię. Ale wiesz, co ci powiem? To nawet nie w tym rzecz. Najbardziej wkurwia mnie to, że mógłbym te wszystkie prace wykonywać z zamkniętymi oczami. Służyłem w policji dwadzieścia sześć lat i w tym czasie widziałem rzeczy, od których już nigdy się nie uwolnię. Stykałem się z ludźmi tak zdeprawowanymi, że wysysali całe światło z otoczenia. Ale z odmów, jakie dostaję, wynika, że nie nadaję się nawet do sterczenia między regałami sklepowymi i pilnowania, żeby jakieś pryszczate gnojki nie kradły smartfonów. To, że w ciągu roku zostałem jeden, jedyny raz zaangażowany jako ochroniarz w sklepie, powinno ci wszystko mówić. To nie działa, Raker. Nikt nie chce mnie zatrudniać.

– Znalezienie pracy w dzisiejszych czasach nie jest takie ła...

– Ja nie chcę żadnej pracy.

Opanowałem wybuch złości.

– To jak pomożesz tym dziewczynkom, jeśli wrócisz do przytułku dla bezdomnych?

– Pomogę im, jak znajdę tego, kto je zabił.

– Znajdziemy go.

– Nie znajdziemy, jeśli będziemy tak siedzieć i tracić czas na tego rodzaju śmieci. – Wziął do ręki kolejne wydruki. – Jakby mnie to gównie cokolwiek obchodziło.

– Healy, jak znajdziesz sobie pracę, to zaczniesz zarabiać. Jak będziesz miał pieniądze, to będziesz mógł gdzieś zamieszkać. Jak będziesz miał gdzie mieszkać, to będziesz miał punkt wyjścia do działania. Jeśli chcesz zrobić to, co najlepsze dla dziewczynek i ich matki, jeśli naprawdę tego chcesz, to zgłoś się w każdym z tych miejsc i zrób wszystko, żeby w jednym z nich cię przyjęli.

Siedział wpatrzony we mnie ze zmartwiałą twarzą, masując palcami klatkę piersiową w miejscu, gdzie chyba coś go bolało.

– Coś cię boli? – spytałem.

– Nie, nic.

Domyślił się, że mówię o jego klatce piersiowej.

– Po prostu roześlij na te adresy swoje CV, dobrze?

Brak reakcji. Założyłem mu przecież konto poczty elektronicznej, a z komputera mógł skorzystać w centrum biznesowym w motelu. Żaden problem.

– Dobrze? – powtórzyłem.

Milczenie.

– Healy? – Westchnąłem.

– Kiedy zakończysz tamtą sprawę?

– Jutro po południu.

Odjął rękę od klatki piersiowej i zaczął gmerać w wydrukach na stoliku. W końcu zebrał je wszystkie razem i przesunął się na koniec kanapy.

– Jutro o trzeciej jestem umówiony w biurze pośrednictwa – powiedział. – Ale jak chcesz, to możemy się tu później spotkać. Mógłbyś przynieść te akta i moglibyśmy porozmawiać.

Kiwnąłem głową.

– Przyniesiesz je?

– Jeśli je doślą.

– Nie baw się mną.

– Nie bawię się tobą, Healy.

Wysunął się z boksu, nie odrywając ode mnie wzroku. Tym razem trudniej jednak było wyczytać coś z jego spojrzenia i twarzy pozbawionej wyrazu. Przy drzwiach na moment się zawahał i popatrzył na mnie wzrokiem człowieka samotnego.

Chwilę później już go nie było.

2

Nie zawsze tak to wyglądało.

Dzień wcześniej, po rozmowie z moim człowiekiem w Metropolitalnej w sprawie akt zabójstwa, pobuszowałem trochę w Google'u, chcąc dowiedzieć się o Healym czegoś więcej z okresu, zanim wszystko mu się zawaliło. Poznaliśmy się w 2011 roku, gdy jego życie było już w rozsypce, i w zasadzie znałem go tylko takiego, jakim był teraz. Ale kiedyś wyglądało to zupełnie inaczej. Przed zamordowaniem bliźniaczek był pewnym siebie człowiekiem sukcesu.

Wtedy nikt w nim nie widział nieudacznika.

Wręcz przeciwnie.

Natknąłem się na jego liczne wypowiedzi o sprawach, które prowadził, rozwiązywał i zamykał. Sięgając jeszcze głębiej, dowiedziałem się, że w 2005 roku przyznano mu Policyjny Medal za Odwagę – o czym nigdy nie wspominał – za to, że nie będąc na służbie, udaremnił napad z bronią w rękę. Znalazłem też jego zdjęcie z 2008 roku – sprzed sprawy bliźniaczek, rozpadu jego małżeństwa i tragicznej śmierci córki – kiedy był najgrubszy. Miał wtedy ze dwadzieścia kilogramów nadwagi, może nawet więcej. Twarz nalaną, policzki przekrwione, z kołnierzyka koszuli wylewały się fałdy zbędnej skóry, a mimo to była od niego trudna do zdefiniowania i jeszcze trudniejsza do pojęcia pewność siebie, sprawność i siła. Zdjęcie nie było pozowane i wszystkie te cechy zostały w sposób naturalny uchwycone i utrwalone przez obiektyw aparatu.

Patrząc na fotografię, zacząłem się zastanawiać, jak to się stało, że sprawa bliźniaczek trafiła właśnie do niego. Czy zlecono mu ją z uwagi na świetną reputację, a jego szef wiedział, że Healy robi dla tej rodziny wszystko, co możliwe? Czy może po prostu był pod ręką lub sam w biurze? Jeśli prawdą

było to drugie, musiał ten moment przetrwać w myślach niezliczoną ilość razy. Co by było, gdyby nie mógł zająć się tą sprawą, bo akurat byłby zajęty czymś innym? Jak wtedy potoczyłoby się jego życie? Tak czy inaczej, jedno było pewne: Policja Metropolitalna nie miała żadnych wątpliwości co do jego kompetencji i oczekiwano, że i tę sprawę szybko rozwiąże i zamknie.

W końcu natrafiłem na materiały medialne z wieczoru, gdy zamordowano bliźniaczki i ich matkę. Nawet w suchej wersji gazetowej trudno było pogodzić się ze szczegółami tego zdarzenia i czytając relacje, czułem ogarniającą mnie odrazę, złość i coś w rodzaju solidarności z Healym. Jakbym podświadomie odczuwał to co on, gdy został sam na sam z ciałami dziewczynek, klęcząc między ich łózkami.

Ale dopiero krótki filmik na YouTube z konferencji prasowej zwołanej przez Healy'ego szesnastego lipca 2010 roku dał mi pełen obraz tego, co się wtedy działo. Relacja zaczynała się od nieco nieostrego wizerunku reportera Sky News, który stojąc na tle znaku Scotland Yardu, wprowadzał widzów w sprawę i opowiadał o rodzinie.

Trzydzieści sekund później za lasem mikrofonów pojawił się Healy.

Ze względu na kamery telewizyjne trochę się odpicował. Włożył szyty na miarę granatowy garnitur i srebrzysty krawat, rude włosy uczesał z równym przedziałkiem na boku. W ciągu dwóch lat, które minęły od czasu zrobienia oglądanego przeze mnie zdjęcia, sporo zrzucił. Ze cztery kilogramy, może nawet więcej.

Patrząc na niego, uzmysłowiłem sobie, jak bardzo mnie ten jego wizerunek uwiera. Oto miałem przed sobą pewnego siebie zawodowca, ale jednocześnie wiedziałem, że jego życie rodzinne wkrótce legnie w gruzach, a on sam trafi na ulicę jako bezdomny. Słuchając, jak przedstawia siebie i resztę uczestników konferencji i jak zaczyna odczytywać przygotowany komunikat, poczułem coś na kształt żalu, że nie było mi dane poznać tamtej wersji Healy'ego.

Uczucie to towarzyszyło mi, gdy wymieniał nazwiska ofiar i omawiał okoliczności ich śmierci, opisywał miejsce zbrodni i jej brutalność. Po paru minutach odłożył przygotowany tekst i omiół spojrzeniem tłum reporterów.

– Spróbuję teraz odpowiedzieć na tyle pytań, na ile będę mógł – powiedział z wyraźnym irlandzkim akcentem. – Proszę jednak pamiętać, że mamy do czynienia z aktualnie prowadzonym śledztwem i nie o wszystkim mogę mówić.

Rozejrzał się po sali, zatrzymał wzrok na kimś spoza kadru kamery Sky News i skinął głową.

– Dlaczego ofiarami ataku była cała rodzina? – spytał dziennikarz.

– Na tym etapie śledztwa zakładamy, że prawdziwym celem była Gail Clark, ale sytuacja jest płynna i wszystko może się jeszcze zmienić.

– Czyli dziewczynki to tylko dodatek?

Healy się skrzywił.

– Nie podoba mi się pański dobór słów.

– A co z ojcem dziewczynek?

Zapadła cisza i przez chwilę słychać było tylko szum kamer i szelest przesuwających się taśm. Healy na moment zawiesił wzrok na autorze pytania, potem omiół spojrzeniem całą salę.

– Były mąż Gail i ojciec dziewczynek, Kevin Sims, nie żyje. Zmarł sześć miesięcy po ich narodzinach. W związku z tym nie jest on przedmiotem zainteresowania śledczych, za to jesteśmy bardzo zainteresowani białym mężczyzną pod czterdziestkę, którego w miesiącach poprzedzających zabójstwo widziano kilkakrotnie w towarzystwie Gail.

– Czy może pan powiedzieć coś więcej o tym mężczyźnie?

Healy znów przez chwilę milczał, jakby zbierał myśli.

– Sądzimy, że może mieć kluczowe znaczenie w wyjaśnieniu tego, co się działo w tygodniu poprzedzającym zabójstwo. Dlatego za waszym pośrednictwem zwracamy się do niego, by pilnie się z nami skontaktował. Z takim samym apelem zwracamy się też do wszystkich, którzy mogą wiedzieć coś istotnego dla przebiegu śledztwa.

– Czy ten mężczyzna był partnerem życiowym Gail?

– Na tym etapie śledztwa nie mogę tego potwierdzić.

– Ale macie już jakichś świadków, tak?

– Tego też w tej chwili nie mogę potwierdzić, ale jak wcześniej wspomniałem, mamy kilka tropów, które rozpracowujemy.

Nic więcej już nie dodał i po chwili kamera powróciła do reportera przed gmachem Scotland Yardu. Pięć sekund później nagranie się skończyło.

Nadal jednak buszowałem w sieci, czytając relacje, jakie ukazały się po konferencji prasowej, i słuchając dodatkowych wypowiedzi Healy'ego. Ich ton stopniowo się zmieniał. Stawały się coraz suchsze i coraz mniej emocjonalne, a kontakty Healy'ego z mediami były coraz rzadsze, by w końcu zupełnie ustać. Chociaż ofiarami były dzieci i choć zginęły one w bulwersujących okolicznościach, trzy miesiące po morderstwie zainteresowanie prasy zaczęło maleć i to tak gwałtownie, że cztery miesiące później trudno było znaleźć jakąkolwiek wzmiankę o zabójstwie trzyosobowej rodziny.

Zaczął się od konferencji prasowej, która w zamierzeniu Healy'ego miała pomóc w schwytaniu sprawcy, a skończyło kompletną klapą, której towarzyszyło poczucie zawodu i winy. Może nawet ktoś tak doświadczony przez życie jak Healy nie był w stanie unieść ciężaru tych zdarzeń. Może to nieuniknione, że wobec tak krwawej zbrodni – dotyczącej dwójki niewinnych dzieci, brutalnie zamordowanych we śnie – człowiek się gubi i nie potrafi się odnaleźć. To musi go zjadać i to stopniowo, kawałek po kawałku.

Poczułem gwałtowny i szczery żal, być może po raz pierwszy od ponownego pojawienia się Healy'ego w moim życiu. Żal z powodu utraty innej, lepszej jego wersji, jego zmarnowanej kariery zawodowej i strasznej śmierci bliźniaczek i ich matki. A także z powodu rozpadu jego rodziny, wywołanego tym, że nie potrafił znaleźć sprawcy tamtego morderstwa. Uczucie to narastało we mnie i powoli zaczęło przeważać nad zniechęceniem wobec postępowania Healy'ego. I wtedy do mnie dotarło, co muszę zrobić.

To co zawsze musiałem.

Musiałem mu pomóc.

3

Dwadzieścia cztery godziny po naszym spotkaniu w motelowym barze zaczął padać śnieg, pędzony od północy potężnymi zwałami chmur, toczącymi się nisko nad dachami.

Rodzinie z Greenwich zwróciłem zaginioną córkę, pożegnałem się i zakończywszy swój udział w sprawie, ruszyłem Blackheath Road na zachód w stronę New Cross. Ruch był duży i światła hamujących przede mną samochodów co chwilę krwawo rozświetlały moją zasypywaną śniegiem szybę, ale gdy już wszystko zaraz miało stanąć w korku, dostrzegłem wreszcie potrzebne mi skrzyżowanie i skręciłem z głównej drogi w Cork Hill Lane.

Chwilę później ucichł hałas dochodzący z New Cross Road, a z wieczornego mroku wyłonił się wiadukt kolejowy z kilkoma łukami, między którymi przebiegała moja droga. Za wiaduktem zaczynało się duże osiedle mieszkaniowe z pięciopiętrowymi blokami i dwudziestopiętrowymi wieżowcami. Zjechałem do krawężnika i zgasilem silnik. Automatycznie wyłączyło się też radio i samochód pograżył się w martwej ciszy. Wrażenie pustki wzmagają padający śnieg, którego płatki bezszelestnie pokrywały otaczający mnie beton.

Spojrzałem przez ramię na tylne siedzenie. Miałem na nim teczkę z aktami śledztwa, wetkniętą w plastikowe okładki albumu na wizytówki i przewiązaną gumową opaską. Dostarczono mi ją w porannej poczcie, ale przez chwilę walczyłem z pokusą, by nie przyznać się do tego Healy'emu i w ten sposób zmobilizować go do uporządkowania sobie życia. Nie zdobyłem się jednak na wykorzystanie tragicznej śmierci trzech osób jako argumentu przetargowego i siedząc w samochodzie kilkadziesiąt metrów od miejsca, gdzie je znaleziono, poczułem kolejny przypływ współczucia dla dziewczynek i ich matki, choć tak naprawdę nic o nich nie wiedziałem. A także współczucia

dla człowieka, którego ich śmierć tak kompletnie zdruzgotała. Mieliśmy się za godzinę spotkać w motelu w Kew i omówić wyniki jego wizyt w agencjach pośrednictwa pracy oraz nowe propozycje zatrudnienia, które dla niego zdobyłem. Wiedziałem jednak, że się tym specjalnie nie przejmie, i znajdując się niedaleko miejsca zbrodni, zaczynałem nawet lepiej rozumieć dlaczego.

Po lewej rozciągał się niewielki skwer, wypełniając przestrzeń między sąsiadującymi blokami. Stojące pośrodku huśtawki kołysały się lekko na wietrze. Wszystko wokół – trawnik, huśtawki, purchle na okiennych ramach i spękane dachy – przykryte było warstwą dziewiczego śniegu.

Popatrzyłem na wznoszący się obok mnie wieżowiec.

Searle House popatrzył na mnie.

Mocno podniszczonych dwadzieścia pięter biedy – od czasów jego świetności musiała minąć co najmniej dekada. Na poziomie parteru jedna z odrapanych ścian, niegdyś biała, teraz pokryta była bohomazami graffiti, pod nią rząd kontenerów z wysypującymi się czarnymi workami ze śmieciami. Powróciła do mnie scena z poprzedniego dnia: Healy wpatrzony w motelowy parking za oknem, nagle jakby nieobecny, rozmyślający o momencie, gdy je zobaczył. *Ukląknęłam między ich łózkami w ich cholernym pokoju i z ich martwą mamą w sypialni obok. Pamiętam, że ekipa śledcza wyszła i zostawiła mnie na chwilę samego z dziewczynkami, takimi odartymi z resztki niewinności, i wtedy... ja wtedy...* Nie dokończył tego, co chciał powiedzieć, ale sunąc wzrokiem wśród cicho opadających płatków śniegu ku siedemnastemu piętru Searle House, niemal to słyszałem.

Kłęczał między nimi wściekły i przygnębiony, czując ciężką na nim odpowiedzialność i wiedząc, że nie ze swej woli stał się ich opiekunem i rzecznikiem. A także mścicielem. I gdy ekipa śledcza wróciła, raz jeszcze spojrzał na buzie dziewczynek i zbiegające oczy i przysięgł sobie, że znajdzie tego, kto im to zrobił.

A potem nie dotrzymał przysięgi.

Wszystko, co mu się później przydarzyło, wszystkie jego kręactwa i wpadki miały źródło w tej chwili. No właśnie. Ta sprawa go pokonała i zakończyła jego karierę policyjną. Zrujnowała mu życie osobiste i wbiła klin między niego a żonę i dzieci.

Była początkiem końca.

4

Motel wyglądał jak opustoszały. Na parkingu nie było prawie samochodów, wszędzie leżały kupy brudnego, mokrego śniegu, a bezlistne szkielety drzew wyginały się w podmuchach wiatru znad rzeki. Healy czekał na mnie w barze, w tym samym boksie co wczoraj. Przeprosiłem go za spóźnienie, bo zboczenie do New Cross i korki na drogach spowodowały, że dojazd do motelu potrwał dłużej, niż się spodziewałem, ale Healy nie kiwnął nawet głową. Siedział ze wzrokiem utkwionym w teczce z aktami, więc mu ją wręczyłem, a sam poszedłem do baru zamówić coś do picia dla nas obu.

Gdy wróciłem z kawami, zdążył już przejrzeć jedną trzecią zawartości teczki. Przerzucał kolejne kartki, odświeżając w pamięci przebieg własnych przesłuchań i ustalenia pracujących pod jego kierunkiem śledczych. Wydawało się, że nic go w tych raportach nie zaskoczyło, bo na jego nieruchomej twarzy nie odbijały się żadne emocje, czułem jednak, że to tylko poza. Zbyt dobrze go znałem i zbyt dużo wiedziałem, aby uwierzyć, że nic nie czuje, rozdrapując niezagojoną ranę. Czytał te akta po raz pierwszy od zwolnienia z Policji Metropolitalnej. Po raz pierwszy od osiemnastu miesięcy znów był blisko tej trójki, ich śmierci i własnych blizn po tej sprawie. Nawet jeśli nie dawał tego po sobie poznać, musiało to nim wstrząsnąć. Bez słowa wyjął z teczki trzy kartki i odłożył na bok. Fotografie trzech ofiar.

Gail Clark.

Abigail.

April.

Nie chciał ich trzymać w teczce z aktami pełnymi krwawych opisów, cierpienia i ślepych zaułków w śledztwie. Machinalnie położywszy lewą rękę na odłożonych fotografiach i rozczapierzywszy na nich palce, powrócił do przeglądania dokumentów.

Dobrnienie do końca teczki zajęło mu pół godziny.

Spojrzał na mnie ze zgnębioną miną i sięgnął po kawę, która całkiem już wystygła.

– Czytałeś coś z tego? – spytał, odstawiając kubek.

– Trochę.

– Ale nie wszystko?

– Nie, wolę, żebyś mnie przez to przeprowadził.

Popatrzyłem na teczkę i zobaczyłem na wierzchu kolejne, niezbyt ostre, kolorowe zdjęcie całej trójki. Przyjrzałem się bliźniaczkom i kobiecie, która wydała je na świat, odnotowując, jak bardzo wszystkie trzy były do siebie podobne: miały taki sam kolor włosów, takie same nieznaczne wklęśnięcie nosa, taki sam uśmiech z jednym kącikiem ust uniesionym nieco wyżej niż drugi. Gail była szczupła, skórę na szyi miała lekko pomarszczoną i obwisłą, jakby za szybko zrzuciła zbyt dużo kilogramów. Cerę też miała nie najlepszą. Skóra wokół ust była usiana piegami, na czubku brody zostały jej ślady po młodzieńczym trądziku. Bliźniaczki odziedziczyły po matce ciepłe spojrzenie oczu jak kleksy idealnie niebieskiego atramentu, bez żadnych niedoskonałości, jakie pojawiają się z wiekiem. Były po prostu śliczne. Patrzyłem na nie, nie mogąc oderwać wzroku i czując, jak w środku znów się we mnie coś burzy.

– I co o tym myślisz? – spytał.

Spojrzałem na niego.

– O czym?

– O tym, co przeczytałeś?

Przeglądając akta, raz jeszcze z podziwem pomyślałem, jak skrupulatnie prowadził śledztwo. Jak wynajdywał i uporczywie badał poszlaki, jak tworzył i zarzucał teorie, jak konsekwentnie, a zarazem taktownie drażył tematy podczas przesłuchań. Nie pasowało to do człowieka, którego znałem od dwóch lat, ale doskonale pasowało do tego, którego poznawałem w sieci. Z akt wyzierał znający się na rzeczy i myślący policjant. Masywnie zbudowany mężczyzna, który na konferencjach prasowych umiał stawić czoło bandzie reporterów, bez trudu odpowiadać na ich zaczepki i nie patyczkować się ze złośliwościami tabloidów. Był cenionym przez zwierzchników i kolegów

z Metropolitalnej śledczym, nie wrakiem człowieka, którego w końcu usunięto z policji.

– Raker?

– Chyba zrobiłeś wszystko, co należało.

– Ale musiałem coś przeoczyć.

– Tego nie wiem. – Wzruszyłem ramionami. – Ale spróbujemy do tego dojść.

Zamówiliśmy dzbanek świeżej kawy i przystąpiliśmy do pracy.

Postanowiłem zostawić Healy’emu wolną rękę w sposobie przedstawienia działań śledczych i ograniczyć się do robienia notatek. Jeśli nasuwało mi się jakieś pytanie, przerywałem mu i zadawałem je, ale głównie słuchałem w milczeniu. Od samego początku było widać, że ma niezwykłą pamięć do szczegółów, którą zapewne dodatkowo odświeżyło zajrzenie do akt. Parę razy przyciągnął do siebie teczkę, zajrzał do środka i sprawdził jakiś szczegół, przede wszystkim jednak mówił z pamięci.

– Wiedziałaś, że była wyleczoną narkomanką? – zapytał.

– Kto, Gail?

– Nie podaliśmy tego nigdy do publicznej wiadomości, bo gdy tylko zaszła w ciążę, od razu poszła na odwyk i na dobre się uwolniła. W chwili śmierci była czysta już od blisko dziewięciu lat. Mimo to przymknęliśmy miejscowego dilera, który zaopatrywał ją w dawnych czasach. Przez te wszystkie lata zniszczył życie wielu mieszkańcom New Cross, więc nie było trudno go znaleźć. Ale to nie był on. Kazałem też jednemu z moich ludzi skontaktować się z tamtejszą opieką społeczną. Chciałem się upewnić, że czegoś nie przegapiliśmy, na przykład maltretowania bliźniaczek, braku odpowiedniej opieki, tego typu rzeczy, ale nie usłyszeliśmy żadnych skarg. Pamiętam, że kilka dni później rozmawiałem z jedną z jej przyjaciółek. – Umilkł i zajrzał do akt, by odszukać odpowiedni fragment protokołu. – Cytuję: „Gail była słodka, tylko niech mnie pan źle nie zrozumie, ale po tych swoich problemach z prochami chyba po prostu się bała, że historia może się powtórzyć, i całkiem się wyłączyła. Właściwie od urodzenia bliźniaczek ani razu się z nami nie spotkała, bo pewnie wolą nie wystawiać się na pokusy. Zrobiła się prawdziwym odludkiem”.

Healy skończył czytać i przeniósł spojrzenie na zdjęcie Gail.

– Z jednej strony znaczyło to – mówił dalej – że z listy potencjalnych przyczyn jej śmierci mogliśmy wykreślić wszelkie powiązania narkotykowe. Z drugiej brak kontaktów z ludźmi znaczył, że nikomu z niczego się nie zwierzała. Większość przesłuchań tak zwanych jej przyjaciółek była stratą czasu.

– Jednocześnie coś studiowała, prawda?

– Historię i nauki społeczne. Ale były to zajęcia na Uniwersytecie Otwartym, więc nie wymagały kontaktów z innymi słuchaczami. Kurs był zaoczny w zmniejszonym wymiarze godzin i trwał chyba sześć lat. Nawet ze swoim opiekunem kontaktowała się wyłącznie pisemnie, nie chodziła na wykłady i nie spotykała innych studentów. Zjawiała się tylko na egzaminy końcowe. Ostatnią pracę zaliczeniową napisała tydzień przed śmiercią. – Przerwał, obejmując dłonią kubek z kawą i spuszczał wzrok. – Zadzwoń do UO parę miesięcy później i spytałem, jak jej poszło. Zaczynało już wtedy do mnie docierać, że nie został nikt, kogo choć trochę obchodziłoby to, czy zdała.

– I co, zdała?

Healy pokiwał głową.

– Z wyróżnieniem.

– A co z jej rodzicami?

– Nie żyją.

– Żadnego rodzeństwa?

– Nie. Udało nam się tylko odnaleźć kuzynkę, Ericę Swiddle. Ale kuzynka mieszkała w Liverpoolu, więc rzadko się spotykały. Swiddle powiedziała, że co parę miesięcy do siebie dzwoniły i gadały przez telefon. I to wszystko.

– A ojciec?

– Ojciec dziewczynek? Kevin Sims. Szkoda było tracić czas. Nikt nie powiedział o nim dobrego słowa. W lutym dwa tysiące pierwszego roku poznali się z Gail w pubie w Peckham. On miał dwadzieścia cztery lata, ona dwadzieścia jeden. Pięć miesięcy później zaszła w ciążę. Przesłuchaliśmy matkę Simsa, która wtedy jeszcze żyła. Oświadczyła, że syn nigdy nie wspominał o żadnych dziewczynach. Nawet nie wiedziała, że jest babcią,

możesz uwierzyć w coś takiego? – Healy zamilkł i z niedowierzaniem pokręcił głową. – Jediną osobą, która umiała nam coś powiedzieć o Simsie, była kuzynka Gail, ta Swiddle. Wspomniała, że Sims dał nogę chwilę po tym, jak Gail powiedziała mu o ciąży. Zmył się od razu, a po sześciu miesiącach od narodzin bliźniaczek zabił się na autostradzie M23, gnając sto dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

– Zginął na miejscu?

– Tak.

Uzupełniłem coś w swoich zapiskach i gdy uniosłem głowę, Healy znów siedział ze wzrokiem wbitym w okno, zapatrzony jak wczoraj na parking.

– Dobrze się czujesz? – spytałem.

Spojrzał na mnie.

– Tak, w porządku.

– Możemy iść dalej?

Wiedział, o czym mówię. Wspomnienia, wałkowanie sprawy, objaśnianie szczegółów chyba go nieco ożywiły i nawet nabrał trochę kolorów. Ale dopiero zaczęliśmy.

Najgorsze było jeszcze przed nami.

Wciągnął głęboko powietrze i kiwnął głową.

– Dobra – rzuciłem. – To opowiedz mi teraz, co znalazłeś w tym mieszkaniu.

5

– Tam było jak w więzieniu – powiedział.

W aktach był plan mieszkania, który uzasadniał tę opinię. Od drzwi prowadził na wprost wąski korytarzyk do głównego pokoju, po lewej mieściły się dwa pokoiki służące za sypialnie – pierwsza Gail, druga dziewczynek – po prawej znajdowała się kuchnia i za nią łazienka. Projektant naniósł na rysunku także okna: w dużym pokoju i w kuchni.

I nigdzie więcej.

– W sypialniach nie było okien?

Healy pokręcił głową.

– Nie. Pokoje przylegały do ściany działowej z sąsiednim mieszkaniem. Nie miały okien, a oświetlenie było słabe. Pamiętam, jak po wejściu kazałem zapalić światło, a już się paliło.

W milczeniu pokiwałem głową.

– Dziewczynki leżały na łózkach – powiedział, odchrząkując. – Obie na wznak, w identycznych piżamkach, obie przykryte kołdrami po szyję. I obie z poderżniętymi gardłami.

Znów zamilkł, tym razem na dłużej, a ja opuściłem wzrok i przełknąłem ślinę, nie mogąc się pozbyć kwaśnego posmaku w ustach. W końcu Healy podjął relację.

– Jak tylko tam wszedłem i je zobaczyłem, od razu pomyślałem: Dlaczego, kurwa, mnie to spotyka? Dlaczego nie kogoś innego? Byłem w Metropolitalnej od dwudziestu czterech lat, ale gdy sprawa dotyczyła dzieci, zawsze czułem się jak nowicjusz. Kiedy widzisz martwe dziecko, cząstka ciebie umiera i już nigdy się nie odradza.

Miał łokcie na stole, dłonie splecione przed twarzą, wzrok utkwiony gdzieś za mną.

– Gdy tego dnia wróciłem do domu, Leanne siedziała sama w swoim pokoju i słuchała muzyki – przypomniał sobie, przechodząc niespodziewanie do swojej córki, która miała wtedy dziewiętnaście lat. – Podeszedłem, chwyciłem ją i objąłem. Nie rozumiała, co mi się stało, i w pierwszej chwili próbowała się nawet uwolnić, zaraz jednak przestała i też mnie objęła. Sam nie wiem dlaczego... po prostu musiałem się upewnić, że moja dziewczynka jest cała i zdrowa.

Uświadomił sobie, co powiedział, i twarz mu się skurczyła. Sześć miesięcy później stracił swoją dziewczynkę w równie dramatycznych okolicznościach.

Tyle że inny był zabójca.

Jeszcze jedno stracone życie.

– No więc tak – kontynuował, znów odchrząkując i pociągając łyk kawy. – Gail była w dużym pokoju. Leżała w poprzek kanapy, częściowo oparta o ścianę, miała na sobie koszulę nocną i szlafrok. Wszystko wskazywało na to, że zginęły późnym wieczorem i że Gail знаła drania, który im to zrobił. Nie było śladów włamania, żadnych śladów walki. I nikt z sąsiadów nie słyszał krzyków ani podniesionych głosów.

– Czyli się go nie bała.

– Wręcz przeciwnie. Myślę, że zaprosiła go do środka. Nawet się nie ubrała, a to znaczy, że czuła się w jego towarzystwie swobodnie lub nie spodziewała się, że on zostanie dłużej. Brak było śladów walki, obrażeń obronnych, dowodów na przemoc seksualną. Pozycja, w jakiej ją znaleźliśmy, świadczyła o tym, że w chwili, gdy się na nią rzucił, była całkiem rozluźniona. – Przerwał i przebiegł wzrokiem rzeczowy opis przyczyn śmierci Gail. Sprawa wciąż budziła w nim emocje. – Miała dziewięć kłutych ran klatki piersiowej.

– Jakby sprawca wpadł w morderczy szal.

– Ale nie wpadł. Wymierzał ciosy precyzyjnie, bardzo blisko siebie, niemal w to samo miejsce. Jakby je sobie wybrał i chciał mieć pewność. Myślę, że był zawodowcem.

Spojrzałem na niego.

– Co przez to rozumiesz?

– Że to nie było jego pierwsze zabójstwo. Pod jej paznokciami nie znaleźliśmy praktycznie żadnego materiału do zbadania DNA. Żadnych

dowodów na to, że próbowała się bronić: drapać, wrywać się czy oddawać ciosy. Nie da się zadać komuś dziewięciu ciosów nożem, by ofiara choć raz nie spróbowała uderzyć. Chyba że jest się naprawdę dobrym w tym fachu.

– A inne ślady DNA?

– Bezżyteczne.

– Zupełnie nic?

– Znaleźliśmy jakieś cudze ślady DNA na szlafroku Gail i pod jej paznokciami, ale nie była to ślina lub nasienie, tylko włoski i fragmenty naskórka dziewczynek oraz innych, obcych osób. Mogły należeć do zabójcy, ale równie dobrze do znajomych, którzy odwiedzili Gail w ciągu ostatnich miesięcy. W każdym razie jeśli to było DNA zabójcy, to nie było go w bazie danych.

Zadzwoił nagle mój telefon i wibrując, zaczął sunąć ku mnie po stoliku. Dzwoniła moja córka.

– To Annabel – powiedziałem, odrzucając połączenie. – Oddzwonię do niej, jak skończymy.

Zajrzałem do notatek, które zrobiłem podczas oglądania konferencji prasowej Healy’ego.

– Podałeś prasie, że w miesiącach poprzedzających zabójstwo widywano Gail i dziewczynki w towarzystwie jakiegoś mężczyzny.

– Tak, Mala – odparł, kiwając głową.

– Mala?

– Mał, zdrobnienie od Malcolma.

– Tak miał na imię?

– A kto go tam wie. – Wzruszył ramionami. – Jej sąsiadką była niejaka Sandra Westerwood. Wścibski babsztyl po sześćdziesiątce, ale całkiem sympatyczny. Naprawdę lubiła tę rodzinę. To ona zadzwoniła na policję, bo zaniepokoiła ją cisza w sąsiednim mieszkaniu.

Przewrócił kilka kartek, znalazł fragment, o który mu chodziło, i odwrócił teczkę w moją stronę, bym mógł sam przeczytać. Protokół przesłuchania świadka, Sandry Westerwood.

WESTERWOOD: Co dzień słyszałam te dziewczynki zza ściany. Śpiewały piosenki, bawiły się... jak to dzieci w tym wieku, wie pan. A potem nagle zrobiło się cicho. Pomyślałam, że to dziwne, bo w tych cholernych blokach ściany są cienkie jak papier i cicho robi się tylko w środku nocy, kiedy wszyscy idą spać. Pomyślałam więc: Może gdzieś wyjechały. Ale nie wspominały o żadnym wyjeździe, a Gail często się skarżyła, że jest krucho z pieniędzmi.

HEALY: Kiedy słyszała je pani po raz ostatni?

WESTERWOOD: W niedzielę, może w poniedziałek.

HEALY: Dziś jest piątek, szesnasty lipca. Czyli nie słyszała ich pani od niedzieli, jedenastego lipca, lub poniedziałku, dwunastego lipca, zgadza się?

WESTERWOOD: No, tak.

HEALY: Jak rozmawialiśmy wczoraj u pani, powiedziała pani, że była u Gail w sobotę, dziesiątego lipca.

WESTERWOOD: No, bo zabrakło mi cukru. Chciałam się napić herbaty, a winda była zepsuta i nie chciało mi się schodzić siedemnaście piętér, a potem jeszcze drałować kilometr do cholernego sklepu. Więc spytałam Gail, czy mi trochę pożyczę.

HEALY: Zachowywała się normalnie?

WESTERWOOD: Jak najbardziej. Widziałam też w środku dziewczynki, przed telewizorem. Gail i ja chwilę pogadałyśmy.

HEALY: O czym?

WESTERWOOD: A bo ja wiem? O pogodzie i takich tam. Gail zachowywała się jak zawsze. Śmiała się i żartowała, wie pan.

HEALY: I wtedy widziała ją pani po raz ostatni?

WESTERWOOD: Ostatni raz. Potem zrobiło się u nich cicho. W końcu poszłam do nich we wtorek, bo uznałam, że powinnam, ale nikt nie otworzył. Spróbowałam znów w środę rano i jeszcze raz wieczorem. W końcu wczoraj do was zadzwoniłam.

Spojrzałem na Healy'ego, nie bardzo wiedząc, jakie to ma znaczenie. Jej zeznania dostarczały nieco ogólnych informacji i tłumaczyły, skąd w Searle

House wzięła się policja, ale nie było w nich ani słowa o kimś, kogo widywano w towarzystwie Gail przed morderstwem. O mężczyźnie imieniem Mal, o którym Healy wspomniał na konferencji prasowej.

Jakby czytając w moich myślach, Healy przerzucił kilka kartek protokołu i postukał palcem we fragment w połowie strony.

– Gdy już byliśmy pewni, że zabójstwo popełniono w niedzielę, jedenastego lipca, a nie w poniedziałek – powiedział – zwróciliśmy baczniejszą uwagę na jej paplaninę.

WESTERWOOD: Po prostu sobie nie wyobrażam, kto mógłby coś takiego zrobić. No bo to była taka miła rodzina. Myśli pan, że to mógłby być ten jej facet?

HEALY: Jej facet?

WESTERWOOD: Wyglądało, że Gail z kimś się spotyka.

HEALY: Ona to pani powiedziała?

WESTERWOOD: Nie. Ale przez kilka miesięcy przed jej śmiercią widywałam ją i dziewczynki z jakimś facetem, więc sobie pomyślałam, że... no wie pan... że się z nim zadaje.

HEALY: Gdzie go pani widziała?

WESTERWOOD: Pod Searle House jest plac zabaw i boisko do piłki nożnej. Na placu stoją huśtawki, drabinki do wspinania, zjeżdżalnie, tego typu rzeczy. Z całą pewnością widziałam go tam parę razy z dziewczynkami.

HEALY: Ile razy dokładnie?

WESTERWOOD: Och, kilka.

HEALY: A kiedy po raz pierwszy, pamięta pani?

WESTERWOOD: Chyba gdzieś tak w lutym. Bo moja siostra ma urodziny dwudziestego i pamiętam, że poszłam na stację metra przy New Cross Gate, żeby do niej pojechać, i zobaczyłam ich wszystkich pod blokiem. Pamiętam, jak wtedy pomyślałam, że byłoby fajnie, gdyby Gail kogoś sobie znalazła.

HEALY: Czyli Gail i ten mężczyzna mogli się spotykać od lutego aż do lipca? To pięć miesięcy.

WESTERWOOD: No.

HEALY: To Gail pani powiedziała, jak on ma na imię?

WESTERWOOD: Nie, ale...

HEALY: Tak?

WESTERWOOD: Pamiętam, jak raz dziewczynki były z nim na placu zabaw i wołały do niego po imieniu. Coś jakby Mal.

HEALY: Zdrobnienie od Malcolma?

WESTERWOOD: No, chyba tak.

HEALY: Kiedy jeszcze widziała ich pani wszystkich razem?

WESTERWOOD: Och, nie umiem powiedzieć. Znaczący... wiele razy, ale najczęściej na placu zabaw.

HEALY: Przyjrzała mu się pani kiedyś z bliska?

WESTERWOOD: Nie.

HEALY: Czyli nigdy pani z nim nie rozmawiała?

WESTERWOOD: A skąd. Ale często się zastanawiałam, czy nie jest z zawodu kierowcą i nie rozwozi dostaw.

HEALY: Czemu tak pani pomyślała?

WESTERWOOD: Bo widziałam go kiedyś w takiej oliwkowej koszuli pod marynarką i pamiętam, jak wtedy pomyślałam, że w takich koszulach chodzą kierowcy samochodów dostawczych.

HEALY: Widziała go pani jeszcze kiedyś w tej koszuli?

WESTERWOOD: Nie pamiętam.

HEALY: Proszę spróbować sobie przypomnieć, Sandro.

WESTERWOOD: Nie, chyba nie.

HEALY: Czyli to mogła być zwykła oliwkowa koszula, która nie miała nic wspólnego z jakąś firmą kurierską?

WESTERWOOD: No, mogła.

HEALY: Czy Gail wyglądała na spiętą w jego towarzystwie?

WESTERWOOD: Och, zupełnie nie. Wyglądała na szczęśliwą. Widać było, że ona i dziewczynki dobrze się z nim czują.

Pod koniec przesłuchania Westerwood podała rysopis mężczyzny, ale niewiele z niego wynikało: biały, wzrost metr siedemdziesiąt pięć do metra

osiemdziesięciu, włosy czarne, pod trzydziestkę, średniej budowy ciała. Śledczy nie mogli mieć wielkiego pożytku z takiego opisu.

– Imię Malcolm okazało się ślepą uliczką – rzekł Healy, pocierając końcami palców kciuk prawej dłoni. Skórę miał tak suchą, że towarzyszył temu chrobotliwy dźwięk. – Moi ludzie ustalili, że w samym tylko Wielkim Londynie mieszka ponad jedenaście tysięcy Malcolmów. A w dodatku to wcale nie musiał być Malcolm, bo facet mógł mieć na imię Malachi czy jakoś tak. Nie było możliwości technicznych, by dokonać przesiewu na taką skalę. Jediną korzyścią z zeznań Westerwood było stwierdzenie, że mężczyzna był rasy białej, bo mogliśmy odrzucić imiona typu Malik czy Jamal.

– A to, że mógł być kierowcą samochodu dostawczego?

Pokręcił głową.

– To też was donikąd nie zaprowadziło?

– To były tylko jej domysły. Nie mieliśmy innych zeznań, które by to potwierdzały, i choć niektórzy zeznawali, że w miesiącach poprzedzających zabójstwo widzieli kręcące się po osiedlu samochody dostawcze, nikt nie potrafił powiedzieć, czy wielokrotnie widział ten sam pojazd. Sprawdziliśmy firmy ubierające kierowców w oliwkowe koszule, objechaliśmy firmy dostawcze w całym mieście i nic.

Zadanie stojące przed ekipą Healy’ego obezwładniało swoją skalą. Trzeba było wyjść od listy 11 236 mężczyzn o imieniu Malcolm i zawęzić ją do mężczyzn przed trzydziestką, o czarnych włosach i średniej budowie ciała, a tę z kolei zawęzić do kierowców samochodów dostawczych. Oczywiście przy założeniu, że Westerwood dobrze usłyszała imię mężczyzny i że jego oliwkowa koszula naprawdę była uniformem służbowym. Healy miał chyba jednak co do tego poważne wątpliwości.

– Czyli ten trop doprowadził was donikąd, tak?

– Tak. – Pociągnął nosem i wzruszył ramionami. – Znaleźliśmy kierowców samochodów dostawczych, którzy mieli na imię Malcolm, ale nie pasowali do rysopisu podanego przez Westerwood, a także Malcolmów pasujących do opisu, ale niebędących kierowcami samochodów dostawczych. Nie znaleźliśmy nikogo, kto spełniałby oba warunki jednocześnie.

– A nagranie z kamer monitoringu?

Popatrzył na mnie.

– Liczyliśmy, że to będzie nasze najlepsze źródło.

– A okazało się kolejną ślepą uliczką?

– Władze miejskie miały w dupie to osiedle, więc nic tu nie działało. Były trzy kamery, które mogłyby dostarczyć nam interesujących danych. Jedna znajdowała się na klatce schodowej na dziesiątym piętrze, ale akurat była zepsuta. Została zniszczona przez wandalów jeszcze w lutym i nikt się nią nie zajął. Z dwóch kamer umieszczonych na zewnątrz budynku jedna skierowana była na Cork Hill Lane, bo tylko od tej strony da się tam wjechać i wyjechać samochodem. Też musiałeś tamtędy przejeżdżać.

Kiwnąłem głową.

– A druga?

– Druga patrzy na plac zabaw. Przechodzi się koło niego w drodze do stacji metra.

– I co?

– Kamera skierowana na plac zabaw miała jakąś usterkę w okablowaniu, bo wciąż się wyłączała. – Skrzywił się i pokręcił głową na znak frustracji. – Ale im głębiej sięgaliśmy w przeszłość, tym te przerwy były rzadsze. Dzięki temu pod datą dwudziestego szóstego marca znaleźliśmy coś ciekawego: niezidentyfikowanego mężczyznę przy huśtawce w towarzystwie Gail i jej córek. Z tego, co udało nam się dojrzeć, mężczyzna odpowiadał opisowi „Mala”, niestety, był zbyt daleko, byśmy mogli dostrzec szczegóły. W końcu cała czwórka oddaliła się w kierunku stacji metra. To jedyny raz, kiedy mamy ich wszystkich w kadrze.

– A co z nagraniami z kamery z dziesiątego piętra przed zniszczeniem?

– Pytasz, czy są jakieś nagrania Gail i dziewczynek z mężczyzną sprzed lutego? Nie ma. Może dlatego, że on i Gail zaczęli się oficjalnie spotykać dopiero w marcu, a może dlatego, że był na tyle sprytny, by unikać kamer. Przynajmniej przed dwudziestym szóstym marca, kiedy popełnił błąd i dał się nagrać na placu zabaw. Ale w sumie nie ma to większego znaczenia, bo i tak jest tylko rozmazaną plamą.

– Czyli w noc zabójstwa działała tylko jedna kamera, tak?

– Tak.

– Uzyskałeś z niej coś przydatnego?

Jeszcze energiczniej potarł palce, a jego dłoń machinalnie sięgnęła po papierosa, którego nie było w tym miejscu. Jego myśli błądziły całkiem gdzie indziej: w labiryncie ślepych zaułków oplatających tę sprawę. W końcu wsunął rękę do kieszeni i wyjął zapalniczkę. Położył ją obok kubka z kawą i wyciągnął papierosy. Ten gest jakby wytrącił go z transu, bo pochylił głowę i spojrzał w akta.

– Healy?

– Wszystko to niewarta zachodu kupa gówna – powiedział.

– Co jest kupą gówna?

– Wszystko. Gdyby ta sprawa była kurą, po prostu ukreśliłbyś jej łeb. Brak motywu, brak śladów DNA, niewiarygodni świadkowie, jedenaście tysięcy facetów o imieniu, które może w ogóle nie mieć z tym nic wspólnego.

Przerwał i zaczął się bawić leżącą na stole paczką papierosów. W końcu wziął do ręki teczkę i zaczął ponownie przeglądać jej zawartość w poszukiwaniu następnych zeznań świadków.

Widać znalazł, czego szukał, bo przesunął teczkę w moją stronę.

– Co to jest? – spytałem.

– Jedyne zeznanie, które ma jaką taką wartość dowodową.

Ale nie było mi dane go przeczytać.

6

Sekundę później mój telefon znów zabrzączał.

Ponownie dzwoniła Annabel.

Spojrzałem na Healy'ego i znów na telefon. Byliśmy w środku ważnej rozmowy i czułem, że wolałby, żeby moja córka nagrała wiadomość. Ale Annabel rzadko do mnie dzwoniła, a jeszcze rzadziej tak uporczywie. Miała dwadzieścia pięć lat, była niezależna i całkowicie samowystarczalna; zajmowała się zawodowo dziećmi w szkołach i klubach młodzieżowych i była niezłomną zwolenniczką dyscypliny i przestrzegania ustalonych zasad. Skoro dzwoniła do mnie tak nagle i natarczywie, coś musiało się stać.

– Muszę odebrać – oznajmiłem.

Healy zmarszczył czoło.

– Nie może poczekać?

– Dzwoni Annabel.

– I co z tego?

– To, że muszę odebrać.

– Zadzwoń do niej, jak skończymy.

– Odbieram, Healy.

Przeniósł wzrok z wyszukanej dla mnie strony akt na telefon i z powrotem.

– To wszystko jest do dupy – sapnął na tyle głośno, bym usłyszał, i wsadziwszy papierosa do ust, wysunął się z boksu i bez słowa ruszył do wyjścia.

Na dworze śnieg spadał z nieba grubymi, mokrymi płatami. Pracownik motelu, w kapturze na głowie i kurtce zapiętej pod szyję, starał się posypywać parking żwirem, chowając twarz przed gwałtownymi podmuchami wiatru znad rzeki. Healy wyszedł na zewnątrz i stanął pod ścianą z zapalonym papierosem w ustach. Był wyraźnie wkurzony.

Nacisnąłem ODBIERZ.

– Cześć, kochanie.

– Cześć – powiedziała cicho Annabel.

– Coś się stało?

– Chodzi o Olivię.

Przebiegł mnie dreszcz.

Olivia była jej dziewięcioletnią siostrą. Annabel i ja dowiedzieliśmy się o sobie zaledwie czternaście miesięcy temu i choć w sensie biologicznym Olivia nie była moją córką, Annabel, pojawiając się w moim życiu, wprowadziła też do niego Olivię.

– A co się stało?

– Jestem w Torquay – wyjaśniła lekko płaczącym tonem, jakby dopiero co przestała płakać. – W szpitalu. Spadło dużo śniegu i Olivia z koleżanką wybrały się na sanki. Niedaleko domu, na górkę przy końcu naszej ulicy. – Wybuchnęła płaczem. – Zjeżdżając, uderzyła w drzewo i jest teraz na sali operacyjnej. Ja po prostu...

Głos jej zamarł.

– Nic jej nie będzie – powiedziałem, siląc się na spokój. – Na pewno nic jej nie będzie.

– Ma wewnętrzne krwawienie.

Serce zaczęło mi bić szybciej. O kurwa!

– Przepraszam, że ci zawracam głowę – dodała. – Ale nie wiedziałam, do kogo zadzwonić.

– Nie przepraszaj, dobrze zrobiłaś – zapewniłem ją, szybko myśląc co dalej.

Spojrzałem na stojącego za oknem Healy’ego. Był już w połowie papierosa, a pomarańczowy ognik co chwilę rozjarzał się w padającym śniegu.

– Co mówią lekarze?

– Nic.

– Nie opisali ci jej obrażeń?

– Może sami jeszcze nie wiedzą. – Umilkła i pociągnęła nosem, wyraźnie starając się opanować. – Powiedzieli tylko, że ma wewnętrzne obrażenia i muszą natychmiast ją operować. Nie wiem, co robić. Bo jeśli...

Znów zaczęła płakać.

Próbowałem szybko uporządkować myśli. Jedno było pewne: nie mogłem zostawić jej samej w tym szpitalu.

– Już do ciebie jadę – postanowiłem.

– Nie musisz...

– Ale chcę. – Popatrzyłem przez okno. Healy wciąż stał w tym samym miejscu, przyglądając się pracownikowi motelu, który ciągnął w stronę wjazdu wielki wór żwiru. – Zajmie mi to ze cztery godziny, może nawet więcej przez ten śnieg. Ale proszę, żebyś mnie na bieżąco informowała. Dzwon o dowolnej porze. Jeśli nie uda ci się wyciągnąć nic z lekarzy, daj mi nazwiska i ja z nimi porozmawiam.

– Dziękuję.

– Nie ma sprawy. Za chwilę do ciebie oddzwonię.

Rozłączyłem się, włożyłem telefon do kieszeni i popatrzyłem na otwartą teczkę z aktami. Wyglądało na to, że Healy chciał mi odczytać zeznania kolejnego świadka, niejakiego Jobana Kehala. Wyjąłem długopis i zaznaczyłem stronę gwiazdką, aby łatwo było ją znaleźć, potem zgarnąłem ze stołu leżące tam trzy zdjęcia i dołączyłem je do reszty. Z teczką pod pachą wyszedłem z baru do niewielkiego holu.

Healy zdążył już wypalić papierosa i wrócił do środka.

– Muszę jechać – rzuciłem.

Spojrzał na mnie i skrzywił się.

– Co?

– Zabieram to z sobą i przeczytam, jak dojadę.

– Jak gdzie dojedziesz?

– Muszę się spotkać z Annabel.

– Pojedziesz teraz do Devon?

– Olivia miała wypadek.

Czułem, jak jego wargi już się układają w następne pytanie: „Po jaką cholere jedziesz do Devon, gdy jesteśmy w środku czegoś ważnego?”, ale wzmianka o wypadku Olivii jednak go powstrzymała. Wargi mu się spłaszczyły, jakby wtłaczał słowa z powrotem do ust, i widać było, jak przestawia myślenie na inny bieg.

– Nic jej nie będzie?

– Nie wiem. – Wzruszyłem ramionami.

– Co się stało?

– Zjeżdżała na sankach i rąbnęła w drzewo.

Pokiwał głową.

– Na pewno nic jej nie będzie.

– Tak, no cóż. Ale muszę się upewnić.

Spojrzał na teczkę z aktami.

– Chcesz to zabrać ze sobą?

– Poczytam sobie.

– W czasie jazdy?

Powiedział to niby spokojnie, ale w jego głosie słyhać było zjadliwą ironię.

– Jest na sali operacyjnej, ma wewnętrzne krwawienie. Mam na to machnąć ręką i przez następne dwie czy trzy godziny siedzieć z tobą nad tymi papierami?

– Twoim zdaniem nie są tego warte. Rozumiem.

– Nie przekręcaj moich słów. Czy ty w ogóle mnie słuchasz?

Popatrzyłem na niego ze złością, przygotowany na to, że się odwinie.

Nie zrobił tego.

– W każdym razie jadę – powiedziałem. – Zadzwoń do ciebie jutro.

Byłem już przy drzwiach, gdy usłyszałem jego głos.

– Zostaw mi chociaż te akta.

Zwróciłem ku niemu głowę.

– Chcę je poczytać, nie słyszałeś?

Pokręcił głową, jego wyraz twarzy się zmienił, a ja zrozumiałem, że nie chodzi mu o uwolnienie mnie od obowiązku, bo i bez tego mam dość na głowie. Chce, żebym je zostawił, bo sam planuje nad nimi posiedzieć.

– Nie zostawię – dodałem.

– I tak wiem, co w nich jest.

– To po co są ci potrzebne?

– Zostaw mi tę pierdoloną teczkę.

– Posłuchaj – starałem się mówić łagodnie. – Jutro rano masz rozmowę w składzie materiałów budowlanych. Lepiej skup się na tym, a ja zadzwonię jutro w porze lunchu i porozmawiamy o sprawie...

- Nigdzie jutro nie idę.
- Co?
- Nie idę na żadną rozmowę.
- Co ty bredzisz?
- To co słyszysz. Nie idę jutro na rozmowę.

Zrobiłem krok w jego stronę.

- To przyzwoita praca.
- Pilnowanie magazynu.
- Płacą całkiem nieźle.

Wzruszył tylko ramionami.

Potarłem czoło, usiłując zapanować nad gniewem.

– Możesz to zrobić dla mnie? Proszę. Zależy mi, żebyś poszedł na tę rozmowę, bo znam osobiście gościa, który to prowadzi. Głównie dzięki temu znalazłeś się na krótkiej liście kandydatów. Przekonałem go, żeby dał ci szansę. Musiał w związku z tym nagiąć parę rzeczy. Więc jak jutro tam nie pójdziesz, to wyjdę na...

- Wisi mi to.
- Healy, to ja ci to zorganizowałem.
- To teraz odorganizuj, bo ja tam nie idę.

Podszedłem jeszcze krok bliżej.

- Co ci się, do diabła, stało?
- Nic mi się nie stało...

– Obiecałem ci pomóc w tej sprawie. – Uniosłem teczkę z aktami. – Powiedziałem, że chcę do niej zajrzeć, i to zrobię, rozumiesz? Jak mam ci to jeszcze jaśniej wyłożyć? A ty jutro masz się stawić w Deptford na rozmowie kwalifikacyjnej. Nie wiem, co musiałbyś zrobić, żeby cię nie przyjęli. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Masz się tylko tam stawić i mówić co trzeba.

Jedna z pracownic recepcji zaczęła na nas zerkać z wyraźnym niesmakiem, a ja zdałem sobie sprawę, że prawie krzyczę.

Głęboko odetchnąłem.

- Muszę jechać.

Healy raz jeszcze spojrział na teczkę i rozłożył ręce w geście: rób, jak chcesz. Wkurzyło mnie to, ale tym razem nie łyknąłem przynęty.

– I masz być jutro na tej rozmowie – rzuciłem i nim zdążył coś powiedzieć, ruszyłem do wyjścia.

Gdy w 2009 roku moja żona Derryn zmarła na raka piersi, raz na zawsze pożegnałem się z nadzieją na zostanie rodzicem, potem jednak owoc mojej niedojrzałości sprzed ćwierćwiecza w relacjach ze szkolną miłością dał o sobie znać i zmienił moje życie.

Pierwsze sześć miesięcy w moich stosunkach z Annabel nie należały do łatwych. Oboje chcieliśmy się lepiej poznać i dowiedzieć czegoś o sobie, ona jednak przeżywała żałobę po osobach, których uważała za swoich rodziców, ja zaś próbowałem oswoić się z myślą, że nie tylko jestem ojcem, ale też ojcem kobiety, która nie jest wiele ode mnie młodsza. Od razu jednak, gdy ją zobaczyłem w szpitalnej poczekalni, poczułem rodzinną więź i utwierdziłem się w przekonaniu, że wyjazd z motelu i dołączenie do niej były moim obowiązkiem i jedyną słuszną decyzją, jaką mogłem podjąć. Tak postępują ojcowie wobec swoich córek.

Kto jak kto, ale Healy powinien to wiedzieć.

Przykro było patrzeć na Oliwię w takim stanie. Jej drobne, dziewięcioletnie ciało było oplecione rurkami podłączonymi do aparatu tlenowego, EKG i kroplówki. Obojczyk i całą prawą stronę miała obandażowane. Personel okazał zrozumienie i pozwolił Annabel i mnie zostać przy niej przez całą noc. Dyżurowaliśmy na zmianę: jedno z nas siedziało przy jej łóżku, drugie próbowało w tym czasie zdrzemnąć się na fotelu w kącie pokoju. Na szczęście nic złego się nie działo i rano usłyszeliśmy od lekarza, że stan dziewczynki jest stabilny, choć czeka ją jeszcze długa rekonwalescencja.

W porze lunchu poszedłem kupić coś do jedzenia i kawę i po powrocie zastałem Annabel we łzach. Dramatyczne wydarzenia wczorajszego dnia i nieprzespana noc w końcu wzięły nad nią górę. W ciągu minionych czternastu miesięcy prawie nie zdarzało mi się widzieć jej płaczącej i to nie

tylko dlatego, że mieszkała niemal trzysta pięćdziesiąt kilometrów ode mnie. Kłamstwa z przeszłości, strata tych, których uważała za rodziców i których kochała, opieka nad siostrą traktowaną prawie jak córka – wszystko to ją zahartowało i choć nigdy nie boczyła się na mnie i nie próbowała trzymać na dystans, w sposób niejako naturalny zamknęła się w sobie.

– Przepraszam – powiedziała po chwili.

– Za co przepraszasz?

– Że się rozkleiłam.

Dotknąłem jej ramienia, a ona jedną ręką przytrzymała moją dłoń, drugą zaś wytarła oczy chusteczką. Podałem jej kawę i położyłem na brzegu łóżka kanapkę z automatu.

– Przeszkodziłam ci w czymś?

Spojrzałem na nią pytająco.

– Co masz na myśli?

– W jakiejś sprawie. Bo wyglądasz na przemęczonego.

– Naprawdę?

– I to nie od próby spania na siedząco w sali szpitalnej. – Uśmiechnęła się, a ja nie odpowiedziałem, w nadziei że na tym zakończy swoje dociekania. – Prowadzisz jakąś sprawę?

– Właśnie skończyłem.

– Trudna była?

– Nie, dość standardowa.

Za to trudne było ostatnie siedem dni z Healym.

Zaczęła rozpakowywać kanapkę.

– Nie chcę wyjść na wścibską i przepraszam, jeśli tak to wygląda – powiedziała. – Ale wyglądasz tak, jakby dobrze ci zrobiło oderwanie się od tego wszystkiego.

– Chyba wszystkim nam by się to przydało.

Pokiwała głową, odniosłem jednak wrażenie, że nie jest usatysfakcjonowana moją odpowiedzią. Wiedziałem dlaczego. Kilka miesięcy wcześniej została zamieszana w jedną z moich spraw i choć ani jej, ani Olivii nic nie zagrażało, przez chwilę mogło to wyglądać groźnie. Czułem się winny

z tego powodu, bo wyglądało na to, że Annabel wciąż to jeszcze przeżywa. Stąd brały się jej wszystkie pytania. Chciała mieć pewność, że nic jej nie grozi.
– Nic złego się nie dzieje – uspokoiłem ją.

* * *

Do Healy’ego zadzwoniłem sprzed budynku szpitala.

Było zimno, na dachach i okapach leżała gruba warstwa śniegu, zasypane też było małe rondo na końcu podjazdu do szpitala. Wyszukałem numer Healy’ego w telefonie i przed zadzwonieniem głęboko wciągnąłem powietrze, szykując się na słowną potyczkę. Niepotrzebnie jednak się martwiłem. Po jedenastu sygnałach włączyła się poczta głosowa.

– Healy, to ja. Oddzwoń, jak odsłuchasz.

Rozłączyłem się i wróciłem do środka, po czym telefon niemal natychmiast zadzwonił i wyświetlił się numer, którego mój telefon nie rozpoznał.

– David Raker – rzuciłem do słuchawki.

– David, tu Simon Quinn.

Quinn był szefem składu budowlanego w Deptford, w którym Healy miał się stawić na rozmowę w sprawie pracy. Poznaliśmy się pięć lat wcześniej na turnieju golfa na cele dobroczynne, zorganizowanym przez mojego znajomego, i od tamtej pory, utrzymywaliśmy luźny kontakt.

– Cześć, Simon, co słyhać?

– Jako tako – odparł, ale po irytacji w jego głosie od razu poznałem, co się święci. – Pomyślałem, że chciałbyś coś usłyszeć o swoim protegowanym.

– Niech zgadnę: nie zjawił się na spotkanie.

– Wręcz przeciwnie – powiedział Quinn. – Colm Healy się zjawił.

– To w czym problem?

Quinn zawahał się.

– W tym, że przyszedł zalany.

8

Healy zadzwonił wreszcie o siódmej.

Siedziałem w holu szpitalnym, przeglądając maile, i gdy wyświetlił się numer komórki, którą kupiłem Healy'emu, na chwilę zamarłem, by opanować ogarniającą mnie złość. Dzwoniłem do niego i esemesowałem przez całe popołudnie, nagrałem kilka wiadomości, dziesięć minut przeproszałem Simona Quinna za zawracanie mu głowy, a drugie dziesięć straciłem, tłumacząc się przed nim z postępowania mojego protegowanego. Tłumaczenie się za Healy'ego z wolna wchodziło mi w krew, choć wcale nie miałem na to ochoty.

– To ja – powiedział, gdy odebrałem.

– Jak można być pijanym o dziewiątej rano?

Milczał.

– Healy?

– Mówiłem ci wczoraj, że tam nie pojedę.

– Musiałem się za ciebie tłumaczyć! – Kilka osób spojrzało w moją stronę, więc przenieśliem się w ustronniejsze miejsce. – Dlaczego nie mogłeś po prostu pojechać i odpowiedzieć na parę pytań?

– Pojechałem.

– Trzeźwy?

– Słuchaj, pojechałem rano, tak jak sobie życzyłeś, i odpowiedziałem na ich wszystkie durne pytania, tylko potem jedna z tych bab zarzuciła mi, że ich oszukuję.

– W jaki sposób?

Westchnął tak głośno, że telefon aż zabrzączał mi przy uchu, a ja pomyślałem, że chyba jeszcze nie wytrzeźwiał. Mówił, lekko mamrocząc, jego reakcje były przesadnie ekspresyjne.

– W jaki sposób, Healy?

– „Dlaczego w referencjach nie powołał się pan na kogoś z Policji Metropolitalnej?”.

– O to cię spytała?

– No. Więc z marszu zmyśliłem opowiadkę o pomyłce w moim CV, ale ona to przejrzała. Praktycznie przez całą rozmowę mnie googlowała, a potem próbowała mnie rozjechać szczegółami, które znalazła w sieci o moim zwolnieniu z Metropolitalnej.

– Mówiłem ci, żebyś w referencjach powołał się na Melanie Craw.

– Craw? To ma być żart?

– Jest starszym inspektorem w Policji Metropolitalnej i była gotowa wystawić ci referencje.

– Ale to ona mnie wyrzuciła.

– Rozmawiałem z nią. Tydzień temu ci powiedziałem, żebyś wpisał ją do swojego CV. I powtarzałem ci to dzień w dzień przez cały cholerny tydzień. Dlaczego nie możesz słuchać, co się do ciebie...

– Nie rozumiesz? Te wszystkie idiotyczne rozmowy i ci wszyscy idioci, do których muszę się mizdrzyć i udawać, jak bardzo mi się podobają... Po co to wszystko? Żeby dostać zasraną pracę dozorcę w składzie budowlanym?

– Healy...

– Powinniśmy się zajmować szukaniem tego, kto zamordował bliźniaczki i ich matkę.

To mnie na moment przytknęło. Teczka z aktami nadal leżała na tylnym siedzeniu mojego samochodu, nietknięta od wyjazdu z motelu.

– Obiecałem, że ci pomogę ustalić, co się stało tej rodzinie, i zrobię to, Healy. Ale w zamian prosiłem cię o dwie rzeczy. Jedną było znalezienie pracy, drugą...

– Założę się, że nawet nie zajrzałeś do tych akt.

– ...drugą była obietnica, że nie będziesz pił.

– Założę się, że nawet nie zajrzałeś do tych akt.

Westchnąłem.

– Przestań, Healy. Moja córka leży...

– Twoja córka, twoja córka... A co, kurwa, z moją córką? Leży na cmentarzu, bo jakiś zasraniec mi ją odebrał. A co z córkami Gail Clark? No, co z nimi? Ten drań, który poderżnął im gardła, wciąż jest na wolności.

– Już ci powiedziałem: znajdziemy go.

– Tak? A kiedy?

– Jak wrócę.

– I kiedy to będzie?

Staralem się znaleźć właściwą odpowiedź.

– I kiedy to będzie? – powtórzył.

– Jeszcze nie wiem...

– No właśnie. Jeszcze nie wiesz. Siedzisz w szpitalu, pilnując dziewczynki, która nie jest twoja, i drugiej, o której rok temu nawet nie wiedziałeś, że jest twoja. A ja pochowałem swoją córkę. Byłem przy jej narodzinach, byłem przy jej śmierci i pamiętam wszystko z dwudziestu lat dzielących te daty. Jesteś tam, bo uważasz to za swój obowiązek. A nie dlatego, że tak ci każe serce. No bo skąd? Przecież nawet ich nie znasz. To dla ciebie obce osoby.

– Dość tego, Healy – burknąłem, próbując nie dać się sprowokować.

– Nie traktuj mnie protekcjonalnie. Wiem, co...

– Siedem dni temu mieszkałeś w przytułku dla bezdomnych. Potrafisz sięgnąć pamięcią tak daleko wstecz? Pomagam ci znaleźć pracę, kupuję benzynę do twojego samochodu, żebyś miał czym dojeżdżać na rozmowy, płacę za motel, aż nie znajdziesz sobie czegoś innego. Czy wiesz, co to znaczy? Masz choć cień pojęcia?

– Nie. A co to znaczy?

– To znaczy, że tylko ja ci jeszcze zostałem.

Nie odpowiedział.

– Zadzwoń ponownie, jak wytrzeźwiejesz.

– Uważasz mnie za przedmiot swojej działalności dobroczynnej, tak?

– Zadzwoń do mnie jutro, Healy.

– A jak nie zadzwonię?

Tym razem ja nie odpowiedziałem. Nie chciałem, żeby rozmowa wymknęła się nam całkiem spod kontroli. Ale moje milczenie tylko jeszcze bardziej go rozjuszyło.

– Co mi zrobisz, jak nie zadzwonię?

– Kończę tę rozmowę, zanim chlapniesz coś, czego naprawdę pożałujesz.

– Ty nawet nie wiesz, co to znaczy żałować. Tak jak należy. Twoja żona nie zdążyła jeszcze ostygnąć, a ty już przystawiałeś się do sąsiadki. Pewnie nie mogłeś się doczekać, żeby pochować swoją starą.

– Co?!

– Ucieszyło cię, że ma raka, nie?

– Coś ty, kurwa, powiedział?!
– To, co słyszałeś.

Byłem tak roztrzęsiony, że poczułem, jak wściekłość rzezi mi w piersiach, łapie za gardło i zasnuwa myśli mgłą.

– Nie waż się kiedykolwiek tak o niej mówić – powiedziałem, z trudem wyduszając z siebie słowa. – Nie masz pojęcia, co ja wtedy...

– Obaj, Raker, ty i ja...

– Co obaj, Healy? Co ja i ty?

Przez dłuższą chwilę milczał.

– Obaj mamy przesrane.

Jego słowa pulsowały w słuchawce.

– No cóż – powiedziałem. – Przynajmniej w tej jednej sprawie się nie mylisz.

I rozłączyłem się.

Nie przyszło mi do głowy, że upłynie dziewięć miesięcy, zanim znów go zobaczę.

CZEŚĆ DRUGA
2 października 2014

Restauracja mieściła się w dawnej tkalni, na zachód od mokradeł Walthamstow. Parterowy budynek z czerwonej cegły stał nad samym brzegiem rzeki Lea, jego identyczne okna ciągnęły się rzędem pod okapami. Na końcu budynku, od strony parkingu, znajdowało się wejście – bogato rzeźbione drewniane drzwi z ustawioną obok czarną tablicą z menu i powitalnym szyldem w stylu wiktoriańskim. Na wysypanym żwirem dziedzińcu stało sześć stolików pod parasolami ogrodowymi.

Mimo że zaczął się już październik, lato się nie poddawało i w restauracji panował wzmożony ruch. Goście siedzieli przy stolikach, inni odpoczywali na brzegu rzeki, przyglądając się łódkom sunącym po wodzie. Początkowo jej nie dojrzałem i już zacząłem się zastanawiać, czy nie weszła do środka, ale chwilę później wypatrzyłem ją przy najdalszym stoliku. Siedziała zapatrzona w dal, trzymając w dwóch dłoniach szklankę wody.

– Dobry – rzuciłem, podchodząc do stolika.

Detektyw nadinspektor Melanie Craw zwróciła się do mnie twarzą i zdjęła okulary przeciwsłoneczne. Rozejrzała się, obrzuciła spojrzeniem kolejkę gości czekających na stolik i znów popatrzyła na mnie.

– Dobry – odparła i na jej ustach pojawił się nawet cień uśmiechu.

– Na łódkach siedzą paparazzi i nas obserwują.

Wzniosła oczy ku niebu i włożyła okulary.

– Co ty robisz w tych stronach? – spytałem, siadając przy stoliku.

– W Waltham Forest mają podejrzanego, który mnie interesuje. – Zerknęła na zegarek i ponownie się rozejrzała. – Wyjątkowy palant. Spodobałby ci się.

Kolej na mnie, by lekko się uśmiechnąć.

Craw miała czterdzieści cztery lata, była szczupłą, ubrana w nierzucający się w oczy szary komplet ze spodniami. Dziesięć miesięcy wcześniej poprosiła

mnie o odszukanie jej zaginionego ojca. Przychodząc z tym do mnie, nie tylko złamała obowiązujące zasady, ale zatrudniła kogoś, na kogo w Policji Metropolitalnej patrzono dość niechętnie. Nie szukałem jednak z nimi zwady – wręcz przeciwnie – a napięcia wynikały po prostu ze specyfiki mojej pracy. Na ogół rodziny zaginionych zwracały się do mnie o pomoc po wielu miesiącach bezskutecznych działań policji.

Jak na ironię, Craw podchodziła do zatrudniania mnie bardziej sceptycznie niż ktokolwiek inny. Zanim zdecydowała się poprosić mnie o pomoc, podczas poszukiwań innego zaginionego doszło między nami do całej serii nieprzyjemnych spięć. Gdy jednak udało mi się wyjaśnić sprawę zniknięcia jej ojca, chyba lepiej zrozumiała, na czym polega moja praca, i jej stosunek się zmienił. Oficjalnie nadal odnosiła się do mnie dość niechętnie, ale w kontaktach prywatnych bardzo złagodniała.

Parę razy zjedliśmy razem kolację, parę razy spotkaliśmy się przy parkowych placach zabaw, na których bawiły się jej córeczki. Nic nowego się nie wydarzyło i być może nic już nie miało się wydarzyć. Ale lubiłem jej towarzystwo, a ona, choć niewątpliwie trudno było jej to okazywać, chyba czuła to samo. Była zupełnie inna niż Derryn i Liz, moja sąsiadka, z którą związałem się po śmierci żony. Znacznie od nich spokojniejsza, niemal wycofana. A jednak znajdowałem z nią wspólny język, zwłaszcza gdy dochodziła do głosu ta część jej osobowości, którą starała się ukryć w pracy, gdzie kierowała dwudziestokilkuosobowym zespołem śledczym w wydziale zabójstw. Gdy w końcu odkryłem, co się stało z jej ojcem, dojrzałem to skrywane oblicze: osoby błyskotliwej, pełnej wewnętrznych sprzeczności i jak wszyscy wrażliwej.

– To po co mnie tu ciągnęłaś taki szmat drogi? – zapytałem.

– Chciałam z tobą pogadać.

– O czym?

Znów zerknęła na zegarek. Dochodziła pierwsza. Podniosła głowę i gestem ręki przywołała kelnera.

– Zjesz coś? – spytała.

– Na koszt Metropolitalnej?

Uśmiechnęła się.

– Zabawny z siebie gość, Raker.

Zamówiłem stek, sałatę i kawę, Craw poprosiła o kanapkę z kurczakiem i jeszcze jedną wodę mineralną. Po odejściu kelnera rozejrzała się i zatrzymała wzrok na gromadce dzieciaków, które urządzały wyścigi do przerdzewiałego stalowego mostka na rzece. Za nim rozciągały się mokradła, gdzie wśród wysokich do kolan i wypalonych słońcem traw widać było krzyżujące się ślady koszenia.

– Craw?

Spojrzała na mnie. Jeszcze nie wyzwoliliśmy się z przymusu zwracania się do siebie po nazwisku. Stare nawyki umierają powoli, ale poza tym było coś jeszcze. Widziałem, że lepiej się z tym czuje, bo tą formą nawiązywała do dawnych czasów, gdy nie musiała się tak przede mną odsłaniać.

– Colm Healy – powiedziała.

Cały aż zeszywniałem.

– Co mianowicie?

– Kiedy ostatnio z nim rozmawiałeś?

Wiedziałem dokładnie, kiedy to było, ale udałem, że się zastanawiam, jednocześnie gorączkowo główkując, dlaczego mnie o to pyta.

– Szesnastego stycznia, a co?

– I co się wtedy wydarzyło?

Znieważył mnie, moją córkę, moje relacje z nią.

I pamięć o mojej żonie.

– Raker?

– Spotkałem się z nim tydzień wcześniej, ósmego stycznia. Chciał ze mną pogadać, więc poszliśmy do kafejki w Hammersmith. A potem szesnastego...

– Co szesnastego?

– Pokłóciliśmy się.

– To znaczy?

– Powiedział parę rzeczy, których nie mogłem puścić płazem.

Craw wiedziała, co mam na myśli. Kiedyś naraziła na szwank swoją reputację, ponieważ opowiedziała się za ponownym przyjęciem Healy’ego do Metropolitalnej. Był wtedy już od dwóch miesięcy zawieszony, ale ona postanowiła za niego poręczyć, bo dostrzegła w nim coś wartościowego:

instynkt utalentowanego śledczego oraz pokorę człowieka zranionego. I przez jakiś czas to działało. Ale potem Healy poddał się autodestrukcji. Tak to trzeba nazwać. I stał się człowiekiem trudnym we współżyciu. Głębokie, bolesne rany zostawiły rozległe blizny, lecz pod warstwą ochronną agresji i gniewu był innym, znacznie lepszym i łagodniejszym człowiekiem. I tylko czasami, patrząc na niego, trudno było w to uwierzyć. Jeszcze trudniej, gdy przypominałem sobie, co przez telefon powiedział o śmierci mojej żony.

– Dlaczego pytasz o Healy’ego?

Pochyliła się nad stolikiem, tak że przez jej okulary przeciwsłoneczne, teraz mniej nieprzezroczyste, dojrzałem jej oczy. Wodziła nimi po otaczającym nas tłumie, upewniając się, że nie ma w nim nikogo znajomego, kto mógłby nas rozpoznać.

– Czyli rozstaliście się skłócenie? – powiedziała.

– Wcześniej tego dnia się upił. Kazałem mu zadzwonić ponownie, kiedy wytrzeźwieje.

– I zadzwonił?

– Więcej się już nie odezwał.

– Myślisz, że jeszcze nie wytrzeźwiał?

Powiedziała to półzartem, ale żadne z nas się nie uśmiechnęło. Oparłem się plecami o krzesło i zapatrzyłem na łódź sunącą po wodzie.

– Posłuchaj, przed styczniem nie widziałem się z nim od ponad roku. Po prostu zniknął z powierzchni ziemi. Jeden jedyny raz kontaktowałem się z nim telefonicznie w grudniu. Szukałem wtedy twojego ojca, a oni pracowali kiedyś razem. Po tej rozmowie nie spodziewałem się żadnego dalszego ciągu, ale w pierwszym tygodniu stycznia nagle do mnie zadzwonił i oświadczył, że chce się ze mną spotkać. Spotkaliśmy się więc ósmego w kafejce w pobliżu mostu Hammersmith.

– I co się wtedy stało?

Wzruszyłem ramionami.

– Od razu poczułem, że coś go gnębi. Był bardzo podenerwowany. Można powiedzieć, że w zasadzie... – Zamilkłem.

Że w zasadzie znalazł się na dnie.

– Że w zasadzie co?

– Mieszkał w przytułku dla bezdomnych.

– Co? – Uniosła brwi.

Dotarło do niej, że mówię poważnie, i przez chwilę oboje milczeliśmy. Zanim wynajęła mnie do szukania swojego ojca i zanim powstało to coś, co między nami trwało, Healy był jedynym łączącym nas ogniwem. Tak samo nas irytował i tak samo mu współczuliśmy, że dopuścił do tego, by całe jego życie legło w gruzach.

– W każdym razie zwrócił się wtedy do mnie o pomoc – dodałem.

– W jakiej sprawie?

– Żebym pomógł mu znaleźć zabójcę tych bliźniaczek. I ich matki.

Zaczęła kręcić głową i przestała dopiero, gdy kelner przyniósł nasze napoje. Po jego odejściu nachyliła się nad blatem i wlepiła we mnie wzrok.

– I co mu powiedziałaś?

– Obiecałem mu pomóc.

– Ta sprawa wciąż jest otwarta, Raker. – Westchnęła.

– Od czterech lat.

– To bez znaczenia.

– Nic się w związku z nią nie dzieje i oboje to wiemy.

– Czyli zajmujesz się też zabójstwami, nie tylko poszukiwaniem zaginionych?

– Nie bądź taka.

– Jaka?

Przez chwilę jej się przyglądałem.

– Kiedy się z nim spotkałem, był w fatalnym stanie.

– On zawsze jest w fatalnym stanie.

– Ale nie aż tak.

– I co jeszcze ci powiedział?

Słońce przemieściło się na niebie, promienie zaczęły wyglądać spod krawędzi parasola i na dłoni poczułem żar. Przesunąłem się do cienia i spojrzałem na nią. W ciągu minionych dziesięciu miesięcy Craw zmieniła się nie tylko pod względem emocjonalnym. Odchyliła się, zatknęła za uszy kosmyki włosów sięgających ramion – a nie jak niegdyś krótko przyciętych – i zaczęła bawić się cienkim, złotym łańcuszkiem na szyi. Nigdy wcześniej nie

zauważyłem u niej żadnej biżuterii i nawet teraz łańcuszek był jedynym odstępstwem od reguły, ale kilka innych szczegółów świadczyło o głębszych przemianach: nie chciała wyglądać jak ta osoba, która kiedyś mnie zatrudniła, i powód tego pogrzebała wraz z pamięcią o ojcu. Wciąż jednak zdarzały się chwile, w których – mimo że upłynął blisko rok – jej dawne ja dawało o sobie znać. Obserwowała mnie przez przeciwsłoneczne lustrzanki, które pozwalały mi widzieć i uniemożliwiały patrzenie jej w oczy, ale ja i tak chwilami widziałem w niej kogoś, kim była kiedyś, z jej obojętną i nieprzeniknioną twarzą.

Pokręciłem głową.

– Naprawdę musimy tak jeszcze przed sobą udawać? – spytałem.

Przełknęła ślinę, ale nic nie powiedziała.

– Crawl?

Odsunęła na bok niedopitą wodę, przysunęła do siebie szklanekę ze świeżą, przejechała palcami po warstewce skroplonej na niej pary i zdjęła okulary. Ciszę między nami wypełniły radosne pokrzykiwania dzieci machających do przepływającej barki.

W końcu podniosła na mnie wzrok, w którym była stal, lecz także był smutek.

– Znasz byłą żonę Healy’ego? – spytała.

– Gemmę? Tak, kiedyś się spotkaliśmy. A czemu pytasz?

– Sześć tygodni temu zgłosiła jego zaginięcie.

– Co? Healy’ego?

Kiwnęła głową.

– Niewykluczone, że jesteś ostatnią osobą, która widziała go żywego.

Zawirowało mi w głowie i myślami wróciłem do naszych ostatnich kontaktów, od pierwszego spotkania w Hammersmith, przez kolejne w motelowym barze, aż po fatalną rozmowę telefoniczną. *Ucieszyło cię, że ma raka?* W tamtym momencie przestał dla mnie istnieć. Następnego dnia wróciłem do Londynu, podjechałem do motelu i zostawiłem w recepcji teczkę z aktami, prosząc, by mu ją przekazano, gdy znów się tu pojawi. Na okładce teczki napisałem: „Od teraz radź sobie sam”.

– Jego synowie mieli od niego ostatnią wiadomość tydzień przed waszym spotkaniem – powiedziała Craw. – Nigdy nie był za dobry w podtrzymywaniu kontaktów, ale dziewięć miesięcy milczenia to już za dużo. – Pochyliła się nad stolikiem. – O czym wtedy rozmawialiście?

W głowie mi huczało.

– Nie bardzo było o czym rozmawiać. Obiecałem, że pomogę mu znów stanąć na nogi, i powiedziałem, że może na razie spać u mnie na kanapie. Ale chyba żaden z nas tego nie chciał. Zacząłem mu pomagać w znalezieniu jakiejś pracy, płaciłem za benzynę, żeby mógł jeździć na rozmowy, opłaciłem też z góry pokój w motelu. Obiecał, że wszystko mi zwróci, jak tylko uporządkuje swoje życie.

Kiwnęła głową i wyprostowała się, kosmyk jej blond włosów wymknął się zza ucha i zawisł przed twarzą. Odgarnęła go i spojrzała na łagodnie falujące trawy na mokradłach.

– Do wczoraj nawet nie wiedziałam, że zaginał. Jeden z moich ludzi mi powiedział.

– Skąd się o tym dowiedział?

– Ma znajomego w wydziale zabójstw w Barnet, niejakiego Fifielda. Obaj, ten Fifield i mój Sampson, pracowali kiedyś z Healym. Fifield mu powiedział,

że któregoś dnia pod koniec sierpnia spotkał wychodzącą z komisariatu Gemmę. Nigdy wcześniej nie rozmawiali, ale Fifield rozpoznał ją ze zdjęć stojących na biurku Healy'ego. Popytał w komisariacie i w końcu dotarł do gliniarza, który przyjął jej zgłoszenie. – Przerwała, turlając łańcuszek między kciukiem a palcem wskazującym. – Policjant potwierdził, że zgłaszającą zaginięcie była Gemma.

– Co ci jeszcze ten Sampson powiedział?

– Tylko tyle, że dwa dni temu rozmawiał z Fifieldem, pierwszy raz od czterech miesięcy, i że przyjęto zgłoszenie zaginięcia Healy'ego.

– I to wszystko?

Wyczuła podtekst w moim pytaniu i zmrużyła oczy. Czemu nie wyciągnęła z Sampsona czegoś więcej? Albo czemu sama się nie dowiedziała?

– Posłuchaj – burknęła. – Kiedy zwalniałam Healy'ego, chodziło nie tylko o moje życie, które zostało spaprane. Sampson też z nim pracował przy ostatniej sprawie. Mało tego, podobno byli nawet przyjaciółmi. Przez Healy'ego spędzaliśmy upojne dni i godziny na tłumaczeniu się przed ludźmi od standardów zawodowych. Postępowanie Healy'ego rzuciło cień na całe śledztwo, a wraz z nim na nas wszystkich.

Po jej twarzy przebiegł skurcz. Wyrzuciła Healy'ego, bo ją okłamał, a jego kręactwo zagroziło powodzeniu jednej z największych akcji w historii Policji Metropolitalnej. Ale mimo wszystko męczyło ją coś w rodzaju poczucia winy. I była w tym podobna do mnie. Coś w nim dostrzegała.

Coś wartego uratowania.

Siedziałem z lekka oszołomiony. Nie byłem w stanie wybaczyć mu jego słów, nawet teraz, dziewięć miesięcy później, ale myślenie o nim jako o osobie zaginionej sprawiało mi przykrość. Było jak świerzb, przez który trzeba się drapać. Czy dlatego, że nadal obchodził mnie jego los, że współczułem mu nagłego i gwałtownego upadku? Czy może raczej martwiłem się o siebie? Że choć fizycznie nieobecny, znów przeniknie do mojego życia, zakłóci rytm mojej pracy i mnie do siebie przyciągnie? Im dłużej o tym myślałem, tym większy czułem zamęt w głowie i tym trudniej było mi zachować jakąś logikę. Moje życie było prostsze bez niego, a jednak nigdy nie udało mi się całkiem usunąć go z moich myśli.

- Pewnie nawet nie zaginął – powiedziałem.
- Jego była żona twierdzi co innego.
- Jego była żona go nie zna.
- A ty znasz?

Przysunąłem do siebie wciąż jeszcze parujący kubek.

– Może nie. Może nikt go nie zna. Ale zanim zaoferowałem mu pomoc, mieszkał w przytułku dla bezdomnych. Jeśli po naszej ostatniej rozmowie powrócił do takiego życia, to kto może cokolwiek wiedzieć o jego zaginięciu? Mógł ostatnie dziewięć miesięcy spędzić na włóczeniu się od jednego schroniska do drugiego. Albo równie dobrze może koczować na ulicy.

Przerwałem, bo przypomniałem sobie słowa Craw: *Jego synowie mieli od niego ostatnią wiadomość tydzień przed waszym spotkaniem.* To rzeczywiście było dla niego nietypowe. Nawet w najgorszych okresach życia utrzymywał kontakt z dziećmi. Tyle że brak kontaktu nie musiał oznaczać, że naprawdę zaginął. Jeśli wrócił na ulicę, to mógł nie mieć pieniędzy, telefonu ani ubrania na grzbiecie. Miał natomiast dumę. Wolał milczeć, niż przyznać się światu, jak nisko upadł.

- Jak się nazywa ten policjant, z którym rozmawiała Gemma? – spytałem.
- Nie mogę się wtrącać – powiedziała Craw, kręcąc głową.
- Nawet nie rzuciłaś okiem na protokół.

Wychyliła się do przodu, a w jej oczach pojawił się znany mi z dawnych czasów błysk gniewu. Ale zaraz się opanowała, nie zdążywszy nawet wypowiedzieć żadnego słowa: szczęka i mięśnie twarzy się rozluźniły, Craw wciągnęła powietrze i odchyliła się na oparcie.

– Przecież wiesz, że nie mogę – odparła cicho. – Znasz wszystkie powody, dla których nie mogę się wtrącać do tej sprawy, nawet gdybym chciała.

Skinąłem głową, uświadamiając sobie, jak bardzo nasze relacje się zmieniły. W dawnym życiu pozwoliłaby wybuchnąć temu gniewowi i rzuciłaby się na mnie, ja zaś bym się nie ugiął i nasz konflikt zaraz by się zaognił. W takich momentach mogło się wydawać, że między nami coś jest, choć żadne z nas nie wiedziało co.

Moje myśli powędrowały do Healy'ego.

- Co jest? – spytała.

– Nie daje mi to spokoju.

– Co?

– Dlaczego Gemma zgłosiła jego zaginięcie?

– Pewnie dlatego, że od dziewięciu miesięcy ani razu nie zadzwonił do synów. – Craw wzruszyła ramionami. – A może dlatego, że kiedyś była jego żoną.

– Od trzech lat prawie ze sobą nie rozmawiali.

– I co z tego?

– Więc czemu sądzi, że zaginał, a nie wpadł w kolejną spiralę czasu? Healy utrzymywał kontakt z synami, ale nigdy nie aspirował do tytułu Tatusia Roku. Czasem pomiędzy jego telefonami mijały całe tygodnie, zwłaszcza ostatnio.

– Tak, tylko że tym razem to nie są tygodnie. Minęło dziewięć miesięcy.

– Dłużej niż zwykle, oczywiście, ale u niego to nic nadzwyczajnego. Kiedyś nie odzywał się do mnie przez rok, a gdy rozstał się z Gemmą, byłem chyba dla niego kimś najbliższym. Pewnie podobnie było z nią. Mogę się założyć, że tak samo traktował chłopców, zwłaszcza jeśli jego sytuacja znacznie się pogorszyła. Nie chciał, żeby widzieli go w takim stanie. W jakim ja zobaczyłem go w styczniu... – Przerwałem i spojrzałem na nią. – Było z nim bardzo źle, nawet gdy zabrałem go z przytułku. Kto wie, do jakiego stanu doprowadził się później?

– Może zalega Gemmie z alimentami.

– Obaj synowie są już dorośli.

– Więc może jest jej winien pieniądze.

Popatrzyła na mnie, a ja wiedziałem, czego nie dopowiedziała: że jedynym powodem, dla którego Gemma byłaby skłonna go poszukiwać, mogły być pieniądze, które był jej winien. Ale nie miałem wątpliwości, że tak nie jest. O Healym można było mówić różne rzeczy, mógł też być pozbawiony środków do życia, ale nie uciekał przed wierzycielami.

Oparłem się plecami o krzesło i zapatrzyłem się na pasące się w oddali bydło, które nurzało się w morzu wysokich traw niczym łodzie.

– Czyli prosisz mnie, żebym go odnalazł, tak? – spytałem.

– O nic cię nie proszę – odburknęła.

Oboje jednak wiedzieliśmy, że to nieprawda.

Zanim zadzwonił do mnie w styczniu, przez ponad rok się nie kontaktowaliśmy. Przedtem, gdy nasze ścieżki skrzyżowały się podczas poszukiwania człowieka, który zabił własną córkę; milczał potem przez siedem miesięcy. Tym odznaczał się jego sposób postępowania. Gdyby mój stosunek do niego był obojętny – a może po prostu realistyczny – podzieliłbym się z Craw swoim przeczuciem: miną jeszcze dni, tygodnie, a może miesiące, ale w końcu będzie tak zdesperowany, że do mnie zadzwoni, bo skończą mu się wszelkie inne możliwości. Czułem jednak, że coś jest nie tak. I jakoś nie potrafiłem się od tego uwolnić.

Dlaczego Gemma zgłosiła jego zaginięcie?

– Mam z nią porozmawiać? – odezwałem się.

– Z Gemmą? Myślę, że to dobry pomysł.

– Nie pokażesz mi nawet zgłoszenia dotyczącego jego zaginięcia?

– Nie mogę. Przykro mi.

Dostrzegłem coś w jej twarzy. Zmieszanie, że nie może mi pomóc, ale także ulgę. W ten sposób mogła nie budzić demonów z przeszłości i jednocześnie liczyć na wiadomości z pierwszej ręki o losach człowieka, którego niegdyś tak wysoko ceniła.

– A więc Gemma zgłosiła zaginięcie w Barnet, a to zapewne znaczy, że nie mieszka już w St Albans. W domu, który dzieliła z Healym – powiedziałem.

Craw skinęła głową, sięgnęła do kieszeni spodni i wyjęła skrawek papieru.

– Tu jest adres z jej prawa jazdy.

– Czemu się w to nie włączyłaś?

– Hm... no cóż, tu się to zaczyna i kończy. Wróciła do swojego panieńskiego nazwiska: Doherty. – Przerwała i obrzuciła mnie spojrzeniem. Chyba dostrzegła coś w mojej minie. – Ustalenie tego wymagało sześćdziesięciu dwóch podejść do policyjnej bazy komputerowej.

Nie zareagowałem.

Ale ona jeszcze nie skończyła.

– Szukanie domowego adresu Gemmy Doherty nie mogło wzbudzić niczyich podejrzeń. Ale włączenie się w szukanie byłego gliniarza, który odszedł w niesławie, bo mnie oszukał i niemal kompletnie zawałił całą sprawę, to coś zupełnie innego.

– Jasne.

– Cieszę się, że się rozumiemy.

– Rozumiemy – potwierdziłem i rozłożyłem karteczkę z adresem.

Bells Hill, na zachodnich obrzeżach Barnet.

– Możesz się ze mną konsultować, jeśli zechcesz – powiedziała cicho.

Podniosłem głowę i okazało się, że rozgląda się na boki, jakby bojąc się, że ktoś mógł usłyszeć jej propozycję. Ale gdy przeniosła wzrok na mnie, w jej spojrzeniu były już tylko stal i zdecydowanie.

– Jestem gotowa omawiać z tobą postępy – oświadczyła.

– Ale?

Jej głębokie westchnienie mówiło dużo o bolesnych zaszłościach.

– Ale nie mogę zostawiać po sobie śladów, gdy wchodzę do bazy. Nie mogę znów się poślizgnąć z powodu Healy’ego.

Ja też się do tego nie paliłem. Słowa Craw być może stanowiły potwierdzenie tego, co próbowałem sam przed sobą ukryć: że jeśli tylko wierzę w sprawę, to nawet bolesny zawód nie może mnie powstrzymać.

* * *

Wracałem do samochodu w powietrzu drgającym od upału i spalin. Lato powinno się już dawno skończyć, ale na wszystkich domach klimatyzatory wciąż huczały na pełnych obrotach, drzwi były pootwierane, a dzieci wysmarowane kremami przeciwsłonecznymi, wyglądającymi na niektórych jak wymagające rozsmarowania barwy wojenne. To mi przypomniało o dwóch bliźniaczkach i ich matce, brutalnie zamordowanych i nieżyjących od dłuższego czasu. Zaraz też moje myśli wróciły do gliniarza, który poświęcił im swoją karierę. Dla większości ludzi z Policji Metropolitalnej ta trójka była tylko wspomnieniem z przeszłości, zapisem w aktach sprawy.

Ale nie dla Colma Healy’ego.

Dochodząc do samochodu, wciąż to jeszcze przeżuwałem. Jeździłem skrzypiącym ze starości, osiemnastoletnim bmw i gdy otworzyłem drzwi po stronie kierowcy, zawiasy jęknęły, a ze środka buchnęła fala gorąca.

Wsiadłem i uruchomiłem silnik. Staralem się uwolnić głowę od myśli, ale słowa Craw wracały do mnie jak z chodzącej w kółko taśmy.

Niewykluczone, że jesteś ostatnią osobą, która widziała go żywego.

Chwyciłem za telefon i wybrałem ostatni numer Healy'ego, jaki znałem. Numer komórki, którą w styczniu kupiłem mu w supermarkecie. Łączenie trwało dwadzieścia sekund, po czym usłyszałem standardowe powitanie poczty głosowej.

– Healy, tu Raker – powiedziałem po usłyszeniu sygnału. – Ludzie się o ciebie martwią. Oddzwoń do mnie.

Potem wszedłem na konto mailowe, które założyłem mu w motelu. Wcześniej też miał jakieś konto, ale nie znałem adresu ani hasła, a on przestał z niego korzystać, gdy w jego życiu osobistym nastąpiły zmiany. Nowe konto miało go motywować, skłaniać do szukania pracy. Był to tani chwyt psychologiczny i obaj zdawaliśmy sobie z tego sprawę, dzięki temu jednak mogłem je teraz sprawdzić. Tyle że nie było co sprawdzać. W skrzynce odbiorczej od stycznia nie pojawiły się żadne nowe wiadomości, ostatnie wysłane i usunięte maile były datowane przed szesnastym stycznia i dotyczyły ofert zatrudnienia. Po naszej scysji przestał korzystać z konta.

Zadzwoiłem do biura numerów, uzyskałem numer telefonu stacjonarnego do nowego mieszkania Gemmy w Barnet i poprosiłem operatorkę o połączenie. Telefon dzwonił przez trzydzieści sekund, po czym włączyła się automatyczna sekretarka. O zostawienie wiadomości prosił jej głos i posłuchałem jej irlandzkiego akcentu, mocno już wygładzonego przez lata mieszkania w Londynie. Ostatni raz rozmawiałem z nią w listopadzie 2011 roku, na pogrzebie ich córki Leanne, więc nie byłem nawet pewny, czy mnie zapamiętała. W tej sytuacji lepiej było spotkać się osobiście, popatrzeć jej w oczy i ją uspokoić. I poznać powody zgłoszenia zaginięcia. To było właściwe rozwiązanie. Gdy spotkaliśmy się w styczniu, Healy wciąż jeszcze nosił obrączkę. Trzy lata po rozstaniu. Nie sądziłem, by Gemma też ją nosiła, a jednak coś ją skłoniło do zawiadomienia policji.

Jakby coś ją znów do niego zbliżyło.

– Gemma, tu David Raker – powiedziałem po sygnale. – Nie wiem, czy mnie pamiętasz, ale właśnie się dowiedziałem o Colmie i bardzo chciałbym z tobą

porozmawiać. Może będę mógł coś pomóc.

Podałem swój numer telefonu i rozłączyłem się.

Tkwiąc w korku w drodze powrotnej do domu, próbowałem wygrzebać coś w sieci o Ciaranie i Liamie, synach Healy'ego.

Starszego, Ciarana, łatwo było znaleźć. Pracował w Enfield, w małej firmie ubezpieczeniowej, i na jej stronie internetowej zamieszczono jego zdjęcie. Z Liamem poszło jeszcze łatwiej: był studentem drugiego roku historii sztuki na Uniwersytecie Essex i wyglądało na to, że całe swoje życie dokumentuje fotkami na ogólnodostępnej stronie na Facebooku.

Wpisałem do komórki numer biurowego telefonu Ciarana i na chwilę mój palec zawisł nad przyciskiem WYBIERZ, w końcu go jednak cofnąłem. Rozmowa przez służbowy telefon o zaginionym ojcu nie była najlepszym pomysłem, poza tym nie porozumiałem się jeszcze z Gemmą. A jeśli mi powie, że nie życzy sobie, żebym się zajmował szukaniem Healy'ego? A jeśli już zwróciła się z tym do kogoś innego?

Zacząłem się zastanawiać. Czy jestem gotowy machnąć ręką na całą sprawę, nie dowiedziawszy się prawdy o Healym? Czy pogodzę się z tym, że nie wiem? Czy mogę pozwolić, by Gail, April i Abigail Clark zostały na twardym dysku w Metropolitalnej, a prawda o ich śmierci nie została nigdy odkryta? Wchodząc w KONTAKTY w komórce, wiedziałem, że decyzja w mojej głowie już zapadła.

Nie, nie mogę.

Potrzebny mi był Ewan Tasker, dawny gliniarz będący częściowo na emeryturze, który pracował w Krajowej Służbie Wywiadu Kryminalnego, a po jej przekształceniach w SOCA², obecnie zaś był konsultantem w Krajowej Agencji ds. Przystępczości, kolejnej wersji tej służby. Gdy byłem dziennikarzem, nasze relacje przypominały małżeństwo z rozsądku: on podrzucał mi tematy, na których nagłośnieniu mu zależało, a ja miałem do

nich pierwszeństwo, w końcu jednak szczerze się zaprzyjaźniliśmy. To właśnie od niego dostałem w styczniu kopie akt sprawy Clark, które później zostawiłem w recepcji motelu dla kogoś, kogo być może już nigdy nie zobaczę.

– Raker! – wykrzyknął radośnie, usłyszawszy mój głos.

– Jak leci, Task?

W słuchawce ucichł słyszalny w tle hałas. Widać Task przeniósł się w jakieś ustronniejsze miejsce.

– Jako tako, stary przyjacielu. W czym ci mogę służyć?

– Chodzi o parę drobiazgów, ale żaden nie powinien sprawić ci kłopotu. Pierwszy dotyczy zgłoszenia osoby zaginionej. Przyjęto je w sierpniu w Barnet. Złożyła je niejaka Gemma Doherty, G jak Gemma, Doherty przez samo H.

– Zapisalem. Kogo dotyczy?

– Zaginiony nazywa się Colm Healy. C-O-L-M.

W słuchawce zapadła cisza.

– Healy? On nie był przypadkiem twoim kumplem?

– Można tak powiedzieć.

– Należał do ekipy śledczej przy sprawie Porywacza, nie?

– Twoja pamięć działa bez zarzutu, stary.

– To było chyba ostatnie zadanie w jego karierze.

– Tak, po nim go wyrzucili. To długa historia.

– Może kiedyś mi opowiesz – rzucił Task, ale na tym poprzestał. Między innymi dlatego go lubiłem. – Dobra. Nie ma sprawy. A ten drugi drobiazg?

– Nie wiem, czy pamiętasz, ale w styczniu przysłałeś mi kopie akt potrójnego zabójstwa w New Cross. Doszło do niego w lipcu dwa tysiące dziesiątego roku. Matka i dwie córki. Nigdy nikogo nie aresztowano. Rodzina nazywała się Clark.

– Coś kojarzę.

– Nieważne. Potrzebny mi jeszcze jeden komplet.

– Dobra. Clark bez E na końcu, tak?

– Zgadza się.

– Zaraz się tym zajmę.

– Bardzo ci jestem wdzięczny. Dzięki, Task.

Rozłączyłem się i zacząłem myśleć o Healym. Jak po naszej scysji pojawia się w motelu i w recepcji dają mu teczkę z aktami. Już próbowałem się czegoś dowiedzieć o jego dalszych losach, ale z motelowej dokumentacji nic nie wynikało i dopiero gdy spytałem, czy odebrał zostawioną dla niego teczkę z aktami, recepcjonistka przyznała, że coś sobie przypomina. I że jest pewna, że gość ją odebrał. Dzięki temu przypominała też sobie, kiedy wymeldował się z motelu.

– Jestem pewna, że to było zaraz po tym, jak przekazałam mu te papiery – powiedziała. – Najwyżej dzień lub dwa później.

Gdyby przez ostatnie dziewięć miesięcy miał akta sprawy, na pewno nie dopuściłby do tego, żeby pokryły się kurzem. Chciał ponownie nad nimi pracować. Dla Healy'ego zamordowanie April i Abigail Clark oraz śmierć ich matki były przeciekającą tamą i zajrzenie do akt mogło mu pomóc w znalezieniu tego wadliwego miejsca – tylko to się dla niego liczyło. Wszystko, co później się wydarzyło, miało początek w tej jednej chwili: w chwili udanej ucieczki mordercy. Każdy gliniarz miał w swojej karierze sprawę, która go nękała, i złoczyńcę, którego nie potrafił złapać. Healy nie był wyjątkiem i z tego brały się jego późniejsze problemy.

Jego niedotrzymane obietnice.

Jego kłamstwa.

Jego wpadki.

Wszystko, co kochasz

74 dni, 12 godzin i 33 minuty przed

Szli we trójkę przez trawnik przed blokiem, pies biegł przodem, idące po bokach dziewczynki opowiadały o szkolnym ogródku warzywnym. Nie przerywał im, słuchając z przyjemnością ich podnieconych głosów, a one przekrzykiwały się z takim entuzjazmem, jakby jako pierwsze na Ziemi zasadziły ziemniaki. Czasami, gdy tak jak dziś był z nimi sam, zdarzało mu się smutnieć na myśl o czasie – może już za dwa czy trzy lata – gdy dziewczynki przestaną tak serdecznie i niewinnie się do niego garnąć, a dziecinną bezpośredniość zastąpi pełna fochów pretensjonalność nastolatek. Był mile zaskoczony tym, jak po jego zejściu się z Gail obie szybko zaakceptowały go jako nowego członka rodziny, i nie chciał, żeby to uległo zmianie. Ze strachem myślał o tym, że mógłby znów zostać sam. Tak bardzo kochał to poczucie przynależności.

Kochał bycie częścią ich życia.

Rozłożył ręce, objął je i przygarnął do siebie.

– Nigdy nie zrozumiecie, jak bardzo jesteście dla mnie ważne – powiedział.

Nie odpowiedziały, ale jemu to nie przeszkadzało. Czasami dzieci zapominają coś powiedzieć lub nie zdają sobie sprawy z wagi wypowiedzianych słów. Nie przychodzi im do głowy, jak ważne mogą być takie słowa w ustach dziecka. Nie tylko nie odpowiedziały, ale też od razu spróbowały się uwolnić z jego niedźwiedziego uścisku, pierwsza April, zaraz po niej Abigail. Wyrwały się i puściły biegiem przez trawnik za psem, w stronę wznoszącej się kawałek dalej bryły Searle House.

Sam też zaczął biec i gonić je najpierw po trawniku i dalej po schodach. Pierwszy biegł pies, pół piętra niżej radośnie piszczące dziewczynki, ostatni on

z groźnym pokrzykiwaniem: „Już ja was złapię!”, co tylko dopingowało je do szybszego biegu i wzajemnego prześcigania się, bo każda z sióstr chciała być pierwsza. Po przebiegnięciu dwunastu pięter obie zaczęły przystawać zdyszane i wtedy wreszcie je dogonił, przytrzymał i kazał chwilę odsapnąć. Resztę schodów zaczęły pokonywać spokojnym krokiem we trójkę, ale chwilę później dziewczynki nie wytrzymały i zaczęły śpiewać piosenkę, której nauczyły się na zajęciach chóru.

Dotarli na swoje siedemnaste piętro, otworzył przed nimi drzwi mieszkania i z wnętrza buchnął zapach z kuchni.

– Fajitas! – wykrzyknęła radośnie April, rzucając płaszcz na podłogę w przedpokoju i ruszając biegiem do kuchni, gdzie jej mama szykowała posiłek.

Równie radośnie podniecona Abigail zrobiła niby to samo, jednak jakby nieco spokojniej i porządniej. Bliźniaczki były niemal identyczne i według Gail przyszły na świat w odstępie paru minut, ale on dostrzegwał u nich różnice w zachowaniu. Drobne, prawie niezauważalne, przez niego jednak wyraźnie wychwytywane.

Abigail powiesiła płaszcz.

– Mał, myślisz, że mama pamiętała o kwaśnej śmietanie? – zapytała, obrzuciwszy go spojrzeniem.

– Na pewno, kochanie.

Powiesił swój płaszcz obok jej i spuścił psa ze smyczy. Zwierzę natychmiast pobiegło do dużego pokoju, a on ruszył za Abigail do ich maleńkiej kuchni, gdzie Gail smażyła zamarynowane kawałki kurczaka. April siedziała na parapecie okiennym, oparta plecami o szybę, za którą roztaczała się szara i mglista panorama Londynu. Nachylił się i pocałował Gail w policzek.

– Dziewczynki mi wyznały, że nie mają dziś ochoty na fajitas – powiedział, mrugając porozumiewawczo. – Wolałyby same jarzyny.

– Nieprawda! Wcale tak nie mówiłyśmy! – zaperzyła się April.

Parsknął głośnym śmiechem.

– Widać musiałem się przesłyszeć – rzucił.

– Pamiętałaś o kwaśnej śmietanie? – upewniła się Abigail.

– Oczywiście, że pamiętałam – odparła Gail, ręką wskazując lodówkę. – Przypominałaś mi o tym z siedem tysięcy razy, Abs. – Mieszając jedną ręką

kawałki kurczaka na patelni, drugą przyciągnęła Abigail. – Proponuję, żebyście z siostrą pooglądały telewizję przez dziesięć minut. Mał nakryje do stołu, zawoła was, jak będzie gotowe, i wszyscy razem usiądziemy.

Dziewczynki wyszły z kuchni, a on zajął miejsce April przy oknie i zaczęli rozmawiać o mijającym dniu. Gail pracowała trzy przedpołudnia na tydzień w bibliotece kilka domów dalej, a wieczory poświęcała na naukę do dyplomu na Uniwersytecie Otwartym. On przez pięć dni w tygodniu pracował jako kierowca samochodu dostawczego, ale w piątki zawsze kończył pracę nieco wcześniej, wracał do domu i wychodził z dziewczynkami i psem na spacer, Gail zaś w tym czasie szykowała coś ekstra na kolację. W piątkowe wieczory mieli zawsze domową ucztę i tym razem dziewczynki wybrały na nią fajitas.

– Pójdę się przebrać – powiedział.

– Tylko się pośpiesz. Bo prawie już gotowe.

Jeszcze raz cmoknął ją w policzek i przeszedł przez przedpokój do sypialni. Jak wszystkie pomieszczenia w mieszkaniu, była mała i dość zagracona, ale na szczęście Gail go do niej przyjęła, a on już przywykł do tutejszej ciasnoty, mieszkania na kupie, woni wilgoci w kuchni i braku dziennego światła w sypialniach. Nie mogli sobie pozwolić na nic lepszego i wiadomo było, że dopóki on lub Gail nie znajdą lepiej płatnej pracy albo nie wygrają na loterii, będą musieli z tym żyć.

W chwili gdy zdejmował spodnie, w kieszeni zabrzęczała jego komórka. Wyjął ją, rzucił spodnie na łóżko i spojrzał na wyświetlacz. Jakiś nieznany numer. Nacisnął ODBIERZ, umieścił telefon między uchem a ramieniem i zajrzał do szafy w poszukiwaniu spodni od dresu.

– Halo?

Cisza w słuchawce.

– Halo? – powtórzył.

– Co ty robisz?

Znieruchomiał przed otwartymi drzwiami szafy.

– Mhm, kto mówi, proszę?

– Co ty robisz? – powtórzył głos z tak samo obojętną intonacją, zupełnie jakby był nagrany. Towarzyszył temu lekki szum, jakby dzwoniono z bardzo daleka. – Co ty robisz w tej rodzinie?

- Słucham?*
- Co ty robisz w tej rodzinie?*
- Poczuł ciarki na plecach.*
- Trzeba z tym skończyć.*
- Co? Kto mówi?*
- Trzeba z tym zaraz skończyć.*
- Kim ty, u diabła, jesteś?*
- W słuchawce coś zaskrzypiało.*
- Wszystko, co kochasz, zostanie ci odebrane.*

Gdy wreszcie dotarłem do domu, dochodziło wpół do siódmej, niebo było całe w fioletach, a słońce schowało się już za dachami domów. Podjechałem pod dom, wysiadłem, wyjąłem z bagażnika laptopa i kilka teczek z papierami i zerknąłem na moich sąsiadów. Oboje klęczeli, grzebiąc w tej samej rabatce.

Andrew i Nicola byli po trzydziestce, od ich przeprowadzki do sąsiedniego domu minęło prawie pół roku, ale ani razu nie gadaliśmy z sobą. W pierwszym tygodniu po ich przybyciu poszedłem się przedstawić, dowiedziałem się, że on pracuje w salonie Aston Martina przy Park Lane, ona w firmie marketingowej w City, i na tym się skończyło. Przez sześć miesięcy mieszkania tuż obok nie dowiedziałem się o nich niczego więcej. Kilka razy zamieniliśmy parę zdań, ale rozmowy zawsze dotyczyły spraw codziennych: domu, pogody, rynku nieruchomości w Londynie.

Mnie to w zasadzie nie przeszkadzało. Mieszkałem sam i jak oni dużo czasu poświęcałem na pracę, czasami jednak nachodził mnie żal, a nawet coś w rodzaju żaloby po sąsiadce, która mieszkała tam przed nimi. Była nią Liz, pierwsza kobieta, w której zakochałem się po śmierci żony i której w końcu musiałem pozwolić odejść.

Zatrzasnąłem bagażnik, ale towarzyszący temu huk nie spowodował, by któreś uniosło głowę znad rabatki. Nawet moje kroki po podjeździe nie wzbudziły ich zainteresowania i gdy Andrew podniósł wreszcie głowę i spojrzał w stronę płotu, moje drzwi wejściowe już dawno się za mną zamknęły, a ja zerkałem na nich przez okno z wnętrza ciemnej kuchni.

Pootwierałem wszystko, co się dało – okna i tylne drzwi – i przystąpiłem do szykowania kolacji. Wziąłem talerz, wyszedłem za dom i usiadłszy na tarasie z butelką piwa, zabrałem się do jedzenia, spoglądając na czerniejące niebo.

Godzinę później ktoś zadzwonił do drzwi.

W pierwszym odruchu pomyślałem, że mam omamy słuchowe. Bardzo rzadko mam w domu gości, co wynika głównie z ograniczenia przez pracę życia towarzyskiego, mimo to odwróciłem głowę od rządka trzech butelek po piwie i zacząłem nasłuchiwać. Dochodziły tylko trele ptaków i ciche trzaskanie drewna z ceramicznego piecyka, który kupiłem zeszłej wiosny. Uznałem, że musiało mi się zdawać, i przeniósłem wzrok na piecyk, w którym palące się polana lekko strzelały, wyrzucając przez kominiek kłęby dymu i iskier.

Dzwonek znów zabrzączał.

Przeszedłem przez dom, zapalając po drodze światła, i otworzyłem drzwi. Cały podjazd tonął w oślepiającym blasku lampy bezpieczeństwa nad wejściem i w nim ujrzałem stojącego na podjeździe yarisa i zmierzającą do niego kobietę, która widać już się poddała.

– Mogę w czymś pomóc?

Obejrzała się, wyraźnie zaskoczona.

Gemma.

Prawie jej nie poznałem. Na pogrzebie córki trzy lata temu była szczupłą brunetką, której zielone oczy tak dużo o niej mówiły – o jej wewnętrznej sile i instynkcie przetrwania – nawet w momencie opuszczania trumny Leanne do grobu. Wszystko to już jednak należało do przeszłości. Stała przede mną roztyta i jakby nadmuchana, z rysami twarzy ukrytymi pod okularami w grubych, czarnych oprawkach i ze zwisającymi w nieładzie brązowymi włosami. Odgarnęła dłonią kilka kosmyków, ukazując ciemne odrosty, i zrobiła parę kroków w moją stronę. Pamiętałem, że jest trzy lata starsza od Healy’ego, a to musiało znaczyć, że ma trochę po pięćdziesiątce, i to spoczywające jej na barkach półwiecze mocno ją przygniotło. Zszedłem na podjazd, ona raz jeszcze odgarnęła sobie włosy, a ja dostrzegłem, jak wyblakłe są jej oczy i jak plamistą ma cerę. Musiała dużo ostatnio płakać.

– Gemma.

Zatrzasnęła za sobą drzwi samochodu.

– David – powiedziała cicho, zwracając ku mnie wzrok. – Nie otwierałeś, więc myślałam, że cię nie ma.

– Przepraszam. Byłem za domem. Wejdiesz?

Stała, ściskając pod pachą czarną torebkę i omiatając spojrzeniem mnie i dom.

– Tak – rzekła, kiwając głową. – Dziękuję.

Wprowadziłem ją do środka, uciekając z upiornej bieli lampy bezpieczeństwa w półmrok przedpokoju.

– Napijesz się kawy, herbaty?

– Herbaty, chętnie.

Nalałem wody i włączyłem czajnik.

Przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie, czując niezręczność sytuacji: ona – wiercąc się niepewnie w wejściu do kuchni; ja – częściowo oparty o jeden z kuchennych taboretów.

– Rozumiem, że odsłuchiłaś moją wiadomość? – upewniłem się.

– Tak – odparła. – Odsłuchiłam.

– Nie chciałem cię zmuszać do jazdy taki kawał drogi.

– Nic nie szkodzi – powiedziała, zawieszając wzrok na obłokach pary wydobywającej się z czajnika i rozplywającej się nad naszymi głowami. – Chciałam... – Zmrużyła oczy, jakby dopiero teraz układała sobie w głowie to, co ma do powiedzenia. – Sama zamierzałam do ciebie zadzwonić. Wiem, że to w pewnym sensie twoja... że zajmujesz się takimi rzeczami zawodowo.

– Cieszę się, że jesteś.

Na jej ustach pojawił się blady uśmiech, ulotny i zmęczony.

O nic więcej nie spytałem. Nalałem jej herbaty i poprowadziłem przez dom na taras za domem. Ręką wskazałem jedno z krzeseł, sam usiadłem po drugiej stronie piecyka i zapadła cisza, przerywana tylko trzaskaniem palącego się drewna. Położyła torebkę na podłodze, sięgnęła po herbatę i oplotła filiżankę palcami.

– Jak się dowiedziałeś o Colmie? – zapytała.

– Znam trochę ludzi w policji.

– W Barnet?

– Tam akurat nie, ale doszło do mnie, że odwiedziłaś tamtejszy komisariat pod koniec sierpnia. Zwykle bardzo uważam, by niepotrzebnie się nie wtrącać, ale uznałem, że powinienem do ciebie zadzwonić.

Kiwnęła głową.

– Bardzo się cieszę, że tak uznałeś.

Zaczynało się całkiem nieźle. Wcale nie byłem pewien stosunku Gemmy do mnie, zwłaszcza po wiadomościach prasowych lub opowieściach samego Healy’ego. Bo jeśli rozmawiała z nim po naszej kłótni i rozstaniu, to zapewne usłyszała od niego wiele przykrych słów na mój temat. Tyle że Gemma musiała być w tym zaprawiona: byli małżeństwem przez ponad dwadzieścia lat, a to wystarczająco długo, by poznać czyjeś wady.

– Tylko że ja nie mam... – przerwała i wlepiła wzrok w zawartość filiżanki.

– Nie mam dużo pieniędzy. Chłopcy są na swoim, Colma nie ma, więc nie wiem, jak będę mogła ci...

– Tym się nie martw.

– Nie możesz tego robić za darmo.

– Nawet nie wiem, co to jest „to” – powiedziałem z uśmiechem.

Przełknęła ślinę, odstawiła herbatę i sięgnąwszy do torebki, wyjęła z niej kopertę nieco wygniecioną i postrzępioną, z plamami po kawie na brzegu. Wziąłem ją i zaraz stwierdziłem, że została zaadresowana do Gemmy nierównym odręcznym pismem. Na stemplu pocztowym widniała data dwudziestego pierwszego sierpnia.

– Co to jest? – spytałem.

Jej spojrzenie ślizgało się po kopercie i jej pozaginanych rogach. Widać było, że wielokrotnie brano ją do ręki, otwierano i ponownie zamykano. Rant stracił już właściwości samoprzylepne i sterczał odchylony.

– Myślę, że to może być...

Czekałem, nie próbując się domyślać.

– Boję się, że to może być list samobójczy Colma.

Otworzyłem kopertę, czując, jak coś przewraca mi się w żołądku, i wyjąłem złożoną na pół cienką kartkę A4 w kolorze kości słoniowej. Widniało na niej jedno słowo napisane koślawymi, drukowanymi literami: GEMMA.

Spojrzałem na nią. Siedziała wychylona do przodu, z błyszczącymi oczami i jednym policzkiem zarumienionym od żaru w piecyku. Po chwili na jej rzęsach pojawiła się łza, którą, podnosząc okulary, obtarła, zaraz jednak pojawiła się następna i tej pozwoliła już spłynąć po twarzy. Byłem ciekawy, co mogło wstrząsnąć kobietą tak źle traktowaną przez męża, który ją dręczył i zdradzał. Kobieta, która nie nosiła już obrączki i którą od trzech lat nie obchodziło, co się z nim dzieje.

Rozłożyłem kartkę.

List był napisany czarnym długopisem i miejscami prawie nieczytelny. Kilkakrotnie traciłem wątek i musiałem wracać do poprzedniego zdania, by zrozumieć sens słów. Ale jeśli nawet poszczególne słowa nie zawsze były zrozumiałe, sens całości pozostawał jasny. List napisał człowiek wrażliwy i rozdarty, czujący, że świat wokół niego się wali.

Kochana Gemmo,

ten list powinienem był napisać już dawno temu. W ostatnich miesiącach miałem dużo czasu na przemyślenie swojego postępowania wobec ludzi, a zwłaszcza wobec Ciebie i chłopców. Starłem się robić to, co uważałem za najlepsze dla Was wszystkich, także dla Leanne, naszej ukochanej córki, naszego maleństwa, naszej ślicznej dziewczynki. Tak bardzo mi jej brakuje, że czasami ledwo mogę oddychać. Nie zdołałem jej uratować – to jeszcze jedna moja wielka klęska, którą należy dopisać do listy innych – ale często się zastanawiam, co by się stało, gdybym wtedy zdążył.

Czy myślisz, że gdybym ją uratował, wyszłoby to jej na dobre? A także Ciaranowi i Liamowi? I Tobie? Myślę o wszystkich naszych sporach, idiotycznych kłótniach, które wszczynałem z całą czwórką. Sądziś, że moglibyśmy być zgodną rodziną, gdybym był inny, lepszy? Pewnie nie da się na to pytanie odpowiedzieć i co się stało, to się nie odstanie, ale podczas spędzanych tu bezsennych nocy nie potrafię myśleć o niczym innym. Bo znów miałem szansę i znów ją zaprzepaściłem, jak kiedyś.

Ale w końcu mogę zrobić to, co powinienem. Przepraszam za wszystko, Gem. Powiedz chłopcom, że ich kocham.

Colm

Popatrzyłem na Gemmę, jej twarz zalaną łzami i pokrytą smugami maskary i ciało tak zwiotczałe, jakby nagle zrzuciła całą nadwagę, po czym przymknąłem oczy. Starąłem się opanować, wiedząc już, co miała na myśli.

Oczywiście.

To był pożegnalny list samobójcy.

Odłożyłem go ostrożnie na stolik i machinalnie sięgnąłem po notes i pióro, zaraz jednak uzmysłowiłem sobie, że właściwie nie mam nic do zapisania.

Bo cóż mogłem powiedzieć?

– Myślisz, że nie żyje? – spytała.

Spojrzałem na list, potem na Gemmę. Jej oczy lśniły w blasku ognia z piecyka. Lekki podmuch wiatru poderwał kartkę i przesunął ją po stole niczym łódkę po wzburzonych falach. Przytrzymałem list i przysunąłem do siebie, zastanawiając się, co powinienem odpowiedzieć na jej pytanie. Bo nie miałem pojęcia, czy Healy żyje, czy nie.

Ale w tej chwili ta druga ewentualność wydawała się bardziej prawdopodobna.

– Co miał na myśli, pisząc: „Bo znów miałem szansę i znów ją zaprzepaściłem, jak kiedyś”? Czy to znaczy, że próbowaliście się pogodzić? O to chodziło?

– Nie. – Gemma pokręciła głową.

– A wiesz, co miał na myśli?

Przetarła sobie oczy dłonią, nie przestając kręcić głową.

– Nie. Może chodziło o jego pracę? Że go odwiesili i dali mu drugą szansę, a on ją zmarnował.

Raz jeszcze przeczytałem ten fragment.

– Ale pisze tu o tobie, chłopcach i Leanne. Wspomina o rodzinie. Cały list dotyczy was czworga.

– Tak, wiem.

– Nie sądzę, żeby miał na myśli pracę w Metropolitalnej.

Wzruszyła ramionami.

– No to nie wiem.

Bo znów miałem szansę i znów ją zaprzepaściłem, jak kiedyś. Przesunąłem wzrok linijkę wyżej: podczas spędzanych tu bezsennych nocy nie potrafię myśleć o niczym innym. Co to znaczy „tu”? Przytułek dla bezdomnych? Schronisko? Wynajmowane mieszkanie? Mało prawdopodobne, by chodziło mu o wynajęty lokal. Nic w tekście na to nie wskazywało. W styczniu był bez grosza przy duszy, do przejścia na emeryturę brakowało mu jeszcze wielu lat. Wszystkie oszczędności, jakie mu zostały po sprzedaży domu w St Albans, rozeszły się na alimenty, studia synów, czynsz, benzynę, alkohol. Trudno było przypuszczać, że do sierpnia, kiedy napisał ten list, zdołał stanąć na nogi. Treść przypominała pożegnanie. List nie wyglądał nawet na napisany przez wyrzutka, na którego ja też w końcu machnąłem ręką. Biła z niego niespodziewana pewność siebie. Nie było w nim złości, lecz jedynie zaduma. Pozwalał wejrzeć w duszę piszącego i dostrzec nękające ją upiory. Upiory, od których Craw i ja próbowaliśmy od dawna Healy’ego uwolnić.

– A co ma znaczyć ten fragment? – spytałem, pokazując palcem końcówkę listu. – *Ale w końcu mogę zrobić to, co powinienem.* Domyślasz się, o co mu chodziło?

Wyraz jej twarzy nagle się zmienił, zdawało się, że nieco się otrząsnęła. Raz jeszcze wytarła oczy i pociągnęła łyk herbaty, jakby potrzebowała chwili na zebranie myśli.

– Rozmawialiśmy tylko raz w życiu, Davidzie, ty i ja. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy na pogrzebie Leanne?

Obrzuciłem ją spojrzeniem.

– Rozmawialiśmy o Healym.

Skinęła głową.

– Na pogrzebie mojej córki rozmawialiśmy o jej ojcu. Czuję, jakbym przez ostatnie dziesięć lat życia rozmawiała wyłącznie o nim. Nie o naszych dzieciach i nie o tym, czego od nas potrzebowały. Nie o sprawach, które powinny nas zajmować jako rodziców, ale o nim. Całe nasze życie obracało się wokół niego. Przejmowaliśmy się jego humorami, jego głupotą, jego egoizmem.

Nadal mówiła spokojnym głosem, ale jej ton stwardniał. Czułem, że wie dokładnie, o co Healy’emu chodziło w ostatnim akapicie listu, i że jest to coś, co postawi ją w niekorzystnym świetle. Dlatego chciała mieć pewność, że dobrze zrozumie jej postępowanie.

– Na początku było inaczej – ciągnęła. – Byliśmy dla niego całym światem. Dzieci... nic innego się nie liczyło. Wiem, że to brzmi jak banał, ale naprawdę był dla nich bardzo dobry. Bardzo. – Przerwała i odstawiła filiżankę, która cicho brzęknęła o blat stolika. – Kłopoty zaczęły się, kiedy już dorastały. Jako nastolatki zaczęły mieć własne zdanie, robić rzeczy po swojemu i odszczekiwać, a on zaczął się od nich oddalać. Im były starsze, tym było gorzej. Wolał, jak były małe. Myślę, że na różne sposoby i wbrew wszystkiemu Colm chciał się czuć potrzebny. Czuć, że jest częścią całości. I tak było, gdy dzieci były małe. Bez niego by nie przeżyły. Ale potem nie umiał się pogodzić ze zmianami, jakie w nich zaszły. Myślę, że poczuł się osamotniony.

Zaczynałem się domyślać, do czego zmierza i co Healy miał na myśli w końcówce listu, ale milczałem i tylko nie spuszczałem z niej wzroku.

– Wszystko zmieniło się na rok przed śmiercią Leanne. Oddalając się od dzieci, zaczął poświęcać coraz więcej czasu na pracę. Siedział w robocie do późna, zanurzał się w niej cały. No a potem przydzielono mu tę sprawę. Morderstwo bliźniaczek. To naprawdę go odmieniło. Ta sprawa bardzo szybko nim zawładnęła i spowodowała, że wszystko inne przestało się liczyć. Prawie ze mną nie rozmawiał, do dzieci w ogóle się nie odzywał. Widziałam, jak się w sobie zamyka, i prosiłam, żeby ze mną o niej porozmawiał, bo z doświadczenia wiedziałam, że im bardziej coś w sobie tłamsił, tym trudniejsze było otwarcie się. Ale nie chciał. Zrobił się mrukiwy

i odpychający, jak ktoś obcy. Doszło do tego, że nie umiałam się z nim porozumieć. Z mężczyzną, z którym przeżyłam dwadzieścia sześć lat.

Pokiwałem głową.

– Ale tego listu nie wysłał ci tak po prostu, prawda?

Spojrzała na mnie zaskoczona, że wyczułem, do czego zmierza jej opowieść. Nie było to jednak zbyt trudne. Jej oczy znów zwilgotniały, a ja pomyślałem, że tym razem jej łzy nie oznaczają żalu, lecz poczucie winy. Współodpowiedzialność za ten list.

– Nie – powiedziała, ponownie odgarniając kosmyk włosów z twarzy. – Półtora roku temu zwróciłam się do adwokata o oficjalne przeprowadzenie sprawy.

– Sprawy rozwodowej?

– Tak. – Zamilkła i popatrzyła na mnie w taki sposób, jakby oczekiwała, że jakoś zareaguję. Milczałem, więc podjęła opowieść: – Między Colmem i mną... nic już nie zostało. Zbyt dużo się wydarzyło. Od separacji prawie ze sobą nie rozmawialiśmy. Praca stała się dla niego wszystkim. Ta sprawa, którą się zajmował, morderstwo bliźniaczek i ich matki, kompletnie go rozwaliała. W tamtym czasie... – Uparty kosmyk włosów znów opadł jej na twarz, ale tym razem go zostawiła. – Tuż przed tamtym morderstwem zachowałam się... zachowałam się głupio i zaczęłam się z kimś spotykać. Chciałam wypełnić pustkę, jaka została po nim w domu...

Znów zamilkła i zerknęła na mnie, jakby czekała, aż osądzę jej postępowanie. Ale tę część ich historii rodzinnej już znałem: jak znalazła schronienie w ramionach innego mężczyzny i jak Healy zareagował, gdy się o tym dowiedział.

– Mniej więcej po miesiącu o wszystkim już wiedział – kontynuowała – i wtedy ostatecznie stracił panowanie nad sobą.

Healy wspomniał mi o tym tylko raz, na samym początku naszej znajomości. Siedzieliśmy w barze niedaleko East India Dock Road, za oknami lał deszcz, a on mnie spytał, czy zrobiłem kiedyś coś, czego bym później żałował. Prawie go nie znałem, ale on zaczął mi wszystko opowiadać, jakby musiał się przed kimś otworzyć, choćby przed nieznanym. *Gdybym się dowiedział, że się z kimś spotyka, w jakimś innym momencie* – mówił –

skończyłoby się awanturą z rzucaaniem meblami i trzaskaniem drzwiami. Wiem, jestem cholerykiem. Ale tak już jest i za późno, żeby się zmieniać. Dowiedziałem się jednak o tym, mając głowę pełną obrazów tych bliźniaczek. Więc jak mi o tym powiedziała... kompletnie mnie poniosło.

Rzucił się na nią.

Pobił ją tak mocno, że przez osiem tygodni chodziła w kołnierzu usztywniającym. Było to niewybaczalne draństwo, którego nic nie tłumaczyło i którego nie dało się cofnąć. Ale widywałem na jego twarzy wyrzuty sumienia wystarczająco często, by wiedzieć, że sam siebie za to nienawidził. Nawet jeśli do chwili napisania ostatniego listu trudno mu było zdobyć się na przeprosiny.

– Mój adwokat wysłał mu papiery rozwodowe – powiedziała ze wzrokiem wlepionym w gęstniejący mrok, w którym ucichły nawet śpiewy ptaków. – Ale on odmówił ich podpisania. Od lipca do października zeszłego roku podejmowałam kolejne próby przekonania go, że dla wszystkich tak będzie najlepiej, coraz trudniej jednak było go złapać. Wreszcie w listopadzie adwokat odkrył, że nie mieszka już w wynajętym mieszkaniu. Zaczęliśmy go szukać, ale bezskutecznie. Przestał korzystać z komórki i ile razy do niego dzwoniłam, zgłaszała się tylko poczta głosowa.

– Mieszkał w przytułku dla bezdomnych.

Spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby czekała na taką puentę.

– Co?

– Odezwał się do mnie w styczniu i poprosił o pomoc. Próbowałem mu pomóc stanąć na nogi, pożyczyłem trochę forsy, wynająłem pokój w motelu przy autostradzie. Po tygodniu zadzwonił do mnie pijany i więcej nie rozmawialiśmy. – Przejechałem ręką po twarzy, czując się trochę nieswojo po wysłuchaniu tego wszystkiego. – Czyli gdy pisze, że robi to, co powinien, ma na myśli dołączenie do listu podpisanych papierów rozwodowych, tak?

– Tak. – Westchnęła. – Właśnie tak.

Było oczywiste, że w treści listu Gemma dostrzegła mężczyznę, za którego wyszła za mąż. Tego, który był zawsze taki dobry dla niej i dzieci, taki im bliski. I to ją teraz nękało: wątpliwości, czy nie potraktowała go zbyt surowo. Poczucie winy z powodu krótkiej i nieudanej przygody z innym mężczyzną.

Złość, że Healy ujawnił ponownie lepszą swoją stronę, dopiero gdy sprawy
zaszły za daleko, by cokolwiek zrobić.

Gdy może została z niego już tylko łupina.

Wspomnienie. Duch.

I ciało.

– Kiedy zgłosiłaś jego zaginięcie? – spytałem.

Przenieśliśmy się już do pokoju. Gemma po drodze weszła do łazienki, obmyła twarz, usuwając zacieki z maskary, i związała włosy w kok, dzięki czemu wyglądała już na znacznie spokojniejszą. Ja też starałem się zebrać w sobie.

– Pojechałam na policję w piątek, dwudziestego drugiego sierpnia – odparła.

– Dzień po otrzymaniu listu i papierów rozwodowych?

– Tak.

– Jak nazywał się policjant, z którym rozmawiałaś?

– Policjantka, posterunkowa Miriam Davis.

Zapisałem datę i nazwisko.

– Dobra, więc zdecydowałaś się zgłosić zaginięcie tylko na podstawie tego listu i niczego więcej, czy tak?

Pokręciła głową.

– Początkowo nie było mowy o zaginięciu. Chciałam tylko opowiedzieć komuś o tym liście. O tym, co według mnie mógł znaczyć.

Przerwała i skrzywiła się, ale mając już świadomość, jak ważna może być ta nasza rozmowa, zapanowała nad sobą. Dla dobra sprawy musiała zachować jasność umysłu i być ze mną szczerą.

– Pani posterunkowa nie okazała najpierw większego zainteresowania. Opowiedziałam jej naszą historię, a ona uznała ją... nie wiem, pewnie za zwyczajne kłopoty domowe, które same się rozwiążą. Wyjaśniłam jej, że od roku go nie widziałam, a od października dwa tysiące trzynastego nie zamieniłam z nim słowa i jedynym znakiem życia od niego jest ten list, ona

jednak oświadczyła, że nie może uznać go za zaginionego tylko dlatego, że się do mnie nie odzywa.

– I co spowodowało zmianę?

– Oświadczyłam jej, że według mnie to pożegnalny list samobójcy. – Znów zamilkła, jakby poruszona własnymi słowami. – Zaznaczyłam, że nie tylko ja, ale także Ciaran i Liam, z którymi Colm zawsze utrzymywał kontakt, nie mają od niego żadnych wiadomości. I że jeśli się tym nie zajmie, to będzie odpowiedzialna za jego śmierć. Policjantka była bardzo młoda i chyba zupełnie niedoświadczona, a ja to wykorzystałam i urządziłam dramatyczną scenę. – Gemma znów przerwała i dopiero po chwili podjęła opowieść. – I to odniosło skutek. Zanim stamtąd wyszłam, Colm był już oficjalnie zarejestrowany jako zaginiony.

– Co było dalej?

– Posterunkowa Davis spytała, czy może odwiedzić mnie w domu i pobrać próbkę DNA ze szczoteczki do zębów Colma, ja jej jednak uświadomiłam, że od trzech lat nie mieszkamy razem i w domu nie ma jego szczoteczki do zębów. Że nie ma już nic z jego rzeczy. Wtedy oznajmiła, że poradzi sobie sama na podstawie jego teczek w policji.

– Że niby jak? – spytałem, marszcząc czoło.

– Pewnie chciała wyciągnąć z niej jego próbkę DNA.

Posterunkowa Davis najwyraźniej zbywała Gemmę: oficerowie policji nie zostawiają próbek DNA w aktach personalnych, a pobranie jej z jego dawnego stanowiska pracy nie wchodziło w rachubę, bo w chwili zgłoszenia Healy nie pracował już w tym miejscu od dwóch lat. Przy jego dawnym biurku siedział ktoś inny, jeśli w ogóle ktoś jeszcze pamiętał, które to było biurko. Sprawy dodatkowo komplikowały się z powodu jego bezdomności i tak naprawdę jedynym przedmiotem, z jakim miał do czynienia przez te wszystkie lata, był jego samochód: rdzewiejący, czerwony vauxhall z nieważnym ubezpieczeniem i nieopłaconym podatkiem drogowym – obie te płatności uregulowałem w styczniu. Ale między styczniem i sierpniem samochodu też mógł się pozbyć. Davis mogła to jednak sprawdzić w krajowym policyjnym systemie komputerowym. To, że Healy'ego dotąd nie odnaleziono, mogło świadczyć o tym, że samochód nie był już na niego zarejestrowany. Albo –

przyjmując bardziej cyniczną wersję – że tak się nie przejęła jego rzekomym zaginięciem, że nawet tego nie sprawdziła.

– Czy od tamtej pory posterunkowa Davis odzywała się do ciebie? – zapytałem.

– Raz – odparła Gemma, poprawiając sobie okulary. – Zadzwoiła na początku września z informacją, że przekazała dane Colma do Biura Osób Zaginionych.

Przyjrzała mi się w oczekiwaniu na moją reakcję.

BOZ współpracowało z policją, próbując łączyć nazwiska osób zaginionych ze znalezionymi i niezidentyfikowanymi ciałami. Nie mieli próbki DNA Healy’ego, ale mogli mieć jego rysopis, a także dostęp do jego danych medycznych i dentystycznych. Gdyby system znalazł jakąś zbieżność, stałoby się to szybko i Gemma zostałaby o tym powiadomiona. Minął jednak miesiąc, a jej telefon milczał.

Sprawa odnalezienia Healy’ego – żywego czy martwego – pozostawała otwarta.

Patrzyłem na Gemmę, próbując zdecydować, co powinienem teraz zrobić. Zwykle na tym etapie poszukiwań rodzina przekazywała mi szczegółowy rysopis osoby zaginionej oraz informowała o jej ostatnich ruchach, stanie umysłu, zwyczajach, kompleksach, nałogach, przypuszczalnych przyczynach zniknięcia. W tym przypadku nie było niczego takiego. Mogłem tylko liczyć na dobrą wolę kobiety, która równie dobrze mogła machnąć ręką na byłego męża – zwłaszcza po tym, czego od niego doświadczyła – i która po raz ostatni widziała go jeszcze dawniej niż ja. Właściwie poza tym, co wynikało z jego listu, nie wiedziała o nim nic: jak funkcjonował, co myślał i gdzie przebywał przez te trzy lata od ich rozstania.

Nie miała o nim żadnych nowych wiadomości.

Ja zresztą też nie. W naszych kontaktach zdarzały się roczne przerwy, podczas których nie wiedziałem ani co robi, ani gdzie przebywa. W jego życiu były okresy, które stanowiły dla mnie tajemnicę, nawet wtedy, gdy przez chwilę mieszkaliśmy pod jednym dachem. Dysponowałem jednak wiedzą dotyczącą ośmiu dni stycznia, a także miałem wkrótce dostać kopie akt zabójstwa Gail Clark i jej córek.

A to już było coś.

Odprowadziłem Gemmę do samochodu i obiecałem informować ją na bieżąco o rezultatach moich poszukiwań. Ponownie wspomniała o pieniądzach, a ja ponownie ją zapewniłem, że może się o to nie martwić. Bardziej niż honorarium obchodziły mnie złe przeczucia. Czy to naprawdę możliwe, żeby Healy nie żył? A jeśli tak, to w jakim stopniu jestem za to odpowiedzialny?

Jego słowa wypowiedziane pod moim adresem wciąż raniły, nawet jeśli upływ czasu nieco stępił wywołany nimi ból, ale z perspektywy czasu moja ówczesna decyzja o machnięciu na niego ręką i zostawieniu go samemu sobie w najlepszym razie wydawała się pochopna, w najgorszym zaś – niesprawiedliwa i nieodpowiedzialna. Powinienem był wznieść się ponad jego oskarżenia i dostrzec za nimi człowieka. Powinienem był zapanować nad sobą na tyle, by nie zostawiać go na pastwę losu.

Wróciłem do domu, otworzyłem notes i zacząłem rekonstruować chronologię zdarzeń w jego życiu w ciągu minionych dwóch lat, począwszy od odejścia z Metropolitalnej.

CZERWIEC 2012 – usunięty z policji

STYCZEŃ–MARZEC 2013 – pracuje dorywczo jako ochroniarz w towarzystwie budowlanym w Kennington

KWIECIEŃ–GRUDZIEŃ 2013 – bezrobotny, potem bezdomny

7 STYCZNIA 2014 – dzwoni do mnie (z budki telefonicznej), chce się spotkać

Przerwałem. Budka telefoniczna znajdowała się w pobliżu przytułku, w którym wtedy mieszkał. Sprawdzając dawne zapiski, znalazłem notatkę zrobioną ósmego stycznia w trakcie naszego spotkania w kafejce: „Schronisko przy Goldhawk Road”. Jeśli mieszkał tam przed ósmym stycznia, mógł tam powrócić po opuszczeniu motelu w Kew. Odszukałem ich numer telefonu i zadzwoniłem.

Nikt nie odebrał.

Zajrzałem do sieci i wkrótce dowiedziałem się dlaczego. Przytułek im. George'a Lyona przy Goldhawk Road zlikwidowano cztery miesiące temu, na początku czerwca, podając jako przyczynę brak funduszy. Starając się nie poddać zniechęceniu, wróciłem do sporządzania chronologii zdarzeń od naszego spotkania w styczniu.

8 STYCZNIA 2014 – spotkanie w kafejce w Hammersmith

8–16 STYCZNIA – mieszka w motelu

17 lub 18 STYCZNIA – wymeldowuje się z motelu

17/18 STYCZNIA–20 SIERPNIĄ – ???

21 SIERPNIĄ – wysyła do Gemmy list i podpisane papiery rozwodowe

22 SIERPNIĄ–2 PAŹDZIERNIKĄ – ???

Ostatnie cztery wiersze otoczyłem kółkiem.

Nie wiedziałem, co się z nim działo przez kilka miesięcy od naszej scysji szesnastego stycznia, ale czy to znaczy, że w tym czasie zniknął z powierzchni ziemi? Byłoby to bardzo trudne. Praktycznie niemożliwe.

Wziąłem do ręki telefon, zajrzałem pod S i odszukałem Spike'a, rosyjskiego hakera, przebywającego anonimowo w Londynie na przeterminowanej wizie studenckiej. Nie znałem jego prawdziwego nazwiska, bo nigdy nie spytałem, ale o ile Ewan Tasker był moją wtyką w Metropolitalnej, o tyle Spike był wytrychem do całej reszty. Już dawno pogodziłem się z tym, że to, co dla mnie robi, jest niezgodne z prawem, a teraz było mi to jeszcze bardziej obojętne. Dokumenty od Taska powinny przyjść z jutrzejszą pocztą: akta dotyczące zaginięcia Healy'ego i śledztwa w sprawie potrójnego zabójstwa. Potrzebny mi był jeszcze raport z życia Healy'ego.

– Pralniomat – powiedział Spike, odbierając telefon.

– Spike, tu David Raker.

– David! Jak leci?

Jego akcent był mieszaniną wschodnioeuropejskiej chropowatości, amerykańskiej nosowości i południowolondyńskiego zaśpiewu.

Przekazałem mu wszystko, co wiedziałem o Healym: historię jego zatrudnienia, dawny adres w St Albans, adres mieszkania, które wynajmował

po powrocie do Metropolitalnej po zawieszeniu, znane mi numery komórkowe, numer rejestracyjny jego samochodu.

– Potrzebuję wszystkiego – zakończyłem.

– Wszystkiego?

– Dosłownie wszystkiego, co ci się uda znaleźć na jego temat po czerwcu dwa tysiące dwunastego. Wtedy wyrzucili go z Metropolitalnej. Interesuje mnie wszystko od tamtej pory do teraz.

– To kupa roboty – powiedział. – Może mi to zająć około doby, może ciut mniej, miejmy nadzieję, że nie dużo więcej. Zależy, ile śladów po sobie zostawił.

Pozostawało mi już tylko czekać.

Chwilę później zadzwoniłem przez Skype'a do Annabel. Po paru sygnałach odebrała. Siedziała w swoim pokoju z zasłoniętymi zasłonami, ubrana w granatową bluzę od dresu. Wyglądała tak, jakby przed momentem przestała ćwiczyć. Włosy miała związane w koński ogon, na czole widać było kropelki potu.

– Co u ciebie, słoneczko?

– W porządku. Trochę się zmachałam.

– Biegałaś?

– Przebiegłam dziesięć kilometrów – odparła i opadła na kanapę. Podniosła się ze śmiechem i dodała: – Plus przez całe popołudnie uganiałam się za sześć- i siedmiolatkami.

Jako prowadząca zajęcia z tańca i aktorstwa dla dzieci nie zarabiała zbyt dużo, ale szczerze to kochała. Do tego posyłała Olivię do dobrej szkoły i mieszkała w pięknym domu ze spłaconą hipoteką na krańcach Dartmoor, nic więc dziwnego, że nie chciała się przenieść bliżej mnie. Pogadaliśmy o jej zajęciach na resztę tygodnia, innych obowiązkach i planach na weekend, po czym spytała, co u mnie.

Przyrzekłem sobie, że nigdy nie będę jej okłamywał, jeśli chodzi o moją pracę, ale zdążyłem już wielokrotnie złamać tę obietnicę. Wiedziała o Healym, bo zdarzało nam się omawiać sprawy, którymi aktualnie się zajmowałem, nie chciałem jednak wdawać się w szczegóły dotyczące jego i zamordowania Gail Clark i bliźniaczek. Mogło to być dla niej zbyt ciężkie.

– To kiedy nas odwiedzisz? – spytała chwilę później.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, w kadrze pojawiła się Olivia i zarzuciła siostrze ręce na szyję. Była śliczną dziewczynką z łagodnymi rysami twarzy

i gęstymi, ciemnymi włosami, w czym można się było dopatrzeć domieszki krwi azjatyckiej.

– Cześć, David! – wykrzyknęła tak głośno, że mikrofon aż z lekka zachrypiał.

– Hej, Liv, co u ciebie?

– Wszystko dobrze.

– Wszystko dobrze, dziękuję – poprawiła ją Annabel.

– Wszystko dobrze, dziękuję – powtórzyła posłusznie Olivia, po czym coś ją nagle zaciekawiło w telewizji.

Przez następne dwadzieścia sekund Annabel próbowała ją zmusić, by zechciała mi opowiedzieć, co robiła dziś w szkole, ale w końcu dziewczynce udało się szczęśliwie uciec z kadru.

– To ci dopiero gaduła – parsknęła Annabel.

– Jak się czuje?

– W porządku. Byłyśmy wczoraj na kontroli w szpitalu i lekarz stwierdził, że jest bardzo zadowolony z postępów i że nie widzi nic niepokojącego. Wciąż jeszcze odczuwa lekki ból w biodrze, ale lekarz mówi, że jej to przejdzie.

– To cudownie.

– Tak, bardzo się cieszę – powiedziała Annabel, a ja dostrzegłem, że lekko mruży oczy i uważnie mi się przygląda, jakby dostrzegła coś dziwnego.

– Wybieram się do was w następny weekend – rzuciłem szybko, by ją uprzedzić, ale nie zareagowała i wiedziałem już, że mój wybieg nic nie dał.

– Wyglądasz na strasznie spiętego – zauważyła z uśmiechem, by nieco złagodzić wymowę swych słów.

– U mnie wszystko w porządku.

– Na pewno?

Zerknąłem w prawy dolny róg ekranu, gdzie widać było moją twarz. Naprawdę tak źle wyglądam? Na zmartwionego? Podenerwowanego? Czy tak łatwo czytać z mojej twarzy?

– Wszystko dobrze – skłamałem.

– No, skoro tak mówisz. – Westchnęła. – A nasz przyjazd w końcu października aktualny? Liv będzie miała ferie i pomyślałam, że moglibyśmy pokazać jej Londyn.

– Już nie mogę się doczekać!

– Dzięki... – Zawiesiła głos, jakby chciała coś jeszcze dodać, ale się rozmyśliła, a ja nie podjąłem tematu.

I tak wiedziałem, co chciała powiedzieć.

Moje próby zbliżenia się do córki napotykały różne drobne przeszkody. Czasami wspominała o straconych latach i ludziach, którzy odeszli – o raku mojej żony i o tym, jak to zabrało mi radość tworzenia rodziny z Derryn.

Czasem obawiałem się, że moja praca wbije między nas niemożliwy do usunięcia klin, tak jak to się stało z moją sąsiadką Liz, i bywało – zwykle o świcie, gdy samotnie leżałem w łóżku – że zaczynałem się zastanawiać, czy przez Annabel nie będę musiał zrezygnować z szukania zaginionych. Po śmierci żony, w czasie żałoby po niej i w trakcie prób wyjścia na prostą, łączność z osobami zaginionymi i ich rodzinami była czymś stałym i pozwalała mi odnajdywać się w otaczającym mnie cieniu.

Nie chciałem tego utracić.

Głównie jednak chodziło o drobniejsze i bardziej osobiste sprawy, jak na przykład to, że dotąd nie zdobyła się, by mnie jakoś nazwać. Nie oczekiwałem, że zacznie mówić do mnie „tato”, bo w jej życiu to słowo było zarezerwowane dla kogoś innego, ale nie zwracała się do mnie nawet po imieniu. Utknęliśmy gdzieś między pamięcią o jej przybranej rodzinie a tym, kim naprawdę dla niej byłem.

A byłem jej ojcem.

Tyle że bezimiennym.

* * *

Położyłem się na kołdrze od razu po rozmowie, wyczerpany i zgnębiony, i wpatrzyłem w tonące w mroku kąty pokoju. Blask księżyca wpadał przez otwarte okno, zalewając sufit bladą poświatą. W pokoju było gorąco i duszno, za oknem panowała grobowa cisza. Pociłem się tak bardzo, że cała pościel zwilgotniała, ale przyczyną nie były niespotykane o tej porze roku upały. Powód tkwił w mojej głowie. Myślałem o Healym i o tym, co się z nim teraz dzieje i co napisał w swoim liście, o naszej ostatniej rozmowie.

Do rana nie zmrużyłem oka.
A potem zrobiło się jeszcze gorzej.

Wstałem o szóstej i poszedłem pobiegać, najpierw po ciemku, później w pełnym słońcu. Po powrocie usiadłem w kuchni i przyglądałem się przez okno, jak moi sąsiedzi razem wyjeżdżają do pracy. O ósmej raz jeszcze obejrzałem nagranie z konferencji prasowej Healy’ego, o dziewiątej przyszedł wreszcie listonosz i przyniósł brązową kopertę A4.

W środku były akta zabójstwa i zgłoszenie zaginięcia.

Z kopertą i trzecią kawą tego dnia przeniosłem się na taras za domem. Tasker ani nie dołączył żadnej notki, ani nie zostawił śladu nadawcy na kopercie, ale nie było w tym nic dziwnego. Zwykle wysyłał mi jednocześnie pokrętnie sformułowanego maila, w którym się upewniał, że dostałem to, o co mi chodziło.

Resztę poczty odłożyłem na później i zacząłem od zgłoszenia zaginięcia, które otwierała policyjna fotografia Healy’ego. Był w mundurze inspektora policji, co znaczyło, że zdjęcie pochodziło co najmniej sprzed pięciu lat. Wyglądał na nim tylko nieco młodziej: trochę więcej włosów na głowie i trochę bardziej rumiane policzki. Widać było znaczną nadwagę i czerwoną wysypkę po goleniu nad kołnierzykiem koszuli. Pamiętałem, że podczas jednego ze spotkań w motelowym barze miał identyczne zaczerwienienie dokładnie w tym samym miejscu.

Znałem większość jego danych osobowych, pomiąłem je więc i przeszedłem do następnej strony, na której zamieszczono zgłoszenie przyjęte przez Miriam Davis z komisariatu w Barnet.

Gemma przedstawiła pani posterunkowej krótką historię ich małżeństwa, początkowo bardzo udanego: pobrali się w 1986 roku jako dwudziestoparolatkowie i kupili w St Albans „dom do remontu”, ale Colm zakasał rękawy i zabrał się do wyteżonej pracy. Dwa lata później urodził się

Ciaran, po osiemnastu miesiącach przyszła na świat Leanne, po kolejnych dwóch latach Liam. Ton opowieści Gemmy stopniowo się jednak zmieniał. W małżeństwie nastały burzliwe czasy i znalazło to wyraz w jej coraz bardziej krytycznej ocenie Healy'ego.

O zmianach, jakie w nim zaszły – zwłaszcza po ujrzeniu ciał April i Abigail – mówiła w podobnym duchu jak w rozmowie ze mną poprzedniego dnia. Oświadczyła, że po separacji w 2011 roku całymi miesiącami z sobą nie rozmawiali, porozumiewając się jedynie mailami i esemesami.

POSTERUNKOWA DAVIS: Dlaczego?

GEMMA: Bo nie mogłam na niego patrzeć.

POSTERUNKOWA DAVIS: Dlaczego?

GEMMA: Myślę, że po śmierci naszej córki Leanne coś się między nami skończyło, umarło. Nie miałam mu już nic do powiedzenia. Ale nie tylko to. Doprowadził do ruiny nasze małżeństwo znacznie wcześniej. Śmierć bliźniaczek kompletnie go odmieniła. Oczywiście wiem, że bardzo się tym przejął. Miały po osiem lat i śmierć ich i matki była zupełnie bezsensowna. Tyle że przez całe życie zawodowe Colm miał do czynienia z podobnymi sprawami, a nigdy wcześniej tak nie reagował.

POSTERUNKOWA DAVIS: To dlaczego tym razem?

GEMMA: Myślę, że dziewczynki skojarzyły mu się z naszymi dziećmi w tym wieku. I myślę, że przypomniały mu czasy, gdy je rozumiał, a one rozumiały jego.

W końcu, po długiej walce ze sobą, w lipcu 2013 uznała, że pora formalnie zakończyć małżeństwo, i poszła do adwokata.

Gemma poinformowała Davis, że papiery rozwodowe zostały wysłane dwudziestego trzeciego lipca 2013 roku na adres domu na Isle of Dogs, w którym Healy wynajmował pokój. Kilka dni później zadzwoniła, by mu wyjaśnić, że tak będzie najlepiej dla wszystkich, po czym jeszcze wielokrotnie go namawiała, żeby dla dobra obu stron podpisał zgodę na rozwód. Zapewniła też policjantkę, że od początku zamierzała przeprowadzić całą sprawę w możliwie przyjaznej atmosferze.

A potem, w październiku, Healy zniknął z powierzchni ziemi.

GEMMA: Mój adwokat ustalił, że Colm od listopada nie mieszka już na Isle of Dogs.

POSTERUNKOWA DAVIS: I gdzie wtedy mieszkał?

GEMMA: Tego nie wiem.

POSTERUNKOWA DAVIS: Nie mogła się pani z nim skontaktować?

GEMMA: Nie mogłam. Przestał odpowiadać na moje esemesy i maile, aż do stycznia nie odzywał się do chłopców. Po prostu zniknął.

W rzeczywistości nie zniknął, tylko stał się bezdomnym.

I wstydził się przyznać Gemmie i chłopcom, że w listopadzie 2013 roku skończyły mu się pieniądze.

Został bez grosza.

Poza jednym telefonem do synów w styczniu, gdy zadzwonił do nich z motelu, od listopada nie istniał dla świata i nie było od niego żadnych wiadomości, aż do dwudziestego pierwszego sierpnia 2014 roku, kiedy wysłał Gemmie list i podpisane papiery rozwodowe. I tylko ja miałem z nim kontakt przez osiem dni między ósmym a szesnastym stycznia, a to znaczyło, że Craw mogła mieć rację, mówiąc, że jestem ostatnią osobą, która widziała go żywego. Znaczyło to także, że wiedziałem coś o jego ruchach w czasie, gdy wszyscy inni stracili go z oczu.

Coś, ale na pewno nie wszystko.

A po naszej ostatniej rozmowie szesnastego stycznia już nic.

W tym momencie Davis powinna była przejąć inicjatywę i wykorzystując możliwości Policji Metropolitalnej, ustalić, jakie były losy Healy'ego w ciągu dziesięciu miesięcy od listopada 2013 roku do sierpnia 2014, kiedy bez wątplenia jeszcze żył, a także w początkach września, gdy nie było to już takie pewne. Ona jednak oprócz powiadomienia Biura Osób Zaginionych nie zrobiła praktycznie nic.

W przesłanym protokole nie znalazłem żadnej przydatnej wskazówki. Poza rozmową z Gemmą posterunkowa Davis nie przeprowadziła żadnych innych i nie ustaliła miejsc pobytu Healy'ego między listopadem a datą

wysłania listu. Nie odszukała żadnych świadków, nie dołączyła wyciągów bankowych ani billingów telefonicznych, nie wspomniała o mailach. Czy to znaczyło, że nie udało jej się znaleźć żadnego śladu Healy'ego w tym okresie? Że w ciągu całego tego czasu tylko raz dał o sobie znać, by spędzić osiem dni w motelu?

Wiedziałem, że odpowiem sobie na pytania, gdy tylko Spike się do mnie odezwie, choć już teraz taka wersja zdarzeń wydawała się mało prawdopodobna: Healy, jakiego znałem, nie znalazłby w sobie tyle dyscypliny, zwłaszcza jeśli jego życie znalazło się na kolejnym wirażu. W jednym miałem nad Davis przewagę: nic nie wiedziała o bezdomności Healy'ego, bo w chwili zawiadomienia o zaginięciu Gemma też nie była tego świadoma. A to znaczyło, że policjantce nie mogło przyjść do głowy, by szukać go po przytułkach i noclegowniach dla bezdomnych.

Jego pojawienie się w styczniu mogło przejść niezauważone, bo to ja zapłaciłem za motel, pożyczyłem pieniądze i kupiłem nowy telefon komórkowy. Gdyby potem wrócił na ulicę i wałęsał się po bramach i schroniskach, zapewne posługiwałyby się nową komórką, Davis zaś szukałaby go pod jego wcześniejszym numerem.

W rezultacie, ponieważ Metropolitalna nie dysponowała jego nowymi namiarami, teoretycznie mógł przez całe miesiące pozostawać poza polem widzenia. Tyle że w związku z tym musiałyby ściśle kontrolować każdy przejaw życia, bo zniknięcie bez śladu jest bardzo trudne, jeśli nie wręcz niemożliwe. Szczerze wątpiłem, by Healy potrafił to zrobić, nawet gdyby bardzo się postarał. Mógł nie korzystać z kart kredytowych, nie mieć stałego adresu, nie płacić czynszu i nie posiadać samochodu, ale gotów byłem się założyć, że jakiś ślad po sobie zostawił.

Trzeba go było tylko odnaleźć.

Davis udało się jedynie ustalić, że list doręczono za pośrednictwem Centrum Poczтового Mount Pleasant w Clerkenwell, co jednak stanowiło informację bez praktycznego znaczenia. Centrum Mount Pleasant jest jedną z największych sortowni poczty na świecie, codziennie przepływają przez nie miliony przesyłek i nawet list polecony trudno zlokalizować. List Healy'ego,

ponieważ został wysłany jako zwykły priorytetowy, był przesyłką nie do prześledzenia.

Powróciłem do chronologii zdarzeń, którą zacząłem odtwarzać poprzedniego wieczoru, i uzupełniłem ją o nowe punkty. Lista znacznie się rozrosła i wyglądała teraz tak:

23 LIPCA 2013 – adwokat wysyła do Healy’ego papiery rozwodowe; Healy mieszka w wynajętym pokoju w domu na Isle of Dogs (gdzie dokładnie?)

23 LIPCA–PAŹDZIERNIK – Gemma namawia Healy’ego do podpisania papierów

PAŹDZIERNIK – trudności ze zlokalizowaniem Healy’ego (czy wtedy skończyły mu się pieniądze? dokąd się przenosi?)

LISTOPAD – Healy całkowicie znika (bezdomność)

7 STYCZNIA 2014 – dzwoni do mnie, chce się spotkać

8 STYCZNIA – spotkanie w kafejce na Hammersmith.

8–16 STYCZNIA – mieszka w motelu

17 lub 18 STYCZNIA – wymeldowuje się z motelu

17/18 STYCZNIA–20 SIERPNIĄ – gdzie w tym czasie przebywa? co robi?

21 SIERPNIĄ – wysyła do Gemmy list i podpisane papiery rozwodowe

22 SIERPNIĄ – Gemma zgłasza zaginięcie

23 SIERPNIĄ–2 PAŹDZIERNIKA – gdzie w tym czasie przebywa? co robi?

Siedem miesięcy między siedemnastym lub osiemnastym stycznia a dwudziestym sierpnia zdawało się mieć kluczowe znaczenie dla sprawy. Wynajmując pokój w motelu, zapłaciłem z góry za dziesięć dni, co oznaczało, że musiał się wymeldować najpóźniej osiemnastego stycznia. Pożyczyłem mu też dość forsy, by starczyło na co najmniej dwa tygodnie – powiedzmy do początków lutego – ale dalej nie miałby już z czego żyć. A mimo to przeżył blisko siedem miesięcy bez pracy i bez dachu nad głową, po czym zupełnie nieoczekiwanie napisał ugodowy list do Gemmy. Co go do tego skłoniło? Co się zmieniło? Gdzie się przez ten czas podziewał?

Wydawało się niemal pewne, że sześć tygodni temu jeszcze żył. Raport kończył się wykazem dat wszystkich uzupełnień, jakie wprowadzano do niego

od chwili przyjęcia zgłoszenia dwudziestego drugiego sierpnia, co do pewnego stopnia potwierdzało słuszność mojego rozumowania. Ostatnie uzupełnienie miało datę drugiego września, czyli zostało dodane niemal dwa tygodnie po zgłoszeniu i dotyczyło informacji z BOZ, że żadne niezidentyfikowane ciało znalezione w okresie do trzydziestego pierwszego sierpnia nie odpowiadało przekazanemu rysopisowi Healy'ego ani jego danym dentystycznym.

Zostawały dwie możliwości: albo Healy wciąż się gdzieś ukrywa i żyje, albo do dnia ostatniego sprawdzenia przez BOZ, czyli do trzydziestego pierwszego sierpnia, jego zwłok nie odnaleziono.

Nie zastanawiając się zbyt nad drugą ewentualnością, skupiłem się na treści raportu. Tyle że właściwie nie było się na czym skupiać.

Nic się w tej sprawie nie działo.

Sześć tygodni po wizycie Gemmy w komisariacie w Barnet i zgłoszeniu zaginięcia Healy'ego śledztwo policyjne praktycznie utknęło w martwym punkcie.

Otworzyłem teczkę z aktami zabójstwa.

Z fotografii patrzyły na mnie członkinie rodziny Clark. April i Abigail stały po bokach, w środku klęczała ich matka Gail, obejmując je w pasie. W tle widać było wstęgi kolorowej folii i urodzinowe baloniki bliźniaczek.

To nie było to samo zdjęcie, które widziałem dziewięć miesięcy wcześniej, ale przyglądając się gładkim buziom dziewczynek i ich zaplecionym w warkoczyki jasnym włoskom, poczułem to samo co wtedy: część mnie chciała się od tego uwolnić i uciec. Bałem się tej chwili i próbowałem się do niej przygotować, lecz i tak, patrząc im w oczy, miałem dreszcze. Momentalnie jednak wszelkie płaczące się po głowie myśli o niemieszaniu się do tej sprawy uleciały i czułem, jak wzbiera we mnie wściekłość, jak wypala mi dziurę w środku klatki piersiowej i wyzwala we mnie zwierzęcy instynkt. Na swój sposób tłumaczyło to też Healy'ego. Ta nieszczęsna rodzina i ta zbrodnia zasługiwały na coś więcej niż nasza ostatnia kłótnia. Żadne wypowiedziane przez niego wtedy słowa już nie były ważne. Ważne było tylko to.

Zacząłem przewracać kartki.

Dużo pamiętałem z rozmów z Healem w styczniu, ale i tak czytałem wszystko od nowa, odświeżając sobie kolejne zdarzenia: jak znaleziono dziewczynki otulone kołdrami i zaraz potem na kanapie w sąsiednim pokoju ich matkę z dziewięcioma ranami kłutymi; jak Gail uporządkowała swoje życie i jak bezgranicznie była oddana swoim córkom; jak podjęła naukę na Uniwersytecie Otwartym na wydziale historii i nauk społecznych; jak pracowała na pół etatu w miejscowej bibliotece; jak opieka nad dziećmi, praca i nauka nie zostawiały jej czasu na kontakt nawet z najbliższymi przyjaciółkami.

Ponownie przeczytałem zeznania sąsiadki zza ściany, Sandry Westerwood, która jako pierwsza wszczęła alarm i która twierdziła, że w miesiącach poprzedzających tragedię widywała wszystkie trzy w towarzystwie niezidentyfikowanego trzydziestoparoletniego mężczyzny o ciemnych włosach i średniej budowie ciała. I jak poszukiwania mężczyzny imieniem Mal lub Malcolm, zatrudnionego jako kierowca samochodu dostawczego i chodzącego w oliwkowej koszuli, okazały się ślepym zaułkiem i jak przyczyniły się do tego brak śladów DNA i zepsute kamery monitoringu wewnątrz i na zewnątrz Searle House. Świadców – w każdym razie takich, których zeznania mogłyby pchnąć sprawę do przodu – praktycznie nie było. Potem jednak dotarłem do miejsca, w którym zatrzymaliśmy się z Healym w styczniu w chwili, gdy przerwał nam telefon od Annabel w sprawie Olivii. Przypomniałem sobie to nazwisko.

Joban Kehal.

Gdyby ta sprawa była kurą, po prostu ukręciłbyś jej łeb – powiedział wtedy Healy. Brak motywu, brak śladów DNA, niewiarygodni świadkowie i jedenaście tysięcy facetów noszących imię, które może w ogóle nie mieć znaczenia. Ale potem wziął do ręki teczkę, zaczął ją przeglądać i pokazał mi zeznanie kolejnego świadka, a ja spytałem, co to jest: *Jedynе zeznanie, które ma jaką taką wartość dowodową.*

Nazwisko Kehal było ostatnim słowem, jakie udało mi się przeczytać, zanim wszystko się rozleciało. Powróciwszy do akt dziewięć miesięcy później, stwierdziłem, że poza zeznaniem Sandry Westerwood znajdowały się w nich zeznania nie jednego, ale jeszcze dwojga innych świadków. Pierwszym z nich był Kehal, który również mieszkał na siedemnastym piętrze Searle House, pięć drzwi dalej, tuż przy klatce schodowej, drugim – kobieta, Bridgette Koekver z czwartego piętra, która w niedzielę wieczorem wracała do domu z jakiejś imprezy.

Zacząłem od relacji Kehala.

Rozkład lokalu, w którym mieszkał z żoną i dwójką dzieci, był identyczny jak u Gail. Kehal zeznał, że w niedzielę jedenastego lipca około godziny dwudziestej drugiej trzydzieści usłyszał jakieś kroki za drzwiami.

Healy zaczął go wypytywać i Kehal przyznał, że w pierwszej chwili pomyślał, że słyszy kroki dwóch osób: kogoś idącego w jedną stronę i kogoś innego idącego w stronę przeciwną, potem jednak odgłos kroków powtórzył się drugi i trzeci raz, podszedł więc do drzwi i wyjrzał przez judasz. Na podeście schodów, na prawo od swoich drzwi, zobaczył jakiegoś mężczyznę, który w tym momencie stał zwrócony do niego plecami.

HEALY: Stał i co robił?

KEHAL: Nic nie robił.

HEALY: Tylko sobie stał?

KEHAL: Stał nieruchomo. Nie ruszał się. Jakby na coś czekał.

Do akt dołączono fotografię klatki schodowej. Między klatką a mieszkaniami nie było żadnej przegrody – długi szereg jednakowych niebieskich drzwi ciągnął się po jednej stronie korytarza, drugą stanowiła balustrada otwartej galeryjki. Na szkicu sytuacyjnym piętra zaznaczono krzyżykami drzwi mieszkania Kehala i pozycję mężczyzny. Odległość między nimi wynosiła około pięciu metrów.

Niestety, angielski Kehala był dość ograniczony i gdy Healy próbował wydobyć z niego więcej szczegółów, rozmowa się nie kleiła. Nieduża odległość dzieląca drzwi Kehala od klatki schodowej wcale nie pomogła i za każdym razem, kiedy Healy próbował mocniej go przyciskać, świadek ograniczał się do powtarzania, że mężczyzna stał nieruchomo plecami do niego, jakby na coś czekał. Albo do czegoś się szykował, pomyślałem, po czym stwierdziłem, że ktoś z ekipy Healy’ego musiał dojść do podobnego wniosku, bo na marginesie dopisał: „Może się wahał? Może opadły go wątpliwości?”.

Czy tym kimś był Mal?

Uznawszy, że Kehal okaże się bardziej elokwentny, gdy będzie mógł wysławiać się w języku, którego używał przez większość życia, Healy zaangażował tłumacza z języka pendzabskiego i zaczął przesłuchanie od nowa. Odpowiedzi Kehala rzeczywiście stały się pełniejsze, ale w kwestii zasadniczej niewiele się zmieniło. Jedyne, co zwróciło moją uwagę, to pytania

Healy'ego o to, czy zachowanie mężczyzny nie wskazywało, że jest zdenerwowany.

KEHAL: Nie.

HEALY: Mówił pan, że wcześniej chodził tam i z powrotem po korytarzu. To mogłoby wskazywać, że jest zdenerwowany.

KEHAL: Chyba nie był.

HEALY: Skąd pan może to wiedzieć?

KEHAL: Bo wyglądał... sam nie wiem, ale wydał mi się rozluźniony. Co chwilę zerkał na zegarek i sprawdzał godzinę.

HEALY: Patrzył na zegarek?

KEHAL: Nie przyglądałem mu się długo, ale w tym czasie spojrział na zegarek co najmniej dwa razy. Może nawet trzy.

HEALY: Czyli wyglądało to tak, jakby miał jakiś plan czasowy?

KEHAL: Tak, trzymał się jakiegoś planu.

Dzięki pomocy tłumacza Healy uzyskał w miarę dokładny opis mężczyzny. Wprawdzie intruz przez cały czas stał odwrócony plecami, a przyglądanie się mu przez Judasz trwało nie dłużej niż czterdzieści sekund, Kehal opisał go jako blondyna z włosami związanymi z tyłu głowy w krótką kitkę, dobrze po czterdziestce, wzrostu mniej więcej metr osiemdziesiąt pięć. Rysopis ten nie pasował do mężczyzny widywanego przez Sandrę Westwood w towarzystwie Gail i dziewczynek, za to jego wygląd znacznie poszerzał pole poszukiwań: był ubrany w dżinsy, krótki granatowy prochowiec i biały T-shirt.

Zeznanie Kehala nie wniosło wiele do sprawy. Mężczyzna się nie ruszał, ani razu nie odwrócił się twarzą i nie sposób było powiązać go z ofiarami. Bo jeśli to nie był Mal, to kto? Ich zabójca? Czy może po prostu przypadkowy mężczyzna, który na kogoś czekał w bloku zamieszkanym przez sześćset osiemdziesiąt osób?

Przeszedłem do zeznania Bridgette Koekver.

Pochodząca z Hoorn Holenderka Koekver miała dwadzieścia pięć lat i pracowała jako sekretarka w firmie prawniczej przy Marsh Wall, na

południe od Canary Wharf. W niedzielę jedenastego lipca nabijała nadgodziny w ramach przygotowań do wielkiej sprawy sądowej, czekającej firmę w następnym tygodniu. Wyszła z pracy o 19.00 i pojechała do koleżanki na oblewanie jej nowego mieszkania w okolicy doku Blackwall. O 22.15 wsiadła do metra i wróciła na Canary Wharf, przesiadła się na Canada Water i dojechała do stacji New Cross Gate, skąd poszła do domu. Około 22.45 – mniej więcej kwadrans po tym, jak Kehal zauważył nieznanego na korytarzu siedemnastego piętra – Koekver natknęła się na tego samego mężczyznę przy wejściu do bloku.

Także jej zeznanie opatrzone szkicem sytuacyjnym, na którym zaznaczono pozycje wchodzącej Koekver i wychodzącego mężczyzny oraz wytyczono liniami przerywanymi ich przybliżone trasy ruchu. Minęli się w odległości niecałego pół metra. Koekver nadeszła z lewej strony, mężczyzna po wyjściu z bloku skręcił w prawo i oddalił się w stronę Cork Hill Lane, ulicy prowadzącej do Searle House i dwóch bliźniaczych bloków. Pamiętałem ją ze swojej wizyty w styczniu, kiedy pojechałem obejrzeć miejsce zbrodni.

Tym, co zwróciło moją uwagę w zeznaniu Koekver, był nie opis spotkanego mężczyzny – blondyn po czterdziestce, z kitką z tyłu głowy, w dżinsach, krótkim prochowcu i białym T-shircie – dokładnie pasujący do opisu podanego przez Kehala, ale to, że po wyjściu z bloku mężczyzna puścił się biegiem.

I coś jeszcze.

Miał zakrwawione ręce.

HEALY: Jak bardzo zakrwawione?

KOEKVER: Nie bardzo... tylko takie plamki, wie pan.

HEALY: Zbryzgane?

KOEKVER: Nie bardzo wiem, co to znaczy.

HEALY: Dużo małych plamek?

KOEKVER: Nie bardzo dużo. Tylko trochę.

HEALY: Ale wystarczająco dużo, by je pani zauważyła?

KOEKVER: Zdecydowanie tak.

HEALY: I jest pani pewna, że to była krew?

KOEKVER: Jak teraz wiem, co się wtedy stało tej rodzinie, to jestem pewna.
Ale jak go zobaczyłam po ciemku, bo wie pan, tam nie ma dużo światła,
to nie byłam taka pewna.

HEALY: I dlatego nie zawiadomiła pani policji?

KOEKVER: Tak.

Właśnie tu przydałoby się nagranie z monitoringu.

Tyle że tego wieczoru dwie kamery były zepsute i ekipa śledcza musiała polegać na zapisie tylko jednej działającej, która była zwrócona ku Cork Hill Lane, jedynej ulicy dojazdowej do osiedla.

Przez chwilę wyglądało na to, że ekipie wreszcie się poszczęściło.

Z kamery uzyskano serię czarno-białych ujęć blondyna z kitką na głowie, jak wychodzi z Searle House i rusza w stronę samochodów zaparkowanych na Cork Hill Lane. Najwyraźniejszy obraz twarzy dawała jedna z pierwszych klitek po jego wyjściu z bloku. Widać go było na niej z profilu, ale postawiony kołnierz prochowca częściowo zasłaniał podbródek, a majtająca się z tyłu głowy kitka przesłaniała ucho i policzek.

Na twarzy miał brodę w tym samym odcieniu co włosy i tak krzaczastą, że przez chwilę się zastanawiałem, czy to nie kamuflaż. Jeśli tak, nieźle to wymyślił, bo rozdzielczość kamery nie pozwalała dokładnie określić zarysu podbródka i łuku górnej wargi. W rezultacie dolna część jego twarzy była tylko masą zarostu i wyglądała jak rozmazana jasna plama.

Nad nią obraz był już jednak wyraźniejszy.

Nos był krótki, nieco perkaty i sprawiał takie wrażenie, jakby kilka razy został złamany i nikt go odpowiednio nie nastawił. Mężczyzna miał też lekką nadwagę, nieznaczną, ale widoczną, i to nawet nie w sylwetce – wydawał się postawny, dobrze zbudowany i silny – lecz na twarzy. Policzki miał pucułowate, pod oczami zaś widać było fałdy tłuszczu.

No właśnie, te jego oczy.

Jakby nie bardzo pasowały do reszty.

Biła z nich dziwna obcość, jak gdyby zostały wypożyczone z innej twarzy. Czarno-biały obraz dodatkowo komplikował sprawę, bo choć w rzeczywistości mogły być piwne, niebieskie lub zielone, na ujęciach były

mętnymi, ciemnymi krążkami pozbawionymi wyrazu, całkowicie niepasującymi do jego blond włosów i jasnej karnacji.

Tak czy siak, była to najwyraźniejsza podobizna, jaką policja dysponowała.

Na drugim zdjęciu był już w połowie drogi do zaparkowanych samochodów. Biegł i pęd powietrza lekko wydał mu prochowiec na plecach.

Na trzecim dobiegał już do chodnika.

A potem przyjrzałem się czwartemu.

Spodziewałem się, że pobiegnie dalej, w stronę New Cross Road, ale na czwartym zdjęciu stał przy jednym z samochodów zaparkowanych przy chodniku i otwierał drzwi. Mondeo w jakimś ciemnym kolorze.

Blondyn wsiadł po stronie pasażera.

Na piątym zdjęciu był już w środku i zatrząskiwiał drzwi, ale paląca się lampka oświetlała wnętrze na tyle, że dostrzegłem coś jeszcze.

W samochodzie był ktoś drugi.

Siedział po stronie kierowcy, dłonie w rękawiczkach trzymał na kierownicy, twarz miał lekko zwróconą ku pasażerowi. Był ubrany w podobny granatowy lub czarny prochowiec, na głowie miał coś w rodzaju ciemnej bejsbolówki. Na szóstej i ostatniej klatce drzwi mondeo były już zatrzaśnięte, lampka zgaszona i samochód ruszał z miejsca.

Zdjęcie wyraźnie ukazywało tablicę rejestracyjną.

Przewróciłem kartkę i przebiegłem wzrokiem wyniki dochodzenia w sprawie samochodu: trzy tygodnie później znaleziono go na długoterminowym parkingu przy terminalu czwartym lotniska Heathrow.

Healy i jego ludzie przejrzeni nagrania z kamer monitoringu na parkingu, by przyjrzeć się lepiej użytkownikom, okazało się jednak, że samochód został skradziony w piątek, dziewiątego lipca, z osiedla w Charlton.

I w ten sposób kolejna ścieżka doprowadziła do kolejnego ślepego zaułka.

Nagranie z Heathrow było bezwartościowe. Widać było, że pasażerowie mondeo wszystko skrupulatnie przemyśleli, bo postawili samochód siedemdziesiąt pięć metrów od najbliższej kamery o najbardziej ograniczonym polu widzenia. Wyszli z samochodu w czarnych włóczkowych czapkach i czarnych płaszczach z postawionymi kołnierzami.

To, że działo się to o godzinie 1.57 w nocy i wokół panowały ciemności, dodatkowo utrudniało identyfikację.

Następnie ekipa Healy'ego przejrzała nagrania z kamery przy Cork Hill Lane, by się upewnić, czy ów blondyn nie kręcił się po osiedlu w dniach poprzedzających zabójstwo i nie obserwował ofiar, ale ani razu go nie namierzono. Ponieważ było mało prawdopodobne, by pojawił się tam po raz pierwszy dopiero w dniu morderstwa – zwłaszcza że Gail bez oporów wpuściła go do mieszkania – ekipa doszła do oczywistego wniosku, że musiał nadejść od strony stacji metra. Czy tylko miał szczęście, że kamera od tej strony była zepsuta, czy o tym wiedział i dlatego wybrał tę drogę? Ta druga ewentualność budziła większy niepokój, bo znaczyłaby, że mają do czynienia z zabójcą precyzyjnie planującym każdy krok i zdającym sobie sprawę z zagrożeń. Kimś planującym wszystko z zimną krwią.

Wróciłem do zdjęć mężczyzny wychodzącego z Searle House.

Pierwsza klatka – najwyraźniejsza podobizna, jaką śledczy mieli – była i tak na granicy przydatności, co tłumaczyło, dlaczego rysopis podejrzanego ani jego zdjęcie nigdy nie trafiły do prasy. Kadr był nieostry i rozmyty nawet po laboratoryjnej obróbce i czytelnicy mieliby poważny problem z rozpoznaniem rysów. Najbardziej charakterystyczny był nos – jego kształt oraz to, że wyglądał na parokrotnie złamany – ale mnie niepokoił także wygląd jego oczu, które zdecydowanie nie pasowały do reszty twarzy.

Być może Healy'ego też zaniepokoiły.

Wodziłem palcem po obrysie twarzy, próbując dojść do tego, co mi w niej przeszkadza, aż wreszcie mnie olśniło.

Jego włosy. Jego zarost.

Nie pasowały do jego oczu.

Jego włosy i zarost były farbowane.

I nagle wszystko wskoczyło na swoje miejsce. Healy nie przekazał prasie podobizny, bo wiedział, że wprowadziłby tym media i społeczeństwo w błąd. To dlatego broda była tak rozwichrzona, bo mężczyzna nie zamierzał jej zachować. Jednocześnie pomyślałem o czymś jeszcze: Mał, którego Sandra Westerwood widywała z Gail i który w miesiącach przed morderstwem

towarzyszył dziewczynkom na placu zabaw, miał metr siedemdziesiąt pięć do metra osiemdziesięciu wzrostu, czarne włosy i był średniej budowy ciała.

Czy mógł to więc być ten sam mężczyzna?

Bo poza kolorem włosów wszystko inne się zgadzało. To by też wyjaśniało obecność blondyna w pobliżu mieszkania Clark. Mogło też tłumaczyć, dlaczego Gail bez oporów wpuściła go w nocy do środka mimo ufarbowanych włosów i zmienionego wyglądu oraz dlaczego w mieszkaniu nie było żadnych śladów walki. Żadnych krzyków, żadnych hałasów.

Po prostu go znała i mu ufała.

Ale kim mógł być ten drugi, ten kierowca?

Przeszedłem do piątego zdjęcia z kamery monitoringu przed Searle House. Blondyn był już w środku w mondeo i z ręką na klamce zatrząskiwał drzwi. Lampka na suficie rzucała mdły blask na niego i siedzącego obok kierowcę, którego twarz była rozmazana, rysy niewyraźne, oczy sprowadzone do ciemnych plam, policzki zaś przypominały gładkie, szare placki. Ponownie przyjrzałem się jego płaszczowi i ciemnej bejsbolówce, ale obraz był na tyle rozmyty, że nie dało się odczytać żadnych napisów, nawet jeśli na niej były.

Poczułem rosnącą irytację i wyobraziłem sobie, jak frustrujące musiało to być dla Healy'ego, gdy siedział, wpatrując się w rozmazane, źle skadrowane, prześwietlone, achromatyczne obrazki.

A potem zaczęło mi coś kołatać w głowie – coś, czego nie umiałem jasno zdefiniować. Powróciłem do zdjęcia obu mężczyzn, skupiając wzrok na kierowcy oraz jego dłoniach w czarnych rękawiczkach na kierownicy i twarzy lekko zwróconej w stronę pasażera. W aktach znajdowały się dwie wersje tego ujęcia: jedno oryginalne, bezpośrednio z kamery, drugie powiększone i oczyszczone z brudów, ale znacznie mniej wyraźne. Im bardziej obraz powiększano, tym bardziej tracił na ostrości.

Czegoś mi tu brakowało.

Położyłem obok siebie oba ujęcia w nadziei, że dojrzę to coś, co mi w nich przeszkadza, ale jedyne, co rzuciło mi się w oczy, to jakiś brud na obiektywie kamery: może rysa, a może włoszek, paproch czy jeszcze coś innego. Na zdjęciu wyglądało to tak, jakby lewa strona twarzy kierowcy była pęknięta, co

nadawało jej jeszcze dziwniejszy wyraz: obojętne, pozbawione wyrazu rysy, puste, ciemne oczodoły i rozmazane plamy zamiast ust i nosa.

Odchyliłem się do tyłu i spojrzałem na ogród, bo nagle do mnie dotarło, że Healy nie był w stanie znaleźć żadnego z tych dwóch, ponieważ obaj byli nie do zidentyfikowania – albo dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, albo dzięki precyzji w zaplanowaniu akcji.

Jeden zmienił swój wygląd.

Drugi zdawał się w ogóle go nie mieć.

Człowiek w prochowcu

22 dni, 3 godziny i 24 minuty przed

Obudził się z sercem walącym jak młotem, w T-shircie i szortach mokrych od potu. Nie pamiętał, co mu się śniło, ale musiało być straszne: jego ciuchy, poszewkę na poduszkę i pościel można było wyżymać. Wsłuchując się w zwalniający rytm serca, czuł, że po śnie został mu jakiś paskudny osad, jakby blizna na pamięci.

Usiadł i zrzucił z siebie kołdrę.

W sypialni nie było okna, ale przez otwarte drzwi wpadała blada poświata księżyca, który zaglądał w kuchenne okno po drugiej stronie przedpokoju. Oparł się na rękach i spojrzał przez ramię na śpiącą obok Gail. Oddychała równo i spokojnie. Patrząc na nią, poczuł ulgę, że jego sen – czegokolwiek dotyczył – pozostał głęboko w jego głowie. Cieszył go powrót do rzeczywistości.

Powrót do Gail. Powrót do dziewczynek.

Ściągnął z siebie przepoconą koszulkę i uważając, by nie obudzić Gail, sięgnął po szlafrok i wstał, by zajrzeć do pokoju dziewczynek. Leżały na sąsiednich łóżkach, pogrążone w głębokim śnie; nikły blask lampki nocnej wiszącej na ścianie oświetlał ich twarze. Obie tuliły swe nocne przytulanki – April wystrzępiony bawełniany kocyk, Abigail biało-brązowego szczeniaczka. W ich pokoju również nie było okna, więc pomógł im namalować na ścianie widoczek: rozświetloną plażę na całej wolnej przestrzeni od podłogi do sufitu, a one szybko wypełniły ją różnymi dodatkami: – kosmitami, ciężarówkami i zamczyskami. Pokój dziewczynek stał się też szybko pokojem psa, który uwielbiał kłaść się pod malunkiem, bo na tej ścianie znajdował się kaloryfer.

Uśmiechnął się w duchu, począłapał do kuchni i włączył czajnik. Zegar na piekarniku pokazywał 3.42. Czekał, aż woda się zagotuje, wyjrzał przez okno. Trawnik pod Searle House był niemal czarny, za nim wznosiły się dwa identyczne bloki, jak statki wyrzucone na brzeg przez ciemne morze. Na niebie zakrytym grubą warstwą chmur nie było widać gwiazd ani księżycy i ciemności rozświetlał jedynie żółty blask ulicznych latarni, z których jedna, stojąca najbliżej placu zabaw, co chwilę gasła i znów się zapalała.

Jasno. Ciemno.

Jasno. Ciemno.

Lekki wiaterek zaszumiał w gałęziach drzewa pod oknem – jedyne rosnące tak blisko bloku i tak wysokiego, że jego korona sięgała dwunastego piętra – a gdy podmuch wiatru ucichł, dostrzegł wylaniającą się z ciemności sylwetkę mężczyzny. Mężczyzna wyszedł z zarośli z ręką w kieszeni granatowego prochowca, bejsbolówkę miał nasuniętą na twarz, wzrok wbity w ziemię. W drugiej ręce trzymał jakiś przedmiot.

Coś zaczęło mu majaczyć, jakieś dawno zapomniane obrazy. Przysunął się bliżej okna, otulił ciaśniej szlafrokiem i poczuł, jak na klatkę piersiową sływa mu chłód. Postać na dole szła przez trawnik ze wzrokiem utkwionym w ziemię, sunąc od jednej plamy światła do drugiej. Mal starał się dojść, co mu to przypomina, ale wspomnienie było zbyt ulotne. Czy widział już tego człowieka? Czy chodzi o jego ubiór? A może o to, co trzyma? Próbował się przyjrzeć temu, co postać trzymała w prawej ręce, ale było to coś małego, przytkniętego do nogi i rozmazanego w ciemnościach.

Woda w czajniku powoli zaczynała wrzeć i wydobywająca się z niego para kładła się na szybie. Zanim zdążył ją przetrzeć, mężczyzna dotarł pod sam blok. Mal przytknął twarz do okna, by śledzić jego dalsze ruchy.

– Coś się stało, Mal?

Aż podskoczył i odwrócił głowę. W drzwiach stała Gail w narzuconym na ramiona szlafroku. Znow popatrzył przez okno, ale mężczyzna już zniknął.

– Nie, nic – rzucił. – Obudziłem się i nie mogłem zasnąć.

– Znow męczyły cię koszmary?

– Znow? – Zmarszczył czoło.

Podeszła, objęła go i przez chwilę stali w milczeniu.

– Ostatnio często je miewasz – szepnęła.

– Naprawdę?

Odsunęła się, wyjęła z szafki dwa kubki i zabrała się do parzenia herbaty.

– Pamiętaj, że zawozisz jutro dziewczynki do szkoły... – Spojrzała na zegarek i uśmiechnęła się. – Za cztery godziny. Muszę wstać wcześniej, żeby zdążyć na autobus.

– Na autobus?

– Mam pierwszy egzamin pisemny.

– Ach, tak. – Zupełnie o tym zapomniał. Jeden z najważniejszych dni w jej życiu, a on o tym zapomina. Uśmiechnął się, by ukryć zmieszanie. – Twój egzamin.

– Zapomniałeś?

– Nie.

– Dobra, wierzę ci – powiedziała, znów lekko się uśmiechając. – Dzisiejszy dzień to może dobry początek czegoś nowego w naszym życiu. Za kilka miesięcy mogą być panią magister Gail Clark.

– Zaslugujesz na to, kochanie.

Podeszła do lodówki po mleko.

Korzystając z tego, że odwróciła się plecami, ponownie zerknął przez okno na stojące siedemnaście pięter niżej kontenery na śmieci, za którymi zniknęła mężczyzna.

– Mal? – Spojrzał na nią. – Na pewno wszystko w porządku? Już kilka razy widziałam cię przy tym oknie, jak stoisz i czemuś się przyglądasz. A jak cię pytam, co się dzieje, mówisz, że miałeś zły sen. Jak często je miewasz?

– Czasami.

– Nie przeszkodzi ci to w wyjeździe?

– W wyjeździe?

– Na weekend.

No tak, wyjazd na weekend. Wybierał się z kumplami na weekendową popijawę. Umówili się na nią już rok temu.

– Nie, wszystko w porządku.

– Bo nie będą mieli z ciebie pożytku, jak im uśniesz przy stole.

– Za to zaoszczędzę na picciu.

Gail też się roześmiała i napełniła kubki herbatą, a on wlepił wzrok w otaczające ich blok ciemności.

– Co ja ci mówiłem o tych snach?

Podawała mu kubek.

– Słucham?

Po raz pierwszy przyjrzała mu się uważniej, jakby niepewna, co się dzieje w jego głowie. Skwitował to uspokajającym uśmiechem i inaczej sformułował pytanie:

– Czy opowiadałem ci kiedyś, czego dotyczą te moje sny?

– A ty tego nie pamiętasz?

Wzruszył ramionami i ponownie się uśmiechnął.

– Wiem tylko, że się strasznie pocę.

– Powiedziałeś mi kiedyś, że śni ci się jakiś człowiek. – Stała oparta o kuchenny blat, nie spuszczając z Mala wzroku. – Mówiłeś, że zawsze ma na sobie taki sam granatowy prochowiec. I zawsze trzyma coś w ręce.

Ślęczałem nad aktami zabójstwa i miałem wrażenie, że za oknem robi się coraz cieplej. Zapisywałem notatkami kolejne strony, sam siebie pytając, jakie są jeszcze możliwe punkty widzenia. Zadzwoiłem do Ciarana Healy'ego i przegadałem z nim dwadzieścia minut, wypytyując o ojca, ale nadzieje szybko zgasły, gdy usłyszałem kategoryczne zapewnienie, że od początku roku ani on, ani brat nie mieli z ojcem żadnego kontaktu. W głosie Ciarana przebijało chwilami rozżalenie, że ojciec swym postępowaniem doprowadził do rozpadu małżeństwa rodziców, a ja wywnioskowałem z tego, że Gemma nie pokazała mu jeszcze ostatniego listu Healy'ego. Gdyby znał jego treść, rozmawiałby nieco inaczej.

Potem wykręcałem kolejne numery, podążając śladami Healy'ego z czasów śledztwa. Zadzwoiłem do szkoły bliźniaczek, do biblioteki, w której pracowała Gail, do jej koleżanek wymienionych w protokole policyjnym i do sąsiadów z Searle House, nie dowiedziałem się jednak niczego nowego. Chwilę siedziałem zapatrzony w ogród, zbierając myśli i próbując je uporządkować, ale zaraz zabrzączał telefon.

Dzwonił Spike.

– David – rzucił pogodnie. – Jak leci?

– W porządku. Masz coś dla mnie?

– W zasadzie wszystko, czego chciałeś. Mam pełny obraz sytuacji tego Healy'ego, poczynawszy od pierwszego czerwca dwa tysiące dwanaście aż do wczoraj, drugiego października dwa tysiące czternaście. Stan jego finansów, billingi telefoniczne, konta bankowe, samochód, czynsz, wszystko tu jest. Jeśli mam być szczery, to zabierałem się do tego, myśląc, że zajmie mi to jakoś cholernie dużo czasu. Ale od listopada dwa tysiące trzynaście wszystko w jego

życiu przygasa, jakby naprawdę się wycofywał. Jakby zwijał interes i znikał. Przestaje za cokolwiek płacić, przestaje nawet dzwonić.

To potwierdzało wersję Gemmy. Między lipcem a październikiem 2013 roku, po wysłaniu papierów rozwodowych, wielokrotnie z nim rozmawiała, namawiając, by je podpisał. Potem jednak jej kontakty z nim zaczęły być coraz rzadsze, aż w końcu całkiem się urwały. Dwa miesiące później zadzwonił do mnie, spotkaliśmy się i stało się jasne, dlaczego tak trudno było się z nim skontaktować.

– Zaraz ci to wszystko prześlę mailem – ciągnął Spike. – Wygrzebałem nazwiska i adresy osób, do których dzwonił i które do niego dzwoniły. Poza tym jest dokładnie to, o co prosiłeś. Prześlę ci też instrukcję, jak masz mi przekazać forszę.

– Jestem ci bardzo wdzięczny, Spike.

Rozłączyłem się i po chwili otworzyłem na laptopie plik PDF od Spike'a. Minęła piąta i mimo upału oraz bezchmurnego nieba zaczynało już zmierzchać.

Przedtem zaglądałem na to konto poczty Healy'ego, które sam mu założyłem, ale teraz Spike dostarczył mi nazwę użytkownika i hasło do konta używanego przez Healy'ego tuż po odejściu z Metropolitanej. Niestety, zawartość okazała się równie bezużyteczna. Ostatnia wiadomość była od Gemmy, sprzed blisko roku, dokładnie z dwudziestego ósmego października 2013, i brzmiała: „Colm, staram się traktować Cię wyrozumiale, ale potrafię też inaczej. Proszę, podpisz te papiery rozwodowe, żebyśmy wszyscy mogli zająć się swoim własnym życiem”.

Nie miał hipoteki, żadnych polis ubezpieczeniowych i dysponował tylko niewielką kwotą w gotówce, jaka mu została ze sprzedaży domu w St Albans; nie miał też internetu ani płatnej telewizji. Z jego uprawnieniami emerytalnymi było wszystko w porządku, ale emerytura była dla niego złotą gwiazdką na łuku tęczy: mimo dwudziestu sześciu lat służby w policji nie miał szans na sięgnięcie po nią przed ukończeniem pięćdziesiątego piątego roku życia, bo nie dotrzymał warunków odejścia z policji i od czterech lat nie płacił składek emerytalnych.

A do tej chwili zostało mu jeszcze sześć lat.

Plik PDF składał się właściwie z dwóch oddzielnych części: finansów Healy'ego za ostatnie dwadzieścia osiem miesięcy oraz szczegółowego wykazu połączeń telefonicznych.

Zacząłem od finansów.

Na podstawie wyciągów bankowych można było podzielić jego życie na trzy okresy: od czerwca 2012 do marca 2013, od kwietnia 2013 do października 2013 i od listopada 2013 do października 2014. W każdym dało się zaobserwować stopniowe ubożenie.

Między czerwcem 2012 roku a marcem 2013 stan jego konta utrzymywał się na przyzwoitym poziomie, mimo że to właśnie wtedy oszedł z Metropolitalnej. Miesiąc po zwolnieniu zaoferowałem mu gościnny pokój w starym domu moich rodziców w Devon i w rezultacie mieszkał w nim od lipca do listopada, nie myśląc o czynszu. W listopadzie postanowił wrócić do Londynu i wynająć mieszkanie w domu na Isle of Dogs, prawdopodobnie traktując je jako odskocznię do znalezienia nowej pracy. W pliku Spike'a znalazła się umowa najmu z agencją nieruchomości. Wyciągi bankowe pozwalały prześledzić codzienne wydatki Healy'ego na zakupy w sklepach spożywczych i na stacjach benzynowych. Przelewami z konta płacił też rachunki za komórkę i ubezpieczenie samochodu.

W grudniu 2012 roku konto zostało zasilone kwotą dziesięciu tysięcy funtów, przeniesionych z oddzielnego konta oszczędnościowego, które postanowił zlikwidować. Była to resztką pieniędzy ze sprzedaży nieruchomości w St Albans. Zaraz potem jego sytuacja finansowa nieco się poprawiła, bo w styczniu 2013 dostał dwumiesięczne zlecenie na ochronę w towarzystwie budowlanym. Zarobił na tym na czysto trzy tysiące dwieście pięć funtów i dzięki temu do końca marca miał spokój, jeśli chodzi o finanse.

Potem jednak zaczęły się kłopoty. Stan jego konta robił się coraz niższy, ponieważ nic na nie nie wpływało. W kwietniu i maju wyraźnie szukał pracy, bo tankował samochód i podejmował gotówkę w bankomatach w różnych odległych dzielnicach, gdzie – jak to sprawdziłem w Google'u i książce adresowej – mieściły się firmy szukające pracowników ochrony. W czerwcu zapomniał o dumie i wystąpił o zasiłek dla bezrobotnych: niecałe trzysta funtów miesięcznie, wypłacane w tygodniowych ratach co piątek.

Przez cały czerwiec szukał pracy, ale w lipcu starał się już mniej. Pieniądze za fuchę w towarzystwie budowlanym dawno się rozeszły i zaczął czerpać kolejne sumy z dziesięcioletniej rezerwy. Spowodowało to ograniczenie wydatków na jeżdżenie po mieście i poszukiwanie pracy, oszczędności na codziennych zakupach i wreszcie rezygnację z ubezpieczenia samochodu. Jednym ze śladów odnalezionych przez Spike'a okazała się kopia wniosku Healy'ego o wyrejestrowanie samochodu, który został gdzieś odstawiony. Miało to odbicie w jego rachunkach, bo od tej chwili wszelkie koszty samochodowe spadły do zera. Sytuacja zmieniła się dopiero w styczniu, po naszym spotkaniu na Hammersmith, kiedy to za pożyczone ode mnie pieniądze mógł opłacić podatek drogowy, ubezpieczyć samochód i ponownie go uruchomić.

W jego finansach nie było jednak widać tego, co jeszcze się wydarzyło w lipcu 2013 roku: od prawników Gemmy otrzymał papiery rozwodowe. To też mogło się przyczynić do ograniczenia starań o znalezienie pracy, bo na pewno wytrąciło go z równowagi, zaskoczyło i rozżłościło.

Do września 2013 roku niemal całe dziesięć tysięcy rozeszło się na bieżące wydatki i został mu już tylko ostatni tysiąc. W tym czasie zdążył wyprowadzić się z domu na Isle of Dogs i w połowie drugiego półrocznego okresu anulować umowę najmu, co oznaczało stratę zadatku w wysokości miesięcznego czynszu.

Od tego momentu zaczęło się systematyczne obcinanie różnego rodzaju wydatków. Do października odwołał wszystkie stałe zlecenia na płatności z konta, a miesięczny abonament za komórkę zastąpił telefonem na kartę. Nie wiadomo było, gdzie mieszkał, bo załączniki Spike'a nie zawierały żadnej nowej umowy najmu ani żadnych rachunków za noclegi w pensjonatach ze śniadaniem czy motelach. Oznaczało to, że albo znalazł sobie kąt u kogoś znajomego – co ze względu na liczbę jego przyjaciół wydawało się mało prawdopodobne – albo już wtedy stał się bezdomnym.

Znów ogarnęło mnie współczucie.

Pod koniec października minęło siedem miesięcy od ostatniej pracy w towarzystwie budowlanym. Było to raptem siedem miesięcy bezrobocia, podczas których nadal otrzymywał – wprawdzie niewielki, ale zawsze –

zasiłek dla poszukujących pracy, wypłacany w każdy piątek. Miliony ludzi przebywały na bezrobociu dużo dłużej, tyle że te miliony nie miały za sobą takich przejść. Nie mógł znaleźć żadnej pracy, jego synowie coraz bardziej się od niego oddalali, żona wystąpiła o rozwód, śmierć córki pozostawała otwartą raną i gnębiła go świadomość, że jako policjant poniósł klęskę. Jego kariera – jedyna praca, na jakiej mu naprawdę zależało – legła w gruzach, a uporczywe starania o znalezienie innego zatrudnienia, do czego zupełnie nie miał serca, tylko przyspieszały upadek. Prawdę mówiąc, proces ten zaczął się znacznie wcześniej, nie dopiero w marcu po wygaśnięciu dwumiesięcznej umowy o pracę. Już gdy mieszkał u mnie w Devon i stan jego konta utrzymywał się jeszcze na całkiem znośnym poziomie, był człowiekiem zgorzkniałym, pełnym pretensji do wszystkich i działającym wbrew samemu sobie. Taki stosunek do życia był trudny do zniesienia i musiał doprowadzić do załamania.

Healy załamał się w listopadzie.

Między listopadem 2013 roku a lutym 2014 na jego koncie wciąż jeszcze były jakieś ruchy, jak choćby w styczniu wpłata niewielkiej kwoty, którą pożyczyłem mu na opłacenie pokoju w motelu, zakup benzyny i karty Oyster, jednak pod koniec lutego konto jakby zapadło w sen. W trzecim tygodniu lutego przestały nawet wpływać regularne od ośmiu miesięcy wpłaty zasiłku dla bezrobotnych, zapewne dlatego, że przestał się stawiać na rozmowy w biurze pośrednictwa pracy.

Od marca już nic się nie działo.

Dosłownie nic.

Od pierwszego marca do drugiego października nie było żadnych płatności kartą ani jednej nawet wypłaty gotówki. Saldo wynosiło minus dwieście pięćdziesiąt funtów, czyli mieściło się w dopuszczalnym debecie na koncie, co w praktyce oznaczało, że do czasu zasilenia go nowymi środkami było zamrożone. Jeśli liczyłem, że wgląd w jego transakcje finansowe powie mi coś o tym, co robił i gdzie się podziewał po naszej ostatniej rozmowie, musiałem szybko uznać te nadzieje za płonne.

A może jednak nie?

Już zamykałem plik, gdy w oczy rzucił mi się pewien drobiazg.

W ciągu pięciu tygodni od szesnastego stycznia, dnia naszej rozmowy telefonicznej, do dwudziestego drugiego lutego, kiedy na konto wpłynął ostatni zasiłek dla bezrobotnych, Healy popadł w krótkotrwałą, ale dostrzegalną rutynę. W każdą sobotę, dzień po przelaniu zasiłku na konto, udawał się do bankomatu i podejmował całą dostępną kwotę. O różnych porach dnia, zawsze jednak w sobotę.

I zawsze z tego samego bankomatu.

Bankomat należał do banku Barclays i na wyciągu był oznaczony skrótem ELECA, co musiało oznaczać jego lokalizację. Z miejsca przyszły mi do głowy dwie możliwości: Electric Avenue lub Elephant & Castle, mimo to poświęciłem kilkanaście minut na sprawdzenie w internecie innych nazw londyńskich ulic, które mogłyby pasować. Wpisanie do wyszukiwarki „Eleca Londyn” dało tylko reklamę serwisu gitar elektrycznych i parę linków do sklepów z artykułami elektrycznymi, powróciłem więc do dwóch pierwszych adresów.

Pomyślałem też, że w tej kwestii mam lekką przewagę nad innymi.

Policja Metropolitalna i Gemma nie wiedzieli, że w chwili wysyłania listu i papierów rozwodowych Healy już od listopada poprzedniego roku był bezdomny, poza dziesięcioma dniami w styczniu, które przemieszkał w motelu w Kew. Wiedziałem o tym tylko ja, a to znaczyło, że jeśli nawet ludzie w Metropolitalnej wpadliby na ten sam pomysł i spróbowali rozszyfrować adres bankomatu, by ustalić ruchy Healy’ego od listopada 2013 roku, szukaliby nie tam, gdzie należało. Sprawdzaliby umowy najmu i poszukiwali mieszkań, które mógł wynajmować w Brixton lub okolicy Elephant & Castle. Ich poszukiwania musiałyby zakończyć się niepowodzeniem, bo Healy już niczego nie wynajmował.

Ale nie znaczyło to, że go tam nie było.

Następne dziesięć minut poświęciłem na ustalenie adresów noclegowni i schronisk dla bezdomnych w pobliżu obu lokalizacji. Najbliższe schronisko w okolicy Electric Avenue znajdowało się w odległości prawie trzech i pół kilometra. Po sprawdzeniu okazało się, że w odległości niecałego kilometra są aż dwa bankomaty Barclays, ale żaden z nich nie mieścił się przy samej Electric Avenue.

Czy bank posługiwałby się skrótem ELECA dla oddziału niemieszczącego się przy tej ulicy? Wydawało się to mało prawdopodobne, zostawiłem więc Electric Avenue i zająłem się rozpoznaniem okolic Elephant & Castle. Okazało się, że bankomat Barclays znajduje się tuż przy północnym wejściu na stację metra Elephant & Castle.

To musiało być to.

Na dodatek w promieniu niecałego kilometra mieściły się dwie noclegownie dla bezdomnych, w tym jedna tuż za rogiem przy końcu New Kent Road. Obie należały do tej samej organizacji dobroczynnej o nazwie Christopher Gee Housing. Wziąłem do ręki telefon i zadzwoniłem do znajdującej się bliżej bankomatu. Nikt nie odebrał i po chwili włączyła się poczta głosowa. Postanowiłem nie zostawiać wiadomości i zadzwoniłem do drugiej, mieszczącej się kawałek dalej na zachód, przy St George's Road.

Tym razem ktoś odebrał.

– CGH.

– Dzień dobry – powiedziałem, przysuwając bliżej notatnik. – Nazywam się David Raker i próbuję odszukać znajomego, z którym straciłem kontakt w styczniu tego roku. Wydaje mi się, że krótko przedtem lub krótko potem mógł szukać u was schronienia, możliwe, że w okresie między listopadem dwa tysiące trzynastego a lutym dwa tysiące czternastego. Nie wiem, czy przechowujecie dane osobowe swoich pensjonariuszy, ale...

– Przechowujemy, ale nie udzielamy tego typu informacji przez telefon – powiedziała kobieta z lekko kontynentalnym akcentem. – Przykro mi. Przestrzegamy polityki prywatności, więc by uzyskać odpowiedź, musiałby pan zgłosić się do nas osobiście i przedstawić dokumenty poświadczające, że jest pan krewnym lub opiekunem prawnym poszukiwanej osoby. Może pan też zwrócić się bezpośrednio do opieki społecznej.

– Krewnym lub opiekunem prawnym?

– Zgadza się.

– A jeśli nie ma tego ani tego?

– Słucham?

– Jeśli osoba poszukiwana nie ma żadnej rodziny? – wyjaśniłem tonem łagodnym, ale jednocześnie na tyle zdecydowanym, żeby było jasne, że takie podejście daleko nas nie zaprowadzi. – Chodzi o czterdziestodziewięcioletniego mężczyznę, którego rodzice nie żyją, żona dawno odeszła, a dzieci się go wyrzekły.

– Pytał pan w opiece społecznej?

– Nie. Uznałem, że lepiej będzie zacząć od was. Jestem prawie pewny, że przebywał u was lub w waszym siostrzanym zakładzie przy New Kent Road. Tak czy siak, mam powody, by sądzić, że grozi mu niebezpieczeństwo. Muszę go odnaleźć.

– Niebezpieczeństwo?

Popatrzyłem na ogród i chwilę ją przetrzymałem. Była to stara sztuczka i mogłem mieć tylko nadzieję, że kobieta nie jest na tyle sprytna, by przejrzeć mój trik. Jej głos brzmiał młodo, ale to o niczym nie przesądzało. Nawet jeśli się zorientuje, niczym nie ryzykowałem.

Kątem oka dojrzałem ruch na sąsiedniej posesji. Nicola w szortach i kamizelce podlewała rośliny w donicach pod naszym wspólnym płotem.

– Przykro mi, ale nie wolno mi... – zaczęła kobieta.

– Dobra – przerwałem jej. – Może pani powtórzyć swoje imię?

– Moje imię? Ingrid.

– W porządku. Dziękuję, panno Ingrid.

Rozłączyłem się i od razu zadzwoniłem na numer drugiej noclegowni. Telefon dzwonił przez jakieś trzydzieści sekund, po czym wreszcie ktoś go odebrał. Mężczyzna ze szkockim akcentem.

– CGH.

– Cześć, tu Alan Schaefer z opieki społecznej w Southwark. Chyba rozmawialiśmy w zeszłym tygodniu, nie? Przed chwilą rozmawiałem z Ingrid i to ona mi doradziła, żeby do ciebie zadzwonić.

– Dobra, a co jest?

– Próbuję namierzyć faceta o nazwisku... mhm... – zawiesiłem głos, jakbym sprawdzał coś w papierach. – Colm Healy, pisze się C-O-L-M. Myślę, że korzystał z waszej noclegowni przy New Kent Road, ale Ingrid nie udało się nic znaleźć. Akurat trafiło do mnie jego podanie o przydział tymczasowego zakwaterowania, ale gość nie przyszedł na umówione spotkanie, a wiedząc o nim co nieco, obawiam się o jego życie. Dlatego chciałem spytać, czy mógłbyś mi pomóc w paru sprawach.

– W jakich sprawach?

– Przebywał u was od listopada zeszłego roku do lutego tego, zgadza się?

Chwila ciszy.

– Mówiłeś, że jak on się nazywa?

– Colm Healy.

– Dobra, moment.

– Dzięki, czekam.

Przełączył mnie na HOLD, a ja poczułem nagły przypływ adrenaliny. Jeśli mają coś w sprawie Healy’ego, nie będą mogli mi tego przesłać – zakładając, że byliby skłonni to zrobić – bo podałem fałszywe namiary. Jeśli jednak mają i trafiłem na właściwy trop, to już coś. Będę mógł dalej to drażnić. Nie bardzo wiedziałem, co w ten sposób chcę osiągnąć i jak mi to pomoże w dalszych poszukiwaniach Healy’ego, ale byłoby to coś więcej niż plik wyciągów bankowych, z których wynikało tylko tyle, że po pierwszym marca wszystko zamarło.

Telefon ożył i usłyszałem, jak mężczyzna mówi: „No tak”.

Słychać było szelest przekładanych kartek.

– Colm Healy. Z papierów wynika, że zjawił się u nas osiemnastego stycznia i został przez blisko sześć tygodni. W listopadzie i w grudniu go u nas nie było, więc jeśli wtedy korzystał z noclegowni, to z jakiejś innej.

Na przykład z już nieistniejącej przy Goldhawk Road, pomyślałem.

– Dobrze. A kiedy się od was wyniósł?

– Ostatni raz spał u nas w czwartek, dwudziestego siódmego lutego. Potem już go tu nie było. – Chwila ciszy. – Ktoś tu zrobił notatkę, że zostawił u nas swoje rzeczy. Ciuchy, jakieś osobiste drobiazgi, tego typu sprawy. Wiesz może dlaczego?

– Nie – odparłem. – Nie mam pojęcia.

Ale w rzeczywistości jego słowa uruchomiły we mnie lawinę myśli. Zostawienie rzeczy mogło oznaczać, że dwudziesty siódmy lutego nie miał być ostatnim dniem w noclegowni. Pięć dni wcześniej, dwudziestego drugiego, podjął z bankomatu przy stacji metra swój ostatni zasiłek dla bezrobotnych. Czy gdy wyjmował siedemdziesiąt jeden funtów, wiedział już, że pięć dni później porzuci cały swój dobytek, w tym ubrania? I jeśli tak, to dlaczego?

Co go mogło skłonić do podjęcia takiej decyzji?

Pomyślałem, że dwudziestego siódmego lutego mogło wydarzyć się coś, co go kompletnie zaskoczyło, ale taki scenariusz wydał się jeszcze bardziej niejasny. W sierpniu na pewno żył, bo napisał list do Gemmy, należało więc przyjąć, że wcześniej nic złego mu się nie przytrafiło. Opuścił noclegownię, bo nagle miał dość jej lub współmieszkańców? Nawet jeśli tak, to nadal trudno było zrozumieć, dlaczego zdecydował się na tak gwałtowną zmianę. I dlaczego zostawił wszystko, łącznie z ubraniami?

– Ma to jakiś związek z osiemnastym sierpnia? – spytał facet z noclegowni.

To przerwało mój tok myślenia.

– Słucham?

– Bo mam tu napisane, że wrócił osiemnastego sierpnia.

– Kto, pan Healy?

– Tak.

Trzy dni przed wysłaniem listu do Gemmy.

– I znów u was zamieszkał?

– Nie. Mam tu tylko notatkę zrobioną przez koleżankę. – Krótka pauza. – Tak, zanotowała, że zapytała go, czy potrzebny mu nocleg, a on odpowiedział, że nie. Spytała go też, gdzie się teraz podziewa, ale on nie bardzo chciał powiedzieć. W końcu jednak wydobyła z niego, że mieszka teraz w Meadows.

Zapisałem nazwę i spytałem, czy to jakaś inna noclegownia.

– Nie – odparł mężczyzna. – W każdym razie ja o takiej nie słyszałem. Koleżanka też nie, bo postawiła przy tym znak zapytania.

– Powiedział coś więcej?

– Zapytał, czy przechowaliśmy jego rzeczy.

– Te, które zostawił dwudziestego siódmego lutego?

– Tak. Jego plecak z rzeczami.

– Przechowaliście?

– Wygląda na to, że po miesiącu jego nieobecności wybraliśmy najlepsze części odzieży i wysłaliśmy do jakiejś instytucji dobroczynnej. Ale na wszelki wypadek zatrzymaliśmy jego przedmioty osobiste. Telefon komórkowy, trochę zdjęć, jakieś papiery.

Papiery.

Zapewne pozew rozwodowy.

– Wiesz może, co było na tych zdjęciach?

– Koleżanka zanotowała, że to były zdjęcia rodzinne.

– I co się z nimi stało?

– Powiedział, że możemy je wyrzucić.

– Wszystkie?

– Wszystko poza papierami. Wygląda na to, że papiery zabrał.

Obaj zamilkliśmy. On – bo się pewnie zaczął zastanawiać, dlaczego ktoś każe wyrzucać rodzinne pamiątki, ja – bo zacząłem rozważać dwie ewentualności.

Pierwsza była taka, że to w ogóle nie był Healy.

Że podszył się pod niego ktoś inny.

Druga, że to jednak był on i na kilkadziesiąt godzin przed napisaniem listu do Gemmy ruszyło go sumienie i postanowił podpisać papiery rozwodowe. W pewnym sensie ta druga możliwość brzmiała jeszcze gorzej, bo była jednoznaczna.

Że było mu już wszystko jedno.

Niepotrzebne mu już były żadne ciuchy.

Ani żadne fotografie.

Bo ostatecznie się poddał.

W Londynie nie znalazłem schronisk ani noclegowni dla bezdomnych o nazwie Meadows, a nazwa była zbyt mało charakterystyczna, by szukać jej w Google'u. Godzinę później, gdy zrobiło się już ciemno, skończyłem analizę billingów telefonicznych Healy'ego. Liczba wykonywanych przez niego połączeń raptownie zmalała w połowie 2013 roku, czyli w chwili przesłania przez Gemmę papierów rozwodowych i porzucenia przez niego starań o pracę. Od tej pory całymi tygodniami do nikogo nie dzwonił, a od listopada jego rozmowy telefoniczne stały się bardziej wyjątkiem niż normą. W marcu 2014 roku, w tym samym czasie, kiedy na koncie ustał wszelki ruch, telefon całkiem zamilkł.

Czułem wypełniającą mnie pustkę.

Nie dawały mi spokoju myśli o jego ostatnich dniach. Nie mogłem pojąć, dlaczego przez sześć miesięcy nie zjawił się w noclegowni i dlaczego w ogóle się z niej wyniósł bez słowa wyjaśnienia. Nie wiedziałem, czym jest Meadows i czy po prostu nie zmyślił tej nazwy na odczepnego, dopytywany przez pracownicę noclegowni. Mimo pewnej przewagi, jaką miałem nad policją dzięki wiedzy o tym, co robił po listopadzie, nie oddaliłem się zbyt od martwego punktu, w którym utknęła policyjna akcja poszukiwawcza. Wydawało mi się zresztą, że nadmiernie się do niej nie przykładali. Z akt sprawy wiało beczynnością, choć Metropolitalna być może zrobiła wszystko, co było do zrobienia.

Wszedłem do domu i zająłem się szykowaniem kolacji, po czym jednak na widok surowego płata mięsa na desce i obranych warzyw doszedłem do wniosku, że właściwie nie jestem głodny.

Każda prowadzona przeze mnie sprawa poszukiwania osób zaginionych rozwijała się według pewnego schematu: wyciągi bankowe i billingi

telefoniczne były jak odciski palców, a z ustalonych adresów i miejsc pobytu układała się ścieżka, którą docierałem do chwil poprzedzających zniknięcie. Jeśli nic z tego nie wynikało, zawsze mogłem się zwrócić do członków najbliższej rodziny: męża lub żony, rodziców, braci i sióstr. Wszyscy pomagali stworzyć dokładny obraz zaginionej osoby i ewentualnych zmian, jakie w niej zachodziły w ciągu miesięcy poprzedzających zniknięcie. Pozwalało to zajrzeć do takich zakamarków życia poszukiwanego, do jakich nikt nigdy nie zaglądał.

Ale w przypadku Healy'ego tak nie było.

Fundament, na którym zwykle budowałem koncepcję poszukiwań – sytuacja finansowa i rozmowy telefoniczne zaginionej – u Healy'ego stawał się niepewny od początku jego bezdomności. Wychynął z niej na moment w styczniu, ale była to krótka przerwa i o niczym nie świadczyła. Jego rodzina nic o nim nie wiedziała, nawet gdy żyli pod jednym dachem. Została po nim tylko pusta wydmuszka.

Był samotnie dryfującą duszą, bez jakiegokolwiek punktu zaczepienia.

* * *

Dwie godziny później zadzwonił telefon.

Siedziałem w salonie pogrążonym w mroku, z butelką piwa opartą na piersi, gdy moja komórka zaczęła wibrować i sunąć ku mnie po kanapie. Dzwoniła Melanie Craw.

– Hej – rzuciłem do słuchawki.

– Wszystko w porządku?

Jej głos brzmiał tak, jakby rozmawiała z samochodu. W tle słychać było szum silnika i muzykę z radia.

– Tak, wszystko.

– Na pewno?

– Mam za sobą długi dzień, nic więcej. Gdzie jesteś?

– Wracam z pracy.

Spojrzałem na zegarek.

Pokazywał dwudziestą pierwszą czterdzieści.

– Co ze sprawą? – spytała.

Oczywiście miała na myśli Healy’ego.

– Nic – odparłem.

– Co znaczy nic?

Zamilkłem i pomyślałem o dniu spędzonym na tarasie: przejranych stronicach, faktach, z których próbowałem coś wywnioskować, prawdzie, z którą musiałem w końcu się pogodzić.

– Nie potrafię go znaleźć – powiedziałem. – Po pierwszym marca tego roku rozplywa się w powietrzu na blisko sześć miesięcy i nie zostawia po sobie żadnych śladów. Dosłownie znika bez śladu. Nie korzysta ze swojego konta w banku, ani razu nigdzie nie dzwoni. Po prostu jakby go nie było.

– I czym to się różni?

– Nie rozumiem.

– Czym to się różni od innych twoich spraw?

– W innych sprawach wyciągi bankowe i billingi telefoniczne nie są punktem wyjścia. Zaczynam od rodziny osoby zaginionej. Bliscy wyłapują pewne różnice w jej zachowaniu, w codziennej rutynie, w zwyczajach. Od nich się dowiaduję, gdzie zniknęła i kiedy to się stało, kto jeszcze przy tym był. Nawet z oficjalnego protokołu policyjnego zwykle można coś wywnioskować. Wpaść dzięki niemu na jakiś trop, uchwycić nić przewodnią, za którą można podążyć. W przypadku Healy’ego mogę jedynie przyjąć, że dwudziestego pierwszego sierpnia jeszcze żył, bo tego dnia wysłał do byłej żony list z obietnicą, że wyświadczy jej ostatnią przysługę.

– To znaczy?

– Podpisze papiery rozwodowe.

W telefonie zapadła cisza.

– Sądzisz, że naprawdę się zabił? – spytała po dłuższej chwili.

– Sądzę, że miał myśli samobójcze.

– Tak, ale myślisz, że nie żyje?

– Tego nie wiem. Zwykle umiałem odczytywać jego zachowanie, przynajmniej częściowo. Ale tym razem... – Łyknąłem piwa. – Czy wiesz, że dwudziestego siódmego lutego zniknął z noclegowni, nie zabierając nic ze

swoich rzeczy? Miał plecak, a w nim jakieś ciuchy i rzeczy osobiste. Wszystko zostawił.

– Wszystko?

– Co do sztuki. Po czym rozpląnął się w powietrzu na całe sześć miesięcy. W połowie sierpnia wraca, zabiera papiery rozwodowe i każe obsłudze noclegowni wyrzucić resztę, łącznie z fotografiami dzieci.

Patrzyłem, jak płomień w piecyku na tarasie przygasa i zamieniony w kupę żaru rzuca czerwone refleksy na dywan w pokoju.

– I nie masz kompletnie nic? – spytała Melanie.

– Wiem tylko tyle, że obsłudze noclegowni oświadczył, że dokądś się wybiera i że nie była to kolejna noclegownia. Ale pewnie rzucił tylko coś na odczepnego.

– Jak to się nazywało?

– Powiedział, że Meadows.

Melanie nie odpowiedziała.

– Craw?

– Meadows? – powtórzyła.

– Tak. Słyszałaś tę nazwę?

Jeszcze chwilę pomilczała, po czym mruknęła:

– Tak. Wiem, co miał na myśli.

Głosy

8 dni, 9 godzin, 58 minut przed

Planując dwudniową weekendową popijawę z kumplami, obiecał dziewczynkom, że tego dnia odwiezie je do szkoły metrem, a nie jak zwykle odprowadzi na piechotę. Mieli do przejechania tylko dwie stacje, ale takie odstępstwo od codziennej rutyny bardzo je podekscytowało i były gotowe do wyjścia na długo przed ustaloną godziną. Na stacji przeprowadził je przez bramkę, po czym zeszli schodami na peron, usiedli na metalowej ławeczce i zaczęli grać w „Ja szpieg”. April zawsze oszukiwała, wprowadzając inny wariant gry – „Widzę, bo mam rentgen w oczach” – i nie uprzedzając o tym siostry, przez co ta nie mogła odgadnąć prawidłowej odpowiedzi. Dziewczynki zaczęły się w końcu kłócić, więc zarządził koniec gry i zaproponował, by opowiedziały o swoich planach na weekend.

Dziesięć minut później wyszli z metra i Mal odprowadził je pod samą szkołę, ucałował obie przed bramką i przez chwilę stał, przyglądając się, jak idą do wejścia identycznie ubrane, z identycznymi torbami na ramionach i identycznie zaplecionymi włosami. Ich klasa mieściła się we frontowej części budynku, wielkiego gmaszyska z czerwonej cegły w stylu wiktoriańskim. Gail uprzedziła go, że zawsze czeka przy bramie do chwili, aż jej się pokażą w oknie na znak, że są bezpiecznie w środku. Zrobił tak samo i rzeczywiście po jakiejś minucie April, a zaraz po niej Abigail podeszły do okna i pomachały mu przez szybę. Przesłał im całusy i udał, że chwytą w powietrzu ich pocałunki. Obie cofnęły się od okna i dopiero wtedy zawrócił do metra.

Już miał wejść na schody prowadzące na peron, gdy zabrzączał jego telefon. Zawrócił do wyjścia na ulicę i spojrzał na wyświetlacz.

Nieznany numer.

– Halo?

Szum jak przy słabym sygnale.

– Halo?

Nadal szum, ale na jego tle jakiś inny dźwięk. Czyżby ktoś coś mówił? Dźwięk powtarzał się zniekształcony, jak odtwarzane w kółko nagranie. Przytknął wolną rękę do drugiego ucha.

– Halo?

– ...uratować.

– Co? Kto mówi? – Usłyszał piszczenie jak przy faksie. – Nic nie rozumiem! – krzyknął.

– ...szansę je uratować.

Zakłócenia nagle ustały.

– Halo?

– Nie daj mu ich zabrać.

Serce podeszło mu do gardła.

– Co?

– Spójrz, co on trzyma.

– Co?

– Spójrz, co trzyma w rękach.

– Kto mówi?

Znów ten sam piszczący dźwięk.

– Będzie to trzymał, kiedy po nie przyjdzie.

Mał obudził się, jego ciało jednak jeszcze przez chwilę kołysało się w rytm wagonu. Przez moment był dezorientowany, wciąż zatopiony w sennych majakach, ale potem spojrzał na mapkę trasy na ścianie wagonu pod sufitem i zdał sobie sprawę, że przejechał siedem stacji za daleko i do końca linii została już tylko jedna. Wyprostował się, wyjął z kieszeni komórkę i zajrzał do rejestru połączeń. Ostatnim przychodzącym był wczorajszy telefon od Gail. Pamiętał go dokładnie. Zadzwoiła i poprosiła, by wracając do domu, kupić mleko, on jednak zapomniał o tym.

Przetarł dłonią twarz.

Od paru tygodni miał kłopoty ze snem i zaczynało dawać się to we znaki. Przysypiał już nawet w metrze. Miał problemy z pamięcią i bywał tak

wykończony, że męczyły go omamy słuchowe – słyszał głosy wołające go po imieniu, rozmowy między ludźmi, których naprawdę nie było. I te dziwaczne sny, gdy w końcu zasypiał. Były czasami tak plastyczne, że miewał trudności z odróżnieniem rzeczywistości od iluzji. Do tego stopnia, że zaczynał się martwić, czy nie dojdzie do tego, że nie będzie umiał określić, co jest czym.

Pociąg z piskiem zahamował, a on wysiadł, przeszedł na peron dla pociągów jadących na południe i ciężko opadł na jedną z pustych ławek.

Może naprawdę tracisz kontrolę nad sobą, pomyślał, wracając pamięcią do nocy mniej więcej sprzed tygodnia, kiedy leżąc w łóżku i nie mogąc usnąć, w pewnej chwili uznał, że słyszy w mieszkaniu jakieś szepty. Wstał i stwierdził, że Gail i dziewczynki są pogrążone w głębokim śnie, telewizor jest wyłączony, a w sąsiednich mieszkaniach panuje cisza.

Po chwili szepty ucichły.

Znów zaczął palić, choć Gail była temu bardzo przeciwna. Zaczął też sterczeć przy kuchennym oknie o drugiej, trzeciej, czwartej nad ranem i wpatrywać się w trawnik przed blokiem. Czasami widać było tylko drzewa kołysane podmuchami nocnego wiatru lub krople deszczu siekące spękaną betonową nawierzchnię osiedlowego parkingu. Ale zdarzało się, że widział też coś więcej: coś ruszało się w gałęziach drzew, między pniami przesuwaly się cienie, na skraju pola widzenia dostrzegał sylwetki przebiegające między plamami światła i zaraz znikające. Oraz tego, który nigdy nie starał się kryć.

Mężczyznę w granatowym prochowcu.

Czuł ciarki na plecach, opadło go mętne wspomnienie mężczyzny zawsze trzymającego się tej samej trasy: wylaniał się spośród drzew, przechodził równym krokiem pod latarniami, zbliżał się do bloku i nikał w ciemnościach pod ścianą. I był zawsze tak samo ubrany. Ten sam prochowiec, ta sama ciemna bejsbolówka, džinsy, czarne buty do kostek. Mężczyzna nigdy nie podnosił głowy, jedną rękę zawsze miał w kieszeni, w drugiej coś trzymał i szedł ze wzrokiem utkwionym w chodnik. Mal nie wiedział, dlaczego ten człowiek tak na niego działa. Dlaczego na jego widok pierś wypełniało mu uczucie strachu i ogarniała go instynktowna chęć chronienia Gail i dziewczynek. Mężczyzna wdarł się nawet do jego snów, powracając w nich raz za razem jako postać wyzierająca z zakamarków jego umysłu.

I tylko gdzieś w głębi odzywał się głos, od którego nie umiał się uwolnić. Wciąż ten sam szept, wzmocniony jego wątpliwościami, wyczerpaniem, bezsennością. Głos powtarzający: Czy widząc tego człowieka śniesz, czy dzieje się to naprawdę? Co się stanie, gdy ten człowiek okaże się prawdziwy – lub nieprawdziwy?

A jeśli to znaczy, że powoli tracisz zmysły?

A jeśli największym zagrożeniem dla Gail i dziewczynek jesteś ty sam?

Następnego dnia, jeszcze przed wschodem słońca, siedziałem w ciemnościach swojego bmw i czekałem na Craw. Nieduży parking był z trzech stron otoczony szpalerem świerków, tak idealnie równych, jakby były sztuczne. W jednym boku wycięto łukowate przejście i wstawiono bramkę z giętych, żelaznych prętów, ale mglisty świt i tak nie pozwalał przyjrzeć się Meadows.

Przyjechała parę minut po mnie i postawiła swoje mini dwa miejsca dalej, choć poza nami na parkingu nie było nikogo. Wsiadłem i odczekałem, aż zrobi to samo i ruszy w moją stronę. W bladym świetle poranka jej skóra miała sinoszary odcień, czarny kostium ze spodniami rozmazywał się w mroku.

Przez wjazd na parking za jej plecami widać było gęstniejący ruch na Dog Kennel Hill, ulicy okrążającej łukiem Southwark i biegnącej na południowy wschód ku Peckham Rye Common. Świerkowy parawan doskonale spełniał swoje zadanie i tłumił uliczne hałasy tak skutecznie, że słyszeć było ciurkanie wody z kamiennego postumentu za bramką.

– Dzień dobry – powiedziała Craw, podchodząc bliżej.

– Dzień dobry – odpowiedziałem.

– Wszystko w porządku?

Kiwnąłem głową.

– Wygląda jak ogród pamięci – dodałem.

– No – potwierdziła, rozglądając się.

– Pamięci o kim?

– Chodź i sam zobacz.

Wyminęła mnie, podeszła do bramki i uniosła skobel. Zaskrzypiały zawiasy i bramka otworzyła się na tonący w porannym półmroku skwer. Za

jej ramieniem dostrzegłem kamienny postument w kształcie krzyża, sterczący na środku płytkiej kwadratowej sadzawki. Dopiero teraz mogłem ocenić wielkość skweru: jakieś trzy na sześć metrów. Całość była ogrodzona wysoką ścianą świerków, w które wpasowano marmurową płytę pamiątkową. Wszedłem za Caw do środka i zobaczyłem, że w górnej części płyty wykuto napis będący cytatem z *Sonetów z portugalskiego* Elizabeth Barrett Browning: „Będę cię jeszcze bardziej kochała po śmierci”³. Niżej umieszczono całą serię dat, które wydały mi się znajome: 4 stycznia, 12 stycznia, 17 stycznia, 25 stycznia, 31 stycznia. Przy wszystkich widniał ten sam rok 1988, a pod nim – sześć budzących równie niejasne skojarzenia imion i nazwisk.

Czterej mężczyźni i dwie kobiety.

– Słyszałeś o Ianie Arnoldzie? – spytała Caw.

Dopiero wtedy skojarzyłem te daty. W styczniu 1988 roku miałem siedemnaście lat i mieszkałem jeszcze w Devon. Do Londynu miałem się przeprowadzić dopiero za kilka miesięcy, ale widziałem w telewizji reportaże o nim. Znałem jego twarz z ekranu i gazet, a nazwisko było często wymieniane przez dziennikarzy, z którymi pracowałem w późniejszych latach. Niektórzy z nich zajmowali się tą sprawą i wciąż byli pod jej wrażeniem. Nie miałem pojęcia, że utworzono ogród pamięci ofiar i że nazwano go Meadows, ale wiedziałem, co się wtedy stało. Każdy mieszkaniec Londynu zapamiętał Iana Arnolda.

– Nie wiedziałem, że powstało coś takiego – mruknąłem.

Stała, nie odrywając wzroku od marmurowej płyty.

– Arnold działał na długo, zanim wstąpiłam do policji, ale mój tata został włączony do tej sprawy pod koniec swojej kariery. I pewnie był jeszcze jedną jego ofiarą.

Zamilkła na wspomnienie ojca, który przepracował trzydzieści pięć lat w Policji Metropolitalnej. Od czasu, gdy zajmowałem się jego zaginięciem i gdy Caw złożyła pamięć o nim do grobu, nigdy o nim nie mówiła. A jeśli już, to tylko mimochodem.

– Pracuję w policji od dwudziestu lat i każdego dnia modlę się, żeby nie trafić na taką sprawę – bąknęła i zawiesiła głos, by nie poddać się emocjom. – Pamiętam, jak mój tata mówił, że ten drań nawet się nie spocił. Opowiadał,

jak przez pełne dwie doby przesłuchiwali Arnolda, a ten nawet nie mrugnął okiem.

Spojrzałem na sześć nazwisk na płycie, czterech mężczyzn i dwie kobiety. Tyle że teraz już wiedziałem, że nie byli to ani mężczyźni, ani kobiety.

Były to dzieci.

Duże osiedle mieszkaniowe Highdale z czteropiętrowymi blokami zaczynało się dwie minuty spacerem od Meadows i niegdyś stanowiło teren łowiecki Arnolda. Obecnie część bloków była w rozsypce, ponieważ osiedle przechodziło gruntowną przebudowę, po której wzorem sławetnych Heygate czy Havelock miało powstać coś znacznie nowocześniejszego i lepiej rozplanowanego. Ale za czasów Arnolda wyglądało inaczej. Było brzydkim i zapyziałym labiryntem jednakowych uliczek, zaułków i pasaży dla pieszych, które rozciągały się między Dog Kennel Hill a Grove Park, i ich całkowita bezosobowość bardzo Arnoldowi odpowiadała. W rezultacie w ciągu krótkiego, lecz przerażającego okresu dwudziestu siedmiu dni uprowadził i zamordował sześcioro dzieci, wszystkie w wieku od ośmiu do dwunastu lat, z których dwoje padło jego ofiarą w ciągu jednej nocy, trzydziestego pierwszego stycznia 1988 roku. Kilka dni później – dokładnie dziewiątego lutego – został złapany dzięki temu, że jego siódmej ofierze udało się wyrwać i uciec z krzykiem korytarzem na czwartym piętrze, gdzie chłopiec mieszkał razem z matką.

Plany zbudowania nowocześniejszych i wygodniejszych mieszkań kazały wielu wierzyć, że Highdale najgorsze czasy ma za sobą, prawda jednak była taka, że pamięć o tamtych wydarzeniach miała nigdy nie przeminąć na tyle, by osiedle w pełni odzyskało reputację. Wielokrotnie byłem tam jako dziennikarz, słuchając, jak kolejni politycy cynicznie wykorzystują ten przypadek do ilustrowania wyborczych haseł o walce z nierównościami społecznymi, ubóstwem dzieci, handlem narkotykami i krwawymi porachunkami bandziorów. Wiadomo było, że cienie rzucane przez bloki Highdale na zawsze pozostaną długie i ponure, nawet jeśli fasady zostaną odnowione, a klatki schodowe lepiej oświetlone.

Cień rzucany przez Iana Arnolda był z nich najdłuższy i najbardziej ponury.

Przez jakiś czas nie odrywałem wzroku od tablicy z sześcioma nazwiskami dzieci, którym tak brutalnie odebrano życie, po czym spojrzałem na postument z krzyżem, z którego woda z łagodnym pluskiem sączyła się do sadzawki.

Szukałem w myślach powodu, dla którego Healy mógł oświadczyć obsłudze noclegowni, że właśnie tu się wybiera, i dlaczego mógł wybrać to miejsce na zakończenie swej ziemskiej wędrówki. Nie widziałem żadnej innej przyczyny poza tą, że ofiarami tych zbrodni były dzieci. Dzieci z Highdale, które spotkał ten sam los co bliźniaczki. Jedne i drugie zginęły z rąk tak samo bestialskich i odrażających morderców.

To było oczywiste i tłumaczyło jego przyjście tu.

Ale co potem?

Robiło się coraz widniej, na niebie pojawił się pierwszy purpurowy blask wydobywający z mroku sylwetki starych bloków Highdale z ich sławetnymi wieżyczkami niczym ostatnimi umocnieniami padającego zamczyska. Poza konturami dachów niewiele więcej było widać, bo wysokie świerki zasłaniały resztę, ale można było dostrzec, że osiedle dzieli się z grubsza na dwie części: w jednej trwały już prace budowlane, drugą szykowano do rozbiórki. W tej drugiej wciąż jeszcze mieszkali lokatorzy czekający na przeprowadzkę, wielu jednak zdążyło się już przenieść do pomieszczeń zastępczych.

A to oznaczało wiele pustostanów.

– Raker? – przypomniała o sobie Craw.

Zwróciłem ku niej głowę. Stała nieopodal mnie, włosy miała odgarnięte z twarzy i świdrowała mnie spojrzeniem. Zrobiła parę kroków w moją stronę, stukając obcasami o kamienne płyty chodnika.

– Słyszałeś, co powiedziałam?

Dopiero w tym momencie uświadomiłem sobie, że pogrążony w myślach o Healym i jego dalszych losach, nie dosłyszałem jej słów.

– Przepraszam – odparłem. – Byłem daleko stąd.

– Domyślasz się już, dlaczego Healy wybrał to miejsce?

Popatrzyłem ponad wierzchołkami drzew na wyłaniające się z mroku wieżyczki.

– Myślę, że odnalazł podobieństwa między tymi morderstwami.

– To niewykluczone. – Pokiwała głową.

– Powiedziałaś to tak, jakbyś wiedziała coś, czego nie wiem.

Zerknęła na zegarek i włożyła ręce do kieszeni płaszcza.

– Kiedy po zawieszeniu w dwa tysiące dwunastym próbowałam przywrócić go do służby, zajrzałam do jego akt personalnych. Wiedziałam, że danie mu drugiej szansy jest bardzo ryzykowne, i chciałam się upewnić, że instynkt mnie nie myli. Zdawałam sobie sprawę, że jeśli popełnię błąd, to sama będę musiała za to beknać. – Zawiesiła głos, bo w sumie tak się właśnie stało. – Dlatego, zanim dołączył do mojego zespołu, dość skrupulatnie przewertowałam historię jego zatrudnienia w Metropolitalnej.

Już czułem, co się święci.

Widać poznała to po wyrazie mojej twarzy, ponieważ zrobiła kolejny krok i skinęła głową.

– Wstąpił do Policji Metropolitalnej w kwietniu osiemdziesiątego szóstego jako mundurowy z Southwark. Pamiętam, jak w dwa tysiące dwunastym usiadłam z nim i oświadczyłam, że musi na nowo przemyśleć powody bycia policjantem.

– Chcesz powiedzieć, że zajmował się sprawą Arnolda?

Pokręciła głową.

– Nie. W tamtym czasie był tylko zwykłym stójkowym, ale przyznał, że widział, jak śledczy przesłuchiwali tę siódmą ofiarę. Tego dzieciaka, któremu udało się uciec. Oświadczył, że właśnie z tego powodu został gliniarzem w wydziale kryminalnym. Że od tego wszystko się zaczęło. Stwierdził, że już nigdy nie chciał zobaczyć takiego przerażenia na twarzy jakiegokolwiek dziecka.

Spojrzałem na nią i oboje zamilkliśmy.

Miałem wrażenie, że to samo przyszło nam do głowy. Że nazwiska na płycie pamiątkowej i to sypiące się osiedle mieszkaniowe są jeszcze jednym duchem, który trzeba egzorcyzmować.

Jednego upiora pozbył się, pisząc do Gemmy list, w którym ją przeproszał i używał słów, jakich nigdy wcześniej nie odważył się wypowiedzieć. Powtórzył ten gest, podpisując papiery rozwodowe i oddając Gemmie wolność, o którą od dawna prosiła. Tu zrobił to po raz trzeci i być może

ostatni, wracając do początków swojej kariery policyjnej i sprawy, której echa odnajdował w morderstwie bliźniaczek i ich matki.

Dostrzegał podobieństwa między obiema sprawami: wiek ofiar, brutalną bezwzględność zabójców, zapyziałe osiedla mieszkaniowe jako miejsca zbrodni. I choć wydarzenia dzieliło dwadzieścia lat, być może w głębi duszy myślał o tych podobieństwach jako swoistym znaku i własnym przeznaczeniu. Lata temu przyglądał się dochodzeniu z daleka. W roku 2010 patrzył z bliska, jak morderca mu się wymyka.

I w obu przypadkach był zupełnie bezsilny.

Początek i koniec były takie same.

Zostawiłem samochód na parkingu i przez Dog Kennel Hill ruszyłem ku Helton Way. Crawl przejechała obok i mijając mnie, zatrąbiła. Nie było to jednak pozdrowienie. Przypominała, że jeśli w Highdale dowiem się czegoś, mam ją o tym powiadomić. Pomachałem ręką, patrząc, jak jej mini znika za wierzchołkiem wzniesienia.

Helton Way przecinało cały teren na pół, choć tak naprawdę osiedle – po przekątnej długie na blisko kilometr – dzieliło się na ćwiartki, każda o wielkości transatlantyku. Galeryjki na poszczególnych piętrach biegły wzdłuż niekończących się ciągów drzwi, ściany były upstrzone talerzami anten satelitarnych. Okna w nierozebranej jeszcze części osiedla były z matowego szkła i przypominały oczy, które po latach zaniedbań pokryły się zaćmą. Po drugiej stronie Helton Way ciągnęło się już tylko rumowisko po rozebranych blokach.

Na zwałach zeschniętego błota za ogrodzeniem z siatki stały wywrotki i koparki oraz żuraw ze stalową kulą do burzenia ścian, a także rzędy samochodów i barakowozów. Zatrzymałem się i rozejrzałem. Jednej ćwiartki osiedla praktycznie już nie było i poza betonowymi fundamentami nic już po niej nie zostało, druga była rozebrana do połowy pierwotnej wysokości budynków, z których zdjęto dachy i których ściany częściowo rozwalono, ukazując opuszczone wnętrza. Widać było zwisające przewody elektryczne, popękane tynki i kwieciste tapety. Ściany wielu pomieszczeń pokryte były liszajami grzyba. Jeszcze parę tygodni i połowa całego osiedla przestanie istnieć. Przeniosłem wzrok na drugą połowę, która wciąż stała pozornie nienaruszona.

Bloki miały tylko po cztery piętra, ale sprawiały przytłaczające wrażenie. Poszczególne ćwiartki łączyła wąska galeryjka na wysokości ostatniego piętra

i gdyby nie ona, można by je uznać za jedną całość w postaci dwóch zwróconych do siebie plecami i stanowiących lustrzane odbicie budynków w kształcie litery L.

Highdale zbudowano na lekkim wzniesieniu i ta część była położona nieco wyżej od części już rozebranej, przez co niewielki parking otoczony z trzech stron budynkami znajdował się nieco poniżej poziomu parteru. Po schodkach wydostałem się z parkingu i przeszedłem po wyłysiałym trawniku, z którego wchodziło się do klatek schodowych. Słońce dopiero co wzeszło i wokół panowała cisza. Gdzieś w oddali zawarczał samochód, gdzie indziej zaświergotał ptak, od strony Dog Kennel Hill dochodziły odgłosy ruchu ulicznego, ale poza tym nic się nie działo.

Zacząłem od bloku po lewej.

Nie miał nazwy i niczym specjalnym się nie wyróżniał, w środku też był pozbawiony charakteru i wyglądał jak wielokrotnie powielana kopia. W odróżnieniu od bloku, w którym mieszkały bliźniaczki, tu wszystko było zabudowane. Korytarze były długie, bez okien i cuchnęły przemysłowymi środkami czystości oraz stęchlizną. Mieszkania wydawały się nadal zamieszkane, bo przechodząc obok drzwi, słyszałem dochodzące z nich odgłosy.

Na pierwszym piętrze było tak samo, z tą tylko różnicą, że władze miejskie postanowiły rozróżnić piętra kolorami. Drzwi mieszkań na parterze były czerwone, na pierwszym piętrze niebieskie. Drugie miało drzwi zielone, trzecie żółte, a na ostatnim wracała czerwień, tyle że o ton ciemniejsza.

Na końcu korytarza czwartego piętra znajdowały się podwójne drzwi; wychodziło się przez nie na galeryjkę, którą widziałem z dołu. Wyszedłem na rześkie poranne powietrze, usłyszałem znów te same dźwięki i tylko widok był znacznie rozleglejszy. Kawałek dalej widać było plac budowy, na którym zaczynał się już ruch.

Przedostałem się galeryjką do sąsiedniego bloku.

Rozplanowanie przestrzeni i kolory były identyczne, ale na drzwiach na czwartym piętrze wisiały jakieś kartki. Podeszedłem bliżej i przyjrzałem się pierwszej z brzegu.

Było to zawiadomienie o przymusowej wyprowadzce.

Takie same zawiadomienia przyczepiono do wszystkich drzwi na korytarzu. Idąc nim w stronę klatki schodowej, zdałem sobie w pewnej chwili sprawę, że budynek czymś się jednak różni od poprzedniego. Panowała w nim głucha cisza.

Znikąd nie dochodziła muzyka ani dźwięki telewizora.

Za drzwiami nie słychać było żadnych rozmów.

Najwyraźniej blok szedł jako następny do rozbiórki, lokatorów już wyeksmitowano i do rozpoczęcia prac zostało tylko kilka dni. Nigdzie nie paliły się światła, powietrze nie pachniało środkami czystości, wszystko wskazywało na to, że od tygodni nikt już tu nie mieszkał. Próbowałem otwierać kolejne drzwi pozbawione klamek, pod którymi pozostały pojedyncze zamki Yale, ale wszystkie okazały się zamknięte. Dotarłem do klatki schodowej i zszedłem piętro niżej.

Tu wszystko wyglądało tak samo poza tym, że w korytarzu bez wyjścia na galeryjkę było ciemniej. Na drzwiach mieszkań widniały identyczne zawiadomienia i nigdzie nie udało mi się wejść. Ruszyłem na drugie piętro i tam też spróbowałem otworzyć drzwi, jednak z tym samym skutkiem. Już myślałem, że w całym budynku nie ma nikogo, gdy na pierwszym piętrze natknąłem się na gromadę lokatorów w trakcie wyprowadzki. Drzwi do mieszkań były otwarte na oścież, a kręcący się po korytarzu ludzie wynosili domowe sprzęty, nie zwracając na mnie uwagi. Zatrzymałem się na klatce schodowej i dosłyszałem, jak któryś z lokatorów tłumaczy pracownikowi firmy przeprowadzkowej, że muszą opróżnić mieszkanie do poniedziałku.

Do poniedziałku zostały tylko dwa dni.

Zszedłem na parter, gdzie sytuacja się powtórzyła: kilka par otwartych szeroko drzwi i kręcący się ludzie. Zaraz potem znalazłem się w niewielkim holu z wyjściem na parking, gdzie dwadzieścia minut wcześniej rozpocząłem swoją wyprawę.

Wszedłem na dwór i zatrzymałem się w przejściu między blokami. Słońce już weszło, ale nadal kryło się za stromymi dachami Highdale. Tu było znacznie hałaśliwiej: zgrzytały przekładnie dźwigów, z ulicy dochodziły odgłosy samochodów osobowych i ciężarowych, na balkonach nad moją

głową darły się ptaki. Usłyszałem turkot kółek deskorolki i ujrzałem przemykającego obok chłopaka ze słuchawkami na uszach.

Co teraz?

Czując coraz większe zniechęcenie, wszedłem w prześwit między dwoma blokami i znalazłem się pod galeryjką czwartego piętra, którą niedawno przechodziłem. Dalej ciągnął się drugi parking otoczony paskudnym, szarym murem i ścianami bloków upstrzonymi klimatyzatorami. Wszystkie były wyłączone i z białych metalowych skrzynek nie wydobywał się żaden dźwięk.

Mimo to coś na jednej ze ścian przyciągnęło mój wzrok.

Ze skrzynką wiszącą na wysokości parteru było coś nie tak. Krata o wymiarach mniej więcej pół metra na blisko dwa metry powinna być przyśrubowana, była jednak tylko oparta, zasłaniając otwór w ścianie.

Podszedłem bliżej.

Kucnąłem i spróbowałem zajrzeć do środka. Nic nie było widać, położyłem się więc na brzuchu.

Wewnątrz, na wysokości górnej krawędzi kraty, ciągnął się spód blaszanego kanału wentylacyjnego, pod nim znajdowała się zaś wnęka obudowana ze wszystkich stron białymi bloczkami z betonu.

Na środku leżał materac.

W miarę jak mój wzrok przyzwyczajał się do mroku panującego we wnętrzu, dostrzegłem coś jeszcze. Przy materacu stał karton, odwrócony dnem do góry, na którym ktoś położył blaszany kubek i książkę. Zza kartonu wyzierał fragment złachanego i poplamionego żółto-czarnego plecaka z zepsutym zamkiem błyskawicznym, z którego zwisał kawałek czerwonego T-shirtu z nadrukiem.

Odniosłem wrażenie, jakbym patrzył na coś znajomego.

Czyżbym już widział ten T-shirt?

Podczołgałem się bliżej i szorując brzuchem po żwirze i kamieniach, wetknąłem głowę do środka.

I zamarłem.

W kącie wnęki leżało ciało zwrócone twarzą do ziemi.

Sekundę później poczułem smród. Rozchodził się po całym pomieszczeniu i wypływał na zewnątrz, lepki i intensywny, jak od mięsa gnijącego na słońcu.

Przełknąłem ślinę raz i drugi, starając się do niego przyzwyczaić, ale smród wciskał mi się do gardła tak natrętnie, że musiałem wycofać głowę i zaczerpnąć świeżego powietrza.

Czując, jak przerażenie skręca mi żołądek, odetchnąłem głęboko i świecąc sobie telefonem komórkowym, ponownie zajrzałem do środka. Błada poświata rozjaśniła nieco mrok. Gdy tylko moja głowa znalazła się poza krawędzią wnęki, smród uderzył w moje nozdrza ze zdwojoną siłą, ale tym razem nie poddałem się. Wsunąłem się najdalej, jak się dało, i poświeciłem po ścianach wnęki.

Teraz mogłem już odczytać nadruk na T-shircie i stało się jasne, dlaczego wydał mi się znajomy. Widziałem ten T-shirt, gdy czternastego stycznia spotkaliśmy się z Healym w motelu.

CHŁOPCY W TRASIE – DUBLIN 07.

Miał go wtedy na sobie.

Schowałem telefon do kieszeni, obróciłem się na plecy i trzymając się kanału wentylacyjnego, wsunąłem przez otwór nogami do przodu. Od razu mnie zemdliło i to nie tylko z powodu smrodu.

Mój organizm protestował przeciwko dalszemu zagłębianiu się we wnękę. Nie chciałem go oglądać w takim stanie.

Stałem na podłodze i otaczająca mnie ciemność nagle ożyła. Usłyszałem skrobanie pazurów jakiegoś zwierzęcia, rozległo się ciche bzyczenie.

Nagle chmara much zaczęła wściekle się tłuc o moją twarz i ręce.

Wyjąłem telefon, by znów poświecić, i okazało się, że to wcale nie muchy. To osy wirowały w powietrzu niczym tuman czarnego śniegu.

Zwłoki leżały zbyt długo.

Muchy zrobiły już swoje i odleciały.

Zasłaniając usta dłonią, przysunąłem się nieco bliżej.

Na głowie odwróconej do ściany miał jasnoniebieską włóczkową czapkę, leżał na prawej ręce wyciągniętej równolegle z lewą. Był ubrany w gruby wełniany sweter, spod którego wystawał brudny podkoszulek i fragment zsiniałych pleców. Śmierć jakby go spłaszczyła – wysuszona skóra oblekała układ kostny. Wstrząśnięty tym widokiem, zatrzymałem się metr od jego nóg, nie odejmując dłoni od ust. Trudno było w tym czymś rozpoznać kogoś, kogo znałem. Cienka skóra na twarzy była jak pergamin i ciasno opinała kości policzkowe i oczodoły. Widziałem w życiu wystarczająco dużo zwłok, by wiedzieć, że te nie są świeże. Musiały mieć ze dwadzieścia dni.

Może nawet ponad miesiąc.

Pięć tygodni temu był koniec sierpnia, wtedy wysłał list do Gemmy i odwiedził Meadows. Wrócił też wtedy do chwili, gdy siedząc w mieszkaniu na czwartym piętrze w Highdale, słuchał, jak matka niedoszłej ofiary Iana

Arnolda opowiada śledczym, co się wydarzyło. Ostatnie godziny życia spędził, próbując połączyć sprawy z początku i końca swojej kariery.

A potem przyszedł tu, żeby umrzeć.

Jeśli miałem jeszcze cień wątpliwości, jeśli tliła się we mnie iskierka nadziei, że nie zakończył życia w tym kącie opustoszałego bloku, ostatecznie przestałem się łudzić, gdy skierowałem strumień światła poza obleczone cienką skórą dłoń i zobaczyłem komórkę, którą kupiłem mu w styczniu w supermarkecie.

Miała wyjętą baterię, a obok leżał blister po tabletkach nasennych Zopiclone. Musiał łyknąć całą zawartość, bo wszystkie gniazda po tabletkach były przedziurawione i puste. Obok znalazłem otwartą teczkę z aktami zabójstwa rodziny Clark. Na okładce widniały napisane moją ręką słowa: „Od teraz radź sobie sam”. A do ściany wnęki przyczepione były trzy fotografie.

Gail.

April.

Abigail.

CZEŚĆ TRZECIA
31 października 2014

31 października 2014

POGRZEB POLICJANTA, KTÓREGO ZWŁOKI ZNALEZIONO NA OSIEDLU MIESZKANIOWYM PRZEZNACZONYM DO ROZBIÓRKI

Dziś na cmentarzu Bells Hill w Barnet odbędzie się pogrzeb byłego śledczego Policji Metropolitalnej Colma Healy'ego. Jego zwłoki znaleziono 4 października w pomieszczeniu serwisowym w podziemiach jednego z bloków mającego złą sławę osiedla mieszkaniowego Highdale w południowym Londynie. Mężczyzna popełnił samobójstwo.

Healy był detektywem inspektorem w Policji Metropolitalnej do chwili zwolnienia w 2012 roku w konsekwencji – jak to określił rzecznik prasowy policji – „podejmowania podczas śledztwa decyzji sprzecznych z dobrem publicznym” oraz „braku subordynacji”. Niemniej jedna z jego byłych zwierzchniczek, detektyw nadinspektor Melanie Craw, oświadczyła, że dawni koledzy policjanta są „bardzo poruszeni śmiercią człowieka, który do momentu podjęcia nieszczęsnych decyzji służył w policji z ogromnym zaangażowaniem”. Nadinspektor Craw potwierdziła też, że w pogrzebie weźmie udział oficjalna delegacja Scotland Yardu.

W dniu pogrzebu padało. Długie lato definitywnie się skończyło i ustąpiło miejsca jesiennej szarości jesieni. Niebo zakryło się chmurami, temperatura spadła poniżej dziesięciu stopni Celsjusza.

Zaskoczyły mnie tłumy, które przyszły pożegnać Healy'ego i choć z przykrością myślałem o tym, że w ostatnich miesiącach życia nie poradził sobie z gnębiącymi go demonami, poczułem też swoistą ulgę. Jadąc tego ranka na cmentarz, bałem się, że jedynymi osobami nad jego grobem będą Gemma, ich synowie, Craw i może paru dawnych kolegów z pracy, którzy przyjdą okazać współczucie. A jednak mimo jego wybryków i niechęci, jaką wzbudzał, z Metropolitalnej przyjechało czterdzieści sześć osób, dołączając do wielu sąsiadów z St Albans i paru krewnych, którzy przylecieli specjalnie z Irlandii.

Pochowano go w miejscu, które znajdowało się dwie minuty spacerem od domu Gemmy. Właściwie trudno było wymyślić inne miejsce: w końcu nie miał domu i nigdzie nie był zadomowiony, zaproponowałem więc Gemmie Bells Hill, a ona się zgodziła. W dniach po odnalezieniu jego ciała godziła się niemal na wszystko. Od tego okresu, gdy myślała o Healym jako o mężu, minęło już sporo czasu, nie znaczyło to jednak, że nie zostały w niej resztki uczucia. Na początku, gdy czekaliśmy na wyniki DNA mające ostatecznie potwierdzić, że to on, była lekko oszołomiona i zachowywała się jak w transie, dlatego zaoferowałem, że zajmę się wszystkimi formalnościami. Podczas rozmów przed pogrzebem ani razu się nie rozplakała. Siedziała nieruchomo wpatrzona w przestrzeń i tylko powtarzała, że ma do mnie pełne zaufanie, że wybrana przeze mnie trumna jej odpowiada, że zamówione kwiaty są piękne, że psalmy idealnie pasują. Przez miesiąc przypominała tamę, która trzeszczy pod naporem wody.

Podczas nabożeństwa przyglądałem się synom Healy'ego, których wcześniej spotkałem tylko raz, na pogrzebie ich siostry trzy lata wcześniej. Szczuplejszy Ciaran, z którym rozmawiałem przez telefon kilka dni przed znalezieniem Healy'ego, fizycznie był podobny do matki. Stał w ciemnym, lśniącem od deszczu garniturze, ze wzrokiem wbitym w trumnę i rękami założonymi na piersiach, nie okazując żadnych emocji. Brat Liam był jego przeciwieństwem: tęgi jak ojciec, rudowłosy, ruchliwy i przejęty. W chwili opuszczania trumny do grobu złapał matkę za rękę, jakby się bał, że zaraz sam się tam znajdzie. Elegancko ubrana Gemma przez pierwszą godzinę w kościele i na cmentarzu dzielnie się trzymała i dopiero w drodze powrotnej do samochodu kilka razy ugięły się pod nią nogi, jakby za chwilę miała upaść. A potem w końcu się rozpląkała.

* * *

Stypa odbyła się w klubie golfowym na północnych krańcach miasta. Craw się na niej zjawiała, ale ani razu do mnie nie podeszła. Widać nadal wołała nie pokazywać się ze mną publicznie i cały czas trzymała się drugiego końca sali. Stojąc samotnie przy oknie i gapiąc się na green, zobaczyłem nagle w szybie odbicie dwóch twarzy. Odwróciłem głowę i stwierdziłem, że tuż za mną stoi dwóch gliniarzy z wydziału śledczego, z którymi zdarzyło mi się w przeszłości krzyżować szpady. Jednym był małomówny Szkot po czterdziestce nazwiskiem Phillips, kierujący śledztwem, które doprowadziło Healy'ego i mnie do ciała Leanne i jej zabójcy; drugim pucułowaty i pyskawy detektyw sierżant Davidson, który w 2012 roku pracował z Healym w jednej grupie operacyjnej i z którym wzajemnie się nie znosili.

– David – odezwał się Phillips.

Kiwnąłem głową i podaliśmy sobie ręce.

Davidson nie wyciągnął ręki, tylko zmierzył mnie wzrokiem.

Przez chwilę staliśmy w niezręcznym milczeniu, w końcu Phillips powiedział:

– To ty znalazłeś Colma. – Nie było to pytanie, więc tylko skinąłem głową i nadal milczałem. – Widzę, że nie przestałeś wtykać nosa w nie swoje sprawy

i zbawiać świat.

Znów zamilkł, tym razem na dłużej. Nigdy nie lubiłem Phillipa jako człowieka, ale doceniałem go jako profesjonalistę. Było natomiast jasne, że nie odwzajemnia mi się tym samym.

– Ile razy biorę do ręki gazetę, wyskakuje z niej twoje nazwisko. Dlaczego nie dasz nam spokojnie robić tego, co do nas należy?

– Nie wiedziałem, że wam w czymś przeszkadzam.

– Psujesz nam robotę, David.

– Sam nie wierzysz w to, co mówisz.

– Tak sądzisz?

– Szukam tych, którymi nikt inny się nie zajmuje.

– Czyli działasz w interesie publicznym, tak?

– Nazywaj to sobie, jak chcesz. – Wzruszyłem ramionami.

Davidson przesunął się parę kroków i stanął niemal ramię w ramię ze mną. Przez przerwę między nim a Phillipsem widać było, że całą scenę obserwuje grupka gliniarzy, łącznie z Crawl. Wyraźnie akcja została wcześniej zaplanowana i wszyscy o niej wiedzieli. Na moment oczy Crawl i moje się spotkały, ale wyraz jej twarzy pozostał obojętny. A potem ktoś się ku niej nachylił i nie odrywając ode mnie wzroku, coś powiedział, ona zaś się uśmiechnęła. Poczujęm przypływ złości.

– Pierwszy raz spotkaliśmy się w dwa tysiące jedenastym, prawda? – rzucił Phillips.

– Staram się nie pamiętać – odburknąłem.

– Minęły trzy lata, a my wciąż musimy po tobie sprzątać. Żal mi Colma, oczywiście, że mi go żal. Jego życie tragicznie się potoczyło. Nikt z nas mu tego nie życzył. – Spojrzał na Davidsona, jakby się upewniał, że dotyczy to także jego. – Ale szczerze powiem, David, że chyba by mnie tu nie było, a on by tak nie skończył, gdybyś się nie napatoczył.

– Skąd ci to przyszło do głowy? – mruknąłem, marszcząc czoło.

– Bo to ty go zdemoralizowałeś.

– Bzdura! – parsknąłem i zrobiłem krok do przodu. – Gdy poznałem Healy'ego, był już mocno zniechęcony, a powodów jego zniechęcenia powinniście poszukać u siebie.

– Czyżby?

– Kiedy zaginęła Leanne, w Metropolitalnej nikt za bardzo się tym nie przejął.

– To nieprawda.

– Dlatego zaczął jej szukać na własną rękę. Od dziesięciu miesięcy była na liście zaginionych, gdy w końcu on i ja odkryliśmy, że nie żyje. A ty siedziałeś na dupie i palcem nawet nie kiwnąłeś.

– Próbujesz pisać historię na nowo.

– Mów, co chcesz, jeśli dzięki temu lepiej ci się śpi. – Westchnąłem.

– Wciąż znasz wszystkie odpowiedzi, co?

To powiedział już Davidson z tym swoim wyraźnym akcentem z East Endu.

– Co ty tu w ogóle robisz? – odciąłem się. – Healy cię nienawidził.

– Nic o mnie nie wiesz... ani o Healym. Zanim się z tobą spiknął, był fajnym kolesiem. – Odwrócił głowę i powiódł wzrokiem po grupie gliniarzy, którzy nie spuszczaali nas z oczu, co go jeszcze bardziej zachęciło. – Jakbyś miał trochę przyzwoitości, tobyś tu dziś nie przychodził. Pochowaliśmy biedaka i zostawiliśmy synów bez ojca, bo mu namieszałeś w głowie. To przez ciebie nie żyje.

Znów postarałem się przełknąć gulę złości, ale tym razem tak łatwo nie poszło. Davidson popatrzył na grupkę kolegów, szukając w nich oparcia, a ja zauważyłem, że Craw jako jedyna w tym gronie nie patrzy na mnie. Udała, że coś innego ją zajęło, i odeszła parę kroków, bo chyba nie była w stanie spojrzeć mi w oczy.

– No cóż, miło było znów was spotkać, chłopcy – rzuciłem i zanim zdążyli zareagować, precisnąłem się między nimi i ruszyłem przez salę ku miejscu, w którym Ciaran i Liam rozmawiali z kimś z rodziny.

Za plecami usłyszałem wybuch śmiechu gliniarzy, do których dołączyli zadowoleni z siebie Phillips i Davidson, ale nawet na nich nie spojrzałem. Pożegnałem się z synami Healy'ego, odszukałem Gemmę, by jej powiedzieć, że w najbliższych dniach się do niej odezwę, i ruszyłem do samochodu.

Dwadzieścia minut później, gdy w strumieniach lejącego deszczu przedzierałem się na południe trasą A1, zadzwonił telefon.

To była Craw.

– Nie zauważyłam, kiedy wyszedłeś – rzuciła.

– Nie zauważyłaś?

– Trzeba było mi powiedzieć, że wychodzisz.

Parsknąłem śmiechem, choć nie było w tym nic zabawnego.

– No pewnie, już sobie wyobrażam twoją minę, gdybym podszedł się z tobą pożegnać na oczach wszystkich twoich kolegów z pracy.

Cisza w słuchawce.

– Raker, posłuchaj...

– Nie ma o czym mówić.

– Ja nie mogę... – Nie dokończyła, ale wiedziałem, co chciała powiedzieć: „Nie mogę się pokazywać w twoim towarzystwie”. – To trudna sprawa. Są pewni ludzie, którzy...

– Nie przejmuj się.

– ...chcieliby to wykorzystać...

– Nie ma o czym mówić, Crawl. Rozumiem.

Wjechałem na North Circular i ugrzęzłem w gigantycznym korku przy hotelu Holiday Inn, który wyglądem bardziej przypominał silos zbożowy. Przez chwilę żadne z nas nie próbowało podjąć rozmowy i w telefonie dał się słyszeć tylko cichy szum.

W końcu ona odezwała się pierwsza.

– Co się z tobą dzieje? – spytała.

– A jak myślisz?

– Wszyscy jesteśmy przygnębieni.

– Nie chodzi o Healy’ego.

Popatrzyłem ponad dachami stojących przede mną samochodów. Kawalek dalej było lekkie wzniesienie i za nim nic już nie było widać, a ulewa jeszcze się wzmogła.

– Co mogę zrobić?

Rozumiałem, co do mnie mówi, i wiedziałem, że nie wyciąga ku mnie pomocnej dłoni, lecz tylko wyraża swą bezsilność. Jej pytanie naprawdę brzmiało: „Cóż mogę poradzić na to, że jestem starszą funkcjonariuszką w Metropolitalnej, gdzie wszyscy cię nienawidzą?”.

– Nie wiem – odparłem. – Nie wiem, co sam mam zrobić lub powiedzieć poza tym, że mam dość wysłuchiwania pouczeń od ludzi, których muszę wyręczać w obowiązkach.

– Co to, u diabła, ma znaczyć?

– To znaczy, że mam dość bycia traktowanym jak trędowaty.

Wyrzuciłem to z siebie, zanim zdążyłem ugryźć się w język, co było u mnie rzadkim przypadkiem utraty samokontroli, ale jednocześnie z zaskoczeniem stwierdziłem, że wcale nie jest mi z tego powodu przykro. Może pogrzeb człowieka, którego brutalna szczerłość często cięła głębiej niż najostrzejszy nóż, był dobrą okazją, by wyrazić swoje odczucia.

– Chcesz powiedzieć, że żałujesz, że go znalazłeś?

– Nie, zupełnie nie to chcę powiedzieć. Ale w tym rzecz: to ja go znalazłem, tak jak sobie tego życzyłaś, a dziś musiałem stać i słuchać, jak dwóch palantów z odznakami próbuje się na mnie wyżywać i wmawiać mi, że to przeze mnie Healy nie żyje.

– A czego się spodziewałaś?

– Czego się spodziewałem?

– Załatwiasz sprawy, których oni nie potrafią dokończyć. To oczywiste, że są wrogo nastawieni. Odkrywasz prawdę o ich ofiarach. Wystawiasz ich na krytykę.

– „Ich”?

– Co chcesz powiedzieć?

– Ciebie, Craw.

– Nie...

– To „ich” znaczy „was”.

– Słuchaj, nie rozmawiam z tobą po to...

– Co za różnica, czy jakiś gnojek w rodzaju Davidsona obrzuca mnie głównym godzinę po pochowaniu kogoś, na kim mi zależało, czy widzę, jak stoisz kawalek dalej i z satysfakcją przyzwalasz na opluwanie mnie przez kolegów?

– Wcale tak nie...

– Tylko nie próbuj mi wmawiać, że tak nie było.

Nic nie odpowiedziała. Znow zapadła cisza i słychać było jedynie odgłosy pełzających w deszczu samochodów oraz brzęczenie aparatu ustawionego na tryb głośnomówiący. Telefon identyfikował rozmówcę zgodnie z charakterem naszej znajomości: tylko Crawl, bez imienia.

– Mamy coś jeszcze sobie do powiedzenia? – spytałem.

– Raker, posłuchaj...

– Wszystko mi jedno, czy ktoś zobaczy nas przy jednym stoliku, więc jest mi to obojętne. Wisi mi to. I wiesz, co ci powiem? Nawet mnie nie obeszło to twoje dzisiejsze udawanie, że tak strasznie mnie nie lubisz, tylko dlatego, żeby ktoś się przypadkiem nie kapnął, że zjedliśmy razem kolację. Bo przecież tak naprawdę to mnie lubisz, prawda? Chyba nie próbujesz mi wyciąć jakiegoś chamskiego numeru, co?

– Oczywiście, że nie.

– To dobrze. Więc chciałbym wiedzieć jedno. Czy za trzy miesiące, za sześć miesięcy, za rok, za pięć lat nadal będę stał na końcu sali, a ty będziesz mnie traktowała jak śmiecia? Szczerze ci powiem, że mam gdzieś to, co ta cała banda mówi lub myśli o mnie. Ale zależy mi na tobie.

Kolejne długie milczenie.

– Crawl?

– Lubię cię, Raker. Myślę, że przyzwoity z ciebie facet.

– Ale?

– Ale to nie takie proste. Moja sytuacja jest skomplikowana.

Coś się we mnie załamało. To już nie była złość. To było coś głębszego i boleśniejszego. A potem nagle do mnie dotarło: dziś żegnałem się z dwojgiem ludzi.

– Więc tak się sprawy mają – powiedziałem cicho.

– Raker, musisz zrozumieć...

– Nie uważam, bym cokolwiek musiał.

I gdy znow zapadło milczenie, a Crawl nie podjęła próby dalszej rozmowy, bez słowa się rozłączyłem.

Po znalezieniu ciała Healy'ego od razu stamtąd uciekłem. Nie obszukałem jego plecaka ani kieszeni, nie przeszukałem wnęki, nie pomyślałem nawet o tym, że mógłbym trafić na coś przydatnego w dalszych działaniach. Po prostu wygramoliłem się z wnęki i zadzwoniłem na 999, uznając, że moje poszukiwania dobiegły końca. Znalezienie Healy'ego było postawieniem kropki. Nie umiałem się zmusić do pozostania choćby chwili dłużej w dziurze, która stała się jego grobem. Do zastanawiania się, jak do tego doszło, patrzenia na robactwo zjadające jego szczątki, wyobrażania sobie jego ostatnich chwil.

Wiedziałem, że policja zajmie się dokładnymi oględzinami wnęki i znajdzie wszystko co trzeba, a jego rzeczy i tak do mnie trafią. Dziesięć dni później potwierdziły się moje przypuszczenia: po przeprowadzeniu testów DNA dla ostatecznego potwierdzenia jego tożsamości i wydaniu zwłok rodzinie Gemma zawiadomiła mnie, że policja poprosiła ją o odebranie jego rzeczy osobistych: plecaka, ubrań, garnuszka, znalezionej przy nim książki i komórki. Wszystkiego z wyjątkiem teczki z aktami sprawy Clark.

Zadzwoniłem do Ewana Taskera, by go uprzedzić, że ktoś w Metropolitalnej może zacząć węszyć, jakim sposobem teczka z aktami policyjnymi znalazła się w posiadaniu Healy'ego, ale Ewan specjalnie się tym nie przejął. W miejsce tych wątpliwości pojawiły się nowe, które zaczęły mnie nękać: a co by było, gdybym wtedy nie zostawił teczki w recepcji motelu? Czy sprawy potoczyłyby się tak samo? Czy to ja popchnąłem go do takich działań?

Pojechałem z Gemmą po jego rzeczy, ale poczekałem pod budynkiem komisariatu w Peckham. Po chwili wyszła, trzymając w ręce przezroczystą plastikową torbę z plecakiem w środku i ściskając pod pachą drugą z jego innymi rzeczami i trzema fotografiami.

Gail, April i Abigail Clark.

Gdy wiozłem ją zakorkowanymi ulicami miasta do Barnet, w pewnym momencie zwróciła ku mnie poblada, ale niezalążawioną twarz.

– Dlaczego nie miał żadnych zdjęć Ciarana, Liama i Leanne? To były jego dzieci. To na ich fotografie powinien patrzeć w ostatnich chwilach życia. – Spojrzała na trzy zdjęcia. – Dlaczego te?

Szukałem w myślach odpowiedzi, która mogłaby jej ulżyć, ale niczego nie wymyśliłem.

– Nie wiem – powiedziałem.

Tak naprawdę znałem odpowiedź. To były trzy odbitki wyjęte z teczki z aktami, które dziewięć miesięcy wcześniej rozłożył na stoliku w motelowym barze. Już wtedy przyciągały jego uwagę tak bardzo, że bezwiednie dotykał ich palcami, i jak widać, jego fascynacja nie osłabła do ostatnich chwil życia. Bo prawda była taka – nieważne, jak trudna do pojęcia nawet dla kogoś, kto znał go tak jak ja – że w ostatnich dniach życia te fotografie stały się całym jego światem. Gail, April i Abigail były jedyną rodziną, jaka mu została.

* * *

Po powrocie z pogrzebu wziąłem prysznic, przebrałem się, wyjąłem z lodówki piwo i usiadłem w pokoju pod oknem. Od miesiąca, a dokładnie od momentu podjęcia poszukiwań Healy’ego, miałem kłopot ze snem i wsłuchując się w bębnienie deszczu o szyby, poczułem, że nadchodząca noc nie będzie inna.

Na stole leżała plastikowa torba przekazana Gemmie przez policję, w środku wciąż tkwiły rzeczy Healy’ego. Poprosiła, bym je zatrzymał, bo będę miał z nich więcej pożytku niż ona, ale miałem wrażenie, że to tylko część prawdy. Przede wszystkim nie wiedziała, co z nimi zrobić: z jego łachmanami cuchnącymi bezdomnością – wśród nich z czerwonym T-shirtem, który miał na sobie dzień przed naszą kłótnią – z garnuszką śmierdzącą whisky, którą popijał tabletki Zopiclone, i telefonem komórkowym z dawno wyczerpaną baterią i pustym wykazem połączeń, bo od stycznia praktycznie z niego nie korzystał.

Nie zdziwiło mnie nawet to, że nie zostawiła sobie znalezionej przy nim książki, a z wszystkich jego rzeczy książka wydała mi się najbardziej zaskakująca. Nosila tytuł *Kurort w środku miasta. Historia Wielkiego Molo w Wapping* i to, że trzymał ją w ponurej norze pod blokiem Highdale, zaintrygowało mnie. Była jak okruch zostawiony na stole, jak zwisająca pojedyncza nitka. Była stara, zniszczona, poplamiona kawą i nie miała racji bytu w tym miejscu. I dlatego nie mogłem przejść nad tym do porządku dziennego. W ciągu ostatnich dwóch tygodni kilka razy ją przekartkowałem, starając się zrozumieć, dlaczego ją tam zabrał. Healy nigdy nie interesował się historią miasta i prawdę mówiąc, podczas całej naszej znajomości ani razu nie widziałem go z książką w ręce. A jednak w ostatnich tygodniach i dniach życia w lochu, który sam sobie wybrał, znalazło się miejsce na książkę. Dlaczego?

Dopiłem piwo, poszedłem do kuchni po następne i wracając, wyjąłem książkę z plastikowej torby. Kiedyś musiała być własnością biblioteki, bo na jednej z pierwszych stron widniał jakiś stempel, teraz już rozmazany i trudny do odczytania.

Na okładce znajdowało się czarno-białe zdjęcie molo z diabelskim młynem na końcu drewnianej promenady, a drugi plan sugerował, że fotografię zrobiono z południowych krańców Wapping. W tle widać było panoramę Londynu, jaki już nie istnieje: wzdłuż Tamizy aż po Tower Bridge ciągnęły się magazyny i portowe nabrzeża. Na zdjęciu nie było wieży Shard, zabudowy Fenchurch Street, wieżowca zwanego tarką do sera. Widok miasta sprzed ery drapaczy chmur ze szkła i stali.

Okładka była wyblakła i ze starości poszarzała, ale nadal można było bez trudu odczytać tytuł: u góry *Kurort w środku miasta* i niżej *Historia Wielkiego Molo w Wapping*. Autorką była Carla Stourcroft, której nazwisko wygooglowałem po przejściu od Gemmy rzeczy Healy'ego. Okazało się, że była dziennikarką, miała odczyty z historii miasta i napisała szereg książek o Londynie. Największy rozgłos zyskała biografia Eldona Simmonsa zwanego Niewidzialnym Rozpruwaczem, który w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku zgwałcił i zamordował pięciu mężczyzn w szemranych hotelikach w zachodnim Londynie. Reszta jej książek przeszła niemal niezauważenie, nie odnosząc komercyjnego sukcesu.

Z tego też powodu trudno było znaleźć coś na jej temat w sieci: zaledwie parę wywiadów po ukazaniu się *Niewidzialnego Rozpruwacza*, z których zresztą dowiedziałem się o jej odczytach, i niewiele więcej. Wcześniejsze książki wydawała w małych wydawnictwach, z czego część własnym sumptem. Ponieważ nie miała strony internetowej, nie udzielała się w mediach społecznościowych, zostawiła po sobie minimalny ślad w internecie. Przeglądając dostępne w Google'u linki, na coś się jednak natknąłem: krótkie wspomnienie pośmiertne, jakie ukazało się w lokalnej gazecie. Stourcroft umarła, mając czterdzieści sześć lat. W notce nie podano przyczyny jej śmierci, napisano natomiast, że odeszła otoczona rodziną.

O Wielkim Molo w Wapping nie wiedziałem prawie nic poza tym, że powstało w wyniku śmiałego wiktoriańskiego eksperymentu, którego celem było przeniesienie atmosfery nadmorskiego molo i jego atrakcji do stolicy. I dopiero znaleziona przy Healy'm książka pomogła uzupełnić mi te braki. Gdy wziąłem ją do ręki, sama otworzyła się na ośmiostronicowej wkładce z grubszego, błyszczącego papieru, gdzie zamieszczono serię zdjęć. Przedstawiały historię budowy molo – od wbicia w dno Tamizy pierwszych pali w 1888 roku, przez całkowite zniszczenie podczas niemieckich bombardowań Londynu w trakcie drugiej wojny światowej aż po częściową odbudowę w roku 1948. W 1967 roku teren przeszedł na własność amerykańskiego biznesmena, niejakiego Arnolda Goldmana, który postanowił odtworzyć w tym miejscu molo z Weston-super-Mare, miejsca urodzenia swojej żony Angielki. Zdaniem Stourcroft lata siedemdziesiąte ubiegłego wieku były najlepszym okresem w historii molo w Wapping, a Goldman zarobił na tej inwestycji osiem milionów funtów.

Wydaje się, że kluczem do jego sukcesu było odtworzenie atmosfery wiktoriańskiego Londynu. Zbudowane z mahoniu i żelaza stoiska z lodami, wata cukrową i popcornem ozdobiono grafikami ukazującymi molo tuż po otwarciu w roku 1889. Całości nadano charakter skansenu i wszyscy zatrudnieni musieli nosić stroje z epoki. Na wzniesionym za pawilonem podium bez przerwy grała orkiestra dęta, powstał też gabinet krzywych luster, a w samym pawilonie działały automaty zręcznościowe, do których wrzucało się monety z czasów wiktoriańskich nabywane za współczesną

walutę. Goście bawili się przy stołach do bagatelle – archaicznej wersji flipperów – oglądali śmiejących się marynarzy, wysłuchiwali przepowiedni mechanicznych wrózek, testowali tężyznę fizyczną i mierzyli siłę swych uczuć. Molo przynosiło zyski przez całe lata osiemdziesiąte i dopiero recesja lat dziewięćdziesiątych uderzyła w nie tak dotkliwie, że już nigdy nie stanęło na nogi. Ostatecznie w 1993 roku, sto cztery lata po otwarciu, Goldman z oporami zamknął interes.

Ostatnia fotografia we wkładce – jedna z czterech barwnych – pochodziła z roku 1996, kiedy molo już od trzech lat nie działało. Zdjęcie zrobione z Waterside Gardens ukazywało Tamizę w kierunku wschodnim z majaczącymi w oddali wieżami Canary Wharf. Posępnie wyglądający pawilon przypominał cielsko wyrzuconego na brzeg i zdychającego zwierzęcia, molo zaś wystawało z wody na palach porośniętych wodorostami. Diabelskiego młyna już nie było, bo go rozebrano i przetransportowano na molo na północno-wschodnim wybrzeżu, widać natomiast było resztki dawnego podium dla orkiestry.

Książka ukazała się w 2002 roku – w podpisie pod ostatnim zdjęciem autorka przewidywała, że remont molo może okazać się zbyt kosztowny, i nie wróżyła mu świetlanej przyszłości. Od tej pory minęło dwanaście lat, a molo wciąż sterczało w nurcie jednej z najruchliwszych rzek świata. Według Wikipedii właścicielem terenu była obecnie firma Rook's Head.

Zamknąłem książkę i po raz dziesiąty czy dwudziesty przyjrzałem się jej okładce.

Często wracałem do niej myślami, wciąż nie potrafiąc zrozumieć, co w niej tak zaciekało Healy'ego. Dlaczego ta książka? Dlaczego ten temat? Przekartkowałem ją w nadziei na znalezienie jakichś odręcznych notatek Healy'ego. Dowodu na to, że coś w jej treści – jakieś pojedyncze słowo, któryś akapit – wzbudziło jego szczególne zainteresowanie. Na nic takiego jednak nie trafiłem. Nie było żadnych zapisków na marginesach i wewnętrznych stronach okładek. Zdawałem sobie sprawę, że pod koniec życia, kompletnie rozbity psychicznie i fizycznie, nie był sobą. Wszystko to wiedziałem, lecz nie mogłem się pozbyć wrażenia, że ta książka nie znalazła się w jego rzeczach przypadkowo.

Musiał w niej coś dostrzec.

I o ile mogłem zapomnieć o jego T-shircie, garnuszku, komórce i plecaku, o tyle na tę książkę nie potrafiłem machnąć ręką i w myślach wciąż do niej wracałem.

To właśnie przez nią nie mogłem spać.

Gdy o pierwszej nadal nie mogłem usnąć, poszedłem do salonu, raz jeszcze sięgnąłem po książkę, zabrałem notatnik i długopis i wróciwszy ze wszystkim do łóżka, po raz pierwszy zabrałem się do czytania strona po stronie. Deszcz chwilami przestawał padać, ale zaraz zaczynał od nowa, księżyc wylaniał się zza chmur i znów za nie chował, pogrążając świat w mroku, a ja z uporem wgryzałem się w historię Wielkiego Molo w Wapping. O trzeciej nad ranem dotarłem do sto pierwszej strony z dwustu osiemdziesięciu czterech i wreszcie zaczął mnie morzyć sen, odłożyłem więc książkę i szybko zasnąłem.

Ocknąłem się o szóstej, zmęczony i niewyspany.

Powlokłem się do kuchni, zaparzyłem kawę i pijąc ją, przyglądałem się moim sąsiadom, Andrew i Nicoli, którzy znosili bagaże do samochodu i szykowali się do weekendowego wyjazdu. A potem wróciłem do sypialni.

Kontynuując lekturę od miejsca, w którym przerwałem w nocy, dowiedziałem się, jak w roku 1967 doszło do kupna Wielkiego Molo w Wapping przez Arnolda Goldmana. Narracja Carli Stourcroft była zniechęcająco drobiazgową, ale brnąłem przez jej opowieść o rosnącym imperium Amerykanina, które rozciągało się od Las Vegas po Gold Coast w Australii i obejmowało nawet kasyna przy Brompton Road w Londynie. Po godzinie zerknąłem do notatnika i stwierdziwszy, że jest pusty, przenieśliem się do salonu. Promyki słońca dzielnie przebijały się już przez okna od strony ogrodu i uznałem, że zmiana miejsca może mi pomóc w zyskaniu nowej perspektywy. Niestety, przewracając stronę za stroną i zagłębiając się coraz bardziej w rozwlekłą historię ostatnich lat molo, nie natknąłem się na nic przydatnego. W epilogu autorka opisała rozbiórkę diabelskiego młyna i przeniesienie go na molo w Norfolk, a także odsprzedanie „spektakularnego gabinetu luster” i galerii wiktoriańskich gier losowych i zręcznościowych

firmie Rook's Head, tej samej, która w roku 2001, osiem lat po zamknięciu molo, kupiła od Goldmana całość terenu. W zasadzie na tym książka się kończyła.

Mój notatnik pozostawał pusty, najważniejsze pytania wciąż czekały na odpowiedzi, a ja, wpatrując się w okładkę, czułem, że narasta we mnie bunt. Książka nie miała żadnego związku ze sprawą, była zupełnie przypadkowa i to nie Healy ją tam przyniósł. Musiał ją przynieść ktoś inny, a on tylko się na nią natknął w swojej norze pod blokiem. Mimo to – choć wyjaśnienie brzmiało logicznie, mój notatnik zaś po uważnym przeczytaniu całości pozostawał pusty – nie mogłem uwolnić się od myśli, że książka ma jednak jakieś znaczenie. Znalazłem ją obok zwłok człowieka, który rzadko czytał i nie interesował się historią, i to nie dawało mi spokoju.

Poszedłem po laptopa.

Wiedziałem już wystarczająco dużo o Arnoldzie Goldmanie, postanowiłem więc dowiedzieć się czegoś więcej o Rook's Head. Zaskoczyło mnie, że firma nie ma oficjalnej strony internetowej, ale w wyszukiwarce pojawiły się linki do paru artykułów.

Jednym z nich był wywiad na portalu Business UK z niejakim Garym Cabotem, założycielem Rook's Head. Inny link doprowadził mnie do strony Świata Cudów i Muzeum w Wapping, o czym nigdy wcześniej nie słyszałem, a co wyglądało na połączenie galerii gier z ekspozycją historycznych urządzeń i mieściło się w starej piarni na brzegu Tamizy, tuż obok Wielkiego Molo.

Całość rozplanowano dość topornie, a po wejściu w galerię obrazów okazało się, że wewnątrz muzeum nie wygląda lepiej.

Tak jak oryginalne molo Goldmana, Świat Cudów Cabota też nawiązywał do Anglii wiktoriańskiej i edwardiańskiej. Wnętrze piarni było obwieszane planszami w staroświeckim stylu, personel nosił nieco wydumane stroje z epoki, stoiska miały szyldy z napisami złożonymi tradycyjnym krojem pisma, ale całą tę historyczną atmosferę psuły oferowane artykuły: gazowane napoje w puszkach, jednorazowe aparaty fotograficzne i plastikowe badziewie, którego sterty zalegają we współczesnych automatach zręcznościowych w salonach gier. Podpis pod jednym z obrazów na stronie internetowej informował, że galeria gier w Świecie Cudów jest „największym

wiktoriańskim przybytkiem rozrywki w Zjednoczonym Królestwie, prezentującym siedemdziesiąt dwie uratowane i wyremontowane maszyny z oryginalnego Wielkiego Molo w Wapping”.

W budynku znajdowały się też kafeteria i muzeum – w którym wyeksponowano na ścianach czarno-białe fotografie ukazujące historię molo i papierni oraz uroczystość otwarcia – a także sklep z pamiątkami. Prawda była jednak taka, że o ile z zewnątrz papiernia prezentowała się jako piękna barokowa budowla w ciekawym otoczeniu, o tyle wewnątrz została przemieniona przez Cabota w tandetną budę jarmarczną.

Opuściłem stronę Świata Cudów i odszukałem profil zawodowy Cabota na stronie Business UK. Notatka była sprzed roku i zaczynała się od jego fotografii zrobionej przed głównym wejściem do papierni. Stał na tle jaskrawoczerwonego napisu ŚWIAT CUDÓW, wokół którego rozmieszczono cztery plansze reklamowe, każda z obietnicą innej atrakcji: „Odwiedź z nami XIX wiek!”, „Zagraj w największej galerii gier w UK!”, „Doznaj zawrotu głowy w spektakularnym gabinecie luster!”, „Poznaj zdumiewającą historię Wielkiego Molo w Wapping!”. Ściany były ozdobione reprodukcjami wiktoriańskich reklam mikstur, proszków, mydeł, kakao i papierosów.

Sam Cabot wyglądał na człowieka po sześćdziesiątce, miał rzadkie siwiejące włosy oraz masywne ręce wsparte na wystającym brzuchu i sprawiał wrażenie kogoś, kto jeszcze nie przywykł do odniesionego sukcesu. Zarost na jego brodzie był rozwichrzony, miejscami wręcz skołtuniony, za duża koszula wisiała na nim niezgrabnie, ręce zaś miał upačkane smarem. Był zaprzeczeniem biznesmena, który dzięki własnej pracy awansuje z hali fabrycznej do sali posiedzeń zarządu firmy, a ze względu na jego wiek pewnie już tak miało pozostać. Podpis pod zdjęciem głosił: „Jedna z gazet nazwała Cabota «Richardem Bransonem dla ubogich», on jednak zupełnie się tym nie przejął. «Zaczynałem od naprawiania różnych rzeczy i nadal to robię, bo dlaczego miałbym przestać tylko dlatego, że mam teraz więcej pieniędzy?»”.

Dalej przedstawiono krótką historię Rook's Head. Wynikało z niej, że w 1967 roku Cabot rzucił szkołę, podjął pracę mechanika w warsztacie samochodowym ojca i jednocześnie snuł marzenia o automatach do gry z Wielkiego Molo w Wapping, co ostatecznie stało się jego życiową pasją.

Dzięki niej, a także dzięki temu, że „znalazł się we właściwym miejscu i czasie”, Cabot zaczął w swym warsztacie naprawiać zepsute urządzenia z galerii Arnolda Goldmana.

Pod koniec lat siedemdziesiątych galerie gier zręcznościowych zaczęły znikać – wspominał Cabot – a na ich miejsce pojawiły się pozbawione duszy urządzenia elektroniczne. Ale pan Goldman wciąż jeszcze miał na Wielkim Molo w Wapping siedemdziesiąt dwa automaty, z których niektóre pochodziły z lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, więc nadal je naprawiałem, smarowałem, czyściłem, malowałem i pilnowałem, by działały jak należy, aż do roku 1993, kiedy zamknięto molo. Wtedy pan Goldman zaproponował mi kupno całego wyposażenia za bardzo atrakcyjną cenę, a ja później dokupiłem jeszcze gabinet luster. W roku 2001, gdy w budynku starej papierni obok molo otworzyłem Świat Cudów, pan Goldman zaproponował mi też, bym kupił cały ten teren. Natychmiast z tego skorzystałem w nadziei na ponowne otwarcie molo, gdy tylko mój Świat Cudów stanie na nogi. Niestety, koszty okazały się za wysokie, więc obecnie molo pozostaje tylko zabytkiem historycznym, którego nie pozwolę nikomu tknąć tak długo, jak długo będę jego właścicielem.

Było mi coraz trudniej pojąć, jaki związek z tym wszystkim mógł mieć Healy. Czy naprawdę pod koniec życia stało się to dla niego tak ważne? Historia amerykańskiego miliardera, który zbudował, zamknął i w końcu sprzedał molo, oraz miejscowego mechanika, któremu się powiodło i który je od niego odkupił, by otworzyć prymitywnie zaaranżowaną wystawę w sąsiadującej papierni? Wpatrywałem się w fotografię Cabota, wiedząc, że muszę znaleźć jakąś odpowiedź, choćby nie wiem jak banalną. Bo jeśli tego nie zrobię, nieadekwatność książki oraz brak związku między muzeum a Healym będą mnie dręczyły, a ciekawość nie przestanie mnie zżerać. Bałem się, że nie pozwoli mi to spokojnie usnąć, i to nie tylko w najbliższych dniach.

Tygodniami i miesiącami.

Całymi latami.

Ale poza chęcią zaspokojenia ciekawości nękało mnie coś jeszcze. Świadomość, że nie dowiem się, co Healy znalazł na kartach tej książki, nie pozbędę się niepewności, która jak ciemna chmura wisiała nade mną od pogrzebu. Że w słowach Phillipsa i Davidsona mogło tkwić ziarno prawdy.

Że Healy zabił się przeze mnie.

Że to wszystko moja wina.

Właśnie mijalem Ealing Common, przedzierając się samochodem w lejącym deszczu przez zakorkowaną Gunnersbury Avenue, gdy zabręczał telefon leżący na fotelu pasażera. W pierwszej chwili postanowiłem nie odbierać, bo myślami byłem w muzeum w Wapping – zastanawiałem się, co mnie tam czeka – ale potem zauważyłem, kto dzwoni.

Annabel.

Nacisnąłem ODBIERZ.

– Cześć, kochanie.

– Cześć – powiedziała. – Co u ciebie?

– Wszystko dobrze. Myślałem, że dziś masz weekendowe warsztaty.

– Właśnie skończyłam.

– A, jasne. I jak poszło?

– W porządku. Dzieciaki z soboty to moi ulubieńcy.

Zerknąłem przez szybę na północne obrzeża Common i gnące się na wietrze dęby oraz kasztanowce. W słuchawce zapadła cisza, jakby Annabel miała coś do powiedzenia, lecz nie bardzo wiedziała, jak zacząć.

– U ciebie wszystko OK? – spytałem.

– Tak, ja tylko... – Zawiesiła głos. – Chciałam się tylko upewnić, że dobrze się czujesz.

Nie od razu się zorientowałem, o czym mówi, i dopiero po chwili do mnie dotarło. Chodziło jej o Healy’ego, jego śmierć i pogrzeb. Jej niepokój mnie wzruszył i poczułem ogarniające mnie ciepło. Jak dobrze mieć kogoś, kto się o ciebie troszczy. Takich gestów mogłem niegdyś się spodziewać od Derryn, przedtem od rodziców. I choć mój stosunek do Annabel miał zupełnie inny charakter – był bardziej opiekuńczy i ojcowski – zrobiło mi się miło, że swoim zatroskaniem przypomina mi najszcześniejsze chwile w moim życiu.

– U mnie wszystko dobrze – powtórzyłem.

– Jak było na pogrzebie?

Pomyślałem o nabożeństwie, zaczepte Phillipsa i Davidsona, kłótni z Craw.

– Jak to na pogrzebie.

– Przykro mi, że mnie tam nie było.

– Nawet nie przyszło mi to do głowy.

– Wiem. Ale chciałam cię wesprzeć. Opowiadałeś mi o Healym. Wiem, że nie byliście zbytnio zaprzyjaźnieni, ale to jeszcze nie znaczy, że człowiekowi jest źzej.

– To naprawdę miło z twojej strony, Belle.

W końcu niebo się rozwarło i ulewa zadudniła o szyby i dach samochodu. Sygnał zaczął zanikać i gdy głos znów się pojawił, Annabel była już w połowie zdania.

– ...teraz pracujesz?

– Możesz powtórzyć?

– Nad czym teraz pracujesz?

Już miałem odpowiedzieć, ale nagle mnie przytknęło.

Bo właściwie nad czym ja teraz pracuję?

Nie byłem pewny, jak brzmi odpowiedź, bo nie za bardzo wiedziałem, na czym stoję. Od mojego spotkania z Healym w kafejce w Hammersmith niemal dziesięć miesięcy temu nikt nie zwrócił się do mnie o pomoc w szukaniu mordercy rodziny Clark, nikt nie zaproponował mi honorarium za pracę, nie odbyłem żadnych rozmów z członkami rodziny, nie zebrałem żadnych wspomnień, nie spędziłem ani chwili w mieszkaniu ofiar. Jeśli miałbym to traktować jako szukanie osoby zaginionej, to byłby to zupełnie niezwykły przypadek, ponieważ rezultat poszukiwań był z góry wiadomy. Nikt żywy nie wróci na końcu do domu i nie będzie happy endu.

Jedyną niewiadomą był motyw.

No i nazwisko sprawcy.

Może w tym rzecz? Może właśnie to umknęło uwadze wszystkich w całym tym zamieszaniu? Bo czemu ta rodzina? Dlaczego ktoś miałby mordować dwoje niewinnych dzieci we śnie w ich własnych łóżkach?

Nie było w tym sensu.

I brakowało zabójcy.

Po dziesięciu minutach ruch nieco zelżał, a ja skręciłem na wschód w stronę Wapping. Wciąż myślałem o tym samym, podczas gdy jednostajny szum silnika pomagał mi zebrać się w sobie. Im więcej wiedziałem, tym większą czułem złość na myśl o śmierci trzyosobowej rodziny, śmierci gliniarza, który nie potrafił się z tego wypłatać, oraz na myśl o tym, jak to wpłynęło na życie tak wielu osób: sąsiadów z bloku, rodziców kolegów i koleżanek bliźniaczek ze szkoły, dzieci siedzących w ławkach obok nich, Gemmy i jej dwóch synów, nawet Craw. Jak fala rozchodząca się po tafli jeziora i zataczająca coraz szersze kręgi aż po brzegi. Jednymi ta fala mocniej wstrząsnęła, innymi mniej, ale śmierć była z natury zjawiskiem sejsmicznym: wstrząsała i usuwała grunt pod nogami, a Bogu ducha winni ludzie wpadali w powstające wyrwy.

Zbliżając się do Wapping, coraz bardziej utwierdzałem się w swoim postanowieniu. Nie specjalizowałem się w takich sprawach, ale wiedziałem, że tę muszę rozwiązać i poznać wreszcie odpowiedź. Tyle że celem moich poszukiwań tym razem mieli być nie ludzie, lecz motywy. Chciałem to zrobić dla wszystkich, którzy przypłacili to życiem.

Dla Gail Clark.

Dla April i Abigail.

Dla Healy'ego.

Tom

1 dzień, 23 godziny, 11 minut przed

Pub mieścił się nad rzeką. Było ich osiemnastu, stłoczyli się w ciemnym kącie, z głośników nad głowami waliła muzyka. Nie znał wszystkich, ale wystarczająco wielu z grupy samych mężczyzn, którzy postanowili się upić lub już byli nieźle podcięci. Ktoś snuł opowieść – od kogoś usłyszaną lub zmyśloną – o biseksualnej koleżance z pracy, podczas gdy na drugim końcu stołu trwała dyskusja o zaczynających się rozgrywkach ligowych w piłkę nożną.

Mal starał się słuchać obu rozmów, w żadnej nie uczestnicząc, po czym dopił drinka i rzucił pod nosem, że wychodzi na papierosa. Był sobotni wieczór, pub pękał w szwach i w drodze do wyjścia musiał się przeciskać przez kolejne grupki ludzi. Gdy wreszcie wydostał się na ulicę i odetchnął ciepłym wieczornym powietrzem, był spocony, zmęczony i poirytowany.

Papieros trochę go uspokoił. Paląc i przyglądając się przechodniom, zaczął myśleć o Gail i dziewczynkach, które pewnie już spały. Jak w zegarku kładły się do łóżek zawsze o wpół do ósmej, bo Gail ściśle przestrzegała ustalonego porządku we wszystkich sprawach. Sama szła spać około dziesiątej, czasami pół godziny później, czasami wcześniej. Znacznie bardziej niż on była rannym ptaszkiem. On lubił zarywać noce, bo czuł wtedy, że żyje, choć od czasu kłopotów ze snem i pojawienia się nocnych koszmarów gorzej znosił ciemności. Doszło do tego, że gdy w połowie filmu lub podczas oglądania meczu Gail zaczynała drzemać na kanapie, on tęsknie myślał, że też by tak chciał.

– W środku za głośno?

Odwrócił głowę, by sprawdzić, kto mówi. Był to jeden z jego kompanów, niejaki Tom Ruddy. Znali się od dawna, a ich ścieżki wielokrotnie się krzyżowały, głównie w pracy, ale także w szczególnym momencie przed trzema

laty podczas pikniku rodzinnego, gdy jeden z synów Toma omal nie utonął w stawie. To Mal go uratował – wskoczył do wody, wyciągnął na brzeg i przeprowadził sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Uratował mu życie, co oczywiście zostało na zawsze zapamiętane przez Toma, jego żonę i ich całą rodzinę.

Mal nigdy, ani przez sekundę, nie żałował, że to zrobił, natomiast czasami męczył go szum, jaki temu towarzyszył. Od tamtej chwili Tom zachowywał się zupełnie inaczej. Wciąż wracał do tamtego wydarzenia i lgnął do niego tak, jakby wdzięczność kazała mu trzymać się jak najbliżej, stawiać kolejne drinki i oferować pomoc w sytuacjach, w których nikt tego od niego nie oczekiwał. Stopniowo, z upływem czasu, namolność Toma zaczęła go drażnić. Mal zaczął nawet z żalem wspominać stare dobre czasy sprzed tego zdarzenia, kiedy Tom zachowywał się zwyczajnie. Jak wszyscy inni w pubie: rubasznie i po męsku, opowiadając różne sprośności i zapewne zmyślane historyjki.

– Takie gadki zawsze brzmią lepiej po szóstym piwie – powiedział Tom.

Mal mruknął coś w odpowiedzi, nie przerywając palenia. Poczęstowałby go papierosem, ale Tom nie palił. Nie wyszedł z pubu dlatego, że chciał zapalić. Wyszedł, bo Mal wyciągnął jego syna ze stawu, z płucami pełnymi wody.

– Jak ci się układa z Gail?

Spojrzał na Toma.

– W porządku.

– U dziewczynek wszystko dobrze?

– Tak, dobrze.

Przez chwilę stali w milczeniu, przyglądając się strumieniowi przechodniów. Malowi było trochę głupio, że nie pyta o zdrowie żony i synów Toma, wiedział jednak, że bez względu na to, co powie i jak sformułuje pytanie, rozmowa natychmiast zahaczy o tamten dzień nad stawem i znów zaleje go fala wdzięczności. Tom znów zacznie mu dziękować, a on tego nie zdzierży.

– A jak tam w robocie? – spytał Tom.

– Całkiem nieźle.

– Dużo pracy?

– Normalnie. – Wzruszył ramionami.

– Wciąż pracujesz w tej samej firmie?

W tej samej, o którą pytasz od trzech lat.

– Tak, w tej samej – powiedział na głos. – Niestety, życie kierowcy furgonetki nie należy do najbardziej ekscytujących, więc jeśli liczysz na jakieś pikantne opowiastki, to źle trafiłeś.

– Kierowcy furgonetki?

Mal zmarszczył brwi.

– No, a co? – dodał, widząc, jak tamten robi zdziwioną minę. – Coś nie tak?

Tom pokręcił głową, wyraz zaskoczenia zniknął mu z twarzy.

– Nie, to dobrze, że masz co robić – odparł. – Bo najważniejsze, żeby człowiek miał wypełniony dzień, inaczej zaczyna mu się dłużyć. My właśnie przyjęliśmy trzech nowych ludzi i bardzo dobrze. Ludzie wciąż umierają, więc w takiej pracy jak moja zawsze jest co robić.

Mal obrzucił go spojrzeniem. Na twarzy Toma pojawił się półuśmieszek, ale szybko zgasł. Widać zdał sobie sprawę, że jego uwaga zabrzmiała trochę niezręcznie. Trzy lata temu jego syn też był bliski śmierci i niewiele brakowało, by musiał wypisać świadectwo zgonu własnego syna.

– Po prostu miałem szczęście – dodał.

Oho, zaczyna się, stwierdził w myślach Mal.

– Że znalazłeś się wtedy w pobliżu Jonaha. – Mal kiwnął głową. – Wszyscy jesteśmy ci tak wdzięczni, że każdego dnia...

– Nie musisz mi znów dziękować, Tom – przerwał mu Mal, unosząc rękę. – Zrobiłem, co było do zrobienia, i zrobiłbym to jeszcze raz, ale już przestań mi dziękować. Skończmy z tym.

Następnego dnia późnym popołudniem przylecieli na Heathrow, wszyscy trochę skacowani. Weekend nie trwał długo, ale przez wypity alkohol zdawał się ciągnąć w nieskończoność, teraz zaś nastał moment powrotu do codzienności: żon, dzieci, pracy, spłaty rat kredytu.

– Dużo ci się szykuje na ten tydzień? – zapytał Tom.

W drodze powrotnej siedzieli obok siebie i czekając na otwarcie drzwi samolotu, Mal gapił się przez okno na rząd migających światełek przy pasie startowym i kręcących się w dole ludzi.

– *Jutro mam wolne.*
– *Dobrze ci – rzucił Tom, przewracając oczami.*
– *Odbieram dziewczynki ze szkoły.*
– *Chętnie bym się z tobą zamienił.*
– *No, to prawda. – Mal uśmiechnął się. – Zdarzają się gorsze obowiązki.*
Pasażerowie zaczęli wysiadać i Tom wyciągnął rękę na pożegnanie.
– *Fajnie było znów cię zobaczyć – powiedział. – Jakbyś czegoś potrzebował, to wiesz... dzwoń do mnie. – Uścisnęli sobie ręce. – Cokolwiek by to było.*
– *Jasne.*
– *Mam nadzieję, że te twoje... – Tom zawiesił głos, jakby szukał słowa, które nie urazi Mala. – No, że te twoje dostawy dobrze ci pójdą.*
Mal, patrząc za odchodzącym Tomem, poczuł dziwny niepokój. Potem wstał z fotela i wyjął torbę ze schowka nad głową.

Dzieci wybiegły ze szkoły z plecakami i torbami zawieszonymi na ramionach, piersiach i plecach, a także ciągniętymi po ziemi jak wózki.

Stał na trawniku na lewo od wejścia, czekając na April i Abigail. Miał dla nich prezent z weekendowego wyjazdu: dwie kupione na lotnisku butle z płynem do dmuchania baniek. Obie uwielbiały się w to bawić – zawsze nadmuchiwały jak największe bańki, puszczały je i czekały, aż rozprysną się w powietrzu. Kilka razy zabrał je na samą górę Searle House i przyglądał się, jak puszczają bańki z galeryjki na dwudziestym piętrze.

Wiatr zaszumiał w gałęziach drzew przed budynkiem szkoły, a on popatrzył na promienie letniego słońca przedzierające się między liśćmi i rozświetlające buzie dzieci na pomarańczowo, po czym wrócił wzrokiem do głównego wyjścia. Nagle pociemniało, dzieci przestały wybiegać z budynku, w drzwiach zrobiło się pusto.

Rozejrzał się.

Większość rodziców już się rozchodziła, trzymając ręce na wątych ramionkach dzieci, niektórzy jeszcze stali, gawędząc przy bramie lub obok szkolnego dziedzińca, podczas gdy ich pociechy wykorzystywały tę chwilę na zabawę.

Ale on wciąż czekał.

Wlepił wzrok w wejście i dojrzał, że w środku coś się poruszyło. W mrocznym wnętrzu błysnęło coś kolorowego. Zrobił krok do przodu, czując pierwsze ukłucie niepokoju. Gdzie podziały się dziewczynki? Zrobił następny krok i jeszcze jeden, a potem natknął się na jakiś dziwny opór i musiał użyć całej swojej siły, by się ruszyć i podejść bliżej drzwi. W końcu mu się udało i wtedy dostrzegł, że w mrocznym korytarzu ktoś chodzi.

Serce podeszło mu do gardła.

Próbował coś mówić, ale z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Spróbował ponownie, poczuł drapanie w gardle i zaniósł się kaszlem. Odwrócił się, by wezwać innych rodziców na pomoc, ale dziedziniec był już pusty. Nie było na nim nikogo. Ani rodziców, ani dzieci. Parking opuściły już wszystkie samochody, wszystkie okna były zamknięte, wszystkie drzwi zatrzaśnięte.

Był całkiem sam.

Ponownie spojrzął na główne wejście, ale na drzwiach wisiał już łańcuch z kłódką. Od środka. Ogarnęło go przerażenie i zaczął wykrzykiwać imiona dziewczynek, obracając głowę w stronę ulicy, by zwrócić na siebie uwagę kierowców, przechodniów, rowerzystów, kogokolwiek. Ale gdy tylko udało mu się wydobyć z gardła dźwięk, wiatr rozwał jego słowa, a on poczuł, jak jakaś magnetyczna siła ciągnie go ku wejściu do szkoły. Za drzwiami stał ledwie widoczny w mroku mężczyzna ze spuszczoną głową.

W granatowym prochowcu.

I opuszczonej na twarz bejsbolówce.

– Nie! – wykrzyknął Mal. – Nie! Nie rób im nic...

Krzyk musiał go obudzić, bo gwałtownie się zerwał. W głowie mu się kręciło, T-shirt i bokserki były mokre od potu. Chwilę potrwało, zanim sobie uzmysłowił, co się z nim dzieje i gdzie jest. Znajdował się w mieszkaniu, telewizor był włączony bez dźwięku, przy nogach leżał zwinięty w kłębek pies.

Głęboko odetchnął.

Jeszcze jeden koszmary sen.

Wstał i zajrzał do pokoju dziewczynek. Obie spały przy zapalanej lampce nocnej i w jej bladym blasku widać było, że głęboko i spokojnie oddychają. April leżała skulona w pozycji embrionalnej, tuląc swoją ukochaną przytulankę –

wystrzępiony bawełniany kocyk. Rozciągnięta na brzuchu Abigail była opatulona różowo-białą kołderką i w odrzuconej na bok ręce trzymała biało-brązowego szczeniaka. Patrzył na nie, czując, jak spływa z niego napięcie. Barwne malowidło nad ich łózkami – rozświetlona plaża z widocznymi w oddali sylwetkami domów i ludzi – rzucało czerwony refleks na ich twarze.

Zamknął za sobą drzwi i przeszedł do kuchni. Cyfrowy zegar na piekarniku pokazywał 3.40. Włączył czajnik, usiadł przy stole i po chwili zobaczył sunącą przez przedpokój postać Gail, która zwlekła się z łóżka i szła do łazienki. Oczy miała podkrążone i ledwo trzymała się na nogach. Położyła się bardzo późno, bo cały wieczór wkuwała do drugiego egzaminu pisemnego.

Czyli wszystko normalnie.

Wszystko w porządku.

Wszystko jak trzeba.

Nie ma powodu do niepokoju.

Niebo na moment przejaśniało i zza chmur wyjrzało blade jesienne słońce. Było dość chłodno, ale i tak lepiej, niżby miało lać.

Stara papiernia mieszcząca Świat Cudów i Muzeum w Wapping wznosiła się przy głównej ulicy, tuż obok Waterside Gardens, niewielkiego skweru nad brzegiem Tamizy. Zbudowany z brązowej cegły budynek miał cztery kondygnacje, a jego wielkie okna na drugim i trzecim piętrze wychodziły na żelazne podesty, pomiędzy którymi wisiał na ścianie drewniany dźwig wysięgnikowy, pamiętający pierwotne przeznaczenie całej konstrukcji. W czasach przed najazdem deweloperów i nastaniem mody na luksusowe apartamenty w dawnych halach fabrycznych okna były bramami, przez które wyładowywano towary dostarczane transportem rzeczonym.

Przed przyjazdem zadzwoniłem, by umówić się z Garym Cabotem, ale trafiłem do jego osobistej asystentki, która poinformowała mnie, że szef wyjechał na kilka dni do Dubaju na aukcję. Po dłuższych namowach asystentka bez entuzjazmu skierowała mnie do niejakiego Calvina Easta, kustosa muzeum.

Muzeum zamykano o osiemnastej, postanowiłem więc odczekać do siedemnastej i wejść do środka z ostatnią grupą zwiedzających. Asystentka Cabota uprzedziła mnie, że Calvin East co najmniej do wpół do szóstej będzie miał na głowie grupy turystów, a ja chciałem mieć pewność, że nie będę musiał z nimi konkurować o chwilę jego uwagi.

Ponieważ było dopiero wpół do piątej, ruszyłem w głąb wąskiej, wyłożonej kocimi łbami uliczki, ciągnącej się między budynkiem papierni a Waterside Gardens. Po paru krokach zobaczyłem wyłaniające się z mglistej szarości Tamizy molo.

Najpierw dojrzałem poczerniałe podpory, potem ukazały się resztki podestu dla orkiestry, który sterczał jakby doklejony do końca molo. Im byłem bliżej, tym większy wylaniał się jego fragment: jako pierwszy najbardziej wysunięty pawilon z ogromnym, wyblakłym i niekompletnym napisem WIELKIE MOLO nad wejściem, następnie długa blisko na sto metrów drewniana promenada z pozostałościami parku tematycznego Arnolda Goldmana, między innymi z odrapanymi sztyldami nieczynnych wiktoriańskich straganów, i wreszcie główne wejście w postaci stojącej za papiernią wielkiej łukowatej bramy z dwiema wieżyczkami, na szczytach których niegdyś powiewały flagi. Brama była przegrodzona pięciometrowym stalowym parkanem z drutami pod napięciem, co miało zniechęcać intruzów do wdzierania się na promenadę.

Mimo bliskości Tamizy i pływających w pobliżu łodzi teren sprawiał dziwne wrażenie odosobnionego i porzuconego. Bywałem w wielu podobnych miejscach, gdzie po dawnych budowlach zostały już tylko szkielety, a zrujnowane wnętrza straszyły wspomnieniami o dramatach, jakie się w nich kiedyś wydarzyły. Tak często, że zaczynałem wierzyć, że przyciąga mnie do nich jakaś tajemna siła, a lata spędzone na poszukiwaniu zaginionych rozbudzają we mnie tajemniczy magnetyzm. Może ze względu na moje własne nieszczęścia miejsca takie same się do mnie garnęły.

Nagły hałas wyrwał mnie z zamyślenia. Odwróciłem się i zobaczyłem, że drzwi w tylnej ścianie papierni otwierają się i wysypuje się zza nich grupa niemłodych amerykańskich turystów, którzy stanęli przy pokrytej rdzą kasie biletowej, czekając na dalsze instrukcje. Pochód zamykał mężczyzna nieco po czterdziestce, w okularach w czerwonej oprawce, zdecydowanie zbyt krzykliwej w zestawieniu z poważną i skupioną twarzą. Poprawił je na nosie i przeszedł na czoło grupy, prezentując swój strój: surdut z długimi połami, kamizelkę, białą koszulę z wywiniętym kołnierzem i cylinder. Wszystko to źle na nim leżało i nie pasowało do jego pulchnej budowy ciała. Na twarzy miał lekki zarost, spod cylindra wymykały się kosmyki czarnych włosów.

W kłapie widać było plakietkę z nazwiskiem.

Calvin East.

– A zatem, proszę państwa – zaczął swą opowieść głosem z naleciałościami londyńskiego akcentu, nad pozbyciem się którego musiał nieźle się natrudzić.

Przez chwilę go słuchałem, po czym zawróciłem, obszedłem budynek od frontu i kupiłem bilet wstępu.

Tuż za wejściem do muzeum zaczynała się wystawa zatytułowana *Podróż w czasie*, na którą składały się fotografie znane mi już z internetu. Przechodząc przez nią, rzuciłem tylko okiem na fotograficzną historię molo i papierni i zatrzymałem się na dłużej dopiero przy ostatnim zdjęciu Cabota. Zrobiono je w 2001 roku przed bramą prowadzącą na molo, uwieczniając moment kupna całego terenu. To samo ujęcie przedstawiające Cabota z rękami uniesionymi w triumfalnym geście trafiło też wtedy do miejscowych gazet.

Z boku i jakby w cieniu stał Calvin East.

Szczuplejszy. Młodszy. Pogodniejszy.

Opuściłem salę i ruszyłem schodami na górę.

Na pierwszym piętrze mieściła się galeria gier. Wejście w stylu pawilonowym kierowało strumień zwiedzających do pomieszczenia w głębi, któremu nadano wygląd dawnego molo: podłogę zrobiono z drewnianych desek, ściany obłożono drewnem, w oknach wstawiono morskie widoczki.

Oczywiście główną atrakcją były przeróżne automaty do gier.

Wśród ustawionych w pięciu równiutkich rzędach jak nagrobki na cmentarzu można było znaleźć głównie archaiczne wersje flipperów, choć dostrzegłem też kilka wczesnych modeli „spychaczy” z przesuwными tacami, z których spychało się leżące na nich monety, a te – przy odrobinie szczęścia – wpadały w specjalną szczelinę i wypadały na zewnątrz. Na końcu pomieszczenia umieszczono spiralne schodki na wyższe piętro, na którym znajdowało się jeszcze więcej automatów, gabinet luster i sklepik z pamiątkami.

Wszedłem na górę.

W sali było prawie pusto. U szczytu schodków stało urządzenie do wróżenia o nazwie Wyrocznia. Zamontowana na przedniej ścianie obrotowa tarcza służyła kiedyś do przepowiadania przyszłości, ale teraz urządzenie nie było podłączone do prądu i nie działało, podobnie jak rozstawione w głębi

testery siły, kinetoskopy i dawne wersje „jednoręcznych bandytów”. Chwilę później z prawej strony usłyszałem chichot śmiejącego się marynarza i kakofonię dźwięków wydobywających się z kilku fonografów na monety, poza tym w pomieszczeniu panowała cisza jak w mauzoleum.

Wyobraziłem sobie Healy'ego, jak z książką Stourcroft w ręce kręci się między rzędami maszyn niczym duch snujący się pośród grobów. Czyżby udało mu się coś tu znaleźć?

Z boku każdego urządzenia wisiała mosiężna plakietka z informacją o roku produkcji i pochodzeniu maszyny. Na ekspozycję składały się zapewne wszystkie siedemdziesiąt dwa oryginalne automaty z Wielkiego Molo, ale nie trzeba było nawet liczyć, by zauważyć, że eksponatów jest znacznie więcej. Najwyraźniej Cabot kontynuował misję ratowania starych urządzeń i przejmował je od likwidowanych galerii gier rozsianych po całym kraju, jak St Leonard's, Plymouth Hoe, Morecambe Central czy Shanklin. Molo rozbierano, resztki drewnianych konstrukcji wrzucano jak zwłoki do morza, ale automaty udawało się ocalić.

Dumając o tym wszystkim, nawet się nie zorientowałem, że zostałem zupełnie sam. Wszyscy zwiedzający gdzieś się rozpiechli, ja jednak tego nie zauważyłem. Stojąc pośród otaczających mnie zewsząd archaicznych urządzeń, nagle poczułem ciarki na plecach. Nie umiałem określić źródła niepokoju i nie rozumiałem, skąd się bierze. Ruszyłem z miejsca, wszedłem między gabloty z ciemnego drewna orzechowego i stuletnie flipery ze skorodowanymi żłobieniami i znów się zatrzymałem.

I wtedy poczułem na sobie czyjś wzrok.

– Pan Raker?

Drgnąłem, kompletnie zaskoczony głosem za plecami. Odwróciłem się i stwierdziłem, że tuż za mną stoi Calvin East ubrany w ten sam strój, w którym wcześniej go widziałem. Rozejrzałem się w poszukiwaniu oprowadzanej przez niego grupy turystów, ale East był sam. Za nim widać było tylko sklepik z pamiątkami, gdzie za ladą siedziała znudzona nastoletnia sprzedawczyni, i wejście do gabinetu luster. Jakby na dany znak z głośnika wiszącego nieopodal rozległ się wybuch historycznego śmiechu, po czym głos

wyjęty żywcem z kiczowatego filmu z lat pięćdziesiątych z emfazą zaanonsował: „Wejdz i doznaj zawrotu głowy w naszym gabinecie luster!”.

– Przepraszam, nie chciałem pana przestraszyć – odezwał się ponownie East. – Kathy, asystentka pana Cabota, uprzedziła mnie, że pan się do nas wybiera, więc cały czas rozglądałam się za kimś, kto nie wygląda na typowego turystę. – Przybrał nieco skruszoną minę i pokręcił lekko głową. – Choć muszę przyznać, że ułatwiłem sobie trochę zadanie, bo zajrzałem do Google’a.

Czyli wszystko o mnie wie, pomyślałem.

– Jest pan prywatnym detektywem i poszukuje pan zaginionych.

Skinąłem głową, sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem wizytówkę. Wziął ją ode mnie i uważnie przeczytał.

– Może mi pan teraz poświęcić chwilę, panie East?

– Wystarczy Calvin. Tak, mogę. Prawdę mówiąc, wstrzelił się pan wyjątkowo dobrze, bo na turę o siedemnastej nikt się nie zjawił, a na siedemnastą trzydzieści jestem umówiony z panem Cabotem na połączenie przez Skype’a.

– Czy on też zechce mi chwilę poświęcić?

– Tak, na pewno.

– A więc możemy gdzieś spokojnie usiąść i porozmawiać?

– To znaczy nie chce pan co sto dziesięć sekund słuchać sztucznego chichotu marynarza? – Uśmiechnął się, poluzował kołnierzyk koszuli i poprawił sobie okulary w czerwonych oprawkach. – Proszę za mną.

Sprowadził mnie schodkami na pierwsze piętro i ruszył przejściem między rzędami maszyn do drzwi w głębi, opatrzonych napisem: TYLKO DLA PERSONELU. Gdy wpisał kod, mechanizm zabzyczał i ukazał się nam krótki korytarz z trojgiem drzwi po lewej stronie, помещением socjalnym na wprost i dwoma wielkimi oknami po prawej. Roztaczał się z nich widok na Tamizę aż po Tower Bridge, częściowo zasłonięty przez sąsiedni budynek.

– Tędy, proszę – powiedział East.

Za drzwiami po lewej mieściły się pokoje biurowe, pierwsze dwa nieduże i zagracone, trzeci, zapewne gabinet Gary’ego Cabota, zamiast drzwi miał wielką szklaną tafłę i był znacznie większy. Umeblowanie było elegantsze i nowocześniejsze, помещение lepiej doświetlone, a jedną ze ścian stanowił fragment oryginalnego ceglanego muru papierni. Z okna rozciągał się widok na molo leżące na wodzie niczym owad. Za biurkiem, na starym pikowanym fotelu ze skóry, siedział mężczyzna dobrze po osiemdziesiątce – siwy, przygarbiony i nieruchomo wpatrzony w przestrzeń nad naszymi głowami. Po podejściu bliżej stwierdziłem, że coś do siebie mamrocze.

– Nie macie litości dla swoich starych pracowników – zauważyłem.

East popatrzył na starca, potem z powrotem na mnie i uśmiechnął się.

– Och, to tylko ojciec pana Cabota, pan Joseph. Nasz Joe. Lubi tu wpadać parę razy w tygodniu, żeby pooddychać tą atmosferą. To przez niego pan Cabot tak się zakochał w molo. Gdyby Joe nie namówił syna, życie nas wszystkich wyglądałoby całkiem inaczej.

Zza szklanych drzwi dochodził skrzekliwy głos, zapewne Gary’ego Cabota, który przez głośniki komputerowe opisywał hotel w Dubaju. Mówił wyraźnym cockneyem i sprawiał wrażenie podeksytowanego wizytą w tym egzotycznym miejscu. Ojciec, który – co teraz do mnie dotarło – nie mamrotał

do siebie, tylko rozmawiał z synem przez Skype'a, zdawał się podzielać jego emocje. Przypominał mi moich dziadków, dla których podróże zagraniczne zawsze były czymś niezwykle ekscytującym, choć stały się już powszechne.

– Gdy pan Cabot wyjeżdża, zawsze prosi mnie o zaopiekowanie się Joem – wyjaśnił East, zatrzymując się przed drzwiami gabinetu. – Będę musiał odwiedzić go do domu opieki.

Drzwi skrzypnęły i starzec uniósł głowę, ale nie spojrzał prosto na nas. Jego mlecznobiałe gałki oczu patrzyły nieco w bok.

Mężczyzna był niewidomy.

– Joe, tu Calvin.

– Calvin, mój chłopcze – powiedział Cabot senior z takim akcentem jak syn. Jedną rękę trzymał opartą na główce laski, drugą wyciągnął w poszukiwaniu dłoni Easta. – Chodź się przywitać z Garym. Właśnie opowiada, że jest na wyspie w kształcie palmy.

East podszedł do komputera i ujął wiotką i upstrzoną plamami rękę Josepha Cabota.

– Cześć, Gary – powiedział do mikrofonu. – Jak poszła aukcja?

– Calvin, to ty? Nieźle. Parę ciekawych rzeczy, ale nic, co by mną wstrząsnęło. Mam jeszcze jedno nieplanowane spotkanie, więc porozmawiamy później, jak wrócę. Może być?

– Oczywiście, nie ma problemu. Tylko że jest tu jeszcze ktoś. Nazywa się David Raker, jest detektywem i ma do ciebie kilka pytań.

– Detektywem?

– Mhm.

– To co żeś tam narozrabiał?

Obaj Cabotowie parsknęli śmiechem.

East tylko kwaśno się uśmiechnął, ale nie umiałem odgadnąć, czy dlatego, że nie lubił żartów na swój temat, czy słowa Cabota trafiły niewygodnie blisko celu. Zostawiłem sobie przemyślenie tego na później.

East przywołał mnie ręką.

– Panie Raker?

Siedzący obok niego Joseph Cabot poruszył głową, jakby próbował zlokalizować mnie po dźwiękach. Był szczupły, skórę miał pożółkłą ze

starości, dłonią wciąż pocierał kolano, jakby go bolało. Ale pod typowymi przejawami starości – obwisłymi policzkami, siateczką zmarszczek, łysiną na głowie i bolącymi stawami – można było dojrzeć w nim mężczyznę, jakim był kiedyś: wysokiego, dość przystojnego, o atletycznej posturze.

Wyciągnąłem rękę i ująłem jego dłoń.

– Miło mi pana poznać, panie Cabot.

– Och, proszę mi mówić Joe. – Odwzajemnił się lekkim uściskiem. – Mnie też miło pana poznać, panie Raker. Mam nadzieję, że Gary nic nie zbroił.

– Nie, proszę pana, absolutnie nie.

Przesunąłem się w pole widzenia kamerki i ujrzałem na ekranie twarz Gary’ego Cabota. Obraz był nieco rozmazany, ale bez trudu dało się go rozpoznać.

– Witam pana – powiedziałem do mikrofonu.

Wyglądał tak jak na zdjęciu w sieci, inny był tylko ubiór, bo miał na sobie szorty i nieco przymały T-shirt. Za nim widać było luksusowe wnętrze pokoju hotelowego z kawałkiem okna po lewej, za którym rozciągało się morze świateł nocnego Dubaju.

– Czym mogę panu służyć, panie Raker? – zapytał.

Zerknąłem na jego ojca i stojącego obok Easta. Rozmowa przez Skype’a w obecności osób trzecich nie była najlepszym sposobem na dociekanie szczegółów. Na szczęście, mimo dzielących nas blisko pięć tysięcy kilometrów, Cabot musiał sam to wyczuć.

– Coś panu powiem – dodał, spoglądając na zegarek. – Mój samolot do Londynu odlataje o drugiej w nocy. Proszę mnie nie pytać, dlaczego Emirates latają o nieludzkich porach, ale tak mam na bilecie. – Wzruszył ramionami i uśmiechnął się. – Do Londynu przylatuję o szóstej rano, więc jutro po południu będę już na chodzie. Jeśli nie będzie panu przeszkadzało, że będę trochę klapnięty, to chętnie się z panem spotkam. Niestety, nie potrafię spać w samolocie.

– Z największą przyjemnością.

– Świetnie. Niech Calvin poda panu mój numer.

– Zaraz go poproszę. Zadzwoń jutro po południu.

– Doskonale. No cóż, to na tym chyba skończymy.

– Szczęśliwego lotu, synu – wtrącił Joseph Cabot.

– Nie niepokój się, tato. Kocham cię.

– Ja też cię kocham, mój chłopcze.

Najwyraźniej byli sobie bardzo bliscy, a ja poczułem się jak intruz w prywatnej rozmowie ojca z synem i odsunąłem się od komputera. Przypomniało mi to relacje z moim ojcem, który nie był człowiekiem zbyt wylewnym i rzadko okazywał emocje, ale i tak bardzo go kochałem.

Chwilę później East pomógł starszemu panu zakończyć połączenie.

– Ach, ta współczesna technika – westchnął Cabot. – Ironia losu polega na tym, że mógłbym widzieć syna na drugim końcu świata, tylko że go nie widzę. A więc pracuje pan w policji, panie Raker?

– Mam na imię David. Nie, pracuję prywatnie, na własną rękę.

– Och, to fascynujące. Coś jak Philip Marlowe?

– Coś w tym rodzaju, proszę pana – odpowiedziałem z uśmiechem.

– Czasami myślę, że należało być bardziej ambitnym – wymamrotał Cabot, zaraz jednak jakby stracił wątek, bo zamilkł i chwilę drapał się po suchej palce na wierzchu prawej dłoni. – Większość życia spędziłem pod samochodami i próbując zmyć olej z rąk. Wtedy mi się zdawało, że to dobry zawód. Ale jak teraz słyszę, że mój chłopak lata odrzutowcami do Dubaju, i spotykam ludzi, którzy jak ty robią różne ciekawe rzeczy, to sobie myślę: „Joe, naprawdę coś ci przeszło koło nosa”. Tyle że jest już za późno, żeby coś z tym zrobić.

Przerwał i spojrzął na swoje ręce, mimowolnie ujawniając, że nie zawsze był niewidomy. Po chwili uświadomił sobie jednak, że to na nic, że nie może się nawet przyjrzeć wydmuszce udającej jego ciało. Znów pomasował prawe kolano i usłyszałem, jak mu w nim strzyka przy próbie wyprostowania. Gdy uniósł głowę, jego oczy wciąż były mlecznobiałe, ale dostrzegłem w nich smutek.

– No to nie będę wam dłużej przeszkadzał – powiedział cicho. – Macie swoje sprawy.

Popatrzyłem na Easta, a ten pochylił się nad starcem.

– Poproszę kogoś, żeby cię odprowadził do mojego samochodu – powiedział. – Pasuje ci, Joe?

– Każ im tylko wezwać taksówkę, synu.

– Nie sądzę, byśmy mieli aż tak dużo do omówienia, prawda, panie Raker?

Spojrzał na mnie niemal z wyrzutem, że odrywam go od zajmowania się starcem i że powinienem się streszczać.

– Niestety, nie umiem powiedzieć – odparłem.

Uśmiech zniknął z twarzy Easta, pojawił się za to na twarzy Joego Cabota, którego moja odpowiedź jakby rozbawiła. Od razu poczułem do niego sympatię.

– Wezwij mi tylko taksówkę – powtórzył.

– Miło mi było pana poznać, panie Cabot – powiedziałem, ściskając mu dłoń.

– Mnie ciebie też, synu.

W przeciwieństwie do gabinetu Cabota u Calvina Easta panował bałagan.

Biurko stało pośrodku, każdy skrawek miejsca zajmowały książki piętrzące się na podłodze i półkach. Stojąca obok wież z encyklopedii metalowa szafka na akta i komputer na biurku stanowiły jedyne wyjątki, ponieważ cała reszta zawartości gabinetu była jedną wielką stertą papieru.

East przyniósł mi krzesło z pomieszczenia socjalnego, ustawił obok biurka i wyszedł, by z którymś z pracowników zająć się wyekspediowaniem Josepha Cabota. W budynku panowała niemal całkowita cisza, odgłosy dochodzące z ulicy i znad Tamizy były wyciszone do nieznacznego szumu, w pokoju słychać było tylko ciche bzyczenie komputera Easta i szelest kartek, które przerzucał podmuch powietrza z kratki klimatyzatora.

W końcu East wrócił i zaproponował mi kawę, ale odmówiłem, chcąc jak najszybciej przejść do rzeczy. Obszedł biurko i odsunął na bok książkę zatytułowaną *London 1600–1699*.

– A zatem w czym mogę pomóc? – spytał, rozsiadając się w skórzanym fotelu.

Poduszka cicho westchnęła pod jego ciężarem, a gdy zaczął się obracać na boki, mechanizm fotela zaskrzypiał.

– Mnóstwo tu książek – zauważyłem.

Uśmiechnął się i powiódł wzrokiem po stertach wypełniających pokój.

– Historia Londynu liczy z grubsza cztery tysiące lat i sięga epoki brązu. Więc kiedy opowiadam zwiedzającym o historii tego miejsca i naszego zdumiewającego miasta, chcę mieć pewność, że wiem, co mówię. A poza tym jestem z natury chomikiem i zbieraczem.

– Co pan zbiera?

– Książki, obrazy, antyki. Mieszkam w Londynie od urodzenia i jestem nim zafascynowany, więc moje zbiory głównie dotyczą tego miasta. Jest pan miłośnikiem historii, panie Raker?

– Tylko jeśli nas czegoś uczy.

– Bardzo mądrze – odparł z uśmiechem. – Nie mam odpowiedniego wykształcenia, więc żadne inne muzeum nie zatrudniłoby mnie jako kustosa. Cała moja wiedza pochodzi z tych książek. – Ogarnął ręką gabinet. – Gary Cabot był tak dobry, że pozwolił mi na ich podstawie opracować własny program zwiedzania.

Bez słowa wyjąłem notes i długopis.

Przyjrzał mi się badawczo, jakby coś we mnie dojrzał, co niezbyt mu się spodobało.

– Wie pan, wiele osób patrzy na nas z góry. Mówią, że to nie jest prawdziwe muzeum, że jesteśmy zwykłym nadmorskim salonem gier, opodatkowanym według wielkomijskich stawek. Ale my tu... – Na moment zawiesił głos. – Wie pan, ile jest w całym kraju takich molo jak nasze, które nie stoją nad morzem?

– Proszę mówić mi David – powiedziałem i pokręciłem głową.

– Ani jednego. A wiesz, ile jest takich na świecie?

– Nie wiem.

– Też zero. Wielkie Molo w Wapping jest jedyne na świecie. Absolutny unikat. Nie ma drugiego takiego jak to za oknem. I niezależnie od tego, kto co mówi, już nigdy więcej nie będzie. – East przez chwilę wpatrywał się w widok za oknem, ale było jasne, że myślami jest gdzie indziej. – Od samego początku dzieliło ludzi. Gdy stanęło w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym, niektórzy orzekli, że będzie tylko kulą u nogi i że lepiej było wydać te pieniądze na podupadający przemysł morski w Wapping. Inni twierdzili, że wybrano na nie zupełnie nieodpowiednie miejsce i że nikt nie przyjedzie do Wapping, bo to dzielnica kojarząca się tylko z gburowatymi marynarzami i magazynami przeżartymi solą. Ale tłumy waliły. Setki tysięcy ludzi odwiedzało molo i tak było aż do chwili, gdy w tysiąc dziewięćset czterdziestym hitlerowcy je zbombardowali. Potem, w tysiąc dziewięćset

sześćdziesiątym siódmym, Arnold Goldman przywrócił mu życie i tłumy znów zaczęły walić, bo można było molo znów oglądać w pełnej krasie.

– Unikat na skalę światową.

– Otóż to. – East pokiwał głową.

– Czy Gary Cabot zamierza znów je kiedyś otworzyć?

– Molo? – East wzruszył ramionami. – Nie jestem pewien. Musiałbyś sam go o to spytać. Wiem, że by chciał, ale jest wpisane na listę zabytków drugiej kategorii, a to bardzo wszystko komplikuje. Trzeba się uporać z licznymi zakazami, zresztą moim zdaniem słusznymi, zanim można cokolwiek zmienić w konstrukcji zabytkowej budowli, a to oczywiście podwyższa koszty. Jednocześnie molo jest w fatalnym stanie technicznym, stąd te wszystkie tablice ostrzegawcze przy wejściu. Myślę, że na razie starcza mu to, że w aktach własności widnieje jego nazwisko. Bo to oznacza, że to on podejmuje decyzje. W końcu historia lubi się powtarzać.

– W jakim sensie?

Przejechał palcami włosy przyklepione do czaszki w miejscu, gdzie przygniótł je brzeg cylindra.

– Mam na myśli to, że niektórych wcale by nie zmartwiło, gdyby molo jutro przestało istnieć. Dla nich zawsze było wrzodem na brzegu rzeki. Inni, jak na przykład policja rzeczna, twierdzą, że molo przeszkadza im w pracy. Nawet burmistrz oświadczył kiedyś, że nie jest jego wielkim zwolennikiem. Że dla turystów znajduje się za daleko od centrum lub dogodnej stacji metra. – Rozłożył ręce w geście typu: „I co na to poradzisz?”. – Niektórzy byli przeciwni molo już sto lat temu i nadal są. Ale mogą sobie narzekać, ile chcą, molo i tak stąd nie zniknie.

Wziął do ręki długopis, a on spojrzał na mój notatnik.

– Przepraszam, rozgadałem się. Nie przestaje mnie zdumiewać, że ludzie potrafią być tacy nieczuli. Bo pomyśl: przecież to część historii, fragment miejskiego DNA, rozdział w biografii miasta. Mamy tu nawet własnego ducha!

– Naprawdę?

– Diabła z Wapping.

Nagle zerwał się z fotela, stanął przy oknie za biurkiem i przywołał mnie gestem ręki.

– Tam, w tym miejscu – powiedział, wskazując pulchnym palcem utwardzony placyk przed wejściem na molo – znaleziono jedną z jego ofiar. Diabeł gustował w starych kobietach. Zabił ich w sumie dziewięć, a ta była z nich najstarsza. Miała osiemdziesiąt trzy lata. Kiedy w końcu w tysiąc sześćset siedemdziesiątym czwartym schwytali Samuela Browna, zwanego Diabłem z Wapping, powiesili go dokładnie tam, gdzie leżą te płyty chodnikowe. Mówi się, że od tamtej pory jego duch nawiedza ten odcinek rzeki i zapewne też molo. – Spojrzał na mnie rozjarzonym wzrokiem, jakby miał przed sobą grupę zwiedzających muzeum. – Kobieta sprzątajaca molo w latach siedemdziesiątych twierdziła, że widziała kogoś w surducie, kulotach i pończochach, kto kręcił się po pawilonie. Ktokolwiek to był, miał na szyi pętlę.

– Może jakiś przebieraniec z wieczoru kawalerskiego.

East uśmiechnął się grzecznie, ale mój żarcik chyba go uraził. Jakbym zepsuł nim nastrój lub scenariusz wycieczki czy coś w tym rodzaju. Odszedłem od okna i zaczekałem, aż zrobi to samo.

– Chodzi mi o pewne informacje – oświadczyłem.

Sięgnąłem do kieszeni, wyjąłem zdjęcie Healy’ego i położyłem na biurku przed Eastem. Fotografia była sprzed jakichś ośmiu lat i została zrobiona przez Gemmę w ogrodzie ich domu w St Albans. W innych czasach, w innym życiu.

– Czy poznajesz tego człowieka? – spytałem.

East wziął zdjęcie do ręki. Głowę miał lekko opuszczoną, oczy ukryte za oprawką okularów i trudno mi było odczytać jego pierwszą reakcję. Pokręcił głową.

– Nie. A powinienem?

– Mógł się tu pojawić na początku roku.

– Zaginął?

– Tak – odparłem, sam nie bardzo wiedząc, dlaczego kłamię.

Trzymając zdjęcie dwoma palcami, podniósł głowę, poprawił na nosie okulary – robił to machinalnie mniej więcej co sześćdziesiąt sekund – i wlepił we mnie obojętny wzrok. Założył pod biurkiem nogę na nogę, nieco się odchylając w bok, a ja dostrzegłem, że spod koszuli wyciągniętej zza paska u

spodni wyziera wałek tłuszczu okryty bladą skórą. Przypomniałem sobie wiszącą na dole fotografię, na której East stoi obok Gary’ego Cabota podczas ceremonii ogłoszenia kupna molo od Arnolda Goldmana. W 2001 roku musiał ważyć co najmniej piętnaście kilo mniej, ale nie była to jedyna zmiana, jaka w nim zaszła w ciągu tych trzynastu lat. Na pamiątkowym zdjęciu stał na skraju grupy, wyglądał na podenerwowanego i wystraszonego, widać w nim było jednak osobowość i trudną do zdefiniowania, lecz niewątpliwą siłę charakteru. Siedzący przede mną czterdziestokilkuletni tłuścioch miał z tamtą postacią niewiele wspólnego. Rozparty w fotelu, przyglądał mi się zza wielkich szkieł okularów, jakby próbował mnie przejrzeć.

– A co on ma wspólnego z muzeum i molo? – zapytał.

Na jego twarzy dostrzegłem błysk jeszcze czegoś – czyżby strachu? – ale trwało to tylko mgnienie oka, a ja znów pomyślałem, jak bardzo się przez te lata zmienił.

A może wcale nie?

Może tylko potrafił lepiej udawać?

– Wśród jego rzeczy znalazłem pewną książkę. *Kurort w środku miasta. Historia Wielkiego Molo w Wapping* autorstwa Carli Stourcroft. Znasz tę książkę?

– Tak, czytałem ją.

– Na marginesach książki zapisał kilka uwag.

Moje kolejne kłamstwo.

Przechylił się w fotelu, zdjął surdut i rozpiął kamizelkę.

– Interesujące. Ciekawe, dlaczego zajął się naszym molo.

– Właśnie to próbuję ustalić.

– Rozumiem. – Na moment wlepił we mnie wzrok. – Wciąż mamy tu gości, którzy wypytują o historię molo, ale też o życie w wiktoriańskiej i edwardiańskiej Brytanii. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu miałem kogoś bardzo zainteresowanego znachorskimi miksturami, zwłaszcza tymi z dodatkiem kokainy. – Roześmiał się nieco zbyt rubasznie. – Większość tych mikstur zdelegalizowano w początkach dwudziestego wieku, w każdym razie jeszcze przed pierwszą wojną światową.

– Czyli nie poznajesz go?

– Tego gościa?

– Nie był jednym z tych, o których wspomniałeś?

– Wspomniałem?

– Tych, o których przed chwilą mówiłeś. Którzy się tu kręcą i wypytyują o historię molo.

– Nie. Zdecydowanie nie.

Zajrzałem do notatek. Jak dotąd nie zanotowałem jeszcze ani słowa.

Gdy znów podniosłem głowę, East zdążył już wstać z fotela.

– Na pewno nie masz ochoty na nic do picia? Bo chyba pójde zrobić sobie filiżankę herbaty owocowej.

– Nie, dziękuję.

Wyszedł z pokoju.

Przebiegłem w myślach ostatnie dziesięć minut, choć właściwie nie za bardzo było o czym myśleć. Same okruchy. Może nawet nie. Bardziej mnie nękało to, dlaczego postanowiłem go okłamywać. Czy przez ten błysk strachu na jego twarzy? To trwające sekundę skulenie się w sobie, którego nie było widać na zdjęciu na dole?

Z korytarza dobiegł jakiś odgłos.

Spojrzałem przez ramię, potem wstałem, podszedłem do drzwi i popatrzyłem w stronę pomieszczenia socjalnego.

– Panie East?

Nikt się nie odezwał, ruszyłem więc tam i stanąłem w wejściu. Pomieszczenie było nieduże i mieściło tylko stół i cztery krzesła. Na blacie pod ścianą widać było kuchenkę mikrofalową, czajnik i toster.

Ale żadnych drzwi.

Zawróciłem i skierowałem spojrzenie w drugi koniec korytarza i na drzwi, przez które tu wszedłem. Dochodził zza nich chrapliwy śmiech marynarza wraz z dźwiękami z głośnika umieszczonego w gabinecie luster piętro wyżej.

Drzwi były otwarte na oścież.

East dał nogę.

Ruszyłem w stronę galerii gier znajdującej się na tym samym piętrze.

Zostało pięć minut do zamknięcia i w galerii było pusto. Rozejrzałem się po sali i znów opanowało mnie to uczucie. To samo poczułem przy wejściu na molo, to samo czułem, stojąc pośród drewnianych szkieletów dawno zapomnianych maszyn. Że jestem na cmentarzu techniki.

Dostrzegłem jakiś ruch po lewej.

Wchodzące po schodach nogi.

Podążyłem za nimi, sadząc po dwa stopnie. Dotarwszy na drugie piętro, znowu przystanąłem i rozejrzałem się. Sklepek na końcu sali był pusty, nie było już w nim sprzedawczyni, którą widziałem wcześniej. Na wieszakach wisiały kolorowe T-shirty z wiktoriańskimi hasłami na piersi, na półkach leżały długopisy, gumki do ścierania, plastikowe kubki, podrabiane monety, klipy pod drzwi, fotografie dawnej papierni, stare mapy i setki innych niepotrzebnych drobiazgów.

Znów dostrzegłem jakiś ruch.

Tym razem w gabinecie luster. W jednej z lustrzanych tafli odbiła się sylwetka w ciemnym ubraniu.

East.

A może nie?

Spojrzałem na sklepik, pustą kasę sklepową i przeniósłem wzrok na automaty stojące w równych rzędach, niczym kukurydza na polu. A potem nagle, bez żadnego powodu, poczułem zawrót głowy, nogi się pode mną ugięły, obraz się rozmazał i już nie byłem pewny, czy kogoś widziałem.

Co się, u diabła, ze mną dzieje?

Tłumiąc w sobie przyływ paniki, minąłem odrapany i spłowiały szyld i wkroczyłem do lustrzanego labiryntu. W jednym z luster na wprost ujrzałem

swoje odbicie. Dziesięć kroków dalej droga gwałtownie skręcała w prawo, choć układ zwierciadeł sprawiał wrażenie, jakby drogi rozchodziły się w różne strony i nie bardzo było wiadomo, gdzie iść. Moje odbicie pojawiło się w lustrze obok, potem w lustrze przede mną, a następnie w obu naraz. Zatrzymałem się w ostatniej chwili, biorąc taflę lustrzaną za przejście i niemal waląc w nią głową. Może w innych okolicznościach absurdalność tej sytuacji by mnie rozbawiła.

Ale nie dziś.

Znów coś się poruszyło.

Na wprost przede mną coś mignęło. Uniosłem głowę i wyciągnąłem ręce przed siebie, niemal do ostatniego momentu nie mając pewności, co jest kolejnym załomem, a co tylko złudzeniem. Dojrzałem naprzeciwko wyjście z labiryntu, zaraz jednak zdałem sobie sprawę, że znajduje się ono za mną, a przed sobą mam tylko kolejne odbicie w lustrze. Zacząłem miotać się na boki, czując, jak wzbiera we mnie panika, i im była ona większa, tym bardziej lustrzane ściany na mnie napierały. Zabrakło mi tchu, kolana się pode mną ugięły.

W oczach mi pociemniało, jakby ktoś nagle zgasił światło, i odpłynąłem.

Otrzeźwił mnie dźwięk dzwoniącej komórki.

Ruszyłem do przodu i walnąłem głową w taflę szkła z taką siłą, że odzyskując świadomość, widziałem jeszcze, jak sąsiednie lustro drgają. Przyglądałem się oszołomiony zwierciadłom, których drgania rozchodziły się po całym labiryncie. Im bardziej dochodziłem do siebie, tym natarczywiej dzwoniła leżąca obok komórka. Spojrzałem na wyświetlacz. Czerw.

Niech sobie dzwoni.

– Halo?

Kobięcy głos nie dobiegał z telefonu.

Usta miałem pełne śliny. Uderzając głową w lustro, musiałem się skaleczyć, bo na policzku poczułem lepkość krwi.

– Halo? Nic panu nie jest?

Udało mi się przekręcić na plecy i w lustrze po lewej dostrzegłem jakąś rozmazaną postać. Może East, może ktoś inny. Zanim zdążyłem się przyjrzeć, postać zniknęła.

Po chwili znalazła mnie na podłodze sprzedawczynie ze sklepiku z pamiątkami. To jej głos usłyszałem wcześniej. Uklęła przy mnie i zaczęła gorączkowo się tłumaczyć, że ponieważ nie było klientów, wyskoczyła na moment do toalety. Wróciła i usłyszała hałas w gabinecie luster.

Leżałem rozciągnięty pod jedną ze szklanych tafli, z rozcięcia na prawym policzku ciekła mi krew. Dziewczyna zasypywała mnie pytaniami. Co się panu stało? Nic panu nie jest? Mam wezwać pogotowie? A potem jakby coś się w niej przestawiło, bo zaczęła mnie prosić, bym nie mówił jej szefowi, że zostawiła sklep bez opieki. Zapewniłem, że może na mnie liczyć, i próbowałem ją uspokoić. Czując, jak opada ze mnie napięcie, a krew na policzku zaczyna krzepnąć, uświadomiłem sobie, że jestem potłuczony i z lekka oszołomiony.

A także zagubiony i wystraszony.

Co to, do cholery, było?

Opuściłem labirynt i poszedłem do toalety, by doprowadzić się do porządku. Na biodrze miałem silne stłuczenie, całe w siniakach i pulsujące bólem. Skaleczenie na policzku nie było groźne, za to w głowie tak mi dudniło, jakby ktoś przystawił mi kontrabas do ucha.

Zszedłem na parter i natknąłem się na dwie pracownice muzeum, jedną podliczającą pieniądze w restauracji, drugą zamiatającą.

– Oj, proszę pana, już nieczynne – rzuciła ta przy kasie.

– Tak, wiem. Gdzie mogę znaleźć Calvina?

– Poszedł już do domu.

– Widziała pani, jak wychodził?

Przyjrzała się mojemu skaleczeniu.

– Tak, widziałam.

Biodro bolało mnie jak diabli, mięśnie twarzy pulsowały. Dotknąłem palcem policzka i stwierdziłem, że ze skaleczenia znów cieknie krew.

Otarłem twarz mankietem marynarki i poczułem, że coś się wokół mnie dzieje. Jakby owionął mnie strumień powietrza. Spojrzałem w stronę wyjścia i uświadomiłem sobie, że kobieta przy kasie pyta, czy ze mną wszystko w porządku.

Ruszyłem do wyjścia, lekko się zataczając. Było mi słabo i czułem mdłości. Czy nie daje tak o sobie znać śmiertelne wyczerpanie? Czy to są objawy niedosypiania od miesiąca? Czy może efekt uderzenia w głowę, po którym na moment straciłem świadomość? Czy to znaczy, że dzieje się ze mną coś złego?

Czy ja umieram?

U stóp schodów zatrzymałem się, oparłem plecami o ścianę i przymknąłem oczy.

Weź się w garść.

Uspokoilem oddech, rozluźniłem mięśnie i zamiast o sobie, zacząłem myśleć o Eaście. Gdzie on mógł się podziać? Jak go teraz znaleźć? I przede wszystkim: Dlaczego zwiął? Otworzyłem oczy i poczułem się lepiej. W głowie mi się przejaśniło, zaczynałem znów panować nad sobą.

Przestań się rozczulać. Weź się w garść i ruszaj.

Teraz liczy się tylko Healy.

To, co zostaje

0 dni, 0 godzin, 4 minuty przed

Późnym wieczorem w piątek, gdy Gail i dziewczynki już spały, do Mala zadzwonił Tom Ruddy. Mal drzemał przed telewizorem, gdy komórka zabrzęczała i zaczęła sunąć ku niemu po kanapie. Spojrzał na wyświetlacz, zobaczył, że to Ruddy, i w pierwszym odruchu postanowił nie odbierać. Od ostatniego spotkania z Tomem podczas weekendowej popijawy minęło pięć miesięcy i jak zwykle nie obyło się bez wspomnienia dnia nad stawem, kiedy wyciągnął jego syna z wody.

Odczekał, aż odezwie się jego poczta głosowa, po czym wziął do ręki pilota i zaczął skakać po kanałach. Po sześćdziesięciu sekundach telefon znów piknął, sygnalizując nową wiadomość w poczcie.

– Hej, tu Tom. – Gwar w tle wskazywał, że dzwoni z jakiegoś pubu. – Przepraszam, że tak późno dzwonię. Nie widzieliśmy się od paru miesięcy, więc pomyślałem, że spytam, co u ciebie. No wiesz... dowiem się, jak ci leci. Oddzwoń.

Mal skasował wiadomość i rzucił telefon na kanapę.

Może innym razem, Tom.

Trzy godziny później obudził się. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że przysnął przed telewizorem. Widniejąca na ekranie plansza informowała, że program zostanie wznowiony następnego dnia o szóstej rano. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że przed chwilą minęła trzecia. Usiadł na brzegu kanapy, czując, że łupie mu w głowie, a dłonie ma mokre od potu. W pierwszej chwili nawet nie bardzo wiedział, gdzie jest, jakby się obudził w jakimś obcym, nieznanym miejscu.

Jesteś przemęczony, pomyślał.

Wstał, poczłapał do kuchni i napełnił czajnik. Przez okno dojrzał, że na krawędzi ciemności otaczającej Searle House coś się rusza. Przyjrzał się uważniej i pomyślał, że to drzewo. Widać było końce gałęzi, które w podmuchach wiatru poruszały się jak ręce dyrygenta. Przez chwilę im się przypatrywał, zauroczony ruchami pełnymi gracji. Trwało to tak długo, że szyba w oknie zaparowała od jego oddechu.

Pod drzewem jednak ktoś stał, kryjąc się w ciemnościach.

– Wszystko w porządku, kochanie?

Aż podskoczył. Odwrócił się i w drzwiach ujrzał Gail w koszuli nocnej. Przeniosła wzrok z niego na szybę, podeszła bliżej i nie odwracając głowy od okna, objęła go, przyciągnęła do siebie i spytała raz jeszcze, czy wszystko w porządku, on zaś niepewnie spojrział znów na drzewo.

Nikogo już tam nie było.

Niczego.

Tylko samo drzewo.

– W porządku – odpowiedział.

Cofnęła się parę kroków i stanęła w drzwiach. Na jej twarzy widać było niepokój i znużenie. Przez chwilę się zastanawiał, czy jej znużenie bierze się z wczesnej pory, czy jest już zniecierpliwiona jego zachowaniem. Od miesięcy namawiała go na pójście do lekarza. Bezsenna nie przestawała go męczyć i co noc budził się zlany potem po kolejnym koszmarze sennym z mężczyzną w prochowcu. Próbował opowiadać jej te sny, ale nie potrafił wyrazić towarzyszącej im grozy i przeczucia nieszczęścia, więc dał spokój. Po raz pierwszy w ich wspólnym życiu ją okłamywał. Zapewniał, że koszmary przestały go nękać, że czuje się już znacznie lepiej i że zdrowy sen wkrótce powróci. W rzeczywistości nie mógł pójść do lekarza, bo jemu też nie potrafiłby wyjaśnić, co czuje.

– Wracaj do łóżka, dziecinko – powiedział.

Bez oporu go posłuchała. W minionym tygodniu nie tylko on cierpiał na bezsenność. Obie bliźniaczki były przeziębione i musieli do nich wstawać przez pięć kolejnych nocy. Różnica polegała tylko na tym, że ona nie dosypiała od pięciu nocy, a on od pięciu miesięcy. Może sześcioro. Może jeszcze dłużej.

Już sam stracił rachubę.

Gdy wyszła z kuchni, nalał sobie herbaty do kubka i wyłowił z szuflady papierosa. Potem otworzył kuchenne okno i stanął w nim, paląc i wodząc wzrokiem po zaroślach i ścieżkach placu zabaw siedemnaście piętér niżej, zaraz jednak skupił się na drzewie, sterczącym niczym samotna latarnia morska bez światła nawigacyjnego. Wiatr znów poruszał jego gałązkami. Powiódł wzrokiem po ścieżce prowadzącej obok drzewa.

Tego kogoś naprawdę nie ma, pomyślał. To tylko moje zwidy.

Ale chwilę później coś dostyszał.

Jakby drapanie.

Zduślił w popielniczce do połowy wypalonego papierosa i podszedł do kuchennych drzwi. Cisza. Raz jeszcze zajrzał do dziewczynek i do Gail.

Jeszcze nie spała i podniosła głowę.

– Wszystko w porządku? – spytała.

Drapanie ustało.

Uśmiechnął się z ulgą.

– Tak, w porządku – odparł.

– Może byś się już położył, Mal.

– Zaraz, tylko dopiję herbatę.

Uśmiechnęła się, a on poczuł nagły przyptyw czułości dla niej i dziewczynek.

– Kocham cię, Gail – powiedział, słysząc, jak głos mu drży.

– Ja też cię kocham, mój mały.

– Wszystkie was tak bardzo kocham.

I wtedy znów rozległo się drapanie.

Odwrócił głowę i rozejrzał się po przedpokoju. Drapanie się powtórzyło, a on nastawił uszu, niepewny, skąd dochodzi. Z sypialni dobiegł głos Gail, która przywoływała go pełnym niepokoju tonem. Nie zareagował, starając się zlokalizować źródło dźwięku. W panującej w mieszkaniu ciszy słychać było tylko szum telewizora włączonego bez dźwięku i brzęczenie lodówki.

A potem znów to drapanie.

Obrócił się.

Dochodziło zza drzwi prowadzących na korytarz.

Bezszelestnie do nich podbiegł, odsunął zasuwę, przekręcił klucz i wyjrzał na zewnątrz. Za drzwiami był tylko pusty betonowy korytarz siedemnastego piętra. Coś w pobliżu drzwi kapło, kawałek dalej migotała żarówka, pogrążając korytarz w półcieniu. Odwrócił się i ujrzał wychodzącą z sypialni Gail. W oczach miała łzy. Szukał w głowie słów pociechy, które by ją upewniły, że wszystko jest w porządku, że nic złego się nie dzieje, że się nie poddaje. Zrobił krok w jej stronę, ale ona skrzyżowała ręce na piersiach w obronnym geście i nagle zdał sobie sprawę, że się go boi.

– Co ci się, do cholery, we mnie nie podoba? – warknął.

Odsunęła się od niego.

– Gail?

Z jej prawego oka popłynęła łza. Spróbował się zbliżyć z wyciągniętymi ku niej rękami, ale ona się odwróciła i wycofała do sypialni. Gdy tylko spowił ją mrok, do jego nozdrzy dotarł zapach: straszny, gryzący smród, którego nie umiał nazwać, który jednak wydał mu się dziwnie znajomy. Ponownie wypowiedział jej imię i w tym samym momencie spłynęła na niego druga fala smrodu, jeszcze silniejsza od pierwszej; wypełniała mu nos i usta i drapała w gardle tak mocno, że zaniósł się kaszlem. Oparł się ręką o ścianę, bo nie mógł ustać ani ruszyć za Gail. Smród stawał się nie do wytrzymania i Mal z trudem łapał powietrze.

Zgiął się wpół, czując, jak flegma oblepia mu gardło, i wtedy to dojrzał: z ich sypialni wypływała szeroka struga krwi. Ogarnęło go przerażenie, kaszel ustał, a on zobaczył, jak z pokoju bliźniaczek wydostają się dwie takie same strużki.

– Nie! – wykrzyknął. – Nie, nie, nie.

– To śmierć tak cuchnie.

Odwrócił się w stronę głosu.

W drzwiach stał mężczyzna w zapiętym pod szyję granatowym prochowcu i bejsbolówce na głowie, w ręce trzymał nóż. Patrzył pod nogi, twarz zasłaniał mu daszek czapki. Nogawki spodni miał całe pochłapane krwią.

A potem w końcu podniósł głowę.

Twarz zakrywała szara maska.

Była gładka i pozbawiona wyrazu, na lewym policzku widać było rysę, jak pęknięcie na szybie. Mal wlepił w mężczyznę wzrok, próbując dojrzeć oczy, ale

w otworach była tylko czarna pustka.

Nic poza czarną pustką.

– Nie! – jęknął. – Proszę, nic im nie rób. Nie krzywdź mojej rodziny.

– To nie jest twoja rodzina – rzekł głos spod maski.

– To moje córki.

– Twoja córka nie żyje.

– To moja żona – wydusił, krztusząc się łzami.

– Twoja żona cię zostawiła.

– Nie rób im krzywdy. Proszę, nie krzywdź ich.

– Jesteś dla nich nikim.

– Proszę...

– Dla nikogo nic nie znaczysz, Healy.

Po drugim telefonie do Spike'a udało mi się ustalić, że Calvin East mieszka w Bermondsey, na nowym, gęsto zabudowanym osiedlu szeregowców, na zachód od Southwark Park. Jego dom był ostatnim z rzędu, niczym niewyróżniającym się klockiem w kolorze piasku. Miał dwa okna na dole i dwa na górze, białe deskowanie na froncie i dach z szarych gontów. Uliczkę zamykał łukowaty prześwit starego wiaduktu kolejowego z cegieł, nad którym wznosił się szarobury żelazny most. Minąłem samochodem dom Easta, rozglądając się na boki. Chwilę później po moście przejechał pociąg i w powietrzu zapachniało dieslowskimi spalinami. Zawróciłem pod mostem i znalazłem wolne miejsce kilkanaście metrów od domu.

Deszcz przestał padać i niebo się wypogodziło. Opuściłem lekko szybę, wpuszczając świeże powietrze, i wróciłem myślami do ostatniego razu, kiedy siedziałem w promieniach słońca i jadłem lunch z Craw nad kanałem Walthamstow. To wtedy zgodziłem się zająć sprawą Healy'ego. Ciekawe, co by było, gdybym tego nie zrobił? Czy niepoznanie prawdy byłoby dla mnie lepsze czy gorsze?

Jeszcze raz przyjrzałem się domowi. Zasłony w oknach na piętrze były zaciągnięte, na parterze nie. Od strony ulicy w żadnym oknie się nie świeciło, więc trudno było zgadnąć, czy w środku ktoś jest. Z domu po drugiej stronie ulicy starszy mężczyzna wynosił śmieci, przed innym, sąsiadującym z domem Easta, kobieta składała dziecinny wózek, którego pasażer z zaciekawieniem przyglądał się wysiłkom matki, po chodniku kręcili się jacyś ludzie. Uliczki nie można było uznać za ruchliwą, ale gdybym wysiadł i zaczął węszyć, pewnie od razu ktoś by się mną zainteresował.

Nie zostało mi nic innego, jak czekać.

* * *

Godzinę później pod dom Easta podjechał zielony citroen kombi. Musiał mieć z dziesięć lat, był brudny, koła miał oblepione błotem, na progach widać było plamy rdzy. Zatrzymał się na moment, po czym wjechał na podjazd, który kończył się garażem cofniętym w głąb ogrodu. Istnienie garażu odnotowałem już wcześniej, rozglądając się po terenie. Po chwili kierowca zgasił silnik i rozblysło oświetlenie wnętrza.

Poza kierowcą w samochodzie nie było nikogo. Na czubku głowy miał łysinę, ubrany był w jaskrawoczerwoną bluzę Adidasa. Siedział z głową lekko schyloną, twarz rozświetlał mu mdły blask wyświetlacza telefonu komórkowego. Po chwili mężczyzna wysiadł i zamknął drzwi na klucz.

Mogłem mu się teraz lepiej przyjrzeć. Włosy zwisały mu w długich strąkach, co zapewne miało rekompensować łysinę, był dobrze po czterdziestce, wysoki i szczupły i tylko jego zielony T-shirt opinał wydatny brzuch. Do tego był ubrany w za luźne niebieskie bojówki. Wszystkie te kolory tak się z sobą gryzły, że wyglądał niemal komicznie.

Niemal, ale nie do końca.

Rozejrzał się po ulicy, a ja wtopiony w zapadający mrok osunąłem się na fotelu, ale przedtem zauważyłem coś jeszcze: może nie dbał o włosy i nie umiał dobierać kolorów, nie wyglądał jednak na kogoś, z kogo można żartować. Miał małe, głęboko osadzone oczy, szeroki, spłaszczony nos i lekko zniekształcone rysy twarzy. Jakby twórcy coś nie wyszło.

Nigdy wcześniej go nie widziałem.

Nie znałem go, ale już nie lubiłem.

Podszedł do drzwi i zadzwonił. Czekaając, omiół wzrokiem ulicę, prześlizgując się nim od okna do okna, od samochodu do samochodu. Zapadłem się jeszcze głębiej w fotel, tak że moje oczy znalazły się niemal na wysokości deski rozdzielczej. Przyglądałem się, jak lustruje samochód zaparkowany przede mną, na ułamek sekundy zatrzymuje wzrok na moim, by zaraz przenieść go na samochód za mną.

Widział mnie?

Chwilę później drzwi się otworzyły i stanął w nich East.

Zdążył się już przebrać i zamiast stroju służbowego miał na sobie spodnie od dresu i biały T-shirt, na tyle opięty, że dobitnie podkreślał zwały tłuszczu na jego brzuchu. Powiódł wzrokiem po uliczce i w końcu popatrzył na mężczyznę pod drzwiami. Coś do siebie powiedzieli, East kiwnął głową i poprawił okulary na nosie, po czym, chyba wbrew jego woli, mężczyzna go wyminął i wszedł do środka.

Drzwi zostały zamknięte.

Po chwili od frontu rozbłysło światło i przez moment widać było obu mężczyzn, zaraz jednak East podszedł do okna i zaciągnął zasłony.

Dziesięć minut, dwadzieścia.

Trzydzieści.

Po czterdziestu minutach drzwi się otworzyły, obaj wyszli i ruszyli w stronę garażu, znikając mi z oczu.

Zrobiłem telefonem zdjęcie citroena i jeszcze jedno ze zbliżeniem na tablicę rejestracyjną, w czym pomogły mi świecące na domu Easta lampy bezpieczeństwa, i wysłałem oba zdjęcia do Ewana Taskera z krótkim listkiem:

Mógłbyś sprawdzić tę rejestrację w bazie policyjnej? Dzięki, D.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, jak mężczyźni wychodzą zza domu i niosą coś do samochodu. East trzymał w rękach płaski panel, jego gość drewnianą skrzynię. Chwilę później bagażnik citroena został otwarty i mężczyźni zajęli się upychaniem obu przedmiotów. Udało mi się je rozpoznać: skrzynia była automatem do gry ze zdjętą tylną ścianą, panel w rękach Easta był brakującym elementem obudowy.

Gdy skończyli załadunek, mężczyzna powiedział coś do Easta i zatrzaskał klapę, a East skwapliwie pokiwał głową. Sprawiał wrażenie wystraszonego. Tamten jeszcze przez chwilę się w niego wpatrywał, po czym odwrócił się i ponownie ogarnął wzrokiem całą okolicę: domy po drugiej stronie ulicy, stojące przy niej samochody, przejścia między posesjami. Znow osunąłem się na fotelu i jego spojrzenie prześlizgnęło się po moim samochodzie. Obserwowałem, jak małymi oczkami lustruje to wszystko, co już wcześniej

sprawdził: mnie, mój samochód, inne samochody, inne domy. W końcu popatrzył na Easta i coś cicho powiedział.

East znowu skwapliwie pokiwał głową.

Opuściłem lekko szybę, starając się dosłyszeć, o czym rozmawiają. East o coś spytał, ale stał zwrócony do mnie plecami i nie miałem szans, by usłyszeć jego słowa. Jednak chwilę później mężczyzna w czerwonej bluzie obszedł swój samochód, stanął przy drzwiach kierowcy i usłyszałem, jak mówi:

– Zamknij drzwi i nie ruszaj się z domu. Jeśli ten Raker się pokaże lub zadzwoni, natychmiast daj mi znać, jasne?

Mówił z obcym akcentem. Wschodnioeuropejskim.

East patrzył na niego bez słowa.

– Zrozumiałeś?

Niepewne kiwnięcie głową.

Z jedną ręką na dachu citroena, drugą na otwartych drzwiach, mężczyzna jeszcze przez dłuższą chwilę wpatrywał się w Easta, jakby miał wątpliwości, czy może mu zaufać. W końcu wsiadł, uruchomił silnik i zapaliwszy światła, wycofał samochód z podjazdu, po czym od razu wcisnął gaz do dechy i z impetem ruszył w kierunku Jamaica Road.

East wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi.

Odczekałem pięć minut, wysiadłem i ruszyłem w stronę domu.

Spękany asfalt na podjeździe był po bokach wystrzępiony jak stara wykładzina, ogród zaniedbany i bez wyrazu, trawa miała co najmniej piętnaście centymetrów wysokości, przy wejściu do domu stała donica z ziemią bez żadnej rośliny.

Podjazd nie był niczym zagrodzony i prowadził między dwoma słupkami z cegieł, służącymi do zamontowania bramy. Na ścianie domu widać było fragmenty starych drewnianych drabinek z pnączami winorośli, na ziemi stał kontener na śmieci, dalej wolno stojący garaż z takiej samej cegły jak dom. Zwieńczony był stromym dachem, a wjazd do niego zamykała jasnobrązowa, zwijana brama garażowa.

Zatrzymałem się przy wejściu na podjazd i rozejrzałem za podejrzanymi samochodami, przechodniami czy poruszającymi się firankami w oknach, po czym rażno ruszyłem przed siebie.

Rozbłysła zamontowana na domu lampa bezpieczeństwa z czujnikiem ruchu.

Podjazd był zbyt wąski, by się przed nią ukryć, mogłem więc tylko przyspieszyć kroku i wcisnąć się w szparę między garażem a ogrodzeniem otaczającym posesję. Stałem za załomem i czekałem.

W domu otworzyły się boczne drzwi.

Widziałem, jak East wystawia głowę i uważnie się rozgląda. Zanim stałem się świadkiem jego ucieczki z muzeum, nie domyśliłbym się pewnie, że kiedykolwiek przyszło mu do głowy niepokoić się rozbłysnięciem lampy bezpieczeństwa.

Jednak teraz był wyraźnie zaniepokojony.

Zszedł na pierwszy schodek i mrużąc oczy, popatrzył w moją stronę. Sprawdzał, czy furka do ogrodu w przejściu między domem a garażem jest

otwarta. Upewniwszy się, że nie, przeniósł wzrok na ulicę.

Jeszcze chwilę się rozglądał, wreszcie cofnął się do środka i głośno zatrzasnął za sobą drzwi.

Wyszedłem z kryjówki za garażem, stanąłem przed wejściem do niego i mając pewność, że czujnik lampy bezpieczeństwa tu nie sięga, zabrałem się do otwierania zamka. Jest to czynność żmudna i wymagająca precyzji ruchów, ale na szczęście brama garażowa nie była wyposażona w zbyt skomplikowany system i po paru minutach zamek puścił.

Upewniwszy się, że East nie stoi przy bocznych drzwiach domu, przekręciłem klamkę i pociągnąłem. Brama podjechała w prowadnicach i cicho skrzypiąc, zwinęła się w rulon. Wszedłem do środka, opuściłem bramę i zapaliłem latarkę.

Garaż był nieduży.

Na tylnej ścianie przymocowano płytę na narzędzia: młotki, śrubokręty, dłuta, wiertła, klucze i inne drobiazgi, które tkwiły rozmieszczone w idealnym porządku we właściwych uchwytach. Poniżej płyty, przez całą szerokość pomieszczenia, ciągnął się stół warsztatowy z imadłem i półkami pod blatem, na których leżały kawałki drewna i metalu. Na blacie stał automat do gry ze zdjętą tylną częścią obudowy.

Ostrożnie obróciłem ją przodem do siebie.

Była to tak zwana bagatelle, poprzedniczka flipera, w metalowej obudowie wielkości podręcznej apteczki. Za przednią płytą ze szkła znajdowało się osiem zagłębień wielkości typowej szklanej kulki, z których sześć oznaczono liczbami: 100, 200, 500, 1000, 2000 i 5000, pozostałe dwa zaś słowem „pudło”. Pod spodem szafki było miejsce na wyrzutnię kulek, której teraz brakowało. Najwyraźniej East ją wymontował i zostało tylko kwadratowe wycięcie, przez które widać było wewnątrz urządzenia. Nachyliłem się, by zajrzeć do środka, i poczułem zapach pasty polerskiej Brasso. Światłem latarki omiotłem resztę półek w garażu, ale nie dostrzegłem nic godnego uwagi. Czyżby naprawdę chodziło jedynie o to? Czy ci dwaj mężczyźni zajmują się tylko naprawą muzealnych maszyn do gry? Wydało mi się to zbyt trywialne, zbyt mało ważne.

Wyszedłem z garażu i spuściłem za sobą bramę.

W tylnej części domu znajdowała się kuchnia i w niej nadal paliło się światło. Przez otwarte drzwi do pokoju widać było kanapę, lampę i półkę z książkami. Stojący przed nią telewizor był wyłączony. W pierwszej chwili nie zauważyłem Easta i dojrzałem go, dopiero kiedy podszedłem bliżej. Leżał na boku z głową na poduszce, wpatrzony nieruchomo w sufit.

Czyżby spał?

Po chwili już wiedziałem.

East płakał.

Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała, wstrząsana szlochem, łzy spływały mu po policzkach, zostawiając ślady lśniącej w świetle lampy. Otarł twarz, po chwili znów, wreszcie docisnął dwa palce prawej dłoni do oczu, jakby zatykał przeciek w tamie. W końcu zebrał się w sobie i z łokciami na kolanach usiadł na krawędzi kanapy.

Odwróciłem się i ruszyłem do samochodu.

Wsiadłem, wziąłem do ręki telefon i stwierdziłem, że nie zauważyłem jednego esemesa. Był od Crawl. To mi przypomniało, że dzwoniła, gdy odzyskiwałem świadomość w gabinecie luster, a ja nie odebrałem. Wiadomość była krótka.

Zadzwoń.

Próbowałem zgadnąć, czego może chcieć. I bez niej miałem dość na głowie – Healy’ego i jego związki z molo, przedziwne zdarzenia w muzeum, Calvina Easta i faceta, z którym się spotykał – i nie miałem ochoty na następną sprzeczkę. Crawl nie lubiła przyznawać się do winy, więc zapewne i tym razem nie dzwoniła po to, by mnie przeprosić. Szukałem jeszcze jakiegoś innego powodu, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Odpisałem jej równie zwięźle.

Teraz jestem zajęty.

Trzydzieści sekund później mój telefon raptownie ożył, a jej nazwisko rozbłysło na wyświetlaczu. Nie miałem dobrego pretekstu, żeby nie odebrać. Z palcem zawieszonym nad klawiaturą przeniosłem wzrok na dom Easta. Światło na dole zgasło i zapaliło się na górze.

Nacisnąłem ODBIERZ.

– Raker?

– Mhm. Jestem teraz zajęty.

Chwila ciszy.

– Co się dzieje?

– Wszystko normalnie.

– Mówisz tak, jakbyś był trochę nieprzytomny.

– Dobrze się czuję.

– To ma coś wspólnego z Healym?

Spojrzałem na dom Easta.

– Healy nie żyje.

– Ale żyje jego sprawa.

Miała na myśli zamordowanie Clark i jej córek. Miała na myśli to, że sprawca jest wciąż nieznan i na wolności. I że po śmierci Healy'ego tylko jeden człowiek jest zdolny przejąć pałeczkę i dokończyć dzieła, które on zaczął. I tym człowiekiem jestem ja.

– Nie mam na to teraz czasu – burknąłem.

– Ta sprawa wciąż jest niezamknięta, Raker – powiedziała zmęczonym głosem. – Nie ma znaczenia, czy jest sprzed pięciu czy dziesięciu lat. Nie została rozwiązana, więc wciąż jest w grze.

– W czyjej grze?

– W polu zainteresowania Metropolitalnej.

– Ludzie z Metropolitalnej nie umieliby nawet rozpoznać twarzy ofiar. Wszystkie trzy należą już do historii, a ich akta tkwią gdzieś na półce.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteś do niego podobny.

– Do nikogo nie jestem podobny.

– Healy też tak mówił. – Widać było, że stara się panować nad sobą. – Cokolwiek byś powiedział, jesteście do siebie podobni. Jesteś od niego sprytniejszy, masz lepsze podejście do ludzi, zachowujesz się kulturalniej i skuteczniej odróżniasz dobro od zła. Ale jesteście jak dwie strony tej samej monety. Tak jak on popadasz w obsesje. Obaj macie niebezpieczną skłonność do obsesji. I któregoś dnia, może jeszcze nie przy tej sprawie, ale niedługo, twój fanatyzm i brak dystansu do poszukiwanych zniszczą cię. I wtedy też się położysz w ciemnościach i nałykasz takich samych tabletek jak Healy.

Albo stracę przytomność i już jej nie odzyskam.

– Raker.

– Słyszę, co do mnie mówisz.

– Na pewno?

Westchnęła głośno i przeciągle, a ja wyobraziłem sobie, jak utyka przy tym kosmyki włosów za uszami, co po tym, jak zmieniła fryzurę, robiła nieustannie, i poprawia się na krześle, na którym spoczywa jej gibkie, muskularne ciało, mruży oczy szare jak kamienie i opuszkami palców bawi się łańcuszkiem u nasady szyi.

– Muszę kończyć – rzuciłem.

– Szukanie Healy’ego stało się dla ciebie sprawą zbyt osobistą – ciągnęła, jakby nie słyszała moich słów – nie powinnam była cię w to wciągać. Ale jeśli chodzi o to, czym się teraz zajmujesz... Słuchaj, jeśli myślisz, że natknąłeś się na coś przydatnego dla sprawy, to świetnie. Mogę ci przydzielić jednego z moich ludzi, który do ciebie zadzwoni, a ty się z nim podzielisz...

– Podzielisz? To moja sprawa.

– To nie jest twoja sprawa. To sprawa policji.

– To była sprawa Healy’ego.

– Healy nie żyje.

– Naprawdę dzwonisz do mnie po to, żeby mi to powiedzieć, Craw?

Byłem poirytowany i chciałem jak najszybciej skończyć tę rozmowę.

Światło na górze w domu Easta wciąż się paliło.

– Craw?

Cisza w słuchawce.

– Craw?!

– Nie wiem, co z tobą jest, Raker – mruknęła, ale w jej tonie nie było agresji, wręcz przeciwnie. – Od wczoraj trawię to, co mi powiedziałeś po pogrzebie. Jeszcze nikt nigdy mnie tak nie potraktował, a ja nigdy się tak nie poczułam.

Nie bardzo wiedziałem, jak mam odpowiedzieć.

– Zafiksowałaś się na punkcie Healy’ego i jego sprawy i doprowadzi cię to do szaleństwa, jeśli już nie doprowadziło. To wszystko jest nie tak. Twoje postępowanie nie ma sensu. Rozsądek mi podpowiada, że nie powinnam się do tego mieszać. – Przerwała i było słychać, jak ciężko wzdycha. – Ale nie potrafię.

– Co masz na myśli?

Kolejna przerwa.

– Mogę mieć dla ciebie ważną informację.

– Dotyczącą?

– Dotyczącą Healy'ego.

Złapała mnie na przynętę i dobrze o tym wiedziała.

– Mianowicie?

– Udało ci się ustalić, co się z nim działo przed śmiercią?

Pomyślałem o swoich notatkach i dziurach w chronologii między styczniem a znalezieniem go w Highdale miesiąc temu.

– Nie, a co?

– Chyba wiem, co się z nim w tym czasie działo.

Siedemdziesiąt cztery dni

0 dni, 0 godzin, 1 minuta po

Niemal sześć miesięcy wcześniej, w poniedziałek dwunastego maja o godzinie 5.37, Inoka Gunasekara, starsza pielęgniarka na oddziale kardiologii szpitala ogólnego King's Cross, w trakcie mierzenia ciśnienia jednemu z pacjentów zauważyła drgnienie mięśni na jego twarzy. Natychmiast zdjęła mu opaskę, odłożyła ciśnieniomierz i uważnie się przyjrzała. Pacjent od siedemdziesięciu czterech dni był w śpiączce i jak dotąd nie wykazywał żadnej aktywności mięśniowej. Aż do teraz. Po paru minutach wróciła do dyżurki, gdzie jeden z lekarzy ślęczał nad formularzami do dzisiejszych operacji.

– Zdaje się, że coś drgnęło – oświadczyła.

Lekarz uniósł głowę.

– U kogo?

– U pacjenta A.

Obrzucił ją zdziwionym spojrzeniem.

– Naprawdę?

Wpatrywał się w nią podejrzliwie, jakby się bał, że go nabiera. Pacjenta nazywano A, bo do tej pory nie udało się ustalić jego tożsamości. Nie miał przy sobie żadnych dokumentów, nikt się o niego nie upomniął, a wniosek o próbę identyfikacji na podstawie rejestrów policyjnych pociągał za sobą koszty i wciąż jeszcze tkwił w trybach państwowej biurokracji. Podczas siedemdziesięciu czterech dni śpiączki bodźce wywoływały pewne reakcje u pacjenta, w palcach rąk i nóg oraz łydkach, a także w postaci przyspieszonej pracy serca, ale ani razu nie wystąpił u niego ruch mięśni twarzy, rąk czy

ramion. Gdy stało się jasne, że siostra Gunasekara nie żartuje, lekarz wstał i poszedł za nią na salę.

Pacjent leżał dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej go położono po ataku serca, blisko jedenaście tygodni temu. Był podłączony do cicho ćwierkającej aparatury EKG i lekarz przez chwilę mu się przyglądał, po czym wyjął z kieszonki fartucha latarkę i świecąc po bokach maski tlenowej i rury zasilającej, uniósł obie powieki pacjenta i sprawdził reakcję źrenic.

– Gdzie było to drgnięcie? – zapytał.

– W lewym kąciku ust.

Schował latarkę, zerknął na wydruki EKG i wysunął kartę choroby z ramki w nogach łóżka.

– Miej na niego oko – polecił.

Ruszył do wyjścia, jednak zatrzymał się w pół drogi.

Pielęgniarka zorientowała się, że patrzy na pacjenta, i podążyła za jego spojrzeniem. Mężczyzna wciąż leżał w tej samej pozycji, cichy i nieruchomy.

Mimo to zaszła w nim subtelna zmiana.

Jego oddech przyspieszył.

– Hm – mruknął lekarz. – Coś tu się zdecydowanie...

W tej samej chwili twarz pacjenta wykrzywił grymas bólu, kąciki ust się rozciągnęły, czoło zmarszczyło. Jeden z policzków poruszył się i przez całe ciało, od klatki piersiowej aż po nogi, przebiegł lekki skurcz.

– Widziałaś u niego wcześniej podobne objawy? – spytał lekarz.

– Nie, nigdy – odparła pielęgniarka.

Powieki leżącego zacisnęły się.

– Myślisz, że z nim lepiej? – bąknęła pielęgniarka.

Lekarz stał wpatrzony w wykres EKG.

A potem z ust pacjenta dobyła się seria dźwięków. Jakby bulgotanie.

– Może chce coś powiedzieć?

Lekarz bez słowa zawrócił, stanął nad łóżkiem i pochylił głowę tak, że jego ucho znalazło się tuż przy ustach pacjenta. Minęło pięć sekund. Dziesięć. A potem z głębi gardła wydobył się znów charczący dźwięk. Mowę zniekształcała wetknięta w gardło rura, ale dźwięk dawało się rozpoznać jako słowa. Z całą pewnością słowa.

– Co on powiedział? – Pielęgniarka zmarszczyła brwi.

Lekarz spojrział na nią osłupiałym wzrokiem. Widział wiele wybudzeń ze śpiączki, ale nigdy nie spotkał się z czymś takim. Pacjent zaczął przewracać się z boku na bok, najpierw wolno i ostrożnie, później tak energicznie, że kółka pod łóżkiem aż zaskrzypiały.

A potem otworzył oczy.

Pielęgniarka i lekarz dostrzegli, że próbuje skupić wzrok.

– Słyszysz mnie pan? – spytał cicho lekarz.

Pacjent popatrzył na niego.

– Czy pan mnie słyszy?

Mrugnął jednym okiem.

Siostra Gunasekara podeszła bliżej i położyła rękę na jego ramieniu.

– Proszę pana – powiedziała niemal szeptem. – Czy pan słyszy, co mówię...

Umilkła.

Oczy pacjenta zaszły łzami.

– Proszę pana – odezwał się lekarz.

Pacjent otworzył usta i coś wymamrotał.

– Co on powiedział? – zapytała pielęgniarka.

Lekarz odsunął się od łóżka, nie odrywając wzroku od pacjenta.

– Powiedział: „Nie dajcie mu skrzywdzić mojej rodziny”.

Z początku trudno mi było przyjąć do wiadomości rewelacje Craw, tak dziwnie i irracjonalnie brzmiały. Ale potem zacząłem powoli się przekonywać, że zapadnięcie Healy'ego w śpiączkę brzmi całkiem sensownie. Wyjaśniałoby to jego nagłe zniknięcie w lutym i porzucenie całego dobytku w schronisku dla bezdomnych.

– Jak się o tym dowiedziałaś? – spytałem.

– Zrobiłam to, czego miałam nie robić. Zaangażowałam się.

– Dlaczego?

– A jak myślisz? – burknęła.

Nie wiem, co z tobą jest, Raker... Jeszcze nikt nigdy mnie tak nie potraktował, a ja nigdy się tak nie poczułam – przypomniałem sobie.

– Nie szukałam go po nazwisku – rzuciła lekko nadąsanym tonem. – Nie jestem samobójczynią. Przynajmniej jeszcze nie. Przeszukałam bazę danych pod kątem czterdziestodziewięcioletniego rudowłosego mężczyzny o wzroście metr osiemdziesiąt i wadze między sto a sto dziesięć kilogramów. I coś znalazłam.

– Co?

– Zgłoszenie ze szpitala King's Cross. Zatrudniona tam starsza pielęgniarka... – przerwała, szukając nazwiska – ...Inoka Gunasekara, zwróciła się do nas o ustalenie tożsamości pacjenta, który przebywał u nich od jedenastu tygodni. Prosiła o sprawdzenie jego odcisków palców, DNA, danych dentystycznych, wszystkiego, co mamy. Miał rude włosy, między czterdzieści pięć a pięćdziesiąt lat, mierzył metr osiemdziesiąt i ważył sto kilogramów.

Próbowałem zachować zimną krew.

– Niby wszystko pasuje, ale to jeszcze nie znaczy, że to Healy.

– Zgłoszenie przeleżało u nas trzy miesiące, bo we władzach zasiada banda idiotów z kalkulatorami, którzy umieją tylko liczyć koszty. W rezultacie, kiedy wreszcie wyrazili zgodę i mogliśmy wysłać ekipę daktyloskopijną, okazało się, że pacjent wybudził się już ze śpiączki i został wypisany.

– Kiedy to dokładnie było?

– Przywieziono go w czwartek dwudziestego siódmego lutego, obudził się w poniedziałek dwunastego maja. Pięć dni później, w sobotę siedemnastego maja, opuścił szpital.

Data przyjęcia do szpitala pasowała do mojej chronologii zdarzeń.

– Pamiętam, że kiedyś opowiadałeś, jak się poznaliście – mówiła dalej Craw. – W trakcie poszukiwań Leanne.

– Tak, i co?

– Dostał wtedy nożem, prawda?

– Tak, dźgnięto go w klatkę piersiową.

– Tak zwany pacjent A miał na piersi starą bliznę od noża.

Poczułem, jakby mnie poraził prąd.

– Dostał ataku serca – dodała Craw.

Nagle przypomniałem sobie, jak w motelu, dziesięć miesięcy wcześniej, rozmasowywałem sobie klatkę piersiową, jakby go coś bolało. Czy to mogły być pierwsze objawy zawału?

– Po wybudzeniu go ze śpiączki Gunasekara i lekarz, który nazywa się Richard Anawale, określili go jako „niekontaktowego”. Nie odpowiadał na pytania, nie udało im się nawet wydobyć z niego nazwiska. Zdaniem Anawale’a nie dlatego, że nie rozumiał ich pytań, tylko świadomie nie chciał nic mówić. Mimo to Gunasekara zdołała zauważyć, że ma irlandzki akcent.

Healy.

– Z jego dokumentacji medycznej wynika, że został przebadany przez psychologa.

– Psychologa szpitalnego?

– W piątek, szesnastego maja. Niejaka doktor Meredith Blaine.

Oczywiście diagnozy doktor Blaine nie dołączono do wniosku o ustalenie tożsamości pacjenta i nie byłem w stanie się dowiedzieć, czy pani doktor miała więcej szczęścia, ale nie bardzo sobie wyobrażałem, by Healy ugiął się

pod łagodną presją psycholożki. Prędzej by się wściekł, że poddają go takiemu badaniu. Dopisałem nazwisko Blaine do swoich notatek.

– Coś jeszcze? – spytałem.

– Gunasekara przytoczyła relację ratowników, których wezwano do Healy’ego. Okazuje się, że w pobliżu znalazł się emerytowany podoficer, który od razu zastosował sztuczne oddychanie, jeszcze zanim zjawiono się pogotowie i zajęło się Healym.

– Gdzie to się stało?

– W stajniach w Camden.

Co on tam, do diabła, robił?

Przecież nie miał ani grosza, więc to nie mogły być zakupy. W dodatku do hal w dawnych stajniach z jego schroniska dla bezdomnych przy New Kent Road było około dziesięciu kilometrów, dotarcie nie mogło być zatem takie proste. A jednak tam pojechał. Po co? Czego tam szukał?

Próbując uporządkować myśli, przypomniałem sobie słowa Calvina Easta: *...jestem z natury chomikiem i zbieraczem. Książki, obrazy, antyki. Mieszkam w Londynie od urodzenia i jestem nim zafascynowany, więc moje zbiory głównie dotyczą tego miasta.* A przecież w Halach Stajennych w Camden jest wiele stoisk z antykami.

Czyżby Healy pojechał tam za Eastem?

– Coś przy nim znaleźli – dorzuciła Craw. – Jakąś książkę i... i trzy fotografie.

Nie musiałem już o nic więcej pytać. Książką musiał być *Kurort w środku miasta* Carli Stourcroft, trzy fotografie przedstawiały zaś Gail, April i Abigail.

Cała reszta została w schronisku dla bezdomnych.

Spojrzałem na miejsce pasażera i leżący na nim wystrzępiony i pozaginany egzemplarz *Kurortu w środku miasta*. Ciekawe, co się działo z Healym po jego wyjściu ze szpitala siedemnastego maja. Następnym razem dał o sobie znać dopiero osiemnastego sierpnia, kiedy zjawił się w schronisku po papiery rozwodowe. A to znaczyło, że nadal nie wiedziałem, co się z nim działo przez te trzy miesiące.

Tkwiąc z notatnikiem rozłożonym na kolanach i telefonem przytkniętym do ucha, niemal zapomniałem, po co tu w ogóle siedzę. Przecież miałem

obserwować dom Easta.

Uniosłem głowę i zobaczyłem, że East właśnie wyłania się z podjazdu.

Zatrzymał się przy wjeździe na posesję, postawił kołnierz zimowego płaszcza, rozejrzał się po ulicy i ruszył w stronę Jamaica Road, nawet nie patrząc w moją stronę.

– Raker?

Prawie wyleciało mi już z głowy, że wciąż jestem połączony z Craw.

– Muszę kończyć, ale dziękuję – rzuciłem. – Dzięki za to, co robisz.

Nie odpowiedziała od razu.

– Nie bardzo wiem, jak się wobec ciebie zachować. Kocham swoją pracę. Dużo w niej absurdów, polityki i nerwów, ale ją kocham. I wiem, że gdyby w Metropolitalnej ktoś się dowiedział, co właśnie dla ciebie zrobiłam... – Zawiesiła głos. – Po prostu uważaj, dobrze?

– Dobrze. I jeszcze raz dziękuję.

Rozłączyłem się.

Po dziesięciu minutach byłem już w kuchni Easta.

Chwilę się wahałem, czy nie pójść za nim, sprawdzić, dokąd poszedł i czemu tak histerycznie się zachowywał, szybko jednak uznałem, że druga szansa na rozejrzenie się po jego domu może się nie trafić. East i jego kompani wiedzieli, kim jestem, a po moich pytaniach zdążyli się już zorientować, że interesuje mnie Healy i molo. A zatem im więcej będą mieli czasu, tym skrupulatniej zatrą ślady.

Posuwałem się po ciemku, bez zapalania latarki. Od ulicznych latarni, lampek kontrolnych urządzeń elektronicznych i podświetlanej tarczy zegara ściennego w pokoju było na tyle widno, że mogłem się w miarę pewnie poruszać.

Wnętrze domu przypominało garaż: było ciasne i zagracone, ale dobrze rozplanowane. W kuchni w zlewozmywaku został brudny talerz, na blacie

leżało puste opakowanie po lasagne do odgrzania w mikrofalówce, ale poza tym wszędzie panował idealny porządek. Pokój pełnił funkcję salonu i jadalni i ciągnął się w głąb domu. Obok drzwi na patio stał nieduży stół, drugi koniec wypełniała kanapa w formie narożnika, przed nią stał telewizor. Dominującym elementem wystroju było sześć segmentów z półkami uginającymi się pod ciężarem setek książek. Zawartość regałów sprawiała wrażenie bardziej zadbanej niż księgozbiór w jego biurze i wiele książek miało przezroczyste obwoluty ochronne.

Z pokoju wychodziło się do przedpokoju, kończącego się po prawej drzwiami frontowymi, a po lewej schodami. Ruszyłem na górę. W korytarzyku na piętrze było troje drzwi: pierwsze prowadziły do małej, wyłożonej białymi kafelkami łazienki z wiklinową szafką pełną kosmetyków, pozostałe do dwóch sypialni. W pierwszej, najwyraźniej używanej na co dzień przez gospodarza, panował porządek i stało wąskie łóżko przykryte bładoniebieską kapą oraz dwie sosnowe szafy.

Drugą zamieniono w wystawę antyków.

East zastąpił zwykłą lampę sufitową trzema długimi świetlówkami z filtrami ultrafioletu, okno zaślepił płytą przyciętą dokładnie do wymiaru ramy i całkowicie blokującą światło dzienne. Po wejściu głębiej stwierdziłem, że automaty rozmieszczono na planie litery S, dzięki czemu powstało coś na kształt ścieżki zwiedzania, która pozwalała obejść cały pokój i wrócić do punktu wyjścia.

Na wystawie znajdowały się kolejne książki w plastikowych obwolutach ochronnych, które umieszczono na dębowym obrotowym stojaku. Obok stało na smukłych nóżkach polerowane biureczko z mahoniu z szufladami, każda z własnym kluczykiem. Zajrzałem do środka, ale wszystkie były puste.

Minąłem piękną, niską komodę z drewna orzechowego, z blatem pokrytym arkuszem filcu, na którym rozłożono talerze, srebrne sztucce i kilka figurek. Dalej stały dwa krzesła z jesionu i fotel biurowy w stylu art déco na kółkach, pokryty wytłaczaną zieloną skórą. Ostatnim eksponatem była leżąca na podłodze szylkretowa kasetka. Sprawdziłem, co jest w środku, ale tak jak szuflady była pusta.

Przeszedłem do sypialni i zajrzałem do szaf. W jednej wisiało pięć kompletów służbowego stroju Easta, łącznie z zapasowym cylindrem na półce, resztę stanowiły typowe ubrania mężczyzny w średnim wieku. Na dnie szafy ustawiono lśniące czystością czarne półbuty i parę ciężkich buciorów z jasnej niewyprawionej skóry.

Druga szafa była składowiskiem rupieci.

Używał jej jak kosza na stare ubrania i albumy fotograficzne, kolejne książki, zepsuty zegarek i komórkę bez tylnej ścianki, z wyjętą baterią. Leżała tam sterta nigdy nienapisanych i niewysłanych kartek świątecznych, zdekompletowana wieża stereo i nawet stara maszyna do pisania. A także kilka filmów DVD: *Dotyk zła*, *Ojciec chrzestny*, *Dwunastu gniewnych ludzi* i *Casablanca*.

Na grzbiecie pudełka *Casablanki* zauważyłem zrobiony czerwonym markerem X.

Wziąłem je do ręki i otworzyłem. W środku znajdowały się dwie płyty: jedna z filmem, druga z czystą etykietą. Sprawdziłem pozostałe pudełka, ale w każdym był tylko właściwy film. Jedynie w tym z *Casablancą* było coś więcej.

Poczułem ciarki na plecach.

Umieściłem film w pudełku i odłożyłem je do szafy, płytę z czystą etykietą schowałem do kieszeni i powróciłem do przeglądania szafy.

Chwilę później natknąłem się na notes z widokiem plaży na okładce i odręcznie dopisanym nagłówkiem: *Rajza po świecie*. Najwyraźniej była to kronika i zestaw pamiątek z rocznej włości, jaką East odbył w wieku dwudziestu paru lat: fotografie, stare bilety i wyblakłe paragony z podróży po Azji, Australazji, Fidzi i zachodnim wybrzeżu USA.

Przerzuciłem kilka stroniczek i coś spomiędzy nich wypadło.

Wycinek z gazety.

Był wetknięty między kartki notesu i nie miał nic wspólnego z podróżą młodego Easta. Rozłożyłem go i stwierdziłem, że pochodzi z „North London Gazette”. Nigdy o niej nie słyszałem i byłem pewny, że już nie wychodzi, ale nie to mnie zainteresowało.

Moją uwagę zwróciło to, że wycinek nie był wiadomością prasową.

Był wspomnieniem pośmiertnym.

7 sierpnia 2010

CARLA STOURCROFT

Carla Stourcroft, pisarka i wykładowca uniwersytecki, największy rozgłos zdobyła swoją ostatnią książką *Niewidzialny Rozpruwacz* (2009), ciekawie napisaną biografią seryjnego mordercy Eldona Simmonsa, który w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku zgwałcił i zamordował pięciu mężczyzn, ale miała w swoim dorobku także cztery inne pozycje, wszystkie nawiązujące do ukochanej przez nią historii Londynu: *Od Richmond po Regent. Londyńskie parki od A do Z* (1996), *Metropolitan. Pierwsza linia metra* (1998), wydana pod nazwiskiem Carla Davis, *Kurort w środku miasta. Historia Wielkiego Molo w Wapping* (2002) i *Na południe od rzeki* (2006). Była nie tylko pisarką, ale wykladała też historię na Uniwersytecie Wschodniego Londynu. Carla Stourcroft znana była ze swojego umiłowania regionu i zaangażowania w sprawy lokalnej społeczności. Jej tragiczna śmierć w wieku

Reszta wspomnienia została oddarta.

Wróciłem myślami do chwili, gdy po raz pierwszy czytałem *Kurort w środku miasta*. Wpisałem wtedy nazwisko Stourcroft w wyszukiwarce Google'a, wyskoczyło mi podobne wspomnienie pośmiertne i niewiele więcej. Wyglądało na to, że jej kariera pisarska przeszła bez echa i nawet *Niewidzialny Rozpruwacz* – choć chwalony przez krytyków – pozostawał na liście bestsellerów tylko przez tydzień. W rezultacie trudno było znaleźć ją w sieci, zwłaszcza że nie udzielała się w mediach społecznościowych. Jednego natomiast byłem pewny: we wspomnieniu pośmiertnym, które czytałem, nie było ani słowa o okolicznościach jej śmierci. Dlaczego więc w tym nazwano jej śmierć tragiczną?

I dlaczego East zadał sobie trud, by odnaleźć wspomnienie o niej w jednej z nielicznych gazet, które odnotowały jej odejście.

To musiało mieć jakiś związek z *Kurortem w środku miasta*, choć przeczytałem tę książkę od deski do deski i nic nie znalazłem. Nie było w niej żadnych sekretów, żadnych aluzji do kogokolwiek. Nie ulegało jednak wątpliwości, że East coś ukrywa, i dlatego, gdy w muzeum wyciągnąłem zdjęcie Healy'ego, nie wytrzymał i dał nogę. Ale jeśli książka Stourcroft zawierała odpowiedź, to była ona tak dobrze ukryta pośród suchych faktów, że należało wątpić, by ktokolwiek na to wpadł.

Przeczytałem wycinek ze wspomnieniem po raz drugi, potem trzeci i czwarty. Za piątym razem coś mi wpadło w oko:

...Metropolitan. Pierwsza linia metra (1998), wydana pod nazwiskiem Carla Davis...

Widać wyszła za mąż i przyjęła nazwisko męża! Czytając wspomnienie po raz pierwszy, w ogóle nie zwróciłem na to uwagi. Dopiero teraz. Wyjąłem telefon, wszedłem do sieci, ale tym razem zamiast „Carla Stourcroft” wpisałem hasło „Carla Davis” i z bijącym sercem spojrzałem na wyniki.

Niestety, po Carli Davis też nie zostało zbyt wielu śladów, coś tam jednak było. Cztery pierwsze linki odsyłały do notatek w dziennikach ogólnokrajowych: „Sun”, „Guardian”, „Telegraph” i „Mail”, ale okazało się, że były to wzmianki bardzo oszczędne. Takie jakie wypadają z pamięci chwilę po przeczytaniu.

7 sierpnia 2010

POLICJA POSZUKUJE ŚWIADKÓW NIEUDANEGO NAPADU

Policja zwróciła się z apelem do ewentualnych świadków zdarzenia zakończonego śmiercią kobiety, które nazwała „spartaczonym napadem”.

Carla Davis, lat czterdzieści sześć, padła ofiarą brutalnego ataku, gdy broniła się przed złodziejem próbującym wyrwać jej torebkę. Policja twierdzi, że nagranie z kamer monitoringu ukazuje panią Davis

szarpiącą się ze złodziejem, który w końcu wyciąga nóż i zadaje jej cios w brzuch. „Chociaż ratownikom udało się wstępnie ustabilizować stan ofiary – poinformował detektyw inspektor Oliver Cowley – pani Davis zmarła w wyniku odniesionych ran. Nie sądzimy, by napastnik zamierzał ją zabić, niemniej napad rabunkowy zamienił się już teraz w sprawę o zabójstwo”.

Zamieszkała przy Chalk Farm Road pani Davis, pisarka i wykładowca uniwersytecki, zaledwie dzień wcześniej wróciła do kraju po miesięcznym pobycie u siostry w Australii. Według relacji policji napadnięto ją w chwili, gdy wychodziła z Hal Stajennych...

Przerwałem czytanie.

Hale Stajenne.

Napadnięto ją w tym samym miejscu, gdzie Healy dostał ataku serca.

Wróciłem do samochodu i wyszukałem stronę Hal Stajennych. Zgodnie z nazwą w halach mieściły się niegdyś stajnie i lecznica dla koni. Budynek był labiryntem zakamarków, przejść i klatek schodowych, które oplatały go niczym naczynia krwionośne. Obecnie znajdowały się tam zarówno stoiska drobnych handlarzy, jak i siedziby dużych firm, które stać było na zagospodarowanie podcieni dawnych bocznic kolejowych.

Szybko ustaliłem listę nazwisk czterystu właścicieli mniejszych i większych punktów handlowych w halach – musiało być wśród nich nazwisko, które przyciągnęło tam Carlę Stourcroft i później Healy’ego. Zjawili się oddzielnie i w odstępie paru lat, ale oboje spotkał podobny los. Stourcroft straciła życie w sierpniu 2010 roku w wyniku rzekomego napadu rabunkowego pod budynkiem hali; trzy i pół roku później Healy dostał tam ataku serca, z którego wprawdzie wyszedł cało, ale tylko w sensie fizycznym. Siedem miesięcy później znalazłem go martwego w norze pod blokiem w Highdale, w której samotnie dożywał swych dni po tym, jak wcześniej zrezygnował z walki. Ciekawe, jak wielka odpowiedzialność spada na tego kogoś za obie te śmierci.

Kogoś z tej listy.

Co sprowadziło tu Stourcroft i Healy’ego?

Czy tym kimś był Calvin East? A może ktoś inny? Kogokolwiek szukałem, długa lista sklepów z antykami zdawała się dobrym punktem wyjścia. Przejrzałem ją, porównując nazwy punktów handlowych i nazwiska właścicieli z moimi notatkami. Nic nie rzuciło mi się w oczy. Rozszerzyłem poszukiwania o sklepy z antycznymi meblami, potem o sklepy z odzieżą i biżuterią, z urządzeniami gospodarstwa domowego, a ostatecznie nawet z zabawkami i obuwiem. Nadal nic. Wróciłem do listy sklepów z antykami

i przejrzałem ją bardziej metodycznie. Punktem wyjścia była nazwa firmy i za pomocą Google'a przeczesywałem media społecznościowe, wyszukując najemców przestrzeni handlowej w halach i sprawdzając ich profile na Facebooku, Twitterze i LinkedIn.

Rezultat poszukiwań okazał się taki sam.

Ślepy zaułek.

Skopiowałem i wysłałem na swojego maila listę firm i ich właścicieli, by mieć pod ręką pełny zestaw. Upewniłem się, że mail doszedł, i gdy tylko wyszedłem z poczty, telefon niemal natychmiast zaczął brzęczeć.

Dzwonił Ewan Tasker.

Przypomniałem sobie, że wysłałem do niego prośbę o sprawdzenie Citroena należącego do faceta, który wywiózł z domu Easta jedną z maszyn. Poprosiłem Taska o przepuszczenie rejestracji auta przez policyjną bazę danych.

– Co słyszeć, Task?

– W porządku. Nie za późno dzwonię?

– Nie, masz idealne wyczucie czasu. Co ci się udało ustalić?

– Citroen jest zarejestrowany na niejakiego Victora Grankina – powiedział Task.

– Świetnie – rzuciłem, sięgając po notatnik. – Co to za jeden?

– Urodzony dwudziestego piątego stycznia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego w Parnawie w Estonii. Rodzice wyemigrowali do Anglii w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym, ale w kwietniu siedemdziesiątego piątego oboje zginęli w wypadku i chłopak trafił do zakładu opiekuńczego. Brak z tego okresu jakichkolwiek informacji, w każdym razie na pewno nie był notowany, o ile w ogóle trafił do systemu. Do dwa tysiące szóstego policja nie miała obowiązku wprowadzania młodocianych do systemu, więc wielu ludzi w wieku Grankina, którzy mieli zatargi z prawem we wczesnej młodości, może w nim nie być.

– A jako dorośli?

– Nic, czysty.

– Masz jego adres?

– Tak, Poland Gardens trzy, Whitehall Woods.

– Nawet nie wiem, gdzie to jest.

– Chyba gdzieś na obrzeżach hrabstwa Essex. Mieszka tam od października dwa tysiące dziesiątego. Wcześniej mieszkał w Beckton, w pobliżu lotniska. Ma firmę o nazwie VG Security and Protection Limited, której jest jedynym pracownikiem. Trochę w tym pogrzebałem i wygląda na to, że dorywczo wynajmuje ochroniarzy z agencji ochrony pod konkretne zamówienia. W każdym razie VGSP istnieje od stycznia dwa tysiące pierwszego i działa trochę jak prywatna firma ochroniarska.

– Jasne. Ma jakichś stałych współpracowników?

– Żadnych.

– Żadnych plam na życiorysie?

– Jedyne, na co się natknąłem, to historia sprzed czterech lat. Trafił wtedy na komisariat w Bethnal Green pod zarzutem kradzieży.

– Kogo okradł?

– Niejakiego... Gary'ego Cabota.

Zatkało mnie.

– Naprawdę? I co ukradł?

– Mhm... karton z trzydziestoma sześcioma puszkami lakieru Hobermana.

– Co to jest lakier Hobermana?

– Lakier do drewna.

– Mówisz poważnie?

– Tak tu jest napisane. „Trzydzieści sześć ćwierćlitrowych puszek”.

– Lakieru do drewna?

– Dzisiejsze przestępstwa to już nie to co kiedyś. – Task westchnął.

– Co tam jeszcze masz?

– Zaczekaj chwilę – mruknął i usłyszałem, jak mamrocze pod nosem, czytając. – Notatka jest dość niejasna, bo nigdy oficjalnie nie postawiono mu zarzutu, ale wygląda na to, że Cabot, który prowadził w Wapping jakąś atrakcję turystyczną o nazwie Świat Cudów i Muzeum, oświadczył, że podczas odbywającego się tam letniego festynu Grankin ukradł te puszkę z lakierem. Pewnie dlatego się połaszczył, że wyroby Hobermana są dość drogie.

– Jak drogie?

– Około czterdziestu pięciu funtów za puszkę, czyli ponad tysiąc sześćset za karton plus koszty wysyłki do Londynu. Firma mieści się w Blackpool.

– I dochodzenie zakończyło się niczym?

– Cabot zeznał, że w dwa tysiące drugim zatrudnił Grankina do ochrony muzeum i do dwa tysiące dziesiątego nie miał z nim żadnych kłopotów, wtedy jednak, dzień po zakończeniu letniego festynu, wszedł do służbówki Grankina i dostrzegł na podłodze ślady lakieru. Poszedł więc do magazynku, w którym składowali puszki lakieru Hobermana, i stwierdził brak jednego kartonu.

– To dlaczego nie postawiono mu zarzutu?

– Policja zajęła się sprawą i przesłuchała Grankina, ale nie znaleziono u niego żadnych puszek. Zawężili czas kradzieży do niedzielnego wieczoru jedenastego lipca.

– Zaraz, kiedy to było?

– W niedzielę jedenastego lipca dwa tysiące dziesiątego.

Tej nocy zamordowano Clark i jej córki.

Poczułem dreszcze.

– W każdym razie okazało się – ciągnął Task – że do zabezpieczenia festynu Grankin wynajął czterech ochroniarzy z agencji pośrednictwa pracy, ale ustalony przez policję przedział czasowy kradzieży między dwudziestą a dwudziestą drugą całkowicie oczyścił z podejrzeń wszystkich czterech. Nie wdając się w szczegóły, większość pomieszczeń muzealnych, w tym także magazynek, w którym przechowywano lakier, była w tym czasie zamknięta dla publiczności, a jednocześnie policja zebrała dużą grupę naocznych świadków, którzy przez cały wieczór widzieli tych czterech na festynie. Policję bardziej interesował sam Grankin, ale on też miał alibi. Na parę godzin wyskoczył z pracy, żeby o dziewiętnastej czterdzieści pięć spotkać się w pubie w dokach Świętej Katarzyny z nowym klientem, który w zeznaniu potwierdził, że rzeczywiście się spotkali. Potwierdziło to również nagranie z kamery monitoringu, na którym tuż po ósmej widać Grankina idącego w stronę pubu.

– A jest nagranie z jego powrotu na festyn?

– Nie ma.

– Nikt nie widział go po powrocie?

– Jeden z pracowników Cabota zeznał, że widział, jak Grankin wrócił około wpół do jedenastej. Nie ma jednak nagrania, które by to potwierdzało, jedynie ustne zeznanie świadka... niejakiego Calvina Easta.

Zeznanie Easta jako alibi dla Grankina.

Chwyciłem notatnik, przerzuciłem kilka kartek i zajrzałem do zapisków zrobionych podczas czytania akt zabójstwa rodziny Clark. Chwilę mi to zajęło, ale znalazłem to, czego szukałem. „Zabójstwo popełniono między 22.00 a 23.00 w niedzielę 11 lipca 2010”.

– Jak się nazywał ten klient, z którym Grankin spotkał się w pubie?

– Mhm... jakiś Paul Korman.

– Korman?

– K-O-R-M-A-N. Policja go przesłuchała i facet potwierdził, że Grankin siedział z nim w pubie od mniej więcej dwudziestej do dwudziestej drugiej piętnaście.

Zacząłem porządkować myśli. W niedzielę jedenastego lipca Grankin zajmował się ochroną festynu. Wieczorem urwał się z pracy, by o 19.45 spotkać się z nowym klientem. Według wersji Easta Grankin wrócił na festyn o 22.30. W tym samym czasie sześć kilometrów dalej na południe, w bloku w New Cross, zamordowano trzyosobową rodzinę.

Jedynym świadkiem mogącym potwierdzić obecność Grankina w pubie w dokach Świętej Katarzyny o godzinie 22.15 był jakiś Paul Korman. Jedynym świadkiem potwierdzającym powrót Grankina na festyn był Calvin East. Na zeznaniach tych dwóch, teoretycznie obcych sobie ludzi oparto alibi Grankina. Na tyle wiarygodne, że wystarczyło do podważenia podejrzeń Gary’ego Cabota w sprawie kradzieży lakieru. A jeśli obaj kłamali?

Jeśli Grankin był w tym czasie w New Cross?

I Korman też?

Pomyślałem o nagraniu z kamery z dnia zabójstwa.

Grankin nie był owym blondynem, to wiedziałem na pewno. Człowiek na nagraniu był zbyt masywnie zbudowany, zbyt różnił się wyglądem od chuderlawego Grankina. Miał też dwie wyróżniające go cechy: głęboko osadzone oczy i złamany nos. Ale Grankin mógł być tym za kierownicą.

Który tylko siedział, obserwował i czekał.

– Masz adres tego Kormana? – spytałem.

– Z tamtego okresu? – Task przez chwilę milczał. – Tak, Paul Benjamin Korman, Bell Park Road sto czterdzieści pięć. Zeznał, że mieszka w wynajętym mieszkaniu, i tak było. Ale od kwietnia dwa tysiące jedenastego już tam nie mieszka, a innego adresu tu nie ma.

Poczułem ucisk w żołądku.

– Nie ma też jego fotografii ani rysopisu, tak?

– Nie ma.

Podziękowałem Taskowi i rozłączyłem się. Zaczynałem podejrzewać, że natrafiłem na człowieka, który przywiózł zabójcę na miejsce zbrodni.

Teraz musiałem się tylko upewnić, czy znalazłem też samego zabójcę.

Terapia

4 dni, 3 godziny, 40 minut po

- Nie rób im krzywdy. Proszę, nie krzywdź ich.
- Jesteś dla nich nikim.
- Proszę...
- Dla nikogo nic nie znaczysz, Healy.

Obudził się.

W pierwszej chwili nie wiedział, gdzie jest i co się z nim dzieje. Pot zalewał mu oczy, skotłowana pościel trzymała go jak korzenie drzewo. Dopiero po chwili sprawy zaczęły nabierać kształtów: sterylna biel szpitalnego pokoju, wisząca na stojaku kroplówka z roztworem soli fizjologicznej, kręcące się po korytarzu pielęgniarki, lekarze w kitlach, pacjenci na wózkach. Obrócił głowę w stronę okna. Z jego łóżka widać było tylko kwadrat dziennego światła.

Żadnych szczegółów.

Żadnych zarysów. Żadnych punktów zaczepienia.

Tylko gładki błękit nieba.

Te widoki, te senne majaki, ten zalewający oczy pot i brak tchu w chwili przebudzenia to było teraz jego życie. Zanim serce odmówiło mu posłuszeństwa, leżał godzinami wpatrzony w ściany przytułku i w swój żalosny dobytek, w całości mieszczący się w plecaku leżącym przy prycy, i myślał, że znalazł się na samym dnie.

Ale to nie było jeszcze dno.

Teraz już to wiedział.

Do dna było jeszcze daleko.

W piątek szesnastego maja, w porze obiadowej, wyznaczili mu badanie psychologiczne. Od jego przebudzenia minęły cztery dni i kolejni członkowie personelu szpitala próbowali coś z niego wydobyć.

Teraz miał się zająć nim ktoś nowy.

Pielęgniarki pomogły mu wstać z łóżka i posadziły na wózku, a on poczuł, jak wszystkie kości go bolą; trzeszczały niczym kadłub starego drewnianego statku. Ułożył stopy na podnóżku i przyglądał się, jak ustawiają z tyłu stojak z kroplówką i sprawdzają podłączenie rurki do wenflonu. Klatkę piersiową miał obolałą i z trudem oddychał, ale się nie skarżył. Bardziej dręczyło go to, że poły szlafroka się rozsunęły i jego penis znalazł się na widoku.

– Już starczy – wymamrotał.

– Musimy sprawdzić – burknęła jedna z pielęgniarek.

Nic więcej nie powiedział. Może kiedyś by tego nie przepuścił, ale był całkowicie wyczerpany z energii. Pielęgniarka zebrała poły szlafroka, okryła go kocem i spytała, czy jest gotów do drogi. Wzruszył ramionami, a ona wytoczyła wózek z pokoju.

Gabinet pani psycholog mieścił się na trzecim piętrze budynku szpitalnego, na samym końcu długiego korytarza. Drzwi jej gabinetu były niedomknięte, na tabliczce obok widniał napis PSYCHOLOGIA KLINICZNA, pod nim znajdowała się rozpiska ze śladami niechlujnie ścieranych nazwisk przyjmujących lekarzy.

Widoczne na niej nazwisko brzmiało: MEREDITH BLAINE.

Gabinet był ciasny i duszny i miał tylko jedno wąskie okno wychodzące na szpitalny parking. Pani psycholog siedziała przy niedużym biurku, na którym poza komputerem nic nie było. Leżała wprawdzie kuweta na przychodzącą korespondencję, ale pusta. Obok biurka stała czerwona kozetka z poprzecieranymi szwami. Pielęgniarka wjechała wózkiem do środka, pomogła Healy'emu przesiąść się na kozetkę, ustawiła obok niego stojak z kroplówką i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

– Nazywam się Meredith Blaine – powiedziała psycholożka.

Healy tylko wlepił w nią wzrok.

Wyglądała na czterdzieści kilka lat, miała ciemne włosy, była drobna i z lekka zaszuszone, ale sprawiała wrażenie pewnej siebie i twardej. Próbował

pokonać ją wzrokiem, ona jednak spokojnie wytrzymała jego spojrzenie i w końcu to on odwrócił głowę i popatrzył przez okno na zalany słońcem parking.

– Przeszedł pan poważny atak serca – zaczęła spokojnym głosem. – Przez dłuższy czas był pan w śpiączce. Z procesem wybudzenia z takiej śpiączki wiążą się szczególne obciążenia psychiczne. Ale mamy też do czynienia z problemami czysto medycznymi. Jeśli nie powie pan, kim pan jest, nie poznamy historii pańskiej choroby i nie będziemy mogli ustalić najskuteczniejszej metody leczenia.

Milczał.

Nie wyglądała na zbyt przejętą jego brakiem reakcji. Bez słowa przeniosła wzrok na komputer, postukała w klawiaturę i otworzyła na ekranie historię jego choroby, począwszy od ataku serca. Gabinet był tak mały, że bez trudu mógł odczytać dane. Wynikało z nich, że nie wiedzą, kim jest. Nic nie wiedzieli o jego przeszłości. W miejscu na nazwisko pacjenta widniał tylko nadany przez nich numer.

– Dlaczego nie chce pan podać nazwiska? – zapytała.

Wzruszył ramionami.

– Ma pan jakieś kłopoty?

To wywołało uśmiech na jego ustach.

– Coś pana rozbawiło?

– Właśnie przeleżałem jedenaście tygodni w śpiączce – powiedział i zamilkł. Drażniło go brzmienie własnego głosu, monotonnego i rozwleczonego, jakby był pijany. – Sikam przez rurkę, zapomniałem, jak się chodzi, więc chyba mam kłopoty, nie sądzi pani?

– Miałam na myśli kłopoty z prawem. Złamał pan prawo?

– Tak w ogóle?

Tym razem ona się uśmiechnęła, jednak uśmiech szybko zniknął jej z twarzy i powróciła surowa mina.

– Czekamy na policję, która ma pobrać pańskie odciski palców, ale jestem niemal pewna, że nie figuruje pan na ich liście poszukiwanych. Pracuję jako konsultantka w Policji Metropolitanej i mam tam wielu znajomych, którzy na moją prośbę już to sprawdzili. Nikt odpowiadający pańskiemu rysopisowi nie

jest aktualnie poszukiwany. Nie zgłosili się też żadni pańscy krewni ani przyjaciele, by pana zidentyfikować. Zmierzam do tego, że jeśli złamał pan prawo przed atakiem serca i dlatego nie chce pan wyjawić swojego nazwiska, to policja nic o tym nie wie. I przed uruchomieniem procedury identyfikacji się nie dowie.

Na biurku stała karafka z wodą.

– Chce się pan napić? – spytała.

Popatrzył na karafkę, potem na nią i skinął głową.

Nalała do szklanki wody i postawiła przed nim.

– Znalezione pana w Halach Stajennych – ciągnęła, moszcząc się z powrotem w fotelu, a on poczuł powiew jej perfum. – Przygotowując się do dzisiejszego spotkania, rozmawiałam z jednym z ratowników, których do pana wezwano. Powiedział mi, że emerytowany sierżant Gregory Finn praktycznie uratował panu życie. Że bez jego sztucznego oddychania prawdopodobnie by pan nie przeżył. Miał pan dużo szczęścia.

– Dlaczego tak pani sądzi?

– Bo samo sztuczne oddychanie nie ratuje życia, ale daje szansę dotrwania do przyjazdu pogotowia. Gdyby Finna tam nie było, już by pan nie żył.

Wzruszył ramionami.

– Wolałby pan nie żyć?

Może.

Przerwała i wpatrzyła się w niego.

– Finn powiedział ratownikom, że widział, jak na moment przed atakiem przewrócił się pan. – Znowu przerwała, ale tym razem Healy już czuł, co się święci. – Według niego gonił pan kogoś. Gdy rozpiął panu koszulę przed przystąpieniem do masażu serca, zauważył, że ma pan posiniaczoną klatkę piersiową. Skąd się wzięły te sińce?

Nie odpowiedział.

– Kogo pan gonił?

Odwrócił głowę i popatrzył na parking za oknem.

– Czy ktoś coś panu zabrał?

Gdy znowu na nią spojrzał, okazało się, że spokojnie mu się przygląda, jakby jednostronność dialogu wcale jej nie przeszkadzała. Chwilę później jej wargi

się poruszyły, a oczy rozbłysły. Jakby nagle na coś wpadła.

Od razu to zauważył.

– Ratownicy znaleźli przy panu pewne przedmioty – powiedziała.

Przerwała, czekając na jego reakcję.

Healy’emu ścisnął się żołądek na myśl o fotografiach i książce. Przed atakiem serca fotografie były jedynymi przedmiotami, które zawsze nosił ze sobą, książkę miał wtedy całkiem przypadkowo. Wziął ją na wszelki wypadek, bo pomyślał, że może mu się przydać w hali. Blaine ruszyła się, przerywając mu tok myślenia. Przeniósł na nią wzrok i zobaczył, że rozkłada przed nim na biurku cztery kartki. Kopie trzech fotografii i okładki książki.

– *Kurort w środku miasta* – odczytała. – Słyszałam o molo w Wapping, ale nigdy tam nie byłam. Co pana w nim zainteresowało?

Czuł na sobie jej spojrzenie.

Ale znów zachował milczenie.

– A co to są za zdjęcia?

Popatrzył na nie.

– To pańska rodzina?

Skurcz przebiegł mu przez klatkę piersiową i dotarł aż do gardła. Spuścił głowę tak, by nie mogła dojrzeć jego twarzy, i kilka razy przełknął szybko ślinę. Podniósł wzrok i – już opanowany – spojrzał na nią w milczeniu.

– To pańska żona?

Przyjrzał się twarzy Gail.

– To pańskie córki?

Popatrzył na April i Abigail.

– Możemy do nich zadzwonić w pańskim imieniu?

Nie róbcie im krzywdy.

Nie krzywdźcie mojej rodziny.

– Nie, nie możecie do nich zadzwonić – odparł cicho.

Słowa wymknęły mu się z ust, zanim zdołał je powstrzymać, jakby coś w nim kazało mu dać wyraz temu, przez co przeszedł i co czuł. Temu, że wszystkie trzy żyją w jego głowie, a on cały czas im towarzyszy.

Rozmawia z nimi.

Kocha je.

Spojrzał na Blaine, która musiała dostrzec panikę na jego twarzy, bo uniosła się z fotela i w uspokajającym geście podniosła rękę. Wszystko w porządku.

– To pańska rodzina?

Przez dłuższą chwilę nie spuszczał z niej wzroku, wolno dysząc i zbierając myśli. Nie zamierzał jej mówić. I tak by nie zrozumiała. Nie był pewien, czy sam to rozumie. Był Healem i nie był Healem, był Malem i nie był Malem. Mieszkał z nimi w ich mieszkaniu, zawoził dziewczynki do szkoły, wieczorami układał je do snu. Chodził z nimi na spacer z psem, tyle że one nigdy nie miały psa. Psem w jego majakach był Charlie, pies towarzyszący dorastaniu Leanne, Ciarama i Liama, nie bliźniaczek. W wyobraźni wciąż wyjeżdżał na kawalerski weekend w Dublinie, który zorganizował w 2007 roku, gdy jeszcze pracował w Metropolitalnej. Był sobą i kimś innym.

Wszystko to były majaki.

Ale przez jedenaście tygodni to była jego rzeczywistość.

– To pańska rodzina? – powtórzyła pytanie Blaine.

Siedziała wychylona do przodu, trzymając palec wskazujący na fotografii April, nie spuszczać go z oczu i czekając na odpowiedź.

I nagle coś w nim pękło i zaczął płakać. Próbował powstrzymać łzy, zmieszany i zawstydzony swym wybuchem, ale bezskutecznie.

Blaine przysunęła się jeszcze bliżej.

– Proszę się nie przejmować – szepnęła. – To pańska rodzina, prawda?

Pokręcił głową.

To była moja rodzina.

Ale tylko przez chwilę.

Siedziałem wpatrzony w ciemność, obmyślając następny krok i przypominając sobie w szczegółach rozmowę z Craw sprzed godziny. Easta należało odnaleźć, Grankin i Korman mogli być tymi, których wizerunki kamera zarejestrowała tamtej nocy pod Searle House, co z jednego z nich czyniłoby zabójcę, z drugiego w najlepszym razie świadka, w najgorszym współuczestnika w równym stopniu odpowiedzialnego za morderstwo. Czułem, że jestem blisko rozwiązania i że coraz głębiej zanurzam się w wir tego, kim byli i co zrobili.

Tylko czy byłem na to gotowy?

Wróciłem myślami do chwili w muzeum, kiedy nagle ogarnęło mnie uczucie obezwładniającej paniki i na moment straciłem świadomość. Czy nie lepiej zadzwonić do Craw, przekazać jej wszystko, co wiem o sprawie, i dla odmiany raz pomyśleć o sobie? Wycofać się bez czekania na ostateczny wynik, bez poznania odpowiedzi na wszystkie pytania i poczucia, że udało mi się doprowadzić rzecz do końca. Nigdy wcześniej tak nie postąpiłem, bo uważałem, że to sprzeniewierzenie. Przyrzekałem rodzinom zaginionych, że rozwiążę ich sprawę i w ten czy inny sposób sprowadzę ich bliskich do domu, i zawsze dotrzymywałem słowa.

Ale ten przypadek był inny.

Już odnalazłem zaginionego, byłem na jego pogrzebie, a rodzinie zapewniłem komfort myślenia o sprawie jako o w pewien sposób zamkniętej.

Więc co ja tu jeszcze robię?

Dumając nad tym pytaniem, spojrzałem na miejsce pasażera i leżący tam egzemplarz *Kurortu w środku miasta*, na laptopa przed fotelem i zabraną z domu Easta płytę DVD. Pozornie czystą, bez żadnej etykiety, nijak nieopisaną. Równie dobrze mogła pochodzić prosto z półki sklepowej. Tyle że

biorąc ją znów do ręki, poczułem taki sam niepokój, jaki towarzyszył mi w domu Easta podczas przeglądaniu zawartości szaf. Czy to działał mój instynkt? Czy niepokoiłem się, bo znałem sposób myślenia różnych krętaczy i ich metody zacierania śladów? A może zaczynałem popadać w paranoję i byłem skłonny podejrzewać wszystkich o wszystko?

Wziąłem do ręki laptopa, włączyłem i włożyłem płytę do napędu. Po kilku sekundach uaktywniła się funkcja odczytu DVD i na ekranie pojawiło się nagranie Easta. Skaczący i chwilami nieostry obraz ukazywał jego i sześciu młodych mężczyzn puszczających kaczki na pięknym, górskim jeziorze. W pewnej chwili kamera oddaliła się, tak że było widać panoramę okolicy i pomost z tablicą Queenstown Boats. Nagranie pochodziło z Nowej Zelandii.

Zwyczajna pamiątka z podróży.

Zacząłem oglądać film w przyspieszonym tempie, czując ogarniające mnie rozczarowanie.

Dziesięć minut. Dwadzieścia.

Po trzydziestu minutach akcja przeniosła się do Australii i na Wielką Rafę, ale grupa filmowanych dwudziestolatków pozostawała ta sama. Przyglądając się, jak któryś z nich opowiada coś śmiesznego i cała grupa wybucha gromkim śmiechem, sięgnąłem po telefon. Nagranie wydawało się całkiem niewinne. Nie było w nim nic niezwykłego. Czułem znużenie i zniechęcenie, instynkt mnie zawodził.

Craw miała rację.

Chyba trzeba do niej zadzwonić.

Ale potem obraz na ekranie znów się zmienił, a ja nagle uświadomiłem sobie, że nagranie wcale nie jest tylko pamiątką z młodzińskiej włóczędzy.

Że jest czymś znacznie poważniejszym.

Ostatnie ujęcie przed zmianą planu ukazywało szóstkę młodych ludzi, z którymi East podróżował, jak siedzą w barze w Sydney. Przez przyciemniane szyby za ich plecami majaczy w oddali Harbour Bridge, a oni znów ryczą ze śmiechu. Z innego kawału i w innym miejscu, tylko stół, tak jak poprzednio, jest zastawiony baterią butelek z piwem.

Słysząc też śmiech filmującego Easta, choć nie tak beztronski. Jakby śmiech przychodził mu z pewnym trudem. Głosem zniekształconym przez nagranie każe chłopakom, by na niego spojrzeli i unieśli kciuki, ale większość albo go nie słyszy, albo olewa. W końcu zwraca kamerę na siebie i przez chwilę ekran wypełnia jego młodsza i szczuplejsza wersja. Jest tym samym chłopakiem, którego widziałem na fotografii z muzeum. Niedojrzałym. Niezbyt pewnym siebie.

I znów nie w centrum zainteresowania.

A potem nagła zmiana planu.

Jakiś nieznaną kawałek zieleni.

Choć właściwie nie. Kamera panoramuje, widać trawnik oraz betonową ścieżkę. Dalej, z lewej strony w kadrze, majaczy konstrukcja do wspinania, drabinki i koła. W głębi huśtawka i jeszcze jedna. Rondo.

Searle House.

Kamera sunie dalej i w kadrze pojawia się, ale zaraz znika północna ściana bloku. Potem East robi zbliżenie na huśtawki. Obie są zajęte.

Na lewej siedzi Abigail.

Na prawej April.

Natychmiast wróciłem myślami do zeznań świadków, które tyle razy czytałem. Do słów sąsiadki, Sandry Westerwood, która opowiadała Healy'emu o mężczyźnie widywanym w towarzystwie ofiar w miesiącach

poprzedzających ich śmierć: *Pod Searle House jest plac zabaw i boisko do piłki nożnej. Na placu stoją huśtawki, drabinki do wspinania, zjeżdżalnie, tego typu rzeczy. Z całą pewnością widziałam go tam parę razy z dziewczynkami.*

To on.

Tym mężczyzną był East.

Następna zmiana planu i East stoi obok bliźniaczek, a one chichoczą z czegoś, co musiał powiedzieć przed włączeniem kamery. April patrzy prosto w obiektyw i zaczyna śpiewać popularny przebój z 2010 roku. Trudno mi tego słuchać i czuję, jak ściska mnie w gardle. Nie dlatego, że fałszuje czy przekręca słowa, ale dlatego, że śpiewa tak swobodnie i radośnie. Jeszcze niespętana konwenansami dorosłości. Śpiewa tak głośno i beztrosko, że czuję, jak gula w moim gardle twardnieje, i rozklejam się. Stają mi przed oczami Annabel i Olivia – ta druga w tym samym wieku co April i Abigail – które udawało mi się chronić. Bliźniaczek nie miał kto ochronić i już ich teraz nie było.

Zostały tylko na nagraniu.

Patrzyłem przez łzy na zbliżenie Abigail, spokojniejszej i bardziej refleksyjnej niż siostra.

– Ty też zaśpiewasz, Abs? – słychać pytanie Easta i jego głos rujnuje nastrój.

Psychiczna więź łącząca mnie z dziewczynkami za pośrednictwem obiektywu nagle pryska, a zamiast żalu ogarnia mnie wściekłość. Tak gwałtowna, że aż mnie to zaskakuje.

– Nie – odpowiada Abigail. – Nie chce mi się śpiewać.

– Ale masz śliczny głos.

– Nieprawda, wcale nie.

– Masz.

Na ekranie widać, jak Abigail przenosi wzrok z siostry na kamerę, a potem nagle ucieka spojrzeniem w bok. East podąża za nim kamerą i w kadrze pojawia się Gail Clark nadchodząca od strony Searle House.

– Mamusiu, powiedz jej! – woła East.

– Co mam jej powiedzieć? – słychać głos Gail.

– Powiedz Abs, że ma śliczny głos.

– Abs, przecież wiesz, że tak – mówi kobieta, podchodząc do placu zabaw. Siedząca na huśtawce Abigail wzrusza ramionami, ale się uśmiecha. –

Przecież Cal cię nie oszukuje, kochanie.

Cal!

Nazywają go Cal.

Westerwood powiedziała, że mówią na niego Mal, i całe śledztwo zostało oparte na założeniu, że podejrzany ma na imię Malcolm.

A to wcale nie był Malcolm.

Nigdy nie było żadnego Malcolma.

Obraz gwałtownie skoczył na bok i domyśliłem się, że East przekazał włączoną kamerę Gail, by mogła nakręcić jego i dziewczynki.

Ma na sobie oliwkową koszulę.

I znów widzę, jak kolejny filar śledztwa Healy'ego rozsypuje się w pył. Westerwood zeznała, że mężczyzna chodził w koszuli, jaką zwykle noszą kierowcy samochodów dostawczych. I tak było. Koszula rzeczywiście była podobna.

Tyle że mężczyzna nie pracował jako kierowca.

Najwyraźniej w 2010 roku pracownicy muzeum nosili takie właśnie koszule do pracy, kiedy nie musieli przebierać się w stroje wiktoriańskie. A może Gary Cabot dał im swobodę i mogli wybierać między jednym a drugim. Na kieszeni widać naszywkę z diabelskim młynem w otoczeniu napisu ŚWIAT CUDÓW I MUZEUM W WAPPING, ale litery były zbyt małe, by Sandra Westerwood mogła je z daleka odczytać. Potem zwyczaj w firmie musiały się zmienić, bo podczas wizyty w muzeum nie widziałem nikogo w takiej koszuli. Pewnie Cabot doszedł do wniosku, że stroje z epoki są atrakcyjniejsze dla turystów, i z oliwkowych koszul zrezygnowano.

Patrzyłem, jak East popycha huśtawki dziewczynek. Teraz już bardziej przypominał siebie: był pucułowaty, na brodzie miał lekki zarost, rzędzące czarne włosy były zaczesane na bok. Okulary, które nosił, były tak samo za duże dla jego oczu, tyle że ich szare oprawki nie były aż tak nachalne.

Dziewczynki ze śmiechem go dopingowały, by mocniej je rozhuśtał, a on posłuchał i powiedział coś, co utonęło w szumie wiatru, wywołało jednak wybuch śmiechu. Wtedy zaczął komicznie pokrzykiwać przy kolejnych pchnięciach. Zabawa ciągnęła się minutę, może dłużej, a ja coraz wyraźniej widziałem jego twarz i wyraz oczu pomiędzy wybuchami śmiechu.

On nie udawał.

On ich nie oszukiwał. Jemu naprawdę się to podobało.

Ekran pociemniał i po paru sekundach znów rozbłysnął.

Następne ujęcie ukazywało wnętrze pokoju, w którym Gail i dziewczynki grały w scrabble'a. East przejechał kamerą po fotografiach w ramkach, płytach DVD, książkach, porozrzucanych częściach ubrań i stole nakrytym do obiadu, a ja pomyślałem, że jeszcze nigdy nie widziałem takich zdjęć z miejsca zbrodni. To mieszkanie było jak cmentarz, jak pomnik pełen wspomnień, które już nigdy nie ożyją.

Ale teraz było jeszcze pełne życia.

Było domem.

East energicznym ruchem odłożył kamerę na stolik i przeszedł przez pokój, by dołączyć do grających. Siedziałem wpatrzony w całą czwórkę, nie mogąc oderwać wzroku od tego obrazka z ich codzienności.

– Zaraz, moment! – wykrzyknął East, spoglądając na swoje litery i uśmiechając się szeroko. – Coś mi się zdaje, że jakieś lepkie łapki grzebały w moich samogłoskach.

Przyłapana na próbie oszustwa April zaczęła chichotać.

East parsknął śmiechem.

Po kilku minutach gry ponownie wstał od stołu, podszedł do kamery i najwyraźniej ją wyłączył, bo obraz gwałtownie drgnął i zniknął.

Ekran przez chwilę pozostawał ciemny, po czym znów pojawił się film z młodzieńczych eskapad Easta. Tym razem był gdzieś w Azji Południowo-Wschodniej i kręcił panoramę z okna na wysokim piętrze. Słyszałem kakofonię dźwięków dochodzących z zatłoczonej pojazdami i ludźmi ulicy, widziałem fasady budynków oblepionych neonami jak skorupiakami.

Włączyłem szybkie odtwarzanie i patrzyłem na przelatujące obrazki z Chin, Hongkongu i Tajlandii. Ostatnie ujęcie ukazywało widzianą z terminalu w Bangkoku płytę lotniska z czekającym boeingiem 747, który miał go zabrać do domu.

Obraz zniknął i reszta płyty okazała się pusta.

Bez żadnych dalszych filmików.

Bez żadnych odpowiedzi.

Oderwałem wzrok od ekranu, zatrzasnąłem wieko laptopa i chwilę przyzwyczajając oczy do ciemności panujących za oknem samochodu. Muszę znaleźć Easta. Muszę poznać jego wersję. Muszę zrozumieć, dlaczego do tego doszło.

Złamię go.

Dopilnuję, by za to wszystko zapłacił.

Przymknąłem powieki i próbowałem uspokoić nerwy, zrelaksować się. Wyglądało na to, że zbliża się atak migreny. Czułem walenie w skroniach.

Czy trzymał to nagranie jako pamiątkę? Czy umieścił je w środku filmu ze swoich podróży po to, by nikt niepowołany go nie odnalazł? Schował je przed Grankinem? Przed Kormanem?

Oddychałem głęboko, z wolna się uspokajając. Minęła jedenasta, byłem na nogach od siedemnastu godzin, skonany, poobijany fizycznie i emocjonalnie.

Otworzyłem oczy.

Lampy bezpieczeństwa przed domem Easta nagle rozbłysły. Świeciły przez chwilę i zgasły, a dom i całe otoczenie znów utonęły w pomarańczowej poświacie ulicznych latarni.

A potem dostrzegłem ruch w jednym z okien.

W środku ktoś był.

Wtuliłem głowę w ramiona, przebiegłem przez podjazd, przyłgnąłem do ściany pod oknem i rozejrzałem się. Wszędzie panował spokój. W domach po drugiej stronie ulicy okna były pozasłaniane i ciemne. Było po jedenastej i większość mieszkańców już spała.

Zajrzałem do środka.

Nie paliło się żadne światło i wewnątrz było tylko nieco rozświetlone pomarańczową poświatą, która wpadała od tyłu budynku i od ulicy. W wyglądzie pokoju nic się zmieniło od mojej wizyty parę godzin temu. Niczego w nim nie przestawiono ani nie przełożono. Nabrałem powietrza i rozejrzałem się po ulicy. Nic się nie działo.

Jeszcze raz zerknąłem przez okno.

Rozsuwane drzwi w głębi były lekko niedomknięte. Szpara nie była zbyt duża, ale jednak. Czy przez nieuwagę tak je zostawiłem? Przez te drzwi wchodziłem do środka, bo uznałem, że z ich zamkiem pójdzie mi najłatwiej.

Czyżbym zapomniał je potem zasunąć?

Od strony ulicy coś na żwirze zachrząściło i aż podskoczyłem. Odwróciłem głowę i ujrzałem kota, który skradając się wzdłuż płotu otaczającego działkę Easta, nie spuszczał ze mnie oka, patrząc przez przerwy między sztachetami. Jego oczy raz rozbłyskiwały, raz znikwały, rozbłyskiwały i znikwały. Obserwowałem go do chwili, aż dotarł przed podjazd i stanął. Jeszcze przez chwilę przypatrywał mi się świecącymi w półmroku oczami, po czym przepadł w ciemnościach.

W domu trzasnęły drzwi.

Ponownie zajrzałem do środka.

Tym razem kogoś dostrzegłem.

W drzwiach między pokojem a kuchnią stał mężczyzna. Dłonią w rękawiczce opierał się o framugę, drugą miał opuszczoną wzdłuż ciała i patrzył w okna na tyłach domu. Był zwrócony do mnie plecami, miał na sobie sięgający do kolan zielony płaszcz przeciwdeszczowy z kapturem, przypominający ceratową pelerynę rybacką i przy każdym ruchu rzucający świetlne błyski. Cofnąłem głowę, choć wiedziałem, że nie może mnie widzieć. Kaptur ciasno okalał mu głowę i dojrzałem tylko niewyraźny zarys twarzy. Mężczyzna był wysoki, chudy i miał na sobie bojówki.

Grankin.

Po co wrócił? Dlaczego zjawiał się bez samochodu? Z ramienia zwisała mu brązowa skórzana torba z rozpiętymi klamrami, na nogach miał czarne buty z cholewami. W pewnej chwili odwrócił się, wszedł głębiej i zaczął się rozglądać po pokoju, a ja zobaczyłem, co trzyma w opuszczonej ręce: nóż kuchenny z dziesięciocentymetrowym ostrzem.

Poczułem zimny dreszcz.

Wrócił po Easta.

Tyle że Easta już tu nie było.

Ruszył w stronę przedpokoju, czyli w moją stronę, więc odskoczyłem od okna i z trudem łapiąc powietrze, czekałem. Po trzydziestu sekundach nie wytrzymałem i zerknąłem do środka. W pokoju było ciemno, ale u góry rozbłyskiwało światło jego latarki. Przeszukiwał piętro.

Wróciłem do samochodu i zapadłem się w fotel.

Po pięciu minutach wyszedł bocznymi drzwiami. Na głowie wciąż miał kaptur, ale latarka i nóż wróciły do torby. Przy skraju podjazdu zatrzymał się, rozejrzał po ulicy i ruszył w stronę mostu kolejowego za moimi plecami. Wciśnięty w fotel obserwowałem, jak mnie mija, idąc drugą stroną ulicy, potem chwyciłem płaszcz i telefon.

Wzdłuż jednego z przęseł mostu kolejowego biegła wąska dróżka. Odczekałem, aż zniknie za załomem, wysiadłem, zamknąłem samochód i poszedłem w ślad za nim.

Kluczył w płataninie uliczek i zaułków i w końcu dotarł do Southwark Park. Trzymałem się jakieś dwadzieścia metrów za nim, chwilami nawet więcej, zwłaszcza gdy weszliśmy do parku i liczba przechodniów zmaląła, a ja zacząłem mieć trudności z kryciem się. Po wyjściu z parku znów skróciłem dystans, bo opanowałem już rytm jego ruchów i wyczuwałem, kiedy może spojrzeć w lewo, a kiedy w prawo. Do tyłu prawie nie patrzył. Ilekroć torba przekręcała mu się z ramienia na plecy, wyciągał za siebie rękę – szarą i kościstą w tym świetle – i przesuwał ją sobie do przodu. Za każdym razem, gdy to robił, dostrzegałem, że lekko się chwieje. Jakby utykał na jedną nogę.

Skręcił w Lower Road, wmieszał się w tłumek oblegający pub, na moment przystanął, a potem przeszedł na drugą stronę ulicy. Ja zostałem jednak po tej samej i idąc równolegle z nim, miałem go na oku aż do skrętu w Surrey Quays Road. Chwilę później wyłoniła się z prawej odwrócona piramida Canada Water Library i wreszcie zrozumiałem, dokąd zmierza.

Szedł do stacji metra.

Zostałem nieco z tyłu, zastanawiając się, dlaczego nie poszedł na stację Bermondsey. Niczym się nie wyróżniała poza tym, że do Canada Water było trochę dalej. Pomyślałem, że pewnie chce pojechać kolejką naziemną. Gdy minął bramkę, moje podejrzenia szybko się potwierdziły: nie zsuwając z głowy kaptura, usiadł na peronie i położył torbę na kolanach. Wiedząc już, w którą stronę jedzie, wycofałem się do holu kasowego. Był kwadrans po jedenastej wieczorem i stacja świeciła pustkami.

Nie chciałem ryzykować, że mnie zauważy.

Pociąg przyjechał trzy minuty później.

Patrzyłem, jak wsiada, potem szybko wsiadłem do jednego z dalszych wagonów. Drzwi się zasunęły, a ja zacząłem kombinować, jaki może być cel

jego podróży. Pociąg jechał przez Peckham i kończył trasę na Clapham High Street, co znaczyło, że wybór ma dość ograniczony. Będzie musiał wysiąść na Surrey Quays, Queens Road Peckham, Peckham Rye, Denmark Hill lub Clapham.

Trzydzieści minut później znalazłem już odpowiedź.

Na Denmark Hill wytknąłem głowę przez otwarte drzwi, spojrzałem wzdłuż pociągu i zobaczyłem, że wysiada. Oczekałem, aż zniknie w wyjściu z peronu, i ruszyłem za nim.

Po opuszczeniu stacji skierował się ku Denmark Hill. Co chwilę poprawiał zwisającą z ramienia torbę i sprawdzał, czy kaptur peleryny szczelnie okrywa mu głowę. Walcząc z porywami ostrego wiatru, szliśmy w stronę Camberwell Road.

Grankin parł do przodu, utrzymując równe tempo i powtarzając wciąż te same ruchy: poprawienie torby, sprawdzenie kaptura, lekkie zachwianie. W końcu, przy Burgess Park, skręcił w lewo i dotarł do ślepego zaułka z niskimi blokami mieszkalnymi. Ktoś zapomniał zdjąć pranie z balkonu na trzecim piętrze, na kablu telefonicznym nad naszymi głowami wisiała para butów treningowych, ale poza tym panował porządek, było cicho i spokojnie. Dopiero na samym końcu uliczki dojrzałem, że oprócz bloków było tam coś jeszcze, co jakby poszło w zapomnienie: ciąg sześciu szeregowców, całkowicie ukrytych przed wzrokiem przypadkowego przechodnia. Okna we wszystkich były zabite deskami.

Dwa domy były wypalone, dach innego zarwany, z obnażoną konstrukcją dachową, ze ściany kolejnego odpadł tynk, po którym zostało wyżłobienie szerokości dłoni. Wszystkie były zarośnięte zielskiem, które wciskało się do rynien i wystawało z każdego możliwego otworu.

Ukryłem się we wnęce drzwiowej jednego z bloków i patrzyłem.

Grankin zatrzymał się i obejrzał, a następnie powiódł wzrokiem po zarośniętych chwastami otworach okiennych i drzwiowych, jakby się upewniał, że nikt go nie obserwuje. Potem skręcił ku ostatniemu z sześciu domów i wszedł na wąską dróżkę, prowadzącą zapewne do ogrodu z tyłu.

Ruszyłem za nim, przebiegłem otwartą przestrzeń najszybciej i najciszej jak się dało i stanąłem przy wejściu na dróżkę. W głębi mignęła zieleń jego

płaszcz, ale zaraz zniknęła. Poszedłem za dom i zobaczyłem go idącego wzdłuż połamanych i wyszczerbionych płotów, które wciąż jeszcze wyznaczały granice działek. Ogródki za domami zamieniły się w wysypiska śmieci i były pełne zniszczonych wózków i krzeseł, starych sprzętów kuchennych i opon, które zalegały w wysokiej do pasa trawie. Domy od tyłu miały wyjścia na taras i kuchenne okna, ale wszelkie otwory umożliwiające dostanie się do środka były szczelnie zabite deskami i pokryte graffiti.

Nie musiałem długo czekać, by poznać jego plany. Dotarł do częściowo zwalonego płotu trzeciej posesji od końca, przekroczył go i zwrócił się ku wypalonej od wewnątrz ruderze. Przez zarośnięty ogród przeszedł wolnym krokiem, bez trudu odnajdując drogę w gąszczu chwastów. Przy drzwiach zatrzymał się i rozejrzał, a następnie wsunął swe kościste palce pod krawędź płyty, która jak na osi obróciła się na śrubie wkręconej na górze po lewej stronie. Pod płytą zionęła czarna pustka.

Grankin przecisnął się przez otwór i zniknął w środku.

Płyta opadła na miejsce i zasłoniła wejście, a ja ruszyłem jego śladem i podszedłem do zwalonego płotu. Tylko co teraz? Pamiętałem nóż w ręce Grankina i wiedziałem, że ten człowiek jest niebezpieczny. Zresztą wystarczyło przyjrzeć się jego twarzy. Odchyłę płytę, odsłonię wejście i co dalej? Nie znałem rozkładu pomieszczeń i nie miałem pojęcia, co może mnie czekać w środku.

Ale jeśli tamtej nocy to on był kierowcą? Jeśli czekał w samochodzie pod Searle House, wiedząc, co się dzieje w mieszkaniu? Czy mogę się wycofać, mając na wyciągnięcie ręki człowieka współodpowiedzialnego za tamtą masakrę? Czy wolno mi odejść, zostawiając tę rodzinę bez odpowiedzi? Zostawiając Healy'ego?

Spiąłem się w sobie, przedostałem się do domu i odchyliłem płytę. Wewnątrz panowały niemal kompletne ciemności. W oddali coś błyskało, jakby płomyk świeczki, ale było zbyt daleko ode mnie, by cokolwiek oświetlać. Stałem bez ruchu, przyzwyczajając wzrok do panujących ciemności. A potem usłyszałem ciche skrzypnięcie deski podłogowej.

Grankin był na piętrze.

Wcisnąłem się do środka, zamknąłem za sobą płytę i jeszcze chwilę odczekałem. Moje oczy na tyle już przywykły do ciemności, że wiedziałem, że widziane wcześniej błyski światła rzeczywiście pochodziły od świecy. Paliła się w sąsiednim pomieszczeniu, rozświetlając też nieco to, w którym się znajdowałem. Kiedyś znajdowała się tu kuchnia, ale mebli od dawna już nie było, a z urządzeń kuchennych zostały tylko nadtopione i pokrzywione blachy oraz pręty. Na zachowanym fragmencie blatu stał zapas puszek z owocami i konserwami, w pomieszczeniu śmierdziało spalenizną, ale także kurzem i pleśnią.

Wyszedłem do wąskiego korytarzyka.

Po prawej miałem łazienkę, równie zrujnowaną jak kuchnia, po lewej schody z połamanymi i brakującymi stopniami prowadziły na górę. Za łazienką było wejście do zupełnie ogołoczonej jadalni, w której leżał tylko brudny materac piankowy i śpiwór. Za łukowatym przejściem rozciągał się pokój dzienny ze stołem i wsuniętym pod niego krzesłem. Na końcu stołu leżała sterta papierów i stał świecznik z trzema świecami, z których jedna się paliła, a dwie były już tylko niemal do końca wypalonymi ogryzkami.

Z góry znów dobiegł jakiś hałas.

Skrzypnęła kolejna deska.

Grankin widać chodził po piętrze.

Wróciłem do kuchni i rozejrzałem się za czymś, co mogłoby mi posłużyć do obrony. Wśród konserw leżały otwieracz do puszek, widelec, łyżka i ząbkowany nóż do chleba. Chwyciłem nóż i zawróciłem do wejścia na schody.

Popatrzyłem w górę, nasłuchując.

Cisza, ani śladu Grankina.

W głowie rozdzwonił mi się alarm, ostrzegając, że nie wiem, co mnie czeka na górze, ale było za późno, by mnie powstrzymać. Ruszyłem po uginających się pod moim ciężarem stopniach, by stwierdzić, że zniszczenia na górze są jeszcze większe. Ściany były okopcone, nadpalona farba odłaziła całymi płatami, spod których wyzierała goła płyta gipsowa. Wypalone wnętrza zdawało się tłumić wszelkie odgłosy i dopiero po dotarciu na szczyt schodów zauważyłem, że na górze pali się kolejna świeca – w ostatnim pokoju po lewej,

który zapewne służył Grankinowi za sypialnię. Z korytarza prowadziło troje drzwi: dalsze do pokoju ze świecą, bliższe do drugiej sypialni, a trzecie, na wprost mnie, do łazienki.

Znieruchomiałem i zacząłem nasłuchiwać, wpatrzony w oświetloną sypialnię. Pod naporem gwałtownego podmuchu wiatru cały dom aż zajęczał i podłoga znów skrzypnęła; dopiero po chwili wszystko ucichło. I wtedy uzmysłowiłem sobie, że poza szumem wiatru słyszeć coś jeszcze.

Pojękiwanie.

Uchwyciłem mocniej rękojeść noża, upewniłem się, że w łazience nikogo nie ma, i podszedłem do drzwi bliższej sypialni. Po ciemku trudno się było zorientować w jej rozmiarach, o funkcji tego pomieszczenia świadczyła tylko poczerniała od ognia metalowa konstrukcja łóżka, stojąca pod jedną ze ścian.

Nikogo tam nie było.

Spojrzałem w kierunku dalszej sypialni i zacząłem się skradać z wyciągniętym przed siebie nożem, do końca niepewny, czy naprawdę chcę zobaczyć jej wnętrze. Przez uchylone drzwi dostrzegłem w ciemnościach przykucniętą postać.

Nie, nie przykucniętą.

Skuloną.

Wystawiłem głowę za framugę i dojrzałem więcej szczegółów. Postać miała poszarpane rękawy koszuli, spodnie poplamione krwią.

Związane ręce i zakneblowane usta.

Calvin East.

Jakby wyczuł moją obecność, bo podniósł głowę, popatrzył na mnie oczami wytrzeszczonymi ze strachu i pełnymi łez i zaczął bełkotać coś przez knebel. Rzucił się przy tym na krzesło i jego słowa brzmiały zupełnie niezrozumiale. Przyłożyłem palec do ust, a drugą ręką dałem znak, żeby się uspokoił. A więc to nie Grankina słyszałem na górze.

To był East.

Co znaczyło, że Grankin musi być gdzieś indziej.

Zdążyłem się odwrócić w chwili, gdy docierał do szczytu schodów. Instynktownie machnąłem w jego stronę nożem i wtedy stało się coś

dziwnego. Zamiast się na mnie rzucić, znieruchomiał z twarzą częściowo osłoniętą kapturem opinającym głowę.

Był nieuzbrojony.

Stał, wpatrując się we mnie, a płomień przygasającej świecy połyskiwał w jego oczach niczym światełko na dalekim brzegu. A potem wolno i niezdarnie zaczął luzować węzeł od kaptura.

W końcu mu się udało i kaptur opadł.

Twarz miał wychudzoną i bladą jak maska pośmiertna, oczodoły zapadnięte i ciemne, jakby naszkicowane węglem. Był kompletnie łysy, kości wystającej brody opinała wiotka skóra ze śladami zarostu. Zakasłał jeden raz i drugi i w jego gardle zabulgotało tak, jak gdyby odpluwał potężną porcję flegmy.

– Nie – usłyszałem własny głos. – To niemożliwe.

Kiwnął tylko głową, ale w tym ruchu było wszystko.

Nie przywidziało ci się.

Nie jestem upiorem.

Jestem tu i żyję.

Nie za Grankinem tu przyszedłem. Grankina w ogóle nie było.

Był Healy.

W samotności

5 dni, 11 godzin, 13 minut po

– Jak się pan dziś czuje?

Healy popatrzył na Meredith Blaine. Była ubrana gustowniej niż poprzednio. Granatowa spódniczka. Biała bluzka. Buty na obcasach. Włosy zebrane w kok, złoty naszyjnik z jakimś wisiorkiem, do połowy schowanym za górnym guzikiem bluzki. Pomyślał, że pewnie ma potem jakieś spotkanie. Może będą ją o niego wypytywać. A może do pracy tak się nie ubiera. Może jest z kimś później umówiona.

Ze swoim mężczyzną. Z mężem.

Z kimś z rodziny.

W gabinecie było duszno i gorąco, słońce wdzierało się przez listwy żaluzji płaskimi strumieniami. Poprawił się na kozetce. Był wciąż podłączony do kroplówki, metalowy stojak towarzyszył mu wszędzie niczym stojący na baczność strażnik. Usunięto mu już cewnik, co powitał z ulgą. Miał wprawdzie poważniejsze problemy niż sikanie przez rurkę, ale i tak go to gnębiło. Sprawiało, że czuł się ubezwłasnowolniony.

Blaine też poprawiła się na fotelu. Dziś nie leżały przed nią na biurku kserokopie okładki książki i znalezionych przy nim fotografii. Pewnie tkwiły w którejś z szuflad biurka. W ciągu tych paru minut dowiedziała się o nim więcej niż personel oddziałowy przez cztery dni. Spoglądając na twarze Gail i dziewczynek, Healy od nowa przeżywał każdą spędzoną z nimi chwilę.

– Jak się pan dziś czuje? – powtórzyła Blaine.

Wzruszył ramionami.

Nie chciał być wożony przez pielęgniarkę, nie chciał siedzieć na wózku, nie chciał, by ktokolwiek widział go w takim stanie, nie chciał być poddawany

osądowi. Ale nie miał wyboru. Nogi miał słabe i musiał przejść fizjoterapię i korzystać z różnych przyrządów. Nienawidził tego. Tego, że jest taki słaby. Nawet gdy siedział na wózku, unieruchomiony i bezwolny, ból nie opuszczał jego kości i mięśnie nie przestawały go boleć. Ból fizyczny nie był jednak najgorszy. Najgorsze było oglądanie odbicia w szybach trzeciego piętra, obok których przejeżdżał.

Staruch. Nieudacznik. Pijak.

Nie rób im krzywdy. Nie krzywdź mojej rodziny.

Fantasta.

– Mogę pana jakoś nazwać? – spytała Blaine.

Healy podniósł na nią wzrok.

– Nie chce pan powiedzieć, jak się nazywa, więc może mogę pana nazwać jakoś inaczej. – Otworzyła leżący na biurku notatnik. – Sądzę, że powinien pan mieć jakieś imię.

– Po co?

– Bo inaczej trudno się rozmawia.

Otulił się ciasniej szpitalnym szlafrokiem, sztywnym od krochmalu białym kitem używanym przez tylu pacjentów i bezustannie pranym, tak że rozłaził się w szwach. Pachniał proszkiem do prania i środkami dezynfekcyjnymi.

– To jak mogę na pana mówić?

Malcolm.

Wiedział, że nawet jeśli spróbuje powiedzieć to na głos, to zbitka „col” nie wybrzmi prawidłowo. Mówienie wciąż sprawiało mu trudność i upokarzająco się zacinał. Ale po co miałby mówić? Przecież to nie jego imię.

W ogóle niczyje.

W głębi swojej znękanej duszy znów był Healy, za którym wlokła się historia jego życia: nieudane małżeństwo, śmierć córki, utrata synów. Może za sprawą losu tak się potoczyło. Może tak musiało być i odbicie w szybie nie kłamało. Był naprawdę bezsilny i bezwolny.

Ale czemu wciąż czuł ich obecność? Drobne rączki dziewczynek w jego dłoniach? Zapach perfum Gail? Dlaczego wciąż słyszał prowadzone w mieszkaniu rozmowy, jakby się to działo tu i teraz? Przecież wiedział, że choć ich obecność jest tak namacalna, są tylko wytworem jego wyobraźni,

jego omamów, może nawet czegoś w rodzaju choroby psychicznej. Ale to, co do nich wszystkich czuł...

– Było takie rzeczywiste.

Blaine drgnęła.

– Słucham?

Spojrzał na nią i zamilkł. Skąd mu się to wzięło? Dlaczego się odezwał? Był przecież niewzruszony i twardo stał na ziemi. Taki był całe życie i taki jest nadal. I nagle się odzywa, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Jest chory i ma zamęt w głowie. Może naprawdę traci rozum? A może ta śpiączka jakoś go rozbroiła, pozbawiła mechanizmów obronnych i przemieniła w wydmuszkę?

Pustą i samotną.

– Co było takie rzeczywiste? – spytała.

Spuścił głowę i złożył dłonie na kolanach wnętrzem do góry, jakby zaczynał się modlić.

– Czy ludzie zawsze... – Zamilkł. Nie znosił brzmienia swojego głosu, zacinania się i przekręcania słów. – Ilu tak się zachowuje jak ja?

– Chodzi panu o pacjentów po wybudzeniu ze śpiączki?

Skinął głową.

Przeniosła notatnik z biurka na kolana i zdjęła skuwkę z pióra.

– Bardzo wielu. Oczywiście okoliczności bywają różne. U jednych śpiączka trwa kilka dni, inni mogą latami trwać w uśpieniu, choć długotrwałość takiego stanu nie ma bezpośredniego wpływu na szybkość dochodzenia do siebie po wybudzeniu. – Urwała z piórem zawieszonym nad notatkami. – Każdy człowiek jest inny. Niektórzy pacjenci dochodzą do siebie naprawdę bardzo szybko i powracają do życia niemal niezmienieni. Inni potrzebują długiej fizycznej i umysłowej rekonwalescencji i nigdy w pełni nie wracają do zdrowia.

– A co ze snami? – zapytał.

– W jakim sensie?

Coś pisała, ale po tym pytaniu przestała, odłożyła notes na biurko i przyjrzała się Healy'emu.

– Miał pan sny?

Nie odwzajemnił spojrzenia. Siedział ze wzrokiem wbitym w kąt gabinetu i myślał o ostatnich chwilach w tamtym mieszkaniu, gdy w drzwiach stanął mężczyzna w prochowcu i dziwnej masce. To nie był jeden człowiek, Healy już to teraz rozumiał. Był zarówno blondynem, jak i kierowcą. Miał cechy obu podejrzanych, jakie Healy zdołał zapamiętać, łącznie z ich ubiorem. Dwóch mężczyzn w jednym ciele.

– Co się panu śniło?

Wyprostował się tak gwałtownie, że aż zatrzeszczały mu kości.

– Śniło mi się, że znów mam rodzinę.

– Znów? – powtórzyła Blaine.

– Kiedyś miałem rodzinę – powiedział cicho, patrząc w przestrzeń pustym wzrokiem. – Ale ją utraciłem. Pozwoliłem, by się rozpadła. Dałem się porwać pracy. Temu, co uważałem, że muszę robić, bo jest ważne. A potem któregoś dnia się rozejrzałem i...

– I co?

– Okazało się, że o mnie zapomnieli.

Otarł usta ze śliny. To była jego najdłuższa wypowiedź od trzech miesięcy i aż poczuł drapanie w gardle.

– A więc marzył pan o odzyskaniu rodziny?

– Nie.

Zmarszczyła czoło.

– No to chyba nie bardzo rozumiem.

– Nie szkodzi – mruknął.

Po twarzy Blaine przemknął grymas zawodu, jakby sobie uświadomiła, że szansa na dotarcie do niego wymyka jej się z rąk.

– Wielu pacjentów po śpiączce twierdzi, że podczas uśpienia nic nie czuli – powiedziała, starając się mówić spokojnym tonem. – Okres śpiączki porównują do mrugnięcia okiem. Czytałam o ludziach, którzy zapadli w śpiączkę w Boże Narodzenie i wybudziwszy się po dwóch miesiącach, pytali rodzinę przy łóżku, o której będzie indyk. Ale czytałam też o takich pacjentach, którym majaki zdawały się w pełni rzeczywiste. Niekiedy w takich snach występują prawdziwi lekarze i pielęgniarki, pacjent ma pełną

świadomość tego, kim jest i co się z nim dzieje, tylko nie jest w stanie nawiązać z nimi kontaktu.

Nic nie powiedział.

– Czy tak właśnie wyglądały pańskie sny? – spytała.

– Nie.

– A co się w nich działo?

Nie odpowiedział. Wciąż czuł ich dotyk i zapach szamponu na ich włosach. Miał w ustach smak potraw przyrządzanych przez Gail, odczuwał radość z siedzenia przy ich stole, wychodzenia z dziewczynkami na plac zabaw i układania ich wieczorem do snu. Wystarczyło, że zamknął oczy, i już je widział, jak ze swoimi przytulankami leżą w łózkach pod ściennym malowidłem, które pomógł im stworzyć.

Tyle że nigdy w życiu nic nie namalował ani nie wyszedł z dziewczynkami na plac zabaw. Nigdy niczego nie jadł przy ich stole. Nigdy nie mieszkał w tym mieszkaniu.

Nic dla nich nie znaczył.

Nic nie znaczył dla nikogo.

– Jestem sam – powiedział.

Dwie godziny po wyjściu z gabinetu Blaine wyjechał wózkiem na szpitalny korytarz i oznajmił pielęgniarce w dyżurce, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie miał komórki ani grosza przy duszy, ale i tak podjechał do automatu telefonicznego w holu.

Na półce pod telefonem leżały książki telefoniczne. Sięgnął po jedną z nich, położył sobie na kolanach i zaczął kartkować, aż dotarł do R. Jeszcze chwilę mu zajęło, zanim znalazł numer, którego szukał, potem zdjął słuchawkę, wybrał 0800 Reverse, telefon z książki i podał swoje nazwisko.

Usłyszał dźwięk łączenia i ktoś odebrał.

Automat zadał abonentowi pytanie, czy przyjmuje rozmowę na swój koszt. Och, proszę, pomyślał Healy. Proszę, przyjmij. Proszę, przyjmij.

W słuchawce coś pyknęło.

– Colm, to ty? – odezwał się Tom Ruddy.

– Tom. – Healy westchnął z ulgą. – Tom, dzięki, że przyjąłeś tę rozmowę.

Pomyślał o ich historii i o tym, jak przeniknęła do jego snu. Podczas śpiączki Healy był kimś innym – sobą i jednocześnie nie sobą – a Tom jako jedyny o tym wiedział. We śnie oświadczył Tomowi, że jest kierowcą samochodu dostawczego, on spojrzał na niego ze zdziwieniem, jakby mówił: „No co ty?”.

„Przecież jesteś gliniarzem”.

Obaj nimi byli.

W takiej roli poznali się w prawdziwym życiu.

W 2004 roku Healy uratował życie dziewięcioletniemu synowi Toma, wyciągając go ze stawu podczas dobroczynnej imprezy Metropolitalnej, i w tej chwili ich wzajemne relacje już na zawsze uległy zmianie.

Przemieniły się w coś innego.

Tom, niegdyś jeden z regularnych kompanów Healy’ego od kieliszka, zmienił się z dnia na dzień. Otarcie się syna o śmierć przekształciło jego DNA i sprawiło, że zaczął zupełnie inaczej podchodzić do życia. Przestał pić i spoważniał. Co gorsza, za każdym razem, gdy widział Healy’ego, przed oczami stawał mu tamten dzień nad stawem – moment, gdy jego syn nie dopływa cały i zdrowy do brzegu – i zalewało go poczucie bezgranicznej wdzięczności. Healy już od lat nie miał kontaktu z Tomem, a dokładnie od chwili, gdy go wyrzucono z Metropolitalnej. I prawdę powiedziawszy, nie wyobrażał sobie, żeby kiedykolwiek chciał z nim jeszcze rozmawiać.

Ale dziś się to zmieniło.

– Tom – odezwał się cicho. – Potrzebuję twojej pomocy.

CZEŚĆ CZWARTA

Na usta cisnęło mi się milion pytań.

Ale nawet nie wiedziałem, od czego zacząć.

Healy zrzucił płaszcz, który opadł na podłogę i ułożył się wokół jego nóg jak sflaczały ponton – i uniósł głowę. Zobaczyłem jego pobladłą, pozbawioną wyrazu twarz; skierował wzrok ponad moim ramieniem, ku pomieszczeniu, w którym siedział związany i zakneblowany Calvin East.

– Poszedłem do niego, bo szukałem jego laptopa lub peceta – powiedział takim tonem, jakbyśmy rozmawiali godzinę temu. Jakby od mojego rzucenia słuchawką nie minęło dziesięć miesięcy. Jakby nie powinien być trupem. – Miał przy sobie telefon, więc znałem numery ludzi, którzy do niego dzwonili. Ale nie wysyłał żadnych maili ani nie korzystał z internetu. Kto w dzisiejszych czasach nie mailuje ani nie zagląda do internetu? To znaczyło tylko tyle, że musiał regularnie czyścić pamięć. Czyli coś ukrywał. – Oderwał spojrzenie od Easta i przeniósł je na mnie. – Jeśli ma laptopa, to musi trzymać go w pracy.

Wpatrywałem się w niego i obraz z wolna nabierał ostrości. To naprawdę on. Healy naprawdę tam stoi.

Żyje.

– Ja tylko... – Przerwałem. – Healy, ja tylko...

Znów uderzyła mnie zmiana w jego wyglądzie. Z trudem byłem w stanie pogodzić się z tym, że człowiek, którego znałem, i ten stojący przede mną to jedna i ta sama osoba. Poznałem go jako zwalistego faceta z wydatnym brzuchem, na którym koszule ledwo się dopinały, z podwójnym podbródkiem i gęstą rudą czupryną, którą musiał żelować, żeby mu nie wpadała do oczu. Teraz sweter wisiał na nim jak fartuch, a przez cienką skórę na jego wychudzonej szyi widać było wątle mięśnie i chrząstki. Pochylił się i oparł

ręce na kolanach, a ja dojrzałem błyski światła na jego pozbawionej włosów czaszce, na której była tylko pomarszczona i zbyt luźna skóra.

– Nie byłem pewny, czy zrozumiesz – odezwał się.

– Czy co zrozumieć? Że wciąż żyjesz?

– Nie, nie to.

– A co?

Zrobił krok do przodu i pokonał ostatni stopień schodów.

Ale nic nie powiedział.

– Co mam zrozumieć, Healy? Czy masz pojęcie, na co przez ostatni miesiąc naraziłeś swoją rodzinę? Wczoraj cię pochowali. Gdyby nie Gemma...

– Lepiej im będzie beze mnie.

Mówił cichym głosem, który tak jakoś skwierczał, jak tłuszcz na patelni. Gardło miał zatkane flegmą, ale gdy próbował odkaszlnąć, całe ciało skręcał spazm bólu. Jego widok budził we mnie skrajne emocje, jednak mimo złości, jaką czułem do niego za oszukanie mnie i za wstrętne potraktowanie rodziny – i to bez względu na motywy, jakie nim kierowały – nie umiałem rzucić mu się do gardła. Jakaś część mnie była szczerze uradowana tym, że widzę go przed sobą żywego, ale było coś jeszcze. Nie mogłem się rzucić na kogoś w takim stanie. Widać było, że jest ciężko chory, i ta choroba chroniła go jak kokon.

– Jak to w ogóle możliwe? – wydusiłem z siebie.

Przez dłuższą chwilę nie spuszczał ze mnie wzroku, potem cicho powiedział:

– Znam takiego jednego, nazywa się Tom Ruddy.

Przerwał i nie wyglądało na to, że zamierza coś dodać.

– Healy? – ponagliłem go.

– Jego brat był gliniarzem, z którym kiedyś pracowałem. Brat żłopał jak smok, ale Tom był od niego lepszy. Spotykaliśmy się na pijackich balangach i Tom regularnie spijał wszystkich do nieprzytomności. Leżeliśmy pokotem pod stołem, a on przenosił się na drugi koniec pubu, wciąż trzeźwy jak świnia, i wsadzał jakiejś babie łapę pod bluzkę. Nie pamiętam, żebyśmy dopuszczali obcych do naszych policyjnych balang, ale Tom był wyjątkiem. Pasował do nas.

– No i co? – Nie bardzo widziałem związek. – I co z tego?

– Spytałeś, jak to możliwe.

– A ty mi opowiadasz jakieś dyrdymały...

– W dwa tysiące czwartym – przerwał mi – byliśmy razem na imprezie dobroczynnej zorganizowanej przez Metropolitalną na Hampstead Heath i syn Toma polazł do jednego ze stawów. Byłem urżnięty i poszedłem w krzaki się odlać. Wracając, zauważyłem, jak miota się w wodzie. Nie wiem, jakim cudem tak bardzo oddalił się od reszty, w każdym razie jego matki nie było w pobliżu, a Tom właśnie żłopał dziesiąte piwo i nie zwrócił uwagi, że syna nie ma z resztą dzieciaków. No więc wskoczyłem do wody, dopłynąłem do niego, chwyciłem za kark i odholowałem do brzegu. Nic mu się nie stało. – Zamilkł na chwilę i z głośnym świstem zaczerpnął powietrza. – Ale Tom zmienił się po tym nie do poznania. Znaczący przeżył nawrócenie jak na drodze do Damaszku. Przestał pić i uganiać się za spódniczkami, skupił się na swojej pracy, zaczął poświęcać cały czas wolny rodzinie. No i bardzo dobrze. Niektórych chłopaków to wkurzało, ale mnie nie. Mnie wkurzało to, że zaczął się tak strasznie do mnie kleić. Wciąż wracał do tego, co dla niego zrobiłem, i bez przerwy zapewniał mnie o swojej wdzięczności. W każdej naszej rozmowie musiał wrócić do tego dnia i przypomnieć, ile mi zawdzięcza. „Jestem twoim dłużnikiem, jestem twoim dłużnikiem, jestem twoim dłużnikiem”, powtarzał jak katarynka. I tak się to ciągnęło przez trzy lata, aż w końcu w dwa tysiące siódmym pojechaliśmy do Dublina na wieczór kawalerski jego brata.

Popatrzył na mnie i odchrząknął.

– Pewnie pamiętasz taki mój T-shirt – powiedział.

Pokiwałem głową. CHŁOPCY W TRASIE – DUBLIN 07.

– No więc jesteśmy w Dublinie, popijamy, a on znów zaczyna. Wkurwiłem się, trochę mnie poniosło i warknąłem: „Przestań mi, kurwa, dziękować! Już to słyszałem! Może byś chlapnął sobie piwo, poderwał jakąś dupę i zerznął, i wreszcie dał mi spokój”. Zachowałem się dość po chamsku, bo go upokorzyłem. W ten sposób unieważniłem tę drobną przysługę, ten jeden dobry uczynek, jaki zdarzyło mi się zrobić.

Zapadła cisza.

Patrzenie na Healy'ego i słuchanie jego słów na chwilę mnie rozkojarzyło, zaraz jednak wróciłem do rzeczywistości i pomyślałem o obecności Easta w sąsiednim pokoju.

– Co zamierzasz z nim zrobić? – spytałem.

– Tom pracował w...

– Healy! Co zamierzasz zrobić z Eastem?

– Chcesz wysłuchać do końca czy nie? – Spojrzał na owinięty wokół nóg płaszcz i przesunął się w bok. Widać było, że jego lewa noga nie jest w pełni sprawna. – Od tamtej pory przez parę lat nie zamieniłem z Tomem ani słowa. Aż do chwili kilka miesięcy temu. Po wybudzeniu się ze śpiączki... – Zamilkł i łypnął w moją stronę załzawionym okiem, a twarz wykrzywił mu grymas bólu. – Bo zapadłem w śpiączkę – wyjaśnił. – Nie wiem, jak dużo o mnie wiesz, ale siedemdziesiąt cztery dni przeleżałem w śpiączce. Kiedy się w końcu obudziłem, moje życie...

Potrząsnął głową, jakby nie umiał znaleźć słów, i dopiero po dłuższej chwili się odezwał.

– Zadzwoń do Toma.

– Po co?

– Na początku sam nie bardzo wiedziałem. Zdawałem sobie jednak sprawę z tego, że prędzej czy później będzie mi potrzebny. Musiałem go przeprosić, naprawić nasze relacje.

– Po co, Healy?

Zamilkł i nerwowo potarł palcami. Jego organizm domagał się papierosa, a ja przypominałem sobie nasze spotkanie w barze motelowym sprzed wielu miesięcy, kiedy wykonywał dokładnie takie same ruchy.

– Już przed zamknięciem własnego laboratorium kryminalistyki Metropolitanna zlecała wiele prac firmom prywatnym. Podczas mojego śledztwa w sprawie zabójstw w Southwark korzystaliśmy z usług laboratorium w Harlow i drugiego kawałek dalej, w Staines. Wszystkie zabójstwa trafiały do Harlow, pozostałe sprawy do Staines.

Od razu wyczułem, do czego zmierza.

Healy dostrzegł to i pokiwał głową.

- Tom był szefem laboratorium w Staines. Gdy znalazłeś te zwłoki w Highdale, dopilnował, żeby policja uwierzyła, że to ja.

Stałem oniemiały.

– Tom nie był technikiem, tylko zwykłym gryzipiórkiem – powiedział Healy głosem, który po raz pierwszy zabrzmiał głośno i wyraźnie. Widać poświęcił tej sprawie mnóstwo czasu i skrupulatnie wszystko przemyślał. – Ale i tak kierował całą sprawą i każde zlecenie przechodziło przez niego. Chodziło o to, żeby ktoś panował nad wszystkim, a jakość usług odpowiadała standardom. Dopóki tak było, firma mogła liczyć na intratne zamówienia państwowe.

– To kim był ten, którego tam znalazłem?

– W Highdale? – Jego wełniany sweter był wystrzępiony na brzegach i palce Healy’ego zaczęły gmerać przy luźnych oczkach. – Czytałem w gazetach o tym, jak znalazłeś ciało. Nie spodziewałem się, że akurat ty je znajdziesz, ale ta książka była przeznaczona dla ciebie. Osobiście dla ciebie. Podrzuciłem ją tam, bo liczyłem, że jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, książka, fotografie, T-shirt i stary blaszany kubek zostaną zwrócone Gemmie, a od niej trafią do ciebie. Miałem nadzieję, że przeczytasz książkę i zainteresujesz się moim. Było mi najzupełniej obojętne, czy poświęcisz choć sekundę na dociekanie, dlaczego się zabiłem, ale zależało mi na pomszczeniu tych dziewczynek. Obiecałeś przecież, że mi pomożesz. – Zapatrzył się w jakiś punkt nad moją głową, a jego palce przestały skubać nitki swetra. – Ta rodzina to jedyne, na czym mi zależy.

– Czyje to były zwłoki, Healy?

Zerknął na mnie.

– Miał na imię Stevie.

– Kim był?

– Po moim wyjściu ze szpitala... – Przerwał. – Działy się tam różne rzeczy.

– Co na przykład?

Najwyraźniej opacznie zinterpretował moją minę, bo twarz wykrzywił mu grymas złości i przez chwilę miałem przed sobą dawnego Healy'ego.

– Nic nie rozumiesz – prychnął. – Uciekłem stamtąd pięć dni po wybudzeniu ze śpiączki. Byłem w tragicznym stanie. Zaledwie dzień wcześniej usunęli mi cewnik. Nie mogłem chodzić, z trudem budowałem najprostsze zdania. Znalazłem norę, położyłem się i czekałem na śmierć. Leżałem w smrodzie szczyń i gówna i błagałem los, żeby to się wreszcie skończyło. Błagałem, rozumiesz? Możesz to sobie wyobrazić, Raker? Możesz? Bo to nie to samo co dostać nożem. Leżenie w śpiączce pozbawiło mnie instynktu przetrwania. Pozbawiło mnie wszystkiego. Po prostu nie chciało mi się już żyć.

– Dobrze, już dobrze. – Uniosłem rękę. – Rozumiem.

Wpatrywał się we mnie, z wolna się uspokajając.

Nie pamiętałem, by kiedykolwiek tak przy mnie wybuchł. Parę razy puściły mu nerwy, ale za każdym razem – na przykład po śmierci Leanne czy kiedy go wyrzucili z jedynej pracy, którą kochał – widziałem, jak stara się zapanować nad sobą i nie poddać rozpacz. Okazywanie uczuć było dla niego oznaką słabości.

Ale nie tym razem.

– Powiedz mi, kim był ten Stevie – poprosiłem.

Jeszcze przez chwilę dochodził do siebie.

– Leżałem tam – zaczął w końcu tak cicho, że prawie go nie usłyszałem – dni przechodziły w tygodnie, a tygodnie w miesiące. Nie wiem, kiedy Stevie się tu zjawiał, może w lipcu, może w sierpniu, ale w każdym razie położył się w tym samym pokoju na dole, obok mnie. Z początku prawie nie rozmawialiśmy, ale czułem, że to pokrewna dusza.

– Ale skończyłeś przecież w Highdale, nie?

– Do Highdale przeniosłem się pod sam koniec, zanim Stevie... – Pociągnął nosem. – Highdale jest w Southwark, więc wiedziałem, że kiedy znajdą ciało, to sprawa trafi do laboratorium Toma.

– Jak Stevie umarł?

Healy zamyślił się.

– Healy?

– Po pewnym czasie poprosił, żebym pomógł mu z sobą skończyć.

– Zabiłeś go?

– Powiedział, że boi się to zrobić sam. – Healy zamilkł i spuścił wzrok. – Wiele razy próbowałem go od tego odwieść, ale on nie przestawał mnie błagać. Miał tego dość. Był wykończony. Chciał tylko, żeby ktoś mu włożył do ust tabletki. Niczego innego nie chciał. Mówił, że sam nie jest w stanie tego zrobić. W pewnej chwili zacząłem rozważać to na poważnie i gdy w końcu wyraziłem zgodę, pomyślałem, że po wszystkim on będzie mógł pomóc mnie.

Pokręciłem głową.

– Czy ty masz pojęcie, co ty do mnie mówisz?

– Wiem, co zrobiłem.

– Na pewno?

– Wiem, co zrobiłem – powtórzył.

– Zabiłeś go i wykorzystałeś do swoich celów.

– Pomogłem mu.

– Podalesz mu truciznę.

– I co? Co z tego? Tobie się zdaje, że pomaganie komuś w rozstaniu się z życiem jest do przyjęcia tylko wtedy, gdy ten ktoś jest śmiertelnie chory fizycznie. On i tak już nie żył. Dla niego sprawa była skończona. Nie masz pojęcia, co się wtedy czuje. Myślisz, że zrobiłbym to, gdyby nie błagał na klęczkach, nie płakał dzień w dzień?

– A co z jego rodziną?

– A co ma być?

– Zasłużyli na to, żeby mieć szansę...

– Zasłużyli? Nadal nic nie rozumiesz, co? Nie miał nikogo. Był dosłownie sam jak palec. *Różniło nas tylko to, tylko dlatego nie sięgnąłem po tabletki, że miałem jeszcze coś do załatwienia.* Czy zasłużyli? Co to słowo w ogóle znaczy? To czysta fikcja. Nikt nie dostaje tego, na co zasługuje. Myślisz, że rodzina Clark zasłużyła na to, co ją spotkało? Myślisz, że Stevie zasłużył na to, by tkwić w tej zaszczurzonej norze i błagać, żebym z nim skończył? Myślisz, że ja na to zasłużyłem?

Patrzyłem na jego wątle, wymizerowane ciało i trudno było mu nie współczuć. Uspokoił się, ale nadal ciężko oddychał.

– Zadzwoń do Toma po raz drugi i powiedz, że chcę odebrać swój dług. Tak jak się spodziewałem, bez zastanowienia odmówił. Przypomniałem mu, że od lat powtarza, że jest moim dłużnikiem, ale on się zaparł. „Nie to miałem na myśli”, powtarzał. Mówił, że to nielegalne i niegodne. Więc mu zagroziłem. Powiedziałem, że zadzwonię do jego żony i opowiem o wszystkich, które rznął za jej plecami. Miałem pięcio-, sześć-, siedmioletni zapas bab, który mogłem wykorzystać. Niektóre z nich znałem osobiście i mógłbym podać nazwiska, daty i różne szczegóły. Zagroziłem, że zrujnuję też jego życie zawodowe. Zadzwoń anonimowo do władz i doniosę o nieprawidłowościach w jego laboratorium. O braku nadzoru. O naciąganiu dowodów. Tak że już nigdy nie dostanie państwowego zlecenia i pójdzie z torbami. Oświadczyłem, że albo zrobi to dla mnie, albo jednym telefonem zniszczę mu życie. – Przerwał i widać było, że ma wyrzuty sumienia. – W końcu się zgodził, a Stevie i ja przenieśliśmy się do Highdale.

– Jak ty będziesz w stanie z tego wybrnąć?

– Wybrnąć?

– Wrócić do normalnego życia. Przecież nie żyjesz.

Obrzucił mnie spojrzeniem, z którego wyczytałem to, co powiedział chwilę wcześniej. Różniło nas tylko to, tylko dlatego nie sięgnąłem po tabletki, że miałem jeszcze coś do załatwienia. I wtedy zrozumiałem: kiedy już to załatwi, też ze sobą skończy.

– A co z chłopcami? – spytałem.

– Stevie opowiedział mi swoją historię...

– Healy, co z twoimi synami?

– Opowiedział mi swoją historię – powtórzył z naciskiem Healy, wlepiając we mnie wzrok. – Opowiedział, jak wiele lat temu kradł pieluszki, pudełka calpolu, nasączane gaziki i inne drobiazgi, wszystko w aptece w Dalston. Dopadł go wtedy niejaki posterunkowy Blake. Blake miał dwadzieścia kilka lat, był kawalerem i nie miał pojęcia, ile calpolu trzeba na jedno dziecko ani ile razy dziennie zmienia się pieluszki. Nie przyszło mu też do głowy, żeby spytać Stewiego, ile ma dzieci i dlaczego kradnie. Po prostu zaczął się w aptece, przyłapał Stewiego na gorącym uczynku i zatrzasnął mu na rękach kajdanki. Zabrał go na komisariat i przesłuchał, po czym prawidłowo ocenił,

że wartość skradzionych towarów sięga kilkuset funtów. Zajmowanie się takimi sprawami to tylko strata czasu i energii dla wszystkich. Więc Blake zadzwonił do aptekarki i przekonał ją, żeby wycofała skargę.

Słysząc było uderzające o dach krople deszczu i zawroźenie wiatru.

– Jakiś rok później Stevie idzie do innej apteki i robi dokładnie to samo: kradnie całe pudła calpolu, gazików i pieluszek i wieje. Blake dowiaduje się o kradzieży od kolegów z komisariatu, przejmuje sprawę i jedzie do apteki. Sprawdza nagranie z monitoringu i widzi, że to znowu Stevie. Jedyne, co różni obie sprawy, to to, że Blake zdążył się ożenić, ma teraz małe dziecko i wie wszystko o calpolu, cenie pieluszek i różnych takich. Jedzie więc do domu Steviego, aresztuje go, przywozi na komisariat i mówi: „Dlaczego, do diabła, musiałeś kraść aż tyle, Stevie? Dlaczego nie mogłeś podkradać po trochu? W jednym miejscu butelkę calpolu, w innym parę pieluszek, nikt by nie zauważył. Bo to się wtedy nie rzuca w oczy. Gdybyś tak zrobił, twoje dzieciaki nie musiałyby z tobą gadać przez szybę z pleksiglasu w jakimś pierdłu”. Stevie pojął, że Blake’a wcale nie martwi to, że kradnie. Martwił się tylko losem jego dzieci. I wtedy Stevie postanowił powiedzieć mu prawdę.

Healy zwrócił się do mnie twarzą, ale jej rysy rozmyły się w mdłym, żółtawym świetle.

– Jego żona i dzieciak zginęli w pożarze domu jakieś dziesięć lat wcześniej. Od lat oboje nie żyli. – Przysunął się bliżej i wzruszył ramionami. – Blake’a oczywiście to zatkało i pyta: „To po cholere kradniesz?”, a Stevie patrzy na niego i mówi: „Bo gdy umarli moja żona i synek, to skończyło się całe moje życie, więc czasami, chociaż wiem, że źle robię, boli mnie to tak bardzo, że nie chcę, by inni mieli normalne życie”.

I w tym momencie zrozumiałem coś jeszcze.

Healy nie był tylko zwyczajnie chory.

Był też w żałobie.

– Córkę mi zamordowano, dwaj synowie mną gardzą, żona czuje do mnie odrazę... ale ja przez siedemdziesiąt cztery dni znów miałem rodzinę. Obie dziewczynki były moje, Gail była moja, całe to życie było moje. Oddychałem tym samym powietrzem co one. Czulem zapach szamponu na ich włosach. Czulem dotyk warg Gail na moich wargach. Byłem z nimi w tym mieszkaniu

i układałem dziewczynki do snu. I gdy mi mówiły, że mnie kochają... – Głos mu się załamał, oczy wypełniły się łzami. – To ja to czułem... Czułem to.

Śnił o nich wszystkich.

Nagle przypomniałem sobie słowa, jakie napisał w liście do Gemmy: *Bo znów miałem szansę i znów ją zaprzepaściłem, jak kiedyś.*

Pisząc to, miał na myśli Gail, April i Abigail.

Ruszyłem ku niemu, nie bardzo wiedząc, co chcę zrobić, on jednak cofnął się z jedną ręką wyciągniętą przed siebie, drugą obcierając łzy.

– Healy...

– Steviemu nic już nie zostało – powiedział łamiącym się głosem. – Ale mnie tak. Jest jeszcze ostatnia rzecz, którą muszę zrobić. – Znów przerwał i przez dłuższą chwilę milczał. – Nie żyję, więc policja nie będzie mnie szukać. No bo jakim cudem? Nie istnieję, jestem duchem. Jestem tylko nazwiskiem wyrytym na kawałku granitu. Więc powiem ci, co zamierzam. Znajdę wszystkich, którzy byli tam tamtej nocy i mieli cokolwiek wspólnego z tym, co spotkało tę rodzinę...

– Healy...

– Znajdę ich i pozabijam. – Zebrał się w sobie i przetarł policzek rękawem. – A zacznę od tego gnoja w tamtym pokoju.

Healy ruszył w stronę pokoju, w którym siedział East, ale gdy chciał mnie wyminąć, chwyciłem go za ramię i przytrzymałem. Pod palcami poczułem jego kości i wiotkość opinającej je skóry.

– Zaczekaj – rzuciłem.

– Zabierz tę łapę – burknął, marszcząc brwi.

– Uspokój się – powiedziałem cicho. – Nie sądzisz, że zanim się na niego rzucisz, byłoby dobrze porównać nasze ustalenia? Powiem ci, co wiem, ty mi powiesz, co ty wiesz. Jeśli chcesz nakłonić Easta do mówienia, będzie dużo łatwiej, jeżeli zagramy w jednej drużynie.

Łyknął moje słowa i zaczął je trawić.

Ostrożnie puściłem jego ramię, a on się nie ruszył. W końcu niechętnie kiwnął głową – na nic więcej nie mogłem liczyć – i machnął ręką w stronę drugiej sypialni. Podążyłem za nim, czując, jak podłoga ugina się pod moim ciężarem. Przemknęła mi przez głowę alarmująca myśl, że całość może się zawalić, ale Healy poruszał się tak pewnie, jakby znał to miejsce na wylot. Nie pozostało mi nic innego, jak iść za nim.

– Te domy stoją opuszczone od lat – wyjaśnił. – Pamiętam, jak parę miesięcy po pożarze ekipa dochodzeniowa znalazła w jednym z nich zwłoki jakiegoś bezdomnego. Miał jedno oko wydłubane nożem. Od tamtej pory włóczędzy trzymają się z daleka, bo chyba wierzą w złe siły. Stąd wiedziałem, że nie będzie tu nikogo. – Rozejrzał się po mrocznym pomieszczeniu. – Nigdy nie pytałem Steviego, skąd pochodzi. Nie rozmawialiśmy o takich rzeczach. Ale na pewno nie był stąd. Gdyby był, zachowałby się jak wszyscy inni i bałby się tego miejsca. Niektórzy myślą, że tu straszy.

Podszedł do ramy łóżka i przysiadł na niej. Zgarbiony i wychudzony, wyglądał jak stare, zasuszone ptaszysko. Był połową mężczyzny, którego

niegdyś znałem.

– Czasem mi się zdaje, że tu naprawdę są duchy – powiedział.

Wyjął kieszonkową latarkę, poświecił na prawo ode mnie i wydobył z mroku dwie popękane płyty gipsowe. Obie były tak gęsto pokryte rysunkami szarych masek, że niektóre z nich zachodziły na siebie. Jedne zawierały więcej szczegółów, inne zostały tylko naszkicowane, jedne narysowano ołówkiem, inne długopisem. Wszystkie były odmianami typowej maski balowej, miały otwory na oczy, dziurki na wysokości nosa i szczelnie zamknięte usta. Wszystkie rysunki były wypełnione szarą kredą. Te najbardziej szczegółowe miały wyraźną ryse z lewej strony.

– Ty je narysowałeś? – spytałem.

Kiwnął głową.

– Po co?

Milczał, błędząc wzrokiem po ścianie.

– W styczniu po naszej rozmowie... – zaczął i zawiesił głos na znak, że żałuje, że do tamtej rozmowy w ogóle doszło. – Po wyniesieniu się z tego motelu w Kew trafiłem do noclegowni przy New Kent Road. Tam spałem, ale dni spędzałem pod Searle House. Ludziom z noclegowni mówiłem, że jadę szukać pracy, ale tak naprawdę jechałem do New Cross i godzinami przesiadywałem pod blokiem. Trwało to parę tygodni i stało się moim codziennym rytuałem. I wtedy po raz pierwszy go zobaczyłem.

– Kogo?

Wskazał ręką drugą sypialnię.

– Tego typu Easta.

Przerwał i poklepał się po piersi w okolicach kieszeni, w której kiedyś trzymał papierosy, tyle że teraz nie miał ani kieszeni, ani papierosów. Został mu tylko odruch, pamiątka po dawnym życiu.

– Było to pierwszego lutego – podjął opowieść. – Wiesz, jakie ta data ma znaczenie? To dzień urodzin Gail. Przyjechał z drugiego końca miasta, stanął na placu zabaw i zaczął się gapić na siedemnaste piętro bloku. Stał tak ze dwadzieścia minut, może dłużej. A potem wetknął w ziemię trzy kartonowe krzyże. – Healy przeciągnął dłonią po szpeciniastym zaroście i wysuszona

skóra twarzy aż zachrzęściła. – Trzy dni później znów tam wrócił i stanął dokładnie w tym samym miejscu.

– I od tego momentu zacząłeś go śledzić.

– Mhm. Poszedłem za nim, zorientowałem się, że pracuje w muzeum, więc zmieniłem swój rytuał i przenieśliem się tam. Znów spędzałem całe godziny na obserwacji, ale nie robiłem nic więcej. Widziałem, jak przyjeżdża do pracy, potem śledziłem go w drodze powrotnej do domu. Wtedy, a musiał to być koniec lutego, nie wiedziałem jeszcze, do czego mnie to doprowadzi. Wiedziałem tylko, że muszę wyjaśnić, jaką w tym wszystkim East odgrywa rolę. Bo te kartonowe krzyże... – Pokręcił głową i odchrząknął. – Rozmiękły na deszczu i po jednym dniu się rozlały, ja już jednak zaczynałem podejrzewać, że to było zamierzone. Że nie chciał, by ktoś zwrócił na nie uwagę.

Wszystko zaczynało układać się w logiczną całość. Zapomoga dla bezrobotnych skończyła mu się mniej więcej w tym samym czasie, bo przestał szukać pracy. Przestało mu zależeć na jej znalezieniu, zresztą od początku mu na tym nie zależało. Zbyt zaangażował się w śledzenie Easta.

Przerwał, bo dopadł go atak zaflegmionego kaszlu, po czym spojrzał na mnie z wyrazem takiej rezygnacji na twarzy, jakiej nigdy wcześniej u niego nie widziałem.

– Pieniądze od ciebie starczyły mi do drugiego tygodnia lutego – powiedział chrapliwym głosem. – Udało mi się przeżyć na nich miesiąc, czyli miesiąc dłużej, niż myślałem. Ale potem się skończyły i zrobiło się naprawdę krucho. Przestałem chodzić do urzędu, więc wiedziałem, że moja zapomoga też się zaraz skończy. A jak się skończyła, nie miałem już ani grosza na benzynę, na ubranie, na jedzenie, nawet na opłacenie łóżka w noclegowni. – Zamilkł i na jego twarzy pojawił się grymas bólu, ale nie dlatego, że go coś zabolalo. Nie w tym momencie. – I wtedy napadłem na sklepik w Poplar. Należał do starego Hindusa. Upewniłem się, że w środku nie ma żadnych kamer, i go obrobiłem...

Przerwał i na dobre zamilkł. Głośno przełknął ślinę, zmarszczył czoło i poprawił się na łóżku, a ja pomyślałem, że wygląda teraz jeszcze bardziej żałośnie.

– Hindus się stawiał i parę dni później przeczytałem, że musieli mu założyć dziesięć szwów na głowie. Zabrałem z kasy dwieście dziewięćdziesiąt funtów

i odwiozłem go do szpitala.

Staralem się nic nie okazywać.

– Co się stało z twoim samochodem?

– Sprzedałem na złom, bez załatwiania formalności. Facet, który go kupił, nie kazał mi wypełniać żadnych papierów, więc samochód zniknął bez śladu. To mi pasowało. Potrzebna mi była tylko forsa.

Skulił się i pochylił, jakby chciał przenieść ciężar ciała na kolana. Chwilę odczekałem.

– A East?

– W głowie miałem tylko te kartonowe krzyże, które wetknął w ziemię. Czułem się tak, jakbym wrócił do Metropolitalnej i na nowo podjął śledztwo. Znowu zawładnęła mną ta sprawa. Zacząłem chodzić do miejscowej biblioteki i czytać o molo w Wapping, o jego historii, o wszystkim.

– I tak natknąłeś się na tę książkę.

– Mhm. Mieli ją na półce, więc ją zwinąłem i siedząc całymi dniami pod muzeum, przeczytałem od deski do deski. East przychodził i wychodził codziennie tak samo, a ja go śledziłem. Napadłem na kolejny sklep i tym razem zgarnąłem prawie czterysta funtów. Z tego kupowałem bilety na metro do Bermondsey i do Wapping, bo chciałem człowieka rozgryźć. Zastanawiałem się, czy go nie dopaść i nie wydusić z niego prawdy siłą, ale bałem się, że spaprzę sprawę, jak za czasów pracy w Metropolitalnej. – Przerwał i przełknął ślinę. – Uświadomiłem sobie, że nigdy nie było żadnego Mala. To był mój Mal i nazywał się East. W końcu natrafiłem na solidny trop. W ciągu wszystkich miesięcy spędzonych nad tą sprawę nie miałem tak dobrego tropu.

Na zewnątrz znowu zaczęło mocniej padać i deszcz zabębnił głośno w dach domu. Z jakiegoś powodu przypomniało mi to spotkanie z Craw nad mokradłami Walthamstow, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o zaginięciu Healy'ego. Od tamtej pory minął zaledwie miesiąc, ale ta rozmowa i cała jej otoczka – upalny październikowy dzień, biegający nad rzeką chłopcy w szortach i dziewczynki w letnich sukienkach i ja próbujący wmówić Craw, że to niemożliwe, by Healy zaginął – wydawały się bardzo odległe.

Obróciłem się do niego twarzą, a on mówił dalej:

– Tego dnia, kiedy miałem atak serca, East wyszedł wcześniej z pracy. To się nigdy przedtem nie zdarzyło. Nigdy. Obserwowałem go już od miesiąca i przez ten czas ani trochę nie zmienił swojej rutyny. Więc poszedłem za nim, ale on, zamiast jak codziennie, pójść pieszo w stronę Tower Bridge, skręcił do metra i pojechał kolejką naziemną do Camden Road.

– Do Hal Stajennych?

Healy skinął głową.

– Po co?

– Wszedł do sklepu z antykami.

– Wiesz do którego?

– Antyki i Osobliwości Graya.

Sięgnąłem po telefon i zajrzałem do maila z listą sklepów i ich właścicieli w halach, którą wysłałem sam do siebie. W połowie listy znalazłem sklep, o którym mówił Healy. „Antyki i Osobliwości Graya. Właściciel: Benjamin Gray”. Przypomniało mi to rozmowę telefoniczną z Ewanem Taskerem o Paulu Kormanie, kliencie Victora Grankina, z którym ten rzekomo spotkał się w noc zabójstwa i który wraz z Calvinem Eastem zapewnił Grankinowi alibi na niedzielny wieczór, jedenastego lipca.

Na policji podał, że nazywa się Paul Benjamin Korman.

Czy Korman i Gray to jedna i ta sama osoba?

– I co się stało po wejściu Easta do sklepu?

– Czekałem i czekałem, ukryty za załomem. Hala zaczynała pustoszeć, East się jednak nie pojawiał. Nie ruszyłem się z miejsca, ale wyglądało na to, że on gdzieś zniknął. Zacząłem panikować. Czyżbym coś przeoczył? Popeliłem jakiś błąd? Wszedłem do sklepu i udając klienta, zacząłem się rozglądać. Za ladą siedział ponury drab i tylko się na mnie gapił.

– To był ten Gray?

– Wtedy nie wiedziałem, kim jest, ale tak jakoś patrzył... – Zawiesił głos, jakby nie umiał ubrać tego w słowa. – I wydał mi się dziwnie znajomy.

Bo Healy go rozpoznał, nie zdając sobie z tego sprawy.

Blondyn z nagrania z monitoringu, pomyślałem i poczułem ciarki na plecach.

– Opisz go.

– Miał głowę ogoloną na zero, ale nie z powodu łysienia. Na czaszce miał ciemny ślad zarostu, gęstego i pokrywającego całą głowę od ucha do ucha, od czoła do karku. Ogolił głowę, bo tak chciał, a nie dlatego, że musiał.

Próbował się w ten sposób ukrywać, pomyślałem.

Pamiętałem te ciemne oczy, zupełnie niepasujące do blond włosów na nagraniu. Zapušcił włosy i ufarbował, żeby zmienić wygląd, po czym zaraz potem się ich pozbył. Zapušcił też brodę, co kompletnie go odmieniło. Wiedział, że nie uniknie kamer monitoringu, więc próbował stać się kimś innym.

– W każdym razie Easta w sklepie nie było – dodał Healy.

– A na pewno tam wszedł?

– Na pewno.

Healy znów się skulił.

– I co było potem?

– Zdarzały mi się bóle w klatce piersiowej. Takie mocne pieczenie. Pojawiły się znacznie wcześniej, na długo przed naszym spotkaniem w styczniu. Nauczyłem się uciskać klatkę palcami i to mi trochę pomagało. Robiłem to odruchowo, nawet o tym nie myśląc. Większość ludzi w ogóle tego nie zauważała, ale tamten tak.

– Ten właściciel sklepu?

Healy ponuro pokiwał głową.

– I nagle w pewnej chwili widzę Easta, który jakby mnie zapraszał, żeby za nim iść. No to poszedłem. Szliśmy przez całą halę, przemykając tymi wszystkimi zaułkami i przejściami, ale on szedł coraz szybciej i szybciej, tak że pod koniec dosłownie musiałem biec, by nie stracić go z oczu. No i wtedy moje serce... Poczulem naprawdę ostry ból, jakby coś mnie przywaliło i zaczęło miażdżyć. – Przełknął ślinę. – Zupełnie już zgubiłem Easta. Byłem wściekły, zacząłem się rozglądać i wtedy ten gość ze sklepu...

– On też za wami poszedł?

– Był tuż za mną. Zorientowałem się, niestety, zbyt późno, że mnie wyprowadzili do nieczynnej części hali. Wokół nie było nikogo.

– Rzucił się na ciebie?

– Walnął mnie pięścią w klatkę piersiową, prosto w serce, i kilka razy poprawił. Zabolało tak, jakbym dostał młotem pneumatycznym. Widocznie musiałem masować sobie klatkę, będąc w sklepie, a on to zauważył, bo wiedział. Wiedział dokładnie gdzie. Poczuję się... poczułem się tak, jakbym wpadł pod samochód. Rzuciło mną o ścianę i runąłem na podłogę, a on zniknął. Próbowałem wstać, ale nie mogłem.

Znów głośno przełknął ślinę.

Pomyślałem o Carli Stourcroft. Trzy i pół roku wcześniej dopadnięto ją w tym samym miejscu i ugodzono nożem pod pozorem napadu rabunkowego. Kilka godzin później zmarła w szpitalu. To też mogła być sprawka Kormana czy Graya, czy jak się tam naprawdę nazywał ten, który użył wtedy noża, albo Grankina. Byłem święcie przekonany, że zrobił to któryś z nich, może nawet obaj. Pytania brzmiały: Dlaczego wobec Healy’ego Korman zastosował inną metodę? Dlaczego jego też nie dźgnął nożem?

Niezależnie od odpowiedzi coś w tym ataku na Healy’ego mnie niepokoiło i nie dawało spokoju. Może nawet bardziej niż to, co zrobiono Stourcroft. Wyłaniał się z tego jeszcze mroczniejszy i groźniejszy Korman. Drapieżca, który jak dzikie zwierzę potrafi dostrzec i wykorzystać słabość swojej ofiary. Nigdy wcześniej nie zetknął się osobiście z Healym, ale wystarczyło, że Healy wszedł do sklepu, by Korman natychmiast wyczuł jego słaby punkt. Sama napaść też była mniej oczywista. Może specjalnie zmienił taktykę. Śmierć Stourcroft musiała narobić dużo szumu i być może policja zaczęła węszyć za blisko jego sklepu. Healy był pięćdziesięciolatkiem z nadwagą, który dużo palił, jeszcze więcej pił, i atak serca nie był niczym nadzwyczajnym.

– Co się działo potem? – spytałem.

– Udało mi się wstać i mimo wszystko próbowałem podjąć pościg. Bo wciąż go jeszcze widziałem. Oglądał się w moją stronę z uśmiechem, jakby mnie prowokował. To mnie rozwścieczyło. Nie byłem w stanie normalnie myśleć, zupełnie straciłem głowę. Ale przeszedłem tylko z pięćdziesiąt metrów, dotarłem do miejsca, gdzie było trochę ludzi, i w oczach mi pociemniało. I zaraz potem straszny ból... – Dotknął palcami piersi. – Nigdy w życiu nie czułem takiego bólu. Miałem wrażenie, że klatkę piersiową rozrywa mi na

kawałki. A on stał w tłumie z tym wrednym uśmieszkiem na twarzy i gapił się, i w tym momencie zrozumiałem.

– Co zrozumiałeś?

– Że to on. Że to ten drań, którego nie mogłem znaleźć. To był on. Zgolił włosy i brodę, naprawił sobie nos, ale nie miałem wątpliwości. To był ten sam typ z nagrania, które tyle razy oglądałem. Nareszcie znalazłem tego, który zrujnował mi całe pieprzone życie. Mogłem tylko leżeć i umierać.

Latarka wypadła mu z ręki i wydobyła z mroku resztki wykładziny na podłodze. Jego twarz zapadła się w sobie, całe ciało się skurczyło. I tylko oczy jak zawsze błyszczały i były czujne.

– A jaki to ma związek? – powiedziałem, wskazując rysunki na ścianie, by zająć jego myśli czymś innym.

– Za czasów pracy w Metropolitalnej miałem takiego jednego pismaka, z którym od czasu do czasu współpracowałem. Ty też miałeś kontakty w Metropolitalnej, więc wiesz, jak to działa. Ten mój w latach dwutysięcznych pisał o sprawach kryminalnych i był częstym gościem w Scotland Yardzie. Zajmował się głośnymi skandalami, układami w policji i tego typu gównami. Parę spraw mu wtedy podrzuciłem na zasadzie przysługa za przysługę. Lubiłem go. Wiedziałem, że mogę na niego liczyć. Trzy tygodnie po zamordowaniu rodziny Clark spotkałem się z nim, bo chciałem przy jego pomocy zarzucić szerszej sieci i spróbować złowić tych dwóch, blondyna i jego kierowcę. Nie bardzo wiedziałem jak, bo nie miałem żadnego konkretnego planu, wiedziałem tylko, że muszę coś zrobić. W trakcie spotkania ujawniłem mu parę szczegółów.

– No i?

– No i pokazałem mu te zdjęcia z kamery monitoringu.

– Kormana?

– Kormana? Tak się naprawdę nazywa? – Przerwał, by przetrwać tę nową informację. – No, jego. Kormana, Graya czy jak mu tam naprawdę jest. Ale pokazałem mu też kierowcę. Tego było jeszcze trudniej zidentyfikować.

– Podejrzewam, że kierowca nazywa się Victor Grankin.

Healy wzruszył ramionami.

– Wierzę ci, bo co innego mi zostało?

– Co masz na myśli?

– To, że pokazałem mu nagranie tych dwóch, a on spojrział i powiedział: „Jakim cudem chcesz ustalić, kto siedział za kierownicą?”. Mówię mu, że właśnie po to się z nim spotykam, ale on tylko kręci głową – Healy zamilkł i wytarł sobie oko rękawem swetra – i mówi: „Przecież nawet nie widać dobrze jego twarzy. Równie dobrze facet może być w masce”.

Facet w masce.

Nagle coś wskoczyło na miejsce i nabrało ostrości. Nie tyle rysunki, którymi Healy pokrył całą ścianę, ile kadry z kamery monitoringu, które tak uporczywie studiowałem.

Kierowca. Ręce na kierownicy, dłonie w czarnych rękawiczkach, profil zwrócony ku wsiadającemu do samochodu Kormanowi.

Kadr został przez techników cyfrowo wyczyszczony, szumy wyeliminowano, ale w miarę powiększania obraz tracił coraz bardziej na ostrości i kontury się rozmywały. Pamiętałem, jak siedząc na tarasie za domem i przyglądając się zdjęciu, zauważyłem włoszek czy inny paproch, który musiał przylgnąć do obiektywu kamery monitoringu i nałożył się na obraz. Na zdjęciu wyglądało to tak, jakby lewa strona twarzy kierowcy była pęknięta, co nadawało jej jeszcze dziwniejszy wygląd: obojętne, niewyrażające emocji rysy, puste, ciemne oczodoły i rozmazane plamy zamiast ust i nosa.

Ale to nie był włoszek ani żaden paproch na obiektywie. To była rysa na masce.

Grankin miał na twarzy maskę.

– Dlaczego Grankin był w masce, a Korman nie? – zapytałem na głos.

– Bo to był numer Grankina.

– Numer?

Healy podniósł palec na znak, że zaraz to wyjaśni.

– Po tygodniu mój pismak dzwoni, ja mu proponuję spotkanie, żeby omówić w szczegółach to, co ma napisać, a on zaczyna mnie przeproszać i mówi, że zaproponowano mu pracę, za którą chodził od miesiąca, więc teraz musi z wszystkiego się wycofać, bo wyjeżdża na Bliski Wschód. Było to

w sierpniu dwa tysiące dziesiątego. No i diabli wzięli mój plan wykorzystania jego, mediów i całej reszty.

Wpatrywałem się w twarz Healy'ego, próbując zgadnąć, do czego to wszystko prowadzi. Ale nic nie przychodziło mi do głowy. Nie wiedziałem, czego się spodziewać.

– A ja nie miałem nikogo innego w mediach – kontynuował, znów skubiąc wystrzępione nitki swetra – i sam wiesz, co było później. – Przerwał i dłuższą chwilę milczał. – Potem, w lutym tego roku, kiedy już od pewnego czasu śledziłem Calvina Easta, natknąłem się na książkę *Kurort w środku miasta*. Nawet przez chwilę się nie zastanawiałem, kim była Carla Stourcroft. W ogóle nie przyszło mi to do głowy. No bo co za różnica, kto to napisał? Liczyło się tylko molo i jego historia. Liczył się Calvin East i jego kartonowe krzyże. Przeczytałem książkę i wiele razy do niej wracałem, próbując dojść, czy coś kojarzy się w niej z Eastem, natomiast o autorce w ogóle nie myślałem.

Tak jak ja. Jej słaba rozpoznawalność i brak sukcesów na rynku literackim spowodowały, że nie zostały po niej prawie żadne ślady w sieci. Znaleziony w papierach Easta wycinek z miejscowej gazety z pośmiertnym wspomnieniem o niej miał oddartą końcówkę, bo w tym fragmencie była mowa o przyczynach jej śmierci. Dopiero gdy zacząłem szukać pod nazwiskiem po mężu, znalazłem coś więcej. To, że w prasie ogólnokrajowej nie wspomniano o jej śmierci, a notatki w prasie lokalnej dotyczyły niemal wyłącznie Carli Stourcroft, a nie Carli Davis, znaczyło, że wyszukiwarki sieciowe nie łączyły nazwiska panińskiego z nazwiskiem mężatki. I dlatego – choć *Niewidzialny Rozpruwacz* odniósł pewien sukces – jej śmierć zasłużyła tylko na kilkudzaniową wzmiankę w gazetach o zasięgu krajowym. Jeden krótki akapit, parę suchych słów. Na myśl o tym zrobiło mi się jej żal i przyrzekłem sobie, że to się więcej nie powtórzy.

Spojrzałem na Healy'ego.

– I co było dalej? – spytałem.

– Dalej był mój atak serca.

– A potem?

– Zacząłem tu koczować, mijały całe tygodnie, miesiące, aż wreszcie się zdecydowałem... – Przerwał i popatrzył na mnie wzrokiem, w którym

dojrzałem ślad skruchy. – Kiedy obiecałem Steviemu, że poważnie rozważę jego prośbę, i kiedy poczułem się trochę silniejszy, zacząłem znów wychodzić na miasto. Chodziłem do miejscowej biblioteki i przeszukiwałem internet. Nie wiedziałem, czego szukam, szukałem czegokolwiek. I wtedy natrafiłem na wzmiankę o niej.

– O Stourcroft?

– O jej śmierci. – Pokiwał głową. – Była tak mało znana, że żadna z wielkich gazet nie poświęciła jej więcej miejsca. Nazwanie przez Metropolitalną zabójstwa „spartaczonym napadem” też było wielkim błędem. Klasycznym przykładem błędnej oceny. To od razu zniechęciło wampiry z Fleet Street do zajmowania się tą sprawą. Bo komu chce się czytać o schrzanej próbie rabunku?

– Ale ty wiesz, że to nie był rabunek.

– Przeczytałem wspomnienie pośmiertne w lokalnej gazecie i z niego się dowiedziałem, że po mężu nazywała się Davis.

Zapewne to samo, które i ja czytałem.

– I dowiedziałeś się też, gdzie to się stało.

– Właśnie. Gdy przeczytałem, gdzie ją napadnięto, od razu zdałem sobie sprawę, że to nie żaden „spartaczony napad”. – Otarł ślinę z kącików ust. – Zginęła w tym samym miejscu, gdzie dopadli mnie. Tysiąc pięćset kilometrów kwadratowych miasta, a nas załatwiają w tym samym miejscu i to miałyby być przypadek? – Pokręcił z niedowierzaniem głową. – Nie, mowy nie ma.

– I co było dalej?

– Zadzwoiłem do jej męża.

– Męża Stourcroft?

Pokiwał głową.

– Znalazłem jego numer i zadzwoniłem, udając, że wciąż pracuję w Metropolitalnej. Powiedziałem mu, że na nowo otwieramy śledztwo i muszę z nim porozmawiać.

Lekko się skrzywił, najwyraźniej na myśl o tym, że okłamał męża Stourcroft i zagrał na jego uczuciach. Ból spowodowany śmiercią żony mógł po czterech latach być mniejszy, ale sam dobrze wiedziałem, że nigdy do

końca nie mija. Nie mogłem jednak oceniać Healy'ego. W tej chwili my też przecież rozgrzebywaliśmy starą sprawę.

– I co on ci powiedział?

– Że nigdy się nie wyjaśniło, kto to zrobił, i że policja podejrzewała, że to sprawka jakiegoś narkomana z Barnsbury, który miesiąc wcześniej w identyczny sposób napadł na inną starszą kobietę. Powiedział też... – Healy zamilkł, a ja widziałem, jak w półmroku błyszczą mu oczy – ...że mniej więcej rok po jej śmierci wystawił dom na sprzedaż. „To były cztery ściany pełne złych wspomnień”, stwierdził. Nie chciał już w tym domu mieszkać. Było w nim za dużo upiórów. Po sześciu miesiącach znalazł się wreszcie kupiec, a on zaczął się szykować do wyprowadzki i opróżniać kolejne pomieszczenia.

– I coś wtedy znalazł? – domyśliłem się, nie odrywając wzroku od Healy'ego.

– Poszedł na strych i znalazł stertę pudeł. Usiadł, zaczął przeglądać zawartość i w jednym z nich trafił na materiały zebrane przez Stourcroft w trakcie pisania *Kurortu w środku miasta*, w tym także notatki zrobione do nowego, poprawionego wydania.

– Co? Jakiego poprawionego wydania?

Healy spojrzał gdzieś za mnie, wpatrując się w ciemności, jakby czegoś szukał.

– Stourcroft planowała napisać nową, poprawioną wersję.

– Chciała poprawić *Kurort w środku miasta*?

Skinął głową.

– Ale ta książka w ogóle się nie sprzedawała – zauważyłem.

– Wiem.

– Chcesz powiedzieć, że po sukcesie *Niewidzialnego Rozpruwacza* jej plan pracy na rok dwa tysiące dziesiąty zakładał powrót do książki, która przepadła bez śladu w roku dwa tysiące drugim? Przecież to kompletnie bez sensu. I co chciała w niej poprawić?

– Zdobyła nowe informacje.

– Mówisz o tych notatkach w pudle?

– Tak. W dwa tysiące ósmym, krótko przed wydaniem *Niewidzialnego Rozpruwacza*, rozmawiała z niejakim Winstonem Cowdreyem, który mieszkał

w pobliżu molo w Wapping. Trafiała do niego dlatego, że w latach pięćdziesiątych mieszkał w zachodnim Londynie, w tym samym domu co Eldon Simmons. Mówi ci coś to nazwisko?

– Niewidzialny Rozpruwacz.

– Zgadza się. Stourcroft odnalazła Cowdreya, by go wypytać, jak się mieszkało w jednym domu ze słynnym mordercą, by wyciągnąć od niego wszystko, co się dało, do swojej książki. W pewnym momencie Cowdrey spytał ją, co jeszcze napisała. Stourcroft zaczęła wymieniać wszystkie tytuły i gdy doszła do *Kurortu w środku miasta*, Cowdrey powiedział, że zawsze ciekawiło go to molo. Obiecała mu jeden egzemplarz i porozmawiali chwilę o historii tego miejsca. A potem, ni z tego, ni z owego, Cowdrey zaczął jej opowiadać o dziwnym zdarzeniu, do jakiego doszło na molo we wrześniu dwa tysiące siódmego.

– Dwa tysiące siódmego?

– Mhm. Na długo przed zamordowaniem bliźniaczek i na długo przed śmiercią Stourcroft. Z okna pokoju Cowdreya roztacza się widok na molo i Cowdrey opowiedział jej, jak któreś nocy, nie mogąc usnąć, siedział przed telewizorem, gdy nagle kątem oka dostrzegł ruch na brzegu rzeki. Była druga w nocy, więc go to zaciekawilo. Podszedł do okna i zobaczył kogoś na molo.

– Co to znaczy: „na molo”?

– Za bramą.

– Na promenadzie?

Healy przytaknęła.

– I co ten ktoś tam robił?

– Szedł w stronę pawilonu. Cowdrey zaczął go obserwować. Facet wszedł do pawilonu, spędził tam mniej więcej pół godziny i wyszedł. Cowdrey powiedział, że miał na głowie kaptur, bo zaczęło padać, więc nie widział jego twarzy. Ale widział, jak podszedł do bramy, otworzył kłódkę, wyszedł i zamknął ją za sobą. Następnie ruszył w stronę domu Cowdreya. Gdy był jakieś sześć metrów od wejścia, Cowdrey zrozumiał, dlaczego tak trudno rozpoznać jego rysy.

– Bo miał na twarzy maskę.

– Otóż to.

Grankin, pomyślałem.

– Wiesz to wszystko od męża Stourcroft?

Healy pokręcił głową.

– Nie, on tylko znalazł jej notatki w pudle. Resztę wyczytałem sam.

– Dał ci jej notatki?

Zamiast odpowiedzieć Healy wziął do ręki latarkę i oświetlił pomieszczenie. Na ścianach zatańczyły cienie, a on skierował snop światła na ścianę naprzeciwko tej z rysunkami masek. Popatrzyłem na nią i ujrzałem szereg wycinków i wydruków, które Healy rozmieścił w dwóch rzędach po dziesięć. W górnym rzędzie znajdowała się kopia wywiadu z Winstonem Cowdreyem, pod spodem ciągnęło się siedem stron własnoręcznych notatek Stourcroft. Na samym końcu dolnego rzędu widać było kserokopie trzech wycinków gazetowych z takim samym zdjęciem: para dwudziestolatków stojących obok siebie, gdzieś w tropikach.

– Co to jest? – spytałem, podchodząc bliżej.

PARA NOWOŻEŃCÓW ZNIKA PO BALU. Umieszczony pod zdjęciem opis informował: „Para nowożeńców z Londynu, Neil i Ana Yostowie, zaledwie dwa tygodnie po ślubie”. Obok znajdowała się notatka z jakiejś innej gazety, zatytułowana: RODZINA ZANIEPOKOJONA BRAKIEM WIADOMOŚCI OD PARY Z ALBUMU. Trzeci wycinek pochodził z tabloidu i zaczynał się od nagłówka: DRAMAT MIODOWEGO MIESIĄCA. Wszystkie wycinki miały tę samą datę: piątek, 22 września 2007.

Wrzesień 2007.

Miesiąc, w którym Winston Cowdrey widział tajemniczego intruza na molo.

– Przeczytaj ten wycinek z tabloidu – powiedział Healy.

Akapit w połowie notatki był zakreślony na czerwono. Pod wytłuszczonym śródtytułem ZABAWOWICZE opisywano, jak przed zniknięciem Yostowie wzięli udział w dobroczynnym balu maskowym na londyńskim West Endzie.

Jeden ze świadków twierdził, że widział parę rozmawiającą z mężczyzną w kostiumie Upiora w Operze. „Tyle że twarz miał całkowicie zakrytą szarą maską”, zeznał policji. Ktoś inny miał też

poinformować śledczych, że przypadkiem słyszał, jak Neil i Ana rozmawiali z tym samym mężczyzną i że mówił on z obcym akcentem, prawdopodobnie wschodnioeuropejskim.

Znów Grankin.

Spojrzałem na Healy'ego.

– Co to za jedni? – spytałem.

– Nie wiem.

– Ale te wycinki znajdowały się w jej materiałach?

– Tak.

Przeniosłem wzrok na odręczne notatki.

– A to?

– To stenografia. Nie umiem tego odczytać.

Uklęknąłem przed ścianą. Na początku mojej kariery dziennikarskiej uczyłem się stenografii Pitmana, znałem też trochę zapis Gregga, popularniejszy w Stanach. Ale to, co miałem przed oczami, nie było ani jednym, ani drugim.

– To nie stenografia – powiedziałem.

– A co?

Pociągnąłem palcem po konturach pisma Stourcroft; w panującej ciszy rozległ się szelest papieru.

– To musiał być jej własny sposób utajniania notatek – orzekłem. – Ochrona przed wykorzystaniem przez kogoś obcego.

Tekst był zupełnie niezrozumiały i nie do odczytania.

Powróciłem do wycinków gazetowych.

– Czego Grankin mógł chcieć od tej pary?

Myslałem wciąż o tym, co Winston Cowdrey powiedział Carli Stourcroft o wizycie Grankina na molo i jego wejściu do pawilonu wiele lat po zamknięciu, i w pierwszej chwili nie zwróciłem uwagi na to, że Healy nie odpowiedział.

Spojrzałem na niego przez ramię.

– Healy?

– Chyba czas spytać o to naszego przyjaciela obok.

Na nasz widok East wytrzeszczył oczy, a spod knebla wydobył się stłumiony, błagalny jęk. Plama światła z latarki Healy'ego padła mu na twarz i wtedy po raz pierwszy dostrzegłem, że cała jest zakrwawiona.

– Coś ty mu zrobił? – rzuciłem.

Healy zerknął na mnie spod przymrużonych powiek.

– Jak ci się nie podoba, to wiesz, gdzie są drzwi. – Machnął latarką. – Jeśli już zapomniałeś, to ci przypominam, że na rękach ma krew tej rodziny.

East popatrzył na mnie i rozpaczliwie pokręcił głową.

– Twierdzisz, że nie? – burknął Healy i zrobił krok do przodu.

Wydawało się, że odzyskał wigor. Złość i odraza, jakie wywoływał w nim East, zadziałały orzeźwiająco. Zakneblowany mężczyzna nie przestawał jednak kręcić głową.

– Czyżby? – parsknął Healy.

Zatrzymał się metr od Easta, który nie spuszczał z niego wzroku. W pomieszczeniu było zimno i wilgotno, ale czoło miał zroszone potem.

– Pocisz się, zasrańcu? Masz jakiś problem?

– Jak go tu sprowadziłeś? – spytałem.

– Nabrałem go. – Rzucił okiem na ślady krwi i potu na twarzy Easta i spojrzał na mnie. – Od dwóch tygodni mu wmawiałem, że jestem handlarzem antyków. Gadałem z nim przez telefon i opowiadałem o zabytkowym fotelu, który odziedziczyłem po dziadku. Dziś też do niego zadzwoniłem, ale oświadczył, że nie może wyjść z domu, bo dostał takie polecenie. Zacząłem się nad tym zastanawiać i doszedłem do wniosku, że powodem możesz być tylko ty. Wtedy uświadomiłem sobie, że musisz mieć tę książkę i wpadłeś na jego trop, choć nie wiedziałem, jak daleko zaszedłeś. Żeby go zmobilizować, powiedziałem, że mam innego kupca

zainteresowanego fotelem, i zwabiłem go tu obietnicą, że dziś wieczorem sfinalizujemy transakcję. A jak go już tu miałem, to zrobiłem, co należało.

Healy miał przy sobie swoją torbę i po słowach „zrobiłem, co należało” otworzył ją, sięgnął do środka i wyjął pistolet dziewiątkę.

– Skąd ty to, u diabła, masz?

– A czy to ważne?

– Ale to broń, Healy.

– Wiem, co to jest. Jak inaczej mógłbym go tu doprowadzić? – Machnął pistoletem jak dyrygent batutą. – Bez tego bym sobie z nim nie poradził, nie sądzisz?

– Co chcesz z nim zrobić?

– A jak myślisz?

– Nie chodzi mi o teraz.

Chodzi mi o to, co z nim zrobisz, kiedy już odpowie na nasze pytania, dodałem w myślach.

Healy chrapliwie zarzęził, a jego klatka piersiowa i ramiona zaczęły gwałtownie unosić się i opadać i po chwili dopadł go kolejny atak kaszlu. Najpierw parsknął jak foka, a po sekundzie charczał już flegmą. W kącikach ust pojawiły się banieczki śliny. Zrobiłem krok w jego stronę, ale odpędził mnie ruchem dłoni i cofnął się pod ścianę.

Kaszel w końcu ustał, a on stał pod ścianą zgięty wpół, dociskając rękę do miejsca pod żebrami. Wyglądał, jakby dostał kulą w piersi.

– Trzeba cię zawieźć do lekarza – powiedziałem.

Pokręcił głową.

– Healy, jesteś...

– Nie! – warknął i znów zaniósł się kaszlem, zakrywając usta rękawem, jakby chciał wtłoczyć kaszel z powrotem do płuc. W końcu atak zaczął mijać, ale jego przyspieszony i świszczący oddech wciąż przypominał odgłos pracującego silnika elektrycznego. – Nie pójdę do żadnego zasranego lekarza, jasne?

Nic już nie powiedziałem.

East nieporadnie poprawił się na krześle. Spojrzałem na niego, ale on wpatrywał się w Healy’ego. Nie wyglądał na kryminalistę jak Grankin czy

Korman, nie budził też jednak zaufania. Może nawet żałował Gail, April i Abigail, ale przecież je okłamał, wślizgując się do ich życia dla ratowania własnego. Wlepił wzrok w Healy'ego z mieszaniną strachu i nadziei. Widział, że jego oprawca nie jest w dobrej kondycji fizycznej, i zapewne w tym upatrywał szansę na wyjście z opresji. Wiedział, że fizycznie Healy nie dałby mu rady.

Musiał tylko uporać się ze mną.

Wyłoniłem się z mroku, przemierzyłem pokój i podszedłem bliżej. Zwrócił ku mnie twarz, a ja wyciągnąłem rękę, dotknąłem jego ramienia i poczułem pod palcami warstwę tłuszczu obrastającego kości. Spojrzałem mu prosto w oczy i patrząc na odbicie swojej twarzy w szklach jego okularów, powiedziałem cicho:

– Zdejmę ci teraz knebel.

Skinął głową.

– Zanim to jednak zrobię, coś sobie ustalimy.

Na jego twarzy odmalował się niepokój.

– Zadam ci kilka pytań, ale jeśli choć raz mnie okłamiesz, zostawię cię tu związanego i zakneblowanego, a mój kolega zrobi z tobą, co zechce. – Przerwałem, a on przeniósł wzrok na Healy'ego. – Myślę, Calvin, że nie jesteś draniem. Myślę, że jesteś tylko mięczakiem. W coś się wplątałeś i nie wiesz, jak się z tego wyplątać. Widziałem to twoje domowe wideo.

East, wykrzywiając twarz w wyrazie paniki, nerwowo spoglądał to na mnie, to na Healy'ego.

– Obejrzałem je sobie – powtórzyłem, zaciskając palce na jego pulchnym ramieniu. – Wiem, że nie chcesz być w to zamieszany. Więc wyznasz mi wszystko od początku do końca i wiesz, dlaczego to zrobisz? Bo tylko ja cię osłaniam przed moim kolegą. A jemu wisi to, czy żyjesz czy nie. Zrujnowałeś mu życie, więc czemu miałoby mu zależeć na twoim?

Wlepił wzrok w Healy'ego.

– Mów prawdę albo wychodzę – rzuciłem.

W oczach zaślniły mu łzy.

– Calvin?

Jeszcze przez chwilę się wahał, w końcu pokiwał głową. Oderwałem od jego ust pasek taśmy hydraulicznej i przykucnąłem przed nim. Odruchowo spróbował zetrzeć z twarzy kropelki krwi, ale przypomniał sobie, że ręce ma wykręcone do tyłu i związane.

– Jak zacznę mówić, to już nie żyję – jęknął.

– Nie będziesz żył, jak nie zaczniesz.

Zerknął na mnie.

Widać było, że jest przerażony. Nie zamierzałem go zabijać i nie pozwoliłbym na to Healy'emu, ale East nie mógł o tym wiedzieć.

– Dobra – powiedziałem. – Zaczniemy od początku.

– Stourcroft zjawiała się w muzeum dzień po otwarciu w dwa tysiące pierwszym roku – zaczął mówić cichym, lekko drżącym głosem.

Wpatrywał się we mnie i tylko od czasu do czasu zerkał na Healy’ego, który stał w ciemnościach oparty o osmoloną ścianę. Deszcz przestał już padać i poza głosem Easta nie było słychać żadnego dźwięku.

– Zadzwoń do muzeum, połączą ją ze mną i spyta, czy mogłaby z kimś porozmawiać. Powiedziała, że pisze książkę o historii molo. Zanim pan Cabot zaproponował mi pracę w muzeum, siedziałem w ubezpieczeniach i nudziłem się, więc jak w pierwszym tygodniu pracy zadzwoniła pisarka... no cóż, zabrzmiało to ekscytująco.

– Umówiłeś się ze Stourcroft i co dalej?

– Porozmawialiśmy o molo i tyle. Załatwiłem jej osobny wywiad z panem Cabotem, bo głównie o niego jej chodziło. Ponieważ знаła jego związki z Arnoldem Goldmanem i z molo w Wapping, oczywiście chciała z nim porozmawiać. Pan Cabot chętnie się zgodził, bo dopiero co otworzył nasze muzeum, a w tamtym czasie wciąż jeszcze myślał o wyremontowaniu i otwarciu również molo, więc uznał to za dobrą promocję. – East przerwał i koniuszkiem języka dotknął śladów zakrzepłej krwi przy ustach. – Gdy książka ukazała się w dwa tysiące drugim roku, Stourcroft przysłała nam egzemplarz z dedykacją i podziękowaniami za pomoc, po czym przez następne osiem lat nie miałem z nią żadnego kontaktu. W dwa tysiące dziesiątym ni stąd, ni zowąd zadzwoniła i oświadczyła, że ma do mnie jeszcze kilka pytań.

– Planowała nowe, rozszerzone wydanie książki.

– Właśnie. Ale w żaden sposób mnie to nie zaniepokoiło. Wręcz przeciwnie, wszyscy się ucieszyli, bo to oznaczało dodatkową reklamę dla

Świata Cudów. Ale potem przyjechała, zaczęliśmy rozmawiać i... – Zawiesił głos i wlepił we mnie oczy zaczerwienione od płaczu i braku snu. – Tym razem nasza rozmowa wyglądała zupełnie inaczej. Stourcroft była mniej sympatyczna, bardziej natarczywa i zadawała mnóstwo zaskakujących pytań. Spytała, kto ma dostęp do molo i do promenady, i od razu zastanowiło mnie, dlaczego ją to interesuje.

– A kto ma dostęp do molo i promenady?

– Teraz tylko pan Cabot i ja. Ale na początku dwa tysiące dziesiątego, kiedy rozmawiałem ze Stourcroft, było nas trzech. Pan Cabot, ja i Vic.

– Victor Grankin?

Pokiwał głową.

– Vic odpowiadał za ochronę muzeum aż do chwili, gdy pan Cabot wyrzucił go za kradzież kartonu lakieru do drewna. To było tego dnia, kiedy one... – Przełknął głośno ślinę. – Kiedy ta rodzina... kiedy do tego doszło.

Kątem oka dojrzałem, że Healy drgnął.

– Wyduś to! – krzyknął.

East spojrział na niego.

– Wyduś to z siebie!

East popatrzył na mnie spłoszonym wzrokiem, w którym było błaganie i strach. Powstrzymałem Healy'ego gestem ręki i przysunąłem się bliżej Easta.

– Dobra, Cal, wyjaśnijmy to sobie... – zacząłem.

– Chcę, żeby to głośno powiedział – przerwał mi Healy.

Rzuciłem na niego okiem.

– To nie jest dobry moment – zwróciłem mu uwagę.

– Nie może nawet, kurwa, powiedzieć tego na głos.

Przeszedł przez pokój i stanął przed Eastem. Jego pistolet został na torbie rzuconej na podłogę, ale dostrzegłem, że Healy trzyma w ręce coś innego: ząbkowany nóż do chleba, ten sam, który odłożyłem na bok podczas rozmowy z nim. Zanim zdążyłem zareagować, szarpnął Easta za włosy, odciągnął jego głowę do tyłu i przyłożył mu ostrze do gardła.

– Powiedz to.

Oczy Easta wypełniły się łzami.

– Chcę słyszeć, jak to mówisz!

– Kiedy one umarły – jęknął East. Wargi ociekały mu śliną, łyzy znaczyły ślady na obu policzkach. – Kiedy umarły, kiedy umarły, kiedy...

– Healy! – rzuciłem stanowczym tonem. – Dość tego, starczy.

Potrzebował jeszcze chwili, by się opanować, zahipnotyzowany spojrzeniem Easta i jego jękliwym głosem, po czym cofnął nóż, wyprostował się i zerknął na mnie. Twarz miał bladą, oczy mu pociemniały. Odwrócił się i wolnym krokiem przeszedł przez pokój pod ścianę, a East zaczął szlochać.

Jeszcze przez chwilę mierzyłem wzrokiem Healy’ego. Stał obojętnie oparty o ścianę, nie wykazując skruchy. Przemknęło mi przez myśl, że chyba nie zależy mu na pełnym obrazie tego, co się wydarzyło, i wyjaśnieniu, dlaczego tak się stało. Że nie ma to znaczenia, bo jest już za daleko. Że bardziej chodzi mu o zemstę niż dojście do prawdy.

East z wolna się uspokajał. Oderwałem spojrzenie od Healy’ego i przeniosłem na naszego więźnia. Wyglądał tak jak w chwili wyjścia z domu, tyle że ubranie było brudniejsze i bardziej wymiętoszone, kołnierzyk koszuli poplamiony krwią. Za duże okulary zsunęły mu się na koniec nosa, na szklach widać było ślady palców.

– Więc ustalmy to sobie – odezwałem się. – Do odejścia z pracy po festynie w dwa tysiące dziesiątym Grankin miał swobodny dostęp do muzeum i do molo, tak?

– Tak.

– Skąd w ogóle się u was wziął?

East przechylił głowę i wytarł sobie nos o koszulę.

– W wieku ośmiu lat trafiłem do Domu Dziecka Świętego Dawida w Chingford. Moja matka zmarła na zapalenie płuc, ojca nigdy nie znałem. I tam się z nimi zetknąłem.

Przerwał. Jako przewodnik po molo zwracał się do grupy turystów tonem pełnym swady i pewności siebie, teraz mówił głosem wystraszonego dziecka, które z trudem formułuje myśli. Po raz pierwszy zauważyłem też coś jeszcze: wprawdzie nie brakowało mu słów, jego elokwencja zdawała się jednak bardziej wynikać z wyuczonych formułek niż naturalnej swobody wysławiania. Miałem wrażenie, że cockney wyniesiony z domu wciąż w nim tkwi i czasami, wbrew jego woli, daje o sobie znać.

– Mówiłeś o domu dziecka – przypomniałem.

– Tak, tam ich poznałem. – Pokiwał głową.

– Ich, to znaczy Grankina i Kormana?

– Tak. Najpierw poznałem Vica. Był prawie sześć lat starszy ode mnie, ale jak na swój wiek bardzo niedojrzały. Miał już trzynaście lat, ale wciąż mówił łamaną angielszczyzną, bo pochodził z Estonii, a rodzice mieszkający wcześniej w Moskwie mówili tylko po rosyjsku. Mimo to stopniowo się zaprzyjaźniliśmy, bo w domu stał stary stół do piłkarzyków i my jako jedyni w nie graliśmy.

To się zgadzało z wersją podaną przez Taska: rodzice Grankina wyjechali z Estonii w 1974 roku, a rok później zginęli w wypadku samochodowym, on zaś trafił do domu dziecka.

– Korman pojawił się jakieś półtora roku po nas – ciągnął East. – Był dwa lata młodszy od Vica, trzy lata starszy ode mnie, ale zachowywał się... jakoś inaczej. Poza nami prawie do nikogo się nie odzywał. Powiedział, że na imię ma Paul, ale że w domu mówili na niego Ben. Czasami kazał się nazywać inaczej i nie reagował, jeśli nie posłuchaliśmy. Wtedy tylko patrzył bez słowa. Vic był dość agresywny i potrafił rzucić się na kogoś, ale Korman był od niego gorszy... Dużo gorszy. Nie lubił się zadawać z innymi wychowankami. Zdarzało się, że znikał na całe dni, czasami tygodnie, a potem nagle się zjawiał i znów tylko się gapił. Nawet się o tym nie wiedziało, dopóki nie wylazł z cienia. Po jakimś czasie wychowankowie zaczęli przezywać go Draculą, bo tak dziwnie się zachowywał. – East przerwał i widać było, że na myśl o Kormanie dostaje dreszczy. Opuścił głowę i wbił wzrok w kolana. – Tydzień później jednego z chłopaków znaleziono martwego w toalecie. Ktoś poderżnął mu gardło kawałkiem szkła i zostawił, żeby się wykrwawił.

– To była sprawka Kormana?

– Nikt tego oficjalnie nie stwierdził. Ale ja wiedziałem, że to on.

– Dobra, mów dalej – mruknąłem.

– Vic nigdy nie był łatwy, ale można powiedzieć, że na swój sposób się zaprzyjaźniliśmy. Ale od pojawienia się Kormana wszystko się zmieniło. Vic praktycznie mnie zostawił i nagle stałem się dla nich intruzem. A potem, kiedy Vic skończył siedemnaście lat, a Korman dobijał do piętnastu, obaj

zniknęli i już nie wrócili. To było w osiemdziesiątym czwartym. Zabrali wszystkie swoje rzeczy i wynieśli się. Przez następne szesnaście lat nie widziałem Vica na oczy.

– Aż do dwutysięcznego?

– Tak.

– I co doprowadziło do ponownego kontaktu?

East pokręcił głową.

– Ja go nie szukałem. Pracowałem jeszcze w ubezpieczeniach i mieszkałem w takiej norze w Nunhead. Którejś niedzieli w listopadzie dwutysięcznego ktoś zadzwonił do drzwi.

– I to był Grankin?

– Po szesnastu latach przerwy nagle się zjawia, staje w progu i zachowuje tak, jakbyśmy widzieli się wczoraj. Pomyślałem wtedy, że to trochę dziwne, ale Vic zawsze był dziwny. Był nerwusem i miewał napady złości. Miałem szczęście, że nigdy nie byłem ich celem.

– Gdzie był przez cały ten czas?

– Nie chciał powiedzieć, w każdym razie nie wprost. Za to zaczął mnie wypytywać, czy nadal interesuję się historią. Potwierdziłem. Dorastając, dużo czytałem. Książki były dla mnie ucieczką. Vic nawet mi dokuczał i przezywał „belfrem”, ale mnie to nie przeszkadzało. Zdarzają się gorsze przezwiska. No i w pewnej chwili Vic wręcza mi wycinek z gazety i mówi: „Myślę, że powinienes się zgłosić”. Czytam, a to jest ogłoszenie, że szukają kustosza do muzeum.

– Do Świata Cudów?

– Tak. Od szesnastu lat nie rozmawialiśmy ze sobą nawet przez telefon, a on nagle się zjawia i mówi, że mam zmienić pracę.

Healy skrzywił się i oderwał się od ściany.

– I nie zdziwiło cię to? – burknął.

– Oczywiście, że mnie zdziwiło – odparł East płaczliwym tonem. – Ale tej roboty w ubezpieczeniach nienawidziłem. Więc jeszcze trochę pogadaliśmy i w końcu on mówi: „Wpisz w swoim CV, że pracowałeś u Arnolda Goldmana, w jego kasynie przy Brompton Road”. Patrzę na Vica i mówię: „Ale to nieprawda, nigdy tam nie pracowałem”, a on przewierca mnie tym swoim

spojrzeniem, które znałem jeszcze z domu dziecka, i powtarza: „Napisz, że pracowałeś u Goldmana. Ten facet, który teraz rządzi muzeum i molo, pracował kiedyś u Goldmana. To mu się spodoba”. Jeszcze chwilę się wahałem, czy powinienem kłamać, ale w końcu... w końcu to zrobiłem.

– I dostałeś tę pracę, tak?

– Podczas rozmowy kwalifikacyjnej nazmyślałem wiele głupot o pracy u Arnolda Goldmana i powiedziałem, że zawsze uważałem go za swojego bohatera, i pan Cabot to kupił. Sam się nawet rozgadał i zaczął go wspominać, podkreślając, jak dużo mu zawdzięcza i jak Goldman go zainspirował. Aż zrobiło mi się głupio, że tak go okłamuję.

– Myślisz, że Cabot należał do spisku?

– Z Vikiem? A skąd! Na pewno nie. Przyjął mnie do pracy, bo uwierzył, że znałem Goldmana, i nie chciałem dużo. Płacił okropnie mało. Od dwa tysiące pierwszego dostałem już trzy podwyżki, a nadal zarabiam niewiele. Pan Cabot to przyzwoity człowiek i dobry szef, ale nie lubi szastać pieniędzmi. – Przechylił głowę w moją stronę, jakby chciał uniknąć kontaktu wzrokowego z Healym. – Jak już zacząłem pracę w muzeum, zacząłem się zastanawiać nad rozmową z Vikiem i coraz bardziej mnie to niepokoiło. No bo dlaczego po tylu latach nagle się odezwał? Tylko dlatego, że zauważył to ogłoszenie o pracy? Musiało chodzić o coś więcej.

Patrząc na niego i słuchając jego opowieści, przypomniałem sobie wiszącą na ścianie w muzeum fotografię, na której stoi na końcu grupki świętującej otwarcie Świata Cudów w 2001 roku i wygląda na speszzonego i podenerwowanego. Minęło trzynaście lat, ale w jego postawie niewiele się zmieniło. Może Calvin East był skazany na bycie ofiarą, która musi komuś służyć?

– No i co się okazało? – wtrącił Healy.

– Któregoś dnia, jakieś dziewięć, może dziesięć miesięcy po podjęciu pracy w muzeum, wyszedłem z biura i pod budynkiem czekał na mnie Vic. Od czasu jego wizyty nie miałem z nim żadnego kontaktu. Powiedział, że zaprasza mnie na drinka i stek. Nie chciałem iść, bo nie wydawało mi się to właściwe, ale on złapał mnie za ramię i praktycznie siłą zaprowadził na stację metra. Kiedy Vicowi na czymś zależy, potrafi być świetnym i naprawdę dowcipnym

kompanem, i tego wieczoru taki właśnie był. Cały czas mnie rozśmieszał i gdy w końcu dotarliśmy do knajpy w Soho, zapomniałem już zupełnie o swoich niepokojach.

Pokręcił głową, okulary znów zsunęły mu się na czubek nosa i spojrzał ponad nimi, gdzieś daleko przed siebie.

– Poprowadził mnie do boksu w kącie sali, gdzie przy stole ktoś już siedział. A jak się zorientowałem, kto to taki, było już za późno, żeby się wycofać.

– To był Korman – domyśliłem się.

Zamilkł i ponuro przytaknął.

– Przywitał się, podał rękę i spytał, co u mnie. Zachowywał się normalnie, ale jego oczy mówiły co innego. W oczach był prawdziwy Korman. On patrzy na człowieka, ale jego oczy... jakby do niego nie należą. Jakby między oczami a resztą ciała brakowało komunikacji.

Zerknąłem na Healy'ego. Nie było już widać agresji na jego twarzy, pojawiło się za to zrozumienie. Pewnie dla kogoś innego i w innych okolicznościach słowa Easta brzmiałyby absurdalnie, ale nie dla nas. Healy i East na własnej skórze poznali brutalność Kormana.

– Kiedy się na niego patrzy... – East zwrócił ku mnie twarz ze śladami łez... – to tak, jakby się patrzyło w oczy diabłu.

Przez chwilę się we mnie wpatrywał, po czym odwrócił głowę, jakby przypominając sobie o własnym położeniu. Odniosłem wrażenie, że ta rzeczywistość i tak jest dla niego łatwiejsza do zniesienia niż towarzystwo Grankina i Kormana.

– Czego chciał Korman? – zapytałem.

– Chciał mi się przyjrzeć. Po krótkich powitaniach i wspominkach z domu dziecka zamilkł i tylko mi się przyglądał. Przez resztę wieczoru mówił wyłącznie Vic, Korman do końca milczał. Siedział na lewo ode mnie, więc by na niego spojrzeć, musiałem obracać głowę. I gdy to robiłem, widziałem twarz wykrzywioną w półuśmiechu i oczy wpatrzone nieruchomo we mnie. A potem w pewnej chwili wstał od stolika i sobie poszedł. Nagle, bez słowa pożegnania. Wtedy mnie to zaskoczyło, ale teraz wiem, o co mu chodziło. To był test. Chciał się upewnić, czy wciąż jestem tą samą osobą, którą znał z domu dziecka. Czy nadal jestem taki słaby.

– Do czego to wszystko zmierza? – burknął niecierpliwie Healy.

Spojrzałem na niego. W zaciśniętej dłoni trzymał latarkę, której snop światła skierował na Easta. Słysząc było chwilami świszczący w szczelinach ruin wiatr, po czym znów zapadała cisza.

W całym domu byliśmy tylko my trzej.

– Po wyjściu Kormana – powiedział East, wychylając się do przodu tak gwałtownie, że krzesło aż zaskrzypiało – Vic mnie spytał, czy chciałbym sobie dorobić. Myślałem, że mówi o jakichś zleceniach, więc odparłem, że tak. Oczywiście, że chciałem. Byłem bez grosza i mieszkałem w tej okropnej norze w Nunhead. Zapytałem, o jaką pracę chodzi, a on odpowiedział, że to bardziej przysługa niż praca. Chciał, żebym pogadał z panem Cabotem i namówił go, by zatrudnił Vica do ochrony obiektu.

– Żeby mógł mieć stały dostęp do muzeum?

– Właśnie. Tylko że wtedy o tym nie wiedziałem. Coś tam nawymyślał, że chce rozwijać swoją firmę i zależy mu na nowych klientach. Przypomniał, że to dzięki niemu dostałem pracę kustosza, więc teraz pora się odwdzińczyć. Nie rozumiałem, o co mu naprawdę chodzi. Gdy zauważył moje wahanie, wyjął książeczkę czekową, mówiąc: „Może to ułatwi ci decyzję”.

– Wypisał czek?

– Na dwa kawałki. Dwa tysiące funtów tylko za to, że pójdę do pana Cabota i podrzucę mu pomysł zatrudnienia firmy ochroniarskiej Vica. „A co będzie, jak odmówi?”, pytam, a on na to: „Będziemy się tym martwić, jak do tego dojdziemy”. Więc zaraz następnego dnia poszedłem do pana Cabota i zacząłem suszyć mu głowę w kwestii zabezpieczenia eksponatów. Uświadomiłem mu, jakie byłoby to nieszczęście, gdyby ukradziono któryś z automatów. Że nie dałoby się go odkupić za odszkodowanie z ubezpieczenia. I właśnie wtedy zaczęło do mnie docierać.

– Co takiego?

Grdyka mu podskoczyła i wyglądał tak, jakby poczucie winy ścisnęło go za gardło, a z oczu popłynęły łzy wstydu.

– Zdałem sobie sprawę, jakim jestem kłamcą.

– Pieprzysz głupoty – prychnął Healy.

Spojrzałem na niego.

– Healy, pozwólmy mu...

– Nie, nie pozwolimy – odwarknął i machnął w stronę Easta nożem, którego ostrze zaślniło w świetle świecy. – Jeszcze nawet słowa o nich nie powiedział. Siedzi i pieprzy jakieś bzdury. Bez niego wiemy, że Korman i Grankin to zrobili. Ma nam powiedzieć, gdzie ich znaleźć, a nie zawracać głowę dyrdymałami.

Nic nie odpowiedziałem i tylko przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem. Wiele razy dochodziło między nami do spięć i musiałem go powstrzymywać – niekiedy wręcz siłą – by nie wplątał się w sytuację, w której i tak nie miał szans na wygraną. Teraz było to jeszcze trudniejsze. Dla całego świata leżał pochowany na cmentarzu w północnym Londynie, co zapewniało mu bezkarność. Prawo było wobec niego bezsilne. Gdyby wyjął teraz pistolet i strzelił Eastowi między oczy, nikt nic by mu nie zrobił. Przecież oficjalnie go nie było.

To mi przypomniało o Crawl, o pomyśle zadzwonienia do niej i zrzucenia na nią całego ciężaru. Mógłbym podać jej Kormana i Grankina na tacy i wycofać się. Wyobraziłem też sobie, co będzie, jeśli do niej nie zadzwonię, i ogarnęły mnie złe przeczucia: dojdzie do konfrontacji Healy’ego z Grankinem i Kormanem i skończy się tak, jak się zaczęło – rozlewem krwi i trupami. Jeśli do tego dopuszczę, sprawy wymkną się spod kontroli.

Dzwoń do Crawl.

Zadzwoń do niej zaraz.

– A co z Gail i dziewczynkami?

Pytanie Healy’ego sprowadziło mnie na ziemię.

East spojrzał na niego, ale nic nie powiedział.

Healy ruszył do przodu. Widać było, że jest wściekły.

– Co z Gail i dziew...

– Zaraz do tego dojdziemy – rzucił East tak grobowym tonem, że Healy’ego nieco zmroziło. – Ale najpierw muszę opowiedzieć o maszynach.

– Jakich maszynach?

– O automatach do gry w muzeum.

Przeniosłem wzrok z Healy’ego na Easta.

– A o co chodzi? – spytałem.

East zawiesił wzrok między nami.

– Tematem pracy dyplomowej Gail były dawne budowle wiktoriańskie. Nie wiem, czy już wiecie, ale taki miała temat. Jednym z omawianych przykładów było nasze molo. Kiedyś dała mi ten fragment do przeczytania. Pisała w nim, że jej zdaniem molo kryje w sobie jakąś tajemnicę. Coś, czego o nim nie wiemy. Nie wiedziała co, ja też tego nie wiedziałem, może nawet Carla Stourcroft nie miała pojęcia, ale myślę, że obie coś przeczuwały. – Zamilkł i rzucił okiem w naszą stronę. – I myślę, że dotyczy to maszyn.

Spojrzał na Healy'ego, potem z powrotem na mnie, po czym zaczerpnął głęboko powietrza, jakby się szykował do tego, co nastąpi.

– Jakies pięć miesięcy po tym, jak zatrudniono go do ochrony całego obiektu, Vic przychodzi do mnie i mówi, że powinniśmy wyskoczyć na drinka. Idziemy do pubu w Wapping. Tym razem bez Kormana, tylko Vic i ja, ale znów dzieje się to samo. Vic wyjmuję książeczkę czekową i mówi: „Co powiesz na trochę kasy ekstra? Nie musisz nic robić, wystarczy, że przymkniesz oko na pewne rzeczy”.

– Jakie rzeczy? – wtrąciłem.

– O to samo go spytałem. „Nie chcę być zamieszany w żadne kradzieże”, mówię. „Nie chodzi o żadną kradzież”, on na to. „Niczego nie będziemy kraść. Zajdą tylko drobne zmiany, tu i tam. Nic poważnego”. Powiedziałem, że nie zgodzę się na nic, co by mogło grozić zwolnieniem mnie z pracy, ale on mnie zapewnił, że pan Cabot nigdy się nie dowie. Raz jeszcze spytałem, o co chodzi, ale on odparł, że pewnie ja też nic nie zauważę. Brzmiało to nadal tak, że mógłbym przez to wylecieć z pracy, więc powiedziałem, że dziękuję za drinka, ale nic z tego... – Zamilkł, wyraźnie zmieszany. – Wstałem od stolika, a wtedy on wyciągnął do mnie rękę z czekiem.

Pokiwałem w milczeniu głową.

– Dziesięć tysięcy funtów.

– Aż tyle ci tym razem zapłacił?

– Tak.

– I co było dalej?

– Jak wspomniałem, Stourcroft wpadła na jakiś ślad. – Zerknął na Healy'ego. – Gail w swojej pracy dyplomowej też. Gdy na początku dwa tysiące dziesiątego spotkałem Carlę Stourcroft po raz drugi, było jasne, że

podejrzewa, że w Świecie Cudów dzieje się coś niedobrego. Gail doszła do podobnego wniosku. Przeczytałem to w jej pracy, kiedy zostaliśmy parą...

– Nigdy nie byliście parą – prychnął Healy.

East popatrzył na niego.

– Ja nie chciałem...

– Gównu mnie obchodzi, co chciałeś!

Zapadła cisza napęczniała groźbą aktu przemocy.

Uspokoilem Healy'ego gestem ręki.

– Mów jasno, Calvin.

– Korman i Grankin...

East przerwał. Siedział pochylony z rękami wykręconymi do tyłu i widać było, że mięśnie i kości mu zeszywniały. Byłem już gotów uwolnić mu ręce, przeciąć taśmę i pozwolić przybrać wygodniejszą pozycję, ale spojrzałem na Healy'ego i jego oczy płonące nienawiścią. Miał nóż i pistolet i poza nimi nic się dla niego nie liczyło.

Odsunął się od ściany i burknął w stronę Easta:

– Co Korman i Grankin?

East przyjrzał się nam obu.

– Dalej, Calvin – ponagliłem go. – Dostałeś od Grankina dziesięć tysięcy za przymknięcie oka na pewne sprawy. Co to były za sprawy?

Poprawił się na krześle, które aż zatrzeszczało pod jego ciężarem.

– Mówił prawdę. Niczego nie kradli, ale zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Na przykład któregoś dnia zauważyłem, że dwie maszyny na pierwszym piętrze zostały zamienione.

– W jakim sensie zamienione?

– Zamienione miejscami. Chodziło o dwie stare bagatelle, mechaniczne poprzedniczki późniejszych, elektrycznych flipperów. Były niemal identyczne i nawet pan Cabot, który znał na pamięć wszystkie eksponaty, pewnie by tego nie zauważył. Ale ja chodziłem tamtędy codziennie z grupami turystów i nie uszło to mojej uwagi.

– Myślisz, że to była sprawka Grankina?

– Musiała być.

– Dlaczego miałyby je przestawiać?

– Nie sądzę, żeby je przestawił. Pewnie je stamtąd wyniósł, a potem niechcący ustawił odwrotnie.

– Wyniósł? Po co miałby je wynosić?

– Obejrzałem dokładnie obie maszyny, żeby sprawdzić, czy dokonał jakichś zmian lub poprawek, ale wszystkie przekładnie, sprężyny i inne elementy były na swoim miejscu, jakby nikt niczego nie ruszał. Zmieniło się tylko wykończenie.

– Wykończenie?

– Wierzchnia powłoka na obudowach. Obie były świeżo pociągnięte lakierem.

– Chcesz powiedzieć, że wyniósł je po to, żeby je polakierować?

– Tak. Ale zrobił to niedokładnie.

– Co to znaczy?

– Pan Cabot powierzył mi zadanie dbania o wygląd urządzeń i cały czas podkreślał, jak ważne jest używanie zawsze tego samego rodzaju lakieru do drewna, konkretnie firmy Hoberman. To piekielnie drogi produkt, czterdzieści pięć funtów za puszkę, ale daje idealną powierzchnię i jako jedyny nadaje się do takich starych urządzeń jak te w muzeum. Zwykle łatwo rozprowadza się go po powierzchni i gdyby nie drobna różnica koloru, przemalowanie nim byłoby prawie niezauważalne. Dlatego pan Cabot jest skłonny płacić aż tyle za ten lakier. Ale powłoka na tych dwóch zamienionych maszynach nie była idealnie gładka.

– A jaka?

– Lekko chropowata. Niedopieszczona.

– Cabot to zauważył?

– Nie. Jak już mówiłem, nie miał czasu na zajmowanie się wszystkimi eksponatami. Prowadził całe muzeum i warsztat samochodowy, który wciąż do niego należał, i temu poświęcał swój czas. Dlatego opiekę nad eksponatami powierzył mnie. Powiedział, że jeśli natknę się na jakieś trudności techniczne, mam go o tym powiadomić, ale za ogólną konserwację w całości byłem odpowiedzialny ja. Chciałem od razu go poinformować, co zauważyłem, bo się paskudnie czułem, oszukując go, bałem się jednak, że wyniknie z tego wielka

chryja. Że maszyny zostały przemalowane bez upoważnienia... Ale jeszcze bardziej bałem się reakcji Vica i Kormana, gdyby się o tym dowiedzieli.

Przełknął głośno ślinę i chciał kontynuować, ale głos uwiązł mu w gardle.

Przez głowę przemknął mi fragment rozmowy z Ewanem Taskerem. Po letnim festynie Cabot zawiadomił policję, że Grankin ukradł trzydzieści sześć ćwierćlitrowych puszek lakieru do drewna. Zdarzyło się to osiem lat później. East zauważył zamianę miejsc bagatelle w roku 2002, Grankina wyrzucono za kradzież dopiero w 2010, ale niewątpliwie oba te wydarzenia były ze sobą powiązane. Pytanie, jak i dlaczego? Czemu Grankin polakierował obudowy?

– Co było dalej? – spytałem.

– Jakiś miesiąc później oprowadzałem grupę po muzeum i stwierdziłem, że coś jest nie tak z jedną z automatycznych wrózek. To stare mechanizmy w drewnianej obudowie o wysokości około metra osiemdziesięciu. W górnej części za szybą znajduje się coś w rodzaju kukielki, która po wrzuceniu monety przepowiada przyszłość.

– I co było nie tak?

– Z boku, na obudowie dostrzegłem niewielką rysę.

– Której wcześniej nie było?

– Nie, skąd. Pan Cabot poświęcił życie, by odrestaurować te urządzenia, kiedy jeszcze stały na molo. Żartował nawet, że dlatego nigdy się nie ożenił, bo nie mógłby nikogo kochać bardziej od nich. Nie dostrzegł tej rysy, ponieważ znajdowała się na boku niewidocznym dla zwiedzających. – Zawiesił głos i popatrzył na nas. – Ale ja ją zauważyłem. Zauważyłem też, że wróżka była przestawiana. Vic odstawił ją nie do końca tam, gdzie wcześniej stała. Podłoga w tym miejscu była porysowana.

– Tę wróżkę też polakierował?

– Tak. Tak jak tamte.

Spojrzałem na Healy'ego, potem znów na Easta.

– Dlaczego to robił?

– Nie wiem – odparł East – ale z całą pewnością chodziło o Grankina. Kilka dni później przyszedł do mnie i zaprosił na lunch. Gdy tylko wyszliśmy z muzeum, odwrócił się do mnie i powiedział: „Zapłaciliśmy ci za to, żebyś siedział cicho”. Jakby wiedział, że coś podejrzewam. – Zamilkł na dłuższą

chwilę. – Po czym nawet nie poszliśmy na ten lunch. Okręcił się na pięcie i zawrócił do muzeum.

Próbowałem wyobrazić sobie powody, dla których Grankin mógł na nowo lakierować automaty z muzeum Cabota i w dodatku robić to po kryjomu. Zerknąłem na Healy'ego i po minie poznałem, że zмага się z tym samym pytaniem.

– Zdarzyło się to jeszcze raz, jakieś cztery lata później – ciągnął East. – Chyba pod koniec dwa tysiące siódmego. Vic przyszedł do mojego biura i spytał, czy nie zjadłbym z nim lunchu. Wyszliśmy i tym razem naprawdę dotarliśmy do knajpy. I był w niej też Korman. Nie widziałem go od czasu spotkania w restauracji w Soho, w dwa tysiące drugim. Siedział i nic się nie odzywał.

– Jak to?

– Nie powiedział ani słowa.

– Przez cały czas?

East zacisnął powieki, jakby chciał wyrzucić to wspomnienie z pamięci.

– Siedział i przez cały ten czas nie wypowiedział ani jednego słowa.

– Po co więc cię zaprosili?

– Też mnie to męczyło, zwłaszcza że poprzednim razem Vic niby zabrał mnie na lunch, ale skończyło się tylko na napomnieniu, żebym trzymał gębę na kłódkę. Wróciłem więc do muzeum i rozejrzałem się po salonie gier.

– Z którąś z maszyn było coś nie tak?

Skinął głową.

– I to nie z jedną. Chwilę to potrwało, zanim je namierzyłem, ale się udało. Szybka jednego z testerów siły była lekko pęknięta, czego wcześniej nie zauważyłem. Ponieważ tester był świeżo polakierowany, obejrzałem go dokładniej, ale nic więcej się w nim nie zmieniło, ani z zewnątrz, ani w środku. Jedynymi śladami majstrowania przy nim były pęknięcia i świeży lakier. Natknąłem się jednak na coś jeszcze. Fonograf też był polakierowany.

– Tylko polakierowany? Nic więcej?

– Nic poza tym. Żadnych innych zmian nie zauważyłem.

Spojrzałem na zegarek. Wpół do trzeciej.

Siedzieliśmy tu godzinę i widać było, że East jest wykończony i roztrzęsiony. Jego oczy błyszczały w świetle latarki Healy'ego.

– Co się wydarzyło po wyrzuceniu Grankina? – spytałem.

East przez chwilę milczał ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Kilka miesięcy po jego zwolnieniu, chyba gdzieś w listopadzie, w każdym razie pod koniec dwa tysiące dziesiątego, już po odejściu Gail i dziewczynek, Vic zjawił się u mnie w domu. Zaczynałem mieć nadzieję, że nigdy więcej go nie zobaczę, ale on się zjawił i zachowywał tak, jakby nic się nie stało. Oświadczył, że skoro nie pracuje już na molo, to trzeba będzie zmienić metodę działania. W tym czasie za zgodą pana Cabota zabierałem już zepsute maszyny do domu i naprawiałem je w garażu.

– Czego chciał Grankin?

– Powiedział, że zanim wezmę jakąś maszynę do domu, mam do niego zadzwonić i go o tym uprzedzić.

– Po co?

– Nie powiedział. Próbowałem mu się postawić i spytałem, po co je wszystkie lakieruje i czemu to ukrywa, ale nawet nie raczył odpowiedzieć. Więc w końcu oznajmiłem, że odmawiam dalszego okłamywania pana Cabota...

Głos mu zamarł.

– Chwycił mnie za gardło, ścisnął i zapytał: „Mam przekazać Benowi, że odmawiasz? Mam do niego pójść i tak mu powiedzieć?”.

– Nazywał go Benem?

– Ben, Paul, Gray, Korman. Nie wiem, jak naprawdę się nazywa i kim jest. Nic o nim nie wiem, a znam go od dziewiątego roku życia. U Świętego Dawida też wciąż zmieniał imiona i nie reagował, jeśli się do niego odezwało nie tak, jak chciał. W ciągu tych lat używał wielu różnych imion. – W jego drżącym głosie słychać było strach. – Ale wszyscy mówią, że diabeł tak ma.

Healy podszedł bliżej.

– Więc kazał do siebie dzwonić przed zabraniem do domu którejs z maszyn do naprawy – odezwał się. – I co dalej?

– Pierwszych parę razy nic się nie wydarzyło. Dzwoniłem do niego w przeddzień zabrania maszyny do domu i dokładnie opisywałem, o którą

chodzi i co będę w niej naprawiał, a on tylko słuchał i bez słowa odkładał słuchawkę. Aż w końcu, po jakichś dziesięciu miesiącach, zadzwoniłem z informacją, że ten tester siły z pękniętą szybką wymaga naprawy, i wtedy on zażądał, żebym o dobę opóźnił zabranie go do domu. Następnego dnia przywożę go do domu, a Vic już na mnie czeka i oświadcza, że najpierw on zabierze go na noc do siebie, po czym pakuje go do swojego samochodu. – Przerwał i wzruszył ramionami. – I tyle. Rano przywiózł go ze świeżo polakierowaną obudową. Powłoka tym razem była niemal idealna. Gładka, bez żadnych wad i nierówności. Z całą pewnością użył do tego lakieru Hobermana. Pewnie z tej partii, którą ukradli z magazynu pana Cabota.

– Ile razy to się powtórzyło?

– Od dwa tysiące dziesiątego? Dwa. Raz w przypadku tego testera siły i drugi jakiś rok temu, kiedy nawalił mechanizm do wrzucania monet we wróźce.

– Tej z rysą na boku?

– Mhm. Przyjechał do mnie do domu, zabrał wróźkę i przywiózł następnego dnia na nowo polakierowaną. I to jest w tym najdziwniejsze.

– Co?

– Że interesują go tylko drewniane obudowy, bo można je polakierować. Metalowych się nie da. Ale praktycznie nic więcej nie robi. Niczego w nich nie zmienia, nic nie dokręca ani nie naprawia. Tylko je na nowo lakieruje. – East obrzucił ich spojrzeniem. – I dotyczy to zawsze tych samych pięciu maszyn.

Kątem oka dojrzałem, jak Healy kręci głową. Wydawało się, że chce coś powiedzieć.

– Zaraz, moment – odezwałem się, zwracając się właściwie do obu. – Zaczekaj, Calvin, przecież to kompletnie bez sensu. Dlaczego ktoś...

– Nie, nie, to wszystko bzdury – przerwał mi Healy. – Mam już dość słuchania...

– Polubiłem Gail.

Healy'ego zatkało.

East przez chwilę przenosił wzrok z Healy'ego na mnie i z powrotem, po czym wbił go w podłogę. Na jego twarzy po raz pierwszy pojawił się przelotny uśmiech.

– Pewnie też dlatego, że interesowała się moim miastem i historią miasta, że wybrała taki temat pracy dyplomowej. Po raz pierwszy zadzwoniła do mnie w połowie dwa tysiące dziewiątego, kilka miesięcy przed drugim podejściem Stourcroft. Przyjechała do muzeum, przeprowadziła ze mną rozmowę, zadała mnóstwo pytań i pojechała. Dałem jej wizytówkę, na wypadek gdyby chciała jeszcze o coś spytać. Wychodząc wspomniała, że poprosiła o rozmowę również Carlę Stourcroft, ale nie dostała od jej agentki żadnej odpowiedzi. Pamiętam, że odpowiedziałem: „Och, Carla wie bardzo dużo o tych sprawach. Może się pani od niej dowiedzieć wielu ciekawych rzeczy”.

W pokoju zapadła smętna cisza.

– Przez chwilę nie pomyślałem, w ogóle nie przyszło mi do głowy, że rozmowa Gail ze Stourcroft, do której w końcu doszło, może mieć takie skutki. No bo skąd miałbym wiedzieć? – Podniósł załzawione oczy. – Skąd mogłem wiedzieć, że to się tak skończy?

– Udawałeś, że romansujesz z Gail.

Powiedziałem to suchym, pozbawionym emocji tonem, ale aluzja była jednoznaczna: może nie wiedział na początku, ale na pewno wiedział pod koniec. Że to tylko kłamstwo i udawanie.

Spojrzałem na Healy'ego, który stał z nożem w jednej ręce i latarką w drugiej, i lekko pokręciłem głową. „Wstrzymaj się, już prawie jesteśmy u celu”.

Stał jak skamieniały, jakby przewidywał, co za chwilę usłyszy, i bał się tego.

– Stourcroft odwiedziła mnie po raz drugi w styczniu dwa tysiące dziesiątego – ciągnął East. – Bezpośrednio nikogo o nic nie oskarżała, powiedziała tylko, że natknęła się na informacje, które mogą ukazać muzeum w nie najlepszym świetle, i że chce to omówić z panem Cabotem. Po jej wyjściu poszedłem więc do niego i w jego gabinecie zastałem Vica. Parę tygodni wcześniej jedna ze stacji telewizyjnych zwróciła się do nas z prośbą o wypożyczenie kilku automatów do scenografii spektaklu dziejącego się w tamtych czasach. Pan Cabot bardzo się tym podniecił i kazał Vicowi zająć się przewiezeniem wszystkiego co trzeba. – Przerwał, ale po chwili kontynuował: – Nie chciałem nic mówić w obecności Vica, bo czułem, że cokolwiek Stourcroft odkryła w sprawie maszyn czy samego molo, musiało to mieć jakiś związek z Kormanem i Vikiem. Więc naprędce coś zmyśliłem i powiedziałem panu Cabotowi, że przyjdę później. Ale Vic po wyjściu z gabinetu pana Cabota przyszedł do mnie i zamknął drzwi, a ja po jego minie szybko się zorientowałem, że wie.

– Że coś ukrywasz?

– Tak.

– I wtedy mu powiedziałeś?

Zmierzył mnie takim wzrokiem, jakbym go o coś oskarżał.

– Nic nie rozumiecie – rzucił ze złością. – Nie macie pojęcia, jaki jest Korman...

– Wiemy wystarczająco dużo – mruknąłem, ponownie kucając przed jego krzesłem.

Popatrzył na mnie znad okularów na końcu nosa. Znał swoje słabości lepiej niż ktokolwiek, a moje milczenie było bardzo wymowne.

– Powiedziałem – jęknął.

– Powtórzyłeś mu, co usłyszałeś od Stourcroft?

Pokiwał głową. Zapewne czuł się winny, ale nie można już nic w tej sprawie zrobić.

Ruchem ręki powstrzymałem Healy'ego, domyślając się, do czego to wszystko zmierza.

– I to wtedy Grankin się nią zainteresował? O to chodzi, Calvin?

Znów milcząco pokiwał głową.

– Grankin zaczął ją śledzić i gdy wreszcie doszło do rozmowy Gail ze Stourcroft, Grankin dowiedział się o ich spotkaniu i od tej chwili również Gail stała się jego celem. Odkrył, że jej praca dyplomowa częściowo dotyczy molo, może nawet włamał się do jej mieszkania i sam to przeczytał. Wątpię jednak, by zbytnio go to zaniepokoiło. Gail mogła być pilną studentką, ale brak jej było śledczego zacięcia Stourcroft, wykładowczyni, publicystki i pisarki, która umiała wyszukać dobry temat i odpowiednio go chronić.

East siedział niemal zgięty wpół. Górną połowę ciała miał wychyloną pod kątem czterdziestu pięciu stopni, ale przytrzymały go ręce skrepowane w nadgarstkach i wykręcone do tyłu. Trwał w milczeniu i całkowitym bezruchu. Obok stał Healy, który pod osłoną ciemności zbliżył się o parę kroków.

– Pewnie po jakimś czasie Grankin kazał ci na wszelki wypadek zaprzyjaźnić się z Gail – domyśliłem się. – Żeby wiedzieć, gdyby na przykład po spotkaniu ze Stourcroft coś jej strzeliło do głowy. Albo gdyby dotarła do czegoś, czego nie było w jej pracy. A ty tak srałeś po nogach ze strachu przed Grankinem i Kormanem, że robiłeś wszystko, co ci kazali. I wślizgnąłeś się do życia Gail i jej córek.

Przerwałem, ale wiedziałem, że jestem na właściwym tropie.

– Czy udawałeś przed nią, że też podejrzewasz, że na molo załatwiane są jakieś ciemne sprawy? Czy w ten sposób przekonałeś ją, że jesteś uczciwym facetem i nie masz z tym nic wspólnego?

East pokiwał głową.

– Ale sam powiedziałeś, że ją polubiłeś, nie?

Ponownie przytaknął ruchem głowy.

– I polubiłeś dziewczynki.

Twarz Easta na moment wykrzywił grymas żalu. Pamiętałem to jego wideo. Jak się razem śmieją i bawią, jaki ma do nich stosunek, jak grają w scrabble'a, a dziewczynki podkradają mu samogłoski. W uszach miałem ich chichot i mogłem sobie wyobrazić, że chwilami zapominał, po co tam naprawdę jest. Przysunąłem się bliżej, żeby widział moją twarz.

– To dlaczego zginęły?

Brak reakcji.

– Calvin, dlaczego zabili te dziewczynki? – powtórzyłem.

Healy podszedł bliżej i stanął nad Eastem. Nie był w stanie kucnąć ani uklęknąć, bo nie pozwalały mu na to jego kości i stawy, więc pochylił się, wyciągnął rękę z nożem i przytknął ząbkowane ostrze do policzka Easta. Popatrzyłem na niego stanowczo, East głośno wciągnął powietrze. Healy odwzajemnił moje spojrzenie, ale w jego wzroku była pustka. Był myślami przy Gail i bliźniaczkach: ich życiu, ich śmierci, swoich halucynacjach.

– Albo nam powiesz – powiedział do Easta – albo poderżnę ci gardło. Dlaczego zabili te dziewczynki?

East potrzebował chwili, by zebrać się w sobie. Czuł zimne ostrze na policzku.

– Vic dzwonił do mnie trzy razy w tygodniu i pytał, o czym Gail i ja rozmawialiśmy. Dzień przed ich śmiercią pojechałem do nich po pracy i przez moment staliśmy z Gail pod blokiem i rozmawialiśmy, a dziewczynki się huśtały.

Kątem oka dostrzegłem, jak Healy jeży się, mięśnie na karku mu twardnieją, na szyi pęcznieją żyły. On tę scenę widywał w swoich snach. Przez jedenaście tygodni to było jego życie. A teraz ktoś mu to odbierał.

– Nie wiedziałem, co się szykuje – parsknął histerycznie East. – Przysięgam, że nie miałem pojęcia. Byliśmy zaprzyjaźnieni. Nie kłamałem, mówiąc, że ją polubiłem. Naprawdę ją lubiłem...

– Przesłoń! – syknął Healy przez zaciśnięte zęby.

– Dobrze – rzucił East drżącym głosem. – Dobrze, przepraszam.

Zmiana nastroju Healy'ego była wręcz namacalna. Stawał się dzikim zwierzęciem w klatce, które próbuje przegryźć kraty. East zerknął na mnie

przerażony, jakby szukał u mnie pomocy.

– Mów, co się stało, Calvin – poleciłem.

– Dobrze. Dobrze. Więc stoimy tam na placu zabaw i Gail nagle zmienia temat i mówi, że dzwoniła do niej Carla Stourcroft. Serce podeszło mi do gardła. Do tej chwili Gail nie stanowiła zagrożenia dla Kormana i Vica i była bezpieczna. Ale Stourcroft... była jak trucizna i wciągała w to Gail...

– W nic jej nie wciągała – przerwałem mu. Wycedziłem to spokojnym, ale stanowczym tonem, żeby East nie miał wątpliwości, co o tym sędzę. – Wiedziała, że dzieje się coś niedobrego, i robiła, co do niej należało. Świat miał prawo się dowiedzieć, co...

– Nie – zaprotestował East. – To ona wszystko spieprzyła...

– Zamknij mordę! – wrzasnął Healy, dociskając płaską stronę ostrza do policzka Easta.

Ten głośno przełknął ślinę.

– Mów dalej – zarządziłem.

Przeniósł wzrok z podłogi na mnie, ale głowa z przytkniętym do policzka nożem pozostawała nieruchoma.

– Stourcroft podejrzewała, że jest śledzona, że ktoś za nią chodzi. Powiedziała Gail, że ktoś splądrował jej dom. Nie było śladów włamania, nic nie zginęło, ale po powrocie do domu zauważyła, że różne przedmioty nie leżą na swoich miejscach. Dlatego zadzwoniła do Gail i ją ostrzegła. Gail spytała, dlaczego ktoś w ogóle miałby je śledzić, i wtedy Stourcroft jej wyjawiała, że ma świadka, który we wrześniu dwa tysiące siódmego widział kogoś na molo, a ona tego kogoś skojarzyła ze zniknięciem w tym samym miesiącu pary nowożeńców.

Healy i ja wymieniliśmy spojrzenia. Neil i Ana Yostowie. Notatka o ich zaginięciu wisiała na ścianie w sąsiednim pomieszczeniu. Ich zniknięcie było jak tsunami, które runęło na Stourcroft, Gail i dziewczynki, a w lutym 2014 roku także na Healy'ego.

– Stourcroft powiedziała Gail, że jej zdaniem jest ktoś, kto łączy oba wydarzenia – mówił dalej East z miną skazańca idącego na szafot – i według niej ten ktoś był Rosjaninem. Czułem, że chodzi o Vica. Od razu mi to przyszło do głowy. Nie wiedziałem nic o jego wizycie na molo w dwa tysiące siódmym,

nic o tej zaginionej parze, ale czułem, że mówi o Vicu. – Znow przerwał i tym razem uronił łzę. – Gail spytała mnie, czy znam kogoś takiego w muzeum.

– A ty zaprzeczyłeś – burknął Healy.

Spod okularów Easta wypłynęły kolejne łzy.

– Okłamałeś ją.

Healy umilkł i wpatrzył się w niego z mieszaniną rozpacz i obrzydzenia. Niedopowiedziana przez Easta reszta zawisała w powietrzu niczym echo. „I gdy Grankin zadzwonił, żeby spytać o Gail, jak to robił trzy razy w tygodniu, powtórzyłem mu jej słowa. Dodałem też, że to nie Gail jest jego problemem, tylko Stourcroft. Błagałem go, by darował życie Gail”.

– Ale to nie wystarczyło – załkał East. – Nie wystarczyło – powtórzył kilka razy, a jego słowa zabrzmiały pusto i tandetnie. – Zadzwonił do mnie w chwili, kiedy byłem u nich w mieszkaniu. Wyszedłem na korytarz, by porozmawiać, a jak wróciłem, Gail zaprosiła mnie do stołu, bo przygotowała dla wszystkich kolację. Usiadłem z nimi i patrzyłem przez stół na Gail, udając sam przed sobą, że nic się nie zmieniło. Dziewczynki poszły spać, my usiedliśmy z butelką wina i wtedy chciałem jej powiedzieć, żeby uciekała. Żeby zabrała dziewczynki i uciekła. Przysięgam, że chciałem, tylko że wtedy rozległo się pukanie do drzwi. Gail poszła otworzyć i... – Przełknął ślinę i zerknął na Healy’ego, potem na mnie. – To był Korman.

Przez pomieszczenie jakby przebiegła iskra.

– Co?

– Zaprosiła go do środka – powiedział East.

– Był u niej w domu dzień przed morderstwem?

– Był u niej w tym cholernym mieszkaniu, parę metrów od miejsca, gdzie spały dziewczynki. Nie widziałem go już od paru lat i w tym czasie zapuścił włosy i brodę i ufarbował wszystko na blond.

– Gail wiedziała, kim jest?

– Nie. Gdy wróciła z nim do pokoju, rzuciła tylko: „Przyszedł twój kolega, Cal”. Tak jej się przedstawił. Że jest moim kolegą i ma na imię Samuel.

East spojrział na mnie, by się upewnić, czy pamiętam naszą rozmowę w muzeum. Pamiętałem. Staliśmy w oknie i patrzyliśmy na płyty chodnikowe

przed wejściem na molo, gdzie w 1674 roku Samuel Brown porzucił jedną ze swoich ofiar.

Diabeł z Wapping.

Od razu przyszło mi na myśl coś, co wyczytałem w aktach śledztwa: dwie kamery monitoringu w Searle House były od paru miesięcy zepsute. Zatem w wieczór poprzedzający zbrodnię Korman musiał nadejść z innej strony, pewnie pieszo od stacji metra. Następnego dnia przyjechali samochodem, by mieć pewność szybkiej ucieczki, i dlatego gdy wyszedł z klatki, ruszył w drugą stronę. Gdyby ekipie Healy'ego udało się go zobaczyć na nagraniu z dnia poprzedzającego morderstwa, jego obraz mógłby być wyraźniejszy i śledztwo już dawno zakończyłoby się sukcesem, a Korman i Grankin od lat gniliby w więzieniu.

– Stał w pokoju i rozmawiał z Gail – ciągnął East. – Udawał normalnego faceta i wmawiał jej, że bardzo dobrze się znamy i że nie mógł się doczekać, żeby ją poznać. Siedziałem na kanapie jak sparaliżowany i nie mogłem się ruszyć. „Calvin mi mówił, że jak będę w okolicy, to mam wpaść i przywitać się”. Tak jej powiedział. Gail, jak zwykle, była bardzo sympatyczna i przyjazna. Była taka... taka... – Przebiegł go dreszcz i East zamilkł. A potem nagle jęknął jak zranione zwierzę. – Była taka słodka. Stała i słuchała tego jego pieprzenia, a potem zaprosiła go nawet, żeby się napił z nami wina. A ja cały czas wiedziałem, po co tam przyszedł.

Przyszedł na przespiegi.

Obejrzeć ją.

Obejrzeć mieszkanie.

Dlatego następnego dnia od razu go wpuściła, dlatego nie było śladów walki ani włamania. Był kolegą Easta, więc dlaczego miałyby mu nie ufać?

Ale East znał prawdę. Znał ją wtedy i znał ją tego dnia, gdy znaleźli je martwe. Znał ją też teraz, kiedy patrzył na nas przez łyży.

– Rano Vic przyszedł do mnie do domu i oświadczył, że mam mu zapewnić alibi na wieczór, na festyn na molo, ale ja wiedziałem, po co naprawdę przyszedł. Żeby mi powiedzieć, że ich już praktycznie nie ma. Wszystkich trzech. Powiedziałem mu wtedy: „Nie! Nie dam ci alibi. Co wy, skurwysyny, chcecie zrobić?”. A on mnie wtedy chwycił za gardło i ścisnął tak mocno, że

myślałem, że odjadę. „Albo zrobisz, jak ci każę, albo też zginiesz”, rzucił. – East zaczął głośno łkać. – Próbowałem... Próbowałem walczyć...

– Dlaczego dziewczynki musiały umrzeć? – Głos Healy’ego brzmiał cicho i spokojnie, jakby go ta opowieść ogłuszyła.

Dotąd siedziałem w kucki, ale teraz się wyprostowałem i zrobiłem krok w jego stronę, on jednak nawet nie drgnął, nie poruszył nawet oczami. Stał, wlepiając wzrok w Easta i dociskając płaską stronę ostrza do jego policzka. Podeszedłem jeszcze bliżej i uniosłem rękę.

– Healy – powiedziałem cicho.

Nie zwracał na mnie uwagi.

– Dlaczego dziewczynki musiały umrzeć? – powtórzył równie beznamiętnym tonem.

W głosie nie słychać było żadnych emocji, za to twarz wykrzywiała wściekłość, nad którą ledwo panował. Odezwały się w nim lata szukania odpowiedzi i prób zrozumienia motywów. Prawie pół dekady życia zmarnowane przez tych ludzi.

– Dlaczego Korman zabił bliźniaczki?

– Nie wiem – wyjęczał East. – Naprawdę nie wiem.

– Dlaczego?

– On naprawdę nie wie, Healy

Po raz pierwszy od dłuższego czasu spojrzał na mnie.

– Nie wie?

– Tak twierdzi.

Stał wpatrzony we mnie. Widać było, że przewala się przez niego burza, i przez chwilę myślałem, że zatopi nóż w gardle Easta. Ręce mu drżały, kościste palce zaciskały się na rękojeści.

Ale potem je rozwarł i nóż z brzękiem upadł na podłogę.

Z drugiej ręki wypadła latarka, a on odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Odczekałem dziesięć minut i ruszyłem za nim.

Siedział na dole przy stole i płakał.

Stałem za nim w nadziei, że moja obecność skłoni go do zapanowania nad sobą i powstrzymania szlochu, ale tak się nie stało. Siedział skulony tyłem do mnie i przyciskał palce do oczu, jakby chciał zatkać nimi strumień łez.

W końcu uznałem, że muszę mu pomóc dojść do siebie, i dotknąłem jego ramienia, ale on gwałtownie strząsnął moją rękę, a ja poczułem ulgę, że coś ze starego Healy'ego jednak zostało.

– East przed chwilą mnie zapewnił, że nie miał pojęcia o istnieniu sklepu z antykami Kormana w Camden. Dowiedział się dopiero przy okazji twojego ataku serca. Twierdzi, że zadzwonił do niego Grankin, kazał mu wyjść wcześniej z pracy i pojechać do hali w Camden, nie wyjaśniając nawet po co. On mówi, że dopiero wtedy się dowiedział o istnieniu sklepu. Widocznie Grankin i Korman cię namierzyli i wiedzieli, że go śledzisz.

Healy nie odpowiedział.

Po głowie chodziły mi też inne pytania. Na przykład dlaczego Grankin był taki nieostrożny podczas kradzieży lakieru z magazynku Cabota? A może chciał być na tym przyłapany i wyrzucony z pracy? Czy miało to służyć wzmocnieniu alibi? Udowodnieniu, że w noc morderstwa był na molo i uczestniczył w festynie? Bo do tej chwili ani on, ani Korman nie popełnili żadnego błędu. Zostawienie śladów lakieru na wykładzinie w służbówce było tak bardzo nie w jego stylu. I po co w ogóle przemalowywał te rzeczy?

– Zostały cztery godziny do wschodu słońca – powiedziałem.

Tym razem Healy uniósł głowę i spojrzał na mnie, ale w otaczających nas ciemnościach widać było tylko białka jego oczu i niewiele więcej.

– Dlaczego nie dopilnowali, żeby wszyscy zniknęli?

Zmarszczyłem brwi.

– Co masz na myśli? – spytałem.

– Spowodowali zniknięcie tamtej pary, która rozplynęła się w powietrzu. Dlaczego nie zrobili tego samego ze mną? Albo z Carlą Stourcroft? Albo z Gail i dziewczynkami?

– Nie tak łatwo jest pozbyć się kogoś bez śladu.

– Tak sądzisz? – Wzruszył ramionami.

Pewnie pomyślał o tych wszystkich ludziach, których przez ostatnie lata próbowałem odnaleźć.

Może nawet pomyślał o sobie.

W idealnym świecie Grankin i Korman na pewno by tak zrobili: załatwiliby sprawę na czysto, pozbyli się ofiar bez śladu. I mieliby ku temu sposobność. Carla Stourcroft była inteligentną, ambitną i zmotywowaną kobietą, ale kierowała się instynktem dziennikarki śledczej, a taką zawsze da się zwabić i wyprowadzić w pole pod pretekstem dostarczenia ciekawego materiału. Nie zrobili tego jednak, tylko upozorowali nieudany napad rabunkowy.

Z Healym postąpili podobnie. Tygodniami śledził Calvina Easta, poznawał jego zwyczaje i Korman wywiódł go w pole nagłą zmianą codziennej rutyny. Kazał Eastowi wyjść wcześniej z pracy i pojechać metrem do Camden, wiedząc, że Healy za nim podąży. Zawzięty eksgliniarz, który śledził podejrzanego w jedynej sprawie, na jakiej naprawdę mu zależało, nie mógł przepuścić takiej okazji. Musiał się dowiedzieć, co spowodowało zmianę codziennych zwyczajów. A gdy dotarł na miejsce, Korman polecił Eastowi wyprowadzić Healy'ego do opustoszałej części hali, gdzie mógł przystąpić do akcji: podjęcia gwałtownego ataku, w wyniku którego nastąpił atak serca. Nie wiem, co bardziej mnie w tym złościło: to, że udało mu się przeprowadzić całą akcję tak szybko i skutecznie, czy to, że bezbłędnie rozpoznał objawy fizycznej słabości Healy'ego.

Za mało wiedziałem o Neilu i Anie Yostach, by się choć domyślać, jak pasują do całości, ale jedno było jasne: tym razem była to akcja Grankina. A jeśli udało mu się zawrócić im w głowach do tego stopnia, że gdzieś z nim poszli, świadczyło to o jego umiejętnościach perswazji. Z Gail i dziewczynkami

na pewno byłoby trudniej i wywabienie ich z domu mogłoby się nie udać. Korman musiałby nie tylko pokonać z nimi siedemnaście pięter wieżowca, ale też zapanować nad kobietą i dwiema dziewczynkami. I skłonić Gail do zachowania ciszy mimo jej obaw o życie swoje i córek i okiełznać dwie rozbrykane ośmiolatki, co było znacznie trudniejsze.

W sumie Grankin i Korman wykazali się sprytem i pomysłowością. Choć popełnili wiele przestępstw – doprowadzili do zniknięcia dwojga ludzi, których ciał nigdy nie odnaleziono, zamordowali trzyosobową rodzinę w jej własnym domu, zaaranżowali napad rabunkowy ze skutkiem śmiertelnym i sprawili, że otyły mężczyzna dostał ataku serca – żadnego z nich nie dawało się tak łatwo im przypisać. I nie zawdzięczali tego szczęśliwym zbiegom okoliczności, nie wykorzystywali nadarzających się okazji. Zrobili to świadomie i celowo. Gdyby Korman i Grankin działali zawsze tak samo, ktoś w końcu by to zauważył.

A tak się nie stało.

Aż do teraz.

– Nie rozumiem, dlaczego Stourcroft nie podniosła alarmu – powiedział Healy. – Zabili ją prawie miesiąc po Gail i dziewczynkach, a ona przez ten czas nie pisnęła nikomu ani słowa. Przecież musiała podejrzewać, co się stało, a mimo to nie zawiadomiła policji. Dlaczego, do cholery, nie wzięła do ręki słuchawki i nie zadzwoniła?

Przypomniałem sobie wspomnienie pośmiertne znalezione w domu Easta.

– Bo nie było jej w kraju. Pojechała odwiedzić siostrę w Australii i wróciła do Londynu dopiero piątego sierpnia. Korman i Grankin dopadli ją zaraz następnego dnia.

– Nie oglądała tam telewizji?

– W australijskich wiadomościach na pewno nic o tym nie mówili. Wątpię nawet, by trafiło to do tamtejszych gazet. Jak często słyszymy o zabójstwach popełnionych w Sydney lub Melbourne?

Poszczególne elementy układały się w jedną całość. Korman najpierw zabił Gail i bliźniaczki, potem zajął się Stourcroft. Załatwili ją, zanim zdążyła się dowiedzieć, co się stało podczas jej nieobecności. Zanim usłyszała o śmierci Gail.

Wszystko zostało świetnie zaplanowane.

Spojrzałem na Healy'ego. Przecierał oczy, wycierał policzki rękawem i chyba powoli znów zaczynał nad sobą panować. Na dworze ponownie się rozpadało.

– Jesteś gotów, żeby się stąd ruszyć? – spytałem.

Przytaknął ruchem głowy.

– Muszę pojechać pod dom Easta po samochód, ty zostań tu. Nie powinno mi to zająć więcej niż trzy kwadranse.

– A jak już wrócisz, to co? Co zrobimy z Eastem?

W ręce trzymałem rolkę taśmy użytej przez Healy'ego.

– Weźmiemy go z sobą.

Ruszyliśmy ciemnymi ulicami Londynu na północ. Deszcz przestał padać, ale było zimno i wilgotno i ogrzewanie w samochodzie było włączone na full.

Healy siedział obok mnie otulony płaszczem, od którego biła woń potu i zbyt długo niepranej odzieży. Przez całą drogę milczał, wpatrując się w okno, i w szybie co chwilę pojawiała się rozmyte odbicie jego twarzy. East leżał na tylnym siedzeniu w pozycji embrionalnej, ręce i nogi miał skrępowane, a usta zaklejone świeżym kawałkiem taśmy. Co pewien czas zerkalem na niego w lusterku, ale unikał kontaktu wzrokowego, wlepiając tępo wzrok w oparcie fotela Healy'ego.

Do Wapping dotarliśmy o piątej nad ranem.

Ulica jeszcze się nie przebudziła, pogrążona w nocnej ciszy. W większości dawnych magazynów, które przebudowano na mieszkania, okna były ciemne i pozasłaniane. Dojazd do muzeum również tonął w ciemnościach. Wszystko to było zarazem korzystną i niekorzystną okolicznością. Korzystną, bo oznaczało, że większość mieszkańców jeszcze śpi, niekorzystną, bo niektórzy mogli się już kręcić po domu i nas obserwować, sami nie będąc widocznymi.

Znalazłem miejsce pod drzewami pięćdziesiąt metrów od muzeum i zgasłem silnik. Spojrzałem do tyłu i w oczach Easta dostrzegłem błysk paniki. Skulił się i wcisnął w kąt tylnego siedzenia.

– Spokojnie – mruknąłem.

Przeniósł wzrok ze mnie na tył głowy Healy'ego.

Z kieszeni płaszcza wyjąłem pęk kluczy i uniosłem. Nie licząc telefonu komórkowego i pięciuset funtów w gotówce na zakup nieistniejącego fotela od Healy'ego, East miał przy sobie właśnie tylko te klucze. Jeszcze przed opuszczeniem kryjówki Healy'ego przejrzelismy w jego telefonie listę kontaktów i wykaz ostatnich połączeń i kazaliśmy Eastowi wskazać numery

Kormana i Grankina. Były zapisane pod pseudonimami: Grankin nazywał się Vic Smith, Korman występował jako Paul Gray. Tyle że Korman nigdy do niego nie dzwonił, a Grankin za każdym razem łączył się z telefonu stacjonarnego w swoim domu w Whitehall Woods. Dodatkowo East miał obowiązek czyszczenia pamięci telefonu po każdym połączeniu głosowym, mailowym i internetowym.

Niemniej wgląd w telefon Easta pozwolił nam się zorientować, kiedy jego nieobecność może zostać zauważona przez Grankina i Kormana oraz jak często go sprawdzają. Czy zadzwonią do niego od razu rano, gdy nie pojawi się w pracy? Czy zrobią to dopiero po paru godzinach? Albo jutro? Albo pojutrze? Nie zastanawiałem się zbyt długo nad możliwością, że jakimś cudem już teraz wszystko wiedzą.

– Który z nich jest do bramy na molo? – zapytałem, pokazując klucze.

Na kółku było ich dziesięć i zacząłem je kolejno przekładać. Przy ósmym East kiwnął głową. Żółty kluczyk Yale. Przy dziesiątym East ponownie skinął głową. Jeden musiał być do bramy, drugi do drzwi pawilonu. Zdjąłem oba z kółka, resztę i komórkę Easta schowałem do kieszeni, wysiadłem z samochodu i uważnie rozejrzałem się po okolicy. Kawalek od muzeum stała ciężarówka z migającymi światłami awaryjnymi. Poza nią nie było widać żadnych innych oznak życia. Ogarnął mnie niepokój. A jeśli już wiedzą? Raz jeszcze się rozejrzałem, upewniając się, że nikt nas nie obserwuje.

Wróciłem do samochodu, usiadłem za kierownicą i sięgnąwszy do tyłu, zerwałem taśmę z ust Easta. Syknął z bólu, oczy nabiegły mu łzami.

– Kiedy Grankin do ciebie zadzwoni?

– Nie wiem – jęknął.

– Jak często rozmawiacie?

Wzruszył ramionami na tyle, na ile pozwoliły mu skrępowane ręce.

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, czy mnie potrzebuje. Od dłuższego czasu nie miałem z nim kontaktu. Dopiero wczoraj przyjechał do mnie do domu i zabrał jedną z maszyn z salonu gier.

Miał na myśli dwie maszyny stojące w jego garażu, z których jedną Grankin załadował do samochodu i wywiózł. Uświadomiłem sobie przy okazji coś, co wcześniej zdawało się nie mieć znaczenia. Maszyna zostawiona w garażu miała obudowę metalową, zabrana bagatelle była drewniana.

– A ta, którą wczoraj od ciebie wziął – powiedziałem – to jedna z tych, które w dwa tysiące drugim zostały zamienione miejscami?

East przytaknął. Było więc tak, jak mówił. Od dwunastu lat Grankina interesowało pięć tych samych maszyn, które za każdym razem zabierał, lakierował i oddawał. Healy spojrzał na mnie pytająco, jak ja zaskoczony tym postępowaniem.

Popatrzyłem w zamyśleniu na budynek muzeum. Wydawało mi się, że tuż za rogiem dawnej papierni widzę zarys moło. A może nie? Może to tylko gra cieni? Coś, co ma przyciągnąć moją uwagę?

– Kiedy po raz ostatni byłeś w pawilonie? – spytałem Easta.

Pokręcił głową.

– Nie pamiętasz?

– Nie.

– A tak na oko?

Chwilę się zastanawiał.

– Jakies półtora roku temu. Cztery lata temu pan Cabot zaniepokoił się stanem dachu pawilonu i poszedł go obejrzeć w towarzystwie dwóch ludzi z rady miejskiej. Po paru latach dach zaczął grozić zawaleniem, ściągnął więc kogoś z inspekcji budowlanej i w rezultacie dach został wzmocniony. Przy tej drugiej wizycie pytałem pana Cabota, czy mógłbym mu towarzyszyć, bo chciałem się przyjrzeć pawilonowi z bliska. Ale większość czasu i tak spędziliśmy na zewnątrz budynku. W jego obecnym stanie wchodzenie do środka jest niebezpieczne, a remont okazał się zbyt kosztowny.

– Nie odezwały się żadne dzwonki alarmowe?

– W pawilonie? Nie.

– I nic nie wzbudziło niczyich podejrzeń?

– Nie.

To co tam robił Grankin?

Winston Cowdrey, informator Carli Stourcroft, widział Grankina na molo we wrześniu 2007 roku, czyli ponad siedem lat temu. Pomyślałem o Cowdreym stojącym w jednym z okien w zasięgu naszego wzroku – można było tylko mieć nadzieję, że nie został namierzony przez Grankina lub Kormana – szybko jednak powróciłem do zapewnień Easta, że nic w pawilonie nie wzbudziło niczyich podejrzeń. Może to, do czego Korman i Grankin używali pawilonu, już dawno temu przestało mieć znaczenie? Bo gdyby w środku działo się coś podejrzanego, Cabot na pewno by to zauważył. East pewnie też. Spojrzałem na niego, by się upewnić, czy nic w jego zachowaniu nie wskazuje na to, że nie mówi prawdy, ale ten etap mieliśmy już za sobą.

East kłamanie miał za sobą.

Ponownie zakleiliśmy mu usta, a on przyjął to potulnie i nawet nie próbował protestować. Wsiadłem, z bagażnika wyjąłem latarkę i wetknąłem ją sobie za pasek, po czym – raz jeszcze rozejrzawszy się wokół – zabrałem się za wyciąganie Easta z tylnego siedzenia. Nikt nas nie obserwował. Na wpół go prowadząc, na wpół niosąc, dowlokłem Easta do bagażnika i w miarę delikatnie wepchnąłem do środka, układając go na postrzępionym kawałku koca.

Usłyszałem, że Healy wysiada.

– Niedługo tu wrócimy – powiedziałem do Easta.

Obrzucił mnie przerażonym spojrzeniem.

– A jak już wrócimy?

To były pierwsze słowa Healy'ego, które wypowiedział od wyjazdu z Camberwell. Stał obok mnie w płaszczu przeciwdeszczowym zapiętym pod szyję i kapturze zakrywającym jego łysinę, z odrazą wpatrując się w Easta. Tak naprawdę jeszcze nie postanowiłem, co w końcu zrobię z naszym więźniem, ale nie był to odpowiedni moment, żeby się o to spierać.

– Chodźmy – rzuciłem, zatrzasnąwszy bagażnik.

Za bramą czekało na nas molo.

Ledwo minęliśmy budkę kasową pokrytą rdzą i przeszliśmy kawałek chodnikiem, znów zaczęło mocno padać. Fale deszczu zacinały znad Tamizy. Na tylnej ścianie muzeum nie było lamp bezpieczeństwa, na blask z okolicznych okien nie było co liczyć, ale nawet przy zgaszonych latarkach dało się dostrzec wystarczająco dużo. Za rzeką jarzyła się łuna nad południowym Londynem i rzucane przez nią plamy światła wzdłuż Tamizy wydobywały zarysy molo z wczesnoporanego mroku, ukazując sterczące z wody pale nośne. Im bardziej zbliżaliśmy się do bramy, tym głośniejszy stawał się szum płynącej wody, rozbrzmiewając niczym pieśń.

Otworzyłem kłódkę i obejrzałem się do tyłu. Healy też się rozglądał, prześlizgując się wzrokiem po okolicznych budynkach. Przeszliśmy obok bzyżącego cicho drutu pod napięciem i po chwili znaleźliśmy się za bramą. Kłódka zawisała z powrotem na skoblu, kawałek dalej przed nami wznosił się budynek pawilonu.

Healy popatrzył na mnie.

Twarz miał pozbawioną wyrazu, ale w jego oczach czaił się niepokój. Pawilon stojący na końcu stumetrowej promenady był kanciastą budowlą z wielkim kopulastym dachem. Po obu stronach pomostu z butwiejących desek ciągnęły się rzędy straganów, gdzie niegdyś ludzie w strojach z epoki wciskali gościom watę cukrową i lody. Na niektórych wciąż było widać wypłowiałe nazwy, ale większość zaślepiono deskami i zamieniono w drewniane rudery, z których lata deszczów splukały wszelkie ślady dawnej świetności.

Szliśmy najszybciej, jak się dało, walcząc z zacinającym deszczem. Pomost zdawał się uginać pod naszym ciężarem, niektóre deski były popękane, wielu

brakowało. Powstałe w ten sposób wyrwy nie były na tyle duże, by można było w nie wpaść, ale wzmagaly wrażenie niepewności. Brakowało zresztą nie tylko desek pod nogami. Mniej więcej w jednej trzeciej długości promenady nie było całego fragmentu drewnianej balustrady, który dawno temu wpadł do wody i został przez nią zabrany. Dziurę zasłaniała przewrócona na bok zardzewiała metalowa ławka, wyrwana ze stalowej płyty mocującej. Nie ostała się też centralna altana wypoczynkowa, którą zbudowano na wzór przeszklonej altany z Wielkiego Molo w Weston-super-Mare. Większości szybek brakowało, a metalową konstrukcję pokrywała warstwa pleśni i soli.

Zbliżając się do pawilonu, uświadomiłem sobie, że Healy'ego nie ma obok mnie, i obejrzałem się za siebie. Szedł wolno i z wysiłkiem, zmagając się z wiatrem i deszczem. Otulił się ciasniej płaszczem, który niczym druga skóra oblepiał jego żałośnie wątłą sylwetkę. Chyba nie należało go tu przywozić, pomyślałem, patrząc na jego pobladałą twarz. Zauważył, że mu się przyglądam, i ruchem ręki dał znak, że mam na niego nie czekać. Posłuchałem, ale niepokój mnie nie opuścił i gdy dotarłem do czerwonych drzwi pawilonu, jeszcze się nasilił.

Ponad moją głowę fronton budynku mierzył w poranne niebo, ukazując starcze plamy na swojej powierzchni. Okna wyglądały na nienaruszone i z wyjątkiem dwóch zabitych deskami nadal lśniły w nich szyby. Drugim kluczem otworzyłem kłódkę na drzwiach, chwyciłem za ich skrzydło i szarpnąłem. Zawiasy skrzypnęły i owionęła mnie woń zbutwiałego drewna, wilgoci i zgnilizny. Tuż za drzwiami, na wysokości około dwóch metrów, wznosił się łuk z powitalnym napisem:

WIKTORIAŃSKI SALON GIER GOLDMANA
WITA WAS HISTORIA

Spomiędzy słów „salon” i „gier” wychylał się uśmiechnięty klaun w wiktoriańskim cylindrze, ciągnące się za łukiem wewnątrz pawilonu tonęło w ciemnościach.

Przypomniałem sobie, że nie jestem sam, i jakby na potwierdzenie usłyszałem za sobą szuranie nóg Healy'ego. Odwróciłem się, powiodłem

wzrokiem po jego wychudzonej sylwetce i spojrzałem na przebyty fragment promenady. Deszcz tak się wzmógł, że z trudem dawało się dojrzeć północny brzeg Tamizy, stojące na nim muzeum i stare budynki magazynowe, które chwilami całkowicie niknęły w ulewie i porannej mgle. Poczułem się tak, jakbym dryfował po morzu w strugach deszczu. Pasowało to do mojego wrażenia z wczoraj, gdy patrzyłem na promenadę. Molo wydało mi się wtedy strasznie samotne, zupełnie wyobcowane z otoczenia. Healy dołączył do mnie, sapiąc z wysiłku i świdrując mnie spojrzeniem, jakby chciał odczytać moje myśli. Stałem twarzą do wejścia i ciemnej czeluści za drzwiami i wróciłem myślami do słów Calvina Easta, które wypowiedział podczas naszego pierwszego spotkania: *Mówi się, że od tamtej pory duch Samuela Browna nawiedza ten odcinek rzeki i zapewne też molo.*

Ja też wierzyłem w upiory, choć były to zawsze upiory rozpacz, straty i żałoby, ale mimo to trudno było tu stać, słuchać pojękiwania molo na wietrze i nie czuć dreszczy niepokoju.

– Wszystko w porządku? – wychrypiał Healy.

– To się dopiero okaże – mruknąłem, ruszając przodem.

Wewnątrz panowała grobowa cisza. Szum deszczu – tak intensywny na zewnątrz – całkiem ucichł w chwili, gdy zamknąłem za nami drzwi. Wzrok powoli przyzwyczajał się do ciemności, ale bez włączonych latarek i tak nie było nic widać. Do środka nie przedostawał się ani jeden promyk światła dziennego ani elektrycznego zza rzeki, wszystko tonęło w kompletnych ciemnościach.

Zapaliłem latarkę.

Wnętrze pawilonu było jedną długą halą o wysokim sklepieniu; wzdłuż lewej ściany ciągnął się balkon wsparty na kolumnach. Na samej górze znajdowało się coś jeszcze, co z poziomu parteru trudno było rozpoznać, ale układ przestrzenny budowli był zupełnie prosty.

Posuwałem się do przodu, stąpając po pozostałościach pierwotnego rozplanowania salonu gier w postaci ciemniejszych obrysów w miejscach, gdzie kiedyś stały automaty. Rozmieszczone były wzdłuż bocznych ścian, od wejścia aż do końca hali, podłogę pokrywała masa okruchów szkła, które chrzęściły pod moimi butami. Brnąłem przez to pomieszczenie, myśląc o Garym Cabocie i o tym, jak tu musiało wyglądać za czasów jego młodości. Prądu elektrycznego używano wówczas tylko do oświetlenia, a to znaczyło, że urządzenia do gry nie brzęczały. Pawilon wypełniały dźwięki wydobywające się ze starych fonografów, muzyka grana na żywo przez orkiestrę dętą zaangażowaną przez Goldmana oraz gwar rozmów i śmiechy gości. Wszystko to należało już do przeszłości i budynek trwał w grobowej ciszy.

Tak jak całe molo.

Healy przesunął się w prawo.

Wraz z gęstniejącymi wokół nas ciemnościami gęstniały też otaczające nas zapachy i powietrze stawało się coraz cięższe od wilgoci i woni zgnilizny.

W miarę oddalania się od wejścia smród stał się coraz trudniejszy do wytrzymania; poczułem lekki zawrót głowy i zacząłem mieć zwidy. Nagle wydało mi się, że boczne ściany napierają na siebie i za chwilę zakleszczą mnie w ślepym zaułku. Wrażenie było absurdalne i nieracjonalne, ale im bardziej chciałem się z niego otrząsnąć, tym natarczywiej mnie atakowało. I dopiero po chwili przyszło olśnienie: przecież od blisko doby nie zmrużyłem oka.

Stanałem, czując, że ciężą mi nogi, pod powiekami mam piasek, a w głowie mi huczy. Parę razy głęboko odetchnąłem, by dotlenić mózg i zmusić go do pracy.

Skierowałem światło latarki wprost przed siebie.

Cztery otynkowane na biało kolumny, popękane i brudne, wznosiły się niecałe dziesięć metrów dalej, podpierając balkon z balustradą z desek. Znajdujący się po drugiej stronie sali Healy omiatał światłem latarki ściany niczym latarnia morska.

Ruszyłem schodkami na balkon.

Gdzieś nad głową usłyszałem łopot skrzydeł ptaka zrywającego się do lotu, ale zaraz znów zapadła cisza, a ja się rozejrzałem. Zobaczyłem nad sobą kolejny łuk z identycznym klaunem w cylindrze, tyle że tu napis zapraszał do SPEKTAKULARNEGO LUSTRZANEGO LABIRYNTU GOLDMANA. Za nim widać było ślady po tym, co tu kiedyś stało. Tafle luster przeniesiono do muzeum i pozostałe po nich puste ramy wyglądały jak las metalowych drzew, wyrastających z ciemnego, martwego stawu.

Wszedłem w ten las i przeciskając się między ramami, dotarłem do końca balkonu i poświeciłem latarką w dół. W pierwszej chwili niczego szczególnego nie zauważyłem, potem jednak moją uwagę zwrócił ciemny zarys na drewnianej podłodze.

Ślady po wypaleniu.

Zawróciłem na dół i podszedłem do śladów.

Miały kształt kręgów o średnicy około pół metra. Podłoga była w tych miejscach tak bardzo wypalona, że powstały wyżłobienia o szerokości półtora centymetra, ale już wszędzie indziej drewniana powierzchnia pozostawała nietknięta.

– Na co tak patrzysz?

Healy stanął tuż za mną i też skierował światło latarki na ślady po wypaleniu. Przyklęknąłem i powiodłem palcem po jednym z wyżłobień. Pokrył się warstewką brudu.

Nie był to zwykły brud.

– Co to jest? – spytał Healy.

– Popiół.

Poświeciłem w głąb pawilonu; plama światła prześlizgnęła się po lewej ścianie i po kilku metrach wydobyła z ciemności jakiś przylegający do niej kształt. Podest o szerokości około dwóch metrów, otoczony metalową barierką. Podeszedłem bliżej i odczytałem napis na planszy zawieszanej na barierce: ZDUMIEWAJĄCY MISTER E! i niżej: SZTUKI KARCIANE, MAGIA I ILUZJE! NIE UWIERZYCIE WŁASNYM OCZOM!

Zdumiewający magik już dawno temu musiał pójść w zapomnienie, bo na podeście, na którym kiedyś występował, została wyblakła, obłaząca plansza reklamowa, ale nie tylko. Na krawędzi podestu stało też coś, czego z całą pewnością nie można było zaliczyć do sentymentalnych pamiątek z czasów wiktoriańskich.

Zdezelowany magnetofon kasetowy.

Poza magnetofonem nie było nic więcej.

Podniosłem go i obróciłem w rękach. Był czerwony, poobijany i niekompletny, z przodu miał pięć przycisków oznaczonych kolejno: REC, PLAY, REW, FF i STOP. Z tyłu znajdowała się pusta komora na baterie, w której brakowało baterii i przykrywki, ale obok widniało wytłoczone logo fabryczne i napis: MADE IN CHINA 2006. Być może technologia kasetowa należała do przeszłości, ale ten konkretny magnetofon miał zaledwie osiem lat. Co on tu robił?

Poświeciłem wokół latarką. Wszystko wyglądało tak samo: stare zbutwiałe deski, zarwane konstrukcje, chwiejna podłoga pod nogami, brud i syf litościwie skrywane przez ciemności.

Podest był sześciokątny, pięć boków było ogrodzonych żelaznymi barierkami, szósty zamiast barierki miał prowadzące na niego schodki. Spojrzałem na Healy'ego i poczułem, że przyszło nam to samo do głowy.

Neil i Ana Yostowie.

Magnetofon był z 2006 roku, oni zniknęli w 2007. Czy wtedy ich tu przywieziono? Czy magnetofon służył Kormanowi i Grankinowi do ich nagrywania?

Ale w jakim celu?

Healy wszedł na podest i poświecił.

– Nic tu nie ma – oświadczył.

Miał na myśli plamy krwi. Włosy. Ślady świadczące o dokonanym zabójstwie.

– Już nie – rzuciłem.

– Chcesz powiedzieć, że gdzieś ich tu zostawili? – Omiótł latarką wszystkie kąty. – East mówił, że Cabot był tu kilka razy w sprawie dachu. Towarzyszyli

mu ludzie z rady miejskiej. Inspektorzy nadzoru. Budowlańcy. Myślisz, że nie zauważyliby dwóch trupów? Korman i Grankin nie byłoby aż tak nierozważni.

– Zgadzam się. Nie sądzę, by zostawili tu ciała.

– Ale uważasz, że trzymali ich tu przed śmiercią?

– Może niezbyt długo, ale pamiętaj, że Grankin był ochroniarzem Cabota, więc znał jego zwyczaje. Myślę, że sprowadzili tu Yostów, zabili i zostawili zwłoki do czasu, aż mogli się ich pozbyć.

– To znaczy?

– No cóż, pod nami przecież płynie rzeka.

Zastanowił się.

– Ale ciała wypływają.

– Może mieli dostęp do jakiejś łodzi. Może poćwiartowali ciała i wrzucili je do wody w dole rzeki. Może nawet popłynęli z nimi aż do morza. Nie wiem.

– A to? – Wskazał magnetofon. – Nie żyjemy w latach osiemdziesiątych. Jeśli chcieli coś nagrać, czemu nie skorzystali z kamery wideo? Albo z telefonu?

– Nie wiem. – Pokręciłem głową.

Ale potem uzmysłowiłem sobie coś jeszcze. Wiszący w powietrzu, dławiący smród.

– Czujesz to?

Healy pociągnął nosem.

– Co mam czuć? – mruknął.

– Nic nie czujesz?

Pokręcił głową i ponownie omiółł podest światłem latarki. Przez chwilę milczałem, nie potrafiąc ustalić źródła smrodu, po czym poświeciłem za podest. Chociaż w pawilonie było zimno, czułem ściekające mi po plecach krople potu i klejący się do ciała T-shirt. W głowie mi pulsowało, nie wiedziałem jednak, czy z niewyspania czy może z innego powodu. Zacerpnałem powietrza, w głowie mi się zakręciło, przed oczami zatańczyły białe plamy.

– Co to, do cholery, tak śmierdzi? – jęknąłem.

Healy znów pociągnął nosem i znów obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem. Odłożyłem magnetofon i zszedłem z podestu w otaczającą mnie

czern. Zewsząd napierały na mnie ciemności. Zrobiłem kilka kroków i dopadł mnie jeszcze większy smród. Odwróciłem się.

Co się, u diabła, ze mną dzieje?

Przetarłem sobie oczy i na moment znieruchomiałem, a potem przypomniałem sobie omdlenie w muzealnym gabinecie luster.

– Raker? Dobrze się czujesz?

Bez słowa zawróciłem, minąłem podest, wypalone w podłodze kręgi, schodki na balkon i pustą galerię gier i dotarłem do drzwi. Im bliżej byłem wyjścia, tym bardziej powietrze zdawało się cuchnąć. I to nie był smród butwiejącego drewna, wilgoci i pleśni, które czułem, wchodząc tu. To było coś innego. Myśl trzeźwo.

Myśl trzeźwo.

Myśl...

– Raker?

W ciszy pawilonu rozległ się głos Healy’ego, o którego istnieniu prawie zapomniałem. Poświeciłem do tyłu, ale snop światła sięgnął tylko połowy odległości między nami. Nie widziałem go. Słyszałem tylko jego głos.

– Co się dzieje?

– Zaczekaj – rzuciłem, powracając myślami do smrodu, który zaczynał mi się z czymś kojarzyć.

Ta woń! Sekundę później poczułem dreszcze, jakby reakcja ciała była szybsza od umysłu.

– Raker?

– Tak, dobra, daj mi chwilę...

I w tym momencie dotarło to do mnie i niemal chwyciło za gardło. Ta woń. Już wiem, skąd się bierze. Spojrzałem w głąb, choć Healy’ego nie było stąd widać.

– Healy! – zawołałem. – Healy, ruszaj się. Musimy wiać.

– Co?

Sięgnąłem do drzwi.

– Dlaczego?

– Nie pytaj i chodź tu – powtórzyłem. – Natychmiast.

Otworzyłem drzwi i wyjrzałem na zewnątrz.

Jasna cholera!

Woń przewaliła się przeze mnie, wessana przez ciemność, atakując mnie jak coś namacalnego i potężnego. Zrobiłem krok do przodu. Deszcz przestał padać, niebo się przejaśniło, deski molo zaczynały już obsychać.

W połowie molo wzbijała się w mgliste poranne niebo chmura czarnego dymu, w powietrzu czuć było zapach palącego się drewna. Ale to nie ten zapach mnie prześladował. Śmierdziała strużka płynu, która zaczynała się przy drzwiach pawilonu i ciągnęła po deskach molo w stronę brzegu.

Benzyna.

Ktoś podpalił molo.

Nic poza ulewnym deszczem nie było w stanie ugasić pożaru. Płomienie buchały, rozprzestrzeniając się gwałtownie i pożerając stare drewno. Przeniosłem wzrok z płomieni na stróżkę benzyny, która sięgała prawie do drzwi pawilonu. Ściany zewnętrzne, połyskujące w świetle mojej latarki, najwyraźniej też zostały nią oblane. Ktoś postanowił wszystko spalić, łącznie z zawartością pawilonu. Czyli wszystko, co w nim było. Czyli także Healy'ego i mnie.

Krzyknąłem na Healy'ego, wskoczyłem do środka i ruszyłem w jego stronę. Szedł ślamazarnym krokiem środkiem sali, przyświecając sobie latarką i wpatrując się w uchylone drzwi wejściowe.

– Co się, u diabła, dzieje?

– Jesteśmy w głębokiej dupie! – wrzasnąłem, chwytając go za rękę.

Mniej więcej w połowie pawilonu wreszcie to do niego dotarło. Przez drzwi zaczynał się wciskać czarny dym niesiony lekką bryzą. Godzinę przed wschodem słońca noc zaczynała przegrywać z porankiem, ale to nie pierwszy brzask pozwolił mu zorientować się w sytuacji, tylko szalejące płomienie i jęzory ognia sunące po ścieżce z benzyny.

Zawahał się i zwolnił.

– Musimy uciekać – ponagliłem go, kładąc mu rękę na ramieniu.

Strząsnął ją.

– Uciekać dokąd?

– Za dziesięć minut to miejsce przestanie istnieć.

– Uciekać dokąd, Raker?

Spojrzałem na drzwi.

Niestety, miał rację.

Nie było szans na ucieczkę drogą, którą przyszlismy. Poza ogniem slychać bylo, jak całe molo trzeszczy, a jego wiekowa konstrukcja ulega pod naporem płomieni. Belki kratownic pod promenadą już zajęły się ogniem i widać było, że niedługo runą wraz z deskami pomostu, które posypią się do wody jak domino.

Nawet gdyby przedarcie się przez płomienie było możliwe – a nie było – to dalej też nie było bezpiecznie, bo molo zostało już mocno nadgryzione przez ogień i całość ledwo się trzymała.

– Trzymaj się mnie – rzuciłem.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – odezwał się znękany głosem Healy.

Na moment przystanąłem, zaskoczony jego reakcją. Pamiętałem, co powiedział w domu w Camberwell. *Leżenie w śpiączce pozbawiło mnie instynktu przetrwania. Pozbawiło mnie wszystkiego. Po prostu nie chciało mi się już żyć.* Z jego zachowania wynikało jednak, że to nieprawda. W każdym razie nie do końca. Nie chciał tu umierać ani trochę bardziej ode mnie. Chciał żyć.

Chciał wyjść z tego cało.

Mimo że znajdowaliśmy się na końcu konstrukcji, która miała za chwilę runąć, czułem dziwną ulgę. A potem coś głośno zatrzeszczało, głęboko westchnęło i cała podłoga promenady przechyliła się w prawo.

Znów chwyciłem go za ramię i skierowałem światło latarki w lewo, wydobywając z ciemności przejście za pawilon wzdłuż barierki, gdzie wciąż jeszcze stały stare zardzewiałe lunety. Tuż za pawilonem widać było resztki krytej estrady z częściowo zarwanym dachem, z którego zsuwały się dachówki tworzące z boku stertę. Deski, na których niegdyś przygrywała orkiestra dęta Goldmana, po latach moknięcia na deszczu, ochlapywane nieustannie morską wodą, straszyły licznymi dziurami.

W balustradzie bezpośrednio za estradą widać było żelazną furtkę poruszającą się na wietrze. Dostrzegłem za nią drabinę schodzącą w dół na niewielki, porośnięty wodorostami pomost. Podszedłem do furtki i spojrzałem przed siebie. Drewniany pomost był już mocno sfatygowany, obłuzowane deski sterczały jak rozczapierzone palce. Dawniej przybijały do niego niewielkie stateczki.

Ale teraz już się do tego nie nadawał.

Popatrzyłem na Healy'ego, który stał z ręką zaciśniętą na balustradzie i z głową zwróconą do tyłu. Płomieni prawie nie było widać, bo zasłaniał je pawilon, za to słychać je było aż nazbyt wyraźnie. Palące się drewno strzelało tak, jakby się walił cały las. Do naszych uszu dochodził jeszcze inny dźwięk.

Wycie syren.

– Musimy stąd wiać.

Healy przeniósł wzrok na furtkę i pokręcił głową.

– Mam dopłynąć stąd do brzegu? Chyba żartujesz. Popatrz na mnie. Czy ja wyglądam na pływaka?

– Wolisz tu umierać?

Zerknął przez balustradę w dół, potem spojrział na budynek muzeum na końcu molo. Coś głośno stęknęło, jakby jakiś olbrzym wydawał ostatnie tchnienie, po czym ujrzeliśmy, jak pawilon pada ofiarą potężnych, niemożliwych do opanowania sił natury.

– Grozi nam hipotermia – mruknął.

– W samochodzie mam zapasowe ciuchy. Jak tylko tam dotrzemy, będziesz mógł się przebrać i rozgrzać. Przeżyjesz. Ale musimy natychmiast ruszać. – Rzuciłem okiem na płonący dach pawilonu i rozprzestrzeniający się szybko ogień. – I nie chodzi już tylko o pożar.

Wiedział, co mam na myśli.

Syreny oznaczały straż pożarną.

A straż oznaczała policję.

Zaczeliśmy schodzić po drabince, ja pierwszy, za mną Healy. Na dole ostrożnie nacisnąłem nogą pomost, sprawdzając, czy się od razu pode mną nie rozleci. Stałem na nim i przesunąłem się, robiąc miejsce Healy'emu. Poruszał się bardzo ospale, znacznie wolniej, niż powinien, ale nic nie powiedziałem. Gdy ostatecznie stanął na pomoście, uklęknąłem i wpatrzyłem się w wodę, próbując określić kierunek i siłę prądu.

– W tej rzece pływają wszystkie gówna świata – wymamrotał Healy.

Woda płynęła z zachodu na wschód, prąd zasilony deszczem był wartki. A to znaczyło, że gdy tylko znajdziemy się w wodzie, natychmiast poniesie nas w stronę płonących resztek molo.

– Słyszałeś, co przed chwilą powiedziałem? – Spojrzałem na niego. – Jeśli tu zostaniemy, to zginiemy. – Przez jego twarz przebiegł lekki skurcz. – Płyniesz ze mną?

Jeszcze chwilę milczał, po czym powiedział cicho:

– Ja nie umiem pływać.

W tych czterech słowach mieściło się tak dużo: przyznanie się do kolejnej porażki, niewypowiedziane błaganie o pomoc, potwierdzenie, że miałem rację. Bo teraz chciał już żyć.

– Dobra – rzuciłem.

Zsunąłem się do wody i przytrzymałem pomostu. Była zimna, ale nie aż tak, jak się tego obawiałem. Za to od razu poczułem napór prądu.

– Dobra – powtórzyłem, wyciągając ku niemu rękę. – Ruszamy.

Zmaganie się z wodą okazało się brutalnie wyczerpujące. Płynąłem na plecach, ciągnąc za sobą Healy'ego – siedemdziesiąt kilo żywej wagi – cały czas walcząc z prądem, który spychał nas ku płonącemu molo.

Bój o to, by nie dać się wciągnąć pod walący się pomost, wymagał wykorzystania wszystkich zasobów energii i całej siły woli, ale rzeka i tak okazywała się silniejsza, a molo bombardujące nas płonącymi pociskami przyciągało jak magnes. Healy szybko zaczął panikować i coraz bardziej wiercił się w moim uścisku, aż musiałem na niego wrzasnąć, żeby się uspokoił. Sam jednak nie miałem w sobie za grosz spokoju i serce waliło mi w piersi tak mocno, że słyszałem w uszach jego dudnienie. Z góry leciały płonące kawały drewna wielkości podkładów kolejowych, z chlupotem wpadały do wody i nadal się w niej paliły, przez co robiło się gorąco jak w piecu.

W końcu jednak wypłynęliśmy po drugiej stronie molo, piekielny żar i płonące pociski zostały za nami i zaczęło nas znosić dalej na wschód. Obejrzałem się przez prawe ramię i dostrzegłem za sobą piaszczystą łachę. Stanowiła niewielką wyrwę w brzegowej cembrowinie i znajdowała się na wysokości dawnego magazynu, który przebudowano na blok mieszkalny. W paru oknach paliło się światło, ale byliśmy zbyt daleko, by zauważyć, czy ktoś nas widzi. Podciągnąłem Healy'ego tak, by jego głowa spoczęła na moich piersiach, i zacząłem płynąć w stronę łachy.

Nie było łatwo, ale się udało, choć dobiliśmy do brzegu tuż przed końcem piasku. Wyciągnąłem Healy'ego na brzeg, po czym zgiąłem się wpół i przez dłuższą chwilę walczyłem o odzyskanie oddechu. Bolał mnie każdy mięsień, w płucach szalał ogień, a w głowie tak łupało, że miałem trudności z widzeniem. Odwróciłem się i spojrzałem na molo, które stało jakieś pół

kilometra w górę rzeki. Wyglądało na to, że w ciągu dwudziestu minut pawilon spali się doszczętnie. Połowy już nie było, przód budynku stopniowo się zapadał, jak usta otwarte do krzyku.

Healy zaniósł się kaszlem.

Leżał rozciągnięty na plecach i wydawał się bardziej wyczerpany niż ja, choć to ja holowałem jego. Ubranie przyłgnęło do jego wychudzonej sylwetki, płaszcz oblepiający go niczym folia spożywcza ukazywał zarys żeber, lewą kość biodrową i wszystkie zagłębienia oraz nierówności ciała, które niecały rok wcześniej pokrywała warstwa tłuszczu.

– To Korman – wydusił.

Raz jeszcze popatrzyłem na molo. Widać już było na brzegu tłumek gapiów przyglądających się pożarowi. Zatrzymywało się też coraz więcej porannych biegaczy i spacerowiczów z psami, którzy dołączali do tłumu zafascynowanego widokiem rozpadającego się molo. Reliktu dawnych czasów, który za chwilę miał przestać istnieć.

– No. – Pokiwałem głową. – Korman.

– Skąd on wiedział, że tam jesteśmy?

Wzruszyłem ramionami, wciąż jeszcze z trudem łapiąc oddech.

– Zakładał, że w końcu tam trafimy. Nie zauważyłem, żeby ktoś nas śledził, ale to jeszcze nie znaczy, że tak nie było. Mógł przyjść i po prostu nas zabić, ale co by było, gdyby któremuś z nas udało się uciec? Bezpieczniej było najpierw pozbyć się dowodów.

– Zostawienie nas przy życiu było ryzykowne.

– Tak myślisz?

– Mogliśmy od razu pójść na policję.

– Wie, że tego nie zrobimy – mruknąłem.

Jeśli Korman przyszedł za nami na molo i zobaczył mnie z Healym, dowiedział się, że Healy żyje.

A to znaczyło, że znalazłem się w pułapce.

Jeszcze jeden fragment jeszcze jednego kłamstwa.

Betonowymi schodkami wydostaliśmy się z piaszczystej łachy na wąską dróżkę biegnącą wzdłuż brzegu. Stałem i rozejrzałem się. Znajdowaliśmy się przy końcu Wapping High Street, od niewidocznego za zakrętem drogi muzeum dzieliło nas około trzystu metrów. Wiedziałem jednak, co nas tam czeka. Syreny nadal wyły, a ściany okolicznych budynków były aż niebieskie od błyskających lamp radiowozów.

– Zostań tu – powiedziałem do Healy’ego.

Było nam zimno, a ściślej mówiąc – byliśmy przemarznięci do szpiku kości, dodatkowo wystawieni na przenikliwy chłód poranka. Healy dygotał i kulił się i wiedziałem, że jeśli wezmę go ze sobą, potrwa to znacznie dłużej. Ściągnąłem marynarkę i podałem mu.

– Szybko wyschnie – zapewniłem go. – Otul się nią, choć trochę się rozgrzejesz.

Przyjął ją bez słowa i zaraz włożył.

Raz jeszcze rozejrzałem się po okolicy. Minęła siódma i mimo niedzieli ludzie zaczęli się już kręcić, zaintrygowani zamieszaniami wokół muzeum. Byłem kompletnie mokry i łatwo mogłem zwrócić czyjąś uwagę, ale nie miałem wyboru. W samochodzie leżały suche rzeczy, które obiecałem Healy’emu, co jednak ważniejsze, w bagażniku wciąż tkwił East. Musiałem jego, nas i samochód jak najszybciej ewakuować z Wapping.

– Wracam za pięć minut – rzuciłem i ruszyłem przed siebie, starając się choć trochę wygładzić na sobie ubiór.

Ale nie było co się oszukiwać: wyglądałem na kogoś, kto przed chwilą wyszedł z rzeki, a zmięta koszula i spodnie kleiły się do mojego ciała. Przeczesałem nieco włosy, by nadać im odrobinę przyzwoitszy wygląd. Poruszałem się szybko i tak swobodnie, jak się dało.

Przy stacji kolejki naziemnej przeszedłem na drugą stronę ulicy, by uniknąć pary kręcącej się przy wejściu, potem jednak musiałem zatrzymać się na skrzyżowaniu z Wapping Lane i przepuścić dwa wozy strażackie, oba z błyskającymi lampami i wyjąłymi syrenami. Cofnąłem się w głąb chodnika na tyle, by zniknąć z ich pola widzenia, po czym odczekałem, aż objadą rondo i skręcą w kierunku muzeum. Gdy oddalili się na bezpieczną odległość, ruszyłem w dalszą drogę.

Wapping High Street biegnie lekkim łukiem w prawo, więc dopiero po dotarciu do King Henry's Wharf, jakieś pięćset metrów przed muzeum, dostrzegłem, że cały teren wokół starej papierni jest obstawiony radiowozami. Stały w poprzek jezdni, osłaniając trzy wozy strażackie, których załogi były zajęte doprowadzaniem węży gaśniczych do muzeum i dalej do dopalającego się już molo. Obszar ten otoczony był taśmą policyjną, blokującą dojście do muzeum.

Obszedłem ogrodzony teren, przeciąłem Wapping Rose Garden i wyostałem się z drugiej strony na Green Bank. Kilka osób w parku obrzuciło mnie podejrzliwymi spojrzeniami, ale ja parłem do przodu, nie zwalniając i nie podnosząc głowy. Na Green Bank, zabudowanym czteropiętrowymi blokami mieszkalnymi, panował większy ruch niż na High Street i przemykanie bez zwracania na siebie uwagi stało się jeszcze trudniejsze. Kątem oka zauważyłem nawet, że jakaś starsza kobieta po drugiej stronie ulicy aż przystanęła, żeby mi się przyjrzeć. Po paru metrach dyskretnie się obejrzałem i stwierdziłem, że kobieta nadal tkwi w tym samym miejscu i uparcie obserwuje, jak zbliżam się do przecznicy, gdzie zostawiłem samochód. Zmuszając się do zachowania spokoju, obojętnie skręciłem w uliczkę.

Po czym stanąłem jak wryty.

Na końcu uliczki zobaczyłem dwóch mundurowych, którzy wyłonili się z Wapping High Street i wolnym krokiem zmierzali w moim kierunku. Jeden z nich miał w ręce notatnik i co chwilę do niego zaglądał.

Mają mój numer rejestracyjny i szukają go, pomyślałem.

Dostali cynk.

Ruszyłem w stronę mojego bmw, które zaparkowałem niezgodnie z przepisami na miejscu zarezerwowanym dla mieszkańców. Przed wzrokiem policjantów zasłaniała je duża furgonetka sprinter, ale wiedziałem, że za chwilę je zauważą. Mieli do przejścia nie więcej niż kilkanaście metrów i tylko chwilowo ich uwagę przyciągnęło inne bmw – nowszy, lepszy i droższy model od mojego, ale w tym samym kolorze.

Przyspieszyłem kroku, trzymając się krawędzi chodnika i kryjąc za furgonetką. Było to ryzykowne, bo wprawdzie mnie nie widzieli, ale ja także nie widziałem ich. Wystarczyło, by lekko przyspieszyli, i natkną się na mnie, zanim dotrę do samochodu.

Kawałek dalej zszedłem na prawo i stwierdziłem, że nadal stoją przy tamtym bmw. Słyszałem strzępy rozmowy, z których wynikało, że to nie ten model, o który im chodzi. Znalazłem się wreszcie przy swoim aucie.

Kłapa bagażnika była niedomknięta.

Uniesiona na parę centymetrów, lekko kołysała się pod naporem wiatru znad rzeki. Jak na zawołanie, zza dachów domów wystrzeliły promienie słońca, odbijając się od karoserii i oświetlając zawartość bagażnika.

Calvina Easta.

Tyle że nie wyglądał już tak, jak go zostawiłem.

Leżał skulony w pozycji embrionalnej, ręce i nogi miał nadal skrępowane taśmą użytą przez Healy'ego jeszcze przed moim przybyciem do domu w Camberwell, ale wszędzie było mnóstwo krwi. Tak dużo, że trudno było się zorientować co do przyczyny śmierci. Koc, na którym leżał – teraz skręcony w powróż i jak pyton oplatający jego piersi i szyję – był przesiąknięty krwią.

Co gorsza, usta wciąż miał zaklejone taśmą.

Umarł, nie mogąc nawet wołać o pomoc. Ogarnęło mnie poczucie winy za zostawienie go tu i doprowadzenie do niepotrzebnej śmierci. Mimo wszystkich słabości, win i udziału w zbrodniach Kormana i Grankina nie zasługiwał na taki koniec.

Usłyszałem charkot wydobywający się z policyjnej krótkofalówki.

Zatrzasnąłem kłapę bagażnika i sunąc ku drzwiom kierowcy, pomyślałem, że znalazłem się w niewesołej sytuacji. Znali markę i numer rejestracyjny

mojego samochodu, byli parę metrów ode mnie, a ja miałem trupa w bagażniku.

Wślizgnąłem się za kierownicę, uruchomiłem silnik i wyjechałem na środek ulicy. Nie patrzyłem na gliniarzy, ale kątem oka odnotowałem ich reakcję: szybkie zerknięcie do notatnika i ruszenie w moją stronę.

Wcisnąłem gaz do dechy.

Opony zapiszczały na asfalcie, a ja na pełnym gazie dojechałem do końca uliczki. W lusterku wstecznym widziałem, jak obaj policjanci zaczynają za mną biec, jeden szybciej, drugi nieco wolniej, zajęty wzywaniem pomocy przez radio.

* * *

Znalazłem Healy'ego siedzącego we wnęce między magazynami. Gdzieś z tyłu ponownie zawyły syreny. Healy poderwał się z widocznym wysiłkiem i wsiadł.

– Co się, do diabła, z tobą działo? – stęknął.

– East nie żyje.

Trudno było poznać, czy go to ucieszyło, czy zmartwiło. Od dawna chciał się rozprawić z tymi, przez których stracił wszystko, co kochał, jednak wiadomość o śmierci pierwszego z nich nie wywołała w nim triumfalnego odruchu. Odwet nie sprawił mu żadnej radości.

Może dlatego, że nie zrobił tego własnymi rękami.

A może wreszcie dotarło do niego coś, co już od dawna w nim kielkowało: że cztery lata po zamordowaniu rodziny Clark i trzy lata po stracie córki krwawa zemsta nie oznacza zwycięstwa, a w śmierci nie ma radości.

Do Melanie Craw zadzwoniłem z Wanstead Flats, studwudziestohektarowych trawiastych nieużytków, które ciągną się między Leytonstone a Manor Park. Choć od wielkomiejskiego ruchu w godzinach szczytu i łoskotu podmiejskich pociągów dzieliły nas dosłownie metry, w samochodzie słyhać było tylko szum dmuchawy z gorącym powietrzem i bębnienie deszczu o dach. Za oknami widać było łąkę, zarośla i ptaki, a w oddali błękitną smugę dachów świadczącą o tym, że miasto jest niedaleko i czuwa.

Brodząc w wysokiej trawie, złożyłem swój telefon, z którego po wyjeździe z Wapping wyjąłem kartę SIM i baterię. Włączyłem go i spojrzałem na Healy'ego, którego pół twarzy majaczyło za szybą, drugie pół pozostawało w cieniu, co jeszcze bardziej uwypuklało jego stan i zwracało uwagę na wykrzywione w grymasie usta, ciemne oczodoły i ponurą minę. Nie rozumiał, po co chcę dzwonić do Craw, a ja nie bardzo miałem ochotę mu tłumaczyć.

Fala deszczu smagnęła mnie po twarzy, telefon ożył i od razu trzykrotnie zapiszczał. Trzy nieodebrane połączenia, wszystkie od Craw, wszystkie w ciągu dziesięciu minut. Pierwszy raz zadzwoniła godzinę po naszym wyjeździe z Wapping, potem jeszcze raz i jeszcze raz.

Wybrałem jej numer. Telefon dzwonił, a ja czekałem i czekałem: dziewięć, dziesięć, jedenaście dzwonek. Już chciałem się rozłączyć i mój palec zawisł nad przyciskiem kończącym połączenie, gdy w końcu odebrała.

– Raker.

Jedno słowo, ale wypowiedziane głosem pełnym emocji. Pretensji, frustracji, złości, niedowierzania. To mnie wytrąciło z równowagi i popatrzyłem na Healy'ego, jakbym podświadomie szukał u niego pomocy. Szum otaczającej mnie roślinności rozplýwał się w szarości poranka.

– Crawl, posłuchaj...

– Co się, u diabła, dzieje?

Obok z hukiem przejechała ciężarówka, gnając na północ półkilometrowym odcinkiem drogi przecinającym Flats. Po mojej stronie nie było chodnika i musiałem uskoczyć na pobocze. Zanurzony w falującej trawie samochód wyglądał jak tonący statek. Ciężarówka szybko zniknęła za horyzontem i na Flats powróciła cisza: delikatny szmer deszczu, cichy szum traw na wietrze, bzyczenie sieci w telefonie.

– Przecież wiesz, że tego nie zrobiłem – burknąłem.

– Dzwonisz po to, żeby mi to powiedzieć?

– Chciałem, żebyś usłyszała to ode mnie.

Nie odezwała się. Znów zerknąłem na Healy'ego, który nie spuszczał mnie z oczu.

– Crawl, posłuchaj. Mówię szczerą prawdę, przysięgam. Byliśmy na molo...

– Jacy „my”?

Zatkało mnie. Cholera.

– Byłem na molo, ale to nie ja je podpaliłem.

– Kłamiesz, Raker.

– Nie kłamię.

– Więc co to za „my”?

Mój wzrok powędrował ku Healy'emu.

– To skomplikowane.

– Z tobą wszystko jest skomplikowane. – Powiedziała to spokojnym tonem, przez co jej uwaga zabrzmiała jeszcze bardziej sarkastycznie. – Wszyscy o tobie mówią, Raker. To nie jest mój rewir, ale i tak pierwsze, co usłyszałam po przyjściu do pracy, to wiadomość o tobie. Świadek zeznał, że widział dwóch mężczyzn kręcących się na molo przed pożarem. Jeden z nich, czterdziestoparolatek, wyglądem odpowiadał tobie. Świadek powiedział, że mężczyźni przyjechali szarym bmw serii trzy, i podał twoje numery rejestracyjne. Dwaj policjanci... – Umilkła, a ja wręcz słyszałem bulgoczącą w niej złość. – Dwaj policjanci poświadczyli, że widzieli, jak uciekasz tym samochodem. Oni cię widzieli, Raker. Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co robisz?

– Jaki świadek?

Odpowiedzią było szydercze prychnięcie.

– Podali ci jego nazwisko?

– Nawet gdybym je znała, to nie mogę ujawniać danych...

– Musisz zadzwonić – przerwałem jej. – Zadzwon do Tower Hamlets i sprawdź, czy podał im nazwisko. Bo jestem gotów się założyć, że nie.

Zamilkła i po chwili rzuciła:

– No i co z tego?

– To, że to żaden świadek.

– Zadzwonił do nich...

– I się przedstawił?

Milczenie.

– To był podpalacz, Craw. Wiesz to równie dobrze jak ja. Zostałem w to wrobiony. Tak, byłem na molo. Tak, to byłem ja i to był mój samochód. Ale wiesz, kiedy po raz pierwszy się kapnąłem, że molo się pali? Kiedy wyszedłem z pawilonu i stwierdziłem, że promenada sypie się do rzeki. Uratowałem się, dopływając wpław do brzegu. Oblał wszystko benzyną i podpalił, kiedy byliśmy jeszcze w środku.

– Kto to jest „my”?

Przerwałem i znów spojrzałem na Healy’ego.

Wyczuwałem w nim coś z dawnego gliniarza, cień podejrzliwości, która jak pomost łączyła dwa punkty w czasie. Cofnąłem się w myślach do naszego spotkania w styczniu, gdy patrzyliśmy przez okno baru w Hammersmith na wioślarzy prujących lodowate wody Tamizy. Czy któremuś z nas przyszło wtedy do głowy, że to się może tak potoczyć? Że on stanie się żywym trupem, a ja zbiegiem i podejrzanym, który nie będzie mówił prawdy jedynej osobie gotowej mu uwierzyć?

– Nazywa się Paul Korman – powiedziałem.

– Kto?

– Ten tak zwany świadek. Albo Victor Grankin...

– Nie słyszę, co do mnie mówisz.

– Wykorzystywali molo do jakichś...

– Nie chcę tego słuchać.

– Próbuję powiedzieć ci prawdę.

– I co twoim zdaniem mam zrobić z tą informacją, Raker? Mam zadzwonić do wydziału śledczego komisariatu w Bethnal Green i powiadomić ich, że odbyliśmy przyjacielską pogawędkę?

– Przestań, Craw.

– Nie przestanę – odparła cicho, ale zdecydowanie.

– Kto inny im został?

– Komu miał ktoś zostać?

– Tej rodzinie.

Westchnęła.

– To nie twoja sprawa.

– To czemu wczoraj mi pomogłaś? Dlaczego powiedziałaś mi o Healy? Przecież wiedziałaś, że tak tego nie zostawię.

Cisza.

– Nikogo innego nie mają. W tym rzecz. Poza mną ta rodzina nie może liczyć na nic lepszego. Śledztwo Metropolitalnej utknęło w jakiejś szafie z papierzyskami, a te bajki, że Korman współpracuje z policją, to tylko próba wrobienia mnie. Jemu i Grankinowi o nic innego nie chodzi.

– Bo?

– Bo wiedzą, że jestem coraz bliżej prawdy.

Cisza.

Zatrzymałem się i zaczerpnąłem głęboko powietrza. Ta rozmowa nie prowadziła do niczego dobrego. Nie mogłem wytłumaczyć, co czuję, i nie mogłem wyrazić się jaśniej. Przez te wszystkie lata, gdy szukałem osób zaginionych, stykałem się z czymś innym, jeszcze gorszym od podejścia Craw: z ludźmi nie tylko próbującymi ukryć swoje występki, ale też starającymi się zatrzeć wszelkie ślady. Ludzie znikają, a wraz z nimi znika cała reszta: nie ma ciał, nie ma dowodów kryminalistycznych, nie ma motywów zniknięcia. Jest tylko kupka ziemi, w której można do woli grzebać. I gdy wreszcie odnajduje się pierwszy ślad tego, co w tej ziemi ukryto, człowiek tkwi w tym tak głęboko, że jest za późno, by się z tego wygrzebać. To, co zostaje, to tylko ci dranie.

Można tylko walczyć.

W słuchawce rozległy się jakieś głosy w tle. Craw zakryła dłonią mikrofon, szybko coś rzuciła i głosy ucichły.

– Będę musiała poinformować szefa o tej rozmowie.

– Ale tak czy nie?

– Co tak czy nie?

– Wierzysz mi?

Zamiast odpowiedzi usłyszałem głębokie westchnienie. Spojrzałem na zegarek. Było parę minut po dziewiątej. W głowie tak mi huczało, że zacząłem się zastanawiać, kiedy ostatnio spałem. Wczoraj? A może przedwczoraj? Z zamyślenia wyrwał mnie dobiegający z oddali dźwięk syren. Pokazałem Healy'emu na migi, że ma uruchomić silnik.

– No więc tak? – powtórzyłem.

Bez odpowiedzi.

– Craw, czy ty mi wierzysz?

Czułem, że walczy ze sobą, żeby coś powiedzieć.

– Craw?

– Tak – wydusiła w końcu. – Jasne, że ci wierzę.

– To dobrze – odparłem, ruszając w stronę samochodu. – Muszę jechać, ale chcę ci najpierw coś powiedzieć. Komuś muszę.

– Już mówiłam, że nie chcę słuchać...

– Proszę.

– O co chodzi? – burknęła po chwili milczenia.

– Powiedz prowadzącemu sprawę w Metropolitalnej, żeby wysłał ekipę śledczą do salonu gier w muzeum Świata Cudów. – Niech sprawdzą ich automaty do gier... – Nie dokończyłem, wiedząc, jak by to zabrzmiało. – Po prostu niech im się przyjrzą.

– Co mają sprawdzić?

– No, mhm... Sam dokładnie nie wiem.

– Co ty, do cholery, pieprzysz?

Jeszcze raz zerknąłem na zegarek. Pamiętałem o swoim popołudniowym spotkaniu z Garym Cabotem. Miałem wrażenie, że od naszej rozmowy w muzeum upłynęły wieki.

– Właścicielem tego muzeum jest niejaki Gary Cabot – dodałem. – Dzisiaj rano wrócił z Dubaju. On wam pomoże zidentyfikować te maszyny...

– Cabot w niczym nam już nie pomoże.

Zatkało mnie.

– Co masz na myśli?

– To, że czterdzieści minut temu dostaliśmy zgłoszenie o jego śmierci.

– Cabot nie żyje?

– Nie wiedziałeś?

– Nie.

– Słyszałam tylko piąte przez dziesiąte. Ale z tego, co wiem, ludzie z Metropolitalnej wybrali się do Cabota, by go zawiadomić o pożarze molo, i stwierdzili, że drzwi wejściowe nie są zamknięte. Weszli do środka i znaleźli go na podłodze w kuchni z poderżniętym gardłem. Także jego ojca. Wygląda na to, że ktoś robi porządki.

Zatrzymaliśmy się na chwilę w supermarkecie w Stratford i kupiliśmy trochę ciuchów, po czym dość niezgrabnie przebraliśmy się w samochodowej ciasnocie. Wkładając dzinsy, T-shirt, skarpetki i zawiązując sznurowadła nowych butów, jednocześnie nie spuszczałem oka z lusterek. Radiowóz popędził do innej części miasta i syrena ucichła, ale było jasne, że prędzej czy później nadejdzie taki moment, że już nie ucichnie.

Bo prędzej czy później nas namierzą.

– Czy możesz mi wyjaśnić, czemu uznałeś za konieczny telefon do Melanie Craw? – spytał Healy.

Z tonu jego niedwuznacznie wynikało, co myśli o takim postępowaniu.

– Musiałem jej powiedzieć, że ja tego nie zrobiłem.

Pogardliwe prychnięcie.

– Dlaczego, do diabła, musiałeś? Oszalałeś?

Bo ja wiem, pomyślałem, może...

– Masz świadomość, że było to równoznaczne z przyznaniem się policjantce, tak?

– Wiem dokładnie, co zrobiłem.

– Ona ma gdzieś to, że jej powiesz, że czegoś nie zrobiłeś, Raker. Twój numer rejestracyjny krąży w policyjnej sieci. Ci dwaj mundurowi powiążą cię z samochodem zaparkowanym na miejscu przestępstwa. To rozumiesz, tak? Kapujesz, w jakie głębokie gówno wdepnąłeś?

Zwróciłem ku niemu twarz.

– Koniec rozmowy na ten temat – warknąłem.

Spojrzałem przez zalaną deszczem szybę i przypomniałem sobie o Eaście i jego zmasakrowanych zwłokach w bagażniku.

Wysiadłem, stanąłem na poboczu i rozejrzałem się, nasłuchując, czy coś nie jedzie. Panowała cisza. Zawróciłem do samochodu, otworzyłem bagażnik i wyciągnąłem zwłoki na skraj drogi. Sturlały się i po paru obrotach skryły w wysokiej trawie. Raz jeszcze się rozejrzałem, po czym powlokłem ciało dalej od drogi, aż do pnia pokrzywionego starego kasztanowca.

Przykryłem je kocem.

Na podstawie DNA z koca i samochodu bez trudu powiążą mnie ze zwłokami, więc nie chodziło mi o zatarcie śladów. Jedyнным sposobem na udowodnienie, że nie ja go zabiłem, było znalezienie tego, kto to zrobił. Uznałem, że porzucenie ciała i zawiadomienie o tym policji z najbliższego automatu telefonicznego będzie i tak lepszym rozwiązaniem niż wożenie go w bagażniku.

Jednak gdy uklęknąłem przy zwłokach i położyłem na nich prymitywny krzyż z dwóch gałązek związanych witką z drzewa, opadły mnie wątpliwości. Człowieka tak się nie porzuca. To nie jest lepsze niż wożenie w bagażniku. Przełknąłem ślinę raz i drugi, nie mogąc oderwać wzroku od zarysu ciała pod kocem. Przemknęły mi przez głowę słowa Craw. *I wtedy też się położysz w ciemnościach i nałykasz tych samych tabletek co Healy. A może nie? Może mnie spotka to co Easta?*

Brutalna śmierć.

W samotności. W zapomnieniu.

Wetknąłem krzyż w ziemię i wróciłem do samochodu. Zatrzasnąłem bagażnik, wsiałem, wrzuciłem wsteczny i wyjechałem na drogę.

– Chcesz go tak zostawić? – burknął Healy.

Nie wdając się w dyskusję, rzuciłem:

– Gary Cabot nie żyje.

– Co?

– To znowu Korman i Grankin. Czyszczą przedpole.

– Myślałem, że Cabot nie był w to zamieszany.

– Bo nie był. Ale był dla nich zagrożeniem. Te wszystkie sprawy, o których mówił East, to wszystko, co się działo na molo. Cabot mógł nie mieć o tym pojęcia, ale z pomocą policji mógłby zacząć składać wszystko do kupy. Grankin ukradł te puszki podczas festynu. Cokolwiek działo się wcześniej

z lakierem, Cabot miał głowę na karku i zaczęłyby łączyć wszystko w jedną całość. Woleli nie ryzykować.

Przerwałem, bo pomyślałem o Josephie Cabocie – starym, ślepym, niedołącznym i niczego nieświadomym. Wyobraziłem sobie jego ostatnie chwile. Jak straszne musiało być to, że nic nie widział, ale słyszał, co się wokół niego dzieje, zanim zajęli się nim. Było mi żal tego starca, jego syna i wszystkich ofiar Kormana i Grankina.

Zaraz jednak żal i współczucie przerodziły się w twarde postanowienie.

– Musimy znaleźć Kormana.

– Może w tej hali – mruknął Healy.

– Masz na myśli sklep z antykami?

Skinął głową.

W ferworze walki w ogóle nie przyszło mi to do głowy. Do Camden było stąd piętnaście kilometrów i jazda na zachód przez cały Londyn wcale mi się nie uśmiechała. Wziąłem do ręki telefon, znalazłem numer do Antyków i Osobliwości Graya i zadzwoniłem. Po trzech sygnałach uruchomił się standardowy komunikat poczty głosowej.

Rozłączyłem się bez zostawienia wiadomości i znalazłem telefon do sklepu z odzieżą w sąsiednim lokalu. Wybrałem numer i po paru sekundach odezwał się kobiecy głos.

Zmyśliłem, że dzwonię z agencji badań rynku, która na zlecenie dyrekcji Hal Stajennych przeprowadza ankietę wśród najemców przestrzeni handlowej. Sprzedawczyni oświadczyła, że ma jeszcze zamknięte i sklep zostanie otwarty dopiero za jakieś czterdzieści minut. Powiedziała też, że jest w związku z tym bardzo zajęta, i wyraziła zdziwienie, że dzwonię do niej w niedzielę. Udało mi się jednak ją udobruchać i namówić do podzielenia się opinią na temat ewentualnych zmian, które zapewniłyby lepsze warunki pracy i obsługi klientów. Gdy wyczerpałem już całą swoją inwencję badawczą i nie przychodziły mi do głowy żadne pytania, rzuciłem od niechcienia, że nie udało mi się dodzwonić do sąsiada.

– Pewnie dlatego, że nigdy go nie ma – prychnęła.

– Jak to?

– Nie zajmuje się prawie swoim sklepem. Czasami nie pokazuje się całymi miesiącami. Sklep stoi przez ten czas zamknięty, aż w końcu się zjawia i go otwiera.

– Rozumiem. Była pani kiedyś w środku?

Zamilkła i po dłuższej chwili spytała:

– Mówił pan, że skąd pan dzwoni?

– Z Agencji Sondażowej Chalk Farm.

Powiedziałem to bez sekundy wahania, mając nadzieję, że zabrzmiał dość przekonująco.

– Byłam kilka razy.

– I wszystko wyglądało normalnie?

– Zwyczajny sklep z antykami.

– A co pani myśli o właścicielu?

Kolejne długie milczenie i tym razem zdałem sobie sprawę, że rozmowa zaczyna wymykać mi się spod kontroli. Czekałem, czując, że to już ostatnie pytanie, jakie udało mi się zadać.

– Wygląda w porządku – odparła w końcu. – Wie pan... zwyczajnie.

Ale czułem, że nie mówi prawdy. Prawdę dało się wyczytać z tonu jej głosu. Na tyle wyrazistego, że nie miałem wątpliwości. Nie lubiła go. I wolałaby nie mieć go za sąsiada.

Był dziwny. Drażnił ją.

Może nawet trochę się go bała.

Rozłączyłem się.

– Nie ma go w sklepie – przekazałem Healy’emu.

– I co z tego?

– Więc musimy go znaleźć. Jego i Grankina. Jak ich znajdziemy, będziemy mogli dokończyć sprawę.

– I niby jak chcesz to zrobić?

– Pojechać do Grankina i zapukać do drzwi.

Poland Gardens, gdzie według Ewana Taskera mieszkał Victor Grankin, znajdowało się w gęstym Whitehall Woods na granicy hrabstw Londyn i Essex i wyznaczało południowy kraniec Epping Forest, rozciągniętego na dwóch tysiącach trzystu hektarach.

Zaparkowaliśmy na wielopoziomowym parkingu w Leytonstone, wsiedliśmy do metra i pojechaliśmy linią Central na północ do Buckhurst Hill. Do domu Grankina było stąd jakieś trzy kilometry na zachód i choć Healy upierał się, że da radę przejść taki kawałek pieszo, obaj wiedzieliśmy, że to nieprawda. Złapaliśmy taksówkę i całą drogę milczeliśmy, co w połączeniu z jednostajnym szumem silnika niemal mnie uspiło. Gdy wpadliśmy w dziurę w jezdni i samochód podskoczył, okazało się, że naprawdę przysnąłem. Ocknąłem się pięćdziesiąt metrów od Poland Gardens, tuż obok zapuszczonego parkingu dla przyczep mieszkalnych.

Gęsty i splątany las rósł wszędzie wokół, także po obu stronach drogi, którą jechaliśmy, i wyrwany nagle ze snu, przez chwilę zastanawiałem się nawet, czy nas nie porwano i nie wywieziono z Londynu.

Zaraz jednak zastrzyk adrenaliny i strachu zrobił swoje. Wysiedliśmy z taksówki i poprowadziłem Healy'ego do początku uliczki. Parking zajmował całą wolną przestrzeń, która podchodziła aż pod leśną gęstwinię. Przyczepy ustawione były półkolistnie na żużlowo-betonowych bloczkach i zwrócone przodem do drogi. Przy wjeździe na plac mieścił się kantor, na parkingu obok stało kilka samochodów osobowych, całość była ogrodzona pociętą siatką. Idąc uliczką, widzieliśmy prześwitujące między drzewami domy Poland Gardens. Las wokół nas raz gęstniał, raz się przerzedzał.

Długa na pięćdziesiąt metrów i wyłożona spękanym asfaltem uliczka z pięcioma domami kończyła się ślepo. Po jej lewej stronie rósł jodłowy las, po

prawej był parking przyczep. W pobliżu domów las był nieco rzadszy, a przed jego naporem chroniły otaczające teren wysokie mury, jednak już kawałek dalej gęszcz leśny porastał każdy centymetr wolnej przestrzeni. Poranne słońce ledwo muskało szczyty drzew i tylko pojedyncze promienie przebijały się przez gęste igliwie, docierając do domów i nieśmiało odbijając się w szybach okien.

– Który to? – spytał Healy.

Po obu stronach uliczki stały po dwa domy zwrócone do siebie frontami, piąty był nieco cofnięty i oddalony od reszty.

– Ten – powiedziałem, wskazując na piąty.

Zdażyłem się już rozejrzeć i dostrzec wyblakłą cyfrę 3 na znajdującym się przed nim stalowym kontenerze na odpadki. Z wypełnionego po brzegi pojemnika wysypywały się worki ze śmieciami, okna w domu były nieoświetlone, pokryty dachówką dach pokrywało igliwie.

Klepnąłem Healy'ego w ramię i dałem znak, żeby poszedł za mną. Zawróciłem i ruszyliśmy na parking przyczep. W oknie kantoru widać było siedzącego wewnątrz mężczyznę, który z pochyloną głową w coś się wpatrywał i nie zwrócił na nas uwagi. Weszliśmy na plac, minęliśmy rząd przyczep i dotarliśmy do skraju lasu, który zdawał się napierać na nas ze wszystkich stron.

Zatrzymałem się przy opadniętej siatce i sprawdziwszy, czy nikt nas nie obserwuje, przeszedłem przez nią i zagłębiłem się w leśny gęszcz. Stąpałem po usłanym szyszkami poszyciu. Healy zrobił to samo, tyle że znacznie wolniej. Lawirując między pniami i omijając sterczące korzenie, przedzieraliśmy się przez las.

Minęliśmy od tyłu dwa domy stojące po prawej stronie uliczki i zatrzymaliśmy się przy końcu drugiej posesji, by ponad murem przyjrzeć się domowi Grankina. Za sobą słyszałem, jak Healy ciężko dyszy i z trudem łapie oddech. W końcu doszedł i oparłszy się ręką o mur, zrobił taką minę, jakby nie pojmował, dlaczego tak się nim przejmuję. Bez słowa przeniosłem wzrok na dom Grankina.

Wokół nas rozlegały się odwieczne odgłosy lasu: gałązki trzeszczały i pękały na wietrze, krople deszczu szeleściły w gałęziach nad naszymi

głowami.

– Zostań tu – poleciłem i zanim Healy zdążył zaprotestować, zostawiłem go ciężko dyszącego i przemykając między drzewami, ruszyłem wzdłuż muru otaczającego posiadłość sąsiadującą z domem Grankina.

Przez przerwę w gęstwinie dojrzałem jego poobijanego citroena, który stał zaparkowany na asfalcie przed domem. Im byłem bliżej, tym wyraźniej widziałem, że w domu trwa jakiś remont. Budynek był częściowo pokryty świeżym tynkiem, nieco ciemniejszym od reszty ścian. Koło samochodu wznosiły się przyzmy cegieł i bloczków betonowych, leżały też sterty desek i belek. Widok materiałów budowlanych odświeżył mi w pamięci słowa Ewana Taskera, że Grankin mieszka w Poland Gardens od października dwa tysiące dziesiątego. Czyli sprowadził się tu trzy miesiące po utracie pracy u Gary’ego Cabota. Faceta wyrzucają z pracy, a on idzie i kupuje sobie dom? Coś tu nie grało.

Przedzierając się przez gąszcz, dotarłem na tył posesji. W bocznej ścianie domu znajdowały się drzwi, okna na piętrze były tak samo rozmieszczone jak od ulicy i tak samo ciemne; przesuwne drzwi tarasowe na parterze wiodły do pogrążonego w mroku pokoju dziennego. W przeciwieństwie do frontu dom od tyłu nie był świeżo otynkowany, a ogródek był mały i zapuszczony: kilka doniczek, jedna rabatka z kwiatami, pusty taras. Wszystko otoczone półtorametrowym ceglany murem.

I ani śladu Grankina.

Wróciłem do Healy’ego.

– Znalazłeś coś? – spytał.

– Nie.

Popatrzył na dom i widać było, że dręczą go te same obawy co mnie. Niemal bezwiednie sięgnął do kieszeni pożyczonego ode mnie płaszcza i wyjął pistolet zabrany z domu w Camberwell. Była to nasza jedyna broń, bo nóż do chleba został na stole, przy którym znalazłem płaczącego Healy’ego. W Camberwell zostało też wszystko inne, łącznie z bagażem pamięci o miesiącach czekania na śmierć. Czy znów robiliśmy to samo? Czy czekaliśmy na śmierć?

– Pójdę najpierw sam – mruknąłem.

– Chyba żartujesz – obruszył się.

Wcześniej w lesie świeciło słońce i padał deszcz pędzony wiatrem z różnych stron, teraz jedno i drugie ustało. Słońce skryło się za grubą warstwą chmur, światło się zmieniło i dom też jakby wyglądał inaczej. Jakby się w sobie zbierał, by lepiej chronić przed intruzami. Spojrzałem na Healy’ego i stwierdziłem, że patrzy na mnie wyczekująco, jakby chciał odgadnąć, co czuję. Ale moje odczucia trudno byłoby wyrazić i ubrać w słowa. Po prostu wiele razy miałem do czynienia z ludźmi pokroju Grankina i dobrze wiedziałem, jak mieszkają. Byłem z tym wszystkim oswojony. I przez skórę czułem, że od tego miejsca bije zło.

– Czekaj tu, aż cię zawołam – zarządziłem.

I zanim zdążył zaprotestować, ruszyłem w stronę domu.

W kącie za domem leżała sterta starych sprzętów domowych, które zaczynały już gnić i się rozlatywać: coś, co pewnie było fotelem, ale zamieniło się w kupkę żalostnego złomu, zardzewiały zlewozmywak, połamane fragmenty szafy. Korzenie rosnącego nieopodal dębu rozsadzały betonowe płyty ścieżki z taką łatwością, jakby były z papieru. Cień rzucany przez konary drzewa padał na boczne wejście do domu, które zauważyłem wcześniej.

W drzwiach zamontowano ramę z bladozieloną siatką, która przy każdym podmuchu odchyłała się i stukała we framugę.

Zatrzymałem się na granicy lasu i przez chwilę nasłuchiwałem, czy z domu dochodzą jakieś odgłosy, ale jedynym dźwiękiem było stukanie drzwi siatkowych i dolatujące skądś ciche bzyczenie, którego źródła nie potrafiłem określić. Raz jeszcze upewniłem się, że nikt mnie nie obserwuje, wyskoczyłem z lasu, dobiegłem do drzwi i odchyliwszy ramę z siatką, pchnąłem je.

Okazały się niezamknięte.

Nie wiedziałem, w co się pakuję, i przez głowę przemknęła mi myśl, by jednak machnąć na wszystko ręką. Wdzierałem się nie tylko do cudzego domu. Wdzierałem się w życie Grankina i Kormana i w to wszystko, co razem robili. Ale zaraz napłynęły obrazy z miejsca zbrodni – fotografie dwóch niewinnych dziewczynek, które potraktowano tak, jakby ich życie było nic niewarte – i ruszyłem przed siebie.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie, ukazując pogrążony w półmroku przedpokój, który kawałek dalej zakręcał w lewo i ciągnął się do drzwi frontowych. Na wprost znajdował się podłużny salon-jadalnia z zasłonami w oknach. Gdzieś na prawo musiały być niewidoczne stąd drzwi na taras, tuż obok mnie pod schodami znajdowała się niewielka szafka. Ostrożnie ją otworzyłem i zajrzałem do środka. Odkurzacz i plastikowe wiadro.

Ruszyłem dalej; stąpałem cicho dzięki dywanowi tłumiącemu kroki, który sprawiał wrażenie zupełnie nowego. W domu panował idealny porządek. Ściany były świeżo pomalowane, w pokoju stały nowiutkie kanapy, a po prawej ciągnęła się lśniąca nowością kuchnia z granitowymi blatami i białą glazurą, co tłumaczyło sterty starych sprzętów za domem.

W głębi kuchni znajdowały się drzwi wychodzące na ogród. Podszedłem i nacisnąłem klamkę, ale okazały się zamknięte. Wyjąłem nóż ze stojaka na blacie i zawróciłem w stronę schodów.

Spojrzałem w górę, nic jednak nie było widać poza stłumioną poświatą, która mogła być od ekranu telewizora włączonego bez głosu. W lśniącej nowością i pomalowanej połyskliwą farbą balustradzie schodów odbijała się moja twarz. Uchwyciłem mocniej rękojeść noża i ruszyłem na górę.

Na wprost schodów znajdowała się łazienka, nieduża i skromna, obok zupełnie pusta sypialnia gościnna, w której poza dwiema wbudowanymi w ścianę szafami nie było nic. Dalej dochodziło się do trzecich drzwi i to zza nich sączył się nikły blask.

Rozglądając się, nagle uświadomiłem sobie coś jeszcze. W łazience nadal pracował wentylator, a to musiało znaczyć, że mieszkaniec domu korzystał z toalety lub prysznic, lub jednego i drugiego.

I robił to bardzo niedawno.

To z kolei oznaczało, że musi być w trzecim pomieszczeniu.

Ścisnąłem nóż tak mocno, że czułem, jak dłoń wilgotnieje mi od potu, a od rękojeści robi się w niej wgniecenie. Już dochodziłem do drzwi, gdy podłoga pod moimi stopami wydała długie, nieprzyjemne skrzypnięcie, które rozniosło się echem po całym domu.

Ale poza tym nic więcej się nie działo.

Wyciągnąłem głowę i zajrzałem do środka. Tu też okna były zasłonięte i w pokoju panował półmrok. Telewizor rzeczywiście był włączony bez dźwięku, na ekranie świecił niebiesko-zielony górski pejzaż. Łóżko było pościelone, kapa odwinięta, jakby Grankin szykował się do snu. Na szafce nocnej leżał pęk kluczy.

Ale jego nie było.

Okrążyłem łóżko i wyjrzałem przez okno.

Gdzie on się, do diabła, podział?

Raz jeszcze sprawdziłem wszystkie pomieszczenia, zajrzałem do szaf wnękowych, niczego jednak nie znalazłem i wróciłem na dół.

W salonie przejrzałem kolekcję DVD, niewielką stertę czasopism, dokumentację dawnego życia w postaci fotografii z wycieczki dwudziestokilkuletniego młodzieńca do Estonii oraz dawno popłacone rachunki za prąd. Na koniec znalazłem coś, co wynagradzało cały podjęty wysiłek: jego laptopa.

Włączyłem go, nie przestając zerkać ku bocznym drzwiom. Zostawił włączony telewizor, szykował się do łóżka lub dopiero co z niego wstał, wentylator w łazience pracował. Wszystko to wskazywało, że Grankin musiał tu być dosłownie chwilę przed naszym przyjściem, po czym nagle zniknął. Dlaczego? I gdzie się podział? Jeśli wyszedł, to udał się gdzieś na piechotę, bo jego citroen stał zaparkowany przed domem. Ale jeśli tak, to czemu zostawił niezamknięte drzwi?

Laptop piknął, domagając się wprowadzenia hasła.

Wyłączyłem zasilanie, odłożyłem go na miejsce i przeszedłem do przedpokoju. Drzwi właściwe i te siatkowe poruszały się teraz w zgodnym rytmie, otwierając się, zamykając i wzajemnie o siebie stukając. Nagle z hukiem się zatrzasnęły i w domu zapadła cisza. Zdałem sobie sprawę, że znów słyszę to dziwne bzyczenie, ciche i jednostajne.

Takie jak na zewnątrz.

Czyżby to od włączonego na górze telewizora?

A może lodówka?

Uświadomiłem sobie, że poza dźwiękiem dociera do mnie coś jeszcze. Miałem wrażenie, że czuję się w tym domu jakoś dziwnie. Patrzyłem na świeżą farbę na ścianach, nowe meble i elegancką kuchnię, czując jednocześnie nieprzyjemną ciasnotę.

Wszedłem z powrotem do kuchni i szukając źródła dźwięku, zajrzałem do lodówki. Kilka podstawowych artykułów żywnościowych: masło, mleko, parę przeterminowanych jajek i niewiele więcej. Zamrażarka w dole miała trzy szuflady pełne mrożonej pizzy i kawałków mięsa.

A potem dostrzegłem coś jeszcze.

Na podłodze obok lodówki widać było wystający spod elektrycznej kuchenki ślad buta. Odcisk na jasnokremowym linoleum był tak wyraźny, że można było rozróżnić logo producenta obuwia. Do tego podłogę pokrywały paprochy wymiatane spod kuchenki przez podmuchy wiatru.

To nie mogły być podmuchy z przedpokoju.

Chwyciłem kuchenkę obiema rękami i kołysząc nią na boki, zacząłem ciągnąć ku sobie. Bzyczenie stawało się głośniejsze, podmuchy chłodniejsze i mocniejsze. Odsunąłem kuchenkę od ściany i zajrzałem za nią.

W ścianie widniał duży otwór.

Wetknąłem głowę i spróbowałem się rozejrzeć. Wnęka miała ponad pół metra głębokości i blisko dwa metry wysokości. Stanowiła wejście do rozchodzącego się na boki i ginącego w mroku przejścia. Zrozumiałem, skąd się brało to wrażenie ciasnoty.

Po prostu wewnątrz zostało sztucznie zmniejszone.

Pomieszczenia były ciaśniejsze, niż wskazywała na to bryła domu, bo prowadzony remont nie miał na celu powiększenia czy unowocześnienia budynku.

Służył drażnieniu skrytek kosztem wielkości wewnątrz.

Grankin coś w tych ścianach ukrywał.

Pochylając się, wszedłem do środka i znalazłem się w wąskiej wnęce, którą z jednej strony zamykały szare bloczki betonowe zewnętrznej ściany domu, z drugiej – płyty gipsowe sztucznej ściany wewnętrznej. Umieszczona nad głową lampa LED o dużej mocy wydawała charakterystyczne bzyczenie, które dosłyszałem jeszcze przed domem. Wszystko wokół tonęło w rześście białym świetle.

Wnęka ciągnęła się w prawo jakieś trzy metry, a podtrzymywany splecionymi rozpórkami strop kończył się na pionowej płycie gipsowej, która stanowiła zapewne fragment oryginalnej konstrukcji domu. W kącie stał drewniany stół warsztatowy, na blacie leżała jedna z maszyn z salonu gier, obok zaś kilka puszek lakieru Hobermana i pędzle. W maszynie rozpoznałem bagatelle, którą Grankin wywiózł wczoraj z domu Calvina Easta. Tylna obudowa była zdjeta, ale poza zwykłym mechanizmem złożonym z kółek pasowych, zębatych i dźwigni nie widać było nic szczególnego.

Wnęka ciągnąca się w lewo w głąb domu miała mniej więcej taką samą długość. Podłogę w całości wyłożono arkuszami płyty wiórowej poza jednym miejscem – zionącym pustką kręgiem o średnicy około metra.

W podłodze znajdował się właz.

Poczułem dreszcze nie tyle z powodu ukrytego lochu i nie tylko na myśl o Grankinie, który mógł się w nim teraz kryć, ile ze względu na sposób, w jaki zmieniał się ten dom. Nagle odniosłem wrażenie, jakbym miał do czynienia z czymś w rodzaju żywej bestii, która potrafi reagować, tkwić przyczajona i przyjmować odpowiedni kształt. W moich ruchach pojawiło się wahanie.

Brednie. Weź się za siebie – nakazałem sobie.

Ale nie umiałem w pełni uwolnić się od tej myśli. Byłem wyczerpany, podenerwowany i być może niezdolny do logicznego myślenia. Wszyscy ci

ludzie byli tak okropni, że aż trudni do wyobrażenia. Czemu dom jednego z nich miałby być inny? Mówi się, że dom odzwierciedla charakter swojego właściciela, i ten taki właśnie był: skryty, nieuchwytny, nieprzewidywalny.

I niebezpieczny.

Wyszedłem z wnęki, zbliżyłem się do bocznych drzwi i gestem ręki przywołałem Healy'ego. Chwilę później dotarł do kuchni, ciężko sapiąc.

– A co to takiego, do cholery? – prychnął na widok otworu w ścianie.

Przyłożyłem palec do ust i wyteżyłem słuch.

Poza szumem deszczu i zawodzeniem wiatru nie było nic słyhać.

Wróciłem do wnęki i przyjrzałem się włazowi, który wyglądał jak typowe wejście do kanału. Podeszedłem kawałek po rozłożonych na podłodze płytach wiórowych, które pod moim ciężarem chwiały się i osuwały niczym piaszczyste łąchy. Healy ruszył za mną, trzymając się niepewnie na nogach i cicho postępując, co w jego przypadku mogło być krzykiem protestu przeciwko dławiącej ciasnocie. Odwróciłem się i dałem znak, żeby był cicho, po czym stanąłem nad włazem i zajrzałem do środka.

Ciągnął się w dół na głębokość jakichś dwóch metrów, po czym skręcał w lewo. Był czymś w rodzaju szybu z wejściem do podziemnego tunelu i z całą pewnością nie został wykonany w trakcie budowy domu. Musiał go wykopać jego obecny właściciel. Na ścianie szybu błyszcząca metalowa drabinka, która sięgała do blado oświetlonej komory. Do ostatniego szczebla drabinki przyczepiona była kolejna lampka LED, tyle że znacznie słabsza i to ona oświetlała komorę i odchodzący w bok poziomy tunel, którego przebiegu nie było stąd widać. Chwilę się wahałem co dalej.

A potem zacząłem schodzić.

Stanąłem na czworakach w komorze i zajrzałem do tunelu. Trudno było ocenić jego długość, choć ciągnął się stosunkowo prosto. Mógł mieć ze dwanaście, może piętnaście metrów, drugi koniec był oświetlony zapewne kolejną lampką przyczepioną do jednego z wyższych szczebli drugiej drabinki, której stąd nie dało się dojrzeć. Tunel był oszalowany półkolistymi fragmentami blachy mającymi zapobiegać zawaleniu, ale i bez tego wyglądał dość solidnie.

Mimo to opanowywał mnie coraz większy niepokój.

Tunel mógł biec pod całym ogrodem i nawet dalej, ale dokąd? Dlaczego nie można tam było dojść górą? Przecież kopanie takiego tunelu musiało trwać miesiące.

Co uzasadniało podjęcie aż takiego wysiłku?

Zacząłem niepewnie czołgać się w głąb. Za plecami usłyszałem, jak Healy schodzi po metalowych szczeblach drabinki, zaraz jednak dźwięki ustały, a ja odniosłem wrażenie, że ściany zamykają się nade mną, jakby tunel zmieniał kształt i mnie wsysał.

Poczułem, jak gwałtownie przyspiesza mi tętno.

Serce waliło mi w uszach.

Próbowałem skupić wzrok na widocznej dziesięć metrów dalej oświetlonej komorze – tam będzie koniec, tylko się nie poddawaj, tylko się nie poddawaj – ale im szybciej się czołgałem, tym bardziej huczało mi w głowie, a przed oczami zaczęły mi tańczyć białe plamy. Czułem, jak zalewa mnie pot, ogarnia panika i nie mogę swobodnie oddychać. Chwilę później miałem już wrażenie, że w ogóle się nie posuwam, tylko bezradnie wymachuję rękami i nogami.

Przyj do przodu, przyj do przodu, przyj...

Tunel się skończył i znalazłem się na dnie kolejnego szybu.

Spojrzałem w górę w przeświadczeniu, że ujrzę drabinkę z kolejną lampką, okazało się jednak, że szyb ma naturalne oświetlenie. Nad głową miałem niebo. Przez moment nie mogłem zebrać myśli i połapać się w tym, co widzę. Z trudem oddychałem, byłem rozdygotany, zlany potem i wystraszony tym, co się wokół mnie działo. Czułem się jak wtedy w muzeum, na chwilę przed utratą świadomości. Zamknąłem oczy, starając się uspokoić.

Z góry usłyszałem jakieś dźwięki.

Popatrzyłem na niebo i dotarło do mnie, że na twarz spadają mi krople deszczu i słyszę szum wiatru oraz trzask gałązek. Odgłosy Whitehall Woods.

Zacząłem wspinać się po drabince, ale w połowie się zatrzymałem, tak waliło mi serce. Wokół mnie był las: ciągnący się we wszystkich kierunkach gąszcz drzew i sterczących korzeni oraz morze igliwia, tworzącego grubą powłokę. Odwróciłem głowę i spojrzałem w stronę, z której przyjechaliśmy. Tuż nade mną było coś jeszcze.

Ogrodzenie.

Tyle że to nie było zrobione z powyginanej cienkiej siatki, jak ogrodzenie parkingu dla przyczep przy Poland Gardens.

To był solidny, dwuipółmetrowy płot ze stalowych prętów.

Ciągnął się łagodnym łukiem i niknął w leśnej gęstwinie na lewo i na prawo ode mnie. Domu Grankina nie było widać, choć znajdował się nie więcej niż piętnaście metrów stąd. Jego kontury, okna i dach tonęły w płataninie jodeł i wysokich krzaków. To dlatego nie zauważyłem tego płotu, gdy stałem na granicy posiadłości Grankina. Nie widziałem też zwojów drutu kolczastego rozciągniętego wzdłuż górnej krawędzi ani tablic ostrzegawczych WSTĘP WZBRONIONY! WŁASNOŚĆ PRYWATNA! Ale słyszałem. To bzyczenie. Nie dochodziło z wnętrza. Dochodziło stąd.

Płot był pod napięciem.

Grankin wykopał tunel po to, by wydostawać się poza ogrodzenie.

Wygramoliłem się z szybu, chwilę potem wyłonił się z niego Healy – zdyszany i ledwo żywy – a ja rozejrzałem się po lesie. Zastanawiając się, co mogło skłonić Grankina aż do takiego wysiłku, przypomniałem sobie słowa Ewana Taskera, który powiedział, że Grankin przeprowadził się tu w październiku 2010 roku, zaledwie trzy miesiące po zwolnieniu go z pracy w Świecie Cudów. W mojej głowie zaczynała się rodzić teoria.

Domu nie kupuje się z dnia na dzień, nawet jeśli nie uczestniczy w tym pośrednik. Kupno domu wymaga czasu, wielu spotkań, licznych papierów i rozmów telefonicznych. Już wcześniej rozważałem, czy Grankin nie dał się świadomie przyłapać na kradzieży, by w ten sposób zapewnić sobie alibi na noc z jedenastego na dwunastego lipca 2010 roku. Teraz przyszło mi do głowy, że kupno domu mogło być częścią tego samego planu. Gdy się okazało, że zostanie jego właścicielem, uznał, że dostęp do mola nie będzie mu już potrzebny, i celowo popełnił błąd. Zaczął podkradać puszki z lakierem i czekał, aż go przyłapią. W ten sposób nie tylko zyskiwał alibi na noc morderstwa, ale też mógł w to miejsce przenieść swoje konszachty z Kormanem, jakiegokolwiek one były.

Do tego domu. Do tego lasu.

Spojrzałem na Healy'ego i na migi spytałem, czy jest gotów do dalszej drogi. Stał z jedną ręką opartą na biodrze i ciężko dyszał. Na tle potężnych

drzew jego chuderlawość jeszcze bardziej rzucała się w oczy. Po cholere go tu przywiozłem? Co mi po spluwie, jeśli strzelec nie jest w stanie odpowiednio szybko reagować?

Odepchnąłem jednak od siebie takie myśli i ruszyłem przodem.

W lesie nie było żadnych wydeptanych ścieżek, żadnych śladów wskazujących, którędy Grankin mógł chodzić. Przedzieraliśmy się przez chaszczę porastające leśne poszycie, wśród powykręcanych korzeni drzew. Posuwałem się wolno, po części dlatego, że nie znałem terenu i nie wiedziałem nic o jego topografii, po części, by zachować ciszę. Grankin mógł być wszędzie.

Mógł się gdzieś czaić i nas obserwować.

Uświadomiwszy to sobie, stanąłem tak nagle, że Healy omal na mnie nie wpadł. Rozejrzałem się po lesie. Drzewa rosły tak gęsto, że poczułem się jak w tunelu. Serce zaczęło mi mocniej bić, mięśnie się napięły. Byliśmy prawie w mieście, a wokół roztaczała się zupełna dzicz.

– Co to jest? – powiedział cicho Healy.

Gąszcz po prawej nieco się przerzedził i między gałęziami ukazał się owalny kawałek wolnej przestrzeni, jakby polana. Pokazałem Healy'emu ręką, że tam pójdziemy, skręciliśmy i zaczęliśmy się przedzierać przez płataninę pokrzyw i dzikiego wina. Pod stopami chrzęściły nam szyszki. W miarę zbliżania się coraz wyraźniej widziałem, że mamy przed sobą polanę porośniętą trawą wysoką do kolan i otoczoną ze wszystkich stron zbitą ścianą lasu.

Po chwili okazało się jednak, że to nie polana.

Był to zdziczały ogród.

Zatrzymaliśmy się na krawędzi gęstwiny i ujrzelśmy przed sobą brzydki jednopiętrowy budynek z płaskim dachem i dwoma skrzydłami. Był obszerny i funkcjonalny jak skrzyżowanie komisariatu z wiktoriańską szkołą podstawową, tyle że wszystkie otwory były w nim pozabijane deskami. Las otaczał go nieregularnym kręgiem i nadal można było dostrzec resztki rabat, na których kiedyś rosły kwiaty, oraz to, co niegdyś służyło za podjazd. Wybrukowana droga dochodziła do budynku, okrążała go i znikwała wśród drzew.

– Co to, u diabła, jest? – mruknałem, nie wiadomo, czy bardziej do Healy’ego czy do siebie.

Nie odpowiedział. Stał i wodził wzrokiem po budynku, wypatrując jakichś oznak życia, po czym zatrzymał go na niemal całkiem zasłoniętej tablicy u stóp schodów przed wejściem. Przesunąłem się nieco w prawo, by lepiej się jej przyjrzeć.

– Co mówił East? – szepnął Healy.

Spojrzałem na niego zaskoczony.

– Co?

– Mówił, że trafił do domu dziecka w Chingford.

Odwróciłem się i popatrzyłem na budowlę.

Healy pokiwał głową i wlepił wzrok w tablicę przy wejściu. Farba była spłowiała i częściowo złuszczona, ale napis wciąż był czytelny.

Dom Dziecka Świętego Dawida.

– To tu dorastali Korman i Grankin – powiedział.

Staliśmy w padającym deszczu, którego krople młóciły gałęzie drzew i iglaste sklepienie nad naszymi głowami. Z przodu budynku, w którym niegdyś mieścił się Dom Dziecka Świętego Dawida, znajdowały się cztery ogromne okna, wszystkie zabite deskami. Mnie jednak bardziej interesowała nowsza – choć też mająca kilkadziesiąt lat – dobudówka z cegły, ze spadzistym dachem pokrytym czerwoną dachówką. Całość zasłaniała kępa dorodnych jodeł, ale udało mi się dojrzeć na jednym z końców duże dwuskrzydłowe drzwi.

Jedno skrzydło było lekko uchylone.

Dałem Healy’emu znak, by poszedł za mną, i ruszyłem przed siebie, lawirując między drzewami. Dziesięć metrów przed budynkiem przystanąłem i zaczekałem na Healy’ego. Podmuch wiatru poruszył niedomkniętą połówką drzwi.

– Wchodzisz ze mną? – spytałem.

– Musisz zadawać takie pytania? – burknął.

Był zziajany, jego klatka piersiowa gwałtownie się podnosiła i opadała i wydawało się, że cały dygocze.

– Nie wiem, co nas tam czeka.

Wzruszył ramionami, jego oddech powoli się wyrównywał i Healy zerknął na mnie z błyskiem w oku.

– To nieważne. Liczą się tylko one.

One, nie oni. Gail i dziewczynki, nie Korman i Grankin.

Zanim zdążyłem coś powiedzieć, wyminął mnie i ruszył wzdłuż linii drzew w stronę wejścia do dobudówki.

– Healy! – syknąłem, ale się nie zatrzymał.

Na moment wyłonił się z gęstwiny, przemierzył otwartą przestrzeń dzielącą nas od dobudówki i ponownie zanurzył się w kępę jodeł.

Ale przedtem odwrócił głowę i obrzucił mnie wyzywającym wzrokiem.

Przyjrzałem się zabitym oknom, sprawdzając, czy jego ruchy nie wywołały jakiejś reakcji, wszędzie jednak panowała martwa cisza. Okna były na głucho zabite deskami. Niestety, ewentualne ruchy w gąszczu leśnym byłyby trudniejsze do wychwycenia: korony drzew szumiały, gałęzie się kołysały, krople deszczu rozmywały obraz. Zaczynałem podejrzewać, że uchylone drzwi mogą być pułapką, do której chcą nas wciągnąć, a Grankin siedzi przyczajony zupełnie gdzie indziej.

Może sam, może z Kormanem.

Czy zauważył, że zbliżamy się do jego domu, i gdzieś się ukrył? Pamiętałem o włączonym telewizorze i pracującym wentylatorze w łazience. To mogło świadczyć o tym, że wybiegał w pośpiechu. A potem spojrzałem na Healy'ego – nadal z trudem łapiącego oddech, okutanego w mój za duży płaszcz i z pistoletem w ręce, który też wydawał się dla niego za duży – i nagle w głowie zaświtała mi myśl: prowadzę nas obu na pewną śmierć! Byłem w stanie zadbać o siebie, odpowiadać za swoje czyny, usprawiedliwiać je, zwalczać w sobie strach i postępować, jak należy, ale nie mogłem zapewnić tego wszystkiego w odniesieniu do niego. Nie wolno mi było wciągać w to kogoś osłabionego, wycieńczonego i niezdolnego do obrony.

Poprowadziłam go wprost na egzekucję.

Sumienie mi jednak na to nie pozwalało.

Wyjąłem telefon i sprawdziłem siłę sygnału, po czym znów zerknąłem na Healy'ego i nasze oczy ponownie się spotkały.

A potem zadzwoniłem do Craw.

Na twarzy Healy'ego, który nie przestawał się we mnie wpatrywać, pojawił się wyraz zaniepokojenia. Bezgłośnie, samym ruchem warg, spytał: „Co ty robisz?”, a ja uniosłem palec na znak, że ma mi zaufać.

Craw jak zwykle przywitała mnie sucho:

– Raker?

– Craw – powiedziałem. – Chciałbym, żebyś mnie uważnie wysłuchała.

– Gdzie ty jesteś?

– Wysłuchaj mnie. Proszę. – Spojrzałem na Healy’ego, który wyszedł spośród drzew z pistoletem w opuszczonej ręce. – Chodzi o niejakiego Victora Grankina. Mieszka przy Poland Gardens trzy w Whitehall Woods. Powiadom kogo trzeba, że ten człowiek, a także jego kompan Paul Korman, znany również jako Benjamin Gray, są odpowiedzialni za śmierć rodziny Clark. Przy czym mają na sumieniu nie tylko je trzy, ale prawdopodobnie także parę młodych ludzi, Neila i Anę Yostów. Nadążasz?

Chwila ciszy.

– Czekaj, wezmę coś do pisania.

Milcząc, przyglądałem się Healy’emu.

– Dobra – odezwała się znów w słuchawce. – Jak on się nazywa?

– Victor Grankin, Poland Gardens trzy. Byłem u niego w domu...

– Włamałeś się?

– Wysłuchaj mnie! Musisz tam wysłać ludzi.

– Raker, to nie mój rewir...

– To ustal, do kogo ten rewir należy, i do niego zadzwoń. Craw, proszę. Mam tu... – Przerwałem i popatrzyłem na Healy’ego. Mam tu Healy’ego, ale nie takiego, jakiego oboje znaliśmy. Nie tę jego wersję. Już nie. W obecnej wersji nie dam rady go ochronić. Nie obronię go przed Kormanem i Grankinem. – Po prostu wyślij patrol na ten adres, a także do dawnego Domu Dziecka Świętego Dawida. To dosłownie obok domu Grankina.

– Po co? – spytała. – Co ma z tym wspólnego dom dziecka?

– Myślę, że ci dwaj mają tam swoją melinę.

– Dlaczego?

– Bo tu się wychowali.

– „Tu”? Czy to znaczy, że już tam jesteś?

Rzuciłem okiem ponad dawnym trawnikiem ku miejscu, z którego przyszliśmy. Ku leśnej gęstwinie. I zatopionemu w niej i niewidocznemu stąd domowi Grankina.

– Tak – potwierdziłem. – Już tu jestem.

Westchnęła.

– Po prostu mi zaufaj, dobrze? – poprosiłem.

– Jesteś w niebezpieczeństwie?

– Jeśli wyślesz tu patrol, to nie będę...

Zawiesiłem głos.

– Raker?

Kurwa.

– Caw, muszę kończyć.

– Dlaczego?

Rozejrzałem się.

Healy'ego już nie było obok mnie.

Ostrożnie otworzyłem drzwi.

Tuż przy wejściu, po prawej, mieściła się recepcja z drewnianą ladą i okienkiem z odsuwaną szybką. Podłoga była wyłożona zielonym linoleum, na korkowej tablicy po lewej wciąż jeszcze wisiały afisze i komunikaty. Wszystko razem przypominało zapyziały i duszny oddział szpitalny. Przejście prowadzące na wprost zagradały dwie bramki, obok pierwszej na ścianie umieszczono cyfrowy szyfrator. Obie bramki były na oścież otwarte.

Wszedłem do środka i puściłem drzwi; z powrotem się przymknęły, pogrążając wnętrze w półmroku. W ścianie za ladą recepcyjną znajdowało się niewielkie okienko, ale dawało tak mało światła, że korytarz za bramkami tonął w ciemnościach. Po obu stronach ciągnął się rząd identycznych szarych drzwi. Tylko jedne były czerwone i te były zamknięte na łańcuch.

Na końcu korytarza widać było schody.

Nie wziąłem z sobą latarki, bo nie sądziłem, że może być mi potrzebna, posuwałem się więc trochę po omacku, przyświecając sobie tylko telefonem. Na podłodze zauważyłem odciski stóp i naniesione z lasu igły. Pewnie przez Healy'ego. Ślady wiodły środkiem korytarza w stronę klatki schodowej. Podążając za nimi, czułem mieszaninę złości i strachu na myśl o lekkomyślności Healy'ego, która kazała mu przyjść tu samotnie i bez żadnego wsparcia, a także na myśl o tym, co może go tam czekać.

W połowie drogi spostrzegłem, że jedne z drzwi są lekko uchylone i widać przez nie dawne pomieszczenie biurowe. Pod ścianą leżało przewrócone biurko, obok kilka rozrzuconych krzeseł. Duże okno wychodziło na kępy traw i zarośli na dawnym trawniku. W smudze światła sączącej się na korytarz można było dostrzec zwisające z sufitu tablice informacyjne ze strzałkami

w różnych kierunkach: RECEPCJA, ADMINISTRACJA, SZKRZYDŁO PÓŁNOCNE i coś o nazwie BLOK JJC.

Szybko i cicho ruszyłem schodami na górę.

Kolejne drzwi łączyły piętro oryginalnego budynku o wystroju wiktoriańskim z dobudówką. Pod nogami ciągnęła się posadzka z polerowanego marmuru, nad głową wznosił się wysoki sufit, po obu stronach widać było rząd drzwi i okien. Wnętrze było stare, zaniedbane i duszne, ale nie w stanie rozkładu. Ciekawe, jak dawno temu zlikwidowano ten dom dziecka. Czy zamknięto go mniej więcej wtedy, gdy w okolicy zamieszkał Grankin? Czy dlatego zdecydował się na kupno domu w Poland Gardens?

Skupiłem uwagę na mijanych pokojach.

Wyglądało na to, że ich mieszkańców dobierano w grupach wiekowych i nadal widoczne były pozostałości po nich: w jednych zachowały się wielkie przedmioty z pianki oraz kredki i rysunki, które pospadały ze ścian, w innych stały regały, leżały pudełka na DVD i stare gry planszowe. Na końcu korytarza znajdowała się klatka schodowa prowadząca na parter, ale zanim do niej dotarłem, coś przykuło moją uwagę w ostatnim pokoju po lewej. Stał w nim stary stół z piłkarzykami, miał koślawe nogi, zardzewiałe dźwignie i pękniętą osłonę. Dokładnie taki, na jakim East i Grankin grywali jako dzieci, może wręcz ten sam.

Przeniosłem wzrok na schody, podszedłem bliżej i spojrzałem w dół przez poręcz.

Całkowita ciemność.

Ale zaraz z daleka, jakby z innego świata, dobiegł mnie jakiś odgłos. Zszedłem ostrożnie dwa stopnie zupełnie po ciemku; słyszałem ten dźwięk coraz wyraźniej. Co to może być? Ruszyłem dalej, w połowie schodów znów się zatrzymałem, wpatrzyłem w ciemność i nagle to do mnie dotarło z mocą wystrzału. Ręce pokryła mi gęsia skórka i poczułem ciarki na całym ciele.

Bo już wiedziałem.

Znałem ten dźwięk.

Ktoś szlochał w ciemnościach.

Na dole można było skręcić do stołówki, do której dostęp uniemożliwiały drzwi zamknięte na łańcuch, lub w długi, prosty korytarz prowadzący w głąb domu. Mniej więcej w połowie drogi, po lewej, widać było uchylone drzwi, zza których dochodziły błyski światła, rozpraszając nieco ciemności i rzucając ruchome cienie. Wyglądało to tak, jakby cały korytarz się ruszał, ściany się przesuwwały, a drzwi zmieniały kształty i rozmiary. W domu nie było prądu, więc musiało to być światło latarki.

Właśnie stamtąd dobiegało szlochanie.

Wyłączyłem latarkę w telefonie i spojrzałem do tyłu, przez przeszklone drzwi sali jadalnej, choć wiedziałem, że nikt nie może mnie stamtąd zaatakować. Drzwi stołówki były zamknięte na łańcuch, na schodach nie było nikogo. Potencjalne niebezpieczeństwo znajdowało się przede mną, ale ja nadal się wahałem.

Patrząc w głąb korytarza na rozbłyskujące światło i słuchając cichego szlochu, na moment przymknąłem oczy, starając się opanować. Czulem nie tylko pulsowanie w ranie na twarzy, ale także ból po wcześniejszych urazach klatki piersiowej. Bolała mnie głowa, bicie serca dudniło w uszach. Tonąłem w zalewie dźwięków i wątpliwości i już po chwili zacząłem się obawiać, że znów odjadę i runę na podłogę jak w muzeum.

Oby nie tu. Oby nie teraz.

Proszę, nie teraz.

Odetchnąłem wolno i głęboko, otworzyłem oczy i rozejrzałem się za czymś, co mogłoby mi posłużyć za broń. Ostrzegawczy głos w głowie powtarzał głośno i wyraźnie, że za łatwo daje się w to wciągać, ale go ignorowałem, nie przestając szukać czegoś odpowiedniego. Wreszcie w kąci obok drzwi prowadzących do stołówki dojrzałem starą szczotkę. Wyrwałem z główki

włosie i przełamałem wilgotny drewniany kij na dwie części, uznawszy, że krótsza będzie poręczniejsza. Nie była to najlepsza broń, ale kij był dość masywny, a teraz miał jeszcze ostro wystrzępiony koniec.

Odwróciłem się i popatrzyłem w głąb korytarza.

Coś jakby się poruszyło w mroku za uchylonymi drzwiami pokoju, z którego błyskało światło i dochodziło szlochanie. Czy ktoś tam stoi?

Czy ktoś mnie obserwuje?

Jeśli zostałem namierzony, to było już za późno na wycofanie się, ruszyłem więc do przodu, szybciej i pewniej niż dotąd, lecz z jeszcze mocniej walącym sercem. Korytarz ciągnął się w nieskończoność z kolejnymi drzwiami po bokach i miałem wrażenie, jakbym odtwarzał w kółko jedną i tę samą scenę. Kilka pokoi było otwartych; w środku majaczyły prycze bez pościeli i materaców. Jedna za drugą sypialnie wychowanków. To tu mieszkali Grankin i Korman, i to tu East starał się wkraść w ich łaski. Im głębiej wchodziłem, tym bardziej zmieniała się otaczająca mnie woń, stawała się coraz bardziej intensywna i drażniąca. Woń starego drewna, pleśni i rdzy, typowa dla starych budynków.

Dotarłem wreszcie do pokoju z uchylonymi drzwiami.

Wewnątrz pod przeciwległymi ścianami znajdowały się dwie prycze – gołe żelazne szkielety z płaskimi sprężynami, bez materaców. Pokój był mały, bez okna, przy ścianie między łózkami stała szafka z pustymi szufladami. Strumień światła z leżącej na podłodze latarki padał na magnetofon kasetowy, taki sam, jaki znaleźliśmy z Healyem w pawilonie na moło. Wewnątrz z cichym szmerem przesuwano się taśma.

Szloch był nagrany.

Szloch kobiety.

Podszedłem bliżej, wsłuchałem się w rozpaczliwe dławiące łkanie i moje dłonie same zwinęły się w pięści.

To był głos Gail.

Płacz Gail nagrany na taśmę.

Próbowała coś powiedzieć i nawet po tych kilku słowach, jakie udawało jej się wydusić, nie miałem wątpliwości. To nie płacz przeszkadzał jej w mówieniu.

Była ranna i cierpiała.

Korman nagrał ją konającą, gdy leżąc w szlafroku na kanapie w swoim mieszkaniu, zalewała wszystko krwią. W tle jej jęków i błagań o litość słychać było grający telewizor.

Poczułem ściskanie w żołądku i machinalnie ruszyłem do przodu, nawet nie zauważając, że brodzę w kałuży wody cieknącej z rury w kącie pokoju. Podniosłem latarkę i wyciągnąłem rękę, by wyłączyć magnetofon.

I wtedy dostrzegłem jakiś ruch.

Poruszyło się coś za mną w mroku korytarza, na granicy mojego pola widzenia. Odwróciłem się gwałtownie i to mnie uratowało. Nóż dziabnął w plecy kurtki w miejscu, gdzie sekundę wcześniej były moje żebra. Tkanina z trzaskiem puściła, a ja poczułem, jak czyjeś kłykcie ocierają się o mój kręgosłup. Impet, z jakim wymierzono cios, spowodował, że pięść, nóż i napastnik przetoczyli się bokiem.

Dokończyłem obrót, trzymając w jednej ręce ułamany kij od szczotki, w drugiej latarkę. Obróciłem w dłoni latarkę, rzucając strumień światła przed siebie, i cofnąłem się pod ścianę, rozchlapując stopami wodę z kałuży na podłodze.

Zaczepiłem przy tym o krawędź pryczy po lewej, lekko się zachwiałem i kopnąłem magnetofon tak, że z chlupnięciem wpadł do wody. Od uderzenia wieczko komory na kasetę odskoczyło i woda wlała się do środka. Rozległ się cichy trzask i nastąpiło spięcie. Czuję, że piętami dotykam już ściany, i wtedy ujrzałem napastnika, który wpadł za mną do pokoju i stanął na środku.

Victor Grankin.

Na twarzy miał szarą maskę.

Tę samą maskę. Tę z rysą na lewym policzku. Miał ją na twarzy tamtej nocy, gdy pod Searle House czekał na Kormanana. Stał teraz przede mną, wysoki i chudy, mrugając oczami w otworach maski, ubrany w czarne spodnie od dresu, czarny T-shirt i ubłocone tenisówki.

W dłoni zaciśniętej w pięść trzymał nóż myśliwski.

Docisnął maskę do twarzy, jakby chciał ją z nią scalić, i z rozjarzonymi oczami ruszył na mnie. Stojąc w wodzie, zamachnął się nożem od prawej do

lewej tak energicznie, że ząbkowane ostrze świsnęło groźnie w powietrzu.

Musiał wiedzieć, że się zbliżamy, obserwować mnie w lesie i w domu i potem przybiec tutaj. Tylko dlaczego?

Nagranie Gail.

Użył go, żeby mnie tu zwabić i na tyle zająć moją uwagę, by móc wsadzić mi nóż między zębra. I chciał to zrobić dlatego, że jest tu coś jeszcze, czego nie powinienem widzieć.

Potoczył wzrokiem po pokoju.

– Tu była nasza sypialnia.

Powiedział to tak, że te cztery obojętne słowa zabrzmiały naprawdę złowieszczo. Mimo wieloletniego pobytu w Anglii mówił z silnym akcentem, nieco tłumionym przez maskę. Zrobił jeszcze parę kroków i zatrzymał się w kałuży.

– Podobało ci się nagranie?

Próbował uspić moją czujność, zmusić do błędu.

Milczałem, zaciskając dłoń na kiju szczotki.

– Bo tak pomyślałem, że ci się spodoba. Że cię to przyciągnie jak... Jak wy mówicie? Jak ćmę do ognia.

Nadal milczałem, a on zaczął wydawać groteskowe odgłosy, naśladując walczącą o życie i konającą Gail.

– Poćwicz to sobie – odezwałem się.

– Tak? – Umilkł, nie spuszczając ze mnie wzroku. Przez maskę wyglądał dziwnie i nienaturalnie, miał ledwo zaznaczone wargi i policzki. – Tak? – Jego spojrzenie przeniosło się ze mnie na ułamany kij od szczotki, potem na latarkę. – Zamierzasz mnie tym zabić?

– Spróbuję.

– Nie wiedziałem, że jesteś zabójcą.

– Gra skończona.

– Może dla ciebie – prychnął.

– Policja już tu jedzie.

W jego oczach błysnął strach. Wcale nie byłem pewny, czy naprawdę są już w drodze. Nie wiedziałem, czy udało mi się skłonić Craw do działania. Zauważyłem brak Healy'ego i musiałem przerwać rozmowę. Ale przynajmniej

podałem jej adres Grankina. Wspomniałem też o domu dziecka, a ona przyznała, że mi wierzy.

I dopiero w tym momencie przypomniałem sobie.

Healy. Gdzie on się, do diabła, podział?

Grankin zrobił kolejny krok i sprowadził mnie na ziemię machnięciem noża, ledwie widocznego w jego ręce. Dzielilo nas nie więcej niż trzy metry.

– Żadna policja tu nie jedzie – mruknął.

– Jedzie.

– Nie odważyłbyś się do nich zadzwonić.

– A czemu nie?

– I przyznałbyś się do swoich kłamstw?

– By w ten sposób ujawnić twoje? – Kiwnąłem głową. – Oczywiście.

Zmrużył oczy, nieco opuścił nóż i przez chwilę zdawało się, że zrezygnuje. Może dotarło do niego, że koniec jest bliski.

Myliłem się jednak.

Przestępując z nogi na nogę, rzucił się na mnie i ta nagła zmiana w jego ruchach trochę mnie zaskoczyła. Był zwinny i szybki, podstępny i brawurowy. Uskoczyłem w bok i poczułem świst noża tuż przy skórze, a jego czubek rozciął mi rękaw kurtki na ramieniu. Gdy siłą bezwładności runął na mnie, odchyliłem się na piętach do tyłu i zamachnąłem szczotką. Trafiłem go gdzieś na wysokości pasa, wytrącając z równowagi. Rzuciło go na żelazną ramę pryczy po drugiej stronie pokoju. Metal zawibrował, a nogi stelaża zachrobotowały na kamiennej posadzce, rozchlapując wodę.

Przez moment zdawało się, że już go mam, bo był odwrócony do mnie bokiem i ręka z nożem była skierowana tak, że nie mógł mnie od razu nim dziabnąć, ale gdy ponownie zamachnąłem się kijem, zrobił unik i kij ledwo otarł się o jego głowę. Bezwładnie poleciałem w jego stronę, a on wiedząc, że nie zdąży użyć noża, wystawił łokieć i trafił mnie nim w nasadę szyi.

Ból był taki, jakby ktoś do mnie strzelił.

Charcząc, zatoczyłem się do tyłu i ujrzałem przed oczami białe plamy. W głowie mi huczało, nogi się pode mną ugięły i niemal straciłem orientację. Chciałem się oprzeć o znajdującą się za mną pryczę, ale trafiłem na pustkę.

Łóżko było dobre pół metra dalej, niż myślałem. Zachwiałem się i runąłem na podłogę. Woda chlusnęła mi w twarz i zalała usta.

Przekręciłem się na plecy.

Obraz przed oczami pływał, raz się wyostrajac, raz mętniejac, ale to, co widzialem, wystarczalo: Grankin zbliżal się z wyciągniętym nożem, nie spuszcżając mnie z oczu. Drugą ręką chwycił maskę i zerwał ją z twarzy, a ta zwinęła się na czubku jego głowy. Była przymocowana do głowy kawalkiem sznurka. W drugiej ręce trzymal już latarkę, która w trakcie szamotaniny wypadła mi z dłoni. Bawił się nią, świecąc mi prosto w oczy, na moment kierując światło w bok i znowu mnie oślepiając. Czułem, jak kurtka i spodnie nasiakają wodą. Próbowalem podeprzeć się na łokciu, ale byłem jak sparaliżowany. Jak zwierzę konające w świetle reflektorów samochodu, który w nie uderzył.

– No i co? – powiedział Grankin.

Rozstawił nogi na szerokość bioder, pochylil się nade mną i poprawił chwyt na rękojeści noża. Przechylił głowę na bok, spojrzal na mnie niemal z żalem i wydał usta. Kropla jego śliny spadła mi na twarz.

– Jesteś żalorny – wycedził i zamachnął się, by zadać mi ostateczny cios.

Ale nie zdążył.

Coś pstryknęło.

Grankin znieruchomiał i odwrócił głowę. Podążyłem za nim wzrokiem w mrok korytarza, z którego wyłonił się Healy i stanąwszy w kręgu światła z latarki, wycelował w Grankina z pistoletu. Poruszał się wolno i z rozmysłem.

– Och, nie wiedziałem, że jego też tu przywlokłeś – odezwał się spokojnie Grankin, obrzucając mnie ironicznym spojrzeniem.

Przyjrzał się Healy'emu uważnie i uniósł ręce nad głowę. W lewej wciąż trzymał nóż.

– Przydałoby ci się trochę przytyć, przyjacielu.

Healy patrzył na niego w milczeniu.

– Gdzieś ty się podziewał? – rzuciłem.

– Zdawało mi się, że słyszę jakiś hałas.

– No, proszę – prychnął Grankin. – Wy się chyba kochacie.

– Rzuć nóż – burknął Healy.

Grankin zmarszczył czoło.

– A jak nie, to co? Zastrzelisz mnie? Zostawisz tu moje ciało, żeby policja je znalazła?

Healy spojrzał na mnie.

– Dzwoniłeś na policję?

Usiadłem, czując, jak powoli schodzi ze mnie napięcie.

– Raker? Dzwoniłeś na policję?

– Tak. Zadzwoiłem na policję.

– Po co?

Patrzyłem na niego, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

– Raker?

– Coś jest ze mną niedobrze – odparłem.

Dźwignąłem się i stanąłem na niepewnych nogach, ociekając wodą. Zadzwonilem, bo myślałem, że nie będę w stanie się z tobą uporać.

Ale nie z tobą się nie uporałem.

Healy ściągnął brwi i ruszył w moją stronę.

Nie uporałem się sam z sobą.

– Coś ci jest? – spytał.

– Chyba jestem chory. Sam nie wiem. Ale to teraz nieważne.

– Co to znaczy, że jesteś chory?

– Colm – wtrącił niemal przyjaznym tonem Grankin, przesuwając się odrobinę w stronę Healy'ego. – Mógłbyś sprawdzić, czy ten magnetofon wciąż działa?

Healy spojrzał na podłogę.

– Nie słuchaj go – rzuciłem.

– Sprawdź, czy jeszcze działa – powtórzył Grankin.

– Healy! – warknąłem ostrzegawczo.

Healy wyglądał na zagubionego i ze skrzywioną twarzą przyglądał się magnetofonowi. Dokładnie o to chodziło Grankinowi: dezorientowany i wybity z rytmu, tracił jakiegokolwiek szanse.

– Healy – powtórzyłem ciszej i łagodniej.

Przeniósł wzrok na Grankina.

– A co? – odparł, celując z pistoletu w jego głowę. – Co jest na tej taśmie? – Spojrzał na mnie pytająco. – Raker?

– On ci mąci w głowie.

– W jakiej sprawie?

– Musimy z nim porozmawiać – dodałem, unosząc rękę.

– W jakiej sprawie mi mąci?

– Chce cię zmusić do popełnienia błędu.

Healy zacisnął szczęki i słychać było, że ze złością zgrzyta zębami. Podszedł jeszcze bliżej i dopiero teraz zauważył maskę zwiniętą na czubku głowy Grankina. Wzdrygnął się tak, jakby kopnął go prąd.

– Co jest na tej taśmie? – syknął.

– Musimy z nim porozmawiać – powtórzyłem.

– Na taśmie jest Gail – rzucił Grankin.

Healy'ego zatkało, a Grankin zrobił kolejny krok do przodu i znalazł się tak blisko, że wystarczyło wyciągnąć rękę i już miał pistolet.

– Ty... – wyjąkał Healy. – Ty ją nagrałeś?

Grankin przysunął się jeszcze bliżej.

– Nagrałeś ją?

– Tak.

– Tej nocy, kiedy zginęła?

– Tak.

– Healy – jęknąłem, widząc, jak dłoń Grankina zaciska się na rękojeści noża. – Jemu właśnie o to chodzi. Nie widzisz tego? Skup się. Jest nam potrzebny. Chcemy usłyszeć, co ma do powiedzenia.

– Nagrałeś ją, jak konała?

– Healy!

– Tak – powiedział Grankin. – Nagraliśmy ją, jak konała.

– Dlaczego? Dlaczego jej to zrobiliście? – wydusił Healy płaczliwym tonem. Oczy mu zwilgotniały, na wargach pojawiły się banieczki śliny.

– Dlatego.

– Co dlatego?

– Jakie to ma teraz znaczenie?

Nagle jakby wszystko wokół zadrzało. Grankin spojrzał na mnie tak, jakby szykował się do występu, po czym błyskawicznym ruchem zacisnął dłoń na lufie, by odwrócić ją od swojej twarzy, i jednocześnie machnął nożem.

– Healy! – wrzasnąłem.

Mój krzyk zlał się z hukiem wystrzału.

Błysnęło.

Grankin zachwiał się do tyłu i tracąc równowagę, potracił pryczę. Rzuciło nim o ścianę, a on się od niej odbił i osunął na podłogę tak bezwładnie, jakby wszystkie kości w jego ciele nagle utraciły sztywność. Healy podszedł i wymierzył w niego z pistoletu. Na brzuchu, gdzie dosięgło go ostrze noża, miał rozcięte ubranie i rosnącą plamę krwi, ale nawet jeśli rana była głęboka i poważna, to tego nie zauważył, albo było mu to obojętne. Mamrotał coś do siebie, jęcząc pod nosem. Nachylił się nad Grankinem i przytknął koniec lufy do jego oka.

– Dlaczego zabiliście dziewczynki? – spytał cicho.

Na środku pokoju już się zbierała kałuża krwi Grankina, dolna część jego twarzy zamieniła się w krwawą miazgę. Krew zaczynała się mieszać z wodą stojącą na podłodze, zalewając mu oczy, nos, usta, dziurę w głowie.

– Dlaczego zabiliście dziewczynki? – powtórzył Healy, ale tym razem z trudem udało mu się wydusić słowa. – Dlaczego zabiliście dziewczynki?

Podszedłem do niego.

– Jesteś ranny – powiedziałem.

Spojrzał na mnie zaskoczony, jakby zapomniał, że nie jest tu sam. W jego głowie w tym pokoju, który Grankin kiedyś nazywał swoim domem, byli tylko oni dwaj. Strzał oddany w obronie własnej pozbawił go odpowiedzi, na której tak mu zależało. Znów na mnie popatrzył, uniósł pistolet i wyprostował się, a ja dojrzałem, że rana na jego brzuchu jest rozległa, ale niezbyt głęboka.

– Dlaczego musieli zabić dziewczynki? – powtórzył cicho.

– Healy, już po wszystkim – wyszeptalem, unosząc uspokajająco rękę.

– Dlaczego on je musiał zabić?

– Healy...

– Dlaczego on je musiał zabić! – wrzasnął, a jego krzyk odbił się echem, jakby cały dom domagał się odpowiedzi.

Gdy zapadła cisza, oczy Healy'ego wypełniły się łzami i zaczął łkać.

Był opiekunem tych dziewczynek.

Ich mścicielem.

Nigdy nie widziały go na oczy, ale i tak je kochał.

Zostawiliśmy ciało Grankina i wyszliśmy na korytarz. Healy zamilkł, przestał płakać i schował pistolet do kieszeni, a jego żalosna postura nabrała jeszcze żałośniejszego wyglądu. Był jak stary i zepsuty mechanizm, który goni resztkami sił, wciąż jeszcze utrzymujących go na chodzie. Próbowałem go pocieszać, ale nie reagował, jakby w ogóle mnie nie widział. Gdy w końcu na mnie spojrział, uświadomiłem sobie, że właściwie nie bardzo wiem, co mam mu powiedzieć.

Obmacałem Grankina w nadziei na znalezienie telefonu, ale kieszenie miał puste. Widać przyszedł tu po jedno i bardzo mu się spieszyło.

– Healy, chcę się tu jeszcze rozejrzeć – oznajmiłem.

Wlepił we mnie spojrzenie.

– Idziesz ze mną? – Nie zareagował, tylko wpatrywał się we mnie pustym wzrokiem. – Healy, posłuchaj mnie.

Nadal jednak nie wiedziałem, co miałbym mu powiedzieć.

– Chodźmy – zdecydowałem i pociągnąłem go za sobą.

Korytarz sięgał jeszcze kilkanaście metrów w głąb, ale nie wydawał się już ani taki duszny, ani przytłaczający. Na pewno pomagało światło latarki, im jednak głębiej wchodziliśmy, tym więcej promieni słonecznych wdzierało się przez szpary w oknach, skutecznie rozpraszając mrok. Dotarliśmy w końcu do ostatnich drzwi, które były lekko uchylone, i dało się dojrzeć, że za nimi korytarz zawija w lewo i zawraca ku recepcji i dobudówce, co zresztą potwierdzała strzałka z odpowiednim napisem.

Na prawo mieściły się toalety.

Przecisnąłem się przez niedomknięte drzwi, poświeciłem w stronę recepcji i ujrzałem kolejne drzwi, tym razem czerwone. Widziałem je już wcześniej, zaraz po wejściu do dobudówki, tyle że od tamtej strony były zamknięte na

łańcuch. Czyli tędy wyjścia nie było. By dotrzeć do recepcji, musieliśmy zawrócić i przejść całą drogę korytarzem.

– Mówiłeś, że usłyszałeś jakiś hałas – zwróciłem się do Healy’ego.

Popatrzył na mnie pustym, pozbawionym wyrazu wzrokiem.

– Healy! – powiedziałem głośniej, chcąc wytrącić go z ośpienia. – Mówiłeś, że jak staliśmy pod budynkiem, to usłyszałeś jakiś hałas. – Jeszcze przez chwilę nie reagował, po czym wolno skinął głową. – Wszedłeś do środka, żeby to sprawdzić?

Pokręcił głową.

– Nie wszedłem – odparł cicho, podnosząc załzawiony wzrok i kierując go na czerwone drzwi. – Sprawdziłem budynek od tyłu, bo zdawało mi się, że hałas dochodzi stamtąd. Ale z tyłu nic nie było, więc zawróciłem i wszedłem do środka.

Omiotłem światłem latarki wejścia do toalet, do męskiej i żeńskiej, a także czegoś w rodzaju służbówki woźnego. Podeszedłem bliżej i stwierdziłem, że drzwi do żeńskiej toalety są uchylone i podparte kawałkiem cegły. Kiwnąłem na Healy’ego, pchnąłem drzwi i otworzyłem je na całą szerokość. Wewnątrz było sześć kabin i rząd umywalek, na ścianie wisiała suszarka do rąk. Z obtłuczonego z tynku fragmentu muru wystawały stare wyloty wentylacyjne.

– Pilnuj drzwi – poleciłem.

Healy wzdrygnął się i uniósł brwi.

– Co?

– Może tu być ktoś jeszcze. – Na przykład Korman. – Po prostu uważaj, dobrze?

W pomieszczeniu unosił się zatechły smród starego moczu, wilgoci i rdzy, ale nie zważając na to, wszedłem do środka. Zrobiłem kilka kroków i obejrzałem się na Healy’ego. Stał w drzwiach, wlepiwszy wzrok w korytarz, widać jednak było, że myślami jest daleko stąd: przy Grankinie, dziewczynkach, tym, co się wydarzyło. Odwróciłem się i w kącie za kabinami dojrzałem coś, czego w pierwszej chwili nie zauważyłem.

Dwie beczki po ropie.

Były puste i suche, farbę ochronną wewnątrz zdrapano. Pokrywy, dwie wielkie, okrągłe tarcze, stały oparte o beczki. Sięgnąłem do środka i pociągnąłem palcem po ścianie. Pozostał suchy i czysty.

Beczki zostały dokładnie wyszorowane.

Wróciło do mnie wspomnienie z molo, tuż przed naszą ucieczką przed ogniem. Chwilę wcześniej natknąłem się na magnetofon kasetowy podobny do tego, jakiego Grankin użył tu. Tamten był bez baterii i kasety, ale wyglądał tak samo.

I znalazłem te wypalone kręgi.

Uklęknałem przed jedną z beczek. To po nich były te ślady na podłodze. Dwa wypalone kręgi w podłodze pawilonu miały wielkość odpowiadającą średnicy beczek. Uniosłem jedną i spojrzałem na płytę, na której była ustawiona. Widniał na niej identyczny wypalony krąg. Ta sama wielkość, taki sam wygląd, wszystko identyczne.

Korman i Grankin nadal z nich korzystali.

Tyle że już nie na molo.

Omiotłem światłem latarki resztę pomieszczenia. Czy oni palą w nich zwłoki? W powietrzu nie było czuć smrodu palonych lub rozkładających się ciał, natomiast po chwili pociągania nosem wywęszyłem lekki zapaszek środka dezynfekcyjnego.

Ługu.

– Zaczekaj tu – rzuciłem w stronę Healy’ego.

Tym razem nie musiałem się spieszyć z obawy, że mi gdzieś zniknie. Kiwnął obojętnie głową i nawet nie drgnął. Stał w bladej poświacie sączącej się przez cztery odrutowane okienka, rozmieszczone wysoko nad umywalkami. Ta część budynku nie była zbyt dobrze doświetlona, ale było wystarczająco jasno. Chwyciłem latarkę i przeszedłem do męskiej toalety. Znajdowała się po drugiej stronie ściany działowej i miała odwrotny układ: kabiny po prawej, umywalki i okienka pod sufitem po lewej. Tu światło latarki wydobyło z ciemnego kąta za kabinami grubą plastikową rurę zwiniętą na podłodze, ale dopiero po podejściu bliżej zorientowałem się, z czym mam do czynienia.

Przenośna myjka ciśnieniowa.

Grankin musiał dopiero co jej używać, bo płytki na ścianie toalety były jeszcze mokre. To dlatego, gdy nas zobaczył, tak nagle wyskoczył z domu. Przybiegł umyć tu ściany.

Podszedłem jeszcze parę kroków.

W wodzie była krew. Niezbyt dużo, ale była. Wirowała na powierzchni kałuż jak smugi czerwonego barwnika, spływając stopniowo do ścieku. W fugach między kafelkami widać było ślady zakrzepłej krwi, zdążyły już jednak wyblaknąć, przybierając jasnoróżową barwę, i trzeba się było dobrze wpatrywać, by je dostrzec. Tu też w powietrzu wisiał zapach ługu, nawet intensywniejszy niż obok. Zbliżyłem się do myjki ciśnieniowej, ustawiłem ją pionowo, odkręciłem korek zbiornika i w nozdrza buchnął mi ostry zapach. W zbiorniku była woda z domieszką ługu.

Ale moją uwagę przyciągnęło coś innego.

Z oddali dobiegły ciche, lecz narastające dźwięki.

Syreny policyjne.

Jasna cholera.

Chwyciłem Healy'ego za rękę, pociągnąłem na korytarz i puściliśmy się biegiem w stronę klatki schodowej; po drodze mijałem niekończący się rząd drzwi. Przebiegając, rzuciłem okiem do pokoju Grankina i stwierdziłem, że z korytarza widać jego nogi i rękę ułożoną tak, jakby po coś sięgał. Podłogę zalało różowawe jezioro, z boku – jak łódź wyciągnięta na brzeg – leżał jego nóż. Dzwoniłem do Craw i prosiłem o wysłanie policji, bo wówczas wydawało mi się to właściwym posunięciem, ale teraz ich tu nie chciałem. Jeszcze nie. Śledczy i ekipa dochodzeniowa będą mieli co tu robić, i to nie tylko ze względu na zwłoki Grankina i jego nóż, ale też, gdy znajdą to wszystko, co Healy i ja po sobie zostawiliśmy. Może powinniśmy wrócić i pozacierać ślady?

Nie było na to czasu.

W pierwszej kolejności należało wyprowadzić stąd Healy'ego.

Szybko wbiegłem na schody, minęliśmy pokoje zabaw na pierwszym piętrze i zeszliśmy drugimi schodami do dobudówki. Dotarłem do drzwi wejściowych i wyjrzałem na zewnątrz.

Nic się nie działo.

Ale to zbyttnio mnie nie uspokoiło.

Ponagliłem Healy'ego ruchem ręki i wyszedłem na dwór. Deszcz wciąż padał i zrobiło się jeszcze zimniej. Okrążyłem budynek i upewniwszy się, że parking za domem jest zupełnie pusty, przeszedłem od frontu i rozejrzałem się po okolicy. Tam gdzie niegdyś był ogród i place zabaw dla dzieci, teraz rosły wysokie chaszczce i od dawna niekoszona trawa. Gdzieś w gęstwinie drzew krył się dwuipółmetrowy płot pod napięciem i dziura w ziemi, którą można było przedostać się do domu Grankina.

Nasza jedyna droga ucieczki.

Spojrzałem na Healy'ego i stłumiłem w sobie jęk zawodu. Stał wpatrzony w sięgającą mu do pól łydki trawę, zagubiony i jakby nieobecny. Nie było mowy o wracaniu drogą, którą tu przyszliśmy. Patrol interwencyjny mógł być już blisko domu Grankina, a od Craw wiedzieli prawdopodobnie o dawnym domu dziecka. Niewykluczone, że lada chwila zjawią się przy jego głównej bramie, do której ten zarośnięty stary podjazd zapewne prowadził. Znaleźliśmy się w potrzasku. Staralem się postępować rozważnie, ale wpakowałem nas w ślepy zaułek. Za nami zostały zwłoki, a do tego Healy oficjalnie nie żyje. Co gorsza, wyglądało na to, że w ogóle nie zdaje sobie sprawy, co się wokół niego dzieje, i nasze problemy nie robiły na nim wrażenia. Jakby mięśnie wprawiały jego ciało w ruch, ale myślami był gdzie indziej.

Jakaś częścią siebie nadal znajdował się w budynku.

Chwyciłem go za rękę i potrząsałem. Wiedziałem, że nienawidzi tego rodzaju fizycznej poufałości, tym razem jednak nie zaprotestował i bez słowa ruszył za mną. Przeszliśmy podjazdem wśród drzew i znaleźliśmy się na niewielkim zboczu. Opadało łagodnie, porośnięte z obu stron lasem, ale przez splątane gałęzie coś prześwitywało. Wyjazd na drogę.

Podjazd kończył się ceglany murem, który oddzielał teren domu dziecka od publicznej drogi. W murze znajdowała się dwuipółmetrowa brama strzeżona po bokach przez kamienne orły. Przystanąłem, dałem znak Healy'emu, by zrobił to samo, i rozejrzałem się po okolicy. Segmenty muru przy bramie przechodziły w dwa stalowe ogrodzenia pod napięciem, rozchodzące się na boki wzdłuż drogi, wspinające się po zboczu i tonące w gęstwinie leśnej, by zapewne połączyć się gdzieś za domem dziecka. Na murze też było widać przewody pod napięciem – trzy nitki drutu kolczastego – ale sama brama ich nie miała. Zamiast nich umieszczono dwie kamery monitorujące, które wbudowano w mur poniżej orłów i skierowano na drogę.

Znów zabrzmiały syreny policyjne, tym razem dużo bliżej.

Popatrzyłem na Healy'ego. Stał, opierając jedną nogę na podjeździe, drugą trzymając w błocie. Oczy miał zapadnięte i niewidzącym wzrokiem spoglądał na bramę. Cieknąca z rany krew wsiąkała w kurtkę i w za duże na niego spodnie, zmarszczone w kostkach w harmonijki, mokra od deszczu łysina

połyskiwała. Przeniósł wzrok na mnie i odniosłem wrażenie, że chyba po raz pierwszy dociera do niego to, co się wokół dzieje.

Że nas dopadną.

Aresztują.

Że za chwilę będzie po wszystkim.

Syreny wyły coraz bliżej. Pociągnąłem go za rękę i ruszyłem w stronę bramy. Posłusznie podążył za mną. Drogą przejeżdżały samochody, dalej widać było wierzchołki Epping Forest. Zrzuciłem kurtkę i podałem Healy'emu.

– Włóż ją na swoją – poleciłem.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Tyłem do przodu.

Jeszcze przez moment się nad tym zastanawiał, ale w końcu zrozumiał. Kamery na bramie. Zamierzałem go podsadzić i pomóc przeleźć przez bramę, a on miał wykorzystać kaptury obu kurtek do utrudnienia identyfikacji. Wkładając moją tyłem do przodu, mógł skutecznie zasłonić twarz. Materiał kurtki był jednak na tyle cienki, że mógł coś przez niego widzieć. Przynajmniej tyle, że jest już poza zasięgiem kamer.

– A ty? – spytał.

– Pospiesz się.

Syreny były coraz bliżej i bliżej.

– Healy, wkładaj to.

Wciągnął moją kurtkę na swoją tyłem do przodu, jakby zakładał kaftan bezpieczeństwa, a ja zaciągnąłem mu suwak na plecach. Wyglądał idiotycznie, ale nie miało to teraz żadnego znaczenia. Ustawiłem go przy bramie, kucnąłem za nim i kazałem stanąć na moich splecionych dłoniach.

Ulicę rozświetlił blady niebieski błysk.

– Ruszaj się, Healy – ponagliłem.

Uniosłem go i poczułem, jak szuka rękami punktu zaczepienia. Chwilę później odpadł i niemal całym ciężarem runął na mnie. Bez słowa ponownie podstawilem dłonie i jeszcze bardziej go podsadziłem. Tym razem musiał się czegoś chwycić, bo jego ciężar gwałtownie zmalął. Pchnąłem i stwierdziłem, że złapał się na tyle pewnie, że zabrał stopę z moich dłoni. Zerknąłem w górę.

Nie widziałem grymasu wysiłku na jego twarzy, ale go wyczuwałem. Widziałem jego napęczniałe żyły na rękach i palce zgięte jak szpony.

Był na górze i jedną nogę miał już po drugiej stronie bramy.

Niebieskie błyski stawały się coraz bardziej intensywne.

Przytknąłem twarz do bramy i rozejrzałem się na boki. Nie było ich widać, czułem jednak, że są tuż-tuż.

– Skacz, Healy – syknąłem. – Już!

Trzymając się krawędzi bramy, przegramolił się przez nią i opuścił. Jedną rękę zwolnił, drugą wciąż zaciskał w uchwycie, w końcu jednak opadł bezwładnie na ziemię. Zauważyłem, że kilku pasażerów przejeżdżających samochodów z zainteresowaniem mu się przygląda. Ludzie kręcący się wśród jodeł i kasztanowców po drugiej stronie drogi jeszcze niczego nie spostrzegli.

– Biegiem! – zawołałem.

– A ty?

– Bierz nogi za pas i uciekaj.

– Ale ty jesteś...

– Healy, oni nie mogą cię zobaczyć. Musisz uciec.

– Ale ja... Co ja mam zrobić?

– Zniknij. Potem cię znajdę.

Nie zareagowałem.

– Słyszysz, co mówię?

Długie milczenie.

– Tak.

Przez chwilę zdawało mi się, że znów się rozplącze, ale nie byłem pewny. Poprzez kaptur mojej kurtki prześwitywał zarys jego twarzy, kształt nosa i brody. Nic ponadto. Wycie syren rozbrzmiało głośniejsze niż dotąd, rozdzierając popołudniową ciszę świdrującym dźwiękiem. Już są. Już wjechali w ulicę. Healy popatrzył na kamery. Ja po tej stronie bramy byłem dla nich niewidoczny i w tym sensie bezpieczny, ale każda sekunda zwłoki po tamtej stronie zostanie utrwalona na taśmie i dostarczy policji materiału do identyfikacji.

– Healy, uciekaj!

Zrobił krok do tyłu.

Jeszcze chwilę się wahał.
A potem, wreszcie, ruszył przed siebie.

W ciągu następnej godziny wszystko się pokręciło.

Siedziałem na tylnym siedzeniu radiowozu, z przodu chrypiało policyjne radio, w którym co chwilę ktoś coś mówił, a Dom Dziecka Świętego Dawida rozbrzmiewał odgłosami przeprowadzanej akcji. Umundurowany gliniarz pilnował drzwi od mojej strony, podczas gdy pod budynek podjeżdżały coraz to nowe pojazdy: najpierw kolejne radiowozy, potem granatowe volvo z dwoma śledczymi po cywilnemu, a w końcu – gdy znaleźli zwłoki Grankina – białe iveco z ekipą techników.

Technicy przywdziali białe kombinezony i zaczęli rozkładać swój sprzęt. Azjata pod czterdziestkę w szarych spodniach, białej koszuli z czarnym krawatem i włożonej na wierzch kamizelce ochronnej ruszył w moją stronę. Przez moment rozmawiał cicho z pilnującym mnie gliniarzem, po czym otworzył drzwi.

– Pan Raker? – Spojrzałem na niego w milczeniu. – Detektyw nadinspektor Bishara. – Położył rękę na dachu samochodu i popatrzył na budynek domu dziecka. – Mamy tam niezły bajzel. To wszystko pańska robota?

– Nie – burknąłem, kręcąc głową.

– A ile z tego?

– Z tego nic.

Spojrzał na mnie.

– Znalazł pan to wszystko w takim stanie?

– Tak.

Nie powiedział nic więcej i tylko uważnie mi się przyjrzał: mojemu skaleczeniu na policzku i ubraniu wciąż nasiąkniętemu wodą, moim dłoniom z błotem z butów Healy’ego.

– Jasne – mruknął.

Oczywiście mi nie wierzył.

I trudno było mu się dziwić. Pewnie ktoś już grzebał w mojej teczce i mnie sprawdzał. Zaraz się dowie – o ile już o tym nie wie – co się zdarzyło dziś rano w Wapping. Dowie się, że uciekłem z miejsca przestępstwa.

Prześwietlą mnie na wskroś.

Jedynym pocieszeniem było to, że zostawiłem samochód parę kilometrów stąd. Gdyby do niego zajrzeli, w bagażniku znaleźliby mnóstwo śladów krwi Easta. Popatrzyłem na stojących pod lasem policjantów i uświadomiłem sobie, w jak poważnych tarapatach się znalazłem. Mieli wszystko podane jak na tacy: dom Grankina pełen moich odcisków palców, moje odciski w pokoju, w którym zginął. Jeśli Healy ma odrobinę oleju w głowie, to szybko pozbędzie się pistoletu w taki sposób, by nigdy go nie znaleźli, więc przynajmniej nie będą mogli bezpośrednio powiązać mnie z zabójstwem. Ale nawet jeśli mu się uda, to nadal będę w opałach.

– Niech pan tu jeszcze chwilę spokojnie posiedzi, dobrze? – powiedział Bishara i trzasnął drzwiami radiowozu, nie czekając na moją odpowiedź.

Zlecił coś policjantowi i ten zaraz pomaszerował do furgonetki techników. Po kilku minutach dwóch z nich ruszyło do budynku, a Bishara zaczął rozmawiać z kobietą około czterdziestki, zapewne szefową ekipy kryminalistyków.

Przez moment zastanawiałem się, co się dzieje z Healym i gdzie może teraz być, ale szybko moją uwagę znów przyciągnął Bishara, który w towarzystwie szefowej kryminalistyków podszedł do grupki umundurowanych policjantów. Gdzieś za nimi w lesie znajdowało się wejście do tunelu Grankina. Musieli o nim wiedzieć, bo policja już dotarła do jego domu, ale wyglądało na to, że szefowa ekipy dopiero teraz informuje Bisharę o znalezisku. Mówiąc, pokazywała ręką w stronę wejścia do tunelu. Bishara w milczeniu kiwał głową i odezwał się dopiero, gdy kobieta ruszyła w głąb lasu.

Na chwilę oboje zniknęli w leśnej gęstwinie, ale po kilku sekundach Bishara wyłonił się z powrotem, ruchem ręki przywołał policjantów i wszyscy razem znów weszli do lasu.

Nie pozostało mi nic innego, jak czekać na dalszy rozwój wypadków.

W panującej ciszy zaczynała mnie morzyć senność. Byłem wykończony, wszystko mnie bolało, w głowie mi łupało, skaleczenia i stłuczenia dawały o sobie znać. Próbowałem się nie poddać, licząc godziny od mojego ostatniego spania, potem – by zmusić się do myślenia – zacząłem przebiegać w myślach chronologię zdarzeń z ostatniego miesiąca, szukając nocy, którą w całości przespałem. Okazało się, że nie pamiętam takiej, i to mnie przeraziło. Nie pamiętałem ani jednej w pełni przespanej nocy. Zapomniałem nawet, jak to smakuje.

Mimo starań głowa opadała mi na ramię, jednak po chwili się otrząsnąłem i wlepiłem wzrok w żalosne resztki ogrodu Domu Dziecka Świętego Dawida: chwasty i wysoką trawę, płataninę krzaków i leśną gęstwinę.

Niedługo później wyłonił się z niej technik w kapturze i masce, trzymając w rękach torby z zebrany materiał dowodowy. Poczulem atak paniki: co takiego znalazł? To nie było coś z domu, bo musiałyby to nieść przez cały tunel. To było coś znalezionego w lesie. Ale co? Co myśmy tam zostawili? Może Healy coś zgubił? A może ja? Próbowałem przewiercić wzrokiem torby, rozpoznać zawartość po wielkości i kształcie, zaraz jednak technik zniknął za radiowozem, w którym siedziałem, i ruszył w stronę wejścia do budynku.

Przetarłem oczy. Pod powiekami miałem piasek, wysuszone gałki oczne mnie szczypały i gdy zza chmur wystrzeliła wiązka promieni słonecznych, trafiając prosto na tylne siedzenie, zmrużyłem oczy i się poddałem. Znużenie zwyciężyło i odpłynąłem w sen jak łódka niesiona przez morskie fale. Czułem, jak rozluźniają mi się ramiona, głowa opada i cały organizm zapada w stan uśpienia.

Spłynęła na mnie ciemność.

Chwilę potem ze snu wyrwał mnie jakiś krzyk.

Zamrugalem, starając się otrząsnąć ze snu. Było parę minut po trzeciej, czyli przespałem około dwudziestu minut. Rozejrzałem się i stwierdziłem, że policjantów wzdłuż linii lasu już nie ma, pilnujący mnie gliniarz nadal stał przy radiowozie, ale też jakby spasował, bo odszedł parę kroków dalej i wpatrywał się w dom od strony dobudówki.

Zastukałem w szybę, ale nie zareagował.

– Halo! – zawołałem.

Zero reakcji.

Spojrzałem na furgonetkę techników. Tylne drzwi były otwarte, na trawniku między nią a budynkiem coś się działo. Dostrzegłem dwóch policjantów, z których jeden przez moment rozmawiał przez radiotelefon, po czym obaj ruszyli w stronę dobudówki i zniknęli w środku.

– Halo! – powtórzyłem, stukając w szybę.

Tym razem policjant odwrócił głowę.

– Co się dzieje? – spytałem.

Policjant był młody i wyraźnie spięty. Przez chwilę wpatrywał się we mnie spłoszonym wzrokiem, jakby się zastanawiał, czy ma kazać mi się zamknąć czy podzielić się ze mną swoim niepokojem.

– Co się dzieje? – powtórzyłem.

Nie odpowiedział, popatrzył na dom i znów na mnie. Już miałem zastukać po raz trzeci, gdy nagle coś zauważyłem.

Strużki czarnego dymu.

Wydobywały się ze szpar w oknach na parterze i dziur w murze, unosząc się ku niebu pokręconymi warkoczami.

W budynku się paliło.

Podpalili go jak molo.

– Halo! – zawołałem, waląc w szybę. – Wypuść mnie stąd.

– Spokój. – Policjant pokręcił głową.

– Posłuchaj...

– To ty posłuchaj – warknął, choć bez specjalnego przekonania. – Masz się zamknąć.

Już miałem się rozwrzeszczyć, ale w tym momencie z dobudówki wyszedł technik. Ten sam, którego widziałem wychodzącego z lasu. W rękach nie miał już toreb z zebranymi dowodami.

Zdjął rękawice i schował je do kieszeni kombinezonu, podszedł do furgonetki i zamknął obie połówki tylnych drzwi. Cały czas poruszał się spokojnym, miarowym krokiem, nie robiąc żadnych nerwowych ruchów. W końcu znalazł się przy drzwiach kierowcy, otworzył je i postawiwszy nogę na pierwszym stopniu – już bez kaptura na głowie, ale wciąż w masce na

twarży – spojrział do tyłu, wzdłuż boku furgonetki, jakby coś sprawdzał. Ale nie patrzył na furgonetkę.

Patrzył na mnie.

To był Korman.

– Hej! – zawołał do niego policjant. – Hej, co się tam dzieje?

Wciąż waliłem w szybę, krzycząc:

– Nie! On nie jest od was!

Ale policjant nawet nie odwrócił głowy, tylko machnął ręką, jakby odpędzał natrętną muchę. Zrobił parę kroków w stronę Kormanana, wpatrując się w wydobywające się ze szpar domu smugi dymu.

Coś jeszcze powiedział, zapewne zadając Kormanowi kolejne pytanie, ale był już za daleko, bym mógł usłyszeć jego słowa.

Zacząłem tak mocno walić pięścią w szybę okna, że w całym ciele poczułem wibracje, ale policjant jakby nigdy nic mówił coś do Kormanana, a ten, słuchając, nie spuszczał ze mnie wzroku. Przypomniałem sobie obraz z kamery monitorującej pokazujący, jak wychodzi z Searle House po zamęczeniu dziewczyny, zamordowaniu Gail i nagraniu ostatnich chwil jej życia, i poczułem, jak cała nagromadzona we mnie wściekłość i żądza zemsty uderzają mi do głowy i pulsują w niej jak stroboskopy. Korman w końcu zszedł ze stopnia na furgonetce i przeniósł spojrzenie ze mnie na policjanta.

– Nie! – wrzasnąłem. – Nie podchodź do niego!

Zrób coś.

Musisz coś zrobić.

Położyłem się na plecach i zacząłem kopać w szybę, waląc w nią piętami. Za trzecim kopnięciem przebiegła przez nią zygzakowata rysa i szyba chrupnęła jak tafla pękającego lodu na jeziorze. Patrzyłem, jak policjant podchodzi do furgonetki i zatrzymuje się, Korman spogląda na niego i w milczeniu słucha.

Te jego oczy.

Raz jeszcze kopnąłem i lawina krystalicznych okruchów posypała się na siedzenie i trawę. Hałas dotarł do uszu policjanta, bo odwrócił głowę, ale stojący tuż obok Korman nawet nie drgnął, na moment nie spuszczał go z oczu. Zdałem sobie sprawę, że niechcący popełniłem błąd.

Odwróciłem uwagę policjanta.

Pułapka zatrzasnęła się na ofierze. Korman w tej samej sekundzie chwycił policjanta za kark i wałnął jego twarzą o bok furgonetki. Przekręciłem się na kolana i wygramoliłem przez wybite okno, kalecząc się o tkwiący w ramie okiennej fragment szkła. Upadłem na ziemię i uniosłem wzrok. Korman zdążył już wyszarpnąć pałkę zza pasa policjanta i rozciągnął ją na pełną długość. Zamachnął się i uderzył nią w głowę mężczyzny; na boczną ściankę furgonetki trysnęła krew.

Młody funkcjonariusz runął na ziemię.

– Korman!

Zerwałem się na nogi, a pochylony nad policjantem Korman spojrzał w moją stronę. Nie wyglądał na zdyszanego. Prawdę mówiąc, w ogóle nie wyglądał na przejętego ani tym, co przed chwilą zrobił, ani tym, że zbliżam się do niego. Dostrzegłem jedynie leciutkie skrzywienie głowy i zerknięcie na budynek oraz buchające z niego coraz gęściej kłęby dymu tak czarnego, jakby paliła się ropa. Chwilę później z jednego z okien w pobliżu toalet wypadły zaślepiające deski, zupełnie zwęglone od wewnątrz. Przez otwór widać było ogień sięgający sufitu.

Korman poruszył się i odrzucił policyjną pałkę, a ja usłyszałem wołanie. Bishara wykrzykiwał moje nazwisko, ze środka wysypała się grupka zanoszących się kaszlem ludzi. Przyciskali do piersi torebki z zebranymi materiałami dowodowymi, Bishara wymachiwał rękami i krzyczał, że mam nie ruszać się z miejsca.

Usłyszałem tupot nóg.

Korman rzucił się do ucieczki.

Instynktownie ruszyłem za nim.

– Raker! Stój! – wrzasnął Bishara, a ja bez oglądania się wiedziałem, że policjanci ruszają za mną w pościg.

Korman wyłonił się zza furgonetki, Bishara krzyknął: „To on!” i tym razem nie chodziło mu o mnie.

Już się zorientowali, że jest przebierańcem.

Został zdekonspirowany.

Moje ruchy w wysokiej trawie były dość ślamazarne, ale po chwili wydostałem się na podjazd i przyspieszyłem, Korman zbiegał po zboczu kilka metrów przede mną. Stojący przy otwartej bramie umundurowany policjant dojrzał nas, zrobił krok w naszą stronę i podniósł rękę w geście nakazującym zatrzymanie się. Korman nie zareagował, policjant opuścił rękę i zacisnął dłoń na rękojeści wiszącej przy pasie pałki. Krzyknął do Kormana „Stać!”, ten jednak tylko przyspieszył, jakby wrzucał wyższy bieg. Policjant wyszarpnął pałkę, ale Korman w pełnym pędzie go staranował. Mężczyzna runął na zasłane liśćmi podłoże i uderzył głową w pień drzewa.

Gdzieś w pobliżu zawyły syreny wozów strażackich.

Wypadliśmy na ulicę – prosty odcinek dwupasmowej drogi, porośniętej po obu stronach wysokimi drzewami. Wycie syren było coraz głośniejsze. Korman bez wahania skręcił z bramy w prawo, ja zrobiłem to samo. Lawirowaliśmy między przechodniami, a ci przystawali, by się przyjrzeć nam i gliniarzom biegnącym za nami. Stopniowo odstęp między nami malał, bo ciężki kombinezon i wysokie buciory zaczynały mu ciążyć. Zerwał z twarzy maskę, kaptur sam zsunął się z jego ogolonej na łyso czaszki i Korman po raz pierwszy się obejrzał. Trwało to jednak sekundę, może nawet mniej, po czym odwrócił głowę i chyba znalazł w sobie jakieś zapasowe pokłady energii, bo nagle przyspieszył. Po blisko dwóch dobach bez zmrużenia oka nie miałem na co liczyć ze strony mojego organizmu.

Odległość między nami zaczęła rosnać, chodnik pod nogami skończył się i zacząłem biec ścieżką tuż przy ścianie lasu. Zdawało się, że wybiegamy z miasta i wszelkie dźwięki wokół nas – wycie syren, dudnienie pojazdów, głosy ludzi i ptaków – cichną. Droga przed nami lekko skręcała w lewo i Korman pobiegł po jej łuku. Nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy, a brak jakichkolwiek znaków i nieprzenikniony gąszcz leśny utrudniały orientację w terenie. Obejrzałem się na biegnących za nami gliniarzy, ale nie wyłonili się jeszcze zza zakrętu, popatrzyłem więc do przodu na Kormana.

Przede mną jednak nie było nikogo.

Zaskoczony, instynktownie zwolniłem, ale zaraz znów przyspieszyłem w nadziei, że dojrzę go za zakrętem drogi. Po dobiegnięciu do końca zobaczyłem, że jakieś sto pięćdziesiąt metrów dalej pusta droga kończy się skrzyżowaniem w kształcie litery T.

Kormana nigdzie nie było.

W lesie po prawej coś się poruszyło.

Zerknąłem za siebie i stwierdziwszy, że gliniarzy nadal za mną nie widać, skoczyłem w bok i zaszyłem się w gęstwinie. Świat wokół mnie od razu poszarzał, jakby ktoś zgasił światło. Pod koronami drzew panował zupełny mrok, we wszystkich kierunkach ciągnął się niewiarygodnie gęsty las, ziemia pod nogami ugięła się jak nasączona wodą gąbka. Wszystko okrywał dywan z igieł, szyszek i opadłych liści. Rozglądałem się wśród drzew, szukając wzrokiem błysku bieli. Wypatrzenie Kormana nie mogło być trudne, bo jego biały kombinezon technika kryminalistycznego powinien świecić niczym latarnia w morzu zieleni. Ale niczego takiego nie dostrzegłem. Posuwałem się dalej, starając się nie robić hałasu, Kormana jednak nigdzie nie było.

Pii, pii.

Zatrzymałem się.

A to co?

Usłyszałem szybki tupot nóg, spojrzałem za siebie i za drzewami mignęły sylwetki trzech biegnących drogą gliniarzy. Chwilę później powietrze przeszyły dźwięki syren, nieco stłumione w leśnej gęstwinie: wozy strażackie pędziły drogą w kierunku domu dziecka, radiowóz jechał od domu. Bishara wysłał za nami radiowóz! Wkrótce się zorientują – jeśli jeszcze tego nie zrobili – że weszliśmy w las, teraz jednak smuga pulsującego błękitu tylko błysnęła między drzewami i radiowóz pognał dalej. Moja kryjówka w lesie nie została jeszcze odkryta.

Pii, pii.

Odwróciłem głowę. Dźwięk dochodził z poszycia przede mną.

Schyliłem się po odłamaną gałąź i ruszyłem ostrożnie przed siebie. Gałąź była ciężka, przesiąknięta wilgocią i przegniła na jednym końcu, ale musiała wystarczyć. W głębi po lewej widać było blask lamp radiowozu, które barwiły

roślinność na niebiesko, po prawej i na wprost rozciągał się tylko nieprzenikniony mrok lasu. Gąszcz rozplywający się w sepiową mgiełkę.

Chwyciłem mocniej gałąź, czując ściskanie w brzuchu. Gdzie on się podział? Dlaczego go nie widzę? Zaczynała mnie boleć głowa, narastający ból pulsował w tym samym miejscu co poprzednio. W głębi oczodołów.

A potem coś dostrzegłem.

Na warstwie igliwia z dwóch potężnych jodeł leżał telefon komórkowy. To on tak piszczał, a jego wyświetlacz rzucał blask na najbliższe otoczenie.

Czyżby go zgubił?

Rozejrzałem się jeszcze uważniej niż dotąd, ale nic się nie ruszało. Ani śladu po Kormanie. Panowała cisza, której nie zakłócał już ani wiatr, ani deszcz. Przysunąłem się bliżej, cały czas badając wzrokiem otaczającą mnie gęstwinię i ściskając w rękach gałąź. Gdy znalazłem się około metra od telefonu, ponownie zapiszczał.

Na wyświetlaczu dało się już odczytać wiadomość.

Podnieś mnie.

Odwróciłem się na pięcie i wlepiłem spojrzenie w leśny gąszcz, podejrzewając jakąś pułapkę, ale wszędzie panowała idealna cisza. Zaczynało do mnie docierać, że nawet jeśli jest to pułapka, to nie zastawiano jej, by mnie zaatakować.

Tyle że ten, kto ją zastawił, musiał mnie mieć na oku.

Schyliłem się i podniosłem telefon, jednocześnie rozglądając się wokół. Gdzie on może być? Telefon w moich rękach nagle ożył.

Pii, pii.

Nowa wiadomość.

Połączenie przychodzące za 3 sekundy.

Jeszcze nie do końca zrozumiałem, co się dzieje, gdy telefon zaczął dzwonić. Spojrzałem na wyświetlacz. Połączenie z nieznanego numeru komórkowego.

Nacisnąłem ODBIERZ.

Cisza.

Obracając się na wszystkie strony i próbując wypatrzeć dzwoniącego w leśnej gęstwinie, uświadomiłem sobie nagle, że w słuchawce ktoś miarowo poświstuje.

Był to odgłos oddechu.

– Mam twojego kumpla Healy’ego.

Serce podskoczyło mi do gardła, zaraz jednak zastanowiłem się nad tym. Czy naprawdę może go mieć? Jak to w ogóle możliwe? To tylko podpucha. Pokręciłem głową.

– Kłamiesz.

– Widziałem, jak go podsadzałeś – powiedział. – Patrzyłem, jak odchodzi. Dopadłem go jeszcze przed dojściem do domu Victora. Dorwałem go. Jest słaby i powolny. To nie było trudne.

– Nie – powtórzyłem, choć już z mniejszym przekonaniem.

Jakieś odgłosy w słuchawce.

Korman się przemieszczał.

Usłyszałem kroki, hurgot drzwi furgonetki i nagle w słuchawce zrobiło się ciszej.

– Powiedz coś – zabrzmiał głos Kormana.

– Halo?

To był on. Jasna cholera, to naprawdę głos Healy’ego. Powiedział „Halo” mocno jękliwym tonem, jakby był kompletnie załamany i bliski płaczu. W jednym cichym słowie zmieściło się tak wiele.

– Czego chcesz? – warknąłem, czując narastający gniew.

– Zabiję go – odparł Korman obojętnym tonem. Trudno było określić jego akcent, ale mówił wyraźnie. – Chcesz jeszcze zobaczyć go żywego?

– A jak myślisz?

Dłuższa chwila milczenia.

– To rób dokładnie, co ci każę.

Pojechałem pociągiem z Chingford na Liverpool Street i trzy kilometry do Wapping przeszedłem piechotą. Może zaczynałem popadać w paranoję, ale gdy wysiadłem na stacji, odniosłem wrażenie, że wszędzie jest pełno policji. Pomyślałem też, że jeśli zostanę rozpoznany, to w ciasnocie wagonu będę miał mniejsze szanse ucieczki.

Dotarłem do tonącego w ciszy i mroku Świata Cudów. Przy bocznej ścianie starej papierni wciąż jeszcze wisiała taśma policyjna, szarpana przez wiatr wiejący od rzeki. Przelazłem pod nią i skryłem się w ciemnościach pod murami muzeum. Dochodziła dziewiętnasta i w zimnym powietrzu czuło się nadchodzącą zimę. Stojąc pod tylną ścianą muzeum i rozglądając się, czułem, jak podmuchy wiatru przeszywają mnie na wskroś, wyziębiając mi skórę, mięśnie i kości.

Kolejne taśmy policyjne nad brzegiem rzeki zamykały dostęp do tego, co zostało po molo. Z wody sterczały powyginane i opalone filary, które podpierały molo, ciągnąc się w poprzek nurtu Tamizy. Mniej więcej w połowie zwisał kawał nadpalonej promenady, wszędzie widać było głębokie wyrwy w dawnej konstrukcji i wiszące pęki powykręcanych desek. Dach dawnego pawilonu zapadł się całkowicie, przez dziury w ścianach prześwitywały nadpalone, poskręcane kształty i nadtopione, trudne do zidentyfikowania elementy metalowe.

Nietknięte przez ogień muzeum stało ciche i opuszczone.

Tylne drzwi – te same, którymi wyszedł Calvin East podczas mojej pierwszej wizyty w muzeum – były uchylone. Niezbyt szeroko, ale widocznie. Korman mnie uprzedził, że tak je zostawi. Mimo to nie od razu do nich podszedłem. Stałem, omiatając wzrokiem tylną ścianę budynku. Po co on mnie tu ściągnął? Powrót do muzeum był ryzykowny, i to w równym stopniu

dla nas obu. Policja i straż pożarna zrobiły swoje i odjechały, ale wiadomo było, że wrócą. Spędzili cały dzień na przetrząsaniu wnętrza, próbując ustalić, dlaczego Gary Cabot i jego ojciec zostali zamordowani i dlaczego molo oblano benzyną i podpalono. Wątpiłem, by zdążyli cokolwiek znaleźć, więc sprawa była w toku.

A to czyniło z muzeum teren niebezpieczny dla osób postronnych.

Wysłuchując się w miarowe bicie fal o brzeg, ruszyłem szybkim krokiem i wszedłem do środka. Chwilę potrwało, zanim się zorientowałem, gdzie jestem, ponieważ za pierwszym razem dostałem się tu od frontu.

Ale szybko poznałem, gdzie jestem.

Przede mną ciągnął się hol wejściowy, po prawej było wejście do sali nazywanej Podróż w Czasie z wystawą fotografii ukazujących historię molo.

Wszędzie panowała grobowa cisza.

Ostrożnie ruszyłem przed siebie.

W holu świeciły lampki awaryjne rozmieszczone przy kasach, w restauracji działało blade, nocne oświetlenie. W żółtawozielonkawej poświacie widać było rzędy pustych stolików z ułożonymi na nich krzesłami. Koniec sali był stąd niewidoczny, nie miałem jednak wątpliwości, że Kormana tam nie ma. Ale wiedziałem, gdzie go szukać.

W salonie gier.

Ruszyłem schodami. Na piętrze znajdował się łuk powitalny, pod którym wchodziło się do sali przypominającej wnętrze pawilonu na molo. W oknach widniały malunki z nadmorskimi scenami, automaty do gier ogrodzone były białymi płótkami. Przede mną ciągnęło się pięć rzędów, z których środkowy kończył się następnymi drewnianymi schodkami, cicho skrzypiącymi w panującej ciszy. Tak jak na parterze, całość tonęła w mdłym nocnym oświetleniu: nad każdym oknem paliła się lampka awaryjna, przez co wszystko pogrążone było w żółtawej poświacie. Tworzyło to dziwny, niepokojący nastrój, a odbijające się w szybach gablot światelka sprawiały, że wydawało się, że wszystko wokół się porusza. Nawet parę razy raptownie przystanąłem, zaraz jednak okazywało się, że nikogo nie ma i nic się nie dzieje.

W kącie znajdowały się prowadzące na górę spiralne żelazne schody. Wczoraj w ogóle ich nie zauważyłem i gdy teraz na nie wszedłem, metalowy stopień cicho zabrzączał. Sekundę później z góry dobiegło krótkie skrzypnięcie, jakby ktoś się poruszył.

Zauważył mnie.

Uniosłem głowę i spojrzałem w górę.

U szczytu schodów stała ta sama mechaniczna wróżka, którą widziałem podczas poprzedniej wizyty. Marionetka wewnątrz była skulona i pochylona do przodu, jak gdyby wpatrywała się niewidzącymi oczami w półmrok za moimi plecami. Ująłem poręcz i zacząłem wchodzić po schodach; czułem, jak ciężą mi nogi, a mięśnie sztywnieją i odmawiają posłuszeństwa. Powróciło do mnie wspomnienie z moich pierwszych odwiedzin, gdy stojąc wśród automatów na piętrze, miałem wrażenie, że znalazłem się na cmentarzu.

Miejsce to wydało mi się wtedy czymś na kształt mauzoleum.

Może dziś tym właśnie się stanie.

Dotarłem do szczytu schodów.

Na wprost mnie, w przejściu między automatami, siedział Healy. Był przywiązany do krzesła, ręce i nogi miał skrepowane, usta zakneblowane, głowę opuszczoną na ramię. Cała jego twarz była zakrwawiona. Śmiertelnie blady, w tym mdłym świetle wyglądał jak kościotrup. Obie nasze kurtki leżały rzucone na podłogę, był bez swetra, koszuli, skarpetek i butów. Siedział, kłując w oczy bielą swego ciała, nieprzytomny, ale żywy. Widziałem, jak przy oddechu zapada mu się i unosi klatka piersiowa, mięśnie napinają, a skóra to opina żebra, to wiotczeje.

Mimo że zaczynałem przywykać do wyglądu Healy'ego i jego chuderlawość nie robiła już na mnie tak piorunującego wrażenia, i tak trudno mi było oderwać wzrok od nagiego torsu, który wyglądał jak worek pełen kości, ze skóry tak cienkiej, że z trudem je oblekającej. Był przy tym taki kruchy.

Chciałem od razu do niego podejść, ale się powstrzymałem i sięgnąłem do kieszeni po podrzucony mi w lesie telefon. Wyciągnąłem go przed siebie w nadziei, że coś się zacznie dziać, ale widziałem jedynie rzędy martwych automatów o różnych kształtach i rozmiarach, które rozmazywały się

w półmroku w głębi sali. Sklepek był zamknięty i żaluzje opuszczone, a lustra przy wejściu do widocznego dalej labiryntu rzucały słabe refleksy.

Kormana nigdzie nie było.

Nie miałem jednak wątpliwości, że gdzieś tu jest.

Położyłem telefon na podłodze i spojrzałem przed siebie, postępując dokładnie według jego instrukcji przekazanych w lesie. Wiedziałem, że chce odzyskać swój telefon, bo wolał, żeby nie trafił w niepowołane ręce. Uniosłem koszulę i zrobiłem pełny obrót, pokazując nagi brzuch i plecy, po czym raz jeszcze się obróciłem. Chciał się upewnić, że nie jestem uzbrojony. Być może nawet się obawiał, że mam założony podsłuch, choć pomyśl, że mógłbym współpracować z policją, był dość absurdalny. Opuściłem koszulę i zrobiłem krok do przodu.

– Czego chcesz, Korman? – rzuciłem.

Healy nie zareagował, co mnie upewniło, że jest nieprzytomny. Chwilę stałem, wpatrując się w milczeniu w rozstawione dookoła automaty.

A potem dojrzałem jakiś ruch.

Po prawej za Healym coś się poruszyło i zaraz zza drewnianego postumentu, na którym umieszczono sześć urządzeń bagatelle, wyłonił się Korman. Ponieważ cały był ubrany na czarno, wtapiał się w otaczający go półmrok i tylko głowa z różową skórą na czaszce i policzkach zdecydowanie się wyróżniała. Stał na skraju plamy światła i patrzył na mnie bez słowa, a jego ciemne oczy wyglądały jak puste oczodoły. Wydawało się, że można przez nie zajrzeć do wnętrza głowy.

– Zrobiłem, co chciałeś – powiedziałem.

Przeniósł spojrzenie ze mnie na telefon, po czym podszedł bliżej i stanąwszy tuż za Healym, ostrożnie położył mu rękę na ramieniu.

Wzdrygnąłem się na myśl o tym, co może teraz nastąpić. Ale nic się nie stało. Jedną rękę trzymał na ramieniu Healy'ego, drugą opuścił wzdłuż ciała i w milczeniu mi się przypatrywał. Zwalczyłem w sobie chęć odwrócenia wzroku, choć musiałem użyć do tego całej siły woli. W jego oczach nie było nic, na czym dałoby się skupić: żadnego komunikatu, żadnej myśli.

– Zrobiłem, co chciałeś – powtórzyłem.

Cisza.

- Czy ty słuchasz, co ja...
- Strasznie cię ktoś pokroił.

Miał na myśli blizny na moich plecach, pamiątkę po innej sprawie dawno, dawno temu. Od tamtej pory tak dużo się zdarzyło, że czasem o nich zapomniałem. Całymi tygodniami, czasem nawet miesiącami, nie myślałem o ludziach, którzy mnie wtedy pokroili. Byli jak Korman zdziczali i brutalni i stając z nimi twarzą w twarz, zachowywałem się dokładnie tak jak teraz: udawałem chojraka, choć w środku zżerał mnie strach.

- I co teraz? – spytałem.
- Znów nie odpowiedział.
- Przebywanie tu jest ryzykowne – rzuciłem.
- Pewnie tak – przyznał cicho.
- To czemu tu się spotykamy?
- A gdzie miałbym iść?
- Masz do dyspozycji całe miasto.
- Już nie.

Nie po tym, co dziś się zdarzyło. Dowiedzieliśmy się przecież o związku domu Grankina z dawnym domem dziecka, a on musiał uciekać przed policją z miejsca przestępstwa. Dotąd dobrze się kamuflował, chował za parawanem różnych nazwisk i adresów. Ale po zdemaskowaniu Grankina i ujawnieniu popełnionych przez niego zbrodni zgarnięcie go przez policję było już tylko kwestią czasu i on o tym wiedział. Wiedział już, jak to jest być ściganym przestępcą. Więc może, wbrew pozorom, przyście tu nie było takie głupie. Muzeum było ostatnim miejscem, gdzie mogli go szukać.

- Zrobiłem, co chciałeś – powtórzyłem po raz trzeci. – Więc co teraz?
- Lekko skinął głową, reszta ciała pozostała nieruchoma.
- Teraz chcę, żebyś coś zobaczył – powiedział.

Widziałem, że jest zdenerwowany i niezbyt pewny swego.

Zabrał rękę z ramienia Healy'ego i musnął palcami twarz, jakby głaskał jego zarośnięte policzki. Wolno przeniósł dłoń z karku na zagłębienie między szyją a obojczykiem, jakby je masując, potem w dół na środek klatki piersiowej Healy'ego, gdzie zatrzymał rękę z palcami rozczapierzonymi niczym odnóża owada.

Ośłaniał serce Healy'ego.

Oderwał ode mnie wzrok i powiódł nim po otaczających nas automatach, ale jego dłoń pozostała na piersi Healy'ego.

– Dlaczego musiałeś wszystko zepsuć? – powiedział.

Spojrzałem na niego, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

Moje milczenie spowodowało, że powrócił wzrokiem do mnie, opuścił głowę i potrząsnął nią tak, jakby otrząsał ją z resztek marzeń.

– Który z was go zabił? – spytał cicho.

– To już nie ma znaczenia.

– Dla mnie ma.

Wzruszyłem ramionami.

– A dlaczego ty zabiłeś tamtą kobietę i jej córki?

Skrzywił się, jakby moje pytanie było bez sensu.

– Dlaczego wszystkich zabijasz? Dlaczego wszystko podpalasz?

Patrzył na mnie bez śladu emocji na twarzy.

– Zawsze lubiłem ogień – odezwał się w końcu. – Lubiłem patrzeć, jak wszystko ogarnia, zmienia i niszczy. Gdy Calvin nas zawiadomił, że się do niego wybierasz, wiedziałem, że w którymś momencie trafisz na molo. Czekałem na ciebie, a potem wszystko podpaliłem. Usiadłem i patrzyłem, jak się fajczy. To był piękny widok. – Mówił tonem łagodnym i jakby

melancholijnym, jakże niepasującym do jego odrażających czynów. – Nie liczyłem, że zginiesz w płomieniach, ale miałem nadzieję, że wpadniesz w ręce policji po tym, jak zadzwoniłem do nich anonimowo. Nawet jeśli byś im o mnie powiedział, to co z tego? Jestem szanowanym biznesmenem, który nie sprawia żadnych kłopotów, przynajmniej na papierze. W odróżnieniu od ciebie i tego twojego kumpla, który dla całego świata już nie żyje. Obaj zostalibyście uznani za kłamców. Kto by chciał wierzyć waszej gadaninie?

Dopiero teraz dojrzałem pistolet Healy’ego. Leżał na jednej z maszyn na lewo od Kormana.

– Ale cię nie doceniłem – ciągnął Korman, a w jego głosie pojawił się ton pretensji. – Nie zdawałem sobie sprawy, jak dużo wiesz. Gdy Victor zadzwonił dziś rano z wiadomością, że jesteś u niego w domu, właśnie wracałem po robocie u Cabota. Nie byłem w stanie zdążyć na czas, żeby mu pomóc, ale niezależnie od wszystkiego jedno było pewne: Dom Dziecka Świętego Dawida musi doszczętnie spłonąć. Musiałem mieć pewność, że nie zostaną po nas żadne ślady.

– Tylko że właśnie zostały.

Zmarszczył czoło i spojrzał na mnie pytająco.

– Krew na ścianach toalet, beczki po ropie – odparłem.

Machnął ręką.

– Znajdą na nich wasze DNA – dodałem.

– A co za różnica?

Dziwne pytanie, którego nie rozumiałem do końca. Mówił bez złości w głosie, tonem obojętnym i niemal łagodnym, jakbyśmy rozmawiali o nieistotnych szczegółach. Budziło to we mnie jeszcze większy niepokój i jeszcze większy lęk przed tym człowiekiem. Przyszedłem z nastawieniem, że będę miał do czynienia z kimś niezrównoważonym i szalonym, z Grankinem do kwadratu. Zbrodniarzem, którego wrodzone okrucieństwo i brak zasad czynią jeszcze gorszym potworem. W szczegółach pamiętałem, co zrobił w Searle House, poznałem jego bezwzględną brutalność i wiedziałem, że taki właśnie jest. A jednak jego dzisiejsze zachowanie zupełnie do tego nie pasowało.

– Jak się dostałeś do Świętego Dawida?

– Przecież mnie widziałeś w kombinezonie technika – odparł, wzruszając ramionami.

– Tak po prostu wszedłeś?

– Zjawiłem się w odpowiednim momencie. W domu Victora panowało zamieszanie, ludzie się kręcili tam i z powrotem. Wykorzystałem to, by przejść tunelem do lasu.

– Ale skąd wzięłeś ten kombinezon?

– Zabrałem z furgonetki techników.

– Tak po prostu?

– Nauczyłem się wtapiać w tłum – rzekł obojętnie.

Mimo tego, co mówił, wydawało się, że zupełnie nie przejmuje się tym, co policja mogła odkryć. A skoro tak, to po co tak ryzykował? Jeśli nie martwił się śladami, jakie on i Grankin mogli zostawić w dawnym domu dziecka, to po co do niego wracał i go podpałał?

Przecież policja bardzo szybko powiąże go z Grankinem i domyśli się, że do spisku należał też Calvin East. Wszyscy trzej poznali się jeszcze w domu dziecka i łączyły ich wspólne konszachty, aż po wzajemne dostarczanie sobie alibi na noc morderstwa rodziny Clark. Gdyby przecież nie wrócił do Świętego Dawida, miałby dużą przewagę czasową nad policją. Tak dużą, że zdążyłby uciec, wyjechać z kraju, gdzieś się ukryć i spokojnie sobie żyć.

A on wszystko zaprzepaścił. Dlaczego?

Korman lekko się poruszył, przerywając mi tok myślenia. Wiedział, że staram się rozgryźć jego postępowanie, ale nie zamierzał nic mi wyjaśniać ani dać się skłonić do zwierzeń. Zwróciłem jednak uwagę na coś innego. Coś, co być może mogłem wykorzystać. Ukradkiem zerknął na Healy’ego, który nadal leżał nieprzytomny. Jakby go sprawdzał.

I rzeczywiście tak było.

Czekał, aż Healy odzyska przytomność.

Cokolwiek nim kierowało, gdy mnie tu ściągał, cokolwiek zamierzał powiedzieć czy zrobić, chciał, żebyśmy obaj w tym uczestniczyli. Żeby Healy był przytomny i w pełni władz umysłowych.

– Wszystko ci jedno, co znajdzie policja? – spytałem.

Zmrużył oczy, jakby wyczuł, że jestem bliski rozwiązania zagadki. Jak zwierzę, które wyczuwa zmianę w otoczeniu. Przypomniałem sobie, co mówił Healy o zachowaniu Kormana na chwilę przed atakiem serca: jak bezbłędnie odgadł jego słabość i podjął trop. *Walnął mnie pięścią w klatkę piersiową, prosto w serce, i kilka razy poprawił. Zabolało tak, jakbym dostał młotem pneumatycznym.*

– Znajdą ślady, których Grankinowi nie udało się zmyć – powiedziałem, ale nie zareagował. – Ogień nie zniszczy wszystkiego.

Tym razem jakby się zastanowił.

– Zniszczył wystarczająco dużo – mruknął.

– Po co tam w ogóle wróciłeś?

Znów nie odpowiedział.

– Po co tam wracałeś? – powtórzyłem.

I nagle przyszło mi coś do głowy. Ten wieczór w Searle House, kiedy on i Grankin zostali nagrani przez kamerę monitoringu. Na nagraniu wyglądało to tak, jakby Korman się kamuflował, a Grankin w ogóle nie miał twarzy.

Maska.

– Wróciłeś po maskę Grankina.

Jego twarz pozostawała nieruchoma i pozbawiona wyrazu. Nie wiedziałem, czy ta nienaturalna, budząca dreszcze martwota oznacza prawdziwy spokój czy dobrze skrywaną wściekłość. Ale im dłużej o tym myślałem, tym bardziej nabierało to sensu.

– Pożar miał tylko odwrócić uwagę – powiedziałem. Starłem się postawić na miejscu Kormana i odtworzyć jego sposób myślenia. – Wszedłeś w przebraniu technika i zabrałeś maskę. Tyle że inni zaczęli się już orientować, że cię nie znają. Że jesteś kimś obcym. By zyskać na czasie, wznieciłeś pożar. Było już jednak za późno. – Przerwałem, bo przypomniałem sobie, jak z płonącego budynku wypadł Bishara i wyciągając w jego stronę rękę, wrzeszczał: „To on!”. – Kapnęli się, że to ty podpaliłeś dom.

Zero reakcji.

– Dlaczego wróciłeś po maskę?

Opuścił głowę i spojrzał na Healy’ego i swoją rozczapierzoną dłoń na jego piersi.

– Serce to taki cudowny mechanizm. Komory, arterie, zastawki. Wiem, że serce nie ma nic wspólnego z emocjami ani uczuciami. Nie jesteśmy smutni dlatego, że smutne jest serce. Polecenia wydaje mózg, decydują jego reakcje chemiczne. To proces czysto biomechaniczny. Ale czasem łatwo o tym zapomnieć. Kiedy wszedłem dziś do Świętego Dawida z butelkami benzyny w torbach na dowody, coś w nim poczułem.

Wbił rozstawione palce w pierś Healy’ego z taką siłą, że ten aż drgnął. Nadal był nieprzytomny, ale jego ciało odruchowo sprężyło się w obronie przed bólem. Kormanowi nie chodziło jednak o zadanie mu bólu. Celem byłem ja.

– Wiedziałem, że jeśli nie pójdzie gładko, będę musiał użyć benzyny. Więc gdy do tego doszło, odczułem coś w rodzaju smutku, że wszystko się kończy.

Popatrzyłem na klatkę piersiową Healy’ego. „Uważaj!”, wołałem w duchu.

– Ale przecież zabijałeś – powiedziałem spokojnie, by go nie zdenerwować.

Milczał, jego twarz znów była bez wyrazu.

– Zabiłeś dwie ośmioletnie dziewczynki.

– Tak – odparł.

– I tyle masz do powiedzenia? Tylko zwyczajne „tak”?

Pociągnął nosem.

– Dlaczego je zabiłeś?

– Matkę mogłem zabić, ale ich nie, tak?

Poczułem wzbierającą we mnie złość.

– Tak uważasz, prawda? – mówił dalej. – Jesteś gotów zapomnieć, że ich matka dostała dziewięć ciosów nożem, bo ciebie interesuje tylko, dlaczego te dwie musiały umrzeć. – Wlepił we mnie wzrok. – Czy ich życie było ważniejsze?

– Były jeszcze dziećmi.

– Dzieci też bywają obłudne.

Zatkało mnie.

– O czym ty, do cholery, mówisz? – wydusiłem.

Nie odpowiedział od razu, przez chwilę milczał i wpatrywał się w swoją dłoń na piersi Healy’ego.

– Jeśli szukasz winnego – odezwał się w końcu – to powinieneś zacząć od Stourcroft. Gdyby nie napisała tej książki, do niczego by nie doszło. Te trzy, matka i jej dwie córki, wciąż by żyły. A twój koleś nadal mógłby być spasiony i zły i kręcić się jak opętany w pogoni za kimś, kto dał dyla. – Zmrużył oczy, w jego słowach zabrzmiała zimna brutalność. – Za to wszystko winę ponosimy nie my, tylko książka tej baby.

– Wcale nie – zachnąłem się. – To jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

– Tak myślisz? Ale ją czytałeś, nie?

– Nic z tego, co się stało, nie ma związku z książką o molo.

To go wreszcie poruszyło. Zabrał rękę z piersi Healy’ego, ułożył wargi w pełne zdziwienia „O”, po czym rozciągnął usta w ironicznym uśmiešku.

– Myślę, że przydałaby ci się zmiana perspektywy – odezwał się.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Nie odpowiedział.

To mnie nieco zbiło z tropu.

Wysunął się przed Healy’ego i uśmiech zniknął mu z twarzy. Sięgnął za siebie i gwałtownym ruchem wyszarpnął zza paska nóż. Był bardzo podobny do noża Grankina: miał nieco ciemniejszą rękojeść i więcej ząbków na ostrzu, ale taką samą długość i szerokość. Już wiedziałem, czemu nie zainteresowałem się leżącym na maszynie pistoletem i nawet na niego nie spojrzeł. Był nożownikiem, nie strzelcem. Nożem rozprawił się ze Stourcroft, z Gail i z dziewczynkami.

Ruszyłem ku niemu.

Dzieliło nas niecałe pięć metrów, otaczały rzędy nieruchomych automatów.

– Nie zbliżaj się ani o krok – wysyczał cicho. – Jeśli podejdziesz, zabiję najpierw twojego kolegę, potem ciebie. Jasne?

Zaszła w nim jakaś zmiana.

Sprawiał wrażenie niemal rozkojarzonego. Jego rozbiegany wzrok błędził między automatami, tęczęwki oczu poszarzały, policzki natomiast jakby pojaśniały. W jego twarzy nie widziałem już zawziętości, jaka była z niej jeszcze sekundę wcześniej. Gdy w końcu jego oczy zatrzymały się na mnie,

zmarszczył nos, jakby był z czegoś niezadowolony, a do mnie powróciły jego pierwsze słowa: *Dlaczego musiałeś wszystko zepsuć?*

– Co jest grane, Korman?

Healy za jego plecami nagle się poruszył.

Korman dosłyszał jego trzeszczące kości, zmienił chwyt na rękojeści noża i zaczął się cofać. Ruszyłem za nim. Chciałem zachować odpowiednią odległość między nami, w razie gdyby chciał zaatakować. Healy był na wpół przytomny, stanowił łatwy cel i jeśli miałem mu pomóc, musiałem być blisko. Ale Korman nie zaatakował. Zatrzymał się tuż przed Healym i powiedział:

– Cieszę się, że jesteś już z nami.

Healy otworzył zamglone lekko oczy i spojrzał na mnie, potem na Kormana.

– Ty... – wydusił ochrypłym głosem i zaniósł się kaszlem, z trudem łapiąc powietrze. Z warg skapnęła mu kropla flegmy. Przestał kasłać i ponownie popatrzył na Kormana. – Ja cię, kurwa, zabiję – wymamrotał.

Korman nie zareagował.

Healy zaczął się szarpać mimo związanych z tyłu rąk, próbując otrząsnąć się z zamroczenia.

– Zabiję cię – powtórzył, szarpiąc więzy. Rzucił się do przodu jak pies na smyczy i widać było, jak nabrzmiwiają mu żyły. – Zapłacisz mi za to, co zrobiłeś! – wykrzyknął, ale jego płuca znów nie wytrzymały i jeszcze raz zaniósł się kaszlem.

Przypatrując mu się, Korman stał przez chwilę bokiem do mnie, zaraz jednak zwrócił ku mnie twarz i wbił wzrok w wyszlifowaną nogami tysięcy turystów drewnianą podłogę. Healy przestał kasłać i Korman ponownie potoczył wzrokiem po rozstawionych wokół maszynach. W jego oczach dojrzałem ten sam wyraz co poprzednio. Spoglądał na nie z czułością, niemal jak rodzic na ukochane dziecko.

– Chciałem, żebyście obaj przy tym byli – powiedział.

Wpatrywałem się w niego, w jego twarz, w nóż w rękę, próbując odgadnąć jego zamiary, nie zdążyłem jednak zacząć się nawet zastanawiać, gdy energicznie zamachnął się ostrzem.

Skoczyłem do przodu, chcąc go powstrzymać.

Ale celem ataku nie był Healy.

Wbił sobie nóż w brzuch, tuż poniżej żeber. Cios nim zachwiał i Korman zrobił niepewny krok do przodu, potem drugi, po czym odzyskał równowagę na tyle, by chwycić rękojeść noża i gwałtownie go w sobie obrócić. Rozległ się koszmarny chrzęst rozdzieranych mięśni i jęk bólu i Korman osunął się na kolana z takim impetem, że podłoga aż zadrżała pod jego ciężarem, a cała sala jakby się przechyliła. Z nożem zatopionym głęboko w ciele i krwią lejącą się z rany jak z kranu popatrzył na mnie i jego twarz wykrzywił uśmiech. Taki sam Healy musiał widzieć, gdy Korman zostawiał go konającego na podłodze Hal Stajennych. Uśmiech kogoś, kogo Calvin East panicznie się bał i kto od lat bezlitośnie go prześladował. Uśmiech mordercy dwóch ośmioletnich dziewczynek.

To właśnie ten uśmiech mieliśmy obaj zobaczyć.

Podszedłem bliżej i stanąłem nad nim, nie bardzo wiedząc, co robić. Miałem tak wiele pytań i tak mało czasu, by je zadać. Uśmiech zgasł na jego twarzy, mięśnie zwiotczały, ale oczy wciąż płonęły. Nie miałem wątpliwości, czym to wszystko było.

Finalnym aktem okrucieństwa.

Już nie odpowie na moje pytania, nie znajdę wyjaśnień dla rodzin, których życie legło przez niego w gruzach, nie będzie zadośćuczynienia dla Healy'ego mimo wszystkich jego poświęceń. Nie poznamy ostatecznego celu machinacji Kormana i Grankina, nie dowiemy się, jak długo to trwało i ile osób przez to ucierpiało. Zostaną tylko szczątki niestrawione przez ogień i tkwiące w mojej pamięci bezwartościowe strzępy naszej ostatniej rozmowy.

Chwyciłem go za kołnierz i przyciągnąłem do siebie, a on konwulsyjnie się szarpnął, by uwolnić się z mojego uścisku.

– Nie! – krzyknąłem. – Najpierw powiesz mi wszystko, co wiesz!

Ale było już za późno.

Tłąca się w nim iskra życia zgasła i jego oczy zaczęły zapadać się w pustkę. Opadły też kąciki ust, wciąż lekko uniesione w ostatnim uśmiechu, i nic już nie zostało.

Pozwoliłem, by osunął się na podłogę.

– Nie – usłyszałem głos Healy'ego. – Nie, nie, nie.

Siedział na krześle nienaturalnie skręcony, z głową wyciągniętą ku Kormanowi i ciałem przytrzymywanym przez więzy. Z oka popłynęła mu łza. Wpatrując się na przemian w Kormana i we mnie, powtórzył z rozpaczą w głosie:

– Nie. Nie tak. Nie!

Nie wiedziałem, co powiedzieć, bo dla Healy’ego było to najgorsze zakończenie z możliwych. Zakończenie zawierające w sobie tragedię i zemstę, tyle że zemsta nie należała do Healy’ego. Prawdziwej zemsty dokonał Korman. Odebrał Healy’emu możliwość wymierzenia kary i pozbawił nas odpowiedzi, o które z takim poświęceniem walczyliśmy. Nie zostało już nic poza obietnicą, którą Healy złożył dziewczynkom, klęcząc między ich łózkami.

I pewnością, że nigdy jej nie dotrzyma.

Podniosłem nóż Kormana, przeciąłem Healy'emu więzy i odrzuciłem nóż z powrotem na podłogę. Ostrze było unurzane w krwi Kormana, w której jego ciało leżało jak otulone peleryną. Healy nawet się nie ruszył, by do niego podejść. Siedział jak skamieniały i tylko jak mantrę powtarzał jedno słowo. Policzki miał mokre od łez, skórę trupio bladą, brzuch pofałdowany od skrętu w bok.

Szukałem w myślach jakichś słów pocieszenia. Chciałem go zapewnić, że z tego wybrniemy, ale właściwie nie bardzo wiedziałem, czy jest jeszcze coś, z czego moglibyśmy wybrnąć. Nieuzyskane odpowiedzi taplały się we krwi na podłodze.

W końcu nie powiedziałem nic i zacząłem się rozglądać po sali na tyle, na ile pozwalał krąg światła rzucanego przez stojącą obok lampę. Miałem w pamięci minę Kormana, z jaką to zrobił. Co wyrażała jego twarz te parę sekund przed śmiercią? Żal? Rozrzewnienie? Przypomniałem sobie jednocześnie opowieści Calvina Easta o dziwnych rzeczach, które się tu działy: przestawianiu automatów, pękniętych szybkach, przemalowywaniu maszyn.

Zawsze tych samych pięciu.

Wolno ruszyłem środkową alejką w stronę gabinetu luster. W sali stało ze sto automatów w prostych szeregach, które jednak dalej od środka coraz bardziej się zakrzywiały, i tylko główne przejście prowadzące do gabinetu biegło idealnie w linii prostej. Zapewne dlatego podczas pierwszej wizyty nie przyjrzałem się dokładnie rozmieszczeniu maszyn, ale teraz wyraźnie widziałem, że w miarę oddalania się od środka linie łamią się i po bokach powstają przejścia i zaułki. Wynikało to z większych gabarytów niektórych automatów: mechaniczne wróżki i śmiejący się marynarze byli wyżsi, z kolei teatryki kukielkowe szersze.

Stałem. Co ja, do cholery, wyprawiam?

Powinienem raczej kombinować, jak się stąd wydostać. Korman nie żyje i trzeba zatuszować naszą obecność przy jego śmierci. A to wymagało pozbycia się śladów krwi Healy'ego, wytarcia wszystkich powierzchni i krzesła, z którymi miał styczność. Jeśli rano zjawi się tu policja, musimy dopilnować, by ekipa dochodzeniowa uznała śmierć Kormana za samobójstwo i nie natknęła się na żadne nasze ślady. I dopiero wtedy przyjdzie czas na zastanawianie się nad resztą.

Czy mam się ujawnić?

Czy poczekać, aż sami się do mnie zgłoszą?

Spojrzałem w stronę Healy'ego, który zwlókł się z krzesła i zaczął się ubierać. Już miałem iść do niego, gdy coś zwróciło moją uwagę.

Zszedłem ze środkowej alejki i zagłębiłem się w gąszcz automatów. W grupie kilku podobnych do siebie i bogato zdobionych kinetoskopów z okularami z polerowanego mosiądzu – wiktoriańskich aparatów do oglądania ruchomych obrazów – stał tester siły w drewnianej obudowie. Na przedniej szybce widać było pęknięcie.

Jedno z tych urządzeń, o których mówił East.

Pociągnąłem palcem po pokrytej lakierem powierzchni obudowy.

Nie wiedziałem, jaka powinna być w dotyku ani jaki efekt daje pomalowanie jej lakierem Hobermana, ale nie stwierdziłem nic zaskakującego. Powłoka była gładka i profesjonalnie nałożona. Obszedłem maszynę i na tylnej ścianie znalazłem niewielkie drzwiczki.

Przekręciłem rączkę i otworzyłem je.

W środku było pusto. Schyliłem się i obmacałem wewnątrz ręką w nadziei, że znajdę coś, czego nie powinno tam być. Niczego nie znalazłem. Prześlizgnąłem się palcami po kółkach i zapadkach mechanizmu, ale tester był jak pusta wewnątrz trumna.

– Healy! – zawołałem.

Podniósł na mnie wzrok.

Przywołałem go ręką i ruszyłem dalej, przepychając się wśród automatów i uważnie przypatrując się ich powłokom. Gdy Healy wreszcie do mnie dołączył, zawróciłem i podszedłem do testera siły.

– Pamiętasz, co East mówił o zawsze tych samych pięciu automatach, którymi się interesowali i które wciąż na nowo powlekali lakierem?

Patrzył na mnie tępym wzrokiem, jakby nie do końca wiedział, co się wokół niego dzieje.

– Powinniśmy stąd iść – mruknął.

– Zaraz pójdziemy.

Staralem się mówić cicho i bez emocji. Przetarł rękawem oczy i spojrzał na mnie z taką miną, jakby nie słyszał, co mówię. Podjąłem jeszcze jedną próbę.

– Jak policja tu jutro przyjedzie i go znajdzie, to już tu nie wejdziemy.

Popatrzył ponownie na tester siły.

– Healy?

Skinął głową.

– Czy ty mnie słuchasz?

Jeszcze jedno kiwnięcie głową.

– Interesowało ich pięć urządzeń, jednym z nich jest ten tester siły. Szukamy też dwóch identycznych bagatelle, ale tylko jedna może być tu, bo druga została w domu Grankina. – Przerwałem, przywołując w pamięci skrytkę we wnęce za sztuczną ścianą. – Pozostałe dwa to wróżka z porysowanym bokiem i fonograf, tak?

– Mhm – przytaknął.

– Nie wiem, jak damy radę rozpoznać ten fonograf, bo widziałem tu już trzy różne, ale spróbujemy.

Bez słowa odwrócił się, przeszedł na drugą stronę środkowej alejki i zaczął się kręcić pośród automatów różnej wielkości. Nie byłem pewien, na ile jest to świadome działanie, ale pomyślałem, że Healy wyjątkowo dobrze pasuje do otoczenia: cień człowieka, który snuje się pośród martwych staroci w miejscu, gdzie za oknem straszą szczątki dawno zapomnianego molo. Healy i wszystko wokół niego lepsze czasy miało już za sobą.

Sam też zacząłem krążyć wśród automatów, w końcu jednak zawróciłem do testera siły. W sali wystawionych było wiele bagatelle i wiele fonografów, ale dopiero gdy znalazłem się po tej samej stronie przejścia co Healy, natknąłem się na coś interesującego.

– Tutaj! – zawołałem.

Podszedł do mnie. Wśród bagatelle było wolne miejsce i jednej z nich wyraźnie brakowało.

– Tu musiała stać ta, którą widzieliśmy w domu Grankina – powiedziałem.

Ale Healy jakby mnie nie słuchał. Ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w drugą połowę sali.

– Co jest? – spytałem.

– Są tak samo rozmieszczone.

Spojrzałem w stronę, w którą patrzył.

– Co masz na myśli?

– Ta w domu Grankina miała na przodzie trzy czerwone kręgi. Zauważyłeś to?

Próbowałem sobie przypomnieć.

Wskazał ręką na drugą stronę pomieszczenia.

– Tam stoi bagatelle z identycznymi trzema czerwonymi kręgami. Niedaleko testera siły, który oglądałeś. Już przedtem zwróciłem na nią uwagę. Ta z domu Grankina i ta stały w tych samych miejscach, tylko po przeciwnych stronach sali.

Miał rację: bagatelle były rozmieszczone symetrycznie w stosunku do środkowej alejki. Znajdowały się w tej samej odległości od niej, łącząca je linia przecinała alejkę pod kątem prostym i stanowiły swoje lustrzane odbicia. Przypadek, czy zostały celowo tak ustawione?

Zawróciłem do bagatelle stojącej na swoim miejscu, otworzyłem tylne drzwiczki i zajrzałem do niej. Tak jak w testerze siły w środku było pusto.

– Do kompletu brak nam fonografu i wróżki – powiedziałem, ale zanim skończyłem mówić, już je wypatrzyłem.

Znajdowały się w grupie automatów między mną a Healym.

– Stoją w linii prostej.

Healy spojrzał na mnie pytająco.

– Co?

– Wszystkie ustawiono w linii prostej.

Fonograf różnił się od pozostałych urządzeń. Stał na drewnianym postumencie o długości nieco ponad pół metra i wysokości trzydziestu centymetrów. Z tyłu zamiast drzwiczek była tylko drewniana szufladka

w postumencie. Zajrzałem do niej, ale w środku też było pusto. Otworzyłem drzwiczki we wróżce z porysowanym bokiem – mniejszej wersji modelu Oracle, który widziałem po drodze – z identycznym skutkiem. Wciąż nic. Maszyny nie sąsiadowały z sobą – między nimi były inne automaty – rozstawiono je jednak w równych odstępach. Nikt nie zwróciłby na to uwagi, gdyby nie wiedział, czego szuka. A my przecież wiedzieliśmy i nie mieliśmy wątpliwości, że to świadomy zamysł. Wszystkie stały w linii prostej. Gdyby brakująca bagatelle znajdowała się na swoim miejscu, a nie w domu Grankina, symetria jeszcze bardziej rzucałaby się w oczy. Pięć urządzeń, którymi interesowali się Grankin i Korman, tworzyło jedną linię.

– Po co oni to zrobili? – bąknął Healy.

W odpowiedzi pokręciłem głową, szukając jakiegoś logicznego wytłumaczenia dla naszego odkrycia. I wtedy powróciły do mnie słowa wypowiedziane przez Kormana: *Myszę, że przydałaby ci się zmiana perspektywy.*

– Raker?

Coś mi zaczynało świtać. Przejechałem palcami po powierzchni stojącej najbliżej wróżki, potem po pierwszym z brzegu innym automacie. Coś było inaczej. Powłoka na wróżce była równa i gładka, ale jakby nieco ciemniejsza i twardsza. W dotyku przypominała kredę.

– Raker, co się...

– Poczekaj chwilę – rzuciłem.

Wyjąłem z kieszeni telefon, czując, jak zaczyna buzować we mnie adrenalina. Sprawdziłem ustawienia aparatu fotograficznego i upewniwszy się, że jest wśród nich potrzebna mi opcja, podszedłem do stojącej na podłodze lampy. Podążyłem za przewodem i przedłużaczem do gniazdka w ścianie i zlokalizowałem wyłącznik.

Healy przyglądał mi się w milczeniu.

– Gaszę światło – uprzedziłem go.

– Co? Dlaczego?

Sala pogrążyła się w ciemnościach. Przyświecając sobie wyświetlaczem telefonu, wróciłem do wróżki, włączyłem odpowiednią opcję w aparacie i powoli skierowałem obiektyw na tył maszyny.

Obraz wróżki na ekranie rozświetlił się.

– Co ty wyprawiasz? – burknął Healy.

Skierowałem obiektyw aparatu na podłogę i dalej na fonograf i tester siły, potem na bagatelle i puste miejsce po drugiej stronie przejścia.

Wszystko świeciło na różowo.

Nawet w pustym miejscu widać było zarysy kwadratu, który wcześniej zajmowała brakująca bagatelle.

– Używali farby na podczerwień – powiedziałem.

– Co? – Healy podszedł bliżej. – O czym ty mówisz?

Ale rzucił okiem na wyświetlacz telefonu i szybko pojał, w czym rzecz.

– Do lakieru dodawali pigment działający na podczerwień, który wchodził w reakcję chemiczną – zacząłem mówić bardziej do siebie niż do Healy’ego. – Dlatego obudowy z czasem pociemniały. I dlatego wydają się twardsze w dotyku. Na samym początku popełnili błąd z ilością domieszki przy dwóch pierwszych bagatelle i dlatego East twierdził, że maszyny zostały niechlujnie pomalowane. Ale więcej do tego nie dopuścili.

Teraz wszystko stawało się jasne. Korman i Grankin wybierali urządzenia w drewnianych obudowach, bo w przeciwieństwie do metalowych mogli je przemalowywać. Ale wybierali też automaty stojące w odpowiednich miejscach, by uzyskać pięć punktów odniesienia, wszystkie w linii prostej: po lewej stronie alejki brakująca bagatelle, wróżka i fonograf, po prawej druga bagatelle i tester siły.

Tyle że symetria nie była idealna.

Maszyny rozmieszczono nierównomiernie: trzy po lewej stronie alejki, dwie po prawej. Mój wzrok powędrował tam, gdzie w połowie drogi między alejką a bagatelle po prawej stał szósty automat. Gdyby ten też został przemalowany i świecił w podczerwieni, układ punktów odniesienia byłby w pełni symetryczny, bo byłoby ich sześć, a nie pięć. Trzy punkty po lewej, trzy punkty po prawej. Pełna symetria, komplet punktów.

Szóstego urządzenia jednak nie przemalowano.

Pozostawiono je nietknięte.

Podszedłem bliżej. Było to wysokie i wąskie pudło, coś w rodzaju teatrzyku kukiełek z nazwą wymalowaną czerwonymi, jakby ociekającymi krwią

literami: STRASZNY DOM. Nad szczeliną do wrzucania monet widniał napis: CZY ODWAŻYSZ SIĘ OŻYWIĆ STRASZNY DOM? Za szybką widać było scenę rodzinną: przy kuchennym stole siedziały cztery kukielki, rodziców i dwojga dzieci. Przez szpary po bokach dostrzegłem czające się upiory, które po wrzuceniu monety zaczynały snuć się po kuchni i straszyć siedzącą w niej rodzinę, a ta odpowiednio reagowała.

– O co w tym wszystkim, do cholery, chodzi? – odezwał się Healy.

Oderwałem wzrok od pudła i spojrzałem na niego.

– Myślę, że o mapę.

Zapaliłem światło i mapa zniknęła. Przemalowane obudowy były praktycznie nie do odróżnienia gołym okiem: może ciut ciemniejsze, może nieco suchsze i twardsze w dotyku, ale trzeba się było bardzo postarać, by dostrzec różnicę. Nam się to udało tylko dlatego, że o wszystkim wiedzieliśmy od Calvina Easta.

Straszny Dom był największy z tych sześciu automatów. Miał około półtora metra wysokości, blisko metr szerokości i stał w miejscu, w którym znajdowałby się czwarty punkt z kolei, gdyby Korman i Grankin przemalowali wszystkie sześć. Pomyślałem, że nie zrobili tego z oczywistych względów: Straszny Dom był za duży i za ciężki, by go ruszać, i ryzyko przyłapania na próbie wyniesienia go wydawało się zbyt wysokie.

Ale czy był to jedyny powód?

Teatryk wraz z innymi urządzeniami o podobnych rozmiarach tworzył jedną grupę i wśród nich niemal się gubił, istniał jednak inny problem. Dostanie się do tylnej ścianki obudowy było bardzo utrudnione, ponieważ maszynę przysunięto do filara i jednocześnie blisko sąsiadowała z innymi automatami, przez co nie było dostępu również z boku. Pokrywy wprawdzie nie przemalowano i w podczerwieni nie świeciła, ale na podłodze zostały wyraźne rysy od nóżek.

– Pomóż mi – poprosiłem Healy’ego.

Nie mając dostępu z boku, schyliłem się przed szafką i zacząłem ciągnąć za spód, Healy zaś próbował odchylić ją od góry. Zadanie było trudne i wzajemnie sobie przeszkadzaliśmy. W końcu kazałem mu dać spokój i odsunąć się, a sam kilkoma szarpnięciami wysunąłem szafkę na tyle, że można było się za nią wcisnąć.

Wpasowując się w szparę i brodząc po kostki w pajęczynach i zwałach kurzu, sięgnąłem do drzwiczek na tylnej ścianie. Były zamknięte.

Przyjrzałem się innym automatom w rzędzie i zaczęło mi świtać.

– Korman coś z nich powyjmował – powiedziałem.

– Co? – rzucił Healy.

Stał za mną, nieco pobudzony tym, co zobaczył na wyświetlaczu telefonu.

– W przemalowanych maszynach w tej linii drzwiczki z tyłu były niezamknięte. To dlatego, że Korman wszystko powyjmował i nie było już po co ich zamykać.

Healy spojrzał wzdłuż linii, popatrzył z powrotem na Straszny Dom, zastanawiając się najwyraźniej, do czego zmierzam.

– A te drzwiczki są zamknięte, bo...

– Bo tu schował to, co powyjmował z tamtych automatów. – Zerknąłem na zwłoki Kormana. – Mógłbyś przynieść jego nóż?

Nie bardzo mu było spieszno do kontaktu ze zwłokami, zebrał się jednak w sobie i ruszył środkową alejką. Po chwili przyniósł nóż, a ja wsunąłem czubek w szparę między drzwiczki i ramę i zacząłem cisnąć.

W końcu płytką drzwiczek odskoczyła z trzaskiem.

Wewnątrz znajdowała się niewielka torba sportowa z zamkiem błyskawicznym zamkniętym na kłódkę. Wyjąłem ją i przesunąłem po podłodze ku Healy'emu. Po wydostaniu się z szafki przebiłem nożem materiał, przeciąłem go wzdłuż zamka i rozchyliłem na boki. Przez moment nie wiedziałem nawet, co mam przed sobą.

W torbie leżało pięć plastikowych saszetek, wszystkie zamknięte na zamki błyskawiczne. Otworzyłem pierwszą z brzegu i ze środka wypadł zegarek. Miał pożółkły i wyblakły cyferblat i nie chodził. O firmie Wirrek nigdy wcześniej nie słyszałem, ale na spodniej stronie koperty widniało logo producenta, rząd cyferek i wygrawerowany napis: „Naszemu ukochanemu Edwardowi z wyrazami miłości od mamy i taty”.

Odłożyłem zegarek na bok i otworzyłem następną saszetkę.

Złoty łańcuszek z krzyżykiem.

W trzeciej znajdowała się srebrna prążkowana zapalniczka. Kóleczo iskrownika dało się obrócić, ale zapalniczka nie działała. Obejrzałem ją,

szukając jakichś oznaczeń, jednak poza rysami na spodzie nic na niej nie było.

Położyłem zapalniczkę na podłodze obok zegarka i łańcuszka, otworzyłem czwartą saszetkę i znalazłem w środku kamizelkę. Ostatnia saszetka wydawała się najlżejsza ze wszystkich i w pierwszej chwili po otwarciu nie byłem nawet pewien, czy w ogóle coś w niej jest.

Ale potem coś z niej wypadło.

Sięgnąłem i wziąłem to coś do ręki.

– Co to jest? – spytał Healy.

Coś płaskiego i sztywnego, jakby skrawek pożółkłego kartonu. Obróciłem go w palcach i po drugiej stronie ukazał się rysunek: niebieski ptak trzymający w szponach serce, a pod spodem napis ŻYCIE. Obrazek był wyblakły, linie rozmazane i ledwo widoczne.

Podąłem go Healy'emu.

Wziął do ręki i zaczął oglądać, obracając w dłoniach. A potem jego twarz nagle pojaśniała. To nie był karton. I to nie był rysunek.

To był kawałek skóry z tatuażem.

– Czyje to, do diabła, jest? – rzucił, przenosząc wzrok ze skrawka skóry na mnie i torbę na podłodze, po czym nagle zmarszczył brwi. – Czekał, coś tam jeszcze zostawiłeś.

Spojrzałem na torbę.

W samym jej kącie, ukryte w fałdach materiału, tkwiło coś jeszcze. Wyciągnąłem rękę i schwyciłem ten przedmiot, ale gdy tylko dotknąłem go palcami i wysunąłem do połowy, wiedziałem już, z czym mam do czynienia.

Obaj wiedzieliśmy.

W torbie leżała szara maska Grankina.

CZEŚĆ PIĄTA

Czterdzieści osiem godzin później zawarłem ugodę z policją.

Mogłem się do niczego nie przyznawać i pozostać przy kłamstwie, ale skontaktowałem się z Bisharą i oświadczyłem, że oddam się w ręce policji, uznawszy, że zastawiono na mnie zbyt wiele pułapek, a on jest zbyt sprytnym przeciwnikiem. Prędzej czy później znalazłby jakąś dziurę w mojej opowieści, niekonsekwencję, której nie dostrzegłem. Ponieważ on i jego ludzie byli dobrzy w swojej robocie, a ja śmiertelnie zmęczony i otepiały po dwóch nieprzespanych nocach i miesiącu bezsenności, szybko złapałoby mnie na kłamstwie i byłoby po wszystkim. Dlatego przyznałem się do ucieczki z miejsca przestępstwa w Wapping, tłumacząc, że wpadłem w panikę po znalezieniu zwłok Easta w bagażniku mojego samochodu. Potwierdziłem, że porzuciłem je na Wanstead Flats, i oświadczyłem, że sam nie bardzo rozumiem, co mną kierowało. Czy uznałem, że tak będzie moralniej? Czy naprawdę uważałem, że zostawienie Easta w krzakach i narażenie jego zwłok na działanie sił przyrody będzie lepsze od wożenia go po mieście w bagażniku?

Sam już nie wiedziałem.

Miałem trudności z logicznym myśleniem.

Ale przynajmniej mogłem uczestniczyć w rozgrywce. Jeśli policja będzie chciała poznać całą prawdę, będą musieli włączyć w to mnie. Bo to ja znałem odpowiedzi, nie oni. Może nie wszystkie, ale wystarczająco dużo. Z moją pomocą będą mogli połączyć pojedyncze punkty w jedną całość i uzyskać mniej więcej kompletny obraz. Beze mnie i mojej wiedzy o Kormanie, Grankinie i zwłaszcza Calvinie Eaście, od którego dowiedziałem się tak dużo o muzeum, jego eksponatach i sekretach, zgubią się w domysłach.

Kłamałem tylko w sprawach dotyczących Healy'ego.

Zapewniłem ich, że gdy dotarłem do domu dziecka, Grankin już nie żył, i zasugerowałem, że to Korman go załatwił, zacierając ślady ich wspólnych konszachtów, czegokolwiek dotyczyły. Był to oczywisty i logiczny wniosek, jako że Korman i tak był już oskarżony o zabójstwo Calvina Easta, Carli Stourcroft i Gail Clark, a nawet Gary'ego i Josepha Cabotów, dla których molo było tylko atrakcją dla turystów, oraz niewinnych bliźniaczek niemających o niczym pojęcia. Moja teoria trafiła do przekonania śledczemu Bisharze, a także niejkiej Sewinson, drobnej brunetce w randze detektywa sierżanta, w której twardym akcencie z południowego Londynu pobrzmiwała nieufność i która zadawała większość pytań. Skoro Korman był gotów zabić siebie, dlaczego miałyby zostawić przy życiu Grankina? Odrzucanie tej możliwości nie miało sensu.

Gdy spytali, czy wiem, kogo kamera monitorująca zarejestrowała w trakcie przełączenia przez bramę domu dziecka na kilka minut przed przyjazdem policji, oświadczyłem, że zapewne był to Korman. Najwyraźniej zatoczył koło i być może wracał do domu w Whitehall Woods po kombinezon technika. Skoro tak, to czemu już wtedy nie podpalił budynku? Odpowiedziałem, że pewnie się bał, że ściągnie na siebie uwagę i zostanie ujęty. W chwili pokonywania bramy zostały mu dosłownie sekundy do przyjazdu policji. W kombinezonie miał więcej czasu i niemal udało mu się wejść i wyjść niezauważonym.

Zmyślając kolejne kłamstwa, by chronić Healy'ego, zastanawiałem się, gdzie teraz jest i jak sobie radzi w nowej sytuacji. Ukrył się w hotelu nieopodal mojego domu, ale o ile mogłem bronić go przed ludźmi, nie byłem w stanie uchronić go przed nim samym. I to najbardziej mnie niepokoiło. Po wyjściu z muzeum prawie się nie odzywał. W hotelu poszedł do łazienki, zamknął się od środka i usłyszałem przez drzwi, jak szłocha. Zanim wyszedłem rano, by oddać się w ręce policji, oznajmił mi, że sprawa dla niego nie jest skończona i będzie trwała tak długo, aż się dowiemy, dlaczego zamordowali dziewczynki. Pomyślałem wtedy, że bez Grankina i Kormana mamy na to nikłe szanse, ale że może to i lepiej.

Musiałem też kręcić w sprawie zeznania naocznego świadka, który widział pożar molo. Początkowo sądziłem, że mają na myśli anonimowy telefon

Kormana, potem jednak się okazało, że naprawdę zgłosił się do nich świadek – lokatorka jednego z mieszkań w pobliżu moło. Kobieta twierdziła, że krótko przed wybuchem pożaru zauważyła na promenadzie dwóch mężczyzn.

– Może widziała mnie, a potem, po jakimś czasie, Kormana – zasugerowałem.

– Zeznała, że widziała dwóch mężczyzn jednocześnie – odpowiedziała z naciskiem Sewinson.

– To może był tam też Grankin – dodałem, kiwając głową.

– Sugeruje pan, że kobieta widziała Kormana i Grankina?

– Bo ja byłem sam.

Przyjrzała mi się podejrzliwie.

– Jestem solistą i nie najlepiej gra mi się w drużynie – dodałem z półuśmiechem, ale nie wywołało to żadnej reakcji.

Nie wiedziałem, czy mi uwierzyli, ale ani razu nie zboczyłem z obranej ścieżki, więc nie mogli mi zarzucić, że zmieniam wersje. Kilkakrotnie próbowali przyłapać mnie na kłamstwie, sprytnie zastawiając pułapki, zapędzając w kozi róg i starając się wydusić ze mnie sprzeczne wnioski lub inny opis okoliczności. Ale za każdym razem udawało mi się wybrnąć i po pewnym czasie w mojej opowieści zaczęło brakować szczelin, w które mogliby wcisnąć palce.

W końcu wszystkie szpary zostały zasklepione.

Moim adwokatem zawsze była Liz, sąsiadka i była partnerka, ale się wyprowadziła i ponieważ wiedziałem, że już nie wróci – ani do mnie, ani do jakiegokolwiek mojej sprawy – postanowiłem skorzystać z usług adwokata zaproponowanego przez policję. Był to sumienny facet po pięćdziesiątce, trochę sztywny i pozbawiony poczucia humoru, ale robił to, czego oczekiwałem. Uważnie mnie słuchał i doradzał, po czym wynegocjował z Metropolitą porozumienie, na mocy którego nie można mi było postawić żadnych zarzutów, jeśli tylko dzięki moim zeznaniom uda się posunąć śledztwo do przodu i ostatecznie zamknąć sprawę. Podpisałem porozumienie i opowiedziałem mu wszystko, podczas gdy on robił notatki.

Ostatecznie informacje popłynęły w obu kierunkach.

– Gdy nam pan powiedział o sklepie z antykami Kormana, przeprowadziliśmy w nim rewizję – oznajmił Bishara. – W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach towarem były legalne antyki.

– Ale nie w stu?

Bishara pokręcił głową.

– Nie, nie w stu.

– Co tam jeszcze było?

– Słyszał pan kiedyś o „morderabiliach”?

Słyszałem. Terminu tego używano na określenie antyków lub innych przedmiotów cennych dla kolekcjonerów, które były jakoś związane z morderstwem lub bezpośrednio należały do morderców. Dzieła sztuki. Sprzęty domowe. Pamiątniki. Cokolwiek. Choćby zegarki, złote łańcuszki, zapalniczki czy kamizelki.

Lub skrawki wytatuowanej skóry.

– Korman był kolekcjonerem?

Bishara przytaknął.

– Za kontuarem miał magazynek schowany pod dywanem. Znaleźliśmy w nim noże oprawione w ramy. Korman kupił je lub zdobył w inny sposób. Znaleźliśmy też szereg przedmiotów, które wymagają skatalogowania i opinii specjalistów, na przykład kosztowne urządzenia medyczne... – Bishara przerwał. – Podejrzewamy, że część z tego może pochodzić z Torowiska Umarłych.

Nazwa ta zmroziła mi krew w żyłach. Las Hark's Hill, zwany przez miejscowych Torowiskiem Umarłych, kojarzył mi się z zabójcą córki Healy'ego, niejakim Glassem. Facet obecnie siedział w więzieniu, ale pamięć

o jego zbrodniach żyła dzięki kolekcjonerom takim jak Korman. To, że postać Glassa mogła na swój sposób fascynować Kormaną, było nawet zrozumiałe: wprawdzie nigdy się nie spotkali i już nigdy nie miało do tego dojść, obaj byli odpowiedzialni za zrujnowanie życia temu samemu człowiekowi.

Wszystko to tłumaczyło, dlaczego Korman nie musiał prowadzić sklepu jak wszyscy inni i otwierał go tylko wtedy, gdy miał na to ochotę, a zamykał, kiedy mu się podobało: zyski przynosiły mu inne lukratywne zajęcia.

Bishara jeszcze chwilę odczekał, po czym uroczystym tonem dodał:

– W beczkach po ropie znaleźliśmy też ślady DNA należące do trzech innych osób. – Poczuję, jak zaciska mi się żołądek. – Dwóch z nich jeszcze nie zidentyfikowaliśmy.

– A trzecia? – spytałem.

– Sądzimy, że należą do Any Yost.

To mną wstrząsnęło, ale wiadomość nie była dla mnie zaskoczeniem. Zamilkłem, trawiąc ją w myślach, i po chwili wszystko zaczęło się układać w spójną całość.

– Raker?

– Tak się zastanawiam – odezwałem się, podnosząc wzrok na Bisharę. – Grankin musiał jakoś zwabić Neila i Anę Yostów na molo. Mógł im powiedzieć, że tam pracuje i ma klucze. Może byli podpici, może uznali to za przygodę. Jakkolwiek było, na miejscu czekał Korman, który ich zabił, wpakował do beczek i spalił ciała. Potem Kormanowi i Grankinowi przyszło tylko czekać na właściwy moment.

– Jaki właściwy moment?

– Żeby ich stamtąd wywieźć. Nikomu nie przyszło do głowy, by szukać Yostów na molo, więc Grankin i Korman nie musieli się spieszyć. Wrócili, kiedy uznali, że nic im nie grozi. Myślę, że zrobili to w nocy łodzią. Zabrali beczki i wysypali do Tamizy to, co zostało z Yostów. Nie było tego dużo. Może kilka zębów, bo zęby nie palą się nawet w tysiącu stopni Celsjusza, ale jak znaleźć garstkę zębów w rzece o długości ponad trzystu czterdziestu kilometrów?

– Zatem do kogo należą te pozostałe ślady DNA w beczkach?

– Do innych ofiar.

– Twierdzi pan, że mamy do czynienia z dwoma seryjnymi zabójcami?

– Jeśli już, to z jednym. Korman był zabójcą, co do Grankina nie mam pewności. W każdym razie nie zabijał dla przyjemności. Gail Clark, bliźniaczki, prawdopodobnie też Carla Stourcroft, wszystkie one zginęły z ręki Kormana. – Przerwałem, by uporządkować myśli. – Kiedy ci dwaj kupili dom w Whitehall Woods, przestali korzystać z molo do uprawiania swego procederu i przenieśli się do dawnego domu dziecka. Nie chodziło im tylko o symboliczne znaczenie tego miejsca, choć to na pewno wpłynęło na ich decyzję, ale u Świętego Dawida czuli się bezpieczniej. Skoro Grankin tak usilnie starał się zmyć ślady krwi ze ścian, myślę, że ofiary zginęły stosunkowo niedawno. Może ślady DNA w beczkach należą właśnie do nich.

Przełknąłem ślinę, czując w gardle dławiącą gulę.

– A co z tymi taśmami? – spytała obecna przy przesłuchaniu Sewinson. – Powiedział pan, że znalazł na molo magnetofon kasetowy. My też znaleźliśmy magnetofon na podłodze pokoju, w którym Korman zabił Grankina. Była w nim taśma, ale uległa całkowitemu zniszczeniu. Nie ma szans na odsłuchanie czegokolwiek. Wie pan może, co mogli nagrywać?

– Nie wiem – odparłem.

– Po co w ogóle zostawiać ślad na taśmie?

– Nie wiem.

– I dlaczego posługiwali się tak przestarzałą techniką?

– Nie wiem – powtórzyłem po raz trzeci i nie było to całkowicie kłamstwo.

Sam nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego Korman nagrał konającą Gail, po co Grankin i Korman mieliby nagrywać śmierć Yostów i czemu robili to przy użyciu staromodnego magnetofonu kasetowego, a nie kamerą czy telefonem. Ale nie mogłem powiedzieć tego głośno. Nie mogłem zeznać, że ostatnie chwile życia Gail zostały utrwalone na taśmie, bo robiąc to, przyznałbym, że byłem obecny w pokoju w trakcie odtwarzania taśmy. A to by znaczyło, że kłamię, twierdząc, że to Korman zabił Grankina.

– Natknęliście się jeszcze na jakieś inne taśmy? – spytałem.

Sewinson nie odpowiedziała, siedzącemu obok Bisharze nieco zrzęda mina. Wyraźnie nie palił się do rozmowy o sprawach związanych z domem dziecka, bo musielibyśmy też mówić o pożarze, a w tym temacie nie czuł się

zbyt komfortowo. Dopuszczył przecież do tego, że Korman przedostał się do środka i podpalił miejsce przestępstwa. Bishara nie był temu winny, ale do obowiązków jego i ekipy należało zabezpieczenie śladów przestępstwa. Podejrzewałem, że zawarł ze mną ugodę również dlatego, że w ten sposób liczył na szybsze zakończenie sprawy. Ze względu na zainteresowanie mediów nie można jednak było się spodziewać, że uda mu się wyjść z tego obronną ręką. Musiał na kogoś zwalić winę.

Wróciłem myślami do muzeum, samobójstwa Kormana i znalezionej torby.

– A co z tymi rzeczami, które znalazłem w muzeum? – spytałem.

– W torbie? – Sewinson poprawiła się na krześle i zajrzała do notatnika. –

Przesłaliśmy je do laboratorium kryminalistycznego.

– Myślę, że maska coś nam powie – oświadczyłem.

Sewinson zmarszczyła brwi.

– Co ma nam powiedzieć?

– Dlaczego Korman wrócił do Świętego Dawida.

– Nie rozumiem.

– Dlaczego podjął takie ryzyko i wrócił do domu dziecka w przebraniu.

Myślę, że zrobił to po to, by odzyskać maskę.

– A skąd pan to wie?

– Tak czuję. Maską znaczyła coś dla Grankina, bo to on jej używał, ale musiała być też ważna dla Kormana, skoro był gotów tyle zaryzykować, żeby ją odzyskać. Musi na niej lub w niej być coś takiego, co mogłoby narobić im kłopotów.

– Na przykład co?

– Nie wiem. Ślady DNA, gatunek plastiku, z jakiego ją zrobiono, jakieś charakterystyczne uszkodzenie, cokolwiek. Coś na tyle ważnego, by Korman był gotów zaryzykować.

Sewinson nie wyglądała na przekonaną.

– A co z tym skrawkiem skóry? – nie dawałem za wygraną.

– Czekamy na wyniki – powiedziała obojętnym tonem. – Mamy obfity materiał dowodowy do zbadania, panie Raker. Musi pan przyjąć do wiadomości, że takie sprawy wymagają czasu.

– Jeżeli były jeszcze jakieś ofiary, myśli pan, że spotkał je podobny los? – wtrącił Bishara.

Sewinson spojrzała na niego ze zdziwieniem, zaskoczona nagłą zmianą toku rozmowy, a może tym, że przyszło mu do głowy pytać mnie o zdanie. Oboje zachowywali się z wielką rezerwą, szczególnie czujna była Sewinson. Ale o ile wcześniej nie miałem pewności, teraz było to jasne: Bishara nie zamierzał robić uników ani kręcić, jak go o to podejrzewałem. Jeśli mieli go postawić pod pręgierzem, chciał pod nim stanąć uzbrojony we wszelkie argumenty.

– Tak – potwierdziłem. – Pozbywali się ich, paląc zwłoki.

– To czemu nie zrobili tego samego z Gail, jej córeczkami i z Carlą Stourcroft?

– Bo żadna z nich nie była częścią pierwotnego planu. Stały się celem dopiero wtedy, gdy Stourcroft i Gail zaczęły zbytnio wtykać nos w sprawę molo. Nie był to ich wybór. Stały się niespodziewaną przeszkodą, z którą Grankin i Korman musieli sobie poradzić. Z psychologicznego punktu widzenia rodzina Clark i Stourcroft nie należały dla nich do tej samej kategorii co inne ofiary, o ile w ogóle takie były. Poza tym, postępując tak, nie działali schematycznie.

– Ale jeśli były inne ofiary, to jakiś schemat już istniał – powiedział Bishara.

– Jeśli wabili gdzieś swoje ofiary, a potem je zabijali, to schemat jest.

– Polegający tylko na tym, że znikają ludzie.

– To jednak się powtarza.

Wpatrywał się we mnie z takim napięciem, że pomyślałem, że chyba coś mu leży na sercu.

– Nie bardzo wiem, do czego pan zmierza, ale... – Przerwałem i też mu się przyjrzałem. – Obawia się pan, że tych innych śladów DNA w beczkach nie da się zidentyfikować, czy tak?

Bishara zaczął kiwać głową, zanim zdążyłem skończyć zdanie.

– Mamy ślady DNA należące do trzech różnych osób. Myślę, że nie bez powodu udało nam się zidentyfikować tylko Anę Yost. No bo od jak dawna Grankin i Korman mogli to robić? Kiedy po raz pierwszy skorzystali z molo? W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim, kiedy zamknięto je dla

publiczności, czy później, kiedy Grankin zajął się jego ochroną? Ale kiedykolwiek to było, poza Yostami nie pojawił się ani jeden sygnał alarmowy, że dzieje się coś niedobrego. Że znikają ludzie. Dlaczego?

Zacząłem się zastanawiać, po chwili już jednak wiedziałem. Jakie jest najprostsze wytłumaczenie tego, że ofiar nie daje się nijak zidentyfikować?

– Bo byli nielegalnymi imigrantami – odparłem.

– Bingo! – wykrzyknął i spojrzał na Sewinson, potem na mnie. – W worku ze śmieciami za domem Grankina znaleźliśmy zgniecioną kasetę magnetofonową, ale udało nam się odzyskać około dwudziestu sekund nagrania. To niezbyt dużo, ale wystarczyło. Jakiś mężczyzna krzyczał coś po rumuńsku.

Jeśli większość ich ofiar przebywała w kraju nielegalnie, to w papierach nie było po nich śladu i nikt nawet nie zauważył, że zniknęli. Wszyscy „nieistniejący” ludzie – może z wyjątkiem Any i Neila Yostów – byli zabierani w odludne miejsce i tam zamieniani w popiół. Ale jeśli to wszystko prawda, to czemu zrobili to samo z Yostami? Ich uprowadzenie wiązało się ze znacznie większym ryzykiem niż porwanie kogoś, o kim nikt nic nie wiedział.

– A co z tą mapą na podczerwień?

Pytanie Sewinson sprowadziło mnie na ziemię.

– A co ma być? – spytałem.

– Do czego im była potrzebna? – Pochyliła się nad stołem. – Po co w ogóle zawracać sobie głowę tworzeniem jakiejś mapy? Przecież bez niej też by pamiętali, gdzie schowali torbę.

– Nie sądzę, by to była tylko zwykła mapa – dałem wyraz wątpliwościom, jakie mnie nękały. – Myślę, że dla nich to był ołtarz. Coś w rodzaju miejsca kultu. Muzeum i jego automaty traktowali jak kościół. Przechowywali te pięć przedmiotów w pięciu maszynach, które wciąż odnawiali. Zegarek, zapalniczka, łańcuszek, kamizelka, skrawek skóry. W szóstej, największej, trzymali maskę. Maską była z tego najważniejsza. Dlatego drzwiczki w pięciu mniejszych automatach były otwarte i tylko te w Straszonym Domu zamknięte. Kiedy wszystko zaczęło się walić, Korman wrócił do muzeum, włożył fanty do torby i schował ją w szóstej maszynie w nadziei, że nikt jej tam nie znajdzie.

Zamilkłem, przypominając sobie spojrzenie, jakim Korman obrzucił automaty chwilę przed odebraniem sobie życia. Patrzył na nie z taką czułością, z jaką rodzic patrzy na swoje dziecko.

– Ta ekspozycja musiała coś dla nich znaczyć. Byli z nią w jakiś sposób związani. Korman wiedział, że Straszny Dom najlepiej nadaje się na skrytkę. Trudno odsunąć go od filara, dostęp z wszystkich stron jest utrudniony, tylnej płyty prawie nie da się podważyć. Dobre miejsce na skrytkę.

– Ale po co w ogóle coś chował, jeśli zamierzał się zabić? – burknęła Sewinson.

– Tego nie wiem.

– I co te przedmioty znaczą? – zastanawiał się Bishara.

– Maską, nie wiem. Grankin używał jej tej nocy, kiedy Korman zamordował Gail i dziewczynki. Miał ją też na balu maskowym, z którego wprowadził Yostów. – Przerwałem, próbując nadać temu jakiś sens. – Może to ona łączy wszystko w całość.

– Wszystko?

– Każde odebrane przez nich życie. Sam nie wiem. Kombinuję, ale może ta maska stanowiła część ich sposobu działania. Wyciągali ją przy każdym morderstwie, podczas gdy pozostałe pięć przedmiotów trzymali w ukryciu w muzealnych eksponatach. Maską była fetyszem Kormana i Grankina, czymś, z czego stale korzystali. A pozostałe przedmioty składały się na ich historię, miały im o czymś przypominać.

– Na przykład o pierwszym zabójstwie. – Sewinson pokiwała głową.

– Możliwe.

– Ale sprawdziliśmy je wszystkie w bazie przedmiotów zaginionych.

– I nic?

– Nic. – Bishara pokręcił głową.

Pomyślałem znów o Eaście. Jak go Grankin i Korman przekupili i jak nim manipulowali. Powiedział mi, że zaglądał do wnętrza automatów, niczego jednak nie znalazł. Ale gdy Grankin pracował w muzeum, na pewno pilnie Easta obserwował i w razie potrzeby usuwał, co należy, a potem, gdy East przestawał się interesować, chował to ponownie. Z czasem Grankin nabrał wprawy w wożeniu automatów, więc rysy na obudowach czy pęknięcia

szybek już się nie powtarzały. Nie działo się nic, co mogło budzić podejrzenia Easta. W końcu stało się to nieistotne, bo Grankin dał się wyrzucić z pracy, by mieć alibi na noc morderstwa Clark i jej córek. Stracił wtedy swobodny dostęp do muzealnych eksponatów, ale jednocześnie East przestał doszukiwać się w nich uszkodzeń. Już dawno pogodził się ze swoim losem.

Najwyraźniej myśli Sewinson biegły tymi samymi torami, bo powiedziała:

– Cholernie dużo ryzykowali, zostawiając te fanty w automatach.

– Nie sędzę.

– Trzymali w nich dowody przestępstw.

– Oczywiście. Ale tak samo przecież było z molo i domem dziecka. Przechodzimy obok tych miejsc codziennie i nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby do nich zaglądać. Nie robimy tego, choć mamy je na wyciągnięcie ręki. Korman i Grankin wiedzieli o tym. Wiedzieli także, że jeśli utrzymają kontrolę nad Eastem, będą kontrolowali miejsce, które służyło im do celebrowania sukcesów. East jako jedyny mógł się zorientować, co tam ukrywają, bo Gary Cabot już od dawna nie zajmował się konserwacją urządzeń. To dlatego Grankin kazał Eastowi na bieżąco się informować, jakie urządzenia zabiera do naprawy.

W pokoju zapadło milczenie, bo wszyscy zaczęli wyobrażać sobie wynoszenie maszyn, odnawianie ich i tworzenie mapy, a także sportową torbę z przedmiotami pochodzącymi od innych, jak dotąd nieznanymi, ofiar. Niewinne, wybrane przez Kormana i Grankina osoby spędzały ostatnie dni życia w piekle, którego istnienia nawet sobie nie wyobrażały. A potem pakowano je do beczek po ropie, prochy zaś wrzucano do wody lub rozsypywano po ziemi. Gdzieś, gdzie nikt nigdy ich nie znajdzie.

Właściwie zostało już tylko jedno pytanie i zadając je, pomyślałem znów o Healym.

– To dlaczego zabili bliźniaczki?

Sewinson coś zaczęła pisać, ale słysząc moje pytanie, przerwała i spojrzała na mnie. Siedzący obok niej Bishara odsunął filiżankę z kawą.

– Bo w sąsiednim pokoju zamordowano ich matkę – powiedział. – Zostawienie ich przy życiu oznaczałoby nieskończenie roboty.

– Tak to nazywacie?

Bishara rozłożył ręce.

– Wiesz, co mam na myśli – mruknął.

– Korman nazwał je „obłudnymi”.

– Kogo?

– Bliźniaczki.

Bishara zmarszczył czoło i popatrzył na Sewinson.

– Co to miało znaczyć?

– Nie wiem – odparłem.

– Korman był psychopata.

Pokiwałem głową na znak, że się zgadzam i że chyba lepiej zapomnieć o tym pytaniu. Nie umiałem jednak. Wciąż do mnie ta sprawa wracała, bo wracała też do Healy’ego. Próbowałem się przekonać, że może lepiej nie wiedzieć, bo odpowiedź może być gorsza od pytania.

Ale nie był to przekonujący argument.

Zabili radosne, niewinne dziewczynki, widziałem je przecież na filmie Calvina Easta. I na pewno nie były świadomie obłudne. Miały po osiem lat.

Tego nie dawało się zapomnieć.

Gdy wreszcie wieczorem dotarłem do domu, padłem na łóżko i przespałem niemal czternaście godzin ciurkiem. W ubraniu i bez zdejmowania kapy, nie wiedząc nawet, że w tym czasie za oknem przetoczyła się burza i do pokoju wpadały zimne podmuchy wiatru. Nie usłyszałem też dzwonka do drzwi, choć była już dziewiąta rano, i obudził mnie dopiero telefon, który zaczął wibrować w mojej kieszeni. Jeszcze przez chwilę nie mogłem zebrać myśli i dopiero po paru sygnałach otrząsnąłem się na tyle, by sięgnąć po niego i odebrać, nie otwierając oczu.

– Halo?

– To ja. – Głos Craw. – Jesteś w domu?

– Zaczekaj.

Niechętnie zwlokłem się z łóżka i poszedłem otworzyć drzwi. Stała pod daszkiem, kryjąc się przed deszczem, ubrana w czarny płaszcz przeciwdeszczowy, szare spodnie i czarne kozaki. Widziałem, jak lustruje moje wymięte ciuchy i sterczące w nieładzie włosy i jak na jej twarzy pojawia się wyraz rozbawienia pomieszanego z litością. Nie czekając na zaproszenie, wyminęła mnie, weszła do środka i ruszyła w stronę kuchni.

– Wyglądasz, jakbyś pilnie potrzebował kawy – rzuciła.

Zamknąłem za nią drzwi.

– Jeszcze pilniej potrzebuję wejścia pod prysznic.

Odświeżony wróciłem do kuchni i znalazłem ją stojącą przy oknie i gapiącą się na ogródek przed domem. Swoje czerwone mini zaparkowała w miejscu, gdzie stałoby moje bmw, gdyby nie to, że aktualnie znajdowało się na parkingu laboratorium kryminalistycznego.

– Dobry – mruknąłem, przecierając oczy.

– Dobry – powiedziała, odwracając głowę.

Miała odgarnięte do tyłu włosy, które urosły już na tyle, że mogła je związać w krótką kitkę. Nadawało to jej szczupłej twarzy nowy wygląd, uwydatniając oczy i kości policzkowe. Od chwili oddania się w ręce policji rozmawiałem z nią raz z automatu w komisariacie, ale przez te pół godziny opowiedziałem jej o wszystkim, co się wydarzyło. Wysłuchiwała tej relacji w całkowitym milczeniu. Prawdę mówiąc, nie wiem, co mnie skłoniło do takiej szczerości. Nie mogła mi w niczym pomóc, nie mogłaby też nic zrobić, gdyby postawiono mi zarzuty, a nasze wzajemne stosunki od początku opierały się na niewypowiedzianym głośno porozumieniu, że nigdy zbyt blisko siebie przed sobą nie otwieramy. Ja jednak właśnie to zrobiłem. Może podświadomie miałem dość tłamszenia wszystkiego w sobie.

– Jak się czujesz? – spytała.

Wzruszyłem ramionami i wziąłem do ręki kubek z kawą, który na mnie czekał.

– Mam nadzieję, że nie narobiłem ci kłopotów – powiedziałem.

Przed oddaniem się w ręce policji dzwoniłem do niej dwukrotnie: raz z Wanstead Flats, gdy wciąż jeszcze miałem Calvina Easta w bagażniku, i raz ze Świętego Dawida. Po tym drugim telefonie zadzwoniła do Bishary, swojego odpowiednika w Waltham Forest, zwracając się z prośbą o wysłanie na miejsce ekipy interwencyjnej. W rezultacie szef Craw chciał wiedzieć, dlaczego to ją wybrałem na swoją powierniczkę.

– Powiedziałaś mu, że łączą nas pewne zaszłości – odparła z uśmiechem.

– No cóż, to akurat prawda.

– Wiedzą o moim tacie i o tym, co dla mnie zrobiłeś w zeszłym roku. Nie są zachwyceni, ale wiedzą. Myślą, że właśnie dlatego do mnie zadzwoniłeś. – Przez chwilę wpatrywała się we mnie. – Nie odpowiedziałeś na moje pytanie: jak się czujesz?

Ponownie wzruszyłem ramionami.

– Dlaczego zabili te dziewczynki? – spytałem.

– Dla takich jak oni życie nic nie znaczy.

– To nie powód.

– To jeden z powodów – rzuciła.

Dzieci też bywają obłudne.

– To nie ten powód – powiedziałem.

Przyjrzała mi się.

– To co teraz?

Przysiadłem na jednym ze stołków.

– Raker?

– Nie wiem. Może już nic.

– Tak to zostawisz?

Zachowała obojętny ton, ale widać było, że mi nie wierzy. Nie odpowiedziałem, więc dodała:

– Nie wiem, czy chcesz ode mnie rady, ale i tak ci jej udzielę. Zaczekaj, do czego dokopie się Bishara. W sensie kryminalistycznym.

– Nie sądzę, żeby miał mi coś szybko do powiedzenia.

Uśmiechnęła się kwaśno.

– Ja też nie.

Zamilkła, choć po jej minie było widać, że coś ją jeszcze korci.

– Chcesz mi zaproponować swoją pomoc? – spytałem.

Zaczął dzwonić telefon w jej kieszeni.

Wyjęła go i spojrzała na wyświetlacz.

– Muszę iść – mruknęła, ale nie ruszyła się z miejsca. – Posłuchaj, znam trochę Bisharę. Po jego przeniesieniu do Londynu byliśmy razem na szkoleniu. Spędziliśmy ze sobą cztery tygodnie, a po miesiącu takiego życia człowiek dość dobrze zaczyna się orientować. To inteligentny koleś, zbierze wszystko do kupy i to, co wymaga ustalenia, zostanie ustalone. Ale to, dlaczego te dziewczynki zostały zamordowane...

Już czułem, do czego to zmierza.

– ...to nie zostanie wyjaśnione – dokończyłem za nią.

Nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła, ale było oczywiste, że właśnie to miała na myśli.

– To sprawa sprzed czterech lat, w dodatku z piętnem karnie odsuniętego śledczego.

– Rozwiązanie zagadki śmierci dziewczynek nie może ucierpieć z powodu Healy'ego.

– Mówię ci tylko, jak to widzą w Metropolitalnej, nic więcej. Musisz pamiętać, że nikt nie pójdzie za to siedzieć. Nie ma kogo skazać, bo Korman i Grankin już nie żyją. Bishara musi najpierw dokończyć sprawy Clark, Yostów i Carli Stourcroft, zanim będzie mógł się zająć innymi śladami DNA w beczkach. Jego technicy grzebią w muzealnych eksponatach, ma na głowie spalone molo i częściowo spalony dom dziecka i wisi nad nim bardzo realna groźba, że mogą go zawiesić. Więc prawda jest taka, że nie pora się zastanawiać, dlaczego dziewczynki musiały umrzeć, jakkolwiek to brutalnie zabrzmiało. A może w ogóle nie ma żadnego „dlaczego”. Korman był zdegenerowanym psychopata. Czy to aż takie dziwne, że zabił je razem z matką?

Rozumiałem, co do mnie mówi, ale nie przekonywało mnie to.

– Czyli proponujesz mi pomoc? – powtórzyłem.

Ponownie zerknęła na wyświetlacz swojego telefonu.

– Będę cię informowała o rozwoju wypadków w takim wymiarze, w jakim uznaję to za stosowne.

– Co to niby znaczy?

– Dokładnie to, co powiedziałam.

Popatrzyłem na nią podejrzliwie.

– Przecież to nawet nie twój rejon.

– Ale znam tam parę osób.

– I dlaczego jesteś gotowa to zrobić?

– Bo inaczej będziesz się uganiał za cieniem Healy’ego, aż nic z ciebie nie zostanie. I dlatego, że też mam dzieci i nie mogę pozwolić, by rozeszło się to po kościach. Bo uważam, że w zasadzie masz rację. Może zawsze ją miałaś. – Schowała telefon do kieszeni. – One zasługują na odpowiedź.

Po wyjściu Craw wykonałem parę telefonów.

Najpierw do Gemmy z pytaniem, jak się czuje. Wszystkie łzy za Healy'ego wylała na pogrzebie i tym razem już się nie rozpląkała, ale znając prawdę o jej mężu, trudno mi było słuchać jej zgnębionego głosu i trzymać język za zębami. Kiedy wspomniała o czasach, gdy ich małżeństwo wydawało się zdrowe, a nawet udane, wyobraziłem go sobie siedzącego w nędznym hoteliku kilometr stąd, opuszczonego i obolałego.

– Dziękuję ci za wszystko – powiedziała, gdy skończyły nam się tematy i rozmowa zaczęła kuleć. – Dziękuję za odkrycie prawdy o losach Colma i pomoc przy pogrzebie. Za to, że dzięki tobie Liam, Ciaran i ja czegoś się o nim dowiedzieliśmy.

Moje kłamstwa stanęły mi kością w gardle i byłem o krok od wyjawienia wszystkiego, jednak w końcu się powstrzymałem. Bąknąłem parę zdawkowych słów pocieszenia i pożegnałem się, a potem przez długą chwilę siedziałem, wpatrując się w okno, przytłoczony wyrzutami sumienia.

Kiedy wreszcie zebrałem się w sobie, upichciłem lunch i następną godzinę spędziłem, gawędząc z Annabel na Skypie. Patrzenie na nią i słuchanie jej głosu pozwoliło mi oderwać się od ponurych myśli i przyniosło prawdziwą ulgę. Po zrelacjonowaniu wydarzeń w pracy (dziesięć minut) i wywiadówki (piętnaście), w której uczestniczyła jako prawna opiekunka Olivii, zamilkła, a na jej twarzy pojawił się wyraz zatroskania. Wiedziałem już, co zaraz będzie.

– Wiem, że się powtarzam, ale... – zaczęła.

– U mnie wszystko w porządku, kochanie.

Uśmiechnęła się.

– Bo wyglądasz na strasznie zmęczonego.

– To ze starości.

Jej uśmiech zgasł, a ja poczułem ukłucie żalu, że nie umiem jej przekonać i że tak łatwo potrafi mnie przejrzeć. Wiedziałem, że troszczy się o mnie, ale nie chciałem się wdawać w szczegóły. Musiałbym ją okłamywać, co mogłaby jeszcze szybciej zauważyć.

– Po prostu nie najlepiej ostatnio sypiam.

– Przez tę historię z Healym. – Pokiwała głową.

– Tak, przez to – potwierdziłem, nie patrząc jej w oczy. – Ale wiesz, nie tylko to. Mam różne problemy z klientami... No i bardzo mi was obu brakuje.

– To czemu nas nie odwiedzisz?

– Obiecałem, że obie przyjedziecie do mnie.

Planowaliśmy, że przyjadą do Londynu w ferie Olivii, ale potem znalazłem zwłoki w Highdale i nic z tego nie wyszło.

Miałem wrażenie, że od tamtej chwili tak dużo się wydarzyło: mimo pory roku przyszły upały, uwierzyłem w to, że Healy nie żyje, uświadomiłem sobie też, że prawda to tylko jeszcze jedno dobrze zamaskowane kłamstwo. Może dlatego tak wyglądałem. Może byłem już zmęczony ciągłymi krętactwami i kłamstwami.

Także własnymi.

– Naprawdę wszystko w porządku – zapewniłem ją. – Słowo. Ostatniej nocy przespałem czternaście godzin i czuję się jak nowo narodzony. Może za parę tygodni uda mi się wyskoczyć do Devon i was odwiedzić. Wybierzemy się na kraby. Ostatnim razem obie was pokonałem.

– Akurat – parsknęła.

– Pewnie, że tak.

– Złapałam dwa więcej od ciebie.

– Kłamczucha!

– Nawet Olivia złapała więcej od ciebie.

– Kłamstwo dubeltowe!

Jeszcze się trochę podroczyliśmy i Annabel w końcu chyba uwierzyła, że u mnie rzeczywiście wszystko w porządku.

Do ostatniej chwili połączenia miałem na twarzy uśmiech i dopiero gdy skończyliśmy rozmowę, spoważniałem. Wpatrując się w pusty ekran laptopa,

zaczęłem się zastanawiać, co teraz.

Odpowiedź brzmiała: Neil i Ana Yostowie.

Leżąc na kanapie w przytłumionym świetle lampy, uświadomiłem sobie, że spośród wszystkich wątków tej historii najmniej wiem o nich. Byli kolejnymi ofiarami Grankina, ich losy tonęły w mroku i wiedziałem o nich tylko tyle, ile udało mi się wyczytać z notek prasowych na ścianie na wpół zrujnowanego domu.

Zacząłem szperać w internecie i natrafiłem na te same relacje: opisy urodziwej pary dwudziestoparolatków, którzy dwa tygodnie po ślubie wybrali się na bal maskowy i zniknęli bez śladu.

Gromadząc wszystkie znane fakty, łącznie z wynikami późniejszych poszukiwań, przypominałem sobie uwagę Bishary. Jeśli były jakieś inne ofiary, to prawdopodobnie rekrutowały się spośród nielegalnych imigrantów, bo dzięki temu nikt ich nie szukał, a identyfikacja była dodatkowo utrudniona. Ale przecież Yostowie nie byli imigrantami.

Coś tu się nie zgadzało.

Czy to, że Grankin i Korman podjęli ryzyko uprowadzenia Yostów, świadczyło o tym, że Neil i Ana należeli bardziej do kategorii Gail, Stourcroft i Healy'ego? Czy stanowili zagrożenie dlatego, że poznali ich sekrety na molo i w muzeum i mogli ich wydać? Czy mordercy pozbyli się ich, by ci dalej nie drążyli?

To była niezła teoria, niestety, w dostępnych mi materiałach nie znajdowałem nic, co by ją potwierdzało. Neil Yost właśnie skończył weterynarię, Ana pracowała w agencji reklamowej przy organizacji kampanii promocyjnych. Nie potrafiłem u nich znaleźć niczego, co by ich łączyło z Wapping, nie mówiąc już o molo. Jego rodzice mieszkali w Durham, jej w Hounslow, oni sami w Ruislip. Bal, z którego zniknęli, zorganizowano

w celach dobroczynnych, konkretnie pod hasłem zbiórki pieniędzy dla ubogich dzieci. Czemu Grankin w ogóle się tam znalazł? Co w Neilu i Anie zwróciło jego uwagę? Nie umiałem wskazać żadnych połączeń między Yostami a nim lub Kormanem.

A jednak poszedł na ten bal.

Zacząłem się zastanawiać, czy do ich spotkania nie doszło przypadkowo, a on nie zadziałał impulsywnie. Może przywiózł ich na molo i zaprezentował Kormanowi, ale jemu się to nie spodobało, bo odejście od dotychczasowych zasad doboru ofiar uznał za niebezpieczne. Tak mogło być. Korman niewątpliwie odgrywał rolę przywódcy i był z nich dwóch ważniejszy. To on był prawdziwym zabójcą.

Czytałem kolejne relacje o Yostach, ale ich zapas gwałtownie się wyczerpywał, a szczegóły powtarzały: ślub, wymarzona podróż poślubna na Malediwy, opowieści uczestników balu o człowieku w masce i jego dziwnym akcencie. Szybko jednak zniknięcie urodziwej pary nowożeńców przestało zasługiwać na pierwsze strony gazet.

Wybrałem numer mojej drugiej komórki, którą zwykle trzymałem pod ręką w sypialni, ale tym razem zadzwoniła gdzie indziej. Jej sygnał rozległ się kilometr od domu, w pokoju hotelowym przy Uxbridge Road.

– Halo?

– To ja – powiedziałem.

Healy brzmiał tak, jakbym wyrwał go ze snu.

– Która godzina?

– Dochodzi jedenasta.

Umieszczenie Healy'ego w hotelu było ryzykowne, bo ktoś mógł go rozpoznać. Starąłem się maksymalnie ograniczyć ryzyko, rezerwując i wynajmując pokój na swoje nazwisko i zakazując mu wychodzenia z niego, o ile nie będzie to absolutnie konieczne. Jeśli mimo to się niepokoiłem, to nie dlatego, że mieszkał w hotelu, ale że był tam sam.

Czy nadal nękały go myśli samobójcze? Czy gdy zjawię się tam za tydzień, okaże się, że tym razem naprawdę coś połknął? Cztery dni po tym, jak Korman popełnił na naszych oczach samobójstwo, Healy wciąż żył i oddychał, ja jednak trwałem w ciągłym napięciu. I dręczyło mnie nie tylko to, że może

się zabić, ale także pytanie, co będzie, jeśli z tego wyjdzie i postanowi rozpocząć nowe życie. Już zawsze będzie musiał się ukrywać w obawie, że ktoś go rozpozna. Dokonał nieodwracalnego wyboru i już nigdy nie będzie mógł wieść normalnego życia.

– Myślałem o Neilu i Anie Yostach – powiedziałem.

– Mianowicie?

– Dlaczego wybrali właśnie ich.

– Co masz na myśli?

– Policja znalazła w beczkach ślady DNA dwóch niezidentyfikowanych osób. To kolejne potencjalne ofiary. Do tego dochodzą właściciele przedmiotów w torbie. Tożsamość tych wszystkich ofiar została skrupulatnie zakamuflowana. Na drugim końcu mamy Gail, Carlę Stourcroft i ciebie. Ludzi, którzy zawadzali lub mogli zawadzać Kormanowi i Grankinowi. Wszyscy podejrzewaliście, że na molo dzieje się coś niedobrego. Więc się wami zajęli, ale w odmienny sposób. Krótko i zdecydowanie. Doszło do morderstwa, napadu połączonego z zabójstwem i napaści, której miałeś nie przeżyć. Nie byłeś ofiarą z ich planu.

– Morderstw.

– Słucham?

– Doszło do morderstw. Zamordowali nie tylko Gail.

Oczywiście miał rację. Były jeszcze dwa inne morderstwa, może najtrudniejsze do zrozumienia, o których nie dało się zapomnieć. Niepojęte i w zasadzie nie do wyjaśnienia. Takie, przy których człowiek zaczyna się zastanawiać, co jest gorsze: gdy zabójcy nie dosięga ręka sprawiedliwości, czy gdy ginie, nie wyjawivszy motywów.

Dzieci też bywają obłudne.

Healy odchrząknął.

– Chcesz powiedzieć, że ta para miała więcej wspólnego z Gail, Stourcroft i mną, choć straciła życie w innych okolicznościach?

– To tylko jedna z teorii. Staram się zrozumieć, co się wydarzyło.

Zamilkł, ale po chwili dodał:

– Jak chcesz, to mogę zajrzeć do pudła.

Miał na myśli pudło, które mąż Carli Stourcroft przekazał mu, gdy Healy udawał funkcjonariusza Metropolitalnej. Po moim przesłuchaniu na policji wróciliśmy obaj do domu w Camberwell i zabraliśmy z niego wszystko: pudło, notatki poprzyczepiane do ścian, kopię wywiadu z Cowdreyem.

I teraz pudło leżało w jego pokoju hotelowym.

– Jest tam coś, czego jeszcze nie przejrzałeś? – spytałem.

– Nie – odparł ponuro. – Wszystko, co dotyczyło molo i zniknięcia tej pary, rozwiesiłem na ścianie. Cała reszta to osobiste drobiazgi Stourcroft.

– I je też przeglądałeś?

– Tak. Jej mąż powiedział, że w większości to rzeczy znalezione w jej gabinecie. Sterty starych papierzysk, oprawione w ramki okładki książek, biurkowe duperele typu długopisy i kalendarze. Mogę jeszcze raz to wszystko przejrzeć, ale nie liczyłbym na nic ciekawego.

– Dobra, zrób to.

– Pogadamy jutro.

Rozłączyłem się i zamknąłem laptopa, znów czując ogarniającą mnie senność. Zamknąłem oczy i pod powiekami zaczęły się przesuwać obrazy, których być może miałem już nigdy się nie pozbyć: matka leżąca na kanapie z dziewięcioma ranami kłutymi w klatce piersiowej i wyciekającym z niej życiem; dwie dziewczynki o gładkiej, bladej skórze, zamienione w martwe posążki na łóżkach.

Obudziło mnie brzęczenie telefonu.

Poruszyłem się gwałtownie, zrzucając laptopa na dywan. Otworzyłem oczy i oślepiło mnie ostre zimowe słońce, które świeciło prosto w okna pokoju. Odwróciłem głowę, usiadłem i zaspanym wzrokiem spojrzałem na zegarek.

Siódma trzydzieści dwie rano.

Przespałem całe osiem godzin.

Telefon nie przestawał brzęczeć. Wstałem, nie bardzo pamiętając, gdzie go wczoraj zostawiłem, zaraz go jednak dostrzegłem na podłodze obok kanapy.

Craw.

– Wciąż mnie budzisz – rzuciłem do słuchawki.

Chciałem, by zabrzmiało to żartobliwie, ale może było zbyt wcześnie rano, bo Craw nie zareagowała i w słuchawce usłyszałem tylko odgłos zamykanych

drzwi.

- Caw?
- Jesteś przytomny? – spytała.
- Ledwo.
- No to lepiej się postaraj oprzytomnieć.
Zmarszczyłem czoło.
- A co? Co się stało?
- Bo to cię zainteresuje.

– Przed chwilą rozmawiałam ze znajomym z ekipy Bishary – powiedziała ściszym głosem. Najwyraźniej siedziała wciśnięta w jakiś kąt i starała się mówić tak, by nikt jej nie słyszał. – Przekazał mi, że dostali wyniki badań laboratoryjnych tych rzeczy, które znalazłeś w muzeum.

Miała na myśli kamizelkę, zapalniczkę, złoty łańcuszek, zegarek i skrawek skóry. I maskę. Podszedłem do stolika, na którym zostawiłem notatnik.

– I co stwierdzili?

– Zegarek wyprodukowała firma o nazwie Wirrek, ale to już pewnie wiesz. Jej nazwa widnieje na cyferblacie. Słyszałeś o niej?

– Nie, nigdy.

– To dlatego, że wypadli z rynku w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym. Ten konkretny egzemplarz jest antykiem z tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku. Zapalniczka jest jeszcze starsza, prawdopodobnie z tysiąc dziewięćset czterdziestego lub czterdziestego pierwszego. Nazwa producenta z czasem się zatarła, ale mój znajomy mówi, że w laboratorium udało się go zidentyfikować jako amerykańską firmę o nazwie... – przerwała, szukając zapewne zapisanego słowa – ...Purridean. Wygląda na to, że ten model był bardzo popularny w wojsku. Podejrzewają, że zapalniczka należała do jakiegoś amerykańskiego żołnierza, który zostawił ją tutaj po zakończeniu drugiej wojny światowej. Ustalenie dat dla złotego łańcuszka i kamizelki jest znacznie trudniejsze, a jeśli chodzi o ten skrawek skóry... tatuaż jest bardzo stary. Tusz ma wiele lat, skórę pokryto jakimś środkiem konserwującym. Mieszaną substancji chemicznych, które są już nie do dostania, bo w większości są rakotwórcze.

– A co z maską?

– Tu zaczyna się robić dziwnie. W środku jest metka, z której wynika, że maskę wyprodukowała firma o nazwie Barrington Games. Produkowałą zabawki.

– Produkowałą?

– Przestała istnieć w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym ósmym.

– Czyli maska też jest stara.

– Też.

– A co w niej takiego dziwnego?

– Nikt już takich nie robi. Ani z takiego materiału, ani według tego wzoru. Ale ludzie Bishary znaleźli w kuchni Grankina wizytówkę z nazwą firmy Masquerade. To producent strojów balowych i kostiumów z górnej półki, swoją siedzibę ma w pobliżu bazaru Spitalfields. Produkują też maski na zamówienie dla cierpiących na nadmiar pieniędzy. Bishara wysłał do nich jednego ze swoich ludzi, by ten przeprowadził rozmowę z szefową firmy. Poinformowała go, że od dwudziestu jeden lat naprawiają tę maskę dla jednego ze stałych klientów. Wyręczę cię i policzę za ciebie: dwadzieścia jeden lat znaczy, że maska trafiła do nich po raz pierwszy w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim.

W roku zamknięcia moło.

Kiedy Korman i Grankin zaczęli uprawiać na nim swój proceder.

– Zidentyfikowała tego klienta?

– Grankin. Człowiek Bishary pokazał jej fotografię, a ona bez wahania go rozpoznała. Powiedziała, że co parę lat przynosił do nich tę maskę i zostawiał do naprawy, konserwacji i tak dalej. Ogólnie rzecz biorąc, chodziło mu o to, żeby się nie rozpadła ze starości. Gdy ją przyniósł po raz pierwszy, kobieta zauważyła na niej pęknięcie i zaproponowała Grankinowi, że spróbują je naprawić. Ale on kazał jej to zostawić. Powiedział, że chce, żeby zostało tak, jak jest. Zaznaczył, że dzięki temu maska jest jedyna w swoim rodzaju.

Zastanawiałem się przez chwilę. Niewątpliwie maska była dla Grankina czymś ważnym, ale czym? Dlaczego regularnie oddawał ją do naprawy i nie pozwalał ruszać oczywistego uszkodzenia? Dlaczego nie kupił sobie nowej?

– Słuchaj, muszę lecieć – rzuciła Craw.

– Jasne. Dzięki za telefon.

Rozłączyła się, a ja zacząłem intensywnie główkować, wracając myślami do słów Kormana: *Myślę, że przydałaby ci się zmiana perspektywy.*

Wtedy uznałem, że mówi o salonie gier. Że powinienem inaczej na niego spojrzeć. I może rzeczywiście miał to na myśli, a jego słowa doprowadziły mnie – niewykluczone, że całkiem przypadkowo – do torby i maski. Ale mógł też mieć na myśli coś innego. Że molo i muzeum to nie wszystko, że stanowią tylko oprawę. Dla czegoś znacznie gorszego.

Mój telefon znów zabrzączał.

Tym razem dzwonił Healy, który obiecał ponownie przejrzeć rzeczy Carli Stourcroft i sprawdzić zawartość pudła przekazanego przez jej męża.

– Nic tam nie ma – powiedział.

– Nic? Żadnych notatek?

– Widziałeś jej notatki.

Wszystkie były nieczytelne, zapisane jakąś dziwną odmianą stenografii, którą Stourcroft sama wymyśliła, by chronić swoje zapiski. Nie udało mi się ich odczytać.

– Jesteś absolutnie pewny?

– Na sto procent.

– I w pudle nie ma nic więcej?

Westchnął ze złością, po czym znudzonym głosem zaczął wymieniać, co znalazł w pudle.

– Fotografie rodzinne, jedna z mężem, jedna z dziećmi, jedna z mężem i dziećmi. Dyplom Instytutu Technik Przywódczych. Kalendarz biurkowy na rok dwa tysiące dziewięty. Szmatki do wycierania ekranu. Dwa ołówki. Jeden egzemplarz książki jej autorstwa *Na południe od rzeki*, jeden egzemplarz *Od Richmond po Regent. Londyńskie parki od A do Z*, jeden egzemplarz *Niewidzialnego Rozpruwacza...*

– Dobrze, już dobrze, rozumiem.

– Same szpargały.

Puściłem wodze fantazji i spróbowałem spojrzeć szerzej na wszystko, co usłyszałem od Craw i wcześniej od Bishary i Sewinson. I nagle coś sobie uzmysłowiłem. W torbie znalezionej w muzeum było pięć rzeczy.

Pięć różnych przedmiotów.

– Co do tych rzeczy, które wymieniłeś... – zacząłem.

– Co mianowicie?

Przysunąłem bliżej laptopa.

– Raker?

Ale już prawie go nie słyszałem.

Włączyłem wyszukiwarkę internetową, która chwilę później wypłuka relacje o pięciu zabójstwach sprzed lat. Wcześniej nawet o nich nie pomyślałem. Ale przez ten cały czas, kiedy próbowałem ustalić zabójców rodziny Clark, tamtych pięć morderstw towarzyszyło mi w podświadomości, czekając, aż wydobędę je na światło dzienne. Edward Smythe. Gordon Gregory. Eric Bale. William Simpkins. Abel Dimas.

Myszę, że przydałaby ci się zmiana perspektywy.

– Raker?

– Szukaliśmy w niewłaściwej książce Stourcroft.

– Co? – W głosie Healy’ego wyczułem napięcie. – O czym ty mówisz?

Kręciło mi się w głowie jak bokserowi rzuconemu ciosem na liny.

– Wcale nie chodzi o *Kurort w środku miasta* – powiedziałem. – Tu chodzi o *Niewidzialnego Rozpruwacza*.

Odpowiedź była cały czas na wyciągnięcie ręki.

Leżała wprost przed naszymi oczami.

– O czym ty, do cholery, mówisz? – mruknął Healy.

– O tych pięciu rzeczach w torbie. Nie należały do jednej osoby. Należały do pięciu różnych ofiar. – Raz jeszcze zerknąłem na ich nazwiska. – Edward Smythe. Gordon Gregory. Eric Bale. William Simpkins. Abel Dimas. To trofea Eldona Simmonsa.

Tym razem Healy nic już nie powiedział.

– Na kopercie zegarka jest dedykacja. „Naszemu ukochanemu Edwardowi z wyrazami miłości od mamy i taty”. Chodzi o Edwarda Smythe’a, pierwszą ofiarę Eldona Simmonsa. – Spojrzałem na laptopa i przewinałem stronę, przebiegając wzrokiem jej treść. – Gordon Gregory, jego druga ofiara, pochodził z Marylandu i po wojnie został w Wielkiej Brytanii. Jego przyjaciele powiedzieli policji, że kochał swoją zapalniczkę marki Purridean i nigdy się z nią nie rozstawał, ale po jego śmierci przeszukali jego rzeczy i nigdzie jej nie znaleźli. I nic dziwnego, bo zabrał ją Simmons. Trzeciej ofierze, Ericowi Bale’owi, ukradziono złoty krzyżyk, który mężczyzna dostał od ojca. Williama Simpkinsa, czwartą ofiarę, znaleziono z brakującym kawałkiem skóry na prawym ramieniu, na którym miał wytatuowane serce i słowo ŻYCIE. Kamizelka należała do Abela Dimasa, ostatniej ofiary Simmonsa.

– Czekaaj, wezmę do ręki tę książkę – powiedział Healy.

Usłyszałem, jak odkłada telefon i idzie do pudła z rzeczami Stourcroft po egzemplarz *Niewidzialnego Rozpruwacza*. Zacząłem się zastanawiać dlaczego. Dlaczego Korman i Grankin byli tak zafascynowani Eldonem Simmonsem i jego zbrodniami?

– Jak dużo wiesz o tej sprawie? – rzucił Healy, wróciwszy z książką.

– O sprawie Simmons'a? Niewiele. A co?

– Bo jestem niemal pewny, że pisano o nim w... – Przerwał i zdeglustowany, głośno charknął. – Ach, pamięć mam już do dupy, ale prawie na pewno parę lat temu czytałem o nim coś w gazetach. Jakieś relacje o jego aresztowaniu. Dopadli go w latach pięćdziesiątych w jakimś pensjonacie w White City, ale coś było nie tak.

– Z pensjonatem?

– Nie, z jego aresztowaniem.

Przerwał i w słuchawce usłyszałem szelest przekładanych kartek. Czekać na wynik jego poszukiwań, ściągnąłem z internetu opis sprawy Rozpruwacza. Po pięciu morderstwach dokonanych od sierpnia 1951 roku do maja 1952 Simmons'a namierzono w podrzędnym pensjonacie w zachodnim Londynie. Jeden z jego sąsiadów zawiadomił policję, że Simmons sprowadza do domu wielu mężczyzn, z których jeden wyszedł od niego cały zakrwawiony. Policja znalazła u niego nóż ukryty w stercie pościeli w bielizniarce, a na nim ślady krwi dwóch jego ofiar. Simmons'a aresztowano, oskarżono o morderstwo i sąd skazał go na karę śmierci. Został powieszony w więzieniu Holloway w marcu 1953 roku.

– Wygląda na to, że aresztowanie przebiegło całkiem gładko – odezwałem się.

– Czekaj. Próbuję znaleźć ten fragment.

Zabrzączał dzwonek do drzwi.

Oderwałem wzrok od laptopa i spojrzałem w głąb przedpokoju. Z miejsca, w którym siedziałem, widać było go w całości i majaczącą na ganku nieruchomą postać, której sylwetkę zniekształcała ornamentowa szyba w drzwiach.

– Za chwilę do ciebie oddzwonię – rzuciłem do słuchawki.

– A co?

– Ktoś przyszedł.

– Udaj, że cię nie ma.

Właściwie miał rację. Byliśmy o krok od rozwiązania zagadki. Popatrzyłem na postać za drzwiami. Drobna, szczupła i nieruchoma. Chyba kobieta.

– Dobra, już to mam – powiedział Healy.

– I co tam jest napisane?

Słyszałem, jak mamrocze pod nosem, przebiegając wzrokiem opis aresztowania Simmons'a.

– Nie, to nie to – burknął.

– Jak to?

– Piszą tylko o tym, o czym powszechnie wiadomo. Że znaleziono nóż w jego pokoju, że został aresztowany, skazany i stracony. Nie, chodziło o coś innego. Co to było?

– Może coś, co widziałeś w telewizji?

– Może.

– Albo w gazecie? Albo w sieci? Gdzie jeszcze?

– Nie pamiętam.

– Myśl, Healy.

– Myślę.

Dzwonek przy drzwiach zadzwonił po raz trzeci i czwarty. Spojrzałem tam ponownie i stwierdziłem, że kobieta stojąca za nimi zaczyna dodatkowo pukać w szybę.

– Jego siostra – rzucił Healy.

Odwróciłem gwałtownie głowę.

– Co?

– Już wiem. Przypominam sobie. Myliłem się. To się wydarzyło znacznie dawniej niż parę lat temu. Chyba gdzieś w połowie lat osiemdziesiątych. Jego siostra przed swoją śmiercią starała się oczyścić go z zarzutów. O ile pamiętam, Simmons miał bardzo niskie IQ i siostra twierdziła, że gliniarze to wykorzystali i wymusili na nim przyznanie się do winy. Upierała się, że nóż mu podrzucono, a policja i sąd poszły na łatwiznę i nawet nie próbowały szukać kogoś innego, bo Simmons był homoseksualistą. A w roku pięćdziesiątym drugim bycie gejem traktowano jak przestępstwo. To jego siostra wymyśliła ten przydomek Niewidzialny Rozpruwacz.

To mi nasunęło nową myśl.

– Czy w książce jest indeks? – spytałem.

– Co?

– Indeks. Na końcu książki.

– Mhm... – usłyszałem szelest kartek. – Tak, jest. A co?

– Są w nim wymienieni Neil lub Ana Yost?

– Dlaczego mieliby być wymienieni?

– Po prostu sprawdź.

Znów szelest papieru.

– Nie, nie ma.

– A są na końcu podziękowania?

– Do czego zmierzasz?

– Są podziękowania?

– Tak, są. No i co?

– Jest w nich wymienione któreś z Yostów?

Dłuższa przerwa.

– O cholera! Jest!

– Co tam jest napisane?

– „Chciałabym podziękować rodzinie Eldona Simmonsa za udzieloną mi pomoc podczas pisania tej książki i za udostępnienie rodzinnego archiwum. Próby przywrócenia mu dobrego imienia podjęte przez siostrę Moirę Silke i jej córkę Anę Yost budzą szczery podziw”.

– Ana Yost była siostrzenicą Eldona Simmonsa – powiedziałem.

Zapadła cisza, potrzebna nam do oswojenia się z tym niespodziewanym zwrotem akcji. Wykorzystałem ją na wyjście ze stron poświęconych zbrodniom i wpisanie do wyszukiwarki nazwiska Moiry Silke, siostry Simmonsa i matki Any Yost. Zmarła w 1986 roku na niewydolność wątroby, a walkę o oczyszczenie wuja z zarzutów przejęła po niej córka Ana.

– Musiała coś mieć.

– Kto?

– Yost. Musiała się natknąć na jakąś nową informację, która mogła doprowadzić do oczyszczenia Simmonsa. Dlatego ją załatwili.

– Kto? Korman i Grankin?

– Mhm.

– Ale jeśli nawet coś znalazła, to czemu mieliby się tym przejmować?

– Może znalazła coś, co wskazywało na nich lub ich działalność. – Zacząłem wystukiwać rytm na obudowie laptopa, ponownie wysilając mózg. – A co

Stourcroft pisze o tym sąsiedzie?

– O sąsiedzie Eldona Simmons'a?

– Tak, tym, który zadzwonił na policję.

– Zaczekaj chwilę.

Dzwonek do drzwi odezwał się kolejny raz.

Próbowałem go ignorować i skupić uwagę na ekranie laptopa, ale miałem trudności z koncentracją. Uniosłem głowę i dostrzegłem, że kobieta za drzwiami wciąż tkwi nieruchomo.

– Nie podał nazwiska – powiedział Healy.

– Co?

– Ten sąsiad. Policja sprawdziła, że facet dzwonił z budki telefonicznej stojącej na tej samej ulicy, przy której mieszkał Simmons, ale nie udało się go zidentyfikować.

– Przesłuchali jego pozostałych sąsiadów?

– Tak, ale był tam pensjonat. Co chwilę ktoś się pojawiał i znikał. – Healy zamilkł nagle i zaczął mamrotać pod nosem, jakby coś czytał. – Zaraz, zaraz, moment. Jest tu napisane, że „jakaś kobieta, jeden ze świadków, oświadczyła policji, że być może widziała tego sąsiada w trakcie dzwonięcia”.

– Podała jego rysopis?

– Nie. Była za daleko. Zauważyła tylko, że miał „bladą i gładką twarz”.

– Gładką?

– Cokolwiek to znaczy.

Zamyśliłem się, próbując wszystko do siebie dopasować, ale to określenie uparcie do mnie wracało. Gładka, pozbawiona wyrazu, zwyczajna. Jak twarz Grankina w masce tego wieczoru, gdy czekał na Kormana pod Searle House.

– Ten sąsiad miał na twarzy maskę! Tę samą, której używał Grankin!

– Co takiego?

Dzwonek.

Jeszcze raz. I jeszcze raz.

– Za chwilę do ciebie zadzwonię – rzuciłem, czując narastającą we mnie złość.

Przerwałem połączenie, położyłem telefon obok laptopa i ruszyłem do drzwi. W połowie przedpokoju dostrzegłem, że kobieta za drzwiami się

poruszyła, najwyraźniej widząc, że idę.

Szarpnąłem klamkę i otworzyłem drzwi.

– Co jest?! – warknąłem.

Myliłem się. Przede mną stał mężczyzna. Drobny, w kurtce z podniesionym kapturem, którego brzegi opadały na twarz i w dużej mierze ją zasłaniały.

Zaskoczony cofnąłem się i oparłem ręką o ścianę. Jednocześnie stojący przede mną mężczyzna zrobił krok do przodu i z fałd kurtki wyłonił się pistolet.

Poczułem się tak, jakby ziemia zakołysała mi się pod nogami.

To dlatego policja nigdy nie odnalazła sąsiada Eldona Simmonsa, który do nich zadzwonił. To dlatego rodzina Simmonsa wierzyła, że Eldon jest niewinny. To dlatego Ana Yost zniknęła bez śladu, Carla Stourcroft została zabita, a Gail Clark zamordowano w jej własnym mieszkaniu. Bo niezależnie od siebie i w różnych momentach wszystkie zaczęły docierać do prawdy.

Niewidzialny Rozpruwacz nie został stracony w 1953 roku.

Molo i muzeum stały się jego kryjówkami.

– Witaj, Davidzie – powiedział Joseph Cabot.

– Wyglądasz na zdziwionego – dodał cicho.

Mówił z silnym akcentem ze wschodniego Londynu, jego głos brzmiał chrapliwie. Rozejrzał się po ulicy swymi zamglonymi oczami i widać było, że choć nie jest zupełnie ślepy, rzeczywiście ma poważnie uszkodzony wzrok. Zupełna ślepotą była tylko sprytnym i podstępny kamuflażem. Bo jak można podejrzewać o cokolwiek niewidomego osiemdziesięcioletniego starca? Jakby czytał w moich myślach, bo wycelował we mnie pistolet i powiedział:

– Zamierzasz trzymać starego ślepcę na zimnie?

Cofnąłem się do środka.

Raz jeszcze popatrzył na boki i wszedł za mną. Poruszał się pewnie i swobodnie, udowadniając, że w Świecie Cudów nie tylko automaty były na pokaz. Wprawdzie był naprawdę stary, wychudzony i miał mnóstwo plam wątrobowych, ale nie wyglądał krucho i niezdarnie. Przetarł zażawione oko, zatrzasnął za sobą drzwi i pchnął mnie w stronę pokoju. Sam podążył za mną i mrużąc oczy, omiótł wzrokiem fotografie w ramkach oraz leżącego na stoliku laptopa, na którego ekranie wciąż widniała podobizna Eldona Simmonsa.

Stałem na środku pokoju, próbując poukładać sobie wszystko w głowie. Craw powiedziała mi, że Joseph Cabot nie żyje, ale czy na pewno tak powiedziała? Usiadł na kanapie i wskazał mi miejsce na fotelu naprzeciwko siebie, a ja usiłowałem przypomnieć sobie jej słowa. *Weszli do środka i znaleźli go na podłodze w kuchni z poderżniętym gardłem. Także jego ojca. Wygląda na to, że ktoś robi porządki.*

Nie powiedziała że Joseph Cabot nie żyje, poderżnięcie gardła odnosiło się tylko do jego syna, a mnie nie przyszło do głowy, żeby wypytywać. Ale przecież Healy i ja dopiero co ledwo uszliśmy z życiem, ewakuując się wplaw

z płonącego molo. Do tego uciekałem z miejsca przestępstwa, w bagażniku samochodu leżał trup. Od dwudziestu czterech godzin nie miałem chwili wytchnienia, a od miesiąca nie przespałem ani jednej całej nocy. Nie mogłem też pozbyć się wrażenia, że toczy mnie jakieś choróbsko, które drąży mnie od środka niczym tasiemiec. Po prostu przyjąłem, że obaj nie żyją, bo Korman pozbywał się każdego, kto mógłby jego i Grankina powiązać z muzeum i molo. Nie przyszło mi do głowy, że zabił Gary'ego Cabota, ale jego ojca tylko ranił.

I że może nie był to przypadek.

Bo wszystko było ukartowane.

– Pozwoliłeś Kormanowi zabić syna – powiedziałem.

Westchnął i ułożył rękę na bocznym oparciu kanapy. Rękaw kurtki nieco przy tym podjechał do góry i wyjrzała obandażowana ręka. Czyli naprawdę został przez Kormana zraniony. Dobrze to wykombinowali. Rana na zewnętrznej stronie przedramienia Cabota wskazywała na próbę obrony przed atakiem i łatwo było dorobić do tego odpowiednią opowieść.

Wskazał ręką laptopa.

– To Eldon Simmons?

Spojrzałem na ekran, na którym widać było przeglądane wcześniej materiały, a on wychylił się do przodu i wymierzył pistolet w mój brzuch.

– Dopiero wczoraj wyszedłem ze szpitala – wyjaśnił. – Więc wcześniej nie mogłem w pełni docenić twojej zawziętości. Ale cieszy mnie to, bo nawet nie wiesz, od jak dawna czekam, aby z kimś o tym porozmawiać. O wszystkim, co udało mi się zrobić. I cieszy mnie, że musisz usiąść i wysłuchać mnie, zanim skończę. Naprawdę się cieszę.

– Zanim skończysz?

Nie odpowiedział i już miałem powtórzyć pytanie, gdy mój leżący obok telefon nagle ożył. Dzwonił Healy.

Cabot uniósł pistolet.

– Zostaw to – mruknął.

Telefon jeszcze przez chwilę dzwonił, po czym umilkł.

– Co miałeś na myśli, mówiąc, że skończysz?

– Wspomniałeś, że pozwoliłem zabić swojego syna – powiedział, jakby nie słysząc mojego pytania. – No więc może cię zainteresuje, że Gary nie był moim

synem. Miał dwa lata, gdy się ożeniłem z jego matką, i piętnaście, kiedy zginęła w wypadku samochodowym. – Poprawił się na kanapie, jego wolna ręka opadła na lewe kolano i na moment jakby się zadumał. – Z początku nie zamierzałem być ojcem. Nigdy też nie zamierzałem się żenić. Z powodów, których chyba nie muszę ci tłumaczyć.

Pokazał głową laptopa.

– Kobiety to nie był mój świat.

– Ale z matką Gary’ego wzięłeś ślub.

– Bo małżeństwo to wygodna przykrywka – powiedział, nie odrywając wzroku od laptopa. – Widzę, że czytałeś o sądzie. Co oni tam o mnie napisali? Że miałem „gładką twarz”? – Lekko się uśmiechnął. – Zawsze lubiłem nosić tę maskę. Lubiałem jej dotyk. I lubiłem poczucie anonimowości. Bo anonimowość daje poczucie siły. Victor też ją bardzo polubił. To był prosty chłopak i sądzę, że dzięki niej czuł się ważniejszy i myślał, że choć trochę mnie przypomina. Może chciał mi się w ten sposób przypodobać. Za to Benjamin czy Paul, czy jak tam chcesz go nazywać, nie był zachwycony tym pomysłem. Wszyscy mamy swoje dziwactwa. Do czegoś się przyzwyczajamy, coś lubimy robić po swojemu. Jak to mówią, życie to skomplikowana układanka. – Wzruszył ramionami. – Więc teraz rozumiesz, dlaczego Ben musiał ją odzyskać.

– Bo są na niej ślady twojego DNA.

– No właśnie. – Ponownie wskazał głową laptopa. – Tego tam nie piszą, ale gdy zmarła siostra Simmonsa i sprawy po niej przejęła córka, Ana, sytuacja trochę się skomplikowała. Ana była niesłychanie zawzięta, miała obsesję na punkcie oczyszczenia swojego wuja z zarzutów i jakimś cudem odnalazła tę kobietę, która zeznała, że widziała „sąsiada” dzwoniącego z budki telefonicznej. Pamiętała nawet, że się kręciłem koło domu Simmonsa parę godzin przed jego aresztowaniem. Tyle że wtedy ta kobieta była jeszcze małą dziewczynką, niespełna dziesięcioletnią, więc policja nie przykładła wielkiej wagi do jej zeznań. I całe szczęście.

– Może dla ciebie, ale nie dla Eldona Simmonsa.

– To prawda. Mała zeznała też, że sąsiad miał „coś nie w porządku z nogą”, co policja w swoim raporcie opisała jako „rodzaj tiku nerwowego”. Z grubsza

mówiąc, miał nawyk masowania lewego kolana.

Spojrzałem na jego rękę spoczywającą na kolanie prawie od początku rozmowy i od razu z czymś mi się to skojarzyło. Podczas naszego spotkania w Świecie Cudów Cabot robił dokładnie to samo. Przypomniało mi to o zachowaniu Healy'ego w tygodniach i miesiącach poprzedzających atak serca, kiedy jego dłonie i palce machinalnie wędrowały ku najbardziej czułem punktowemu organizmu.

Cabot objął kciukiem i palcem wskazującym swój staw kolanowy i zaczął go masować.

– Trafiłem do Francji w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym, zaraz po lądowaniu w Normandii. Miałem wtedy osiemnaście lat. Następnego dnia zostałem postrzelony przez niemieckiego snajpera w udo. – Dotknął nogi tuż powyżej kolana, po zewnętrznej stronie uda. – Czterdzieści osiem godzin na polu walki i całe życie w bólu. Czy to sprawiedliwe?

– Sprawiedliwsze byłoby, gdyby cię wtedy zastrzelili.

Twarz rozjaśnił mu blady uśmiezek, ale zaraz zniknął.

– Po zajęciu się Aną i jej mężem w tamtą noc w dwa tysiące siódmym pojechaliśmy do nich do domu i usunęliśmy wszystkie dowody uzyskane przez nią od tej kobiety. Zrobiliśmy to, zanim zdążyła przekazać je Stourcroft. To znaczy nawet zanim Stourcroft zaczęła zbierać materiały do *Niewidzialnego Rozpruwacza*, choć obie już wcześniej rozmawiały o pomysłach napisania tej książki. Znaleźliśmy całą korespondencję mailową między Aną i Stourcroft, z której to jednoznacznie wynikało.

– I nikt niczego się nie domyślał?

– A czego mieli się domyślać?

– Prawdziwych przyczyn zniknięcia Any Yost. Nikt nie popatrzył w twoją stronę?

– David, czy wiesz, czym Ana zajmowała się zawodowo? – parsknął.

– Organizowała kampanie.

– Dla agencji reklamowej i piarowskiej, której klientami byli rosyjscy oligarchowie, kliniki aborcyjne, wielcy obrońcy praw człowieka z Kazachstanu i rząd Izraela. Gdzie na liście potencjalnych podejrzanych policja mogła według ciebie dopisać kogoś, kto we wczesnych latach

pięćdziesiątych być może popełnił pięć morderstw, do których jednak ktoś inny już się przyznał i za które został powieszony, kto po sześćdziesięciu latach wypełza spod ziemi, by uciszyć kobietę niedysponującą żadnymi nowymi dowodami? – Uśmiechnął się ironicznie. – Ale i tak trzeba było widzieć minę Any, kiedy się jej przedstawiłem.

Słuchałem go z rosnącą odrazą.

Zanim zdążyłem zapytać, dlaczego w taki właśnie sposób zabili Yostów, sam zaczął mówić:

– Trochę nam się też poszczęściło. W okresie między pierwszą rozmową Any ze Stourcroft w dwa tysiące szóstym, w trakcie której uzgodniły, że powstanie książka o Niewidzialnym Rozpruwaczu, a przystąpieniem przez Stourcroft do pracy i rozpoczęciem zbierania przez nią materiałów w dwa tysiące ósmym kobieta, która mnie widziała w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim przed domem Simmonsa i dostrzegła maskę na twarzy oraz mój „tik nerwowy”, miała wylew. Straciła mowę i nie było widoków na poprawę jej stanu. Uznaliśmy wtedy, że mamy problem z głowy.

– Ale tak się nie stało.

– Nie. Wprawdzie udało nam się zniszczyć papiery, zanim Ana zdążyła je przekazać Stourcroft, jak się jednak później okazało, wspomniała jej o sądzie Simmonsa, który miał „coś nie w porządku z nogą”. Zrobiła to tylko jeden raz, ale Stourcroft ten jeden raz wystarczył.

Chwilę potrwało, zanim się w tym wszystkim połapałem. W 2008 roku, kilkanaście miesięcy przed wydaniem *Niewidzialnego Rozpruwacza*, rozmawiała z innym świadkiem, który pamiętał czasy Eldona Simmonsa, Winstonem Cowdreyem. Spotkali się w jego mieszkaniu w Wapping, gdzie opowiedział jej, jak to było mieszkać w tym samym domu co Simmons. Wspomniał wtedy również o kimś, kogo widział na molo i kto miał na twarzy maskę.

Na Stourcroft musiało to zrobić piorunujące wrażenie. Rok wcześniej Ana Yost zniknęła z balu w towarzystwie mężczyzny w masce, a teraz okazywało się, że widziano kogoś w masce na molo w Wapping. Oczywiście nie była w stanie wszystkiego powiązać, ale zmobilizowało ją to do skrupulatniejszego przyjrzenia się molo, o którym już tak dużo wiedziała dzięki pracy nad

Kurortem w środku miasta. I dlatego w 2010 roku, już po napisaniu *Niewidzialnego Rozpruwacza*, zwróciła się z pytaniami do Calvina Easta, próbując ustalić, jaką rolę w zniknięciu Any Yost odegrał człowiek w masce, i wyciągnąć od niego więcej o tajemnicach moło.

Coś jeszcze wskoczyło na swoje miejsce w tej układance.

– Ona cię widziała – powiedziałem. – Gdy Stourcroft przyjechała do muzeum na drugie spotkanie z Eastem, w dwa tysiące dziesiątym, natknęła się na ciebie.

– Tak było. Siedziałem w gabinecie Gary’ego i czekałem na odwiezienie do domu. W pewnej chwili uniosłem głowę i zobaczyłem, że stoi i mi się przygląda. Dopiero potem sobie uświadomiłem dlaczego. Znów masowałem kolano.

To był ten kluczowy moment, kiedy Stourcroft zaczęła wszystko łączyć w jedną całość.

To co usłyszała od Any Yost. To co widział Cowdrey. Było za późno, by to wszystko trafiło do *Niewidzialnego Rozpruwacza*, nawet gdyby już wiedziała, o co chodzi. Ale w Cabocie dojrzała cień historii, coś jej się skojarzyło.

I to ją zabiło, a także zabiło Gail, bo Stourcroft podzieliła się z nią swoją wiedzą w trakcie wywiadu, jaki Gail z nią przeprowadziła. Stourcroft podejrzewała, że jest śledzona i że jej książka stanowi dla kogoś zagrożenie, ostrzegła więc Gail, by zachowała ostrożność, sama jednak nie zgłosiła tego policji. Może dlatego, że nie miała wystarczających dowodów, a może dlatego, że Cabot był ślepy starcem. I choć była bardzo przejęta myślą, kim naprawdę może być, nie uważała go za niebezpiecznego. Wiedziała natomiast, że jeśli ma opowiedzieć światu jego historię i zrobić to jak należy, potrzebuje więcej czasu. Że musi najpierw uporządkować swoją wiedzę i tak przedstawić fakty, by nikt nie miał wątpliwości. Dlatego zajęła się zbieraniem materiałów i dopasowywaniem ich do całej układanki, jednocześnie normalnie funkcjonując, zarabiając na życie, zajmując się rodziną, uczestnicząc w życiu towarzyskim i wyjeżdżając na wakacje. Ani przez chwilę nie podejrzewała, że tamci mogą być tak blisko. Nie przyszło jej do głowy, że ma przed sobą już tylko tygodnie, a nie lata. Korman, Grankin i Cabot czekali na dogodny moment, by przypuścić atak. Gdy w lipcu 2010 roku wyjechała na

urlop do Australii, od razu zajęli się Gail i dziewczynkami. A gdy wróciła, dopadli ją w halach.

I wszystkiemu winien był siedzący przede mną człowiek, który nie chciał, by świat dowiedział się, kim naprawdę jest: mordercą sprzed sześćdziesięciu lat i wciąż mordercą.

– Czego ode mnie chcesz? – spytałem.

– Czy to nie jest oczywiste? – Zerknął znacząco na pistolet.

– Zamierzasz mnie zastrzelić?

– Widzę cię wystarczająco wyraźnie, nawet przy moim stanie wzroku. Mógłbym cię już zastrzelić, gdybym chciał. Ale nie chcę i wkrótce dowiesz się dlaczego. – Dziwna odpowiedź, która przypomniała mi jego równie dziwne słowa sprzed chwili. *...musisz usiąść i mnie wysłuchać, zanim skończę.* – Imperium znacznie szybciej się burzy, niż buduje, Davidzie – ciągnął. – Jakie to uczucie burzyć imperium? Ty właśnie niszczysz dorobek sześćdziesięciu trzech lat.

– Nazywasz to dorobkiem?

– W pewnym sensie.

– To morderstwa. Okrucieństwo w czystej postaci.

– Zależy od punktu widzenia – powiedział głosem niewiele głośniejszym od szeptu, a ja przypominałem sobie ostatnie chwile życia Kormana i słowa, jakie wypowiadał tuż przed samobójstwem. – Myślę, że parę klocków w twojej głowie wskoczyło teraz na swoje miejsce, co?

Przyglądałem mu się, udając obojętność.

Miał jednak rację. Wreszcie zrozumiałem, po co Grankin i Korman nagrali śmierć Gail Clark, Any i Neala Yostów oraz pozostałych o nieustalonej jeszcze tożsamości. Żeby mieć dowód i zaprezentować nagrania Cabotowi, który mógł się delectować ostatnimi tchnieniami ofiar, nawet jeśli sam przy tym nie był.

No i jeszcze ta mapa.

Być może dla Kormana i Grankina było to coś w rodzaju świątyni. Może torba i jej zawartość służyły za ołtarz im i Cabotowi, ale dla niego mapa miała także praktyczne znaczenie. Przy jego słabym wzroku świecące na różowo przedmioty pozwalały Niewidzialnemu Rozpruwaczowi orientować się w labiryncie automatów do gry i bez trudu trafiać do swoich trofeów.

– Sześćdziesiąt lat to długo jak na utrzymywanie czegoś w tajemnicy – odezwał się, wymachując pistoletem. – Jak już mówiłem, czasem jednak człowieka nuży milczenie.

Patrzyłem na niego z nieukrywaną odrazą.

– Czy ty w ogóle masz świadomość, co zrobiłeś?

– O, tak – odparł bez wahania. Przyglądał mi się, po czym dodał: – Powinieneś wiedzieć, że zacząłem spotykać się z matką Gary’ego w tym samym roku, kiedy aresztowali Simmonsa, i że nasz ślub odbył się w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym czwartym, rok po jego egzekucji. Chcę, żebyś to wszystko wiedział. To ważne.

– Dlaczego?

– Wtedy już wiedziałem, że nic mi nie grozi – ciągnął, ignorując pytanie – ale wolałem nie ryzykować. W tamtych czasach nawet cień podejrzenia o bycie gejem prowadził do polowania na czarownice. Dlatego wrobiłem Simmonsa. Byłem bardzo blisko z moją piątą ofiarą, Abelem Dimasem. Był pięknym Hiszpanem, którego poznałem w barze na długo przed tym, jak zacząłem zabijać. Bardzo mi na nim zależało i wciąż o nim myślałem. Nie chciałem tego schrzanić. Wszystko skrupulatnie zaplanowałem i gdy w końcu odwiozłem go do hotelu i zostaliśmy sami, chciałem, żeby to trwało i trwało. – Przerwał. Trudno było z jego oczu wyczytać emocje, bo źrenice miał zamglone i nie wiadomo było, na co patrzy. – Ale on okazał się strasznym histerykiem. Krzyczał i krzyczał, nawet przez knebel na ustach, więc kiedy z nim skończyłem i wyszedłem, wpadłem w panikę. Mimo że miałem na twarzy maskę, pomyślałem, że mogą mnie złapać i muszę zacząć na nowo. I że muszę być w tym lepszy. Wtedy postanowiłem się ukryć.

A do kamuflażu posłużył mu Simmons.

Podobnie jak małżeństwo. A także Gary Cabot.

– Zacząłem dniami pracować jako mechanik samochodowy – mówił dalej – a nocami wychodziłem i robiłem swoje, podczas gdy Gary i jego matka zostawali w domu. Wytłumaczyłem jej, że mam dodatkowe, nocne zmiany. Gdy w końcu otworzyłem własny warsztat, zrobiło się łatwiej. Po sąsiedzku obok warsztatu była składnica złomu z takim wielkim piecem i wtedy po raz

pierwszy pomyślałem o paleniu jako sposobie pozbywania się ciała. Spalasz je i zostaje tylko popiół.

Opowiadał o tym wszystkim przeraźliwie obojętnym tonem.

– Ilu ich było? – spytałem.

– Jakich ich?

– Ilu zabiłeś?

Wzruszył ramionami.

– Nawet nie pamiętasz?

– Nie. Po jakimś czasie traci się rachubę.

Dla niego było to obojętne relacjonowanie zdarzeń. Równie dobrze mógłby czytać na głos restauracyjne menu.

– Wiesz, ile popiołu zostaje po skremowaniu przeciętnego trupa płci męskiej? – zapytał. – Trzy kilogramy, plus minus. Po całej krwi i wszystkich kościach zostaje tylko garstka pyłu. – Zwinął dłoń wolnej ręki. – Do lat osiemdziesiątych, kiedy zaczęły się badania DNA i musieliśmy zachowywać większą ostrożność, nie było lepszego sposobu na pozbycie się kogoś bez śladu.

– My, czyli ty, Korman i Grankin, tak?

Spuścił głowę i wlepił swoje zamglone spojrzenie w pistolet.

– Jak mógłbym dopuścić do zabicia własnego syna? – powiedział, ale nie było to pytanie, tylko nawiązanie do tego, co wcześniej mówiłem. – W tym rzecz. Tak naprawdę nie uważałem Gary’ego za swojego syna, jedynie za kogoś, z kim przyszło mi dzielić życie. Kogoś, kto pomagał mi kryć się przed wścibstwem ludzi. To nie znaczy, że był mi całkiem obojętny. Czasem starałem się patrzeć na niego oczami ojca, zwłaszcza po śmierci jego matki. Próbowałem na niego wpływać, kształtować po swojemu. Ale miał już wtedy piętnaście lat i był za sprytny i za dojrzały. Czasami coś do niego mówiłem, ponosiło mnie, a on na mnie spoglądał takim wzrokiem, jakby wszystko o mnie wiedział i wszystko odczytywał w mojej twarzy. Wtedy zrozumiałem, że muszę zmienić sposób działania.

Zmarszczyłem czoło, nie bardzo wiedząc, do czego zmierza.

A potem nagle mnie olśniło i znalazłem się w ciemnym, opuszczonym korytarzu Domu Dziecka Świętego Dawida, pośród licznych napisów

kierujących do poszczególnych części budynku. *Recepcja. Administracja. Skrzydło północne.*

Blok JJC.

– Blok Josepha J. Cabota – powiedziałem na głos.

Nie opuszczając pistoletu, zaczął rozpinąć kurtkę.

– Brawo. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym miałem już cztery stacje obsługi pojazdów i zarabiałem kupę forsy. Byłem liczącym się członkiem lokalnej społeczności, któremu się powiodło. Ale robiłem się coraz starszy i czułem, jak mi trzeszcza kości. Wszystko robiłem znacznie wolniej, wzrok mi się pogarszał i zaczynałem się zastanawiać, co ze sobą zrobię, jak będę za stary.

– Za stary, żeby mordować, tak?

Pominał milczeniem moją zjadliwą uwagę.

– Gary miał dwadzieścia osiem lat i przejmował już powoli kierowanie firmą. Planował otwarcie następnych warsztatów i był pełną gębą biznesmenem. Zarabiał więcej pieniędzy, niż mi było trzeba, ale nie mógł mi dać tego, czego naprawdę potrzebowałem. Był w tym podobny do swojej matki: sztywny, zapięty na ostatni guzik i taki nudny. Patrzyłem na niego, gdy był dwudziestolatkiem i nie widziałem w nim nic z siebie. Po prostu nie odcisnąłem na nim żadnego piętna. Świadomie jednak trzymałem na wodzy swoje...

Zamilkł, jakby szukał odpowiedniego słowa.

Ekscesy, brutalne czyny, zdeprawowanie, podrzuciłem mu w myślach.

– Wszystko przed nim ukrywałem. Był moim parawanem, za którym się kryłem. Był moją tarczą. I momentami go za to nienawidziłem.

Zaczął jakby lekko odpływać i lufa jego pistoletu opadła na bok, ale już po chwili się ocknął i znów byliśmy w moim pokoju, a on znów przewiercał mnie wzrokiem.

– I wtedy przyszła mi z pomocą filantropia.

– Zainwestowałeś forszę w dom dziecka.

– Właśnie. Wpakowałem w niego pieniądze i zacząłem bywać na kolacjach. A im więcej pakowałem w to forsy, tym chętniej mnie zapraszali. Zacząłem się przyglądać tamtejszym dzieciakom, uczestniczyłem w przyjęciach

ogrodowych i letnich grillach, ale wszyscy byli strasznie nudni, strasznie do siebie podobni, tak samo bezbarwni. Wszyscy z wyjątkiem jednego. Jeden z nich od razu zwrócił moją uwagę. W osiemdziesiątym drugim miał dopiero jedenaście lat, ale już wtedy było widać, co z niego wyrośnie. Już wtedy to, czego nie odnajdywałem w Garym, dostrzegałem w tym chłopcu.

– I to był Korman.

– Tak – powiedział ze smutkiem w głosie. – Dzięki niemu dowiedziałem się, że jednak chcę być ojcem. Nauczył mnie ojcostwa, radości opiekowania się kimś, a ja nauczyłem go, jak sobie radzić, jak wszystko kontrolować i jak zabijać. I nie przestawać tego robić.

Cabotowi rzeziło w piersiach przy oddechu.

– Korman to było panieńskie nazwisko jego matki – wyjaśnił. – Naprawdę nazywał się Benjamin Paul Gray. Z biegiem lat nasze stosunki się zacieśniały. Zaproponowałem dyrekcji domu dziecka, że przy nim pomogę. Zabiorę go do siebie i spróbuję wychować. Bo był krnąbrnym dzieciakiem i nie mogli dać sobie z nim rady. Lubił znikać i wychowawcy nie potrafili go znaleźć, a potem nagle zjawiał się bez słowa wyjaśnienia.

Przerwał, a ja przypomniałem sobie słowa Easta o Kormanie. *Zdarzało się, że znikał na całe dni, czasami tygodnie, a potem nagle się zjawiał i znów tylko się gapił. Nawet się o tym nie wiedziało, dopóki nie wylazł z cienia.*

– Jesteś ciekaw, gdzie wtedy był? – spytał Cabot.

– U ciebie.

– Tak. Chodziliśmy razem w różne miejsca. – Dłuższa pauza. – Poznawaliśmy różne rzeczy.

Odniosłem wrażenie, że w pokoju nagle zrobiło się zimniej. Jego ostatnie trzy słowa zabrzmiały złowieszczo, w głosie dało się słyszeć ponad sześćdziesiąt lat okrucieństwa i rozlewu krwi.

– A Grankin?

– Victor nie był tak utalentowany. Ale miał w sobie zapał i umiejętność koncentracji, a ponieważ bardzo mu zależało, był podatny na nauki i dawał sobą kierować. Uznałem, że może się przydać.

Wyobraziłem sobie ten układ. Korman i Grankin opuścili dom dziecka w 1984 roku – Korman miał wtedy zaledwie czternaście lat, Grankin siedemnaście – i już nigdy tam nie wrócili. Teraz wiedziałem dlaczego. Zabrał ich Cabot, ukrył przed światem i zaczął wychowywać po swojemu. Ciągnęło

się to przez następne dziewięć lat, podczas których Cabot regularnie podupadał na zdrowiu. W roku 1993 miał sześćdziesiąt siedem lat.

– Dlaczego molo? – spytałem.

– Chodziliśmy tam, gdy Gary był dzieckiem. Był zachwycony. Automaty go fascynowały. W tamtym czasie mieszkaliśmy w Whitechapel, więc bywaliśmy tam prawie co weekend. Potem, kiedy w dziewięćdziesiątym trzecim je zamknęli, przez długi czas nic się nie działo. Nikt się nie chciał zająć tą wielką, brzydką i pustą rudera. Pamiętam, jak parę miesięcy po zamknięciu Gary powiedział: „Gdyby to nie było takie drogie, to bardzo chciałbym to kupić i wyremontować”. Jako jedyna chyba osoba na świecie był gotów to zrobić. Nawet Goldmanowi nie udało się w pełni tego uruchomić i poniósł porażkę. Wydawało się, że tak już zostanie, że będzie tam stało nieużywane, aż się zawali.

– Używane, ale nie przez ciebie.

– Nie. Dla nas stanowiło wymarzoną kryjówkę.

Patrzyłem, jak toczy wzrokiem po pokoju. Jego gałki oczne poruszały się sprawnie, niewiele jednak widział.

– Ben też miał emocjonalny stosunek do tych automatów, ale z innych powodów niż Gary – dodał cicho. – Gary’emu przypominały dzieciństwo. Były dla niego szansą na odtworzenie tamtych wrażeń i zainwestowanie w coś ciekawego. Benowi kojarzyły się z upadkiem i ruiną, stanowiły jakby odzwierciedlenie jego samego i jego gustów. A to, co tam ukrywaliśmy, wiązało się dla niego z elegancją i sztuką.

Jego oczy nagle rozblęły.

– Stan mojego wzroku gwałtownie się pogorszał i w dziewięćdziesiątym trzecim prawie oślepnęłam – ciągnął, widząc, że mu się przyglądam. – Widziałem tylko kontury, tak jak teraz ciebie, ale wszystkie detale obrazu zniknęły. Choć zbliżałem się do siedemdziesiątki, wciąż mnie to jednak rajcowało. Wszystko, czego uczyłem Bena przez te lata od zabrania go z domu dziecka w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym, zmierzało ku temu. Cała technika. Cała strategia. Obserwował mnie i uczył się, ale wiedziałem, że przyszedł czas, że muszę wypuścić go spod opiekuńczych skrzydeł. Czułem, że moja obecność na molo z nim i Victorem może im przeszkadzać. Wierz mi, że

chciałem im towarzyszyć, patrzeć na nasz nowy dom i ich w nim, zdawałem sobie jednak sprawę, że muszą nie tylko sprowadzić kogoś na molo, ale też pozbyć się go potem. Moja obecność bardzo by ich deprymowała.

– Czemu sprowadzili na molo Yostów, a Gail i Stourcroft już nie?

– Tego wymagały okoliczności. – Wzruszył obojętnie ramionami. – Gdy tylko Victor wyprowadził ich z balu, musieliśmy jak najszybciej się ich pozbyć. Wszyscy troje byli pijani, a przynajmniej Victor udawał zalanego, więc byli znacznie odważniejsi. Molo wydało się dobrym pomysłem. W przypadku pozostałych mieliśmy więcej czasu. W ogóle nie powinno ich być w tym kraju, więc nikt ich nie szukał. Wiedzieliśmy, że Yostów będą szukać, ale nikt nie wpadnie na to, by szukać ich na molo.

– I zapewne byliście z siebie bardzo dumni.

Cieniem uśmiechu skwitował mój pogardliwy ton.

– Chciałem cieszyć się tymi momentami, dlatego używałem magnetofonu. Zaczynałem w czasach, kiedy cyfrowe nagrania były fantazją naukową, i już nigdy się nie przestawiłem. Łatwiej jest kontrolować nagranie na kasecie niż w postaci pliku cyfrowego w internecie, gdzie zostają po nim ślady. Słuchałem taśm nagranych przeze mnie i potem przez Bena, gdy przejął obowiązki. Kasety trzymałem ukryte wśród moich zwykłych nagrań muzycznych. Zamiast zbierać trofea, zbierałem kasety. Dopiero w ostatnich dniach poleciłem Victorowi, żeby się ich pozbył.

Następny fragment wskoczył na swoje miejsce: Grankin miał taśmę z nagraniem ostatnich chwil życia Gail, bo był w trakcie niszczenia zbioru Cabota, obejmującego nagrania z kilkudziesięciu lat tego procederu. Jedną kasetę sobie zatrzymał. Być może uznał, że przyda mu się do zwabienia Healy'ego i mnie, że za jej pomocą zgłębi nas psychicznie. Prawie mu się udało.

– Molo było świetnym pomysłem – kontynuował Cabot. – Ben mi mówił, że cały pawilon śmierdział przypiekanym ludzkim mięsem, ale nikt nigdy tam nie wchodził.

Mój telefon ponownie się rozdzwonił. Znowu Healy.

– Masz upartych kolegów – zauważył Cabot.

Po dziesięciu sekundach Healy się rozłączył.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz? – spytałem.

Cabot przechylił lekko głowę, poprawił się na kanapie i położył rękę na kolanie.

– Wszystko zepsułeś – odparł, niemal powtarzając słowa Kormanana z taką samą dozą pretensji i smutku w głosie.

– Korman postanowił się zabić.

Nieruchoma twarz starca przypominała szarą maskę, którą kiedyś tak chętnie nosił, jednak to, co powiedziałem o Kormanie, wywołało reakcję. Grymas bólu? Wyrzut sumienia?

I już wiedziałem.

– To ty kazałeś mu się zabić.

– Robiąc to, Ben stawał się zwycięzcą.

Wlepił we mnie zamglone, puste oczy bez wyrazu, ale nie miałem wątpliwości, co chce mi powiedzieć. „Odebrał sobie życie, by chronić mnie, swojego nauczyciela, swojego ojca. Policja zaciskała już pętlę i wiedział, że w końcu odkryją, co nas łączy. Dlatego ukrył trofea w torbie i się zabił. Zrobił to dla mnie i zrobił to po to, by twój kolega Healy nigdy nie zaznał triumfu zemsty, na której tak bardzo mu zależało”.

– Ben widział w tym ostatnim czynie piękno. Myślisz, że twój kolega też uznał go za piękny?

Nie odpowiedziałem.

– Rozpłakał się?

Zerknąłem na wyświetlacz telefonu.

Kolejne nieodebrane połączenie z drugiej komórki.

– Siedział i szlochał? – Westchnął i uśmiechnął się smutno. – Ben stał się synem, jakiego zawsze chciałem mieć. To dla mnie dramat, że już go nie ma. Ale wiesz, co ci powiem? Zrobienie tego na twoich oczach, na oczach twojego żalosego kolegi było tego warte. Tak bardzo się cieszę, że pozbawił was wyboru.

Trwałem w milczeniu jak skamieniały.

Ale w środku szalał we mnie pożar.

Cabot uniósł wzrok z uśmiechem, jakby wyczuwał, że z trudem hamuję wybuch nienawiści.

– A dlaczego te bliźniaczki? Bo tego chciałbyś się dowiedzieć, prawda? Dlaczego one?

I nagle wyraz jego twarzy zupełnie się zmienił. Zmarszczył brwi, pofałdowana, pokryta starczymi plamami skóra obwisła mu na policzkach i przez chwilę wyglądał, jakby naprawdę cierpiał.

– To było takie niefortunne, że Gail Clark zadała się z Carlą Stourcroft – powiedział. – Gdy zaczęły spiskować, wszystko strasznie się skomplikowało. Stourcroft nakładła do głowy Clark masę głupich pomysłów.

– Mylisz pobożne chęci z prawdą.

– Gdybyśmy się nie wtrącili, problem by narastał i stawał się coraz trudniejszy do opanowania. Stourcroft była bystra i w końcu doszłaby prawdy.

– I dlatego wysłałeś syna, którego nigdy nie miałeś, by zamordował dwie niewinne ośmiolatki? – Spojrzałem na niego z odrazą. – W czym to miało pomóc?

– Pozwól, że coś ci jeszcze opowiem – odparł, mrużąc oczy.

– Już mi opowiedziałeś więcej, niż mogłem...

– To będzie o April i Abigail.

Powiedział to głosem obojętnym i wypranym z emocji, ale przywołanie tych imion i tak mnie zmroziło.

– Po tym, jak Gary zrealizował swoje marzenie i w dwa tysiące pierwszym roku kupił starą papiernię i molo, wiedziałem, że Ben i Victor będą mieli utrudniony dostęp do całości, bo Gary miał na nich oko. Wtedy wciągnęliśmy w to Calvina Easta. Był człowiekiem słabym i strachliwym i pozwolił sobą manipulować. Szepcząc uporczywie Gary’emu do ucha, doprowadziłem do tego, że zatrudnił Calvina jako kustosza w muzeum, a potem Victora jako szefa ochrony.

– Co to ma wspólnego z dziewczynkami?

Cabot uniósł palec.

– Wiosną dwa tysiące dziesiątego na rynek trafił dom w Whitehall Woods. Miałem już wtedy kupę forsy i złożyłem ofertę. Wiedziałem, że Ben i Victor docenią symbolikę powrotu do miejsca, gdzie wszyscy się poznaliśmy. A ponieważ dom dziecka był już wtedy nieczynny i zabity deskami,

wiedziałem też, że da się z niego zrobić znacznie bezpieczniejszą kryjówkę dla naszych celów. Dlatego Victor doprowadził do tego, żeby wyrzucono go z pracy. Dawało nam to alibi, ale głównie chodziło o zagrożenie związane z dalszym korzystaniem z molo. Gdy zaczynaliśmy w dziewięćdziesiątym trzecim, Wapping było pustkowiem. W dwa tysiące dziesiątym wszędzie stały nowe bloki mieszkalne. Molo było nam już niepotrzebne. Potrzebowaliśmy muzeum i naszej mapy w nim, ale od tego mieliśmy Calvina.

– Te sprawy w ogóle mnie nie interesują.

– Wierzysz, że wszystko się z sobą łączy?

Obrzuciłem go spojrzeniem.

– Wydarzenia, decyzje, ludzie – wyjaśnił i w jego lewym oku pojawiły się łzy. – Jesteś taki jak ja? Widzisz, jak wszystkie klocki wskakują na swoje miejsca?

– O czym ty znów mówisz?

– Zrobiliśmy z Calvina kustosza, bo był tchórzem i dał sobą manipulować, a nie dlatego, że się do tego nadawał. Nawet nie wiem, czy skończył jakąś szkołę. Ale jak na ironię, zdobył duże uznanie wśród miejscowych nauczycieli, którzy uważali, że ma znakomity kontakt z dziećmi i potrafi zachęcić je do nauki. Więc dzieci co roku wracały do muzeum, a on je oprowadzał. Zawsze miały w kieszeni parę groszy do wydania i wszyscy wychodzili z muzeum zadowoleni. – Przerwał i przyjrzał mi się badawczo. – Już się domyślasz, do czego zmierzam, prawda?

– Dziewczynki odwiedziły muzeum.

– Właśnie. Jesienią dwa tysiące dziewiątego przyszły ze swoją szkołą. Siedziałem w recepcji, czekając na odwiezienie do domu przez Gary'ego, i zwróciłem uwagę na te dwie bliźniaczki. Były takie podobne i tak bardzo się od siebie różniły. Jedna spokojna i poważna, druga przemądrzała i popisująca się przed koleżankami. A potem ta przemądrzała spojrzała na mnie i wpatrzyła się w moje oczy. Nie mogłem zareagować, bo musiałem udawać niewidomego, ale zauważyłem, jak szepcze coś do koleżanek i pokazuje mnie palcem, po czym wszystkie parsknęły śmiechem.

– Czy ty zdajesz sobie sprawę, co wygadujesz? – warknąłem z niedowierzaniem.

– Nie, źle mnie zrozumiałeś – zachnął się. – Nie miałem pretensji o to, że się ze mnie śmieją. Bo to żadna sprawa. Po prostu głupie smarkule. Ale od razu wyczułem, że ta przemądrzała, April, jak się później okazało, zapowiada kłopoty. Było w niej coś niepokojącego.

– Miała osiem lat.

– Była szczwana i przebiegła.

– Miała osiem lat, ty cholerny morderco.

– Ściśle mówiąc, chyba dopiero siedem. – Podniósł pistolet z oparcia kanapy, jakby chciał mi przypomnieć, że wciąż go ma. – Ale to bez znaczenia. Rzecz w tym, że rok później, gdy stało się już jasne, że Gail Clark może narobić nam kłopotów, poprosiłem Bena, by zawiózł mnie do Searle House. Normalnie nie ruszam się z domu, ale mieliśmy do czynienia z matką z małymi dziećmi. Uznałem za konieczne, żeby się im przyjrzeć na miejscu.

– Nagle ruszyło cię sumienie?

– Niezupełnie. Ale od Calvina słyszeliśmy zapewnienia, że Gail nic nie wie, że nie ma powodu się nią zajmować. Im goręcej nas o tym zapewniał, tym większy czułem niepokój. Odnosiłem wrażenie, że bardziej zależy mu na niej niż na nas. Więc wracając po podpisaniu umowy na dom w Whitehall Woods, wstąpiliśmy do Searle House. Czy widzisz teraz, jak wszystko się zazębia? – Zamilkł, czekając na moją reakcję. Nie doczekał się, specjalnie jednak się tym nie przejął. – Podjechaliśmy na miejsce, rozejrzałem się i zobaczyłem je. Na placu zabaw pod blokiem. Te same dwie dziewczynki. „Poznaję je”, powiedziałem do Bena, a on popatrzył i odparł: „Pewnie dlatego, że to córki Gail Clark”. Ale nie chodziło o to. To znaczy wiedziałem, że ma córki, choć nie miałem pojęcia, że bliźniaczki. I to akurat te. Kiedy je zobaczyłem i zdałem sobie sprawę, że to te, które widziałem w muzeum, że jedna z nich śmiała się ze mnie, poczułem, jakby mi ziemia zadrżała pod nogami.

Pokręciłem głową.

– Jesteś pierdolnięty.

Nabrał powietrza i ze świstem wypuścił je przez nos.

– Ta druga po prostu siedziała na huśtawce i spokojnie się huśtała, ale ta brylowała w grupce dzieci, popisując się jakimś głupawym tańcem i robiąc z siebie widowisko. Od razu ją zniechęciłem.

- Była dzieckiem.
- Stanowiła zagrożenie.
- Była tylko dziec...
- Podszedłem do nich.

Zerwałem się z miejsca i znalazłem się tuż obok kanapy.

- Co?

- Gdy koleżanki się rozpierzchły i zostały tylko one dwie, uznałem, że muszę do nich podejść. Ben próbował mnie powstrzymać, ja jednak chciałem z nimi porozmawiać. - Zamilkł i po krótkiej przerwie kontynuował: - Ta spokojna nie przestawała się huścić, nucąc coś pod nosem, ale gdy podszedłem bliżej, zeskoczyła i stanęła. Ta druga zauważyła mnie wcześniej i sama ruszyła w moją stronę, śmiejąc się zarozumiale. „Poznaję pana”, powiedziała. „Skąd mnie znasz?”, spytałem, a ona na to, że z muzeum. „Bo ma pan takie dziwne oczy”, dodała. Zwróciłem jej uwagę, że niegrzecznie tak mówić, ale ona wcale się tym nie przejęła.

Pomyślałem o nagraniu Easta, na którym roześmiane i radosne grają z nim w scrabble'a. Wizerunek April, jaki Cabot próbował stworzyć, nie odpowiadał prawdzie. Była zwyczajną, niewinną dziewczynką, do której nie pasowała żadna dziwaczna metka, żaden brud się jej nie trzymał. Śmiała się z niego, bo nie wiedziała, że tak nie wypada; wspomniała o jego oczach, bo nie rozumiała, dlaczego tak wyglądają; popisywała się, bo miała osiem lat. Miała przed sobą całe życie, czekał na nią świat ze swoimi naukami. A on jej to wszystko zabrał.

Cabot pogardliwie wyduł usta.

- Ta smarkula mówi do mnie: „Co pan tu robi?”, ja jej odpowiadam, że jestem dorosły i mogę być, gdzie mi się podoba, ale ona nie przestaje się we mnie wpatrywać. Więc jej mówię: „Powinnaś się nauczyć dobrych manier, młoda damo”, a ona nic, tylko się na mnie gapi.

- To nic nie znaczyło.

- A ty skąd wiesz? Byłeś przy tym?

Czułem, że buzuje we mnie ogień. Przeniosłem wzrok z pistoletu na niego i wyobraziłem sobie, jak zaciskam palce na jego gardle.

- Powiedziałem jej, że ma się na mnie nie gapić, ale ona nie przestawała, bezczelna i pewna siebie, z rękami na biodrach. Więc podszedłem jeszcze

bliżej i mówię: „Nie słyszysz, co do ciebie mówię? Przestań się gapić”. A ona nic. Stanąłem już zupełnie blisko, wlepiłem w nią moje dziwne oczy i mówię: „Przestań, bo pożałujesz”, a ona omija mnie wzrokiem, patrzy na samochód, w którym siedzi Ben, i mówi: „Wiem, że pan jest złym człowiekiem. Widziałam pana zdjęcie w komputerze mamy. Słyszałam, jak rozmawiała o panu przez telefon”.

Przełknąłem ślinę.

Spojrzał na mnie.

– Stourcroft przesłała Gail Clark moje zdjęcie.

Było mi strasznie trudno tego słuchać. Siedziałem, wpijając palce w kanapę, w piersiach mnie paliło. Byłem gotów rzucić się na niego i rozerwać go na strzępy.

– Potem podeszła do huśtawki, chwyciła siostrę za rękę i obie uciekły do ich żalostnego mieszkanka w bloku. Wróciłem do samochodu i powiedziałem do Bena: „Ma moje zdjęcie. Widziała cię. Jest zarozumiała i bezczelna, ale też podstępna. Jeśli tak to zostawimy, jeśli to zdjęcie zostanie w ich komputerze, to ani się nie obejrzemy, jak pójdą na policję i wszystko wyklepią. Matka, córki, wszyscy”. – Patrzył na mnie bez cienia żalu. – Więc powiedziałem Benowi: „Jak pójdziesz rozprawić się z mamusią, to nie zapomnij o tych dwóch”.

Serce podeszło mi do gardła.

Na całym ciele poczułem dreszcze.

A potem usłyszałem hałas w kuchni.

Spojrzelismy odruchowo w głąb przedpokoju, Cabot uznał jednak, że to próba odwrócenia jego uwagi, i machnął pistoletem.

– Co to było? – warknął.

Oczywiście nie zdążyłem nawet kiwnąć palcem, tylko skłamałem się w duchu, że nie spróbowałem wcześniej odebrać mu broni, bo teraz było już za późno. Był zaniepokojony i czujny.

– Idź sprawdzić, co to było.

Wstałem i przeszedłem obok niego, a on podparł się ręką i dźwignął z kanapy. Ruszyłem w stronę kuchni, słysząc za plecami jego kroki.

Stojący na suszarce talerz musiał się przewrócić, gdy zawiał wiatr, bo okno było uchylone, cała reszta wyglądała jednak dokładnie tak jak rano. Przez okno widziałem swoją sąsiadkę Nicole, chodnikiem szła starsza para, obok kobieta pchała wózek. Na zewnątrz codzienna normalność, w środku człowiek, który zabijał tak często i tyle razy, że nawet nie pamiętał, ile ofiar zginęło z jego rąk. Ten człowiek celował we mnie z pistoletu. Odwróciłem się i obrzuciłem go spojrzeniem.

– To tylko talerz na suszarce – burknąłem.

Przez moment wpatrywał się we mnie oczami, które z bliska wyglądały na jeszcze bardziej zamglone, po czym cofnął się, ale ani na chwilę nie opuścił lufy pistoletu. Podążyłem za nim.

– Myślę, że chyba już skończyliśmy – powiedział i ostateczność tych słów spowodowała, że przeszedł mnie dreszcz. – Zdumiewasz mnie, Davidzie. Dużo o tobie czytałem, znam twoją historię. W innych okolicznościach być może znalazłbyś nawet łączące nas podobieństwa. – Jego szurające po podłodze stopy wydawały miarowe dźwięki niczym pracująca maszyna. – Pewnie uważasz to za swoje zwycięstwo. Że przyszedłem i wszystko ci

opowiedziałem. Ale dlaczego miałbym z własnej woli wyjawiać ci sekrety swojego życia?

Wreszcie stanął i jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Bo to nie twoje zwycięstwo, Davidzie. To ja zwyciężyłem. Policja dojdzie do wniosku, że ślady na masce to moje DNA, potem znajdą je w całym domu w lesie i w domu dziecka, a to będzie oznaczało mój koniec. Ale nie wsadzą mnie do więzienia, bo jestem na to za stary. Zrzuciłem wszystko na twoje barki i ciebie będzie to nękało po moim odejściu. Wiem, że tak będzie, bo taki już jesteś. Chcę, żebyś rozpamiętywał, jak udało nam się ujść karze, a ty nie mogłeś nic zrobić, żeby temu zapobiec. A jeśli spróbujesz się na mnie rzucić i oddać mnie w ręce policji już dziś, to opowiem im o twoim kumplu Healym.

– Uśmiech nagle przerodził się w głośne, złośliwe prychnięcie, po czym twarz Cabota znów stała się obojętna. – Ani przez chwilę nie zamierzałem do ciebie strzelać. Po co miałbym to robić, skoro osiągnąłem dokładnie to, o co mi chodziło...

Coś się poruszyło.

Po lewej, od strony sypialni, coś śmignęło, runęło na Cabota i pchnęło na stół, który przesunął się, roztrzaskując na boki krzesła. Pistolet wypadł Cabotowi z ręki i wylądował na dywanie. Sekundę później obraz nabrał ostrości.

Healy.

Poczułem podmuch z lewej i w domu rozległ się cichy szum wiatru. Okno w sypialni było otwarte i zrobił się przeciąg. Healy odwrócił naszą uwagę hałasem w kuchni i obiegnął dom od drugiej strony.

Skoncentrowałem się na rozgrywającej się przede mną scenie.

Cabot leżał twarzą do podłogi, Healy siedział na nim okrakiem. Obaj zamarli w bezruchu i nie byłem pewien, czy Cabot jeszcze oddycha. Healy wciskał mu kolano w kręgosłup, ręką przyłożoną do karku dociskał twarz do podłogi. Ruszyłem w ich stronę i dopiero wtedy się zorientowałem, że to nie dłoń Healy'ego dociska kark Cabota.

To był nóż.

– Healy – powiedziałem. – Już dobrze.

Zwrócił ku mnie twarz i zobaczyłem, że policzki ma mokre od łez, a wargi zaślinione. Musiał słyszeć końcówkę rozmowy i wiedział już, co Cabot mówił

o dziewczynkach. Miałem przed sobą ruinę człowieka i na ten widok serce mi się ścisnęło. Cabot lekko się poruszył, ale Healy nawet nie drgnął. Siedział bez ruchu i wlepił we mnie wzrok.

– Healy, już dobrze – powtórzyłem niemal szeptem.

Pokręcił głową.

– Healy...

Pokręcił jeszcze bardziej zdecydowanie.

– Jakoś z tego wybrniemy – powiedziałem.

Odwrócił głowę, odjął nóż od karku starca i przekręcił Cabota na plecy. Ten zaniósł się kaszlem, a w klatce piersiowej zaczęło mu rzezić jak w zepsutym silniku. W końcu się uspokoił i Healy przytknęła czubek noża do fałd skóry na jego szyi.

– One nikomu nic nie zrobiły – wybuchnął.

Cabot potrzebował paru sekund, by odnaleźć wzrokiem twarz Healy’ego i wyostrzyć obraz.

– Zabijesz mnie teraz? – spytał, gdy wreszcie mu się to udało.

Healy jęknęła.

– No dalej, zrób to – rzucił Cabot.

– Nie, Healy – wtrąciłem się. – Ty tak nie postępujesz.

Jeszcze więcej łez na policzkach.

– Zrób to – burknął Cabot. – One zasługiwały na to, żeby umrzeć.

Healy drgnęła i w pierwszej chwili myślałem, że zatopił nóż w szyi Cabota, potem jednak aż zawył z bólu, a ja dostrzegłem tylko cienką stróżkę krwi na szyi starca i zrozumiałem, że Cabot wciąż żyje. Nóż tylko lekko drasnął naskórek.

Healy coś mamrotał pod nosem.

– Jesteś żaloszny – rzucił Cabot.

Healy znów coś wymamrotał.

Co on mówi?

Mamrotał dalej, ale tak cicho i niewyraźnie, że dosłyszałem tylko „...ci”.

Podszedłem bliżej.

– Coś ty powiedział? – prychnął Cabot.

Healy uniósł lekko głowę i wtedy wreszcie usłyszałem.

Odrzucił nóż na bok i przez chwilę wpatrywał się w zdumioną twarz Cabota, po czym pochylił się nad nim i spojrzał mu prosto w oczy. Zależało mu, by Cabot nic z tego nie uрониł.

Chciał, żeby starzec mógł widzieć ruch jego warg.

A potem, zapłakany i znękany czterema latami pościgu za tym człowiekiem, czterema latami nieszczęść i niepowodzeń, czterema latami, podczas których stracił córkę i niemal siebie samego, chwycił Cabota za kołnierz, uniósł jego głowę z podłogi i cichym, zdecydowanym tonem wypowiedział dwa słowa:

– Wybaczam ci.

Siedziałem w samochodzie zaparkowanym wśród wysokich jesiennych traw i przez szybę zalaną deszczem patrzyłem na Josepha Cabota, który szedł przez park Richmond i za chwilę miał zniknąć wśród drzew.

Przyglądając mu się z tego miejsca, nie miałem już żadnych wątpliwości, dlaczego do mnie przyszedł, dlaczego postanowił wszystko mi wyjawić i dlaczego – choć nie udało mu się sprowokować Healy’ego i ten go nie zabił – nadal uważał się za zwycięzcę.

Właśnie dlatego.

Bo nie miałem wyboru i musiałem go wypuścić.

Sam mi to wyłożył. Gdybym wydał go policji, powiedziałyby im o Healym. Przeleciałem w myślach możliwe scenariusze, łącznie z zasugerowaniem policji, że Cabot zwariował i pomylił pamięć o Healym z widzeniem go w rzeczywistości – no bo jak można widzieć kogoś, kto nie żyje – Cabotowi jednak można było zarzucić wiele, ale nie brak piątej kleпки. Tak naprawdę był jak na swój wiek niezwykle przytomny. A gliniarzom starczyłby cień wątpliwości i mogliby zacząć grzebać tam, gdzie nie należy. Przy okolicznościach śmierci Healy’ego.

To co Cabot mówił, brzmiało sensownie. *Zrzuciłem wszystko na twoje barki i ciebie będzie to nękało po moim odejściu. Wiem, że tak będzie, bo taki już jesteś.* Oświadczył przy tym, że zrujnowałem życie jemu i jego przybranemu synowi, którego traktował jak własnego. Za to się mścił.

To było zwycięstwem, o którym mówił.

Na chwilę przystanął w zapadającym mroku i obejrzał się. Wiedział, że ślady DNA przesądzą o jego losie i że resztę życia – ile mu tam jeszcze zostało – spędzi w więziennej celi. I teraz, przed samą metą, opadły go wątpliwości, czy jest w stanie przez to przebrnąć.

Zaraz jednak wyraz jego twarzy się zmienił i rysy stwardniały, jakby sobie uświadomił, że wycofanie się odbierze mu poczucie zwycięstwa. Że poddanie się strachowi uczyni z niego przegranego. Nagłym ruchem sięgnął do kieszeni, wyjął pistolet i wetknął lufę w usta. Jeszcze szybko się upewnił, czy na pewno na niego patrzę, zamknął oczy i pociągnął za spust.

Huk wystraszył stado ptaków; zerwały się do lotu z pobliskiego drzewa.

A potem zapadła cisza.

Ciało Cabota zatoneło w morzu traw, a ja zdałem sobie sprawę, że boli mnie głowa. Odczuwałem coraz większy zawód, że nigdy nie zostanie osądzony za swoje zbrodnie, w każdym razie nie w tym życiu. Miał rację. Wszystko, co mi powiedział, będzie mnie nękało, bo takim człowiekiem się stałem. Odszedł na swoich warunkach, a mnie trudno się było z tym pogodzić. Być może najpierw nie będzie nic po mnie widać, ale przyjdzie taki moment, że wszystko ze mnie wyjdzie.

W powrotnej drodze zacząłem myśleć o Healy i jego wybaczeniu. I tym, jak to się stało, że znalazł się u mnie w domu.

– Wiedziałem, że dzieje się coś niedobrego – wyjaśnił, gdy udało nam się wcześniej chwilę porozmawiać.

– Skąd?

– Bo cię znam. Byliśmy w trakcie ważnej rozmowy i przerywając ją, powiedziałeś, że do mnie oddzwonisz. – Wzruszył ramionami. – Więc skoro nie zadzwoniłeś, pomyślałem, że coś się stało.

Zaskoczyło mnie, że tak dobrze mnie zna, wie, co myślę i jak działam. Przypomniało mi to słowa Craw. Któregoś razu stwierdziła, że jesteśmy z Healy tacy sami. A także to, co powiedział Joseph Cabot i co mogło być jego jedynym racjonalnym stwierdzeniem.

Że wszystko się zazębia.

* * *

Zanim dotarłem do domu, zrobiło się już zupełnie ciemno. Przeszedłem po pustym podjeździe. Jedynym śladem życia byli widoczni przez okno sąsiedniego domu Andrew i Nicola, którzy siedzieli obok siebie na kanapie

w salonie. Przez moment zatrzymałem na nich wzrok – na tym obrazku z życia, którego sam nie miałem – po czym otworzyłem drzwi i wszedłem do ciemnego i cichego domu, jeśli nie liczyć szumu telewizora i blasku bijącego od ekranu. Telewizor był włączony na kanał informacyjny.

Dopiero po chwili go dojrzałem, bo siedział skulony w kącie pokoju i tylko jego wychudzona, blada twarz jaśniała w blasku ekranu, na którym pokazywano obrazki z najnowszego samobójczego zamachu bombowego. Zwrócił ku mnie głowę.

– Załatwione? – spytał.

– Tak – odparłem.

Bo cóż więcej mogłem powiedzieć.

Poszedłem do łazienki, wziąłem prysznic, przebrałem się i wróciłem do salonu. Healy tkwił dokładnie w tym samym miejscu – samotna, rozmyta w mroku sylwetka, jakby odrzucona przez resztę świata.

– Źle się czujesz?

Zadane cichym głosem pytanie zupełnie mnie zaskoczyło, potem jednak przypomniałem sobie, co mu mówiłem jeszcze w Domu Dziecka Świętego Dawida, tłumacząc się z telefonu do Craw. *Coś jest ze mną niedobrze... Chyba jestem chory*. Martwiłem się, że nie dam rady obronić nas obu.

– Zemdlałem – mruknąłem, a on zerknął na mnie. – Miewam bóle głowy. Coś w rodzaju ataków paniki. Sam nie wiem.

– Pójdiesz z tym do lekarza? – Głos mu zadrżał, na jego twarzy pojawił się grymas. W pierwszej chwili pomyślałem, że to z troski o mnie, grymas jednak szybko się nasilił i zdałem sobie sprawę, że to wcale nie troska. To był grymas strachu.

Bał się, że znów zostanie sam.

– Jestem umówiony z lekarzem jutro rano – powiedziałem. – Ale nie wiem, czy to coś da. To pewnie jakaś trudna do zdiagnozowania obsesja. – Uśmiechnąłem się, ale on tylko pokiwał głową. – Musimy pogadać, co robimy dalej. – Przeniósł wzrok z powrotem na telewizor. – Będziesz musiał wyjechać z Londynu. – Myślałem, że jakoś zareaguje, ale uparcie milczał. – Nie możesz zostać w mieście, to zbyt ryzykowne.

– I dokąd mam jechać?

– Choćby do dawnego domu moich rodziców w Devon. Nikt cię tam nie będzie szukał. Zimą nikogo tam nie ma, więc wystarczy, jak będziesz siedział cicho i dasz mi czas na wymyślenie czegoś. Wiem, że to nie będzie dla ciebie łatwe, szczególnie że z taką łatwością zaprzyjaźniasz się z obcymi.

Tym razem w kącikach jego ust pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

– Uda się – zapewniłem go cicho, ale cień uśmiechu wolno spłynął z jego twarzy i widać było, że mi nie wierzy. – Naprawdę.

– Okej.

– Ale musisz coś zrozumieć. Nie ma powrotu do dawnego życia. Rodzina, przyjaciele, to miasto, wszystko to już historia. Znam ludzi, którzy mogą nam pomóc, ale traciliby tylko czas, gdybyś nie był w pełni świadomy tego, kim się teraz staniesz.

– A kim się stanę? – spytał.

– Kimś zupełnie innym.

Ktoś inny

179 dni, 16 godzin, 44 minuty po

Tego wieczoru usnął przy wiadomościach i zaczął śnić.

Zbliżając się, zobaczył je obie na huśtawkach. Siedziały do niego plecami i w pierwszej chwili go nie zauważyły. Rozmawiały, wybuchając cały czas śmiechem, ale gdy okrążył huśtawki i stanął przed nimi, April i zaraz potem Abigail podniosły na niego wzrok i przestały się huścić.

– Cześć – powiedział.

Patrzyły na niego w milczeniu.

– Pamiętacie mnie?

Cisza.

– Nie poznajecie... – zaczął z wahaniem w głosie. – Nie poznajecie mnie?

Obie zeskoczyły z huśtawek.

Dał im znak ręką, by nie uciekały.

– Nie bójcie się. To ja pomogłem wam pomalować ścianę w waszym pokoju. Pamiętacie? Bawiliśmy się w berka... Codziennie po szkole przez wiele miesięcy. Musicie to pamiętać.

Bez reakcji.

Przerwał i przełknął ślinę, próbując sobie przypomnieć, co jeszcze robili razem.

– Odprowadzałem was do szkoły i dawałem po całusie przy bramie. Jeździliśmy metrem. Bawiliśmy się z Charliem. Pamiętacie Charliego, prawda?

Rozejrzał się za swoim psem Charliem, oczekując, że ujrzy go jak zwykle kręcącego się w pobliżu, i mając nadzieję, że jego widok odświeży im pamięć, ale psa nigdzie nie było. Należał do innego życia.

Poczuł przyływ paniki.

– Proszę was – rzucił, niepewny, czym jeszcze może zachęcić dziewczynki, które zaczynały się już oddalać od niego i huśtawek.

April zerknęła w stronę Searle House, jakby szykując się do ucieczki. Wyciągnęła rękę i ujęła dłoń siostry.

– Nie bójcie się – powtórzył. – Wszystko w porządku, nie bójcie się mnie.

Dziewczynki patrzyły przez trawnik na swój blok, równocześnie wykonując identyczne ruchy. Wyglądały na coraz bardziej wystraszone i były coraz bledsze.

Boją się mnie, pomyślał. Jak one mogą się mnie bać?

– Proszę – powtórzył łamiącym się głosem. – Powiedzcie, że mnie pamiętacie.

Obie dziewczynki stały, przypatrując mu się bez cienia uśmiechu na twarzy. W gałęziach drzew na skwerze szumiał wiatr.

– Kochałem was obie. – Oczy wypełniły mu się łzami. – Kiedyś byłyście moje.

Ledwie skończył mówić, gdy wyraz ich twarzy gwałtownie się zmienił. Zupełnie jakby zza chmury wyjrzało słońce. Strach i niepewność zniknęły, a ich buzie – najpierw April, a zaraz potem Abigail – rozpromieniły się w radosnych uśmiechach, jak gdyby dopiero teraz go rozpoznały.

– Och, tak bardzo chcieliśmy, żebyś wrócił! – wykrzyknęła April.

Znów przełknął ślinę i poczuł, jak serce mu kołacze.

Abigail puściła dłoń siostry.

– Tak bardzo nam cię brakowało.

Zaczął ocierać łzy, a April podbiegła, klepnęła go w rękę, krzyknęła „Berek!” i piszcząc z radości, obie puściły się biegiem przez trawnik w stronę Searle House.

Podziękowania

Robienie tego, co robię, sprawia mi ogromną frajdę, ale nie byłoby to możliwe bez przyjaźni, wsparcia i wszechstronnej wiedzy moich przyjaciół z wydawnictwa Michael Joseph. Raz jeszcze dziękuję całej drużynie (a także personelowi całego Penguina) za udział w powstaniu tej książki – od redakcji po marketing, od sprzedaży po reklamę i wszystko pomiędzy. Muszę przy tym wyróżnić Rowlanda White’a i w szczególności Emada Akhtara, którzy włożyli ogromny wysiłek w pracę nad pierwszą wersją rękopisu, a także Caroline Pretty, która zna historię Rakera nawet lepiej niż ja.

Dziękuję mojej agentce Camilli Wray, która potrafi zachować spokój nawet wtedy, gdy w połowie pracy nad książką przeżywam kryzys twórczy, i której cierpliwość, entuzjazm oraz wycucie fabuły były nieocenione w chwilach zwątpienia, jak również paniom z agencji Darley Anderson, które pracują z takim poświęceniem – zwłaszcza Mary Darby i Emmie Winter z działu praw zagranicznych oraz Sheili David z działu praw filmowych i telewizyjnych.

Dziękuję mamie, tacie, Lucy i reszcie mojej wspaniałej rodziny za ich miłość i wiarę we mnie. I na koniec gorące podziękowania dla moich dwóch najbliższych kobiet: córki Erin, z której jestem taki dumny, i żony Sharlé, która była przy mnie, jeszcze zanim przelałem na papier pierwsze słowa mojej pierwszej książki.

Przypisy

¹ Oyster Card – karta uprawniająca do korzystania ze wszystkich środków komunikacji miejskiej na terenie Londynu.

² SOCA – Serious and Organised Crime Agency (Agencja ds. Poważnej i Zorganizowanej Przestępczości).

³ Przeł. Ludmiła Marjańska.

Spis treści

[O książce](#)

[Strona tytułowa](#)

[O autorze](#)

[Tego autora](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Od autora](#)

[CZĘŚĆ PIERWSZA 14 stycznia 2014](#)

[1](#)

[2](#)

[3](#)

[4](#)

[5](#)

[6](#)

[7](#)

[8](#)

[CZĘŚĆ DRUGA 2 października 2014](#)

[9](#)

[10](#)

[11](#)

[Wszystko, co kochasz](#)

[12](#)

[13](#)

[14](#)

[15](#)

[16](#)

[17](#)

[Człowiek w prochowcu](#)

[18](#)

[19](#)

[20](#)

[Głosy](#)

[21](#)

[22](#)

[23](#)

[CZĘŚĆ TRZECIA 31 października 2014](#)

[24](#)

[25](#)

[26](#)

[27](#)

[Tom](#)

[28](#)

[29](#)

[30](#)

[31](#)

[To, co zostaje](#)

[32](#)

[33](#)

[34](#)

[Siedemdziesiąt cztery dni](#)

[35](#)

[36](#)

[37](#)

[Terapia](#)

[38](#)

[39](#)

[40](#)

[41](#)

[W samotności](#)

[CZĘŚĆ CZWARTA](#)

[42](#)

[43](#)
[44](#)
[45](#)
[46](#)
[47](#)
[48](#)
[49](#)
[50](#)
[51](#)
[52](#)
[53](#)
[54](#)
[55](#)
[56](#)
[57](#)
[58](#)
[59](#)
[60](#)
[61](#)
[62](#)
[63](#)
[64](#)
[65](#)
[66](#)
[67](#)
[68](#)
[69](#)
[70](#)
[71](#)
[72](#)
[73](#)
[74](#)

[CZEŚĆ PIĄTA](#)

[75](#)

[76](#)

[77](#)

[78](#)

[79](#)

[80](#)

[81](#)

[82](#)

[83](#)

[84](#)

[85](#)

[Ktoś inny](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)